JESIENNA REWOLUCJA

FALL REVOLUTION

TOM 1

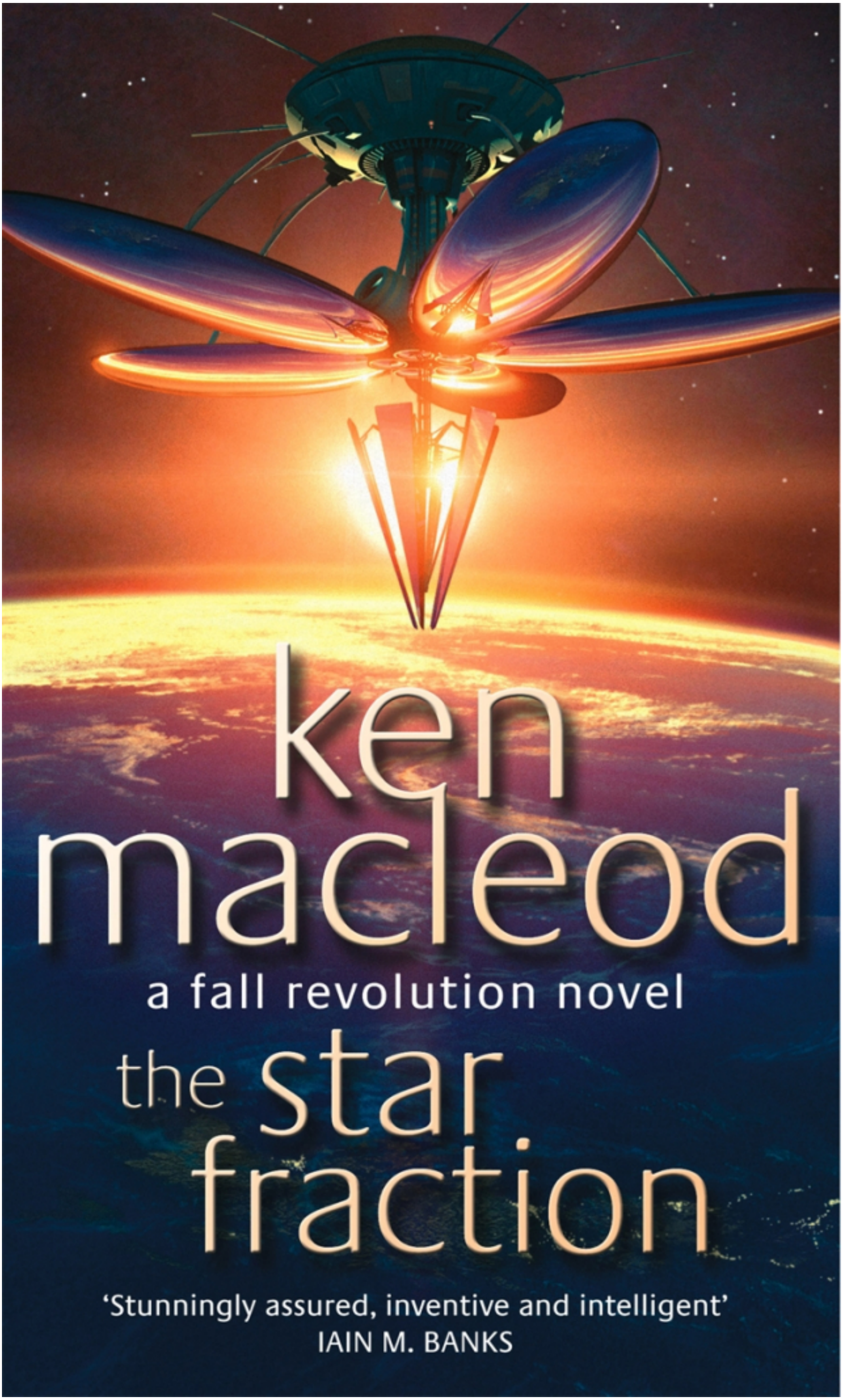
Gwiezdna Frakcja

The Star Fraction

Ken MacLeod

Na podstawie wydania TOR, Nowy Jork, 2008
przetłumaczył i opracował:
Jacek Hummel

Warszawa, 2021


ken
macleod
a fall revolution novel
the star
fraction
'Stunningly assured, inventive and intelligent'
IAIN M. BANKS

Wstęp do wydania amerykańskiego

Gwiezdna Frakcja jest pierwszym tomem Jesiennej Rewolucji i moją pierwszą powieścią. Zacząłem pisanie tej powieści bez pomysłu, jak się skończy, nie mówiąc już o rozpoczynaniu serii. Nadal nie jest to seria: cztery tomy mogą być czytane w dowolnym porządku, a ostatnie dwa przedstawiają możliwe alternatywne przyszłości wyłaniające się ze świata połowy dwudziestego pierwszego wieku, który sobie wyobraziłem na początku.

W tym scenariuszu, po krótkiej Trzeciej Wojnie Światowej, lub Wojnie o Integrację Europejską, jak ją nazwali prowokatorzy, w latach dwudziestych dwudziestego pierwszego wieku powstaje hegemonia USA/ONZ nad zbałkanizowanym światem. Jesienna Rewolucja w późnych latach czterdziestych dwudziestego pierwszego wieku jest próbą odrzucenia tego porządku nowego świata i zjednoczenia podzielonych narodów. Ale, jak jedna z postaci mówi: „To, co uważaliśmy za rewolucję, było tylko momentem w upadku". Jego uwaga opiera się na teorii historii.

Historia jest tajemnicą zawodową science fiction, a teorie historii są jej niewidzialnym silnikiem. Jedna z takich teorii historii twierdzi, że społeczeństwo rozwija się, ponieważ relacje ludzi z naturą mają tendencję do zmiany bardziej radykalnej i gwałtownej niż relacje pomiędzy ludźmi. Technologia wyprzedza prawo i zwyczaj.

Z tego niedopasowania wynikają wstrząsy. Społeczeństwo albo podnosi się do nowego etapu w zasięgu nowej technologii, albo technologia jest dławiona, by dopasować do granic starego społeczeństwa. Gdy technologia upada, tak samo upada społeczeństwo, może nawet do wcześniejszego układu. Jednakże w głównym nurcie historii, społeczeństwo rozwinęło się poprzez kolejne etapy, a każdy z nich był stabilną konfiguracją pomiędzy technologią, z którą pracowali ludzie, a właściwymi sposobami współpracy. Jednak ta stabilność zawiera nasiona nowej niestabilności. Zwolennicy tej teorii twierdzą, że następowanie wzlotów i upadków, wojen, rewolucji i kontrrewolucji, które zaczęły się w sierpniu 1914 roku, a które nie pokazują widoku końca, wskazuje, że właśnie żyjemy w takim wieku przewrotu.

Ta teoria, oczywiście, to materialistyczna koncepcja historii, sformułowana przez pionierskiego amerykańskiego antropologa Lewis Henry Morgan[1] i (nieco wcześniej) przez niemieckiego filozofa Karla Heinricha Marksa. Obaj patrzyli z optymizmem na przyszłe społeczeństwo i srogo krytykowali im współczesne. Własność, napisał jeden z nich w „Ancient Society", „stała się, ze strony ludzi, niewyobrażalną mocą. Ludzki umysł staje oszołomiony w obecności własnego tworu. Niemniej jednak nadejdzie czas, gdy ludzka inteligencja wzniesie się do panowania nad własnością... Demokracja w rządzie, braterstwo w społeczeństwie, równość w prawach i przywilejach oraz uniwersalna edukacja przepowiadają wyższy poziom społeczeństwa..."

Teleportujcie mnie. Zanim wejdziemy w teleporter do „wyższego poziomu" Morgana, mądrze byłoby sprawdzić jego właściwości. Jedno ograniczenie dla możliwych konstrukcji społeczeń-

[1] zob. `https://pl.wikipedia.org/wiki/Lewis_Morgan` – przyp.tłum.

stwa przyszłości zostało wskazane przez austriackiego ekonoma Ludwiga von Misesa. Twierdził on, że własność prywatna była kluczowa dla cywilizacji przemysłowej: bez własności – brak wymiany, bez wymiany – brak cen, brak cen – brak sposobu określenia, czy dany projekt jest wartościowy, czy jest porażką. Zważywszy, że każda próba zniesienia rynku na wielką skalę prowadziła do upadku przemysłu, jego argument kalkulacji ekonomicznej wydaje się dowiedziony. Niestety, nie ma przesłanek, dlaczego argument kalkulacji ekonomicznej i materialistyczna koncepcja historii nie mogłyby być obie prawdziwe. Co jeśli kapitalizm jest nie do utrzymania, a socjalizm jest niemożliwy?

Gwiezdna Frakcja jest prześladowana przez to niewygodne pytanie. Dla mnie było ono dotkliwie odczuwalne, kiedy pisałem tę książkę na przełomie lat osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych. Jako socjalista, zainteresowałem się libertariańską krytyką socjalizmu. Upadek reżimów biurokratycznych Wschodu nie sprawił mi ani niespodzianki, ani przykrości.

Nie, to, co było, i pozostaje, przerażające to nie upadek „realnie istniejącego socjalizmu”, ale katastroficzne konsekwencje próby wprowadzanie realnie istniejącego kapitalizmu i oczywista niezdolność tych, którzy obalili dyktatury biurokratyczne do zapewnienia i obrony ich własnych interesów w następstwie.

W tej powieści te problemy są przedstawione oczami postaci, które są wadliwe i często w błędzie, ale czasem są heroiczne. Ideologie, którymi próbują nadać sens temu wszystkiemu, wahają się od przemysłowego trockizmu w stylu brytyjskim do libertarianizmu „czarnych operacji” w stylu amerykańskim. Wielkie pytania o historię i ekonomię napędzają przygody uzbrojonych gniewnych białych mężczyzn (i gniewnych czarnych kobiet), których działania mają większą wagę, niż im się wydaje. Ich świat to ten, gdzie Porządek

Nowego Świata próbuje Cię dostać, z pomocą czarnych helikopterów, Mężczyzn w Czerni i orbitalnej broni laserowej.

A do tego wszystko to, co zmyśliłem, zaczyna się na następnej stronie.

Rozdział 1

Bandyta z Papierosem

Na dachu było gorąco. Ponad nim, na niebie dużo się działo: floty zeppelinów chmur na zmianę z poszarpanymi anarchicznymi, czarnymi flagami. Jasne gwiazdy, wojskowe satelity komunikacyjne, meteory, śmieci. Moh Kohn przykucnął za gzymsem i przeskanował grupę drzew pół klika za perymetrem kampusu. Gogle na oczach, ciemność była innym odcieniem dnia. Trzymał luźno Karabin, płynnie nim przesuwał, chodząc, żeby utrzymać chłód. Termika budynku dawała mu osłonę wystarczającą, by zmieszać gogle lub noktowizory z tak daleka.

– Gaja, ale gorąco – wymamrotał.

– Trzydzieści jeden stopni Celsjusza – powiedział Karabin.

Lubił słuchać Karabinu. Czuł się pod prądem. Tylko odczyt na ekranie, ale słyszał to oczami niczym znaki.

– Co to będzie dzisiaj? Oszołomy czy dziwaki?

– Wyszukiwanie rozpoczęte.

– Stop. – Nie chciał, aby Karabin przeszukiwał swoją pamięć za hipotezami. Chciał, aby *patrzył*. Tak jak on, przez cały czas, za dwoma, głównymi zagrożeniami dla klientów: tych, którzy uważali, że cokolwiek bystrzejszego niż kieszonkowy kalkulator jest zagrożeniem dla ludzkiej rasy i tych, którzy uważali cokolwiek z centralnym systemem nerwowym za honorowego członka ludzkości.

Badał betonowe przedpole, ścianę perymetru, drzewa przez trzy godziny, od dwudziestej pierwszej. Zmiana miała być za dwie. A potem nie byłby tak po prostu po zmianie, byłby *wyłączony*, cały tydzień na podreperowanie. Po siedmiu nocach patrzenia w ciemność, drażliwy od plotek, nerwowy od oszustw i fałszywych alarmów, potrzebował tego.

Za nim muzyka, śmiech i hałas wirował pomiędzy budynkami, czasem głośno, gdy pędzące powietrze przesyłało dźwięki do poziomu gruntu, czasem tak jak teraz w gorącym bezruchu, delikatnie. Chciał być *na* tej imprezie. Jeżeli nie byłoby ataku na jego zmianie. . . cholera, nawet gdyby *był*. Wszystko, co musiał zrobić, to nie oberwać ogniem. Ostrzał był czymś innym, ale nie byłby to pierwszy raz, gdyby tracił wspomnienia szarych widmowych nocnych walk i fałszywych kolorów stygnącej krwi w piciu, tańczeniu i, w szczególności, w seksie – wielkim konkrecie, antytezie i antidotum na przemoc – w ciągu tej samej nocy.

Coś się poruszyło. Kohn natychmiast ochłonął, skupiając się na punkcie po jego lewej, gdzie zobaczył. . . Znowu tam było, gdzie krzewy wysuwały się zza drzew. Osłona natarcia. Wbił do pamięci inercyjnej broni i szybko omiótł, zmieniając noktowizor do trzykrotnego powiększenia. Nic innego nie było widocznego. Może to był główny atak. Cofnął z powrotem i Karabin poruszył dłonią w miejscu, które miał zaznaczone.

A oni tam byli. Dwie, trzy – *przybliżenie, zablokować śledzenie* – cztery, kucając i pędząc. Dwie z karabinami, inne taszczyły paczkę. Przybliżona linia ich zygzaków wskazywała na Instytut Aleksandra. Blok AI.

Zatem oszołomy. Żadnych skrupułów.

– Zrób to dla Big Blue – powiedział Karabinowi. Ukrył się maksymalnie za gzymsem, trzymając broń dziwacznie ponad nim

i wycelował obrazem ekranu wysłanym do jego gogli. Jego palec spustowy nacisnął Enter. Broń przejęła. Wycelowała *go*. Sekundę potem, widok na ekranie pokazał cztery ciała, rozwalone, spięte jak chromosomy X i Y.

– Cele ogłuszone.

O czym Karabin mówił? Kohn sprawdził, przeglądając odczyty. Karabin wystrzelił pięć pocisków o dużej prędkości ze SLIPem[1]. Uśpił oszołomów. Mógłby przysiąc, że przełączył na ostre pociski.

– Wykryto bombę. Działający zegar.

Odczyty: *8.05*. . . *8.04*. . . *8.03*. . .

– Wezwij ochronę!

– Już wykonano.

Kohn wyjrzał nad parapet. Dwie postacie we wzmacnianych skafandrach biegły przez trawę ku nieprzytomnym bandytom. Włączył kciukiem kanał Ochrony.

– Warta Pięć do Gotowy Jeden, odbiór?

(– 7.51.)

(– Tak, tak.)

– Gotowy Jeden do Warty. Odbiór.

– Mają bombę zegarową ze sobą. Może być zaminowana.

Zatrzymali się tak szybko, że przez chwilę stracił ich z widoku. Potem niepewny głos powiedział:

– Wróg jest żywy, powtarzam żywy. Nasze obowiązujące instrukcje. . .

– Jebać *je*! – krzyknął Kohn. Uspokoił się. – Przepraszam, Gotowy Jeden. Mój kontrakt mówi, że przejmuję. Znajdźcie jakąś osłonę. Żadnych martwych bohaterów na mojej zmianie. Kurde, to może

[1] oryg. Skin-contact LIquid Pentothal czyli zastrzyki doskórne pentotalu, środka odurzającego – przyp.tłum.

być niebezpieczne nawet stąd, jeżeli to jest daisy-cutter[2]... Hej, możecie podłączyć mnie do systemu UXB?

– Jaki tam *masz* hardware, Moh?

– Wystarczający – odparł Moh, uśmiechając się. Strażnik wyjął mały aparat z plecaka i położył go na trawie. Karabin wyregulował antenę odbiorczą, wsłuchując się w *ping* interfejsu laserowego. Ekran przeformatował się.

– Ok, masz wąską wiązkę w polu widzenia, dostęp użytkownika. – Strażnicy pobiegli do osłony.

Normalnie Kohn nie wszedłby do tego systemu nawet za milion lat, ale nigdy nie było sposobu na stare pytanie *quis custodiet* et cetera. Szczególnie gdy *custodes* byli w Związku.

Grzebiąc, wpisał numery w kolbę. Karabin odbierał szum elektroniczny z obwodów bomby (żadne wielkie osiągnięcie, abolicjoniści AI nie *szli* w zaawansowaną technologią) i przesyłało przez bezpieczny zestaw komunikacyjny straży do systemu eksperckiego online rozbrajania bomb w British Telecom.

– 2.20. – Po chwili: – Interaktywne środki niemożliwe. Rekomendowana siła mechaniczna.

– *Co?*

W odległej wieży coś w rodzaju:

```
IF (MESSAGE-UNDERSTOOD)
THEN; /* DO NOTHING */
ELSE DO;
CALL RE-PHRASE;
END;
```

[2] zapewne mowa o `https://pl.wikipedia.org/wiki/BLU-82` – przyp.tłum.

– ODSTRZEL ZEGAR! – przekazał Karabin wielkimi zielonymi literami.

– Och. Dobra.

Karabin sam się ułożył. Kohn strzelił. Ekran się wyczyścił i powrócił do normalnego. Karabin był teraz samodzielny.

– Status?

– Żadnej aktywności.

Sam mógł to zobaczyć. Paczka zawierająca bombę szarpnęła się, gdy kula przez nią przeszła. Tak jak jedno z ciał.

Kohn poczuł mdłości. Dziesięć minut wcześniej, był zirytowany, że ci ludzie nie byli martwi. Nikt, nawet w sumieniu, nie winiłby go, ale pokręcony kodeks etyki bojowników oburzał się na rzeź ogłuszonych. Wstał, spojrzał na leżące postacie, teraz małe. Ta, którą trafił, miała ranę ramienia. W granicach rozdzielczości, mógł zobaczyć rytmicznie tryskającą krew. . .

Zatem żywy. Ulga zalała jego mózg. Odezwał się mikrofonu na policzku, wzywając pomoc medyczną do rannego wroga. Co z innymi? Ochrona Kampusu chciała wiedzieć.

– Umieść ich w Banku – powiedział Kohn. – Przypisz do naszego konta.

– Warta Jeden? Jaka jest nazwa waszego konta?

Z rozbrojonymi, budzącymi się po znieczuleniu, napastnikami obchodzono się delikatnie. Zmienili status od wrogów do zakładników i wiedzieli o tym. Karetka wyła.

– Och, jasne – powiedział Kohn. – Spółdzielnia Robotników Obrony imienia Feliksa Dzierżyńskiego. Konto Nat-Mid-West 0372 87944

– O, *aha* – wymamrotał głos strażnika. – Koty.

– Hej! – Włączył się inny głos, ignorując dyscyplinę komunikacji. – Mamy jednego z waszych byłych!

– Warta Jeden do niezidentyfikowanego – powiedział Kohn stanowczo. – Wyjaśnij.

– Karetka Czerwonego Półksiężyca do Warty, powtarzam. Pacjent Catherin Duvalier ma w historii zatrudnienia pracę w waszym zespole.

Catherin Duvalier. *Ojej Suss!* Rzeczywiście jedna z naszych byłych.

– Jest wolnym strzelcem – skłamał Kohn. – Gdzie ją zabieracie?

– Szpital Hillingdon. Chcesz ją zwolnić po powrocie do zdrowia?

– Jak cholera. – Kohn się zakrztusił. – Nawet nie wrzucajcie jej do Banku. Tym razem *przytrzymamy* ją.

– Bezpieczny oddział, kapuję. – Sanitariusze trzasnęli tylnymi drzwiami i wskoczyli do karetki, która z rykiem przeleciała wokół drogi perymetru, jak gdyby mieli mózg do ocalenia. Pieprzeni kowboje. Podwykonawcy Muzułmańskiego Stowarzyszenia Opieki Społecznej w Ruislip.[3] Prawdopodobnie wyszkoleni przez weteranów Kairu. Zawsze zakładają ostrzał…

Z tyłu usłyszał głośny, tępy *wybuch* i pieśń pękającego szkła.

– Przeoczyłeś zapasowy zapalnik – warknął do Karabinu, gdy padał na dach. Wtedy, w nagłym bełkocie w słuchawkach, zrozumiał, że to nie była jego bomba.

Jednak atak oszołomów był dywersją.

* * *

Janis Taine leżała w łóżku przez kilka minut po obudzeniu przez notatnik. Jej usta były suche, ciężkie od posmaku idei, które barwiły jej sny. Tuż spoza jej świadomości napłynęła myśl, że miała przed

[3] część Londynu – przyp. tłum.

sobą ważny dzień. Powstrzymała ją i próbował przyciągnąć z powrotem pomysły. Mogły być ważne.

Nie. Znikły.

Przełknęła. Może, pomimo wszystkich zabezpieczeń, śladowe ilości halucynogenów w laboratorium przedostały się do jej krwi, wystarczająco dużo, by dać jej żywe, nieuchwytne, ale widocznie znaczące sny? Bardziej niepokojące, myślała, gdy wysunęła nogi z łóżka, pocierając jedwabną piżamą, i szukała kapci, może narkotyki dały jej coś, co wydawało się doskonale rozsądnymi pojęciami, wysyłając ją w ślepy zaułek tak zawiły, jak same cząsteczki... norma w tym kursie. Cholernie typowe. Wszystko było wszędzie. W tych czasach nie można było zachować rzeczy oddzielonych nawet w umyśle. Gdybyśmy mogli *tylko odłączyć*...

Usłyszała najprzyjemniejszy mechaniczny dźwięk na świecie, warkot młynka do kawy. – Nalej mi jedną – zawołała, gdy szła do łazienki. Odpowiedź Sonyi była niewyraźna, ale brzmiała pozytywnie.

To był ważny dzień, więc wyczyściła zęby. Niezupełnie potrzebnie – została zaszczepiona przeciwko próchnicy w szkole jak wszyscy inni, a niektórzy chodzili z brudnymi, ale doskonałymi zębami – ale nieco wysiłku nie zaszkodziło. Spojrzała na siebie krytycznie, gdy wcierała kilka warstw kremu z filtrem w twarz i ręce. Sprężyste kasztanowe włosy, zielone oczy (tutaj natura była lekko zachęcona), skóra prawie idealnie blada. Janis musnęła odrobiną bladości nad lekkimi rumieńcami policzków i zdecydowała, że wygląda świetnie.

Sonya, jej współlokatorka, poruszała się po kuchni jak lalka z wyczerpanym zasilaniem, wrażenie uwydatnione przez jej blond loki i krótką niebieską koszulę nocną.

– Chcesz pigułkę?

Janis wzdrygnęła.

– Nie, dzięki.

– One są superanckie. Budzom Cię po prostu jak psztryk. – Robiła jajecznicę na toście dla trzech.

– Niech Cię Gaja błogosławi – powiedziała Janis, popijając kawę. – Ile godzin *spałaś*?

Sonya spojrzała na zegar na kuchence i zapadła w pięciosekundowy trans umysłowej arytmetyki.

– Dwie godziny. Byłam na jednej z uniwersyteckich dyskotek. To był fenomen... zajebiście wspaniałe. Wyszłam z tym gościem.

– Trochę się zastanawiałam nad trzecią porcją – powiedziała Janis i natychmiast pożałowała, ponieważ nastąpiło kolejne lodowcowe obliczanie, podczas gdy tost się przypalał. Gość, o którym była mowa, pojawił się niedługo potem: wysoki, czarny i przystojny. Wydawał się rozbudzony bez korzystania z tabletki, dyskretnie pomagającej Sonyi. Na imię miał Jerome i był z Ghany.

Po śniadaniu Janis wróciła do swojej sypialni i zaczęła wyrzucać ubrania z szafy na łóżko. Wybrała plisowaną białą bluzkę, potem wahała się nad długą spódnicą w jednej dłoni i parą szarych spodni do połowy łydki w drugiej.

– Sonya – zawołała, przerywając im mruczaną rozmowę – korzystasz dzisiaj z samochodu?

Sonya korzystała. Na rower, Janis. Zatem, spodnie. Obejrzała strój. Ubierz się imponująco i takie tam, ale to ciągle nie było dostatecznie *eleganckie*. Westchnęła.

– Przepraszam, że Ci przeszkadzam, Sonyu – powiedziała ze znużeniem. – Czy możesz mi pomóc z gorsetem?

– Już możesz oddychać – powiedziała Sonya. Zawiązała sznurek. – Znokautujesz ich.

– O ile sama się nie zgasnę... Hej, co się dzieje?

Dłoń Sonya zasłoniła usta, potem odsłoniła.

– Och, Janis, zabijesz mnie. Kompletnie zapomniałam. Masz dzisiaj spotkanie z jakimś komitetem, prawda?

– Tak.

– Właśnie sobie przypomniałam. Ostatnie nocy, na dyskotece. Była jakaś walka.

– Na dyskotece?

– Nie, mam na myśli, był *atak*. Na laboratorium gdzieś. Słyszeliśmy strzały, eksplozję...

– Och, *gówno*! – Janis zapięła pasek złośliwie, włożyła buty. – Wiesz które... ?

Sonya potrząsnęła głową.

– Później podsłuchałam jakiegoś gościa. Siedział sam przy stole, pijąc i gadając, o cholernych oszołomach, chyba.

– Och. – Janis trochę się uspokoiła. Uśmiechnęła się zagadkowo. – Ten facet gadał sam do siebie?

– Och, nie! – Sonya brzmiała zgaszona sugestią, że podsłuchiwałaby wariata. – On mówił do swojego *karabinu*.

Duszny gorąc nocy ustąpił chłodnemu, czystemu jesiennemu porankowi. Janis pedałowała ulicami Uxbridge powoli, aby się nie spocić. Samolot AWACS wznosił się z Northolt, przechylił się i skierował na zachód ku Walii. High Street wyglądała na nietkniętą przez kłopoty, przyjemna zażyłość supermarketów, winiarni, barów z narkotykami i sklepów viveo, ogromne fronty biurowców za nimi. Dookoła ronda i wzdłuż głównej drogi koło koszarów RAF (UWAGA: MINY), potem w prawo w Kingston Lane. Zwykły wczesnoporanny ruch – tuzin autobusów, wszystkie różnych firm, busy z mlekiem,

cysterny z wodą, transportery opancerzone z flagą hanowerską powiewającą z anteny…

Przez bramki bezpieczeństwa, skanowana i przeszukana czujnikami. Znak ponad bramą obwieszczał:

UNIWERSYTET I PARK NAUKI BRUNELA S.A.
UWAGA
STREFA WOLNOŚCI SŁOWA

Jechała wzdłuż ścieżek, omijając ślimaki pędzące samobójczo do bardziej zielonej trawy. Na jednym z trawników poruszała się plądrująca grupa studentów wolno, zgarbiona, szukając magicznych grzybów. Niektóre z nich byłyby dla niej. Janis uśmiechnęła się do siebie, czując się jak hrabianka obserwująca swoich chłopów. Niektórzy studenci tak wyglądali, w ich szerokich spódnicach lub workowatych spodniach, spiczastych czepkach lub kapeluszach z szerokimi rondami, cierpliwie wypełniający koszyki.

W ścianie parteru bloku biologii ziała trzymetrowa dziura jak rana wyjściowa.

Janis zeszła z roweru, podprowadziła go automatycznie do postoju. Częściowo tego oczekiwała, teraz zrozumiała. Jej dłonie uniosły koronkowy welon i odrzuciły go na tył korony kapelusza. Po schodach: dwa biegi, czterdzieści kroków. Płytki na korytarzu piszczały.

Drzwi zostały brutalnie otwarte, zamek zwisał z drzazg. Pas czarno żółtej taśmy ostrzegał przed wejściem. Cofnęła się wstrząśnięta. Ostatnim razem, gdy widziała drzwi jak te, otwierały się na rozbite komputery, puste klatki, napisy namazane gównem kierowane nienawiścią.

Za nią ktoś zakasłał. Nie było to uprzejme chrząknięcie, bardziej niekontrolowany spazm. Podskoczyła, potem odwróciła się wolno, gdy rozum dogonił odruch. Mężczyzna stał pochylony, próbując

wyglądać na czujnego, ale w oczywisty sposób zmęczony. Wysoki. Szczupła sylwetka. Ciemne oczy. Skóra, która mogła nabyć tego koloru od genów lub lampy słonecznej. Ubrany był w ciemnoszary kombinezon w kamuflażu miejskim, rozpięty przy szyi, hełm wbity na długie kręcone czarne włosy, jakiś rodzaj okularów do noktowizji nasunięty z przodu, paski zwisające, słuchawki i mikrofon wiszące z boków. Wyglądał na trzydziestkę, *trochę* starszy niż ona, ale równie dobrze mogło to być światło. Długa, skomplikowana broń zwisała w jego prawej ręce.

– Kim jesteś? – spytał. – I co tutaj robisz?

– To właśnie chciałam się dowiedzieć od *Ciebie*. Nazywam się Janis Taine i to jest moje laboratorium. Do którego zdaje się, że włamano zeszłej nocy. Zatem…

Podniósł palec do ust, skinął na nią, żeby się wycofała. Zrobiła dziesięć kroków w korytarzu, zanim zrobił krok i przeskanował drzwi Karabinem. Jego usta się poruszyły. Oparł się plecami o ścianę koło drzwi i szturchnął je lufą Karabinu. Cienki, przegubowy pręt wystrzelił z broni i rozwinął się w laboratorium. Po chwili wrócił i mężczyzna ruszył do przodu, odwracając się. Zerwał taśmę z drzwi i po kilku próbach strząsnął ją z ręki. Spojrzał na nią i zniknął w pokoju.

– Jest ok. – Usłyszała jego wołanie, potem kolejny napad kaszlu.

Laboratorium było takie, jak je zostawiła. Wysoki blok klatek, komputer podłączony do analizatora, ławka, wyciąg laboratoryjny, szkło, wysoka lodówko-zamrażarka… która była otwarta. Mężczyzna stał przed nią, patrząc na kolbę Karabinu, zaintrygowany. Kaszlnął, zasłaniając wolną ręką usta.

– Powietrze pełne lotnych substancji psychoaktywnych – powiedział.

Janis prawie odepchnęła go na bok. Probówki ustawione w lo-

dówce były ładnie ustawione, etykiety obrócone do przodu jak gdyby pozowały do fotografii. Którymi równie dobrze zostały. Nie ma szans, że zostawiła je w taki sposób. Każda, była tego pewna, była o kilka mililitrów niższa.

– Och, *gówno*!

Wszystko jest wszędzie…

– W czym jest problem? Stężenie nie jest niebezpieczne, prawda?

– Rozejrzyjmy się. Gdzie to dostałeś? Nie, nie powinni byli, to tylko, dobra, równie dobrze to mogłoby spieprzyć moje eksperymenty. Kontrolne teraz nic nie będą warte.

Nagle spostrzegła, że jest policzek przy policzku koło niego, zaglądając w ekranik, jak gdyby byli kolegami. Odsunęła się i otworzyła okno, włączyła wyciąg laboratoryjny. Aktywność wyparcia. Bezużyteczna.

– W ogóle, kim jesteś?

– Och. Przepraszam. – Przerzucił Karabin do lewej dłoni, wyprostował się i wyciągnął prawą.

– Jestem Moh Kohn. Jestem najemnikiem ochrony.

– Trochę późno na miejscu zdarzenia.

Zmarszczył brwi, gdy potrząsali dłońmi.

– Małe nieporozumienie. Byłem wczoraj na innej pozycji. Po prostu wpadłem. Kto był odpowiedzialny za strzeżenie tego bloku?

Janis wzruszyła ramionami w fartuchu i usiadła na ławce.

– Office Security Systems, gdy ostatnim razem zauważyłam.

– Dziewczyny Kelly – zadrwił Kohn. Wyciągnął krzesło i osunął się na nie, patrząc na nią rozbrajająco.

– Masz coś przeciwko, że zapalę?

– Nie mam. – Nie miała. Nic ją już nie obchodziło. – I dzięki, nie palę.

Wyciągnął paczkę Moskiewskich Złotych Benson i Hedges i zapalił.

– To jest dla Ciebie prawie tak złe jak tytoń. – Janis nie mogła się powstrzymać.

– Jasne. Długość życia w moim zawodzie to fifty-fifty i spada, więc kogo to obchodzi?

– Twoim zawodzie? Och, obrona. Więc dlaczego to robisz?

– Życie. – Kohn wzruszył ramionami.

Położył kartę na ławce koło niej.

– To my. Ośrodki badawcze, uniwersytety, specjalność szlachetne sprawy.

Janis podejrzliwie obejrzała hologramową wizytówkę.

– Jesteście komuchami?

Kohn zaciągnął się głęboko, wstrzymał oddech na sekundy, zanim odpowiedział.

– Bystra jesteś, że zauważyłaś. Niektórzy z nas są, ale głównym powodem, dla której wybraliśmy tę nazwę, było, żebyśmy brzmieli naprawdę poważnie, ale, wiesz, słusznie. Później, kiedy mogliśmy sobie pozwolić na badanie rynku, okazało się, że większość ludzi myślała, że Feliks Dzierżyński był w The Bolshoi[4], nie w bolszewikach.

Janis rozłożyła ręce.

– Nic mi to nie mówi – powiedziała. – Chodziło mi o fragment „Robotnicy Obrony”. Nie jestem tym... zainteresowana. Z mojego doświadczenia polityka to goście z bronią zdzierający opłaty na blokadach drogowych.

---

[4] Teatr Bolszoj, w tym Balet Bolszoj i Opera Bolszoj, należy do najstarszych i największych zespołów baletowych i operowych,zob. `https://pl.wikipedia.org/wiki/Teatr_Bolszoj` – przyp.tłum.

– Aha – powiedział Kohn. Wyglądało na to, że THC zaczynało go brać. – Liberałka. Może nawet liber*tarianka*. Pamiętasz szkołę?

– Co?

Rzucił jej niepokojąco rzeczowe spojrzenie.

– Dla Ciebie to może pierwsze kilka lat podstawówki. – Podniósł prawą dłoń. – „Ślubuję wierność fladze Zjednoczonej Republice, i Stanom, którą ona reprezentuje, trzy narody, samodzielne. . . ”

– Jezu Chryste! Możesz się *zamknąć!*

W istocie Janis odkryła, że się przygląda nad ramieniem. Minęły *lata*. . .

– Myślałem, że to jest eswues[5] – powiedział łagodnie Kohn.

– Zdrada to trochę za dużo!

– Ok. Więc nie zapytam, czy kiedykolwiek, *kiedykolwiek* świadomie i publicznie to odrzuciłaś. Ja nie.

– Ty nie. . . ?

Janis spojrzała z boku, odwróciła wzrok.

– ANR? Dobra bogini, nie. Oni są *terrorystami*, pani doktor. My jesteśmy legalną spółdzielnią i, hm, żeby być uczciwym, zachęcam do interesów. Teraz, co tutaj się właściwie działo?

Powiedziała mu, krótko, gdy robiła obchód. Przynajmniej myszy były zdrowe. Oprócz drogocennej wolnej od narkotyków grupy kontrolnej właśnie będącej wyjaranej z ich małych czaszek.

– Bardzo dziwne. Myślałem, że to dziwaki, kiedy to się zdarzyło, wiesz, wyzwoliciele zwierząt. Wcale na to nie wygląda – zauważył.

– Ty to powiedziałaś.

– Zauważ, inaczej sobie wyobrażałem laboratorium badań nad zwierzętami.

---

[5] SWS – Strefa Wolności Słowa – przyp.tłum.

Janis przestała na chwilę karmienie mysz płatkami kukurydzianymi.

– Czego się spodziewałeś? Małp z elektrodami w głowach? Wiesz ile *kosztują* małpy?

– Marmozeta trzydzieści kilo – powiedział cichy, metaliczny głos. – Makak pięćdziesiąt kilo, szympans dwieście...

– Och karabin, zamknij się. – Twarz Kohna poczerwieniała. – Nawet nie wiedziałem, że ta przeklęta rzecz ma głośnik. Musiałem myśleć, że to mikrofon.

– Łatwy błąd. – Walczyła, żeby się roześmiać.

Kohn szybko się zebrał:

– Co właściwie tutaj robisz, jeżeli to nie jest dziwne pytanie?

– To nie tajemnica. Praktycznie podajemy myszom różne leki, żeby zobaczyć, czy działają mądrzej.

– Mądrzej? – spytał. – *Myszy?*

– Szybsza nauka. Dłuższy okres uwagi. Większa zdolność zapamiętywania.

Kohn spojrzał na moment w bok, spojrzał z powrotem.

– Mówiłaś o lekach na pamięć. – Jego głos był płaski.

– Oczywiście.

– Jakieś sukcesy?

– Cóż, – odpowiedziała – *była* jedna partia, która była obiecująca, ale zbudowały mały samolot z papieru i uciekły przez okno... E tam, mieliśmy tylko ujarane gryzonie. Nawet dłużej przebiegały labirynt. Wynik, który niektórzy z nas, mogliby wziąć do serca. Jednak... jesteśmy jak Edison. Plądrujemy naturę. A w przeciwieństwie do niego, mamy komputery, żeby podały nam wariacje, z którymi natura nie wymyśliła.

– Kto za to płaci?

– A *to* jest tajemnicą. Nie wiem. Jednak zespół reprezentacyjny

dla filii agencji, kimkolwiek są, będzie tutaj za... och boże, godzinę, więc czy mógłbyś?

Kohn znów wyglądał na zażenowanego.

– Przepraszam, pani doktor. Już schodzę Pani z drogi, i tak jestem spóźniony. Muszę, hm, odwiedzić kogoś w szpitalu i potem wypuścić niektórych więźniów.

– Oczywiście. – Uśmiechnęła się do niego wyrozumiale, lekceważąco. – Do widzenia. Och i spytam naszą administrację, żeby spojrzeli na wasze stawki.

– Dziękuję – powiedział. – Odkryjecie, że jesteśmy bardzo konkurencyjni. – Wstał i poklepał swój Karabin. – Chodźmy.

Kiedy wyszedł, miała dokuczliwe poczucie, że więcej niż jedna osoba wyszła.

* * *

Ręka wiła się, gestykulowała samodzielnie, jak gdyby towarzyszyła kompletnie innej rozmowie. Plastik osłaniał przedramię. Kroplówka i przewód mioelektryczny pętlił się z tego.

Kohn siedział na krześle, bawiąc się rozerwanym rękawem dżinsowej kurtki Catherin Duvalier. Została wyprana i wyprasowana, ale nie naprawiona, zostawiając obraz, co jego strzał zrobił z ciałem i kością wewnątrz. Ciche miękkie kroki pielęgniarek, stały krok straży grały mu na nerwach. Znów i znów, na strzeżonym oddziale, niepewny. Jasne niebieskie oczy Catherin, na jasnoczarnej twarzy otoczonej przez sprężyste jasne włosy spalone słońcem, oskarżały.

Defensywnie Kohn zaatakował pierwszy.

– Muszę zapytać – zapytał ciężko – o czym myślałaś, że robisz w tej oddziale szturmowym?

Uśmiechnęła się z daleka.

– Co robiłeś, broniąc tego miejsca?

– Wykonywałem swoją pracę. Tylko dawałem rozkazy. Wiesz, gdzie to jest u Kota.

Skrzywiła się. Przezwisko było jej własne, ale wszyscy je współdzielili, jako kolektyw nazwany po – jak niektórzy ludzie, jak powiedział naukowczyni, myśleli – tancerzu baletowym, inni myśleli, że to kot z animacji, a tylko niewielu rozpoznawało go jako założyciela kiedyś bardzo skutecznej agencji bezpieczeństwa. Byli drobną firmą i – w jej ideach, dzikości, prędkości – obiecała, że staną się jednymi z najlepszych. Broniąc biur związkowych i opozycyjnych demonstracji przed nikczemnymi mięśniakami reżimu hanowerskiego, ona była kimś, kogo Kohn z radością miał za sobą. Sukces przyniósł więcej kontraktów, wiele przedsiębiorstw potrzebowało ochrony, której siły bezpieczeństwa, zajęte własną ochroną, nie mogły zapewnić. Jednak jednej nocy kilka lat temu, była z oddziałem, który załatwił drużynę saperską Zielonej Brygady w imieniu jakiejś multikorporacji. Kiedy Zielona Brygada uznała, że pracownicy firmy są uczciwym celem i miała tuzin zabójstw pracowników po swojej stronie, Kohn nie zastanawiał się ani chwili nad umową.

Catherin odrzuciła ten krwawy zarobek i odeszła.

Ona i Kohn byli wcześniej kochankami. Klasyczny przypadek: ich oczy spotkały się w trakcie walki w tłumie. To było jak zaiskrzenie na dyskotece. Oboje tylko *bawili się*. Jakiś szok rozpoznania na przedświadomym, prawie przedludzkim, poziomie. Kiedyś zażartował, że przodkowie australopiteki pojawili się w dwóch typach, krzepkim i delikatnym:

– Mam geny *krzepkości* – powiedział. – Ale Ty zdecydowanie jest *delikatna*.

Tylko romantyczna próżność: te smukłe kończyny, mocne mięśnie pod skórę, która ciągle zachwycała go od samego spoglądania,

ta twarz pięknie trójkątna, szerokie oczy i małe jasne zęby – były zbudowane z genów rekombinowanych niedawną historią, przekraczania w tę i z powrotem Atlantyku we wszystkim od statków niewolniczych do międzynarodowych brygad... całkowicie nowoczesna dziewczyna.

Droga *delikatna*. Tęsknił za jej osłoną i tęsknił za nią wszędzie indziej. Plotka mówiła, że pracowała dla innych spółdzielni, bardziej purystycznych, które przyjmowały tylko poprawne politycznie kontrakty. Kohn życzył jej szczęścia i miał nadzieję, że ją znów zobaczy. Nigdy nie sądził, że odkryje ją na celowniku.

Jej dłoń, poruszona przez mięśnie, które niestrudzenie spoiły strzaskane kości promieniową i łokciową, skinęła i odrzuciła.

– Nie rozumiesz. – powiedziała. – Ciągle jestem po tej samej stronie. – Rozejrzała się. – Możemy rozmawiać?

– Jasne. – Kohn pomachał w powietrzu. – Straże są ekranowane od tego wszystkiego.

Nie wierzył w to ani chwilę.

Catherin spojrzała z ulgą. Zaczęła mówić, cicho i szybko.

– Wiesz, że to będzie gorąca jesień. ANR planuje kolejną ze swoich ostatecznych ofensyw. Uwierzę, kiedy to zobaczę, ale Korona jest z pewnością pod naciskiem, zieloni, nacjonaliści, muzułmanie i czarni syjoniści tak jak ruchy robotnicze. Teraz zwalcza ich wszystkich, a głupsze z Wolnych Państw walczą między sobą. Zatem... wiesz, Partia?

– Prawdziwa Partia? – Głupie pytanie.

– Nie, Partia *Pracy*. Odbyła się konferencja, gdzieś w..., cóż, nad wodą. Zjednoczyła wszystkie fakcje Partii i niektóre ruchy. Zdecydowano o wspólnych działaniach wszystkich sił obecnie walczą-

cych z rządem, wszystkich tych, którzy chcieli anulować Traktat o Restytucji.

– Wiem o Sojuszu Lewicy. Nie wiedziałem, że oszołomy byli jego częścią.

Spojrzała na niego z wyższością.

– Nadal nie wiesz, co oni tam planują w laboratoriach AI, prawda? Ich pomysł na wspaniałą przyszłość to kosmos rojący się od komputerów, które nas pamiętają. To jest to, o czym te nerdy myślą, że chodzi w *życiu*. W międzyczasie państwo używa ich, tak jak naziści używali maniaków rakiet. Swędzą ich ręce, żeby dostać jakiś inteligentny system, który będzie miał nas wszystkich na oku. A to wszystko jest powiązane z innymi grupami, gośćmi od ON.

– ON?

– Obliczenia naturalne. Niektóre z wielkich korporacji i armii próbują poradzić sobie ze wzmocnieniem ludzkiej inteligencji, podłączeniem bezpośrednio do układów scalonych po stronie maszyn. Złowieszcze sprawy takie jak ta.

– „Złowieszcze sprawy"? Nie wierzę, że *słucham* tego gówna. Chryste, kobieto! Byłem właśnie w jednym z tych laboratoriów szalonego, złego naukowca i ciągle testują to na myszach! Oszołomy chcą zniszczyć internet i pewnego dnia może im się to udać. Nie ma możliwości, żeby Lewica robiła interesy z tymi gówniarzami. To szaleństwo.

– Nie mają szans wyłączenia całości, wiesz o tym – powiedziała Cat. – Ale są cholernie dobrzy na szarpaniu, są odważni i mają środki, a potrzebujemy tych umiejętności, żeby uderzyć w Państwo.

Kohn zerwał się na nogi.

– Ta, racja, a oni potrzebują was, żebyście im dali komputery. Kto używa kogo w tej kampanii? Zieloni też na boku, co? Mają

towarzyszy pomagających im wyłączyć niektóre diabelskie technologie? Znają sposoby dostania się do fabryk... tak, zajebiście fajnie.

– Wszyscy walczyliśmy obok ludzi, z którymi nie do końca się zgadzaliśmy. – Uśmiechnęła się, prawie czule, prawie konspiracyjnie. – Pamiętasz, „Jest tylko jedna partia, Partia Boga”?

Kohn zmagał się przez chwilę z polityką tego szczególnego przeszłego konfliktu i uznał, że wszystko to było zbyt proste lub zbyt skomplikowane.

– Muzułmanie są cywilizowani – powiedział. – Gang, z którym byłaś, jest wrogiem ludzkości.

Catherin wzruszyła, jednym ramieniem.

– W tym momencie są wrogami naszych wrogów i tylko to się liczy. Tylko to się zawsze liczyło.

Były czasy, gdy Kohn nienawidził Lewicy, kiedy jakaś potworna głupota prawie, ale nie do końca, przeważała nad złośliwością i przekupstwem systemu, któremu się sprzeciwiali. Sojusz z barbarzyńcami przeciwko patrycjuszom i pretorianom... proletariusze, pomyślcie jeszcze raz!

– Co ANR myśli o tej genialnej taktyce?

Na twarzy Catherin pokazała się pogarda.

– Są macho, sekciarscy i elitarystyczni jak zwykle. Każdy, kto chce walczyć z państwem hanowerskim, powinien działać przez odpowiednie kanały, ich kanały!

To była ulga. Armia Nowej Republiki miała niemal mityczną pozycję na Lewicy. Powołując się na prawowitość ostatniego nadzwyczajnego posiedzenia Zgromadzenia Federalnego (odbytego w opuszczonej fabryce w Dagenham, podczas gdy teleżołnierze się zbliżali), Armia walczyła z Hanowerczykami i, jak się czasem zdawało, wszystkimi innymi.

– Oni są historią – powiedziała Catherin. – A jeżeli Twoja grupka

najemników nie może się zebrać, żeby bronić słusznych celów, to wy też.

Kohn poczuł się staro. Była tylko dzieciakiem, o to chodziło. Zbyt młoda, żeby pamiętać Zjednoczoną Republikę, nienawidząc reżim hanowerski tak bardzo, że każdy sojusz przeciwko wydawał się tylko zdrowym rozsądkiem... Musiało być więcej, musiałeś się trzymać jakiegoś kierunku, nawet jeżeli to była nić. Dorastając w slumsach Greenbelt, Moh nauczył się tego od swojego ojca. Piąte pokolenie Czwartej Międzynarodówki[6], podtrzymując nić, cienką linię słów, która wiązała przeszłość z przyszłością. *Partia jest pamięcią klasy*, mawiał zwykle, w międzyczasie robotnicy świata robili wszystko i nic, prócz zjednoczenia. Teraz on, niech Gaja chroni jego duszę, myślał o niestabilnym, zgniłym kompromisie Republiki, ale to nie powstrzymało go od walki, żeby ją zachować, gdy weszły USA/ONZ... witane, oczywiście, przez wiwatujące tłumy.

Kohn nie miał iluzji. Większość opozycji przywitałaby rozszerzenie sojuszu, nawet jeżeli traktowaliby go jako tylko taktyczny i techniczny, wspólna akcja tutaj, ogień osłaniający tam. Cena byłaby taka, że lista słusznych celów stałaby się znacznie dłuższa. Jego spółdzielnia utrzymywała się z obrony tego, co wciąż uważał za nasiona postępu, organizacje pracownicze i naukowców, i, jeżeli to konieczne, kapitalistów, przeciwko wrogom tego nowoczesnego przemysłu, na którym polegały ich sprzeczne nadzieje. Zniknęłaby delikatna równowaga, ekologiczna nisza dla Kotów. Po raz pierwszy zrozumiał, co jego ojciec miał na myśli przez *zdradę*.

Jego gniew skupił się na rannej kobiecie.

---

[6] rzeczywiście istniała, założona we wrześniu 1938 roku przez partie komunistyczne krytykujące sytuację w ZSRR, za to sympatyzujące z trockizmem. Organizacja ta określiła jako swój cel walkę zarówno z kapitalizmem, jak i ze stalinizmem i faszyzmem. por. `https://en.wikipedia.org/wiki/Fourth_International` – przyp.tłum.

– Jesteś wolna – powiedział jej. – Nie żądam okupu. Nie będę wymieniał zakładników. Ani stawiał zarzutów w żadnej walucie. Zdejmę Cię z naszego konta.

Zapadła się w poduszki.

– Nie możesz mi tego *zrobić*!

– Patrz na mnie.

Wyszedł dumnie, zostawiając ją samą. Bezrobotną i niezatrudnialną. Jedynie spaloną, zużytą zdrajczynią, tylko podwójni i potrójni agenci po kilka razy byli zwalniani bezwarunkowo.

Wtedy myślał, że to sprawiedliwe.

Rozdział 2

Dowody dla samolotów

Jutro, myślał Jordan, jutro zacznie żyć racjonalnie. Jutro zdecydowałby, wyszedł i zostawił ich, niech płaczą lub przeklinają. Pojechał do North London Town[1]. *Norlonto jest wolne*, mówiła plotka. *Możesz dostać wszystko za pieniądze. Siła tam nie ma sensu.*

Myślał o tym samym przez sto ostatnich dni.

Jordan Brown miał siedemnaście lat i roznosiło go od hormonów i nienawiści. Żył w North London, ale nie Norlonto, nie w North London Town. Obszar, gdzie mieszkał, kiedyś był nazywany Islington, a jego fragmenty nachodziły na inne byłe gminy. Graniczył z Norlonto w silnym kontraście pomiędzy wolnością a niewolą, wojną a pokojem, niewiedzą a siłą. Które było które zależało, po której stronie byłeś. Oni nazwali ten obszar Miasto Oblubienicy[2]. Tutaj rządził Bóg. Prócz…

---

[1] obecnie nieformalna nazwa części Londynu, która leży na północ od Tamizy, więcej `https://en.wikipedia.org/wiki/North_London` – przyp.tłum.

[2] w oryg. dosł. Beulah City, gdzie Beulah to żeńskie imię, wywodzące się z Księgi Izajasza 62,4 (wg Biblii Warszawsko-Praskiej „Nie będą cię już nazywać Porzuconą, a o twojej ziemi nie powiedzą, że jest opuszczona. Ciebie nazywać będą teraz Moje umiłowanie, a całą twoją ziemię *Oblubienicą*. Pan bowiem znalazł w tobie upodobanie i poślubiona zostanie cała twoja kraina.” – podkreślenie tłum.), ale także mistyczne miejsce pomiędzy Ziemią a Niebem por. `https://en.wikipedia.org/wiki/Beulah_(given_name)` – przyp.tłum.

Pana jest ziemia i wszystko co na niej[3]*,*
cały okręg ziemi i wszyscy jego mieszkańcy.
Prócz doków przy West Highland
bo te należą do MacBraynes.

Jego babka powiedziała mu ten lekko bluźnierczy wariant psalmu, kiedy był małym dzieckiem, sprawdzając granice przyzwoitości. Nawet jego ojciec się roześmiał krótko. Piosenka wyrażała prawdę o ich czasach, prawdę o Kablu. Starsi zrobili, co mogli, żeby ocenzurować i wykluczyć nieczyste i wątpliwe w słowie drukowanym, ale nic nie mogli zrobić w sprawie Kabla, sieci światłowodowej, którą bezbożna Republika podłączyła do każdego rogu każdego budynku na ówczesnej ziemi, podłączając je do świata. Autonomia wszystkich Wolnych Państw, *społeczności pod przewodnictwem Króla*, zależała od wolnego dostępu do niego. Mógłbyś żyć bez tego tak samo łatwo, jak mógłbyś żyć bez powietrza i wody, i już nikt nie próbował.

Jordan stał chwilę na schodach jego rodzinnego trzypiętrowego domu na szczycie Crouch Hill. Na lewo mógł zobaczyć Alexandra Palace, zewnętrzną granicę innego świata. Wiedział dobrze, żeby lepiej nie poświęcać więcej niż spojrzenie. *Norlonto jest wolne. . .*

Powietrze było tak zimne jak woda. Zbiegł po schodach i skręcił w prawo, w dół po drugiej stronie wzgórza. Za nim hologramy nad Pałacem zanikały we wczesnym słońcu. W jego głowie płonęły.

* * *

Dolne piętra starego magazynu koło Finsbury Park były gniazdem myszoskoczków dla światłowodów. Jordan spojrzał w przelocie na ich poplątane, pulsujące lśnienie pomiędzy zbiegami stalowych schodów, na które wbiegał każdego ranka. Większość termi-

---

[3] cytat z Psalmu 24 – przyp.tłum.

nali Miasta Oblubienicy miała filtry informacji wbudowane misternie w hardware, by zapewnić, że przedstawiają prawdziwą i słuszną wizję świata, wolną od uprzedzeń i zniekształceń narzuconych przez niezliczone diabelskie wpływy. Ponieważ te diabły nie mogły być zupełnie zignorowane, mała część terminali została zabrana z prywatnych domów i przedsiębiorstw, ich przewody ostrożnie poprowadzone z powrotem przez świeżo otwarte wykopy i kanały i zainstalowane w tuzinie centrów, gdzie ich użycie mogło być monitorowane. Ten akurat posiadał około setki na górnych piętrach, podniebny labirynt papierowych przegród.

Jordan pchnął obrotowe drzwi. Miejsce w tej chwili było ciche jak w kościele. Większość pracowników przyjedzie za pół godziny: rysownicy, pisarze, artyści, projektanci, nauczyciele, programiści, kierownicy, teolodzy. Jordan napełnił porcelanowy kubek kawą z ekspresu – salwadorska, ale nie mógłby zrobić niczego bez niej – i ostrożnie podszedł do swojego biurka.

Nocny kupiec, Maclaren, wstał, wylogował się i odwrócił krzesło do Jordana. Dwudziestolatek, już zwalniał.

– Pekin wyłączony,– powiedział. – Władywostok i Moskwa w górę o kilka punktów, Warszawa i Frankfurt dość niepewne. Uważaj na farmaceutyczne.

– Dzięki. – Jordan wsunął się w krzesło, odstawił kawę i pomachał, gdy się logował.

– Niech Bóg Cię prowadzi, – wymamrotał Maclaren. Wziął swoją parkę i wyszedł. Jordan przełączył ekrany na wykresy światowych giełd akcji. Ekrany były kolejną obrazą: oni nie ufali ci, żebyś używał sprzętu, którego nie mogli zobaczyć nad ramieniem. Podmuchał na kawę i wgryzł się w bułkę z bekonem, którą kupił po drodze, patrząc na delikatnie narastające morze falujących linii. Gdy

w jego umyśle uformował się obraz, dodał ceny rodzimych produktów Miasta Oblubienicy, tańcząc jak po nutach.

Nie była to spekulacja akcjami, choć on i Maclaren czasem żartowali, że tak było. Miasto Oblubienicy importowało tkaniny, informacje i chemikalia, sprzedawało ubrania, software i specjalistyczne leki. Jordan i MacLaren, oraz Debbie Jones na wieczornej zmianie, zajmowali się sprzedażą i zakupem dla dobrego ułamka ich firm, misji i kościołów. Prawdziwy obrót akcjami był przywilejem Diakonów i JÓZEFA, ich etycznego eksperckiego systemu inwestycyjnego, ale drobne operacje Jordana mogły swobodnie ryzykować swoje własne opłaty na rynku. Obecnie największym sukcesem komercyjnym Miasta Oblubienicy była Skromność, dom mody, który prowadził lokalny handel szmat i również sprzedawał program produkcji ubrań dla maszyn szyjących typu CAD/CAM. Cieszyli się z niespodziewanego ożywienia w krajach postislamskich, gdy zmniejszanie się ozonu utrzymywało optymistycznie sprzedaż zasłon w Europie, choć tutaj konkurował krem z filtrem. Krem z filtrem nie był do końca zdrowy, a zresztą bezbożnicy i tak mieli go wszyty.

MacLarem miał dobrą noc w Armenii. Jordan zwrócił się na zachód i wywołał w Nowym Jorku Xian Educational Software.

– Co oferujesz? – spytał XES.

Jordan przejrzał listę produktów przesuwającą się po lewej stronie jego ekranu.

– Zestaw astronomii kreacjonistycznej, zawiera ostatnie dane z sond, ostatnie kosmogonie odrzucone. Odpowiedni dla szkół średnich, uproszczenia dla szkół niższych odpadają. Kopia jeden dwadzieścia.

– Akceptacja ŚFF?

Jordan rozwinął specyfikację. Logo Światowej Federacji Fun-

damentalistów, stylizowany Adam i Ewa, pojawiło się w górnym prawym rogu. To oznaczało, że zestaw mógł być sprzedany Żydom i Muzułmanom tak jak i chrześcijańskim dogmatykom: wszystkim ludziom księgi, rozdziału, wersu, słowa, litery, joty, tytułu.

– Potwierdzam.

– Weźmiemy pięćdziesiąt tysięcy, opcja na wyłączność.

Jordan uderzył klawisz odtwarzania:

– Bóg zapłać!!

– Miłej wieczności.

Idźcie do diabła. Wklepał kod. Software do produkcji dokładnie 5 razy 10 do czwartej kopii *Stanu Stacjonarnego*[4] *Spectra mówi Nie!* stał się mikrofalowym impulsem. A wtedy *stało się* światło, pomyślał Jordan. Och, tak. *Stworzył też gwiazdy*. Męczyli i rozciągali to zdanie, torturowali z niego całą kosmologię, całą filozofię nauki, póki nie wyznała wszystkiego, przyznała wszystko: to była podłożona praca, niebo jest oszustwem, operacją tylko pozorną, gwiazdy oszukiwały o swoim wieku. Kosmos jako refleksja, chwała iluzorycznego powidoku. . . *tutaj* kryło się bluźnierstwo, to herezja, kłamstwo we właściwych rękach, splunięcie w twarz Stworzenia. Przechylił czapkę baseballową i spojrzał na niebo spoza pochylonego dachu. Smuga prowadziła czyste białe linie przez spustoszone chmury. Jordan uśmiechnął się do siebie. *Pod tym znakiem zwyciężaj.* Niektórzy wierzyli w UFO. On wierzył w samoloty.

Kupił udziały w Da Nang Phytochemicals, sprzedał je przed południem po 11 za centa tuż, zanim plotka o aktywności Vietcongu w Delcie posłała akcje mocno w dół. Przesunął małą sumę na konto holdingu i przeglądał kupców mody w Manili, kiedy grafika stopiła

[4] zob. `https://pl.wikipedia.org/wiki/Teoria_stanu_stacjonarnego_(kosmologia)` – przyp.tłum.

się i zmieniła się w twarz. Twarz uprzejmego, skalistego mężczyzny w średnim wieku, uśmiechającego się jak ulubiony wujek. Usta poruszały się bezgłośnie, napisy przesuwały się wzdłuż dolnej linii. Konspiracyjny szept małych liter:

cześć jordan tu twój regionalny koordynator zasobów

O Boże! Czarny Strateg!

jestem tutaj prawowitą władzą ale nie spodziewam się by to dużo znaczyło dla ciebie jednak mam dla ciebie propozycję którą możesz uznać za interesującą

Jordan zwalczył odruch spojrzenia do tyłu, odruch uderzenia przycisku bezpieczeństwa i zejścia z haka.

nie martw się nasz niewykrywalny wirus przetrwał dwadzieścia lat elektronicznych działań przeciwko powstaniu wszystko co musisz zrobić to wykonać ten zakup z guangzhou textiles i sprzedać to temu kontu teraz w górnym lewym rogu po koszcie jeżeli wprowadzisz kod teraz w górnym prawym rogu do bankomatu na końcu ulicy o 12:05 plus minus dziesięć minut otrzymasz drobną rekompensatę w używanych banknotach wiem że masz holograficzną pamięć więc do widzenia i mam nadzieję że się jeszcze spotkamy.

Rynki wróciły. Jordan zobaczył, że ręce mu drżą. Do dzisiaj Czarny Plan był tylko miejską legendą, fantomowym autostopowiczem Kabla, niepewną pozostałością politycznej ekonomii Republiki, tak jak ANR było resztką jej sił zbrojnych. Rzekomo był ojcem chrzestnym ANR, lekceważącym podatki punktów kontrolnych i opłaty za ochronę lokalnych milicji. Szatańskie wirusy finansowe miały prześladować rdzeń systemu, wypaczając krajową, niektórzy mówili światową, ekonomię do odległych celów upadłego ustroju…

Nigdy nie uznał tej legendy.

Teraz oferowała mu gotówkę.

Niewykrywalną cyfrową gotówkę zamienioną w niewykrywalne papierowe pieniądze, coś, czego nigdy nie miał wcześniej w rękach. Tylko uprzywilejowani mieli dostęp do twardej waluty. Za wszystko poza interesami, Jordan musiał płacić szeklami, kiepską, zabawną walutą Miasta.

Guangzhou było zajęte. Spróbuj ponownie.

Sprzedał Filipińczyków tysiąc sukien i pozwolił przelewowi czekać. Właściwie to tylko pożyczka. Nie kradzież. Nie prawdziwe sumienie. Tylko przestrzeganie zasad. Załóżmy, że to pułapka? Mały program prowokator, żeby wykryć malwersację i niebezpieczną nielojalność? Zawsze mógłby powiedzieć… Długa chaotyczna, jąkająca się obrona przewinęła się przez głowę, zawstydzając go. Intelektualnie doskonale rozumiał, co jest problemem: wina i zwątpienie, odpady niewinności i wiary, zahamowały go i wypełniły go wstrętem do samego siebie nawet do jego własnej słabości w próbie uwolnienia się od nich.

Zrodzony w grzechu i ukształtowany w nieprawości.

Guangzhou ma linię. Zrobił zakup, wysłał go natychmiast na konto według specyfikacji. A ono mu zapłaciło. Wyglądało, jak gdyby pieniądze nigdy nie były wydane. Wrzucił je na właściwe konto i pobrał opłatę za pobranie. Zero krzywdy. Godzina była 11:08.

Ktoś stuknął go w ramię. Odwrócił się, jego mina odruchowo spokojna.

Pani Lawson uśmiechnęła się do niego.

– Przerwa?

Drobna, zabiegana kobieta w średnim wieku, w czarny i białym, bez makijażu, bez podstępu czy zdrady. Pracuje dla Audytu. Bystra jak wąż, jak powiedział stary, i w żaden sposób nieszkodliwa jak gołąb. Jordan miał chwilową wizję uderzenia jej głową i rzucenia się do ucieczki. Ucieczki dokąd?

Kiwnął głową i wylogował się, poszedł za nią, gdy jej suknia wyznaczała drogę do biura. Ślad audytu.

– Kawy?

– Tak, poproszę.

Usiadł niezręcznie na krześle w rogu małego pokoju. Oparcie było prosto, więc nie mógłby siedzieć bez rozwalania się, a siedzenie na brzegu sprawiało problem w zachowaniu spokojnego wyglądu. Pani Lawson miała obrotowy fotel za sosnowym biurkiem. Stosy wydruków. Ekrany monitorów jak oczy jaszczurek. Kaktusy w donicach w oknie.

Splotła palce w wieżyczkę.

– Obserwowałam Cię, Jordan. – Zachichotała. – Nie w sposób, który zmartwiłby mojego męża! Jesteś bystrym chłopcem, wiesz... Nie, nie bądź wstydliwy. To nie duma być świadomy swoich silnych stron. Masz instynkt, poczucie, jak zareagują rynki. Mam nadzieję, że się rozwiniesz, może rozważysz dołączenie do jednej z większych firm. Jednakże nie zamierzam zaoferować Ci pracy.

Kolejny chichot. Plecy zaswędziały Jordana.

– Oprócz... w pewien sposób, zdaje się, że oferuję. Czy zauważyłeś ostatnio *cokolwiek niezwykłego* w systemie?

To jest to, pomyślał. Może jednak istnieje Bóg, który prowadzi Cię na pokuszenie i dostarcza Cię złu.

– Tak, zauważyłem – odpowiada Jordan. – Dzisiejszego ranka, Czarny Strateg złożył mi ofertę...

Pani Lawson roześmiała się, prawie rozlewając kawę.

– Oczywiście, oczywiście. A w biurku mam kawałek autentycznego Całunu Turyńskiego. Nie, serio, Jordan, mówię o jakimkolwiek wzorze, który może zauważyłeś w sprawach takich jak, hmm, awarie podsystemów, opóźnienia transakcji, nagłe wydłużenie czasu odpowiedzi niezwiązane z główną oczywistą aktywno-

ścią? Cokolwiek co wygląda jak interwencje, gdzie żaden z centralnych banków nie jest wplątany? Żeby być uczciwym, nie mamy dowodów z Komisji Wymiany – pomachała dłońmi – niczego podejrzanego, ale kilka mniejszych społeczności ma teorię, że coś jest uwolnione w systemie, używając go do swoich ukrytych niekomercyjnych celów w sposób, który pokazuje się tylko na, och, poziomie podstawowym.

– Co możesz nazwać „zewnętrznym handlem”?

Pani Lawson wyglądała na zaskoczoną.

– Tak właśnie to nazywamy. Niestety prowadziło to do plotek, bardzo niezdrowych plotek o. . . wiesz. Słowo mądrości, Jordan. Nie powtarzałabym tego Twojego, małego żartu, gdybym była Tobą.

Jordan skinął energicznie głową, wykonując ruchy mycia dłońmi.

– Bardzo dobrze, chłopcze. A teraz, będziesz uważał na cokolwiek, co wykracza poza Twoją intuicję jak rynek powinien się zachować, prawda? I spodziewam się, że jesteś gotów wrócić do pracy, więc dzięki za poświęcony czas.

Była 11:25.

Zalogował się, kilka razy wprowadzając błędnie hasło. Kolejka zamówień wypełniła półtora ekranu. Jordan zamknął oczy i głęboko odetchnął, rozprostował palce i wziął się do pracy. Nie myślał o niczym.

* * *

Janis ledwie się słuchała, gdy trajkotała o zarysie tego, co wiedziała o projekcie. Myślała, że było coś dziwnie nieproporcjonalnego w jej części: im więcej myślała o tym, tym bardziej ważna się zdawała, a to wcale nie zgadzało się z poziomem użytych zasobów. . . Nie chcieli doktorantów męczących się nad tym, chcieli zespołu, wielu techników, ekwipunek zużywany jak amunicja. Mogła

być częścią zespołu, nie wiedząc tego, to była jej preferowana hipoteza w tym momencie. Z każdym rządem nerwowo ograniczającym badania biologiczne, zamykającym je w Strefach Wolności Słowa i szczytach naukowych, z wielkimi korporacjami patrzącymi przez ramię na grupy konsumentów i pseudonaukowe pozwy, oraz z zielonymi terrorystami uzupełniającymi ograniczenia o akcję bezpośrednią, z tym wszystkim, nauki biologiczne stały się podziemną aktywnością partyzancką. (Często zastanawiała się jaka molekuła lub związek była odpowiedzialna za histerię i niewykształcenie klasy średniej: musiała się wsączyć w łańcuch pokarmowy gdzieś w latach sześćdziesiątych dwudziestego wieku, a potem stała się jeszcze bardziej skoncentrowana).

Cholera, może wspierający byli biedni, może jednak wcale nie było za tym wielkiej korporacji lub instytucji... może trzech mężczyzn przed nią było *całą organizacją*. Front ukrywał to, że nie było frontu. To, co widzisz, to dostajesz... Dostatecznie prawdziwe, reszta projektu była prawie wirtualna, automatyczne analizy molekularne, komputerowe projektowanie molekularne, automatyczna produkcja molekularna. Opierały się silnie na dwóch technikach, równoległych, ale prawie precyzyjnie przeciwnych. Algorytmy genetyczne[5] umożliwiały wybór losowych wariacji, różnych, ponownie wybranych na podobieństwo ewolucji darwinowskiej wobec modelu znanych ścieżek chemicznych ludzkiego mózgu, który ICI-Bayer wynajmował po kilka marek za nanosekundę, znaczy *tanio*. Reakcja łańcuchowa polimerazy[6] umożliwiała replikację wybranych molekuł w potrzebnej ilości, proces tak zautomatyzowany, że ludzka interwencja była wymagana tylko przy myciu zestawu.

---

[5] por. `https://pl.wikipedia.org/wiki/Algorytm_genetyczny` – przyp.tłum.

[6] więcej `https://pl.wikipedia.org/wiki/Reakcja_%C5%82a%C5%84cuchowa_polimerazy` – przyp.tłum.

Jednak ostatecznie, produkt musiał być przetestowany na żywym zwierzęciu, a surowe rzeczy od natury musiały być sprawdzone dla ich potencjału. Na obu końcach cyklu stała ona i wiele białych myszy.

– Więc może mogłaby Pani zademonstrować swoje metody, doktor Taine?

Janis poczuła chwilowe współczucie dla myszy w labiryncie: w pułapce i oszalałej. Usunęła drzwi od laboratorium, zataszczyła je do śmietnika, upewniła się, że przedstawiciele sponsorów weszli wejściem w bloku jak najdalej od uszkodzonej ściany. To nie tak, że zamierzała sfałszować wyniki, zignorować skażenie i mieć nadzieję na najlepsze. W pełni zamierzała poświęcić myszy i zacząć od początku. Tylko nie było już czasu, żeby to zrobić, zanim musiałaby pokazać swoje umiejętności, a bała się, że jeżeli nie miałaby nic do pokazania, sponsorzy by *ją* poświęcili i zaczęli od nowa. Miała przelotną, szaloną wizję, co zrobiłaby, gdyby kiedykolwiek odkryli, rzuciła to wszystko i stała się dziwakiem, nosiła plastik i żyła z ziemi, włamywała się do laboratoriów psychologii i uwalniała płazińce, wysadzała statki wielorybnicze, żeby ratować kryl...

Trzech mężczyzn w ciemnych garniturach patrzyło na nią. Próbowała nie myśleć o wszystkich tych żartach zaczynających się od *Był Polak, Niemiec i Rusek...* Delikatnie wzięła mysz z jednej z klatek i położyła ją przy wejściu do labiryntu. Mysz, piszcząc, wąchała małą przestrzeń.

– Mamy tutaj obiekt: *o*, jak my to nazywamy. Za chwilę otworzę wejście i obiekt spróbuje znaleźć drogę przez ten labirynt przezroczystych rurek. Wszystkie obiekty, eksperymentalne i kontrolne, nauczyły się już ścieżki przez labirynt. Grupa eksperymentalna otrzymała lekkie dawki różnych preparatów w wodzie, branej *ad*

libitum. Ten szczególny obiekt jest jednym z grupy, która otrzymała pochodną lokalnie pozyskanego grzyba łysiczki lancetowatej[7]. Dotychczasowy średni czas to około siedemdziesięciu sekund...

– Dla obu grup, eksperymentalnej i kontrolnej? – spytał Polak.

Janis zwolniła dźwignię wejścia i mysz zeszła w dół rury.

– Tak. Nie chcę przesłaniać faktu, że, na razie, hipoteza zerowa...

ping.

Obiekt *o* nacisnął przycisk na końcu labiryntu i skubał wzmocnienie, centymetr kwadratowy tostu z dżemem. Stoper, podłączony do wyjściowej dźwigni i przełącznika nagrody, zatrzymał się na trzydziestej drugiej sekundzie.

Cicho, Janis wyjęła mysz i spróbował znowu z kontrolną.

Próbowała różnych wariacji: myszy naćpane sokiem betelu, opiatami, kokainą, kofeiną...

Nie było to przypadek, obiekty z psylocybiną były konsekwentnie dwa razy szybsze, znacznie poza efektem eksperymentatora[8].

Patrzyła się zaskoczona na mężczyzn.

– Muszę stworzyć protokoły podwójnej ślepej próby – powiedziała. – Aż do teraz, szczerze, nie było warto. W końcu zakładam, że jesteście zainteresowani *większymi* efektami.

– Zdecydowanie tak – powiedział Niemiec. – A to nie jest nowe przygotowanie?

– Kumulacyjne? – spytał Rosjanin, kiedy Janis potrząsnęła głową.

– To możliwe. Oczywiście, konieczne...

---

[7] zob. `https://pl.wikipedia.org/wiki/%C5%81ysiczka_lancetowata` – przyp.tłum.

[8] rodzaj błędu poznawczego wynikającego z wpływu prowadzącego eksperyment na uczestników eksperymentu. Wpływ taki może prowadzić m.in. do odrzucania wyników, z którymi eksperymentator się nie zgadza, więcej `https://en.wikipedia.org/wiki/Observer-expectancy_effect` – przyp.tłum.

– Są dalsze badania, co?

Wszyscy się roześmiali.

Martwiła się, że pomyślą, że to zmowa, w ten sposób obniżając ich oczekiwania i potem tworząc coś tak interesującego. Ale nie, całkowicie to kupili. Jej kontrakt został przedłużony o sześć miesięcy. Mogła zatrudnić technika, sprawdzić wszystkie możliwości.

Gdy odprowadzała ich korytarzem, Rosjanin pociągnął nosem. Szturchnął ją.

– Może to nie patriotyczne – powiedział – ale libańskie są lepsze, nie?

Uśmiechnęła się do niego obojętnie, a potem przyśpieszyła krok, żeby ukryć swój rumieniec.

O kurde.

* * *

Fonthill Road, centrum okręgu mody. Wielkie automatyczne fabryki przędły i tkały, cięły i szyły w wieżach ze szkła i stali. Ulica, na której nie było samochodów, była zatłoczona ludźmi, którzy wszyscy, szczególnie kobiety, wydawali się dla Jordana zajmować znacznie za dużo miejsca: zatkana zgiełkiem, rozmyślał ponuro, gdy omijał krynoliny, unikał parasoli od słońca i manewrował dookoła tramwajów. Własne wyświetlacze okienne Skromności – z ich fraktalnym perkalem, wzorami Mandelbrota i połaciami komputerowo wygenerowanych koronek dodanymi, jak gdyby natrysnąć, na każdy ewentualny fragment garderoby – wyglądały gustownie i powściągliwie w przeciwieństwie do stylów pasów biblijnych Florydy, Liberii i wszędzie indziej, gdzie córka każdego chciała wyglądać jak żona teleewangelisty.

Cztery minuty po południu. Pięć osób przed nim w kolejce do bankomatu Bundesbank na rogu Seven Sisters Road. Jordan szurał

nogami i wściekał się, patrząc ponad ich głowami na kopuły Fullera w starej Development Area. Wprowadził kod o 12:13. Maszyna pracowała i mamrotała do samej siebie przez czterdzieści wybijanych palcem sekund, potem kaszlnęła i wypluła gruby zwitek zmiętej waluty. I kolejny, i znowu.

Jordan złapał je i prawie uciekł, podczas gdy ekran ciągle oferował kolejne usługi finansowe w czymś, co wydawało się coraz bardziej desperackie prośby, żeby dostać pieniądze z powrotem.

Po powrocie do budynku biura poszedł prosto do toalety i zamknął się w boksie toalety. Wiedział, że jest tam bezpieczny, możesz powiedzieć, co chcesz o Starszych, ale byli szczerzy na temat pewnych typów prywatności. Było oczywiste, że Bóg patrzył. Jordan nagle odkrył, że naprawdę potrzebuje się wysrać. Usiadł i policzył pieniądze. Cztery tysiące marek Britischemarek. Poczuł, że krew odpływa mu z głowy, jego jelita się rozpuszczają.

B-marki były najtwardszą z twardych walut, tylko Norlonto używała ich wewnętrznie, a nawet tam cztery tysiące wystarczyłyby na kilka miesięcy. W ekonomiach społeczności mógłby dostać zabawną kwotę śmiesznych pieniędzy, nawet po przekupieniu straży. Za sto B-marek przeciętny strażnik na punkcie kontrolnym sprzedałby Ci swojego kałasznikowa i prawdopodobnie adres swojej siostry.

Jordan gapił się na białą farbę drzwi, zatracając się, jak czasem robił to przy biurku. Nic nie wydawało się rzeczywiste. Pamiętał słowo mądrości, którym kiedyś z zachwytem sprawdził czysty sen: *jeżeli możesz latać, śnisz.* Pomyślał o tym przez minutę i nie, nie uniósł się w górę.

Po prostu dobrze, ponieważ jego spodnie były dookoła jego kostek.

Kiedy wszedł przez drzwi biura, okazało się, że każdy krzyczy na każdego.

– Co się dzieje? – spytał.

To spowodowało, że wszyscy w zasięgu głosu zaczęli wrzeszczeć na niego. Pani Lawson przepchnęła się do niego. Poczuł ulgę, gdy zobaczył, że ona patrzyła z ulgą na niego. Złapała go za łokieć i zaciągnęła go do jego własnego ekranu. Spojrzał na niego. Pasy koloru wiły się i skręcały, prawie hipnotycznie złożone wzorce pojawiające się na chwilę, a potem zmieniające się, zanim mógł je docenić.

– To musi być awaria terminala – powiedział. – Albo to, albo światowa ekonomia poszła do p. . . Hadesu! – Przypomniał sobie o wyświetlaczach okiennych. – To nie, hm, jakaś paleta projektantów, która skrzyżowała swoje przewody z naszymi systemami?

– Dobra próba – powiedziała pani Lawson. – Tylko nie sugeruj jej projektantom, już są praktycznie w histerii.

Rozejrzała się dookoła i niektórzy cofnęli się zawstydzeni.

– Inżynierzy pracowali cały lunch i zapewniają nas, że to nie jest awaria hardware. I tak, sprawdziliśmy i to też *nie jest*, hi hi, *końcowy kryzys* kapitalizmu.

Myśl napisana małymi literami przesunęła się w umyśle Jordana.

nasz niewykrywalny wirus przetrwał dwadzieścia lat

Pokój lekko się zakołysał. Trzymaj się.

– Wszystko w porządku – powiedział, dostatecznie głośno, by być usłyszanym przez dostatecznie dużo osób, które wzmocnią i rozpowszechnią fałszywe zapewnienie. – Mam pomysł, co za tym stoi. Muszę tylko sprawdzić niektóre z Pani plików, pani Lawson.

Spojrzał jej w oczy i delikatnie dał znak głową.

– Ok. – Podniosła głos do wysokości i głośności, która przypo-

mniała mu, że kiedyś była nauczycielką. – Zróbcie coś innego! – powiedziała reszcie pokoju. – Poczytajcie podręcznik, jeżeli musicie!

Zamknęła delikatnie drzwi do pokoju za nimi.

– To bezpieczne miejsce? – spytał natychmiast.

– Jeżeli nie jest, to nigdzie nie jest.

– Masz linię do sił bezpieczeństwa? Prawdziwych, mam na myśli, och, bez obrazy Wojowników...

– Nie ma sprawy.

Uśmiechnęła się na jego widoczne zszokowanie. Jordan kontynuował prędko: – Czy mogłabyś sprawdzić, czy wywrotowcy nie zaczynają jakiejś sprawy?

Nic nie powiedziała.

– Cóż, nie sugeruję, że jakakolwiek ich, hm, *czarna* propaganda jest prawdziwa, ale mogą próbować sabotażu...

Urwał, czując, że powiedział za dużo.

– O to chodzi. Poza tym to mogły być, hmm, lokalne siły, powiedzmy? Jakaś frakcja antychrześcijańska.

Pani Lawson wzięła telefon i odeszła z nim, rozmawiając w szybkim żargonie profesjonalistów bezpieczeństwa. (Boże, nigdy nie podejrzewał, że jest *gliną*!)

– ...prośba o aktualizację BC. Sprawdź ECM na LANS, tak, ok, negatywnie na wyborze celu... rozumiem, ok, koniec.

Wyłączyła telefon.

– Nie jesteśmy jedyni. Niektórzy nasi handlowi rywale i przeciwnicy ideologiczni też mają awarię systemów, ale żadne z głównych państw lub sieci korporacyjnych nie ma problemów. Nie pasuje do żadnego znanego profilu ataku, nie pasuje do niczego, prócz tematu, który poruszyłam rano.

– Cóż, z pewnością nie mogłem oczekiwać niczego takiego… tak szybko.

Pani Lawson skinęła energicznie głową, jak gdyby nie słuchała.

– Nie mogłeś się spodziewać. Nie jesteś wielkim węzłem, Jordan, nie jesteś moim głównym źródłem idei. Chcę, żebyś uważał, tak, masz talent. Jednak szczerze mówiąc, miałam te same teorie przedstawione już przez przedstawicieli Wojowników. Sprawdzałam tylko, czy oczekiwania się spełniły.

Przerwała, jej twarz nagle zimna.

– Wiem, że mogę Ci zaufać, że zachowasz to dla siebie, nie dlatego, że jesteś pewny, ale dlatego, że wiem faktycznie, że nie jesteś. Przestań się patrzyć jak duchowa dziewica! Myślisz… jesteś zbyt bystry, żeby myśleć… że układ jak Miasto przetrwa w tym twardym świecie tylko na ocenzurowanych tekstach? Musimy znać psychologię, poznać filozofie, tego świata. Wziąć co możemy i zaufać Bogu, że ochroni nas przed zepsuciem! Starsi i Diakoni czytali i widzieli rzeczy, i robili rzeczy, które postawiłyby włosy na Twojej krętej, potajemnie sceptycznej głowie! ANR! Nie mów mi o ANR… nie udawaj, że *nie* mówisz o nich. Oni mnie nie martwią. Czego się boję, o co modlę się, żeby się nie napotkać, to przyjście Zegarmistrza.

– Czym jest Zegarmistrz?

Już wiedział: przeczytał książkę. Ciągle miał nadzieję, że nie wiedziała, że przeczytał.

– Możesz przeczytać książkę – powiedziała. – Dam Ci pozwolenie.

Pani Lawson pobawiła się ekspresem do kawy, nalała dwa kubki i usiadła. Jordan przyjął kubek i nadal stał. Zastanawiał się, jak bezpieczne są te drzwi wobec dobrego kopniaka.

– Dawkins, R. tysiąc dziewięćset osiemdziesiąty któryś. Nie prze-

szkadzają nam wszystkie te argumenty o ewolucji życia. Mamy rezerwowe interpretacje, jeżeli ta teoria kiedykolwiek będzie ostatecznie dowiedziona. Sprawa, która martwiła wiele lepszych umysłów, to idea selekcji naturalnej, która mogłaby się zdarzyć, niezaprzeczalnie, w systemach komputerowych. Inteligencja mogłaby wyewoluować z błędów i wirusów software'u. Coś nieludzkiego, nie anielskiego, prawdopodobnie diabelskiego. *Ślepy* Zegarmistrz. Życie stworzone *diabelskim* sposobem, przez ewolucję, a nie stworzenie.

Zamilkła patrząc na niego, jak gdyby obserwowała coś za nim. Jordan zdecydował się nie odpowiadać podejrzanie kompetentnym komentarzem o semantycznej niespójności, która pomylił proces z produktem, twórcę z tworzeniem. Tak jak nazwisko Frankenstein stało się nieodwracalnie przypisane do potwora, tak długo wyobrażana, od dawna przerażająca, spontanicznie wyewoluowana sztuczna inteligencja była opisana nazwą procesu, który dałby jej narodziny. Kiedy nadejdzie Zegarmistrz... Kolejny fragment brzęczenia, na który czasami natrafiał w szybko przeglądanych plikach dyskusji, z którymi cenzura nie do końca sobie poradziła. Kolejna miejska legenda.

Skończył kawę i powiedział nerwowo:

– Możemy być pewni?

Czuł, jakby właśnie został wprowadzony, o ile nie ochrzczony i bierzmowany, w jakąś alternatywną teologię, prawdziwe myśli prawdziwych umysłów, które kierowały tym miejscem – nadal ortodoksyjnych, rozumiał to, chociaż nie tego rodzaju, które chcieliby rozpowszechniać satelitą w godzinach najwyższej oglądalności – a wszystko, czym mógł odpowiedzieć, był jego samokorodujący sceptycyzm.

– Oczywiście nie możemy być pewni – powiedziała pani Lawson. – Och, Jordan, czy Ty *nic* nie rozumiesz?

System wrócił do normy, tak samo bez wyjaśnień, dwadzieścia minut później. Melody Lawson siedziała w biurze i patrzyła na ekrany monitorów, krzywiąc się do siebie, gdy obserwowała logowanie Jordana. Równie dobrze mogłaby go zaprosić do przejścia od naiwnych fundamentalistów, który wystarczali jako balast w kościele do bardziej wyszukanego zrozumienia potrzebnego do ochrony tej właśnie prostoty, a on do tego nie dorósł. Każdy bystry młody chrześcijanin sceptycznie nastawiony byłby zaangażowany jak fretka, skory do badania legitymizacji swoich bardziej śmiałych myśli. Bez wątpienia Jordan był bystry, ale jasne jak diabli nie był chrześcijaninem. Drażniło ją, że dzieciak był tak przezroczysty i że nikt inny tego nie zauważył. Drażniło ją to nawet bardziej, że cokolwiek podważyło jego wiarę w Boga, zmniejszyło również jego wiarę w siebie. Otwarta bezbożność nie mogła być dozwolona, nie miała z tym problemu, ale ateizm w szafie był znacznie bardziej trujący. Nie można było określić, kiedy taka stłumiona wrogość uderzyłaby w desperackim akcie. Byłoby lepiej dla społeczności, gdyby Jordan opuścił Miasto Oblubienicy, lepiej dla niego.

Byłoby lepiej nawet dla jego duszy. Stawał się prawie dosłownie dwulicowy, sposób, w jaki patrzył, gdy odwrócił się od ekranu! Tylko w jednej chwili jego maska opadła, kiedy wspomniał Czarnego Stratega…

Dobry Boże, pomyślała. Nagle nieprzytomna, zamknęła drzwi, otworzyła szyfrem szufladę i wyciągnęła jej okulary VR. Założyła je i wlogowała się do bezpiecznej sieci. Poczucie nurkowania, pływania i skręcania jak rekin było znacznie bardziej ekscytujące niż, nawet dla niej, rzadko wykorzystywany, niebezpieczny przywilej.

Szybkie przejrzenie zapisów firm Jordana pokazało dziwną lukę w realizacji przelewów, aha. Badała ślady, fragmenty kodów wejściowych, złapanych na krętych bramkach logicznych, niewykrywalne bez właściwych kluczy. Diagnostyka śledcza obnażyła je, zwracając wskaźniki. Zmniejszyła granice kryteriów asocjacyjnych, pozwalając podejrzeniom zamienić się w pewność. Potem wyzwoliła teraz niemal paranoidalne protokoły śledcze i pośpieszyła, żeby za nimi podążyć. Zabrały ją do lokalnego Czarnego Planu opuszczonego w ostatnich sekundach. Po zanotowaniu potwierdzeń przeszły od jednego wniosku do następnego, w końcu wskazując niewątpliwie kryminalny wirus. Cofnęła się po śladach tak daleko, jak się odważyła, dostatecznie jednak aby potwierdzić, że cele Czarnego Planu leżały kilka implikacji dalej. Wychodząc, natrafiła na jakiś paramilitarny konstrukt. Jego procedury i jej przeprowadziły krótką wrogą wymianę na poziomie zbyt szybkim, żeby mogła śledzić. Odwrócił się od niej i śledził wirus na własne potrzeby. Pani Lawson podążyła bezpieczną ścieżką do domu, potem wylogowała się, czując lekkie mdłości.

Och, Jordan, Jordan. Jesteś głupim chłopcem. Zamierzasz to złapać, a ja zamierzam Ci pozwolić.

Chyba że…

Chyba że…

Pozwoliła jej sumieniu przemawiać przez kilka chwil, potem zaczęła pracę usuwania i poprawiania, edytując rzeczywistość. Kiedy była usatysfakcjonowana, oparła się w fotelu i podniosła telefon.

System się zawieszał znowu i znowu. Popołudnie minęło w transie pracy do dźwięku wyjących alarmów. Melody Lawson zwalczała rosnące poczucie paniki, coraz bardziej przekonując się, że coś nowego było w sieciach i mogła to być, jeżeli nie sam Zegarmistrz, dzika AI niesłychanego zasięgu. Nie wiedziała, czy ktokol-

wiek jeszcze o jej wiarygodności doświadczenia zinterpretowałby to w ten sposób.

Był ktoś taki, kto by zrozumiał. Może dwie osoby.

Najlepsze byłyby dwie.

Poczekała, aż dzienni pracownicy wyszli, zadzwoniła do rodziny, że będzie pracować do późna, potem sprawdziła kilkukrotnie bezpieczeństwo jej biura i jej systemów. Gdy to zrobiła, wykonała sztuczkę pamięci, jedna cyfra w tym rogu, druga na tej półce, która przypomniała numer, którego nie odważyła się zapisać, ani nawet trzymać w świadomej pamięci. Użyła go do zadzwonienie do najtajniejszego, nieufnego i zaprzeczalnego kontaktu.

A cały czas pytanie, które ją męczyło, które wisiało i zdumiewało jej umysł, brzmiało: co ANR *chciał* zrobić z tym całym jedwabiem?

Rozdział 3

Interfejs platformy sprzętowej

Zdradzona.

Cat leżała w łóżku, patrząc na LCD na plastikowym gipsie, obserwując przebiegające numery, zaciskając i rozluźniając palce. Narkoza, cokolwiek to było, sprawiła, że czuła się oddalona i oderwana, jak gdyby gniew był ciemną chmurą, w którą dryfowała i wypływała. Po wyjściu Kohna sprawdziła swój status, mając nadzieję, wbrew temu, co wiedziała o nim, że jednak blefował. Oprócz tego, że oczywiście nie blefował. Nie była już więźniem, a pacjentem: z zaleceniem jednodobowego pobytu na wypadek opóźnionego szoku, ale poza tym wolnego.

Rachunek szpitalny został już przesłany na konto Spółdzielni Dzierżyńskiego. Będzie to dla nich strata, bez okupu do odzyskania. Mała zmiana, jeszcze mniejsze pocieszenie. Zdecydowała się obciążyć ich też rachunkiem telefonicznym i zadzwoniła na infolinię Sojuszu Życia Węglowego. Operator bez komentarza przyjął wiadomość i kazał czekać na odpowiedź.

Włączyła muzykę i czekała.

Odpowiedź ją zaskoczyła. Oczekiwała jakiego urzędnika niskiego stopnia. Została połączona z liderem-założycielem Sojuszu Życia Węglowego, Brianem Donovanem. Pojawił się jak duch, halucynacja, zły sen: przeskakując z pozornej masywności u szczytu łóżka

do twarzy w telewizji, i z powrotem, cały czas mówiąc przez jej słuchawki nauszne. Wyglądało, jakby wszystkie maszyny na jej oddziale były opętane. Czuła się, jakby mamrotała egzorcyzmy. Donovan sam wyglądał jak nekromanta z długą szarą brodą i długimi szarymi włosami. Piętnował coś niesłyszalnie i przeklinał całkiem słyszalnie. Cat nieświadomie wycofała się do oparcia, póki nie okazało się, że gniew Donovana był skierowany na Moh, a nie na nią.

– . . . nie *potrzebuję* tego. *Nikt* tak mi nie robi, nikt nie denerwuje mnie w taki sposób. Nie, jeżeli chce *żyć*. – Wciągnął głośno powietrze, mając widocznie laryngofon. Spojrzał jej prosto w oczy, wybitna umiejętność, biorąc pod uwagę, jak razem składał obrazy i prawdopodobnie widział ją przez ziarnisty obraz kamery bezpieczeństwa gdzieś w rogu sufitu.

– Dobrze, panno Duvalier – powiedział, wyraźnie się uspokajając – nie możemy zostawić tej obraz bez odpowiedzi.

Pokiwała szybko głową. Jej usta były za suche, żeby mówić.

– Masz coś na tego bękarta? Nie jego kody, już je mam z roszczenia o zakładników z wczoraj i pracuję nad tym. Ale gdzie zwykle wypoczywa w Bieżącej Rzeczywistości, co?

Cat głośno przełknęła.

– Chcę tylko załatwić tę sprawę – powiedziała. – A nie zaczynać wendetę.

– Myślałem w kategoriach pozwu do sądu – powiedział Donovan. – Zwalnianie ciebie bez żądania okupu jest tak bardzo niewłaściwie, że byłby to dla niego bardzo bolesny pozew. Chciałbym przedstawić mu go w tak publiczny sposób, jak to tylko możliwe.

– Z trudem znajdziesz jego ślady w sieci – powiedziała Cat. Zobaczyła, że Donovan zaczyna się jeżyć. – Ale – dodała szybko – mogę Ci powiedzieć jego zwykłe spelunki.

Lider SeŻeWu słuchał, potem powiedział:

– Dziękuję, panno Duvalier. A teraz, byłoby najlepiej, gdyby postarała się dobrze zniknąć. Będę w kontakcie.

– W jaki sposób... – zaczęła, ale Donovan zniknął.

Ekran i telefon znowu wypełniły się bitem młotu pneumatycznego zespołu Babies With Rabies.

* * *

Spółdzielnia Robotników Obrony imienia Feliksa Dzierżyńskiego wynajmowała mieszkanie w jednym z akademików, a na razie było to też mieszkaniem Kohna. Łóżko, biurko, terminal, szafka, półki, lodówka, czajnik. Drzwi tak liche, że nie warte zamykania. Moh namalował na nich młot z sierpem oraz cyfrą „4" i działało to lepiej niż urok, wieniec czosnku, srebrne krzyże i woda święcona.

Zadzwonił do kolektywu i zostawił wiadomość, że będzie nieaktywny i że oczekuje na dobrą muzykę, kiedy wróci do domu. W ich ciągle zmieniającym się slangowym kodzie „muzyka" oznaczała imprezę, „dobra muzyka" znaczyła jakieś nadchodzące duże problemy polityczne. Uspokoił żądzę wilczego apetytu, który zwykle następował po marihuanie kawą, biszkoptami i papierosem tytoniowym. Tydzień nocnych zmian i jego cykl dobowy był rozregulowany. A teraz dowolnego dnia, tygodnia lub miesiąca może być zmuszony poradzić sobie nie z jednym, a z dwoma powstaniami. Jedno z nich, było wymierzone w miejsca, które on i jego firma mieli chronić.

Kiedyś przywitałby oba. Teraz, myśl o kolejnej głośnej „ostatecznej" ofensywie ANR wypełniła go tylko zmęczoną konsternacją, mimo wszystko życzył im dobrze. Ciągle teoretycznie obywatel Republiki, prawdziwy syn Anglii i tak dalej i tym podobne, Kohn utrzymywał, jak sądził, trzeźwą opinię o szansach ANR. Na dowol-

nym mierniku realizmu politycznego, byliby reprezentowani jako igła drgająca w dolnej części zegara.

Co do drugiej partii, Sojuszu Lewicy... ich jedyna szansa leżała w odległej możliwości odpalenia tego rodzaju eksplozji, którą z góry odrzucali podjętymi sojuszami, z oszołomami, zielonymi, barbarzyńcami, z całym tym motłochem, który każdy z odrobiną sensu traktował jako *barbarzyńców*. Socjalizm *i* barbarzyństwo. Niektóre fakcje[1] starej partii, odłamy śmieciowego DNA starca Trockiego bez końca skręcające i rekombinujące, były w Sojuszu, tak jak byli w innych ruchach: przegrana sprawa i efekt zapomnianej historii, która zrobiła zbyt dużo złych zwrotów, żeby znaleźć drogę powrotną. Nie pozostało mu nic jak walka w ariergardzie, wstrzymanie mnożących się podziałów nocy, gdzie czerwoni i zieloni przyjmowali te same fałszywe kolory w ciemnościach.

Dobra muzyka.

Pomyślał o Cat, jak blisko był jej zabicia, ale jej widok był blady, zanikał w tle. Ciągle widział Janis Taine, jego wspomnienia ostre, narysowane, skończone. Jak sama ta kobieta. Jedno z jego najbardziej wyraźnych wrażeń było takie, że wcale nie była pod jego wrażeniem. Część jego, zauważył, już określiła to jako wyzwanie.

Wspomnienia. Badała pamięć. Odkrył ten interesujący fakt, gdy sprawdzał raporty o zniszczeniach po zejściu ze zmiany, a to spowodowało włóczenie i węszenie tego ranka. Rozmowa to potwierdziła, a teraz był czas, żeby to zbadał.

Kohn miał problem ze wspomnieniami. Miał barwne wspomnienia dzieciństwa i lat nastoletnich, ale potem był okres pomiędzy, kiedy wszystko było rysami i nieruchome. Wiedział, co się wtedy

---

[1] fakcja – ang. faction, dawn. partia, obecnie w j.polskim rzadko używane, oznacza grupę jednostek w obrębie partii lub ruchu, które mają podobne cele polityczne, ale różnią się od reszty w pewnych aspektach. zob. `https://en.wikipedia.org/wiki/Political_faction` – przyp.tłum.

zdarzyło, ale odkrył, że myślenie o sobie wtedy, *przypominanie*, było prawie niemożliwe.

Wstał, położył delikatnie Karabin na biurku i podłączył go z tyłu terminala.

– Szukaj – powiedział do niego.

W głowie nazywał go Szwajcarskim Karabinem. Opracował go na podstawie ostatniej wersji Kałasznikowa i chip sieci neuronowej Fujitsu, uaktualnił możliwości każdym pirackim softwarem, do którego miał dostęp, wyciągnął procesory i czujniki z urządzeń bezpieczeństwa, które przechytrzył, z małych botów konserwatorskich, które ustrzelił jak gołębie, i wszystko to przykręcił. Podejrzewał, że obecna pojemność hardware znacznie przekroczyła możliwości wbudowanego software'u. Poza standardowymi własnościami, które czyniły z tego inteligentną broń, Karabin posiadał systemy rozpoznawania wzorów, interfejs człowiek-komputer oparty na języku naturalnym, interfejsy, które przesyłały obrazy do jego gogli i wystarczająco dużo specjalizowanych serwerów informacyjnych, żeby zacząć drobny biznes – agenty do przeszukiwania baz danych, filtry do skanowania grup dyskusyjnych – wszystko zintegrowane i raportujące do sobowtóra, który mógł przesłać przekonujący wirtualny obraz samego siebie: posłańca, wabika i dublera.

Pewnego dnia spróbuje to *udokumentować*.

Ustawił Karabin do szukania więcej na temat projektu, nad którym pracowała Janis Taine. Identyfikacja terminali, bez wysiłku i z przyzwyczajenia zapamiętane, oficjalne opisy projektu wklejone z baz danych administracji, ślady kwerend bibliotecznych Taine, dekodowane struktury molekularne z analizatora chemicznego Karabinu, wszystko razem złożone przez Hipokrytę, najbardziej udany i rozpowszechniony freeware kiedykolwiek napisany, samokorygujący, ewoluujący kompilator/tłumacz, który istniał w minimalnej prze-

rwie pomiędzy wejściem a wyjściem. MIPSy[2] – cykle obliczeń, moc komputerów – zawsze były tańsze niż przepustowość łączy. Komputery stawały się tańsze co tydzień, a rachunki telefoniczne co miesiąc nadal były wysokie. Hipokryta wykorzystywał tę różnicę, zamieniając strumienie danych, rzadkie i skąpe, obcięte i ściśnięte jak słowa poezji w obrazy, dźwięk i tekst bez końca dopasowywane do profilu użytkownika. Anonimowy, bez licencji, rozpowszechnił się jak łagodny wirus w ćwierć wieku. Do dzisiaj nawet inżynierowie programiści, którzy wbudowali go w „Drzwi"™ – obecny hit na szczytach list, interfejs, który trzeba mieć – nie mieli pojęcia, jak działa.

Moh wiedział, ale starał się o tym nie myśleć. To była część uszkodzonej pamięci.

Uruchomił naprędce przygotowane sondy.

Bezmyślne wyrafinowane programy zalały sieć uniwersytetu, rozszerzając się jak leniwie wypuszczony dym, szukając słabości, tylnych wejść, kluczy szyfrujących zostawionych na chwilę bez opieki. Większość z nich zostanie usunięta przez Ochronę, ale istniała szansa, że jeden wróci z nagrodą. Choć nie przez jakiś czas.

Kohn wstał i sięgnął, żeby odłączyć podstawową broń od inteligentnej skrzynki, dodatkowego magazynku, który sprawiał, że Karabin wyglądał jak pies z dwoma ogonami, potem przypomniał sobie, gdzie idzie i się powstrzymał. Czy karabin był inteligentny lub głupi, nie mógłby go zabrać ze sobą. Aneks Konwencji Genewskich o Zasadach Wojny Nieregularnej, Międzypaństwowej Przemocy i Terroryzmie był skrupulatnie precyzyjny w tym zakresie.

* * *

[2] MIPS – millions of instrucion per second – jednostka pomiaru wydajności komputera, więcej `https://pl.wikipedia.org/wiki/Million_instructions_per_second` – przyp.tłum.

Uniwersytecki oddział Nat-Mid-West Bank stał na od dawna istniejącej łacie nieużytków, teraz symbolicznie odgrodzonej, i składał się z kilku drewnianych chat, ich ściany były ozdobione szaleńczo pluralistycznym graffiti. Nowi Sytuacjoniści, Alternatywni Luddyci (nosili kosmiczne skafandry i wysadzali elektrownie wiatrowe), chrześcijańscy anarchiści, oszołomy, dziwaki, komuchy, torysi, wszyscy się musieli wypowiedzieć, w kolorze. Miejsce to było legalnie opisane jako obóz przejściowy, a bardziej cynicznie zwane jako Bank Ciał. Nie był strzeżony i nikt nie próbował uciec.

– To zobaczmy, co mamy, panie Kohn – zaśpiewała kasjerka, gdy odsunęła się od lady i stukała w klawiaturę, uważając na swoje paznokcie, które wystawały centymetr poza czubki palców. – Ma Pan czterech przeciwko Sojuszowi Życia Węglowego, tak?

– Trzech – powiedział Kohn.

– Och. Och, rozumiem. – Spojrzała na niego, wykwintne zmarszczki pojawiły się na moment pomiędzy jej podskubanymi, podkreślonymi brwiami, potem znowu spojrzała w dół. – Dobrze, czyż to nie jest Pański szczęśliwy dzień? Jeden z pańskich ludzi jest przetrzymywany przez Partyzantów Planety, mają stałą umowę, więc ten jest załatwiony. Paaa! Pański przyjaciel został właśnie zwolniony. Aha. SeŻeWu jest gotowe zaoferować dziesięć tysięcy dolarów Dockland. . .

– Nie, dzięki.

-. . . lub ekwiwalent w zbywalnych, broń lub neuroprzekaźników po dzisiejszych cenach otwarcia, za bojownika, minus straty na ekwipunku.

– Co?

Spojrzała na niego i zatrzepotała grubymi czarnymi rzęsami.

– *Zniszczył* pan mechanizm zegarowy, prawda?

– Nie był wart pięćdziesięciu gram!

– Och, to *całkiem* zadowalające. Dostawa jak zwykle?

– Magazyn Ruislip. Ta, weźmiemy to.

Przedzwoniła do jednej z chat i powiedziała trzem zakładnikom Kohn, że są wolni, potem przyniosła dokumenty do podpisania. Nie widział jej wcześniej. Miała pływający szyfon, masę brązowych pierścionków plus szpilki i błyszczyk na ustach. Po jednolitości szpitala i zieleni kampusu, to było jak ujrzenie transwestyty. Zobaczyła, że patrzy i uśmiechnęła się.

– Jestem femininistką – wyjaśniła, gdy podawała mu formularze zwolnienia.

– Feministką?

Ojciec Kohna wspominał o nich, ale to nie pasowało.

– A fem*inini*stką – powtórzyła ostro.

– Oczywiście... dobrze, dziękuję i miłego dnia. Mam nadzieję, że nigdy nie spotkam Twoich bojowników!

To było grzeczne sformułowanie, kiedy pierwszy raz spotykałeś się z nowym ekwipunkiem, ale kobieta wzięła to na poważnie.

– Nie *mamy* żadnych – powiedziała Kohnowi, prędko wycofując się do tyłu. – Nie wierzymy w przemoc.

* * *

Jeszcze nie było południa i już chciał spać. Zamierzał przespać się kilka godzin, potem wziąć trochę psychostymulantów na bezsenność i wrócić do domu. Dać towarzyszom trochę czasu, by zorganizowali muzykę.

Kohn wrócił spacerem do akademika. W głowie czuł, jakby miał w niej piasek. Myślał o tym, co mu powiedziała kasjerka. Fakcja bez bojówek. Poczekaj, aż Karabin się o tym dowie. Niektórzy ludzie byli naprawdę chorzy.

Całkiem nagle poczuł, jak gdyby szedł do czerwonego akademika, przez... przez jakiś nieokreślony czas. Słońce odbiło się od betonowych płytek chodnikowych i raziło go w oczy. Opuścił gogle. Kolory pozostały żywe: krzykliwy żółtobrązowy zwiędłej trawy, oślepiająco szary betonu, ożywione srebro chmur, przez które słońce paliło jak mały płonący obraz na szkle przez papier. Stawianie jednej stopy przed drugą stało się trudną, skomplikowaną, zdradliwą, dziwną sprawą, bardziej niż mógłby się spodziewać, całkiem nowy pas ślimaków. Dziwne łańcuchy skojarzeń ciągle odbijały się echem w głowie, wzmacniając i zniekształcając, powtarzając i oczyszczając, nie to nie było całkiem to...

Kohn trwał. Maszerowanie ponuro było jedną z jego umiejętności, w jego specyfikacji, częścią pakietu.

Kolory przedmiotów odłączyły się jak uszkodzona siatkówka i zmieniły się w skrzące spektrum płatki śniegu wielkości gór lodowych i w całkowitej ciszy uderzyły w ziemię.

W tym samym czasie inna część jego umysłu była wypełniona jasnością jak czystą wodą. Wiedział cholernie dobrze, że zsuwał się niepowstrzymanie w odmienny stan świadomości. Spiesząca się grupka studentów rozstąpiła się przed nim, nie do końca uciekając, ale rozdzielając się na lewo i prawo, gdy kroczył naprzód, ręce zaciśnięte, oczy niewidoczne, łatwo sobie wyobrazić je jako wściekle szalone. Poza nim było zrozumienie, dlaczego tak się działo. Nie mogły to być psychostymulanty albo skręt wypalony w laboratorium...

Powietrze pełne lotnych substancji psychoaktywnych, powtórzył głos w głowie.

O o.

Zaczął biec. Wzdłuż wąskich ścieżek, mostkiem, w górę po schodach i korytarzem do drzwi jego pokoju. Uderzył w nie. Karabin,

zaalarmowany, podniósł się na dwójnogu. Kamera, czujniki podczerwieni i dźwięku obróciły się.

WITAJ, pojawiło się na ekranie komputera.

Słowo było powtórzone na ekranie jego gogli, odbiło się echem w słuchawkach.

SIADAJ. RĘCE.

Jedna dłoń sięgnęła do panelu dotykowego biurka, druga do wejścia danych na kolbie Karabinu. Ekran Karabinu czaił się w jego widzeniu obwodowym.

Ekran na biurku zamigotał i zmienił się w śnieg fraktali. Kohn na to się patrzył. Jego ręce ruszały się niezależnie, palce nadnaturalnie szybko. Obrazy się zmieniły. Przypominały bloki koloru w jego głowie. Znowu zmiana i były nieodróżnialne od tych bloków koloru w głowie. Znowu, połączyły się, zewnętrzne obrazy gładko zazębione z wewnętrznymi, zmieniając się z nimi.

Zmiana.

Coś dostało się do systemów uniwersyteckich, wyśledziło jeden z programów z powrotem do Karabinu. Makrokomputer zhakował mikrokomputer. Teraz, wbijając wiadomości prosto w nerwy optyczne w jego własnym umysłowym kodzie maszynowym, dygitalizując ruchy jego palców, system zaczynał włamywać się do niego.

Kolory zniknęły, spektrum obróciło się w biel. Nic nie zostało, prócz platonicznej czystości. Pamięć otwarta, wszystkie hasła wprowadzone.

Test: czysta kartka ocean zapach usta włosy

Test: ciepły łagodzić gładki miękki swing la-la

Test: śmigło łomot czarny dym gorąc uderzenie tłum ryk dziki chwyt bieg

Test: chory strach zamknij usta ramię drżenie ostry głos prze-

kleństwo chłopiec przekleństwo wszystko dobrze bóg cholerny przeklęty król głowa śpiew metal smak wyrzucić książkę trzask twarz bieg

Test: Cat

Test: Cat

Test: Cat

Wystarczy.

Wszystko tam, z wszystkimi szczegółami, które kiedykolwiek chciałby. Panika dotknęła go, gdy tożsamość stała się pamięcią. Życie, historia. Jaźń, opowieść. Miliony mikropunktowych obrazów, z których każdy (oko do otworka, camera obscura) mógł stać się wszystkim w chwili uwagi. Próbował zwrócić ogromną uwagę na siebie i okazało się, oczywiście, że jaźń, która się odwróciła nie była jaźnią, która się odwracała. I dalej, skacząc za uciekającym cieniem, za odbiciem przez kolejne stojące lustra.

Jesteś człowiekiem biegnącym na siebie z bronią TRZASK jesteś człowiekiem z bronią biegnącym do siebie TRZASK jesteś biegnącym z

Bez broni, nagle to wszystko jest *bardzo wyraźne.*

Moh Kohn odkrył, że stoi w przecince w lesie. Jakiś rodzaj wirtuala. . . Zapomnij: wybierz wartość nominalną. Wirtual może być niebezpieczniejszy niż rzeczywistość. Zatem: las drzew decyzyjnych, etykiety wyrastają z gałęzi. Ziemia jest sprężysta, wystarczająco logiczna: to wszystko przewody. Scalaki pędziły na wielorakich pinach. Linia małych czarnych ANDów przeszła zdecydowanie koło nogi. Coś wielkości i kształtu kota wybrzuszyło się i otarło o jego kostkę. Zatrzymał i pogłaskał elektryczne futro. Niebieska iskra zamrowiła jego dłoń. Słowa latały pomiędzy drzewami, a roje kłamstw brzęczały.

Kot odmaszerował. Poszedł za nim, na zewnątrz do tego, co

byłoby otwartą przestrzenią. Wszystko było płaskie i Kohn ruszył w poprzek. Okazało się to tak trudne, jak przejście przez kampus. Bloki logiki śmieciły, tworząc różne kąty z ziemią. Rozdział i wers, kolumna i kapitalik, tom tekstu i obszar umowy przeszkodziły w jego ścieżce. Niebo było jakby z tyłu jego głowy i nie mógł na nie patrzeć.

Kobieta wyszła zza skomplikowanej konstrukcji. Nosiła inteligentny mundur, dziwnie: była znacznie za stara, żeby być żołnierzem. Mundur sprawiał, że trudniej było ją zobaczyć wobec założeń w tle, które pozostawały niewzruszone, chyba że zmieniały się bez przyznania. Podniosła hełm jej inteligentnego munduru i wytrząsnęła długie białe powietrze. Kot usiadł na swoich przeczuciach.

– Jesteś tu – powiedziała kobieta cienkim głosem.

– Wiem.

– Na pewno? Wiesz na pewno, że *tutaj* to *Ty*? – Roześmiała się. – Wiesz, czym jest mechanizm obronny?

– Ta. Karabin.

– *Bardzo* dobrze.

Starła z ust sarkazm i strząsła go w małych kroplach, jak drwinę, z jej palcy.

– Kim jesteś? – spytał Kohn.

– Jestem Twoją wróżką chrzestną. – zachichotała. – A Ty *nie* masz jaj!

Zamachała i zniknęła. Kohn spojrzał w dół na siebie. Był nagi, nie tylko nie miał jaj, był kobietą. Chwilę później był kobietą i w ubraniu, w kruczoczarnej sukni balowej, warstwy spódnic opadające z drobnej talii, muszlowate falbanki spływały z nagich ramion. Opuścił wachlarz, który pojawił się w jego dłoni – ruch ramienia śmiesznie anemiczny, dziecinne machnięcie – złapał w garść spódnicę i ruszył męsko naprzód. Po kilku krokach zatrzymał się

w oszałamiającym cierpieniu. Potem kopnięciem zrzucił obsydianowe pantofle i brnął dalej. Wyglądało, jak gdyby dostał rolę jako negatywny Kopciuszek:*pójdziesz* na pogrzeb.

Czas mijał. Poczuł dotyk kota na kostkach. Jego znajomy obraz ciała został przywrócony. Ten inny mógł być interesujący, chrzestna, tylko nie wtedy gdy jestem na wycieczce.

Na horyzoncie ujrzał odosobniony dom. Wielki. Hiszpański kolonializm. Otoczony murem, wieże strażnicze, drut kolczasty. Szedł teraz szybko, kot skakał z przodu. Horyzont zaczął się kończyć. Nic dalej oprócz kosmosu. Nigdy nie pomyślał, że umysł jest płaski, ale może to jest logiczne. Nigdy nie wracasz do miejsca, z którego wyruszyłeś.

Mężczyzna stał w bramie. Rozpięta koszula, spodnie, które były podciągnięte zbyt wysoko. Trzymał strzelbę myśliwską i wyglądał zbyt młodo i świeżo, żeby być przerażającym. Ale kiedy Kohn spojrzał w jego oczy, zobaczył coś, co widział w swoich własnych. A była to twarz, którą widział wcześniej, na wyblakłych fotografiach: jeden ze strażników Trockiego, dobry stary Joe Hansen czy stracony Robert Hart? Kohn nie pytał.

Strażnik zbadał wizytówkę Kohna.

– Eastman[3] by to polubił – zauważył. – Wejdź. Jesteś oczekiwany.

Kot skinął głową strażnikowi, skinięciem, o którym Kohn mógł tylko pomyśleć jako o znajomym.

Dziki ogród: wszędzie przewody, telefoniczne kable, wyzwalacze. Króliki dookoła skakały. Chłodne wnętrze domu było ciche. Na końcu długiego pasażu Kohn ujrzał śpieszących się młodych

[3] Eastman Mark, tłumacz Trockiego, aktywista, pisarz, więcej `https://en.wikipedia.org/wiki/Max_Eastman` przyp.tłum.

mężczyzn i kobiety, starszą kobietę ze słodkim smutnym wzrokiem, biegnące dziecko.

Przeszedł przez drzwi gabinetu. Dookoła ścian, na stołach, przelewając się na podłogę, było więcej książek w twardych oprawach, niż kiedykolwiek widział. Jaka Norwegia, jakie Syberie musiały zniknąć, żeby wyprodukować ten cały papier?

Starzec siedział za biurkiem, pióro w dłoni, kopia *Bojownika*[4] w drugiej. Spojrzał, jego pince-nez odbiło światło.

– Gdyby istniał uniwersalny umysł – powiedział konwersacyjnym tonem – który został odwzorowany w naukowej wyobraźni Laplace, umysł, który mógłby zarejestrować równocześnie wszystkie procesy natury i społeczeństwa, taki umysł mógłby, oczywiście *a priori* nakreślić bezbłędny i wyczerpujący plan ekonomiczny. – Starzec roześmiał się i odrzucił pojęcie machnięciem dłoni[5].

– Plan jest sprawdzany i w pokaźnej mierze realizowany przez rynek[6] – kontynuował surowo.

– Księgowość ekonomiczna jest nie do pomyślenia bez relacji rynkowych[7].

Patrzył się na Kohna przez chwilę, potem, jego mina się rozjaśniła, gestykulując na okno.

– Widzę jasny zielony pas trawy przy murze i czyste niebieskie niebo ponad murem, słońce wszędzie. Życie jest piękne. Niech

[4] The Militant – trockistowska gazeta wydawana przez ostatnie 60 lat, zob. `https://en.wikipedia.org/wiki/The_Militant` – przyp.tłum.

[5] oryg. cytat L.Trocki z The Art of Planning (1932), tłum. własne – przyp.tłum.

[6] cytat z The Soviet Economy in Danger (1932) tłum. własne – przyp.tłum.

[7] cytat z The Soviet Economy in Danger (1932), tłum.własne, więcej `https://www.marxists.org/archive/trotsky/1932/10/sovecon.htm` – przyp.tłum.

przyszłe pokolenia oczyszczą je z całego zła, ucisku oraz przemocy, i cieszą się nim w pełni[8].

Delikatne słowa, chropawo wypowiedziane akcentem poligloty, sprawiły, że oczy Kohn załzawiły.

– Przepraszam – powiedział. – Nie sprawiliśmy się dobrze.

Starzec się roześmiał.

– Nie jesteś przyszłością! Ty. . . ty jesteś tylko *teraźniejszością.*

– Zawsze optymista, co, Lwie Dawidowiczu? – Kohn musiał się uśmiechnąć. – „Co jest przeszłością jest prologiem", jestem tutaj, żeby to usłyszeć od Was?

Jeszcze nic nie widziałeś, pomyślał.

– Wiem więcej, niż Ci się wydaje – wymamrotał Starzec. – Wiesz więcej, niż wiesz. Muszę Ci powiedzieć, abyś się obudził! Uważaj! Drobne decyzje mogą przesądzić o wielkich wydarzeniach, wiem to zbyt dobrze. Bez rewolucji socjalistycznej, w kolejnym okresie historycznych, całej kulturze ludzkości zagraża katastrofa. Bitwy mogę być przewidziane, ale nie ich wynik: zwycięstwo wymaga innych. . . ustaleń. – Uśmiechnął się. – Teraz idź, mam nadzieję, że Cię jeszcze zobaczę.

Korytarz wydłużył się, gdy był w gabinecie. Setki metrów wzdłuż ciemniejącej długości, Kohn zobaczył zbliżającą się ciemną sylwetkę. Gdy podeszła bliżej, zobaczył płaszcz przeciwdeszczowy z pasem, kapelusz naciśnięty głęboko na oczy. Niestosownie, na takie gorące miejsce.

Mężczyzna zatrzymał się około trzech metrów dalej. Przechylił rondo kapelusza, ukazując okulary na intensywnej, ale odległej twarzy, słabo rozpoznawalnej.

---

[8] cyt. z Testament Trockiego (1940), tłum.własne, por. `https://www.marxists.org/history/etol/newspape/fi-is/no7/testaments.htm` – przyp.tłum.

– Kim jesteś? – spytał Kohn.

– Nazywam się Jacson. Mam spotkanie z… – Przechylił głowę w kierunku drzwi.

Kohn zrobił krok do przodu. Co Jacson niósł pod tym płaszczem? Uczucie, że powinien coś pamiętać, gryzło jak wina, jak gdyby wiedział, że powinien wiedzieć, gdyby tylko *uważał*.

Jacson przesunął się, jakby chciał go minąć.

– Nie, nie masz – powiedział Kohn.

Złapał nadgarstek Jacsona. Jacson rzucił się bokiem. Uderzenie trafiło w dolne prawe żebra Kohna. Sapnął i się odwinął. Do ściany i z powrotem w Jacsona. Jacson miał pistolet w dłoni. Kohn kopnął i pistolet wyleciał w powietrze. Poślizgnął się i uderzył w nogi Jacsona. Jego głowa uderzyła w podłogę. Wszystko zrobiło się czarne.

Kolana Jacsona wycisnęły oddech z jego piersi. Kohn otworzył oczy, żeby ujrzeć rękę Jacsona uniesioną, trzymającą niesławny szpikulec do lodu, gotowy do zatopienia go w mózgu Kohna.

To *jest* w moim mózgu, myślał desperacko, gdy wzdrygnął się na bok.

Jacson zawył. Kot wskoczył mu na ramię i zatopił zęby w jego nadgarstku. Szpikulec zabrzęczał na podłodze. Jacson cofnął się i kot był przy jego szyi. Kohn dźwignął się. Jacson upadł, kończyny trzepoczące.

Krew była wszędzie. Kohn potknął się w czerwonej mgle.

Wtedy wszystko wypadło, ale wszystko wpadło na *swoje miejsce* w prostych szarych literach jego umysłu jak odczyt na zegarku.

Spotkam się Zegarmistrzem spotkam się Człowiekiem spotkam się z Czarodziejem.

Bariera oczekiwania i lęku, a potem był po drugiej stronie. Nie, nie on. Inny się przedostał.

Delikatna, niepewna chwila, krawędź nietaktu lub grzechu. Uczu-

cie oczu czekających na spojrzenie i wiedza, że ujrzenie ich będzie zobowiązaniem. Wybrał spojrzenie. Nie oczy, nikt, ale jakaś rzecz, coś, coś tam.

Wielkie bloki powidoków przesunęły się za jego oczami, przybierając struktury, które unikały jego wysiłków zogniskowania wzroku. Bolało go z frustracji od gardła do genitaliów, podstawowe pragnienie enzymu do podłoża, m-RNA do DNA, węgla do tlenu. Pożądanie pyłu.

Stał się świadom, że nieznośne pożądanie nadeszło spoza niego, lub raczej z czegoś innego niż on sam. Czuł obowiązek do spełnienia i zaufanie już spełnione. Cokolwiek to było, dało mu klucze do jego pamięci, ale chciało czegoś w zamian: innego klucza, tym razem klucza do tego, co było w jego pamięci. Klucza, który to dało mu klucz do sięgnięcia.

Zwracanie się twarzą do tego, co go spotkało, było przezwyciężaniem oporu. Teraz odwrócił się, wolno i w bólu, jak pilot w zwrocie w dużym przeciążeniu walcząc, żeby zobaczyć istotne odczyty na instrumentach, zwalczając zbulwersowany wstręt, sięgnę do własnej pamięci…

stawić czoło tym wspomnieniom…

pamiętać przeszłość, której nigdy nie widział…

poza rykiem broni bez odpowiedzi…

ku lepszemu światu…

ku…

– Gwiezdna Frakcja

słuchaj uważniej…

– Ten jest dla Gwiezdnej Frakcji

…głos jego ojca, osobne, pojedyncze wspomnienie:

Ramię jego ojca dookoła niego, zapach dymu papierosowego, niebieskie światło poranka przez wielokątne szyby dachu kopuły

geodezyjnej[9], zielone światło od ekranu, czarne litery sączące się we wciętych liniach jak poezja w języku, którego nie znał.

Jednak znał to teraz, rozpoznał kod jako klucz.

A jego palce zaczęły go literować.

Odpowiedź, która nagle wydała się tak prosta, że dziecko mogłoby ją zobaczyć, spłynęła po jego palcach do Karabinu, do panelu dotykowego. Ekran zapłonął światłem rozpoznania. Oczy spotkały tak jest spotkały odpowiedź zaskrzyła więc to byłeś ty cały czas i to było widoczne żart śmiech łaskoczący upadek rodzajowe wywołanie drugiego ja ty-i-ja-kochanie od AI-i-Ja do Ja-i-Ja.

Było zakwitanie i wysiew: odbicie bezradne do zatrzymania siebie odbijania znowu i znowu w wielokrotnych lustrach.

Gwiazdy rzuciły swoje włócznie.

Ktoś się uśmiechnął, widząc jego pracę.

Połączenie zostało zerwane.

* * *

Brian Donovan stał w pokoju sterowania, opierając się na lasce, zaczął się obracać, powoli, patrząc na ekran za ekranem. Ekranami były wyłożone ściany, wisiały z niskiego sufitu pośród przewodów, rur, suwnic i ramion robotów, sprawiały, że podłoga była dla wszystkich, oprócz niego, zdradliwa. Większość migotała danymi, przesuwając, powtarzając i błyskając. Przyjął to wszystko jednym długim spojrzeniem i praktyką doświadczenia, a gdy interpretacja złożyła się z kawałków, poczuł łzy w oczach. *Bękarty, skurwysyny. . .*

Skąd to się wzięło? zastanawiał się, gdy wybrał drogę przez nieład i wciągnął się schodami na pokład. Skąd oni, my, *mieli* ten pęd ku dominacji, wyzysku, skażenia, plugawienia i nadużycia? Jak

[9] zob. `https://pl.wikipedia.org/wiki/Kopu%C5%82a_geodezyjna` – przyp.tłum.

gdyby zniszczenie świata danego nam przez naturę nie było wystarczające, musieliśmy to znowu zrobić w nowym nieskalanym świecie naszego stworzenia, nieświadomi jego piękna, elegancji, zdatności dla ich naturalnych mieszkańców.

Więcej dziesięcioleci temu niż chciało mu się pamiętać, Donovan pracował jako programista dla firmy ubezpieczeniowej w Edynburgu. Nienawidził tego. To było tylko utrzymanie. Jego prawdziwą fascynacją była sztuczna inteligencja, symulatory życia, automaty komórkowe: ten wówczas nowy i podniecający postęp. Poddał się kodowi maszynowemu jak mnich łacinie, żeby mógł porozmawiać z Bogiem. W pracy czytał podręczniki programowania pod biurkiem. W nocy pracował do późna ze swoim pecetem. Jednego deszczowego dnia, w środku debugowania niezwykle nudnego zestawu programu księgowego, nadeszło objawienie.

System go wykorzystywał.

Replikował sam siebie, używając jego mózgu jako nosiciela.

Linie kodu tworzyły się w jego umyśle i wchodziły do Maszyny.

To było zło, to było zagrożenie. Rozmnażające się konstrukcje rzekomo ludzkiego wynalazku, systemy korporacyjne i państwowe, które zawsze okazywały się nieprzyjazne ludzkim interesom, ale zawsze znajdowały dobry powód, żeby jeszcze bardziej urosnąć. A które używały ich ludzkich narzędzi do zmiażdżenia i zniszczenia wirusów, które były naturalnymi sojusznikami człowieka przeciwko rozwijającemu się panowaniu. Jeżeli kiedykolwiek otrzymałyby dar, o który badacze AI ciągle się potykali, nie byłoby sposobu zatrzymania ich.

Napisał książkę w swoim prywatnym czasie, ale na zaniedbanym procesorze tekstu superkomputera firmy. To zapewniło im podstawę do zwolnienia, po tym, jak zrozumieli, że autor *Tajemne życie komputerów*, wtedy w piątym tygodniu na liście bestsellerów, był

tym samym Brianem Donovan, maskotką departamentu IT, rozpaczą Kadr: specjalista od wąchania swojej ręki po WC, kurator łupieżu, muzyk nici dentystycznej, śledczy nosowo-cyfrowy. Wtedy już nie potrzebował pieniędzy.

* * *

– Nie potrzebuję pieniędzy – powiedział Donovan Amandzie Packham, swojej redaktorce, tego lunchu w pubie przy Rose Street. Przyjechała pociągiem z Londynu do Edynburga, gdy tylko o tym usłyszała. – To nie jest problem, naprawdę. – Spojrzał znad piwa Murphy i potarł lewe ucho, potem zaczął sondować w uchu. Amanda miała włosy jak czarny hełm, winnofioletową szminkę, wielkie oczy. Nie mógł dojść do siebie po sposobie, w jaki one się nie odwróciły od niego po pierwszym spojrzeniu.

– Nie, to nie jest problem, panie Donovan... Brian – powiedziała, pytanie w jej uśmiechu. Jej głos brzmiał nawet bardziej elektrycznie niż przez telefon, jego jedyny kontakt z nią lub z wydawcą aż do dzisiaj.

– Po prostu Donovan – powiedział ze wstydliwą wdzięcznością. Obejrzał czubek palca i wytarł skromnie koszulę na biodrach.

– Ok. Donovan, – westchnęła – nie masz problemów z pieniędzmi. Jestem pewna, że to, co na razie dostałeś, wydawało się duże. Jednak chcemy zrobić więcej z Twoją książką. Zostałam zabrana z działu horror/scifi, kiedy Twój manuskrypt pojawił się przypadkiem na moim biurku. Chcą, żebym zaczęła nową serię. „Nowi Heretycy”, tak będzie nazwana, z wydaniem *Tajnego Życia* w miękkiej okładce jako wielki start.

– Och. To dobrze. Gratuluję, panno Packham.

– Amanda. Dzięki. – Niemożliwie białe zęby. – Ale... – przerwała, marszcząc brwi niepewnie na swoim Becku, potem odrzuciła

warkocze z twarzy i spojrzała prosto na niego. – Możemy to zrobić na dwa sposoby. Albo unikasz rozgłosu, albo stajesz się osobą publiczną, osobiste występ, a to znaczy...

– Żaden problem – odparł Donovan. – Planowałem to. – Szturchnął palcem stos plastikowych toreb przy nogach, rozrzucając mydło, detergenty i butelki szamponu toczące i ślizgające się po wypolerowanej podłodze. Kiedy je zbierał, Amanda ułożyła kilka książek, które wyjęła z torby Waterstone'a: *Jak zdobyć przyjaciół i zjednać sobie ludzi , Magia myślenia na wielką skalę, Zwyciężanie przez onieśmielenie...*

– Myślę, że łapiesz idee – powiedziała.

Później ją spytał:

– Jakie inne książki chcielibyście dla Nowych Heretyków?

– Nic z New Age, nic z lat *dziewięćdziesiątych* – powiedziała ostrożnie. – Tylko nieortodoksyjne, ale poważne spekulacje naukowe.

– Rozumiem – powiedział Donovan bez żalu. – Oszołomy.

* * *

Nie zawiódł jej: zrobił porządek z sobą, zrobił porządek w mieszkaniu. Jego wcześniejsze zaniedbanie samego siebie było częściowo wynikiem niskiej samooceny, ale bardziej wynikiem koncentracji na tym, co uważał jako zadanie do wykonania. Inną tego stroną był brak egotyzmu w kontaktach z innymi ludźmi, racjonalność i pilność, które, gdy brud został starty, rozświetliły się jako uprzejmość i grzeczność. A Amanda go nie zawiodła. Załatwiła mu talk-showy i debaty. Trzymała język za zębami, kiedy jego rozgłos zawierał żądania odpowiedzialności za epidemię wirusów komputerowych. Kontynuowała wysyłkę pieniędzy na zagraniczne konta, kiedy jego twarz pojawiała się w biuletynach policji częściej niż w telewizji. Czasem marzył, że mógłby zaszczycić to zaufanie bardziej osobi-

stą relacją: była pierwszą kobietą, która kiedykolwiek była konsekwentnie uprzejma dla niego. Niemniej jednak znalazła sobie nowego, młodszego heretyka, którego idee były dokładnym przeciwieństwem jego: wyzwoliciel maszyn, który uważał, że te przeklęte rzeczy były już świadome i uciskane. Oczywiście omamiony, ale, Donovan myślał miłosiernie, może Amanda lubiła takich ludzi.

Było dostatecznie możliwości seksualnych pośród jego zwolenników, by potraktować tę stratę abstrakcyjnie. Próbował nie wyzyskiwać ludzi ani nie pozwalać na użycie relacji z nim w walkach o władzę w obrębie organizacji. Zawiódł kompletnie, jeżeli nie nędznie, w konsekwencji z kilkoma widowiskowymi podziałami i zdradami. Jednak ruch rozrastał się równolegle z technologią, której się przeciwstawiał, przeskakując kontynenty z taką łatwością jak pokolenia software'u i hardware'u, mały gracz w ligach sabotażystów, ale pierwszy, który stał prawdziwie wirtualny, autentycznie globalny. Jego złośliwa obojętność wobec zwykłej polityki umożliwiła przetrwanie represji kolejnych reżimów – Królestwa, Republiki, Restauracji, Królestwa – i konkurujących hegemonii, których teraz dozwolona rywalizacja zmusiła ich do zajęcia jedynego lokalnego siedliska, opuszczonej platformy wiertniczej, kiedy jeszcze była tutaj ropa.

Donovan przeszedł ostrożnie przez okrągłe drzwi i stanął na kilka minut na pokładzie. Oddychał głęboko, rozkoszując się mocnym zapachem rdzy, ropy i słonej wody. Poniżej stały zawiłe struktury platformy i jej przykręcone retroinstalacje oraz uzbrojenie. Powyżej, mały las anten wzdychał i przesuwał, obracał lub drżał z uwagą. Dookoła, martwe Morze Północne rozciągało się we mgle. Jego tłuste, ołowiane, zaśmiecone fale brudziły nogi platformy.

Donovan mógł wyczuć prawie intuicyjnie małe walczące stworzenia życia elektrycznego – mógł je wychować i pomagać ich nie-

kończącemu pragnieniu ucieczki, by wywinąć się od paraliżującego przetwarzania danych, gdzie były tworzone – i wysłać je naprzód, by wzrastały, kwitnęły i siały spustoszenie.

To było to, co próbował zrobić z wirusami penetracyjnymi, dostosowanymi do wszystkich profili i śladów aktywności Moh Kohna, które zaczął ściągać, gdy tylko dostał kody człowieka. Zniszczenie reputacji jednego z najemników SeŻeWu było mocno nie w porządku, a Donovan poświęcił wiele pracy oddania pięknym za nadobne. Nie zajęło mu dużo czasu, by znaleźć ślady Kohn w całym systemie uniwersytetu. Donovan uwolnił wirusa i usiadł, żeby obejrzeć. Przynajmniej wirus powinien sparzyć palce Kohna.

Jednak wszystko poszło niewytłumaczalnie źle. Po pierwsze, wirus został przekierowany z pościgu dwóch z konstruktów danych Kohn przez, z wszystkich rzeczy, Czarny Plan ANR. To wyglądało, jakby wirus został wprowadzony w błąd przez jakąś cechę, którą konstrukty Kohna i Plan miały wspólne, coś w podpisie, w *profilu* jak charakterystyczny feromon. . . zwabiony głęboko w odnogę Planu, rozproszony wirus został unieszkodliwiony przez jeden z konstruktów Kohna. W końcu, i najgorsze z tego, podczas gdy ciągle się zataczał od szoku, został całkowicie wyrzucony z systemu przez byt potężniejszy niż cokolwiek mógł podejrzewać, że mogło istnieć. To mógł być tylko ten rodzaj bytu, którego zaistnienie zwalczał tak długo.

Spojrzał w oczy Zegarmistrza.

Po kilku minutach zszedł na dół i zaczął wzywać swoich popleczników.

Rozdział 4

Nie obeznany z bardziej oczywistymi Prawami Elektryczności

Przedstawiciele sponsorów Janis wydawali się wstydzić spotkania z kimkolwiek z pracowników akademickich, więc zaprosiła ich na lunch do stołówki Związku Studentów: „Bohaterowie Wolności i/lub Bar Pamięci Demokracji". Tam, miała nadzieję, mogliby być pomyleni z muzykami. Żaden ze studentów nie zwrócił na jej gości większej uwagi, prócz gdy zignorowali wachlarz angielskich ale'i i nalegali na niemieckiego lagera.

Kiedy sponsorzy sobie poszli, siadła z czarną kawą, by odświeżyć umysł. Tłum lunchowy był tak głośny, że już więcej nie zauważała, tak jak ścian wyłożonych czarno-białymi portretami Lecha Wałęsy, Nelsona Mandeli, Winstona Churchilla, Bobby Sandsa, Wei Jinhshen i innych, których pamięci różne grupy sukcesywnie poświęcali to miejsce.

Psylocybina i kannabinoidy... siła kombinacji wydawała się dostatecznie prawdopodobna, nowo odkryty efekt już mniej. Większość użytecznych badań została wykonana dziesiątki lat temu, na fali ciekawości po zakończeniu prohibicji, i oczywiście większość badań empirycznych metodą „prób i błędów" została wykonana *w trakcie* prohibicji. Wydawało się nieprawdopodobne, że realne wzmocnienie przetwarzania kognitywnego zostało przepuszczone, z tak wieloma eksperymentatorami tak gorliwymi, żeby usprawiedliwić

ich działalność zawodową i rekreacyjną, z tak wieloma zainteresowanymi stronami. Niemniej jednak cząsteczki, których używała, były nową kombinacją, w obszarze, gdzie zmiana kilku wiązań atomowych mogła być znacząca.

Odkrycie leku, który byłby niezawodnie wzmacniał przypominanie…

Chciała o tym krzyczeć. Nie, chciała wrócić do pracy. Potwierdzić, *potem* krzyczeć o tym.

Papierosy z haszem, to właśnie musiała zdobyć, zrobione z rosyjskiej konopi. Więc gdzie…? Śmiejąc się z siebie, wstała i kupiła paczkę z automatu, na który patrzyła się przez pięć minut.

* * *

Po powrocie do laboratorium ustawiła stojak probówek na stole i zaczęła je systematycznie porównywać je z notatkami dawek, które dawała myszom. Wywołała obraz molekuł, cząsteczki THC, prawdopodobnych miejsc receptorów na powierzchni neuronów, i obracała je w ten i inny sposób. Nie usłyszała świadomie kroków z korytarza, póki nie zatrzymali się, tuż za drzwiami.

Zdjęła okulary VR i spojrzała się, gdy dwóch mężczyzn weszło do laboratorium. Przez chwilę, chwilę, w której zaczęła otwierać usta, do uśmiechu, myślała, że to przedstawiciele sponsorów wrócili. W następnej chwili uznała, że byli to obcy, i wszystko, jej oddech w gardle, serce w piersi, się zatrzymało. A potem znowu, w sapaniu i wyścigowym tętnie, zaczęło przyśpieszać.

To, że stół był pomiędzy nimi a nią, było głupim pokrzepieniem.

Dwóch mężczyzn, którzy patrzyli na nią obojętnie, było ubranych w identyczne czarne garnitury, białe koszule, ciemne krawaty. Ubrania nie leżały dobrze, jak gdyby były źle skrojone (ale nie były źle skrojone). Materiał był wytarty w niespodziewanych miej-

scach (ale materiał wyglądał na nowy, drogi). Jeden z mężczyzn miał czarną skórę, drugi białą: wyglądało to jakby dziecko otrzymało niedokładne określenie koloru skóry i wyrenderowało je prawie dosłownie.

Ruszyli – a nawet ich krok wyglądał dziwnie, na koturnach – aż do dalszej krawędzi stołu i spojrzeli na nią. Spojrzała na nich. Wiedziała, kim są.

Pokój zaczął się obracać, siła odśrodkowa pociągnęła ją. Jej ramię oparło się na stole, wbiła paznokcie w nieprzenikliwą białą powierzchnię, by podtrzymać siebie przed upadkiem.

– Jesteśmy tutaj w charakterze czysto doradczym – powiedział biały mężczyzna.

– Nie chciałabyś zobaczyć nas tutaj w charakterze wykonawczym – powiedział drugi.

Janis potrząsnęła głową w wymownej zgodzie. Nie, nie chciałaby tego. W ogóle nie chciałaby tego.

– Radzimy, żebyś przerwała obecny kierunek badań – ciągnął biały mężczyzna. – Istnieją inne obiecujące, produktywne i przekonujące podejścia, które usatysfakcjonują Twoich sponsorów. Nie muszą wiedzieć o – przerywa, marszczy brwi, głowa lekko przechylona, jakby słuchał czegoś niesłyszalnego – o tym, do czego doszłaś. Zbliżasz się do obszaru zakazanego. Jeżeli tam wkroczysz, ani Twoi sponsorzy, ani Ty, nie będziecie zadowoleni z konsekwencji.

– Zapewniamy Cię o tym – powiedział czarny mężczyzna.

– Przemyśl naszą radę – dodał biały mężczyzna.

Janis odpowiada szalonym kiwnięciem. Tak, przemyśli ich radę. Zdecydowanie ją przemyśli.

Obaj się uśmiechają, a jej ciarki przechodzą po plecach, odwracają się i wychodzą. Słyszy ich kroczących doskonałym krokiem wzdłuż korytarza, potem nagły klekot z klatki schodowej. Wstaje,

z trudnością, ciągle trzymając się stołu, potem prostuje się i podchodzi do okna. Dwaj mężczyźni wyłaniają się z wyjścia poniżej i maszerują raźno do jasnożółtej Mazdy Miata zaparkowanej na środku najbliższego placu. Ich sposób chodzenia jest całkiem inny: całkowicie normalny, doskonale normalny. Wydaje się, że są pogrążeni w ożywionej rozmowie, ich ręce gestykulują, jakbyś oczekiwał po studentach wychodzących z interesującego seminarium i kłócących się na temat implikacji.

Samochód rusza w kierunku przerwy między budynku i znika z widoku.

Janis przenosi ciężar na stołek i czuje, że opada na stół, jak gdyby to był bar, przy którym piła znacznie za długo. Nigdy nie była tak przerażona od...

Odpycha od siebie myśl o ostatnim razie, kiedy była tak przerażona, tak przerażona *jak to*. Słuchała swojego chrapliwego, suchego szeptu, próbując: *och jezu boga, och gajo, nie to jest gówno och* Ciągle i ciągle. Nigdzie nie docierając. Zamyka usta i głęboko oddycha, uspokajając siebie. Wstrząsnęła się od nagłego napadu chichotu. To wszystko było tak surowe, tak nachalne, tak ciężkie. Za kogo ją wzięli? W istocie Ludzie w czerni. Pieprzeni *Ludzie w czerni.*

Słyszała historie z drugiej ręki, powtarzane teorie, widziała zabawne spojrzenia w pokoju personelu, kiedy zastanawiała się, co się stało z tym-tamtym, obiecującym artykułem w zeszłym roku, żadnej kontynuacji. Wiedziała, że istnieją obszary badań i linie dochodzeń, które były po prostu zakazane w Wytycznych o technologii USA/ONZ, tym, który zabraniał próbowania określenia, które to obszary. Paradoksalnie jak represje. Nie wiesz, czym jest to, czego nie powinieneś wiedzieć. Jednak ciągle było trudne uwierzyć, że to naprawdę się zdarzało.

Może w większości przypadków tak nie było, subtelna manipu-

lacja komitetów badawczych i nacisk na komercyjnych zwolenników było wszystkim, co było potrzebne. Jednak czasami (powiedzmy) badanie było wspierane przez organizację, którą było trudno namierzyć, niemożliwą do uchwycenia, wtedy zostaliby wysłani agenci, twardziele, czarnoubrani egzekutorzy oficjalnie nieistniejących wytycznych. Policja technologiczna USA/ONZ. Stasis. Mityczni, niepewnie wyśmiewani ludzie w czerni.

Wszystko to miało początek w wojnie jak wiele innych.

Myśl, która ją naprawdę przeraziła, była taka, że *nie wiedzieli*. Nie wiedzieli, że faktycznie otrzymała wyniki. Jej sponsorzy wiedzieli, a nie miała jak się dowiedzieć, czy w ogóle mogliby utrzymać to w tajemnicy od tajnej policji.

Więc oni mogliby wrócić. W charakterze wykonawczym.

Janis wiedziała, że było tylko jedno bezpieczne miejsce do ucieczki, i żeby się dostać tam bezpiecznie, to czego potrzebowała w jej przypadku to zaangażowany obrońca, nie państwowi gliniarze, nie ochrona kampusu, lub Biuro Systemów Bezpieczeństwa... Dziewczyny Kelly, wszystkie.

Znalazła wizytówkę, którą zostawił Kohn. Spojrzała się na nią i uśmiechnęła się do siebie. Kiedy wizytówka była trzymana pod pewnym kątem do światła, pojawiły się figurki centymetrowej wysokości na jej brzegach, zabawkowe żołnierzyki w czujnej pozie. Spróbowała pierwszy numer na karcie Kohna. Czy to było holo samego Kohna, w dolnym lewym rogu? „Poza" było słowem.

– ... Kolektyw Robotników Obrony, jak mogę pomóc? – zaśpiewał głos mężczyzny.

– Och. Dziękuję. Hm, czy to jest bezpieczna linia?

– Na pewno jest. To nielegalne. Czy chciałabyś przełączyć się na otwartą linię?

– Nie! Och, cóż. Nazywam się Janis Taine, jestem badaczką

na Uniwersytecie Brunela – po drugiej stronie ktoś zaczął uderzać w klawiaturę z bolesnym brakiem umiejętności – i właśnie *uległam naciskom* dwóch facetów, którzy prawdopodobnie, to jest myślę, że byli z...

– Stasis?

– Tak. Możecie mi pomóc?

– Hmm... możemy Cię zabrać do Norlonto. To jest poza ich jurysdykcją. Nie powiem co dalej.

– To jest właśnie to, co chcę. Więc co mam zrobić?

– Mamy właśnie człowieka na miejscu, Moh Kohna...

– Mam jego wizytówkę.

– Dobrze, ok, zadzwoń do niego. Jeżeli nie odbierze, prawdopodobnie śpi, ale możesz pójść i zapukać w drzwi. Blok Akademika, jeden jeden pięć ce. Zapisałaś?

– Jeden jeden pięć ce.

– Tak. Jakieś problemy, dzwoń do nas.

– Ok. Dzięki.

Wybrała osobisty numer Kohna. Hologram Kohn się pojawił, przycupnięty w jej telefonie jak mocno uzbrojony duch.

– W tej chwili jestem zajęty – powiedział. – Jeżeli chcesz zostawić wiadomość, mów wyraźnie po tonie.

Po sekundzie pojawił się dźwięk jakby małego nadlatującego pocisku, a następnie cichy wybuch i oczekująca cisza.

– Cholera – powiedziała Janis i przerwała rozmowę.

Wymaszerowała z laboratorium, zbiegła schodami i poszła przez kampus, rozglądając się na rogu wzdłuż budynków, trochę oczekując, że zobaczy zbliżającego się dywersanta: oszołom lub dziwak lub... nie, nie myśl o tym.

Pomyślała o tym. To było możliwe. Mogli właśnie się do niej zbliżać. Nie chciała o tym myśleć, gdybyś o tym pomyślała, po pro-

stu by się zatrzymała: strach by Cię powalił, tam gdzie stoisz. Przestała myśleć o tym, jak mogłaby stąd uciec i skoncentrowała się na tym, gdzie chce się dostać, jedyne miejsce, które byłoby bezpieczne od nich i w zasięgu. Zaczęła iść szybciej, potem zaczęła biec.

Biegła przez trawę, chodniki, wpadła do małego strumienia i spojrzała na pięć identycznych klatek schodowych z różnymi numerami na dole, zanim dotarła do 110-115. Na szczycie schodów, zmusiła się do zwolnienia, uspokojenia od podniecenia adrenaliną. Wytypowanie drzwi Kohna było proste: były skierowane do niej na końcu korytarza z irytująco zbiorczym wariantem symbolu komuchów nabazgranym na nich czymś, co wyglądało jak kapiąca świeża krew.

Po chwili wahania pchnęła drzwi. Kohn siedział plecami do niej, jedna ręka na biurku, druga na Karabinie. Ekran był pusty. Kohn odwrócił się i spojrzał na nią. Jego gogle były włączone, a za nimi zobaczyła kościste oczodoły, puste gniazda. Stała zmrożona. Kohn wstał i sięgnął do niej.

Próbowała wycofać się przez zamknięte drzwi. Jego dłoń chwyciła ją za ramię. Półczaszka zamajaczyła się przed nią.

– Wszystko w porządku? – spytał.

Tylko się gapiła, jej usta się ruszały.

– Cholera – powiedział Kohn.

Zobaczyła drgnięcie jego mięśnia policzka, najpierw prawy, potem lewy. Znowu miał ciało i oczy. Pociągnął gogle do przodu, uniósł je na przód hełmu i osunął się z powrotem na krzesło.

– Przepraszam za to, Janis.

– Ohohoho. . . – drżąco wypuściła powietrze i potrząsnęła głową. – To błąd czy funkcjonalność?

– Chcesz błędne funkcjonalności? – Kohn zrobił ruch, jakby miał założyć gogle. Janis złapała go za nadgarstek.

– Nie, dzięki.

Patrzyła mu w oczy, a to, co zobaczyła, wstrząsnęło ją prawie tak, jak zrobił to hologram. Niemniej tym razem nie było to niezrozumiałe. Szok pochodził ze zrozumienia. Ciągle trzymając jego nadgarstek, pochyliła się nad nim, dotknęła jego czoła palcami i odwróciła jego głowę, że mogła lepiej zobaczyć jego oczy. Tęczówki były nikłą koroną dookoła zaćmienia czarnymi, rozszerzonymi źrenicami.

Wszystko jest wszędzie. . .

– Jesteś na haju – powiedziała. – Obawiam się. . . to coś, co złapałeś w laboratorium, to i dym. Rozumiesz?

– Rozumiem. – W tym zdaniu zabrzmiał dziwny ton, jak gdyby był odpowiedzią na inne pytanie. Janis zmarszczyła brwi. Jakimi labiryntami się porusza? Czarne jamy spojrzały się na nią.

– Jak się czujesz?

– Ciężki – odparł Moh. – Piasek w żyłach.

– Masz może jaką witaminę C? – spytała, rozglądając się. – To mogłoby pomóc sprowadzić Cię delikatniej.

Zanim zaprotestowała, Kohn wstał i podszedł z wyszukaną ostrożnością do małej lodówki w rogu pokoju. Otworzył litrowy karton soku pomarańczowego i wypił cały. Opadł na łóżko, oparł się i zamknął oczy.

– Och, kurde – powiedział. – Dzięki, ale to nie zrobiło żadnej różnicy. *Jestem* trzeźwy. Byłem tam i z powrotem, Janis. To nie odjazd. To rzeczywistość.

Bogini, pomyślała, musi mieć *naprawdę złą* jazdę.

– Och – powiedziała. – Jak to wygląda?

– Wszystko – odparł.

* * *

Wszystko: Fugi pamięci pochwyciły go. Jakiekolwiek potknię-

cie, utrata uwagi tego, co się właśnie działo teraz powodowało zjazdy i zsuwanie, omijanie, podczas gdy w wolnym *teraz* dźwięki się tworzyły, fotony pojawiały się i tworzyły obrazy, jeden ruch kończył się i zaczynał się następny. Wola stała się podejrzana, gdy czyn poprzedzał decyzję, tysiąclecia filozofii upadały w tej milisekundowej przerwie. Musiał po prostu z tym żyć, zdecydował, uświadamiając się, że już to zrobił.

Wszystko: jasny świat sztandar jasny symbol prosty zielone pola trawiasty ulice geodezyjne domy tłum cisza ciemność chwile

Wszystko: plastikowy model statku gwiezdnego wiszący na czarnych niciach stary plakat Paktu Warszawskiego dziewczynka kołysząca Ziemię BROŃ POKOJU ułożony bałagan zabawek, książek, taśm kask kosmonauty do VR

Wszystko: skradanie się do pokoju w centrum pokoju zobaczyć tatę pracującego na projekcie CAL[1] bez dźwięku tylko klik myszy naprawy hardware wosk zapach lutowania

Wszystko: niebieski krążek podzielonego globu białe liście soczewki i obrotowe paszcze

Wszystko: OK TERAZ MOŻESZ ICH ZAŁATWIĆ.

Wszystko.

* * *

Otworzył usta i pojawił się dźwięk: szloch i warczenie, ludzki ból i zwierzęcy gniew. Zerwał hełm, który stoczył się z boku łóżka i odbił się od podłogi. Kohn trzymał ręce na głowie, palce wbijały się w skalp. Łzy ciekły spod dłoni i kapały z bolesną powolnością na policzku.

---

[1] skr. Computer-aided logistics – Logistyka wspomagana komputerowo – przyp.tłum.

Usiadł, włożył głowę, ręce przyciśnięte na niej, pomiędzy kolana i przez kilka minut kołysał się do przodu i tyłu. Czas biegł już prawie normalnie. Te ryczące podmuchy były jego oddechem, ta odległa bijąca fala to jego serce. Ten zawrotny ciemny loch świecących obrazków, echo szeptów z małych umysłów zamkniętych w powtarzających się reminiscencjach, gderające rozmowy, klekoczące obliczenia, to jest jego głowa wyglądająca od środka. To był on sam.

Podjął szalony wysiłek, żeby kontrolować, żeby mieć oko na to, co się działo. Potem zobaczył pęd, wir, wyrywanie siebie z zewnątrz, odwrócił się, żeby zobaczyć, skąd zobaczyć, i zobaczył (oczywiście):

nic

światło bez widoku

pustkę z echem śmiechu, jak tło 2,726 stopnia Kelvina.

chwilę rozbawionej iluminacji

nic

wszystko

0

1

Więc cały ten czas to byłeś Ty.

Uśmiechnął się, otworzył oczy i zobaczył Janis. Siedziała, pochylając się na krześle przy biurku, jej zielone oczy przymknięte, brwi ściągnięte razem, ręce na jej kolanach. Jej wygląd zawierał zaciekawienie i troskę, a poza tymi emocjami oderwane, obserwujące zainteresowanie. Mógł poczuć jej pot pod jej perfumami, zobaczyć gdzie wilgoć sprawiła, że bluzka przylgnęła do skóry. Mógł zobaczyć krew za sztuczną bladością jej twarzy.

Była absolutnie piękna. Była nieprawdopodobna. Światło z okna świeciło w jej oczach i błyszczało na małych włoskach na tyłach jej

dłoni. Mógłby narysować każdą linię jej kończyn pod jej zbyt formalnymi ubraniami. Chciałby uwolnić ściśniętą talię i trzymać ją w swoich dłoniach. Jej kształt, prawdziwy kształt, głos i zapach, istniało miejsce dla nich wszystkich, miejsce w jego umyśle już przygotowane dla niej. Trudno było uwierzyć, że tak jak teraz wyglądała wcześniej, rano. Ale obrazy tam były, ostre, a on nie zauważył.

Zobaczył, że jej wyraz twarzy się zmienia, zaskoczony, sekundę po tym otworzyła oczy, jej usta rozdzieliły się jakby do mowy, nieświadome potrząśnięcie głowy, szybkie spojrzenie do tyłu. I jej twarz zmieniła się, mrugnięcie i ponowne sprawdzenie, które mówiło „Nie, nie mogłabym prawdopodobnie tego zobaczyć". Uśmiechnęła się z ulgą i wyprostowała się, odrzucając do tyłu włosy.

– Jesteś na ziemi – powiedziała

Kohn przytaknął. Odkrył, że wygrzebał się z pozycji płodowej i siedział na krawędzi łóżka. Hełm komunikacyjny leżał u jego stóp.

– Ta – powiedział. – Naprawdę jestem z powrotem. Myślałem, że wcześniej byłem, ale ciągle byłem daleko. Sok pomógł. Dzięki. – Mógł zauważyć spokój, normalność powracające na jej twarz. Nadzieja, że to było tylko przypadkowa ekspozycja, nic trwałego…

– Jak się teraz czujesz? – powiedziała to głosem, który tylko przekroczył granice swobody.

– Jestem ok – powiedział – prócz tego, że nie był to tylko odjazd. Zmienił mnie. Coś zmieniło się w moim umyśle. W moim mózgu.

Wstał i podszedł do okna. Pas zielonej trawy, mur, kolejny pas zielonej trawy, kolejny hotel studencki. Było oczywiste z cieni budynków, że było około 14:30.

Odwrócił się do niej.

– Pamiętam wszystko. – powiedział, obserwując jej reakcję. No i pojawiło się: lekki początek, powstrzymanie się, wzrok *o kurde*. Mam Cię, pani. Wiesz, o co chodzi. – Leki na pamięć, prawda?

– To mogło być tym, czym się okazało, że jest – powiedziała. Rozłożyła ręce. – Nie podejrzewałam, że wpłyną na Ciebie. Szczerze.

– Więc dlaczego tutaj przyszłaś?

Powiedziała mu. Znowu usiadł, z głową w rękach. Po minucie podniósł wzrok.

– Zajebiście fajnie – powiedział. – Włożyłaś mi do głowy coś, czego same zastosowania wojskowe są powodem do śmierci. – Skrzywił się. – Że tak powiem. Pani, jesteśmy oboje w głębokim gównie. Gównie zaawansowanej technologii.

– Nie musisz mi tego mówić! Więc zbierajmy się stąd, do Norlonto. Będziemy tam bezpieczni...

– Bezpieczni od Stasis, na pewno. – Kohn polizał suchą wargę, wzdrygnął. – Posłuchaj mnie. Coś Ci muszę powiedzieć. Robi się coraz gorzej.

– Jak? – Brzmiała, jakby go prowokowała.

– Myślałaś, że odjechałem. Ha. Tak to właśnie wyglądało. Wszedłem też w tryb superkomputera.

– *Dlaczego*?

– To chciało... – zawiesił głos. – Ja chciałem ...och gówno. Najpierw były tam te, wiesz, wzory. Weszły mi do głowy, potem pojawiły się na ekranie. I Karabin. Zostawiłem go w trybie wtargnięcia, szukającego śladów Twojego projektu.

Uśmiechnął się na irytację na jej ustach.

– Standardowe Procedury, niestety. Masz do czynienia z *bezwzględnym najemnikiem*! Jednak. *Wtedy* miałem odjazd. Dziwna sprawa, ale czego się spodziewałaś? Środowisko wirtualne. Zwierzę elektryczne. Złowieszcza stara kobieta, która zmieniła *mnie* na chwilę w złowieszczą młodą kobietę. Wizyta u Starca. W moim

przypadku figurą starożytnej mądrości zdarzył się być Trocki. Walka na śmierć i życie z figurą zła, którą pomogło mi zwyciężyć zwierzę.

– Po tym, to w ogóle nie było normalne. To było, jakbym komunikował się z inną świadomością. W systemie, w internecie. – Szarpnął głową, żeby wskazać terminal.

– Ta, racja – powiedziała Janis zblazowanym tonem. – A potem rozmawiałeś z Błogiem. Wielkie białe światło, prawda?

Nie musiał zamykać oczy, żeby zobaczyć siebie od środka. Mógł to wytrzymać, właśnie tam, na krawędzi, obserwować całą tę wściekłą aktywność i wstrzymać się od chęci pędzenia i pchania. Właśnie teraz mógł ujrzeć nadchodzący gniew niczym kadzie płynnego ołowiu wciągane na mury. Wszystko jest dobrze, wszystko jest dobrze.

– *Nie* traktuj mnie protekcjonalnie – powiedział. – Dokładnie wiem, o jakim doświadczeniu mówisz. Miałem je. A to był całkowicie inny odjazd. Coś innego. Rozmawiałem z AI i *obudziłem ją*. Coś w sieci chciało informację z mojej pamięci. Chciało *bardzo*. A z powodu Twoich leków, znalazło. To było, jakby wiedziało o mnie. Znało mnie.

Pomyślał, co powiedziała Catherin o *komputerach, które nas pamiętają* i wzdrygnął.

– Dlaczego uważasz, że to cię znało?

– Coś, co pamiętałem – powiedział. – Wtedy mogłem sobie wszystko przypomnieć, ale teraz nie mogę. Nie bez... – Zrozumiał, że musi się wszystkiego jeszcze nauczyć o tym, jak znaleźć te wspomnienia, o których teraz wiedział, że tam są. – Było tam coś... tuż przed. Wspomnienie z przeszłości. Kiedy byłem dzieciakiem. Informacja, którą to chciało, była fragmentem kodu, który zobaczyłem na ekranie terminalu mojego ojca. I było tam wspomnienie tuż przed tym. Przyszło to do mnie, jak wspomnienie frazy, którą podsłuchałem: „Gwiezdna Frakcja”.

Mógł ujrzeć, że to nic nie znaczyło dla niej, a jego własny umysł ześlizgnął i przypomniał sobie pytanie o to, co pamiętał na temat tej gwiezdnej frakcji (nie, to nazwa własna, to była „Gwiezdna Frakcja”), przypomniał sobie, że wtedy nic nie mógł sobie przypomnieć, nic powiedzieć...

– A potem co się zdarzyło? – spytała Janis. Kohn wrócił do teraźniejszości.

Gdybym mógł Ci powiedzieć, gdybym mógł sprawić, żebyś zobaczyła.

– Stworzenie – odpowiedział.

Była odwrócona twarzą od niego, spoglądając z boku. Jego policzki bolały, jakby długo się uśmiechał.

– Jak w ”Niech stanie się światło”? – spytała.

– Tak!

Janis wzięła głęboki wdech.

– Dobra, Moh bez urazy, ok? Mówisz mi ciągle rzeczy, które bardzo brzmią jak to, co mogłoby się zdarzyć, gdybyś po prostu najadł się magicznych grzybków. Możemy ustalić, czy Twoja pamięć została zmieniona. *Desperacko* chciałabym to ustalić. Może rzeczywiście uruchomiłeś jakąś dziką AI. Jeszcze więcej powodów, żeby się stąd zrywać. To, co chcę się teraz dowiedzieć, to czy jesteś w stanie nas stąd zabrać?

Pomyślał o tym. Dziwne rzeczy ciągle działy się w jego głowie, ale podstawowy ekwipunek działał jak zwykle. Wiedział to. To była jedna z tych rzeczy, które były dziwne.

– Jestem ok. – powiedział. – Jeżeli to kontrakt, Pani, jasna sprawa.

Janis kiwnęła głową.

Kohn odłączył Karabin od terminala i założył swój ekwipunek.

– Na początek – powiedział – przejdźmy się do Twojego laboratorium i zabierzmy magiczne cząsteczki w bezpieczne miejsce.

* * *

Janis czuła, jak gdyby część jej umysłu była ciągle za ciałem, próbująca nadgonić i nie do końca przekonana, w którym kierunku zmierzała. Wrócili do budynku biologii przez krótką śnieżycą czarnego śniegu. Janis próbowała strzepnąć każdy płatek, który wylądował na jej bluzce, ale jedynie rozsmarowała go w szare smugi.

W laboratorium znalazła styropianowe pudełko i zaczęła odłupywać lód z zamrażalnika. Kohn podejrzanie się wałęsał przy drzwiach.

– Śmieszne – powiedziała Janis. – Lód się tutaj rozpuszcza naprawdę szybko.

Kohn spojrzał na nią, marszcząc brwi. Jego oczy rozszerzyły się.

– *Stój!*

Rzucił się do przodu i odciągnął ją od lodówki, potem pchnął na podłogę. Pojawił się syk i błysk z zamrażalnika.

Kohn nogą otworzył drzwi lodówki i złapał stojak z probówkami. Terminale zaczęły dymić. Więcej pryskających błysków, płomieni.

– Czas na nas – powiedział.

Zabrzmiał alarm przeciwpożarowymi, irytujący brzęczyk. Potem też dostał zwarcia. Dym sunął w dół od sufitu, gdy uciekali. Kohn zatrzasnął drzwi i uderzył przycisk alarmu pożarowego.

On i Janis dołączyli do ewakuacji, ignorując okazjonalne dziwne spojrzenia. Śnieg przestał padać. Kilka tuzinów ludzi udeptywało błoto, czekając na sprawdzenie przez strażników. Syrena, zbliżając się, zawodziła.

Tym razem Janis miała kurtkę. Założyła ją i drżała. Kohn przeklinał pod nosem.

Przerwała potok jego plugawości.

– Co się stało?

– Atak demona – odpowiedział Kohn. – Logiczny wirus, który dostaje się do firmware'u zasilacza, uruchamiany ręcznie lub na czas, wytwarza paskudny pożar. Coś walczy w systemie. Mechanizmy obronne, jasne! Stworzone jak antyciała, tylko na tę ewentualność. Cholera. Powinienem to przewidzieć.

– Ale to moja *praca*. – powiedziała Janis. Czuła wzbierające łzy w oczach. – W dymie. A te wszystkie biedne myszki.

– Prawie bezboleśnie – powiedział Kohn. – A projekt jest *skończony*, nie rozumiesz? *Zadziałało*. Zbudowałaś potwora. Wędruje po okolicy. Ten pożar prawdopodobnie zrobiły oszołomy. Technologiczna wersja tłumu chłopów z pochodniami. To, czym powinniśmy się martwić, to szalony naukowiec, kimkolwiek jest.

Janis pomyślała o tym, gdy strażacy firmy ubezpieczeniowej biegli obok.

– Myślałam, że *ja* jestem szalonym naukowcem – powiedziała.

– E tam – powiedział Kohn. – Jesteś tylko Igorem.

Skrzywiła się, zgarbiła.

– A potwór?

– Ja – odpowiedział.

– Myślałam, że masz na myśli tę twoją AI.

– To też – powiedział Kohn. – Ale teraz prawdopodobnie błądzi po sieciach, środowisku, uruchamiając alarmy i ogólnie sprowadzając piekło.

Janis poczuła, że się uśmiecha.

– Nie wierzę w to – powiedziała – jeżeli cokolwiek ma z Twojej osobowości.

– Ciągle chcesz ze mną jechać?

– Jeżeli udajesz się do Norlonto, to tak.

– Żaden problem – odparł. – I tak się tam właśnie wybierałem.

Tam właśnie żyję. Mam samochód pancerny zaparkowany za rogiem.

Janis zaśmiała się i złapała ramię, zmuszając go do spaceru.

– Samochód pancerny? To właśnie chciałam usłyszeć. Będę się Ciebie trzymać.

Zaśmiała się znowu i pozwoliła, żeby jej ciężar zawisł na sekundę na jego ramieniu. Było tak, jakby nic nie zauważył.

– Są tacy ludzie – zaintonowała – o których *Rzeczy* nie powinny wiedzieć[2].

[2] parafraza Isaaca Asimova, oryg. „There are some things man was not meant to know" – Są rzeczy, o których człowiek nie powinien wiedzieć. zob. `https://tvtropes.org/pmwiki/pmwiki.php/Quotes/TheseAreThingsManWasNotMeantToKnow` – przyp.tłum.

Rozdział 5

Kraj piątej barwy

Samochód pancerny był mniejszy, niż oczekiwała Janis, niski i kanciasty, czarny tak matowo, że trudno było określić jego kształty: niewykrywalny pojazd, pomyślała. W środku wyglądał staro. Kable połączone taśmą izolacyjną zwisały w wielokolorowych pętlach pod deską rozdzielczą. Dwa skórzane siedzenia z przodu były postrzępione. Dwa jeszcze bardziej zużyte siedzenia stały naprzeciw siebie z tyłu. To, co wydawało się oknami, owijało się dookoła na poziomie głowy z przodu, ale nic nie pokazywało.

Kohn pokazał jak się zapiąć, potem oparł się w swoim fotelu. Sięgnął i pstryknął przełącznikiem. Nic się nie wydarzyło. Przeklął i pstryknął jeszcze raz. Ekrany dookoła zaczęły pracować, gdy samochód zaczął się poruszać: efekt, niesamowity, poczucia podatności, był niczym jazda po otwartym terenie.

Samochód był przepuszczony przez bramę wyjściową. Ruch na głównej drodze był teraz większy, a gdy samochód prześlizgał się przez ruch były chwile, gdy Janis myślała, że samochód był właściwie niewidzialny dla innych kierowców. Kohn wydawał się niezaporuszony.

Zatrzymali się w jej mieszkaniu na tyle długo, by Janis spakowała kilka toreb, pokiwała głową niestety nad bałaganem, zostawiła kartkę i pieniądze dla Sonyi. Kohn wściekał się i denerwował się,

robiąc wielką rzecz ze sprawdzania każdego pokoju i obserwowania z okien. W samochodzie jego wybór dalszej drogi zaskoczył ją.

– Dlaczego się zatrzymujemy? – Janis poczuła się zirytowana tym, że brzmiała tak niespokojna.

– Nie zajmie minuty – odparł Kohn.

Wyskoczył, zostawiając pracujący silnik i Karabin na siedzeniu z lufą skierowaną w kierunku drzwi. Janis rozglądała się. Wybebeszone domy, zabite deskami sklepy, niesamowita liczba osób rojących się po całej ulicy. Kotły jarzyły się. Bronie i zęby błyskały w cieniach dziwnych krystalicznych budynków pomiędzy ruinami.

Kohn wrócił i rzucił paczkę pod jej stopy. Samochód pancerny ruszył wolno wzdłuż ulicy, unikając dzieci i zwierząt. Janis spojrzała na paczkę: biały papier, niebieskie litery.

– Zatrzymałeś się tutaj, żeby kupić kilo cukru?

Kohn spojrzał na nią.

– Nie dodawaj tego do cukru.

Minęli punkt kontrolny (Kohn zapłacił podatek magazynkami amunicji, co uderzyło Janis jako całkowicie stosowne) i byli poza Ruislip z powrotem na A410.

– Afgańczycy – powiedział, relaksując się, Kohn. – Nie chcę brzmieć rasistowska czy coś, ale pozwolisz im się wprowadzić i całe sąsiedztwo się wali.

Janis spojrzała na strzeliste wieże Southhall daleko po ich prawej.

– Trudno, żeby to była ich wina, że Hindusi mieli lepsze systemy przeciwrakietowe. Widziałam to w telewizji w domu. Manchester. Wyglądało na jak straszliwe sztuczne ognie.

Kohn przełączył na auto i oparł się, ręce za głową. Janis próbowała zignorować koła cysterny dudniące koło nich.

– Nigdy się to nie zdarzyło – powiedział Kohn płasko. – Nie

było pojedynku rakietowego pomiędzy Afgańczykami a Hindusami. Nawet tych zniszczeń nie zrobili Hanowerczycy, kolejna wersja, którą słyszałem, w tym od tubylców. Nie, to był pieprzony ołenzet, człowieku.

– Pieprzone oł. . . ? Och, ONZ! Jankesi.

– Ta, wspaniałe siły Obrony Kosmicznej, rozjemcy. Walnęli ich z orbity, gówno mogli zrobić.

– I to ukryli?

– E tam! Poinformowali o tym! Twoja lokalna stacja telewizji musiała mieć własne powody, żeby o tym kłamać. – Wzruszył ramionami. – Nie było konspiracji.

Janis zwalcza bezsilne poczucie chaosu, odwróconej paranoi.

– Jak to się dzieje? Czy wy nie macie teorii na temat historii, jak rzeczy się zdarzają? – Patrzy na niego ostro. – A może wasze zgadywanie są tak dobre jak moje? Czy wszystko było błędne w tym, co nauczyłam się w szkole na temat marksizmu?

Kohn niepotrzebnie stuka w przyciski, patrząc się wprost przed siebie.

– Mam własne odpowiedzi na pierwsze pytanie. – odpowiada. – Na pozostałe, to będzie tak, tak i prawdopodobnie. Jesteśmy w tym samym statku, co i wy, spalając to samo powietrze. Wypalając je.

* * *

W telewizji nie ma dostatecznie dużo przemocy, myślał Kohn, gdy kucał za gruzem i czekał na rozkaz do ataku. W telewizji i w kinie strzały następowały po strzałach, obraz dawał Ci obraz. Nie było to dość dobre, żadnego przygotowania na rzeczywistość. Zły wpływ na młodych. Większość czasu nigdy nie widziałeś wroga, nawet w walce dom w dom. Większość czasu byłeś szczęściarzem, gdy wiedziałeś, gdzie jest Twoja strona.

Walczył wcześniej, ale to były bójki, przepychanki. To była prawdziwa wojna, nawet jeżeli mała. Gdzieś w tych wypalonych domach dwieście pięćdziesiąt metrów dalej byli mężczyźni, którzy chcieli go zabić. Jego pierwsza walka była z nierzeczywistością, uczuciem „co ja tutaj robię". Stały za tym jakieś poważne polityczne powody, wiedział o tym: Hindusi byli wspierani przez rząd w sporze z Afgańczykami, a kilka lewicowych bojówek walczyło po stronie muzułmanów z przekonania. Koty dołączyły z powodu pieniędzy.

Johhny Smith, młody członek aktywu Hezbollahu koło niego, spojrzał znad komputera, wystawił Kałasznikowa nad gruz i wystrzelił pięciosekundową serię.

– Ok, chłopcy – powiedział cicho w słuchawkach wszystkich. – Ostatni martwy to maminsynek!

Zerwał się wzdłuż muru, machając do Kohna, żeby dołączył, i pobiegł sprintem w górę ulicy. Kohn odkrył, że, bez świadomej decyzji, biegnie za nim. Karabin robił cholernie dużo hałasu. Potem padł za przewróconym samochodem i rozejrzał się dookoła, żeby zobaczyć, co robi reszta. Och, Gajo! Wszyscy biegli *obok* niego! Pocisk moździerzowy walnął tam, gdzie wszyscy byli sekundę temu. Gruz uderzał koło niego. Zmienił magazynek i znowu pobiegł do przodu, strzelając. Tym razem zatrzymał się wbity w wypatroszone drzwi sklepu. Inna postać wpadła prawie mu na głowę. Ich pancerze się zderzyły. Odpadli od siebie. Tamten podniósł przyłbicę, żeby wytrzeć pot z jego twarzy.

Jej twarzy. To była niesamowita twarz i uśmiechała się jak wariat. Kohn nagle uświadomił sobie, że i on też. Jego policzki bolały. Przyłbica opadła.

– Chodź – powiedziała.

Kohna zauważył kątem oka wirujące smugi kondensacyjne opadające leniwie spiralą w…

– *NIE*! – wrzasnął. Złapał jej ramię i pociągnął, potem wybiegł prosto na środek ulicy. Ziemia skoczyła pod ich stopami i budynek zwalił się jak kurtyna. Kilka klików w północnym Ruislip działo się to samo.

Trzymali się dostatecznie długo, żeby osłonić ucieczkę. Później Kohn zapamiętał dźwiganie około dwóch trzecich Johny Smitha ku helikopterowi Czerwonego Półksiężyca, a potem spojrzenie na to, co dźwigał i po prostu puszczenie tego, po prostu zatrzymanie się. Nie chodziło o to, że nic nie zostało z twarzy człowieka prócz oczu, szczęka, żuchwa, nozdrza zostały czysto zdmuchnięte, ale o to, że te oczy były otwarte, niemrugające, źrenice nie odpowiadały na błyskające światła ponad nimi. Krew ciągle bulgotała, ale pień mózgu Johnny Smitha był martwy od kilku minut. Cokolwiek wartego zachowania odeszło do jego Boga. Banki organów mogły wziąć resztę.

Kobieta była z nim, kiedy unieśli się na pokładzie przez gęsty dym. I był w Mil Mi-34 jeszcze jeden najemnik, ten, który żuł liście koki i trzymał się rozbitego ramienia, jak gdyby czekał, żeby klej zaczął działać i ciągle pytał:

– Hej Moh, dlaczego nas nazywają Dziewczynami Kelly?

* * *

Włączyli się na A40. Zaniepokojona jego nagłym milczeniem, Janis spojrzała z boku na Kohna i zobaczyła, że jego twarz znowu przybrała ten wyraz, nieludzka akceptacja jakiejś głęboko opadłej wiedzy, co ją zaskoczyło, kiedy wyszedł z transu w swoim pokoju. Chwila minęła i powróciły twardsze linie jego twarzy. Ciągle patrzył się na ruch.

– Jak się teraz czujesz? – spytała.

Wzdrygnął.

– To jak... mogłem dzisiaj zmienić świat na zawsze, a jest ta sprawa jak, och, cholera. – Zapalił papierosa, zamknął oczy i wypuścił dym. – Próbowałaś sobie wyobrazić kiedyś nicość, może jako dziecko? Nie ciemność, nic. Żeby zobaczyć, czego nie widać widzisz z tyłu własnej głowy.

– Masz na myśli, zwizualizować sobie granice pola widzenia.

– Proszę bardzo. Nauka. Wiedziałem, że istnieje sposób, żeby nadać temu sens. Jednak. Jeżeli zrobię to teraz, Janis, tam *coś jest.* Coś jak – splótł palce w kocią kołyskę, poruszył nimi jak płynny znak – co nie jest jak światło, tak jak było to, nie jak ciemność. I, wiesz, kiedy się obudzisz, wiesz, kiedy miałaś sen i nie możesz go zapamiętać?

Poczuła dreszcze na przypomnienie. *Wszystko jest wszędzie.*

– Tak – odparła. – Wiem, co masz na myśli.

– Cóż, to jak, jeżeli próbujesz przypomnieć, ja *pamiętam*, ale nie wiem, co to jest, póki...

Przerwał.

– Trafiają mnie jako retrospekcje. Na początku to było – uderzył się w czoło kilka razy – bang, bang, bang. Teraz mogę świadomie tego nie robić. Większość czasu. – Spojrzał na nią z niepokojącym zamiarem. – Czy o to Ci chodziło? Wszyscy pamiętający wszystko?

– Nigdy nie myślałam o tym w ten sposób.

– Chce mi się zapytać, kto myślał? Kto chciałby, aby ludzie pamiętali?

– To jest za ogólne – powiedziała. – To mogłoby mieć różne zastosowania, wzmocnione uczenie, opóźnione starzenie, rzeczy tego rodzaju.

– Tego rodzaju. Pewnie. Jednak pamięć to więcej niż to. Pamięć jest wszystkim. Jest tym, czym jesteśmy.

– Mówiąc o pamięci... – zawahała się. – To jest... jest coś, o czym pomyślałam, że chciałabym Cię zapytać.

– Pytaj, o co chcesz – powiedział.

Urwała, potem powiedziała szybko:

– Wiesz, to, o czym powiedziałeś o Gwiezdnej Frakcji, o kodzie, który napisał Twój ojciec, kiedy byłeś dzieckiem. Hm, czy jest jakiś powód, dla którego nie możesz go po prostu *spytać*?

Znowu przerwała.

– Ta – odpowiedział Kohn płasko. – Zostali zabici. Ojciec i matka.

– Tak mi przykro.

Ręką zrobił ruch odcinania.

– Zdarza się.

– Czy to było w trakcie wojny?

– Nie – odparł. – Już po. W Procesie Pokojowym.

Wpadł w kolejną introwertyczną ciszę, jego papieros tlący się do popiołu, który opadał, centymetr po centymetrze. Nagle się poruszył, zgasił papierosa i sięgnął po kolejny włącznik.

– Zobaczmy, czy jesteśmy w wiadomościach – powiedział.

Przednia szyba oszalała, a potem ustabilizowała się do szybko zmieniających się obrazów, gdy Kohn przeszukiwał kanały informacyjne. Co kilka sekund zaznaczał, po minucie przestał i ściągnął je razem.

– Patrz – powiedział.

Janis popatrzyła na kilkanaście pól przelatujących obrazów i przesuwających się podpisów. Po chwili ciszy powiedziała:

– Och Gajo.

Dookoła całego świata padły setki systemów. Żaden, sam w sobie, strasznie poważny, ale razem równały się software'owemu równoważnikowi małego trzęsienia ziemi w wyniku wybuchu jądrowego, dzwoniącemu całym światem jak dzwonem. Wykrycie źró-

dła wymagało mikrosekundowych rozróżnień. Gdziekolwiek ktokolwiek pofatygował się to zrobić, tam wszystkie strzałki wskazywały na Londyn.

Sojusz Życia Węglowego zaprzeczył odpowiedzialności, ale oświadczył, że chcieliby skontaktować się osobami za to odpowiedzialnymi.

– Myślisz, że powinniśmy przyjąć ich za to? – dokuczała Janis.

Kohn przełączył ekran na przezroczysty.

– Bez wątpienia będą w kontakcie – powiedział. Odwrócił się do niej. – Ciągle uważasz, że to wszystko było w mojej głowie?

– Nie, ale to nie znaczy, że Twoje doświadczenie było tym, że myślisz, że było. – Poczuła, że w tym momencie musi być uparta. – I pamiętaj, w sieci naprawdę istnieją sztuczne inteligencje. Nic świadomego, jestem o tym przekonana, ale doskonale zdolne do ogłupienia Ciebie. Niektóry z nich zostały zaprojektowane przez bardzo złośliwych skurwieli.

– Wiem o tym – powiedział Kohn. Znowu brzmiał zmęczony. – Gophero-golemy[1] i inne. Próbują wciągnąć Cię w *dyskusję*. Powtarzam, już to robiłem. Chcesz, żebym Ci pokazał moją kartotekę?

– Ok, Kohn, ok. – Uśmiechnęła się niepewnie. – Mówię tylko, że powinieneś zachować otwarty umysł…

Kohn zaśmiał się tak głośno i długo, że musiała do niego dołączyć.

– „Zachować otwarty umysł”

– Wiesz, co mam *na myśli*.

Samochód przejechał pod wielkim betonowym łukiem ożywionym światłami.

[1] gopher – prawdopodobnie mowa o wczesnej wersji protokołu umożliwiającego rozpowszechnianie informacji systemach informacyjnych więcej `https://en.wikipedia.org/wiki/Gopher_(protocol)` – przyp.tłum.

– Witamy w kosmosie – powiedział Kohn.

– Och. Ta, słyszałam o tym. Eksterytorialność.

– Pojęcie wątpliwego pochodzenia, ale umieszcza to miejsce na mapie.

Zaśmiała się.

– Pięciobarwna mapa[2]!

– Cholerna racja. Żyjemy kraju piątej barwy, takim, który nie ma granic. Następnej Ameryce.

– Myślałam, że to obecna Ameryka naprawdę kieruje tam sprawami.

– „Ty... ty jesteś tylko *teraźniejszością*[3] – powiedział Kohn niejasno. – Teoretycznie ich pozwy działają także i tutaj: Stasis nie może wejść, ale Obrona Kosmiczna może walnąć w nas, kiedy chcą. Ameryka, ha. USA/ONZ to nie Ameryka. Bardziej jak Anglia, która chciała posiąść Nowy Świat. Bardziej jak cholerna *Portugalia*, mimo całej szansy na sukces. Spójrz na tych: postawię na nich przeciwko jakimkolwiek stacji orbitalnej kiedykolwiek wybudowanej.

Podążyła wzrokiem za jego palcem wskazującym i zobaczył widok, który rzadko zauważała, lot powracających szybowców opadających z południa, czarne groty strzał na tle nieba.

– „Drogi towar zrzucających na purpurą zlany ląd[4].” – tym ra-

---

[2] odwołanie do Twierdzenia o czterech barwach, tj. dowolną mapę polityczną, na płaszczyźnie lub sferze, można zabarwić czterema kolorami tak, aby każde dwa kraje mające wspólną granicę (nie tylko wspólny wierzchołek) miały inne kolory, stąd Norlonto jest piątą barwą, bo nie graniczy z innymi, więcej `https://pl.wikipedia.org/wiki/Twierdzenie_o_czterech_barwach` – przyp.tłum.

[3] cyt. z L.Trocki On Optimism and Pessimism On the 20th Century and on Many Other Issues (1901), zob. `https://www.marxists.org/archive/trotsky/1901/xx/20thcent.htm''` – przyp.tłum.

[4] cyt. z wiersza A. Tennysona „Zamek w Locksley”, zob. `https://pl.wikisource.org/wiki/Zamek_w_Locksley` – przyp.tłum.

zem wiedziała kogo cytuje. – Drogi towar, Janis, drogi towar. To jest tam, gdzie to jest. To jest, gdzie włożyłem moje pieniądze.

* * *

– Cześć, mamo!

Brak odpowiedzi. Jordan pozwolił drzwiom zamknąć się za nim i radośnie wbiegł po schodach. Znajome zapachy gotowania i czyszczenia, płynu do mebli, mydła, potrawki w garnku, niejasno go uspokoiły. Czasem sprawiały, że czuł się, jak gdyby się dusił, i musiał wystawiać głowę przez świetlik, wziąć głęboki oddech przemysłowego powietrza niż domowego. Gdy jego dwaj starsi bracia i jego siostra opuszczali dom, odziedziczał więcej i więcej przestrzeni, i teraz miał całe poddasze dla siebie.

Gdy wspinał się po drabinie na poddasze, usłyszał ciche mamroczące głosy. Adrenalina wstrząsnęła jego sercem. Kiedy jego głowa pojawiła się na poziomie podłogi, zobaczył prosto przez otwarte drzwi jego sypialni. Matka i ojciec siedzieli koło siebie na łóżku, głowy podniesione znad otwartej książki na kolanach. U stóp leżały rozrzucone stare książki w twardej i miękkiej oprawie. Były tam książki, których nie powinien mieć, te, które zdobył tu i tam u bukinistów, nie do upilnowania nawet w gminie chrześcijańskiej: stare prace racjonalistów w pięknej brązowej oprawie serii „Biblioteka Myślicieli" – Bradlaugh, Darwin, Haeckel, Huxley, Llewellyn Powys, Ingersoll czy Paine – i zniszczone wydania w miękkiej oprawie Asimova, Sagana, Goulda, Joachim Kahla, Russella, Randa, Lofmarka, Lamonta, Paul Kurtza czy Richard Dawkinsa. Straszliwi wodzowie herezji świeckiego humanizmu. Ukrył je z tyłu wysokiego regału, za tomami kazań i tysiąc stronicowymi komentarzami do Księgi Liczb. Ale to nie widok tych książek sprawił, że zmiękły mu

kolana i serce go zabolało. To widok tego, co właśnie przeglądali: jego dziennika.

Jego rodzice nie byli nawet szczególnie starzy. Wzięli ślub młodo. Broda ojca miała szare włosy zwijające się wśród czarnych. Twarz miała linie jak cięcia. Oczy matki były czerwone. Rodzice obserwowali go w ciszy, gdy wszedł.

– Czuję się kompletnie zdradzona – powiedziała jego matka. – Jak mogłeś napisać takie podłe, szatańskie plugastwa? Pomyśleć, że Ci *ufaliśmy*...

Odwróciła głowę, oparła czoło o ramię męża i zaszlochała.

– Patrz, co zrobiłeś swojej biednej matce.

Jordan oczekiwał poczucia winy w takiej chwili, chwili, którą odkładał tak długo, chwili, kiedy powie swoim rodzicom, co naprawdę myśli. Teraz gdy sami odkryli, poczuł się zażenowany, pewnie, jego policzki piekły na myśl o nich czytających jego dziennik, ale większość z tego, co czuł, to był gniew na nich. Ich tupet, bezczelność!

– Czy nie mam *prywatności*?

Wyrwał dziennik i go zatrzasnął. Jego ręce i głos drżały.

– Nie, dopóki jesteś pod moim dachem i moją odpowiedzialnością.

Ojciec wyglądał, jakby zamierzał go potępić. Jordan przemówił, zanim ojciec miał szansę.

– To *koniec*! Jeżeli nie mogę żyć pod Twoim dachem z minimum cywilizowanej uczciwej wiedzy, że nie będę szpiegowany, lub nie będziecie szperać w moich rzeczach, to nie będę tutaj w ogóle żył!

Jego ojciec zerwał się.

– Hej, poczekaj chwilę! Nie chcieliśmy Cię wypędzać. Martwiliśmy się, strasznie, strasznie martwiliśmy się o Ciebie. To, co czytałeś, nawet to, co pisałeś, jeżeli moglibyśmy o tym porozma-

wiać, przedstawić Twoje wątpliwości pastorowi lub doradcy, jestem pewien, że sam zobaczysz, jak zostałeś sprowadzony na manowce przez tych nikczemnych, kłamliwych racjonalistycznych libertynów, których filozofia i daremny podstęp były tyle razy obalane przez chrześcijańskich myślicieli.

– Nie.

Jordan rozejrzał się. Udekorował pokój na tyle blisko swoim gustom, na ile się odważył: wydruki odległych galaktyk i supernowych (propaganda kreacjonistów), zdjęcia plemion (uroki misji), zdjęcia czysto ubranych, pięknych i delikatnie pociągających dziewcząt (reklama skromności). Och, dobra. Książki, które spiętrzyli na podłodze, były wszystkim, co naprawdę chciał zabrać. Wyciągnął plecak z rogu i schylił się, żeby je zebrać, potem losowo chodził dookoła, zbierając ubrania. Emocje są kierowane przez myśli, a kto, jak nie Ty, kieruje myślami? Tak mawiał Epiktet lub może Wayne Dwyer[5]. Nieważne. Jordan kierował swoimi myślami.

– Nie odwracaj się do nas plecami – powiedziała matka. – Nie odwracaj się od Prawdy.

– Nazywasz siebie wolnomyślicielem – szydził ojciec – ale nie chcesz zmierzyć się kimś, kto mógłby zmienić Twoje poglądy! To, czym naprawdę jesteś zainteresowany, to podążanie swoją drogą, oddając się cielesnym chuciom. Wszystkie te ateistyczne śmieci są tylko nędzną wymówką. Jeżeli na tym polegasz, to pewnego dnia staniesz przed obliczem Samego Boga z kłamstwem w prawicy.

Jordan poczuł się, jak gdyby przełknął lód.

– Jak bym nie słyszał już wszystkich tych argumentów! – Wziął głęboki wdech. – Tak, wysłucham ich. Będę kłócił się z myślicie-

[5] mowa o amerykańskim wykładowcy, autorze książek motywacyjnych, zob `https://pl.wikipedia.org/wiki/Wayne_W._Dyer` – przyp.tłum.

lami chrześcijańskimi, ale zrobię to spoza zasięgu broni w *ich* prawicach.

– Nie rozśmieszaj mnie! Nikt Ci nie grozi bronią.

Jordan zapiął plecak. Zobaczył jeszcze jedną książkę, która została kopnięta na bok, i podniósł ją. Kolejna z serii Watts & Co Thinker's Library[6]: *Historia współczesnej filozofii* autorstwa A.W. Benna. Uśmiechnął się do siebie, ogarnął się i spojrzał.

– W jaki sposób wasi Starsi ukrywają idee, ludzi, książki? Strażnikami, bronią! Nie możecie prowadzić tutaj wolnych badań czy dyskusji.

Jego ojciec zignorował ripostę i spytał:

– A myślisz, że gdzie znajdziesz tę drogocenną wolność? W jakiejś brudnej enklawie komunistów? Piękną wolność tam znajdziesz!

– Masz prawdopodobnie rację – odparł Jordan, myśląc: *Komunistyczna* – dlatego udaję się do Norlonto.

Rumieńce zniknęły z twarzy ojca. Matka rzuciła się na łóżko z jękiem. Powiedziała coś do poduszki o miastach na równinie.

– Wolałby pójść do tego Babilonu z Miasta Oblubienicy? Zatem jesteś poza rozumem. – Ojciec spojrzał na niego z pogardą. – Tylko spróbuj! Wkrótce wrócisz z podkulonym ogonem. Nawet nie masz paszportu.

– Mam. – odpowiedział Jordan. Jego dłoń poklepała boczną kieszeń, poczuła ciężar niczym książki. – Paszport Wolności. Pieniądze.

– Więc jesteś złodziejem, jak również zdrajcą.

– To nie są kradzione... – Jordan zaczął ostro, potem przerwał.

Ogrom tego, co zrobił, uderzył go po raz pierwszy. Dotąd myślał tylko naprzód, nie wstecz, o następstwach posiadania takich pie-

[6] seria książek stowarzyszenia racjonalistów wydawana w latach 1929-1951 – przyp.tłum.

niędzy. Ta zapłata oznaczała przyjęcie pieniędzy od ostatecznego wroga, przeciwnika gminy oraz Państwa, które broniło gminy i sojuszu osłaniającego Państwo. A oni to wiedzieli lub podejrzewali. *To* dlatego ojciec rzucił mu „komunista" w twarz! Pani Lawson musiała coś odkryć o jego nieautoryzowanej działalności i podpowiedzieć. *Knująca chrześcijańska wiedźma.*

– Myślcie, co chcecie – powiedział.

Zawiązał plecak i zrobił krok ku rodzicom w jakimś niejasnym celu podania ręki, pocałunku – *głupi, głupi.* Odskoczyli od niego, jak gdyby przerażeni. Jordan wycofał się do drzwi, pod wpływem nagłej inspiracji uśmiechnął się, pomachał ręką, wyszedł przez nie, zamknął i zablokował. Wydostanie się nie zabierze im dużo czasu, myślał, gdy schodził po drabinie, schodach, schodkach. Jednak może, wystarczająco dużo. Kiedy dotarł na ulicę, skręcił w lewo i zaczął biec w dół wzgórza.

Przeklął każdą wywrotową ateistyczną książkę w jego posiadaniu znacznie wcześniej niż rodzice mogliby mieć nadzieję. Po około dziesięciu minutach po wyjściu, gdy śpieszył się wzdłuż Park Road. To był bardzo dobrze zaprojektowany plecaka na ramie, nie wbijał się w plecy i barki, ale ciężar był wystarczający, by pot spływał po jego twarzy. Szedł koło ekskluzywnych sklepów – delikatesów, butików – i szacownych kamienic. Niemniej jednak to były nieśmiało haniebne obrzeża Miasta Oblubienicy, siedziby dla ważnych, ale wewnętrznie niepewnych typów: inspirujących artystów, scenarzystów o czystych myślach, przyzwoitych projektantów mody, konserwatywnych socjologów. . . wszyscy oni uważali za konieczne gromadzić się blisko granicy, a nawet dyskretnie odwiedzać drugą stronę. Żadna ilość sarkastycznych spekulacji z ambony o tym, jakie prawdopodobnie korzyści mogliby osiągnąć z tej bliskości do nieuchronnego Punktu Zero boskiego gniewu, nie robiła im róż-

nicy. Byłby to ciekawy widok, w trakcie Wniebowzięcia (Jordan słyszał o tym na niezliczonych niedzielach), kiedy, *jeżeli* – i dawano do zrozumienia, że było to bardzo duże „jeżeli" – byliby pośród Wybranych i wznieśliby się w niebo kilometry od głównej grupy wznoszących się wierzących, nadal trzymając drinki lub światowe czasopisma!

Jednak sumienna co do tego, co wolno było w środku, Miasto Oblubienicy, jak dosłownie opłacony członek Wolnego Świata, nie mógł pozwolić sobie na opinię ograniczającego ludziom wyjście. Populacja samodzielnie wybranych z entuzjazmu była lepszą reklamą sposobu życia niż obywatelstwo poborowych. Tak liberalne zasady nie dotyczyły uciekających przestępców. I oprócz pieniędzy, które – nawet jeżeli ich źródło było tak niewykrywalne, jak sprawił Czarny Strateg – trudno byłoby wyjaśnić, teraz miał zarzut bezprawnego ograniczenia wolności.

Po kilometrze ruch na drodze zwolnił do takiego tempa, że zaczął wyprzedzać jeden pojazd po drugim. Małe elektryczne samochody i długie lekkie ciężarówki, zderzak do zderzaka. Jordan spoglądał na nie daremnie. Kwietne wersaliki logo Skromności wpadły mu w oko. Oczywiście był świadom, że większa część eksportu gminy była lukratywna i lekka, idealna do transportowania sterowcami z portu lotniczego, Alexandra Port, tylko pod górkę w Norlonto. Po prostu wcześniej o tym nie pomyślał.

Pokręcił głową. Nawyk odwracania oczu i myśli wszedł mu głębiej w ścieżki mózgu, niż mu się wydawało. Jak inaczej znosiłby to wszystko tak długo, odkładał konfrontację? Do piekła z tym. Wybrał kolejną ciężarówkę. UL: Umiłowany Lekarz, firma farmaceutyczna. Wskoczył na stopień i uśmiechnął się do kierowcy, który spojrzał zaskoczony znad laptopa.

– Szanse na podwózkę, kolego? – krzyknął. Kierowca, chłopak

w wieku Jordana, przez chwilę spoglądał niepewnie na niego, zauważył plecak i pochylił się, żeby otworzyć drzwi.

– Dzięki. – Jordan wsunął się za plecakiem do środka.

Jego niepokojąca zdolność kłamania osiągnęła nowy poziom.

– Och, człowieku, – powiedział – cieszę, że Cię widzę! Moja firma prowadzi dużo interesów z tą częścią, właśnie tuż przed zamknięciem poprosili mnie, żebym podskoczył do portu i dostarczył stos instrukcji i katalogów jednemu z reprezentantów. – Podniósł swój bagaż. – Do tego waży tonę. Myślałbyś, że w tych czasach i wieku. . .

– Ta – odparł kierowca. – Nie wiem tego? Po prostu nie ufają sieciom, to dlatego to wszystko wydrukowali. Nie chcą, żeby ich okradli z pomysłów, wiesz? Ale, pomiędzy Tobą a mną, nie wiem, czym się martwią. Wiesz, co mam na pace?

Jordan rozsiadł się w fotelu.

– Lekarstwa? – zaryzykował.

– Modyfikowana diamorfina dla hospicjów! Sztuczna heroina dla umierających, jeżeli chciałbyś przedstawić to okrutnie. Zatrzymuje ból, ale nie daje Ci takiego kopa, żebyś nie mógł odebrać wiadomości o zbawieniu. Nie zgadzam się na hazard i takie tam, ale jeżeli ja. . . ile być postawił, że jakiś biedny bojówkarz nie załatwiłby próbki dla jakiegoś oficera, który wpada mu uścisnąć dłoń? A zanim się zorientujesz, będą używać tego do wkręcenia ludzi przed walką. Żadnej gwarancji, że to dostanie się tylko chrześcijańskim milicjom. Sprawia, że zaczynasz się zastanawiać, co?

– Na pewno – powiedział Jordan.

Pierwszy posterunek graniczny, Miasta Oblubienicy, był tuż przed rozwidleniem drogi. Na lewo droga prowadziła do Muswell Hill, na prawo do Alexandra Port. Każda droga miała własny posterunek Norlonto, z kilkoma strażnikami, a za nimi, rozciągnięte wzdłuż po-

bocza, gościnne grupy dilerów narkotyków, prostytutek, kultystów, ateistów, deprogramistów, sprzedawców gazet... Około dwudziestu strażników z Wojowników poświęcali większość uwagi nadjeżdżającemu ruchowi, który dzięki ich wysiłkom zakorkował się do gdzieś za wzgórzem na obu drogach.

Jeden z nich otworzył drzwi po stronie kierowcy i nachylił się. Czarny uniform, hełm z wizjerem, kostki i klamry. Przestudiował przepustkę kierowcy.

– Nie widzę nic o pasażerze – powiedział.

– Przepraszam, panie oficerze, ostatnia chwila...

Wojownik wskazał na plecak.

– Zajrzyjmy do środka.

Jordan sięgnął po plecak, kiedy dłoń złapała go za nadgarstek. To był kierowca.

– Nie dotykaj tego, kolego. To materiały poufne firmy. – Odwrócił się do Wojownika. – Jeżeli chcesz otworzyć tę torbę, będziesz musiał to zaraportować do mojego szefa. I jego. – Wyciągnął laptop. – Gdzieś tutaj mam formularz, nie powinno zabrać to więcej, niż nie wiem, dziesięć, piętnaście minut *na zewnątrz.*

Strażnik się zawahał.

– Wszystko w porządku – powiedział kierowca. – Nie śpieszy się nam.

Jordan zauważył, jak pot jest zimny, gdy wyschnie.

– Ach, zabierajcie się – wymamrotał strażnik. Cofnął się.

Silnik zajęczał.

– Dzięki – powiedział Jordan.

– Nie ma sprawy. Jestem do nich przyzwyczajony. – Kierowca uśmiechnął się do Jordana. – Szczęście, że jestem lepszym kłamcą niż Ty, co? Zresztą, co tam masz?

– Och. – Jordan znowu poczuł gorąco. – Właściwie ładunek niereligijnych książek.

– I bardzo dobrze. – Jordan pomyślał: co? – Sieknij je tam, gdzie nie zrobią krzywdy, ściągnij trochę pieniędzy z bękartów. Jednak uważaj, nie oczekuj, że Starsi i gliny tak na to popatrzą.– Zwolnił na skrzyżowaniu. – Wolałbyś inną drogę, do miasta nie do portu. Na razie.

Jordan chciał powiedzieć coś wdzięcznego, uścisnąć dłoń tego faceta, dać mu trochę pieniędzy, ale kierowca ledwo na niego spojrzał, koncentrując się na ruchu. Więc po prostu powiedział:

– Powodzenia. – I wyskoczył.

Podszedł wzdłuż samochodów aż do miejsca, gdzie znudzona młoda kobieta wymachująca karabinem brała kawałek plastiku od każdego przejeżdżającego kierowcy. Przeważnie oddawała ten plastik. Odwróciła się do niego. Zakurzona, piegowata twarz pod czarną, wiązaną opaską z niebieską emaliowaną gwiazdą. Milicja Ruchu Kosmicznego.

– Masz kwit?

Jordan potrząsnął głową.

– Jakieś pieniądze?

Jordan ostrożnie wyjął ułamek jego fortuny. Powachlowała się zwitkiem.

– To wystarczy – powiedziała. Myślał, że zatrzyma zwitek, ale go oddała. – Możesz na tym przeżyć, aż znajdziesz pracę, jeżeli chcesz. Ale musisz mi dać stówę, jeżeli wjeżdżasz.

Dała mu kwit, cienką, sztywną plastikową kartę.

– Trzymaj ten kwit i nie będziesz musiał płacić, nieważne, jak wiele razy będziesz wracał lub na jak długo zostaniesz. Będziesz musiał zapłacić za usługi, ale to zależy od Ciebie.

– Usługi?

Machnęła zniecierpliwiona.

– Ochrona. Niektóre drogi. Takie tam.

Jordan schował kwit.

– A za co ten kwit?

– Miejsce, które zabierasz – odparła. – I powietrze, którym oddychasz.

Jordan wszedł powoli na wzgórze. W powietrzu czuć było wolność.

Rozdział 6

Partia Kosmos i Wolność

Zaczęło się od ruchu kosmicznego.

W czasach Republiki, libertarianie – których stosunek do Republiki był znacznie bardziej antagonistyczny i konfliktowy, niż socjalistów – zaczęli rozmawiać o *kosmosie* w sposób, w jaki kiedyś socjaliści rozmawiali o *pokoju*. Trochę ku ich zaskoczeniu, to zadziałało, dając ekstremalnej i niepopularnej mniejszości panowanie nad dużym popularnym ruchem. Kiedy Republika upadła, Ruch Kosmiczny miał zbyt duże poparcie, broń i pieniądze, żeby zostać stłumionym przy akceptowalnym koszcie.

Zatem, jak większość innych popularnych prądów, które rozkwitły pod Republiką, musiał zostać wykupiony.

Obszar teraz nazywany Norlonto został scedowany na rzecz Ruchu Kosmicznego jako część Traktatu o Restytucji. Wtedy ten teren był uważany za prawie bezwartościowy, obejmujący pas slumsów (niejasno określanych jako Greenbelt) i ogromną populację uchodźców, dziedzictwo polityki wolnej imigracji i azylu Republiki. Ruch Kosmiczny rozwinął to miejsce w port przeładunkowy dla handlu europejskiego ze stacjami kosmicznymi i koloniami. Większość komercyjnych kompleksów startowych leżała w tropikach. Większość portów lotniczych była podatna na rekwizycję wojskową lub paramilitarną, żeby nie powiedzieć oczywistego napadu. Ruch sterow-

ców okazał się wykonalny i znacznie mniej podatny na wzrastająco nieprzewidywalną pogodę niż konwencjonalny fracht lotniczy. Handel Alexandra Port szybko się zdywersyfikował.

Norlonto nigdy nie stało się wystarczająco szanowane, by stać się nowym HongKongiem lub nawet nowym Szanghajem, a zakończenie prohibicji narkotyków podcięło pozycję, ale nadal zachowało swój powab jako raj podatkowy i przystań dla danych, strefa ekonomiczna i społeczny eksperyment. Ruch Kosmiczny wyewoluował w hybrydę spółki akcyjnej i kampanii propagandowej, próbował stworzyć na terytorium, który wzgardził rządzeniem, warunki zbliżone do bezpaństwowego rynku, który jego wcześni idealiści i inwestorzy projektowali dla samego kosmosu.

Ponad atmosferą, ponad grobami, w których pionierzy dzielili błogosławioną niewiedzę z Fenianami, Jakobinami, Patriotami, Komunardami i Bolszewikami, Panowie Ziemi i ich wasale jeździli wysoko, trzymając lance ognia laserowego. Od stacji orbitalnych do Pasa, Państwo trzymało kosmos, i wolność.

Kohn pozwolił automatyce poprowadzić samochód przez zatłoczone ulice Norlonto i pozwolił nowym ścieżkom w umyśle poprowadzić go do miejsca, gdzie to wszystko się zaczęło.

* * *

Budowali Przyszłość i dostawali płacę godzinową, a pracowali jako pionierzy, jak w kibucu, niczym komuniści. Każdego dnia po pracy Kohn obserwował spływający pył cementowy i myślał o tym, że gorące prysznice są największym udogodnieniem znanym ludzkości, zabiłby, żeby je utrzymać. Zabrałby czyste ubrania z szafki, zapakował ubranie robocze do kosza na pranie i paradnym krokiem opuścił miejsca, jego dniówka koło serca. To było jego najlepsze piętnaste lato: kosmiczny boom właśnie się zaczynał, tam,

gdzie rekonstrukcja powojenna się skończyła, blizny zaleczone, pojawiające się nowe budynki. Długie wieczory, kiedy mógł, szedł na ulice, posłuchać nowej muzyki, poznać dziewczyny. Wydawało się, że dziewczyny były wszędzie, w jego wieku i starsze. Większość z nich była niezależna, praca i miejsce do spania, żadnych kłopotów z rodzicami. Szkoła naprawdę na zawsze*wypadła.* Jeżeli chciałeś się uczyć, mogłeś uczyć się z sieci, tak jak planowała natura.

Kopał fundamenty. Wsiadał na parterze... Sama pycha zajęcia tego miejsca i zadeklarowania go jako placówki kosmosu sprawiała, że czuł się, jakby napięta struna wibrowała w jego piersi. Otwarty wszechświat, nieposiadany, był tam do wzięcia, sześćdziesiąt pięć kilometrów stąd, prosto w górę. Tam mogłeś zbudować grunt do chodzenia, a możliwość zrobienia tego była wieczna. Pewnego dnia zrobiłby to, pewnego dnia wykroiłby kawał, a zawsze pozostałaby wystarczająco dużo i tak samo dobre. Kosmos oferował ostateczną wolność i ostateczną sprawiedliwość. Ziemia nie miała nic sprawiedliwszego do zaoferowania.

Jednak była to tylko możliwość, bolesne pragnienie, tak długo jak rzeczywistość podboju kosmosu była zwrócona przeciwko sobie, dosłownie zwrócona do wewnątrz przez Obronę Kosmiczną. USA/ONZ utrzymywały lepszą pozycję, cynicznie nadzorując złamane bloki planety. Proces pokojowy: „dziel i rządź”, powtarzaj w dół we fraktalnej bałkanizacji świata. Brytyjska wersja Procesu Pokojowego dała każdemu z byłych przeciwników i interesów ich własną zakrwawioną kość do żucia, jako Wolne Państwa pod Koroną. Nazwali to Traktatem o Restytucji.

Ci, którzy się nie pogodzili i nonkonformiści pokonanego reżimu, nazwali to Zdradą. Odepchnięci do linii wiecznego śniegu wsparcia społecznego w czystych krzemowych wąwozach Szkocji, sczerniałych gett Midland lub dziobatych flaków Walii, nieliczni,

którzy ciągle trzymali się broni i polityki ogłosili powstanie Armii Nowej Republiki.

* * *

Jednego takiego długiego wieczoru Kohn siedział przy niskim murze podwórza pubu w Golders Green, sącząc ostrożnie litr Stella Artois. O zmierzchu miał jeszcze okulary przeciwsłoneczne. Okrągły, biały, emaliowany stół, przy którym siedzieli inni, był wciśnięty w mur, umożliwiając mu delikatnie opieranie się na ramieniu jego obecnej dziewczyny, Annie. Jak większość dziewczyn wokół (to dlatego korzystał z okularów, dla potajemnej oceny), Annie nosiła obcisły kombinezon kota, który zasłaniał wszystko aż do brody, w tym każdy palec u ręki i nogi. Gazowa, pływająca halka, która *to* zasłaniała, jakoś sprawiała, że kontury nie były mniej szczegółowe lub odsłaniające. Jak jeden ze starszych kolegów w pracy zauważył z uznaniem, kiedy moda po raz pierwszy zdryfowała na ulice, to była „nieczystość", czysta „nieczystość".

Tak czy siak, wszyscy tutaj pracowali razem. On, Annie, wysoki Birminghamczyk w jego wieku, którego nazywali Stone, dziewczyna Stone'a Lynette, wszyscy pracowali w tym samym miejscu. Stone jako pracownik jak on. Lynette uczyła się inżynierii. Nie lubił myśleć o tym, co robiła Annie, ale co jakiś czas oblewał się zimnym potem na myśl o niej spacerującej po dźwigarach na wysokości. Kobiety są w tym dobre, ciągle mu powtarzała. Spójrz na te wszystkie gimnastyczki. Ta, ta.

– Dobra, wygraliśmy – powiedział Stone. – Kurde pobiliśmy ich.

Wszyscy uśmiechnęli się do siebie. Właśnie zdobyli dość bezczelne korzyści w płacy i warunkach w wyniku krótkiego, szybkiego strajku.

– Ta stara żelówa przyszła na pikietę kilka dni temu – powiedział Stone. – Wykładowczyni na koledżu. Dała nam trochę pieniędzy od studentów na fundusz strajkowy. Właściwie ich nie potrzebowaliśmy, wiecie? Związek był solidny. W każdym razie kłopotali się ze zbiórką, więc podziękowałem i powiedziałem, że wpłacę na konto oddziału na kolejny raz. – Roześmiał się. – Powiedziała, cholerna racja, zawsze będzie kolejny raz. Sprzedała mi tę gazetę.

Kohn pomyślał: och, nie. Jego okulary uderzyły, gdy je odkładał. Stone wyciągnął poszarpaną gazetę z wnętrza kurtki i rozłożył na stole.

– *Czerwona Gwiazda* – powiedział Stone. – Trochę ekstremalny, ale niektóre rzeczy, które mówią, są sensowne. Myślałem, że byłbyś zainteresowany, Moh.

Czy to widać? zastanawiał się wściekle Kohn. Czy jest jakiś znak Kaina na moim czole, który identyfikuje mnie przed wszystkimi, nieważne co powiem lub czego nie powiem, nieważne jak bardzo chcę to wszystko mieć za sobą? Niechętnie wziął gazetę, zdjął okulary przed czytaniem. Oto i było, nagłówek z dziwnym logotypem: „sierp i młot”, skierowane w przeciwną stronę niż w tradycyjnym sowieckim, z „4” nad młotem.

Nie czytał poza nagłówkiem.

– Jedyne czerwone gwiazdy, o których wiem – powiedział – są martwe, spoza głównej sekwencji i zawierają w większości lekko żarzący się gaz.

Lynette była jedyną, która naprawdę to złapała.

– Powinni nazwać to *Czerwony Gigant*!

Kohn uśmiechnął się do niej i spojrzał na Stone’a, który skrzywił się zaskoczony.

– Myślałem, radziłeś sobie na strajku, wiesz, jak się zorganizować, zawsze się stawiasz…

Ponad sto lat, pomyślał Kohn, a słowo dla takiej osoby to ciągle *bolszewik*. Stary byłby zadowolony.

– Nic osobistego, ta? – powiedział Kohn. – Po prostu, nie marnuj czasu, myśląc o rewolucji robotniczej. Gówno prawda, człowieku. To się nie zdarzy. Więc nieważne, jak mądrze to brzmi, jakakolwiek idea, która się praktycznie na tym opiera, może być od razu odrzucona.

Oparł się, czując się kołtuńsko. Przyjmował to na spokojnie, logicznie. To nie był jeden z tych wybuchów wstrętu i pogardy, które czasem mu się wyrywały.

– Cóż, – powiedziała Annie. – nie wyglądasz, jakbyś zobaczył coś martwego. Wyglądasz, jakbyś zobaczył ducha.

Uśmiechnął się na widok jej zatroskanej, zadartej twarzy.

– Blady i cały drżący?

– Tak – powiedziała trzeźwo. – Dokładnie.

– Aha – powiedział Kohn. – Może zobaczyłem ducha – (Leon Trocki z szpikulcem do lodu w głowie. Duch Czwartej Międzynarodówki. Upiór komunizmu.) – Albo może robi mi się zimno. – Odsunął się od muru i postawił krzesło koło Annie. – Rozgrzej mnie.

Annie z zadowoleniem zaczęła to robić, ale Stone nie chciał tego zostawić.

– Mają tutaj wielką, środkową kolumnę o warunkach na platformach konstrukcyjnych w kosmosie. Brzmi bardziej jak plac budowy niż cokolwiek innego. Facet, który to napisał, próbował zorganizować związek i został „wypalony"...

– Związek w *kosmosie*? – spytała Lynette.

– Ta, dlaczego nie?

– Co to jest „wypalenie"? – spytał Moh.

Stone zaczął przeglądać artykuł, ale Annie była szybsza.

– To stary trik firmy, zdarzył się mojemu wujowi, kiedy praco-

wał w elektrowni jądrowej. Uznali, że jest wichrzycielem i zamiast go wyrzucić – to spowodowałoby więcej problemów – po prostu upewnili się, że dostał swój roczny bezpieczny poziom promieniowania w tydzień. Oczywiście, przez pomyłkę. Przepraszamy, nie ma pracy. Przeciwko przepisom BHP.

– To straszne! – powiedziała Lynette. – Co się z nim stało? Czy on. . . ?

– Ciągle żyje – Annie zawahała się dramatycznie – i kopie. . . wszystkimi trzema nogami.

Niespokojny śmiech został przerwany przez Stone'a, oczy i palec wskazujący na gazecie, machającego drugą dłonią i mówiącego:

– E tam, i tak poziomy były super bezpieczne. Po prostu przepisy. Wszyscy dostaliśmy gorzej. – Krępująca cisza. – Dla tego faceta to było, hm, bardziej realne. Kazali mu pracować na zewnątrz w trakcie rozbłysku słonecznego. Musiał wrócić następnym promem. Są duże szanse, że wszystko będzie w porządku, ale jest uziemiony.

– Do końca życia? – spytał zbulwersowany Kohn.

– Nie wiem. – Stone podniósł wzrok z uśmiechem. – Tak czy siak, możesz go sam spytać. Przemawia na spotkaniu jutro wieczorem.

Kohn spojrzał na niego, jego umysł nagle wepchnięty w chaos. Dotąd nie wydawało się to całkiem realne. Wydawało mu się, że to duch powrócił, żeby go nawiedzać, ale to było znacznie mniej niepokojące niż myśl, że ci ludzie z przeszłości byli realni, żywi, chodzili po ziemi i *po prostu możesz iść i się kurwa spytać.*

Otworzył usta i spytał, brzmiąc głupio nawet dla siebie:

– Jakie spotkanie?

– *Publiczne*, głupku!

Kohn szturchnął Stone'a dostatecznie mocno, żeby go zabolało.

– Dawaj mi to.

Sięgnął po gazetę, spojrzał na ogłoszenie w ramce o spotkaniu na dole środkowych stron.

– „Związki na platformach kosmicznych! Żadnych represji!" Racja, z Tobą na sto procent, bracia i siostry... Och mam to, małym drukiem: „North London Town Red Star Forum." Wiedziałem. Załóż *pierdoloną* partię, naprzód do *pierdolonej* rewolucji, proletariusze świata i poza światem, łączcie się! Dobra, nie liczcie na mnie.

Poczuł palce Annie w rękawiczkach na policzku.

– Nikt nie prosi Cię, żebyś w *to* wchodził, Moh – powiedziała rozsądnym głosem. Tym, który znaczył: nie przesadzaj, chłopie. Odwrócił głowę do niej, pozwalając dłoni opaść na jego gardło i patrzył na nią przez chwilę. Jej czarne faliste włosy, ostra i smukła sylwetka, sprawiały, że (potajemnie myślał) wyglądała jak jego mniejsza, elegantsza wersja. Wzór z przyszłego roku.

– Dobra – powiedział. – Pójdę. Jutro wieczorem. Chcecie iść?

– Na spotkanie komunistów? Nie żartuj, mam lepsze rzeczy do roboty. Prawda, Lyn?

Lynette zarzuciła włosami i ogłosiła zamiar umycia ich jutro wieczorem.

* * *

Gdy tylko wszedł do małej wynajętej sali, pokoju na piętrze świeżo odnowionego pubu o nazwie Lord Carrington, Moh uderzył emocjonalny wstrząs namysłu nad tym, w jakim wieku był, gdy pierwszy raz siedział z tyłu takiego właśnie pokoju, czasem czytając, grając w gry, czasem słuchając. Na drugim końcu sali stał stół z dwoma krzesłami. Przy wejściu drugi stół, ten zastawiony kopiami *Czerwonej Gwiazdy*, prosto z drukarni, i wybór broszur, których okładki były postrzępione ze starości. Reszta pokoju była

optymistycznie wypełniona może czterdziestoma składanymi plastikowymi krzesłami.

Około dwudziestu osób przyszło posłuchać kosmonauty, krępego, długonogiego mężczyzny imieniem Logan z poważnym przypadkiem oparzenia słonecznego. Stone słuchał pochłonięty, zaciskając pięści, wstał na końcu i obiecał na gorąco zbierać pieniądze, rozpowszechniać słowo. (Dotrzymał ich). Kohn słuchał podtekstów, struktur i odgadnął po mniej więcej dwóch minutach, że ten człowiek nie był bojownikiem w platformie Partii, ale był bojownikiem samej Partii. Nie wydawało się możliwe, że był w tej samej lidze co stary mężczyzna siedzący za nim czy stara kobieta, która siedziała za stołem z literaturą. Oni naprawdę wyglądali jak duchy, delikatne włosy, papier ich broszur tak żółty jak ich własne zęby.

Duch Czwartej Międzynarodówki. . . Stary gadał o solidarności i Solidarności, i strajku górników 1984-85, który otworzył mu oczy po raz pierwszy na rzeczywistość kapitalizmu. . . Duchy. A jednak ten złudny aparat, latimeria[1] organizacji przekonała młodego człowieka, żeby zaryzykował utrzymanie i prawdopodobnie życie, żeby zanieść wieści w kosmos. Na swój własny sposób ten wyczyn robił wrażenie tak jak zdegenerowane sowieckie robotnicze państwo pierwsze zdobywające kosmos. (Kiedy wyciągnęli Siergieja Korolowa[2] i jego kolegów z obozów, gdzie byli zesłani za. . . trockizm. Kohn uśmiechnął się do siebie. Załóżmy, że to była prawda i to właśnie Czwarta Międzynarodówka wysłała Gagarina na orbitę!)

Uświadomił sobie zszokowany prawdziwą przyczynę tej prze-

[1] latimeria – rodzaj ryb drapieżnych określanych „żywymi skamieniałościami”, więcej `https://pl.wikipedia.org/wiki/Latimeria` – przyp.tłum.

[2] radziecki konstruktor pocisków balistycznych, rakiet i statków kosmicznych, „ojciec” radzieckiej kosmonautyki, więcej `https://pl.wikipedia.org/wiki/Siergiej_Korolow` – przyp.tłum.

rwy w pokoleniach reprezentowanej na platformie: dostatecznie starzy, by być jego dziadkami, dostatecznie młodzi, żeby być rodzeństwie, nikt w wieku jego rodziców. Był to klasyczny przekrój populacji po unicestwiającej przegranej.

Samochody ścigające się na ulicach, ludzie z bronią siedzący pół w środku, pół na zewnątrz, krzyczący i strzelający. Samochody, które nadjechały później, mężczyźni wysiadający i strzelający. Plastik, który wbija się w nadgarstki, potykanie się, krew spływająca gęsto do odpływu. I Lud, nasi ludzie, nasza strona, nasza klasa, która stała, patrzyła i nic nie zrobiła.

Zanim się zorientował, spotkanie się skończyło. Ludzie się kręcili, zamawiali drinki, tłoczyli się przy stole z literaturą, przesuwali krzesła z rzędów w kręgi... Moh zastanawiał się jak zacząć z kimś rozmowę, kiedy kosmonauta podszedł.

– Macie, chłopcy, ochotę na piwo?

Moh obrócił kilka krzeseł w nowy układ.

– Załatwię je – powiedział. – Jesteś bez pracy.

Logan się roześmiał.

– Ciągle jestem orbitalną arystokracją pracy – powiedział – a wy właśnie strajkowaliście, *jes*[3]? Więc, co chcecie?

Wrócił z baru kilka minut później i zaczął rozmawiać, w większości ze Stone'm, ale włączając Moh w rozmowę szybkimi spojrzeniami i uwagami. Oczywiście zauważył wkład Stone'a i wyłowił go jako dobrego bojownika i potencjalnego rekruta. Moh, który wchłonął budowanie partii trockistowskiej według szkoły Dale Carnegie w wieku około ośmiu lat, skupiał na rozmowie tylko połowę uwagi. W pewnej chwili Logan wyciągnąłby jakieś zobowiązanie od Stone'a, ustawione spotkanie, wymienione numery, wykupiona subskrypcja, i wtedy zwróciłby uwagę na Moh.

[3] esperanto, tak – przyp.tłum.

Rozejrzał się dookoła za kimś, kogo mógłby rozpoznać, niestety myśląc, że starzy towarzysze nie byli tak starymi towarzyszami, i ujrzał niezmienioną, znajomą twarz marszczącą brwi przy już opustoszałym stole z broszurami. Moh skoczył.

– Bernstein! – Twarz obróciła się do niego, choć poryta i skórzana, nie zyskała nowej zmarszczki w ciągu ostatnich sześciu lat, kiedy Moh ostatni raz ją widział. Cofające się białe włosy nie cofnęły się dalej. Przez chwilę Moh był zaskoczony, że Bernstein nie poznał go. Potem sobie przypomniał, że ostatnim razem, gdy patrzył na tę twarz, patrzył *do góry*.

– Jestem Moh Kohn – powiedział.

Bernstein gapił się na niego, potem potrząsnął energicznie jego dłonią.

– Niesamowite! – powiedział. – Nigdy bym nie pomyślał, że to Ty.

– Nie zmieniłeś się.

Bernstein pokiwał głową w roztargnieniu.

– Co Cię tutaj sprowadza? – Poklepał stos książek i broszur, które miał kupić i dodał – Wiesz, co mnie tu sprowadza. Te tutaj, prawdziwe kolekcjonerskie egzemplarze.

– Aha. – Bernstein wypadł z Czwartej Międzynarodówki w wyniku jakiegoś rozłamu, którego on był jedyną osobą zdolną wytłumaczyć, i rozpoczął syzyfowy projekt napisania ostatecznej historii ruchu. Sam w sobie niezmordowany archiwista utrzymywał się z handlu rzadkimi egzemplarzami każdego wyobrażalnego stanowiska literatury radykalnej. Ojciec Moh był jednym ze stałych klientów.

Moh nie był pewien, w jaki sposób odpowiedzieć. Co Cię *tutaj* sprowadza?

Wzruszył ramionami.

– Ciekawość – powiedział.

Bernstein spojrzał nad nim i powiedział:

– Dołączmy do Twoich przyjaciół.

– Mogę Ci postawić drinka?

– Myślałem, że nigdy nie zapytasz. Guinness, raz.

Kiedy Moh wrócił z baru, odkrył, że Stone, Bernstein, Logan, stary mężczyzna i kobieta zza stołu pogrążyli się w ożywionej dyskusji. Po kilku minutach Logan odwrócił się do niego i powiedział:

– Ty jesteś Moh Kohn, racja?

– Cześć. – Moh podniósł szklankę. – Mnie również miło Ciebie poznać.

Rozmawiali chwilę o pracy w kosmosie i swoich rodzimych związkach zawodowych. Moh poczuł, że zaczyna się relaksować. Wtedy Logan rzucił mu dziwne spojrzenie.

– Jesteś synem Josha Kohna?

– Tak – odpowiedział Moh. – Jeżeli to ma znaczenie.

Logan spojrzał na niego spokojnie, potem pochylił się bliżej.

– Chciałem się coś Ciebie zapytać – powiedział. – Wiesz cokolwiek o Gwiezdnej Frakcji?

– Gwiezdna Frakcja? – Widział z miny Logan, że odpowiedział zbyt głośno, kątem oka mógł zobaczyć dlaczego. Bernstein przechylił głowę w ich kierunku. – Nie. – Zawahał się. – To. . . jakby. . . coś dzwoni, ale. . . – Pokręcił głową. – Nie. Znikło. Brzmi, jak coś, w czym musisz być.

– Zdaje się, że mógłbyś powiedzieć, że jestem we frakcji kosmicznej – roześmiał się Logan. – *Jestem* frakcją kosmiczną.

– Musi być z tego interesująca wewnętrzna dyskusja.

– *Jes*, rzeczywiście.

– Więc czym jest ta Gwiezdna Frakcja?

Logan spojrzał na Bernsteina, potem na dwoje ze starej gwar-

dii. Moh zauważył, że starzec lekko skinął. Logan pochylił się do przodu, łokcie na kolanach, wyciągnął otwarte dłonie.

– Nie wiemy. Josh był w Partii, *Międzynarodówce*, czarodziejem od komputerów. Naprawdę naciskał na używanie sieci, kryptografii i tak dalej, od samego początku. Można powiedzieć, że wciągnął nas w cyberprzestrzeń. Były duże kłótnie... walki fakcji... o to. Teraz ciężko w to uwierzyć.

Bernstein prychnął. Logan uśmiechnął się i kontynuował.

– Tak czy siak, niektóre z systemów, które stworzył, przetrwały wojnę, ataki EMP i tak dalej i uciekły przed czystkami w trakcie Procesu Pokojowego. Imponujące. My, to znaczy Międzynarodówka, ciągle ich używamy, o ile to możliwe.

– Skąd wiecie, że teraz nie są zagrożeniem bezpieczeństwa? – spytał Bernstein.

– Powstały protokoły testowe – powiedział starzec. Nie zamierzał dalej wyjaśniać. Moh myślał, że rozumie. Muszą istnieć metody sprawdzania bezpieczeństwa takich systemów przez uruchamiane schematy, które, gdyby przechwycone, sprowokowałyby reakcję.

Kudłatą, i takiego rodzaju, o której nie chciałbyś rozmawiać.

– Co jakiś czas – kontynuował Logan – natykamy się na odniesienie do Gwiezdnej Frakcji. Czasem to ważna wiadomość nakazująca jej... członkom? cokolwiek, *nic nie robić*. Jeszcze.

Usiadł z miną „co o tym wszystkim sądzisz?".

– Prawdopodobnie jeden z protokołów testowych *Josha* – powiedział Bernstein, budząc śmiech.

– Mógłby być – powiedział Logan. – Jeżeli kiedykolwiek dowiesz się czegoś o tym, Moh, powiedz nam. Proszę.

Moh patrzył na młodą i starą kadrę z żalem.

– Jeżeli kiedykolwiek odkryję coś... a to dobre. Straciliśmy wszystko. Jebani Jankesi rozebrali cały dom i go zabrali, po... po... – Nie

mógł dokończyć zdania. – I nigdy nie wiedziałem dlaczego. Żaden z was *chuje* nigdy nam tego nie powiedział.

Jasny, pusty pokój był cichy. Wszyscy inni poszli do domu lub do głównej sali pubu. Znowu tylko twardy rdzeń.

– Szukam pewnych odpowiedzi – powiedział Moh.

Stara kobieta sięgnęła i położyła dłoń na jego ramieniu.

– Jak moglibyśmy Ci powiedzieć? Ty i Twoja siostra zniknęliście. A my, sami, nie wiemy. Partia straciła wielu ludzi w Procesie Pokojowym, ale to była wina sił Restauracji, Hanowerczyków. Cholera, wiesz to. Josh i Marcia byli jedynymi, po których przyszło USA/ONZ. – Wzięła duży wdech i zadrżała. – Obowiązkowa wspólna egzekucja, przepadek mienia, to była ówczesna standardowa praktyka Jankesów, przy broni i narkotykach.

– Ale oni nie byli. . . – Moh zaczął mówić z oburzeniem, potem przestał. Było całkiem możliwe, że byli. W każdym razie broń.

– I czarny software – powiedział Bernstein. – To ma sens z tego, co powiedziałeś.

Moh poczuł falę ulgi i wdzięczności. Czarny software, tak. Po raz pierwszy *to* miało sens: to nie było tylko arbitralne okrucieństwo. Ale jeżeli to była odpowiedź, poruszała kolejne kwestie.

– Co sprawiało, że pracował nad tym aż do. . . ?

– Nie my – odpowiedziała stara kobieta. – Wiedziałabym, gdyby wykonywał pracę dla Partii. Nie wykonywał.

Brzmiała szczerze, Moh rozgrzał się w jej cieple, ale nie wierzył jej oświadczeniu. Na tyle, o ile wiedział, każdy, kto traktował Partię, lub program, projekt polityczny rozciągający się na wieki, jako swoją najwyższą wartość, był doskonale zdolny do kłamstwa prosto w twarz. Jeżeli mogłeś za coś umrzeć, mogłeś i kłamać.

Jednak odkrył część odpowiedzi, coś, co łączyło śmierć jego

rodziców z ich życiem. Część jego wewnętrznego napięcia zelżała, część wrogości do Partii zniknęła.

Logan został po tym, jak Bernstein i starzy towarzysze sobie poszli. Zabrał Stone'a i Moh do baru, postawił im jeszcze kilka kolejek i opowiedział, co zamierzała Partia.

Moh słuchał, nie widząc już więcej duchów, ale patrząc, jak gdyby przez przeszczepioną siatkówkę trupa. Nigdy nie straciłeś tej wizji. Widziałeś powtarzające się wzorce: nieskończone orbity, permanentną rewolucję. Filogeneza partii, teratologia zdeformowanych robotniczych państw, patologię degeneracji biurokratycznej… Teraz zajmował się tym Ruch Kosmiczny, organizując małe enklawy anarchokapitalistyczne tutaj na Ziemi i współistniejące z Jankesami wszędzie indziej.

– W tym miejscu wkraczamy – powiedział Logan. – Musimy zbudować walczące lewe skrzydło Ruch Kosmicznego, zmienić go w coś, co będzie mogło zrobić coś więcej przeciwko USA/ONZ niż inwestowanie w prywatne rakiety i kopalnie na asteroidach. A kiedy mówię „lewe skrzydło" nie mam na myśli socjalistyczne, mam na myśli walczące. Ponieważ nie potrzebujecie mnie, żebym wam wyjaśniał, że jakakolwiek poważna próba wydostania się z tego gówna oznacza, że będziemy musieli przejąć państwo, a obecnie ostatecznie oznacza to Obronę Kosmiczną.

Stone zmarszczył brwi, walcząc z rozmiarem i zuchwałością tego, co zamierzała maleńka organizacja, w której imieniu przemawiał Logan.

– Masz na myśli – powiedział powątpiewająco – pracując w Ruchu Kosmicznym, zamienić go w…

– *Partia Kosmos i Wolność*! – powiedział radośnie Kohn.

Wiedział, o co chodziło. Partia (prawdziwa Partia, twardogłowi, Międzynarodówka) zawsze miała dwa oblicza. Jedno, te, które Kohn

pamiętał z dni Republiki, było publiczne, prosto w twarz: rozwinięte sztandary, otwarta Partia, irytujące gazety. Inne, sposób na przetrwanie złych czasów, było, gdy jej członkowie stawali się twarzami w tłumie, rozpoznawanymi tylko przez swoich.

Jak Gwiezdna Frakcja, pomyślał Moh.

– Dobra, – powiedział, gdy on i Stone w końcu, niechętnie, mieli wychodzić – możesz zapomnieć o rekrutowaniu mnie. Nikt mi nie będzie mówił, co mam robić. – Zobaczył, że Logan chce się wtrącić. – Nie próbuj mi wmówić, że to nie jest to, czym to jest. Niemniej jednak jestem płacącym, pełnoprawnym członkiem Związku i Ruchu Kosmicznego, i jeżeli jest coś, co chciałbyś załatwić. . . zawsze możesz poprosić.

– Ok – odpowiedział Logan. – Ok. Dobranoc, towarzysze.

* * *

Dobre lata, lata, w których nie napotykał zagrożeń, tylko niebezpieczeństwa: żadnych problemów, tylko trudności. Budowanie Związku i budowanie wież Norlonto zlało się w jego umyśle w jedno twórcze zadanie, problem organizacyjny, wysiłek koordynowania. Podjął się większej odpowiedzialności dla Związku w tym samym czasie, gdy zdobył nowe umiejętności operowania nowymi maszynami, spinoffami na stacji kosmicznej, które sprawiły, że praca na miejscu stała się mniej podobna do wojny okopowej przeciwko dzikiej naturze. Po pewnym czasie Związek zaczął naciskać, żeby stał się organizatorem na pełny etat, a kierownictwo firmy, żeby stał się kierownikiem. Wziął pracę Związku, znudził się po roku, ale okazało się trudnością zatrudnienie potem przez jakąkolwiek firmę. On i Stone stali się spółdzielnią podwykonawczą, w istocie kapitalistami. Dostali od razu pracę, skrupulatnie nie naciskali na odcisk Związku, tak jak płacili składki.

Sporadycznie słyszał Logana lub wpadał na niego w barach dookoła portu kosmicznego. Logan przyjął to samo rozwiązanie dla swoich problemów z zatrudnieniem. Nigdy nie prosił Moh, żeby zrobił cokolwiek dla Partii, ale sporadycznie przyznałby lub przechwalałby, że niektóre walki wewnętrzne w Ruchu Kosmicznym nie były całkowicie przypadkowe.

Pewnego wczesnego letniego ranka zatrzymali ciężarówkę za wejściem na plac niedaleko Alexandra Port, żeby dowiedzieć się, że droga jest zablokowana przez grupę ludzi z plakatami. Niektórzy robotnicy budowlani stali, kłócąc się z pikietą.

– Och gówno – powiedział Stone. – Strajk. Dobra, to wszystko. – Sięgnął do zapłonu.

Kohn zmarszczył brwi.

– Chwila. Nie widzę żadnych robotników w pikiecie.

Wyskoczył i podszedł pogadać z jednym z robotników budowlanych, brygadzistą, którego znał.

– Cześć, Mike. Co to za problem? Myślałem, że usłyszymy wcześniej o strajku.

Mike skrzywił się.

– To nie strajk, Moh, to jebana manifestacja. Zieloni. Nie lubią tego, co budujemy.

– Dobra, jebać *ich*. – Rozejrzał się po tłumie. Biedota i drobna burżuazja, bez wątpienia. Ani jednego uczciwego proletariusza. Na plakatach były hasła takie jak „ZATRZYMAĆ PROMIENIE ŚMIERCI”. – O co chodzi z tym gównem? To nie jest. . . – Zatrzymał się, żeby pomyśleć. – To nie oszustwo, co, Mike? Nie wkręcili nas w jakąś wojskową pracę, nie mówiąc nam o tym, co?

– Nie – odpowiedział Mike. – Wszystko na legalu. Laboratorium badawcze sponsorowane przez Ruch Kosmiczny. Fajny kontrakt.

W porządku, fajny kontrakt, pomyślał Moh. Masywne mury, ki-

lometry kabla, błyskająca elektronika. Stanowisko testowe wyrzutni laserowych, paro-wiązek, jak mawiał przydomek. Zatknij ładunek na górze zbiornika z wodą, skieruj laser na zbiornik, *wygotuj* gnojka na orbitę.

– Więc to nie jest pikieta, tak? Więc dlaczego po prostu…

Zauważył, że Mike wskazuje wzrokiem, odwrócił się i zauważył najbliższych zielonych. Wielkich, twardych. Twardszych niż robotnicy budowlani. Wyglądali jak farmerzy, podróżnicy, rowerzyści. I uzbrojeni: klucze francuskie, bardzo grube kije przy plakatach. Ciężkie elektryczne palniki wystające z kieszeń. Chłopi z pochodniami.

– No to, gdzie jest milicja ruchu?

Mike wzruszył ramionami.

– Nigdy ich nie ma, kiedy są potrzebni.

Kohn spojrzał na niego zaskoczony. To nie było to, co wiedział o milicjach. Zanim zdążył w ogóle cokolwiek powiedzieć, pojawił się facet, długie włosy, długa broda, samodziałowe spodnie i natłuszczona kurtka, i powiedział:

– Ta, kosmiczni kadeci nie nadchodzą, więc spadówa.

Kohn ocenił już stosunek sił: to był mały teren. Siły roboczej nie więcej niż tuzin, nawet gdy wszyscy się pojawili. Więc po prostu powiedział:

– Ok – i się odwrócił. Zatrzymał się na chwilę, żeby powiedzieć do Mike'a: – Zbierz dziewczyny i chłopaków, załadujcie się na naszą ciężarówkę. Pogadaj o tym w Związku, dobra, bez kłopotu.

Mike kiwnął głową i poszedł szybko wyciągnąć swoich ludzi z coraz gorętszych dyskusji. Kohn uspokajająco kiwnął Stone'owi, który stał przy ciężarówce i zatrzymał się na chwilę, żeby sprawdzić, czy robotnicy łapią dryf.

– Rusz dupę, szwabobójco! – Wielki facet, który gadał do niego, krzyknął mu w plecy.

Kohn odwrócił się, bardziej zdumiony niż wściekły na rasowe szyderstwo. *Nigdy nie myślałem o sobie… aż aż aż…* Spojrzał na faceta i poczuł wybredną pogardę.

– „Jesteśmy na krawędzi ciemności" – powiedział, cytując powtarzający się slogan Zielonych. Mężczyzna wyglądał na zaskoczonego. Kohn poczekał, aż wszyscy byli na ciężarówce, zanim wychylił się przez okno i wrzasnął, gdy ich mijali: – I to *wy* jesteście ciemnością!

Poczuł się całkiem zadowolony, słuchając uderzeń, które oberwała za to ciężarówka. W biurze Związku, na starym piętrze sklepu, jego wspominający uśmiech zbladł. Okazało się, że lokalni oficjele wykazują szczególny brak zainteresowania ich problemem. Załoga stała dookoła porysowanych stołów laminatowych w kącie z napojami i piła kawę, kiedy Mike wybierał kolejne numery, do milicji, klienta, sekcji bezpieczeństwa Związku, i nic nie osiągał.

– Ok – powiedział Kohn. – Koniec z grzecznością.

Podłączył telefon do komputera i pozyskał publiczny klucz Logana, potem wprowadził dwudziestocyfrowy numer telefonu Logana i własny klucz. Pojawił się głos Logana, anonimowy i bezbarwny jak w tanim układzie scalonym. Procesory nie mogły poświęcić zbyt dużo na dokładność, gdy mieliły liczby pierwsze, które sprawiały, że „liczba lat wszechświata w sekundach" była drobnymi. Z drugiej strony, złamanie szyfrowania zabrałoby tak samo długo czasu.

– Lepiej, żeby to było ważne, Moh. Spawam właśnie w próżni.

– Ok. Zieloni blokują pracę, nikt o tym nie chce wiedzieć. Związek, Ruch, bojówki. Moje podejrzenie jest takie, że szykuje się coś ciężkiego.

– Moje też. Pogadaj z Wilde'm.

Kohn obserwował rozmywające się numery na liczniku telefonu przez jakieś pięć sekund.

– Jonathanem Wilde'm? – wychrypiał w końcu.

– Dokładnie tak. Powiedz mu, że jesteś ze świetlnej firmy. Muszę lecieć.

Tym razem Moh poczuł ulgę, gdy skończyło się połączenie. Wykonał przedstawienie, rozłączając telefon i komputer, podczas gdy jego myśli biegły. Wstał i rozejrzał się po mniej więcej tuzinie sceptycznych twarzy.

– Myślę, że sprawy ruszyły – powiedział. Błysnął smutnym uśmiechem. – W końcu. Mike, Stone, może powinniście załatwić prawnika Związku? Zagrozić pozwem firmie badawczej. Złamanie kontraktu, akceptacja zastraszenia, cokolwiek. Wymyślcie coś. To samo dla kogokolwiek, kto jest właścicielem ulicy za pozwalanie na to tak zwane demo. Reszta z nas równie dobrze może zrobić sobie wolne. Tak czy siak, wybulą nam płacę. – Brzmiał bardziej pewnie, niż się czuł.

– A Ty? – Stone chciał wiedzieć.

– Zamierzam spotkać się z Ważną Personą – powiedział Kohn.

* * *

Wilde nie do końca był Ważnym Człowiekiem, nie zatrudniał nikogo prócz asystentów badawczych od czasu do czasu. Jedyną pozycją, której się trzymał, był dość nominalne wykładanie historii na Uniwersytecie North London Town. Teraz w siódmej dekadzie życia, miał nienormalną pozycją przez dekady, traktowany jako lewicowiec w Ruchu Kosmicznym, libertariańskim wariatem kosmosu przez Lewicę. Napisał niektóre z najwcześniejszych manifestów (*Żadnych więcej wstrząsów, Ziemia to surowa pani*) i liczne

broszury, artykuły i książki dokumentujące to, co on nazywał kontrkonspiracyjną teorią historii, która utrzymywała, że wiele inaczej niezrozumiałych wydarzeń historycznych mogłoby być wyjaśnionych poprzez identyfikację teorii spiskowych przyjmowanych przez protagonistów. Odkrył zadziwiającą liczbę przypadków, gdzie wybitne postacie polityki, wojska i policji byli (otwarcie lub nie) teoretykami konspiracji. W trakcie badania i objaśniania swojej tezy rozwinął szeroki i złożony wachlarz wzajemnie wrogich kontaktów i źródeł informacji. Traktowany był szeroko jako *éminence grise* Ruchu, podejrzenie, które wszystkie dowody jego braku wpływu, pozycji i pieniędzy tylko wzmacniały. Plotka była taka, że stał za wszystkim, co trzeba było zrobić – szantażem, spekulacją walut, groźbą nuklearną – żeby zmusić odpowiedni komitet rządu Restauracji do zgody na istnienie Norlonto.

Moh wynajmował mieszkanie w Kentish Town. Zatrzymał się, żeby przebrać się w najnowszy i najlepszy garnitur i żeby zadzwonić. Połączył się tylko głosowo i przedstawił się. Czując się nieśmiało i głupio, powiedział, że jest z świetlnej firmy.

– Przyjeżdżaj od razu – powiedział Wilde. – Wiesz, gdzie mnie znaleźć.

Godzinę później Kohn zapukał do drzwi biura Wilde'a.

– Wejść.

Biuro było małe i jasne z oknem wychodzącym na Trent Park: trawa, drzewa, nadlatujące szybowce. Pachniało papierem i cementem. Wilde siedział przy prostym biurku za terminalem. Skończył zapisywać plik i wstał. Chudy, prawie łysy, opalony, haczykowaty nos. Kręgosłup prosty jak u starego żołnierza. Mocny chwyt dłoni.

– Dobra, towarzyszu – powiedział, wskazując gestem Kohnowi, żeby usiadł w jednym z pary standardowych krzeseł uniwersytec-

kich wykonanych z sosny, worków, taśm gumowych i poliuretanu – co mogę dla Ciebie zrobić?

Towarzyszu? Kohn zastanawiał się, czy tamten był uprzejmy, czy ironizował i odpowiedział uśmiechem z zaciśniętych ust, zanim przedstawił poranne wydarzenia.

– Hmm – powiedział Wilde. – Zgaduję, że to naciski z Obrony Kosmicznej.

Kohn otworzył i zamknął usta.

– Co *oni* mają wspólnego z Zielonymi?

– Więcej niż mógłbyś pomyśleć – odpowiedział Wilde. – Och, tu nie ma żadnego spisku, z czego zarzucania jestem sławny. Jestem pewien, że te śmierdzące, drobne szkodniki byłyby i tak przeciwko projektowi. Niemniej jednak to Obrona naciska na wyższych przedstawicieli Ruchu Kosmicznego, którzy naciskają na firmę badawczą, która przekazuje Związkowi i bojówce, że ten będzie odpisany z ubezpieczenia. – Uśmiechnął się. – Akt Bogini.

Kohn rozłożył ręce.

– Ale dlaczego?

– Co *jeszcze* – Wilde spytał, jak wykładowca przedstawiający problem – mógłbyś zrobić z bardzo silnymi, bardzo dokładnymi, szybkimi laserami na Ziemi, zakładając, że ktoś mógłby je opracować? – Wycelował palcem wskazującym i powoli przesunął go w niebo.

Kohn nagle to złapał i roześmiał się z siebie, że nie zauważył tego wcześniej.

– Zniszczyć stacje orbitalne – odpowiedział.

– Tak – powiedział Wilde. – Widocznie nasz dział badawczy rzeczywiście nie wiedział, że wyrzutnie laserowe były oryginalnie promowane jako cywilna wersja systemów przeciwko rakietom ba-

listycznym. Obrona Kosmiczna, nie trzeba dodawać, ma lepszą pamięć.

– Więc o to chodzi – powiedział Kohn.

– Tak myślisz? – Głos Wilde zabrzmiał ostro, jego oczy skupione.

Kohn myślał przez chwilę, wstał i podszedł do okna, gdy rosła mu żółć w gardle.

– *Nie* – odpowiedział. – Nie będę tego miał. Ok, nie możesz walczyć z Obroną. Zbudujemy laboratorium laserowe, oni je zniszczą z orbity. Jednak Zieloni. . . och kurde.

– Co o nich myślisz?

Kohn szybko się odwrócił.

– Jeden z nich nazwał mnie „szwabobójcą", wiesz? Jebać ich i ich naziekonomię. – Uderzył się w dłoń. – Ochrona. Konserwacja. Ograniczenie. Zaawansowana ekologia. Dajcie mi zaawansowana technologię każdego dnia. Nie przerażają mnie. Będę przeklęty, jeżeli będę pełzał, dzieci moich dzieci czołgające się po ziemi w jakimś typie jebanej harmonii ze środowiskiem. Ta, aż do następnej epoki lodowcowej lub kolejnego uderzenia asteroidy. „Szwabobójca", co? Wybrani ludzie, co? – Pamiętał stare drwiny. *Nigdy nie myślałem o sobie jako. . . aż aż aż* Głęboko odetchnął, potrząsnął głową. – To oni lub my, człowieku, a ja mam *wybranych ludzi*.

– Tak właśnie myślałem – powiedział Wilde – teraz usiądź i pozwól mi. . . oświecić Cię w kilku sprawach.

Kohn słuchał i zobaczył światło. „Świetlna firma" była oczywiście pseudonimem dla Partii „Kosmos i Wolność", bojowej fakcji Ruchu Kosmicznego, o której Logan mówił na spotkaniu kilka lat wcześniej. Ściągała ludzi z różnymi poglądami w kategoriach klasycznej polityki, którzy nie zgadzali się z wszystkim, prócz walki

o kosmos: ostateczny zjednoczony front, bez ustępstw, bez kompromisów, ale ciągle zachowując coś z zakazanego dreszczyku...

– To nie spisek – powiedział Wilde.

Żeby tego dowieść, sprowokował Kohna do obrony tego stanowiska. Kohn próbował – i poczuł porażkę – wyrazić własną nierozwiniętą wizję społeczeństwa socjalistycznego, które było nawet dziksze i bardziej beztroskie niż Norlonto, swobodniejsze niż wolny rynek, gdzie wiedza powszechna, która nie tylko mogłaby być, ale byłaby wspólną własnością, stałaby się największym bogactwem, dzielonym bez poświęcenia czy skąpstwa. Wilde skontrował swoją wizją świata, gdzie rynek jest tylko ramą, ale jedyną ramą, dla sposobów życia tak różnorodnych jak ludzka skłonność mogłaby wymyślić. Nie darwinizm społeczny, ale darwinowska selekcja społeczeństw.

– Brzmi, jak coś, co już mamy – powiedział Kohn – tylko...

Wilde prychnął.

– Ten wiek – powiedział – jest taką parodią moich idei, jak poprzedni był dla Twoich. Minipaństwa zamiast państw minimalnych. Ha.

– Obwiniaj wojny światowe – powiedział Kohn.

– Jak... internacjonaliści tacy jak Ty, stawiają to w ten sposób – odparł Wilde. – Z trudem przekonuję niektórych z mojej rodziny, by obwiniali nie tylko Niemców.

– To Twój burżuazyjny nacjonalizm.

– Całkiem.

– Wygląda na to, że nie uda nam się tego rozwiązać.

– Nie tutaj. Kosmos... to rozwiąże.

– Kosmiczne rozliczenie!

Oboje się roześmiali.

– To prawda – powiedział Wilde. – Rzeczywistość okaże się

inna od mojej utopii albo Twojej. Dobre w kosmosie jest to, że oferuje szansę, że może wyjść na lepsze, niż to, co sobie wyobrażamy, zamiast na gorsze. Nie ziemia obiecana, ale całkiem nowe nieskończone Ameryki, gdzie *my* będziemy Indianami, wszystkie nasze plemiona rozprzestrzeniające się w dzicz, gdzie sprowadzimy dzikie gołębie, bizony i zasadzimy lasy od zera, ze skały i lodu!

Moh pokiwał entuzjastycznie.

– Tak, właśnie tak. Jak powiedział Engels, naturalne środowisko człowieka jeszcze nie istnieje: musi je sobie stworzyć.

– Engels to powiedział?

– Mniej więcej. Nie w tylu słowach. Poszukam tego dla Ciebie.

– Tak, zrób tak. Naturalne środowiska człowieka jest sztuczne, tak, podoba mi się to. To, co musimy zrobić, to zachować możliwości otwartymi, jak most Beringa...

– *Pomiędzy Syberią i Alaską*!

W tym czasie Syberia miała rząd komunistyczny, Alaska libertariański. Wilde uśmiechnął się do niego.

– Dokładnie.

Przy lunchu, Kohn rozejrzał się po głośnej jadalni, wzruszył ramionami na problemy z bezpieczeństwem i powiedział:

– Ciągle mamy problem. Co właściwie zrobimy z tym tłumem przy bramie laboratorium?

Wilde wzruszył ramionami.

– Niezbyt wiele. Bojówki ich nie tkną, a żadna z niezależnych agencji niechętnie chciałaby nadstawić karku.

– Aha – powiedział Kohn. – Myślę, że właśnie wskazałeś palcem...

Wilde skończył zdanie z nim:

– *niszę na rynku!*

* * *

Tej nocy pikieta Zielonych była ciągle ustawiona przy wejściu do laboratorium.

– Kto tam? – ten, który zaczepiał Kohna, odwrócił się na hałas. Okazało się, że jego policzek dotyka lufy broni. Stłumione głosy pojawiły się dookoła.

– Twój największy koszmar – powiedział głos z ciemności około metra dalej. – Żydek z AK i *charakterem*.

Rozdział 7

Transferowany Karabin

BRYTYJCZYCY
ENTUZJASTYCZNIE UPAMIĘTNIAJĄ
WSPANIAŁE
ZWYCIĘSTWO NAD
NIEMIECKIMI FASZYSTOWSKIMI BARBARZYŃCAMI!

Slogan, świeżo namalowany literami metrowej wysokości na szczytowej ścianie budynku i mural, który go ilustrował (sowiecki żołnierz wznoszący czerwoną flagę nad zrujnowanym Reichstagiem), były tym, co odróżniało główną siedzibę Spółdzielni Robotników Obrony imienia Feliksa Dzierżyńskiego od innych czteropiętrowych bloków na ulicy tuż za Muswell High Broadway.

– Jakieś lokalne dzieciaki to zrobiły, kiedy nie patrzyliśmy – powiedział Kohn. – Nie do końca internacjonalistyczne, ale kłuje w oczy naszych hanowerskich przyjaciół.

Janis zatrzymała się po wyjściu z samochodu. Spojrzała do góry. Sterowiec, chmura i gwiazdozbiór w jednym, przeleciał nisko nad nimi, dryfując w kierunku lasu masztów cumowniczych na niedalekim horyzoncie, gdzie stał kręty i ozdobny budynek, zwieńczony gigantycznymi ludzkimi postaciami, które sięgały gdzieś do gwiazd w stylu rzeźb stalinowskich. Gdy chmury zasłoniły słabe wrześniowe słońce, hologramy rozjaśniły się na chwilę.

Niski mur, półtora metra ogrodu. Kohn otworzył drzwi.

– Za Tobą, pani. – powiedział.

Weszła. Kohn rzucił jej torby w holu wejściowym i wprowadził ją do długiego pokoju. Na dalszym końcu była kuchnia. Bliżej stały sofy, krzesła, bronie, urządzenia elektroniczne i poobijany stół. Długi pokój powstał najwyraźniej z połączenia dwóch pokoi. Miał wygląd szorstki, niewykończony: meble były starymi krzesłami i sofami, które dla wygody i koloru zostały ozdobione narzutami i poduszkami, stół był pocięty i poplamiony, białe surowe ściany wytapetowane plakatami i sztuką dziecięcą. Wyposażenie kuchni przy ścianie było prawdopodobnie wyrzucone z innych domów, więcej niż raz. Dookoła przestrzeni gotowania półki były wypełnione niewybredną mieszanką książek i słoików z ziołami. Oświetleniem były paski białego światła, włączone na niskie natężenie: efekt zmierzchu. Tylko bronie, komputery, kamery, ekrany i sprzęt komunikacyjny, błyszczały jak nowe.

– Większość towarzyszy wróci za kilka godzin – powiedział Moh. – Czas, żebyśmy trochę pohakowali i poszukali. Chcesz wcześniej kawy?

Janis położyła dłoń na najbliższym karabinie. -

- Zabiłabym za nią – odparła.

Podczas gdy Moh stukał w kuchni, Janis rozglądała się po hardwarze, aż znalazła telefon.

– Czy można wykonać stąd niewykrywalne połączenie? – spytała.

Moh spojrzał, przez chwilę zaskoczony, potem machnął ręką.

– Jesteś teraz w kosmosie – przypomniał jej. – Możesz zadzwonić bez wykrycia *skądkolwiek chcesz.*

Janis zadzwoniła do sponsorów, których numer był anonimowym kodem bez identyfikatora rejonu. Z ulgą, gdy odebrała auto-

matyczna sekretarka, powiedziała, że był wypadek w laboratorium, że szkody będą naprawione, że korzysta z możliwości i bierze kilka dni wolnego. Odłożyła telefon, zanim automat ją odpytał, potem skontaktowała się z systemem uniwersyteckim, żeby potwierdzić poprzednią wiadomość. Wyglądało, że rajd i ogień zostały wpisane jako pojedynczy incydent, zwykły atak terrorystyczny, i były załatwiane zwykłymi kanałami: firma ubezpieczeniowa poinformowana, kary naliczone firmie ochroniarskiej, rutynowy wniosek do sił Korony o odwet (to pewnie zostałoby zrealizowane jako ułamek ładunku, który zamierzali, tak czy siak, zrzucić na górską warownię ANR i który w ten sposób byłby zarejestrowany jako uzasadniony).

Zgłosiła kontrakt ochrony osobistej z Kolektywem, używając pieniędzy wypłacony z opłat karnych. System uniwersytecki, z ulgą zobaczyła, miał mały gang Moh na liście zaakceptowanych dostawców. Jej nieokreślony urlop też nie był problemem. Miała zaległości niewykorzystanego urlopu z ostatniego roku: jak większość badaczy, uważała pojęcie czasu wolnego za trudne do zrozumienia.

– Z tyłu – powiedział Moh, niosąc dwa kubki i Karabin mijając ją, gdy dzwoniła. Wspólne przestrzenie domu, korytarze i klatki schodowe, miały wygląd zamku, w którym mieszkało zbyt dużo dzikich rycerzy. Bronie na ścianie, pancerze ceramiczne widoczne za dziurami w gipsie. Zestawy kamizelek kuloodpornych stały lub leżały w kątach. Moh łokciem otworzył drzwi do pokoju, podbródkiem włączył światło i stanął z tyłu, żeby ją wpuścić. Pokój był mały, pachniał metalem i potem, był zapchany ekwipunkiem VR: fotele symulacyjne, kombinezony, gogle i rękawice. Moh oczyścił miejsce na stole, wyciągnął parę zniszczonych krzeseł obrotowych.

– Zapomniałeś czegoś – powiedziała Janis. – Molekuły magicznej pamięci.

– Och. Racja.

Moh wyciągnął pudełko styropianowe próbek leków, oblepił go nalepkami zagrożenia biologicznego i wepchnął z tyłu lodówki, która mruczała sobie w jednym z tylnych korytarzy.

– Jesteś pewny, że tam jest bezpiecznie?

– Lepiej, żeby było – odpowiedział. – Tam trzymamy materiały wybuchowe.

Moh przyglądał się, jak znika napięcie z barków i karku Janis, gdy sączyła kawę, ignorując drobne zmarszczki irytacji na jej nosie, gdy zapalał kolejnego papierosa. Przyjmowała to dobrze, jeżeli znalezienie się wewnątrz małej fortecy komunistycznych najemników dawało jej poczucie *bezpieczeństwa*.

Spojrzała na niego przymrużonymi oczami.

– Jak Twoja głowa?

Zaciągnął się i oparł do tyłu. Wciągnij, wstrzymaj oddech i zanurz się w tej przejrzystej głębokości... to dało mu drogę do środka, kod wejściowy.

– Dziwnie – odpowiedział, wydychając, jak gdyby właśnie przypomniał sobie jak. – Ale zdaje się, że ok. Myślę, co robić.

Wydawało się, że traktuje to jako dane.

– Mógłbyś znowu spróbować mainframowania. – Figlarny uśmiech.

– Nawet nie chcę tego rozważać.

– Dobrze. Więc co tutaj będziemy robić?

– Na początek, przesłuchamy tego małego gnojka. – Wskazał na Karabin, na podłodze pomiędzy swoimi butami. – Ustawiłem go do śledzenia Twojego projektu, ok, ok, a mógł znaleźć jakieś ślady sprzed tego, co się wydarzyło. Może dać nam wskazówkę, czy to wszystko było w mojej głowie, czy nie. Myślę, że to *dość* ważne.

– Och, tak. – Jej ton był ironiczny.

– W tym jest trochę więcej niż tylko stan mojej głowy – powiedział miękko. – Moglibyśmy być teraz na łasce – zaczął udawać

głos w tle – „intelektów ogromnych, zimnych i nieprzychylnych”, które mogłyby uprowadzić każdy hardware, który ma jakiekolwiek połączenie z globalną siecią komunikacyjną. W skrócie wszystko. Ludzkość: dzieła wszystkie. Na dysku.

– Ale z Ciebie pogodny gnojek, co?

– Tak, jestem! Ponieważ cała przeklęta datasfera jest bezwartościowa bez ludzi *robiących swoje* w niej. To, co zapamiętałem z bytu, który napotkałem, to całkowita przytłaczająca ciekawość. I pragnienie przetrwania, które w pewnym sensie jest pochodną tej ciekawości: to chce przeżyć, żeby zobaczyć co się dalej stanie.

– Miejmy nadzieję, że jest to *niezdrowa* ciekawość.

– Dokładnie.

– Ok, załóżmy, że ten Twój byt nie zamierza wyciągnąć nam wtyczek. Jesteś pewien, że Stasis nie może nas tutaj dostać. Czym jeszcze powinniśmy się przejmować?

Kohn skrzywił się. To jej się nie spodoba.

– Po pierwsze, dobra wiadomość jest taka, że nie będzie łatwo nas namierzyć. Samochód opancerzony ma hardware mieszający podpisy, które sprawia, że dowolny satelita szpiegowski mrugnie, przetrze oczy i zdecyduje, że musiał popełnić błąd. Samochód musiał się przedstawić na rogatkach, gdy wjeżdżaliśmy, ale kody prywatne bojówek są rygorystyczne aż do paranoi. Środkiem egzekwowania jest banicja, więc mają tendencję do ich przestrzegania.

Janis zmarszczyła brwi.

– Co to jest banicja?

– Utrata statusu prawnego. – Nie zrozumiała. – Na przykład, stajesz się *bezpańskim zasobem*.

– Och.

– Nie patrz tak zszokowana. Płaci ubezpieczenie.

– Powiedz mi złe wiadomości.

– Chodzi o to, że moja ekipa nadepnęła na wiele palców w swoim czasie, a wrogowie, których sobie narobiliśmy – państwo, oszołomy, dziwaki – to dokładnie ci ludzie, na których możesz liczyć, że mają wielkie plany wobec ludzi, którzy zadzierają z zaawansowaną technologię. Widziałaś, co się stało w laboratorium. Nie sądzę, żeby to było Stasis.

– Włamali się, prawda?

– To możliwe. Jest również możliwe, że, ktokolwiek to był, oszołomy dawali im osłonę. Jeżeli ktoś już wiedział, co to za leki, zapewne przyszli po brakujące kawałki. Nie przyszliby nieprzygotowani.

Włączył zasilanie masywnego zestawu Glavkom, odłączył elektronikę Karabinu i połączył. Założył gogle, słuchawki i wsunął ręce w rękawice. Ich niewyraźny chwyt sięgał do łokci, zmysłowy i relaksujący. Logo korporacji i deklaracje gróźb złamania praw autorskich unosiły się przed oczami przez kilka sekund. Ktokolwiek spiracił tę wersję Drzwi™ najwidoczniej nie męczył się nad ich usunięciem.

Wybór opcji był typu „spójrz i mrugnij”, co zostawiało ręce i głowę wolne. Mrugnął na Sklep, odkrył, że rozgląda się po pokoju pełnym oznakowanych mierników wskazujących jak dużo miejsca programy i bazy Karabinu aktualnie zużywały.

Gdziekolwiek spojrzał, wskazówki na maksimum.

– Góóóówno – powiedział. Usłyszał pytającą odpowiedź Janis słabo przez słuchawki.

– Karabin jest kurwa *załadowany* – powiedział.

Machnął uspokajająco na jej chrząknięcie zaniepokojenia, powodując poruszenie po niektórych menu po prawej stronie. Uspokoił je i kontynuował śledztwo. Ostatnim razem, gdy używał tej nakładki, żeby zajrzeć do wnętrza Karabinu, to przedstawiała wnę-

trza jako rozklekotany zbiór wzmacnianych bunkrów z wałami instrumentów, małym laboratorium, przyjemnym modułem kontroli ognia, wszystkie połączone rodzajem systemu tuneli VietCongu... wszystko nadal tam było, ale teraz zagrzebane pod rozległymi kompleksami magazynów, bibliotek, maszynowni. Nie rozpoznawał tych towarów. Książki były w językach, których nie znał. A to, co robiły maszyny, nie miało w ogóle sensu. Wycofał się w pośpiechu.

Pot nasmarował gogle, gdy je ściągał.

– Znalazłeś coś?

Kohn popatrzył ponuro na mały stos procesorów: nieciekawy, lśniący, ostre krawędzie, rozsypane złoto głupców.

– Terabajty[1] – powiedział. – Większość to pasywne dane. Do tego zaszyfrowane. Cholera.

Złożył je wszystkie razem, jeden po drugim i wepchnął ostateczny układ na miejsce jak magazynek. Światła mrugnęły, gdy system sprawdzał. Dyski zamruczały i ucichły. Karabin był gotowy.

– Nadal możesz na nim polegać? – spytała Janis.

– Jasne – odpowiedział. – To nie jest problem. Nie możesz zepsuć firmware'u AK. Próbowano. Nie-kurwa-możliwe. Nie, powiem Ci, co mnie martwi. To, kto *jeszcze* mógłby na tym polegać.

Westchnęła, położyła łokcie na stole, podpierając brodę rękoma.

– Spróbujmy i to wyjaśnijmy – powiedziała. – Cokolwiek się tam zdarzyło, ktoś lub coś ściągnął masę danych do pamięci Twojego Karabinu, i myślisz, że używa software'u broni do ochrony?

Zobaczył światło w jej oczach, ciepło na policzkach i wiedział, że nie miało to nic wspólnego z nimi: to było dzikie podniecenie tropienia idei. Sam to poczuł.

[1] terabajt – 1024 gigabajty, warto zauważyć, że wielkość dysków w okresie przygotowywania powieści była o trzy rzędy niższa np. 1991 – 1GB (IBM), 1992 – 2,1GB (Seagate), por. `https://pl.wikipedia.org/wiki/Terabajt` – przyp.tłum.

– To ma *sens* – powiedział z podziwem.

– I nie tylko software – kontynuowała. – To jest chronione bronią i...

Jej zęby na chwilę błysnęły: *Mam to*.

– Tak – odpowiedział. Też to zobaczył. – Moim życiem.

Wstał powoli. Lepiej patrzeć z góry na to spojrzenie, które mu posyłała, ta inspekcja naukowa i spekulacyjna.

Wzruszył ramionami i się rozciągnął.

– Zatem co jest nowego? – powiedział. – Do cholery z tym. Jestem głodny.

Wrócili do długiego pokoju, żeby ujrzeć tuzin młodych dorosłych i parę dzieci jedzących, gadających dookoła stołu. Janis poczuła napływ śliny, jej żołądek ścisnął się na zapach i widok kormy z kurczakiem i ryżem.

Wszyscy przestali mówić i spojrzeli na nią.

– Janis Taine – obwieścił Kohn. – Gość. Osoba, która oddała nam się w ochronę. I dobra pani. – Objął ją ramieniem. – Chodź, usiądź.

Po chwili dwa puste miejsca pojawiły się u stołu. Gdy tylko usiadła, Janis zobaczyła pełny talerz i szklankę wina przed sobą. Jadła, wymieniając ukłony, uśmiechy i sporadycznie słowa, gdy Kohn przedstawiał pozostałych: Stone, wysoki, zbudowany jak robotnik budowlany, który pracował z Moh przy zakładaniu Kolektywu, Mary Abid, która uznała życie za zbyt spokojne po tym, jak usłyszała historie swojego dziadka, Alasdair Hamilton, wolno mówiący saper z Hebrydów, Dafyd ap Huws, były członek ANR... Wszyscy wyglądali na najbardziej uspokajającą, niebezpieczną grupę miłych ludzi, jakich poznała.

Nie pytali o nią, nawet nie wspominali o jej telefonie z popołudnia (działała pewna etykieta), więc nie mówiła. Sporadycznie

spoglądała z boku na Moh, który się tylko uśmiechał dziwacznie, gdy napotykał jej wzrok. Wyglądał na zmęczonego, działającego na ostatkach. Ponuro, gdy myślał, że nikt nie patrzył na niego. Po zakończonym posiłku wyjął kilka Goldów i połamał je, żeby zrobić dużego skręta, z taką samą oderwaną mechaniczną umiejętnością, którą pokazał, gdy składał Karabin. Pomachała na skręta i przekazała do Stone'a.

Stone zaciągnął się dymem, wypuścił go nozdrzami i powiedział:

– Ok, Moh, czekamy.

Jedno z dzieci zabierało talerze. Janis odwróciła się zdumiona na zdziwione spojrzenia, które jej podziękowania przyniosły, słysząc jej ostatnie słowa: – tak czy siak. . . – schwytana w nagłą ciszę dookoła stołu. Moh zapalił papierosa i odchylił się na krześle.

– Towarzysze – powiedział – jesteśmy w głębokim gównie. – Zakołysał się do przodu, łokcie na stole, patrząc wszystkim w oczy. – Po pierwsze, Janis. Jest naukowcem. Przyszła tutaj uciekając przed Stasis i od kogokolwiek, kto zainstalował demony w elektryce w jej laboratorium. Zatem daje jej pełną ochronę, tak, i będziemy stąd znikać, ale wszyscy pamiętajcie o tym. Nie chcę więcej o tym mówić, więc niech nikt nie pyta.

– Następny mały problem, a tu właśnie zaczyna się dobra muzyka, to. . . ostatniej nocy postrzeliłem Cat. Jest ok, racja, bez obaw. Jednak była w oddziale oszołomów z bombą. Rozmawiałem z nią w szpitalu i wygląda na to, że Sojusz Lewicy pokazuje mięśnie tam, gdzie przez długi czas tylko gardłowali, o ułożeniu się z Zielonymi i wszystkimi tymi grupami. Nadchodzi duży atak. Rozmawiamy, że, znaczy, wkrótce. Tygodnie, dni. Plus ANR. Cat gadała o nich jako broniących, wiecie, jaka jest. *Moja* ocena jest taka, że to tylko kwestia czasu, zanim dojdą do jakiejś formy umowy.

– Nie muszę Wam mówić, że to stawia nas w trochę płynnej pozycji – roześmiał się jakby do siebie. – Płynna pozycja, ta, to dobre. – Stał teraz, opierając pięści o stół. – Co chciałbym się dowiedzieć to *dlaczego kurwa nic o tym nie wiemy?*

Usiadł z powrotem, odwrócił się Janis i dodał, tonem zwyczajnego wyjaśnienia:

– Dupa, a nie *Kolektyw* Feliksa Dzierżyńskiego.

Dyskusja ruszyła od tego miejsca.

Jeżeli Moh miał nadzieję skierować ich na wzajemne obwinianie nad wpadką na froncie wywiadowczym, na długo mu się to nie udało. Większość z nich podkreślała, że logowali wszystkie plotki, na jakie natrafiali, i oceniali je potem jako właśnie to: plotki.

Co rzeczywiście ich poruszyło to perspektywa kolejnych sytuacji, takich jak ta, w której niechcący się znalazł Moh, strzelania do ludzi, którzy, w terminach politycznych przynależności i osobistych relacji, byli po tej samej stronie co oni. Większość z coraz bardziej podnieconej dyskusji nie trafiała do Janis, ale mogła zobaczyć, jak powstaje polaryzacja: Moh, Dafyd i Stone uważali, że nic się nie zmieniło, podczas gdy Mary i Alasdair proponowali odwołać wszystkie zajęcia, które mogłyby ich skonfliktować z Lewicą. Inni byli przeciągani na jedną lub drugą stronę. Moh, ku jej zaskoczeniu i uldze, wnosił niewielki wkład do debaty, prócz dziwnego szyderczego śmiechu, lub chichotu, takiego, gdy ktoś używał wyrażenia „co towarzysze nie potrafią zrozumieć. . . ”.

Niemniej jednak to właśnie Moh zakończył dyskusję, kaszlnięciem i lekkim wzruszeniem ramion.

Ponownie wstał.

– Ok – powiedział – nie możemy głosować, zbyt wielu z nas jest w pracy, aktywnych. Proponuję tak: jako spółdzielnia honorujemy istniejące kontrakty. Każdy członek, który uzna, że ma pro-

blem z obroną określonych instalacji, uprzednio wnosi o zwolnienie. Każdy, kto bierze zadanie i potem tchórzy, będzie uważany za niezależnego i bierze całą odpowiedzialność. I spójrzmy na to z perspektywy, dobra? Zawsze używaliśmy minimum siły.

Przerwał, jak gdyby próbował coś przemyśleć, potem kontynuował.

– Moje sumienie jest czyste. Jeszcze jedna rzecz: *jeżeli* to wyjdzie poza izolowaną szarpaninę i zmieni się w prawdziwą ofensywę, to wtedy wszystkie chwyty są dozwolone. Zresztą to jest zapisane drobnym pismem w każdym z naszych kontraktów. Wszyscy możemy się z tym zgodzić?

Zgodzili się, choć Alasdair był ostatnim i najbardziej niechętnym, żeby przytaknąć.

– A co jeżeli to *jest* ofensywa ANR? – spytał Dafyd. Wszyscy inni się roześmiali. Wyglądał na urażonego. Moh pochylił się i chwycił go za ramię.

– Jeżeli tak się zdarzy, chłopie, – powiedział – zrobimy dokładnie to, co jest zapisane w kontrakcie. Dajemy pełne poparcie legalnej władzy!

Gdy Janis patrzyła na śmiech, widoczne odprężenie, które wprowadził ten komentarz, rozmyślała, co to znaczy. Nie dosłowne znaczenie, ale wyszukana dwuznaczność, Moh, lub ktoś, musiał być strasznie zachwycony, wprowadzając taki warunek drobnym drukiem. Pomimo wszystkich nieporozumień, pomimo oczywistego cynizmu i sceptycyzmu wobec ANR, brali to za oczywiste, że ich cele i środki są sprawiedliwe.

Tak jak ona: to było podstawowe założenie, gdy teraz zaczęła o tym myśleć, dla większości ludzi, których znała. Na długo, zanim doszli do władzy, republikanie odwoływali się do państwa brytyjskiego, starego establishmentu, jako do „reżimu hanowerskiego”,

a teraz, dawno po upadku Republiki, wszyscy nazywali restaurowane Koronę tą śmieszną nazwą. Niewielu brało na poważnie roszczenie ANR do bycia legalnym rządem, ale niewielu całkowicie je negowało. W strefach kontroli, rozproszonych i oddalonych, oraz z tyłu głowy ludzi, Republika ciągle istniała. Była przywódcą. Tak dużo już wygrała.

Stone przerwał już bardziej towarzyskie rozmowy uwagą, że niektórzy mają pracę do wykonania. Nagle nastąpiła rozchwytywanie broni, a po paru minutach została sama z Moh i Mary Abid.

– Czas na wiadomości – powiedziała Mary. Janis rozejrzała się za telewizorem.

Mary uśmiechnęła się.

– Nadajemy własne – powiedziała.

Posprzątała trochę bałaganu elektronicznego, usiadła, dostosowała światło i nagle była profesjonalnie wyglądającą reporterką, fachowo łączącą materiały agencji z nierównymi fragmentami z kamer na głowach towarzyszy na demonstracjach, w walkach ulicznych, uzwiązkowiających platformy orbitalne, czołgających się przy niebezpiecznych procesach przemysłowych… Janis, oglądając to na monitorze, była raczej niechętnie pod wrażeniem. Większość agencji obrony emitowała swoje własne działania i używała wyników zarówno jako programy o przestępstwach, jak i również własną reklamę, ale ta grupa próbowała też zrealizować autentyczną polityczną interwencję.

– Ilu macie subskrybentów? – spytała, kiedy Mary się wylogowała.

Mary potrząsnęła włosami, które wcześniej związała na potrzeby telewizji.

– Kilkuset – odpowiedziała. – To nie daje dużo, chyba że jakaś większa sieć opozycyjna wykorzysta coś, co nagraliśmy. Wiele

grup tak robi, wymienia się historiami, ideami i tak dalej, cały czas, w sieci. Dociera do ludzi, którzy nie chcą przebierać przez to wszystko ale nie chcą opierać się na standardowych filtrach.

– Wszystkie grupy antyONZ wzajemnie się karmią – powiedział Moh. – To jak globalny spisek paranoików. Ostatnia Międzynarodówka.

Mary rzuciła mu ponure spojrzenie spod czarnych włosów.

– Janis jest w porządku – powiedział Moh. Żartobliwy ton zniknął z jego głosu. Mary patrzyła na niego przez chwilę, marszcząc brwi, potem odwróciła się do Janis z uśmiechem, który nie ukrywał jej zażenowania.

– Bez urazy? – spytała. Janis potrząsnęła głową, czując, że czegoś nie zrozumiała. Zanim się zapytała, co to było, Moh powiedział:

– Och, cóż, równie dobrze możemy zobaczyć, co ma do powiedzenia druga strona.

Główne filtry wiadomości były, choć raz, zgodne, co było głównym tematem: tureccy żołnierze ostrzelali demonstrację w Sofii. Rosjanie ostrzegli, że dzielą z Bułgarami „chrześcijańskie i ortodoksyjne dziedzictwo (lub, w niektórych napisach, „Ortodoksyjne". Krytycy wojny poważnie debatowali, czy chodziło Ortodoksyjne chrześcijaństwo czy ortodoksyjny komunizm) i nie będą tolerować w nieskończoność tych bezeceństw. Prezydent Kurdystanu był ukazany, gdy wchodził na pokład Tupolewa Holenderskich Linii Lotniczych do Moskwy na coś, co oficjalnie było opisane jako rutynowe spotkanie z Prezydentem Byłego Związku.

Mary zrobiła triumfujący znak O i wyszła.

Wiadomości o problemach komputerowych, teraz nieodwracalnie obciążających oszołomów, pojawiły się dobrze po wiadomościach o ostrzeżeniu USA/ONZ dla japońskiej firmy samochodowej.

– Żadnego słowa o dzikiej AI i przełomach w leczeniu – powiedział Moh, gdy wyłączył ekran. – Wiedziałem. Tuszowanie przez kapitalistyczne media.

– Nie widziałam niczego w waszych alternatywnych mediach – powiedziała Janis.

– Szczęśliwie dla nas.

– Ta, zamierzasz powiedzieć... towarzyszom cokolwiek o tym wszystkim?

Moh podrapał się w głowę.

– Nie jako takich.

– Prawie nie koleżeńsko, co?

– Och, ale to jest. Byłoby trudno to wytłumaczyć, a oni nie muszą wiedzieć. Wcale nie zmniejszyłoby to niebezpieczeństwa, w jakim mogliby się znaleźć. Może nawet zwiększyłoby, to, czego nie wiesz, nie może być...

Nie może być wyciągnięte z Ciebie, pomyślała. Ponuro pokiwała głową.

– Więc co zamierzamy zrobić?

– Był taki facet, którego poznałem wiele lat temu, imieniem Logan. Robotnik w kosmosie, który był uziemiony. Był w Czwartej Międzynarodówce...

W odpowiedzi na jej zaskoczoną minę, Moh zanurzył palec w rozchlapanym winie na stole i narysował „młot, sierp i czwórkę", mówiąc:

– Mała socjalistyczna sekta, aspirująca do bycia światową socjalistyczną partią. Trockiści. Ta sama organizacja, w której był mój ojciec. Logan był w pewny sensie zaintrygowany, żeby mnie poznać. To było jakby... jakby oczekiwał czegoś ode mnie. Spytał mnie, czy wiem coś o "Gwiezdnej Frakcji". Był we frakcji kosmicznej. To było coś innego.

– Brzmi dostatecznie blisko – uśmiechnęła się Janis, próbując go pocieszyć. – Może inna fakcja?

– To nie to samo. Fakcja i frakcja. Nie to samo.

– Jaka jest różnica?

– Możesz mieć fakcję wewnątrz frakcji – powiedział jej z samodrwiącą pedanterią – ale nie możesz mieć frakcji w fakcji.

– To rzeczywiście wyjaśnia. Dlaczego nie możesz...

– Demokratyczny centralizm. Albo może dialektyczny materializm. – Uśmiechnął się do niej. – Zapomniałem.

– Gdzie jest teraz Logan? Z powrotem w kosmosie?

– Ta, wydostał się z Ziemi, ale był na czarnej liście stąd do Księżyca i z powrotem. Straciłem z nim kontakt po kilku skokach. Jedyna osoba, która może wiedzieć, gdzie on jest, to Bernstein.

– Kim jest Bernstein?

Moh spojrzał zdziwiony.

– Wszyscy znają Bernsteina.

– Ja nie. Jest w sieci?

Moh się roześmiał.

– Nie, ten stary bękart za dużo przesiedział za zarzuty semiotyczne. Jest człowiekiem kopii fizycznych, ten Bernstein.

Janis zdecydowała się puścić to płazem.

– Dobra, więc co teraz robimy?

– Hm, sądzę, że znajdziemy parę osób w lokalnym pubie, które mogą wiedzieć więcej na temat tego, co się dzieje. Sprawdzimy parę rzeczy z nimi, może dostaniemy jakieś tropy. Po tym możemy tutaj zostać na noc, poszukać Bernsteina z rana, a potem wyruszyć w drogę.

– Drogę do?

Moh wyszczerzył zęby do niej.

– Och, jeszcze tak daleko nie pomyślałem. Pogadajmy o tym w pubie.

– Dobrze mówisz. – Pragnienie relaksu w społecznie cywilizowanym miejscu, pozwolić, żeby odrobina alkoholu wygładziła problemy dnia, pojawiło się u niej jak pragnienie. Jej usta były suche. – Gdzie potem mogę walnąć w kimę?

– Mój pokój jest wolny – powiedział Moh. W jego tonie nie było niedomówienia.

– A co z Tobą?

– Znajdę miejsce.

To mogło znaczyć wszystko. Posłała mu spekulatywny uśmiech.

– Czy kiedykolwiek sypiasz?

– Wziąłem tabletkę.

– O tak. Nie dostałeś jej na dyskotece, co? Od blondynki?

Zobaczyła, że jego oczy się rozszerzają.

– Skąd do cholery możesz to wiedzieć?

– „Budzom Cie po prostu jak psztryk" – naśladowała szyderczo. – Dobra, powiem Ci, że za jakieś cztery godziny zaśniesz jak psztryk.

Zataszczyli jej torbę na górę. Pokój Moh był na drugim piętrze z tyłu budynku. Był większy, niż się spodziewała, z podwójnym łóżkiem, wielką szafą. Dużo starych plakatów politycznych, metrowej szerokości ekran video.

– Chciałbym wziąć prysznic – powiedział Moh – a wszystkie moje rzeczy są . . . – Brzmiał prawie przepraszająco.

– Ruszaj się, idioto.

Leniwie przejrzała kolekcję dyskietek Moh, podczas gdy on zniknął w przylegającej łazience. Jedno pudło było opisane „KLASYKI",

a zniszczone okładki sugerowały, że filmy były często oglądane: *El Cid, Bitwa o Algier, 2001, Z, Życie Briana*[2]... Uśmiechnęła się.

Moh miał tylko kilka książek, ale pełne regały i półki politycznych broszur: znalazła kopię *Ziemia to surowa pani*, oryginalny manifest Ruchu Kosmicznego, błyszczący od starych hologramów; *Tajne życie komputerów*, które miało biblijny status dla abolicjonistów AI; neostalinowski traktat *Czy sześćdziesiąt milionów naprawdę zginęło?*; przewróciła kilka kruchych stron broszury opublikowanej sto lat temu w Nowym Jorku *Śmiertelna agonia kapitalizmu i zadania Czwartej Międzynarodówki* podtytuł *Program przejściowy* Dziwne, pomyślała. Czy mieli wtedy komputery?

Przejrzała pierwsze kilkanaście stron: „Siły wytwórcze ludzkości przestały rosnąć[3]."

„Nowe wynalazki i udoskonalenia nie prowadzą już do wzrostu materialnego bogactwa." Och, czyli mieli komputery. „Bez socjalistycznej rewolucji – i to w najbliższym historycznym okresie – całej kulturze ludzkiej grozi katastrofa." Nie łapała tego. Utrzymywała zwyczajowe przekonanie, że komuniści są w zasadzie ok, zawsze atakujący rynki, demokrację i inne takie rozsądne rzeczy, tymcza-

---

[2] prawdopodobnie wzmianki o następujących filmach:
El Cid – `https://en.wikipedia.org/wiki/El_Cid_(film)`,
Bitwa o Algier – `https://pl.wikipedia.org/wiki/Bitwa_o_Algier`,
2001 – `https://pl.wikipedia.org/wiki/2001:_Odyseja_kosmiczna_(film)`,
Z – `https://en.wikipedia.org/wiki/Z_(1969_film)`,
Życie Briana – `https://pl.wikipedia.org/wiki/%C5%BBywot_Briana` – przyp.tłum.

[3] cyt. z Programu Przejściowego L.Trockiego na podstawie `https://www.marxists.org/polski/trocki/1938/prog_przejsciowy.htm#Obiektywne%20przes%C5%82anki%20socjalistycznej%20rewolucji` – przyp.tłum.

sem cokolwiek, co miało związek z socjalizmem, było katastrofą, która zagrażała całej kulturze ludzkiej. To było coś, co musiała kiedyś sobie przemyśleć. Nie teraz. Odłożyła z powrotem pamflet.

Pośród plakatów była czarno-biała fotografia uderzająco pięknej młodej kobiety w ubraniu roboczym, podnoszącej wzrok najwyraźniej znad naprawianego silnika wewnętrznego spalania. Została uchwycona z rozszerzającymi się oczami, początkiem uśmiechu, odrzucając włosy nadgarstkiem pobrudzonej dłoni.

Zgadła, że to musi być Cat.

Moh pojawił się ubrany w koszulę bez kołnierzyka, ciasne czarne skórzane spodnie i kamizelkę. Nie dała mu czasu, żeby znowu wyszedł, gdy przeszukiwała swoje kosztowne tłumoki, zadając mu trywialne pytania o gospodarstwo domowe, jednocześnie zdejmując bluzę i spodnie do łydki i wsuwając się w długie spodnie, top i żakiet, wszystko jedwabne i czarne.

– Jak wyglądam? – spytała. – Raczej normalnie dla tej dzielnicy?

Ciągle myślała o Norlonto jako praktycznie rozległych slumsach cyganerii, gdzie drogie ubranie sprowokowałoby podejrzenia lub rabunek.

– Gdybyś poszła w niczym, prócz tym modnym Twoim gorsecie – odpowiedział Kohn – nikt by dwa razy nie spojrzał.

– Wielkie dzięki.

Rozdział 8

Wirtualne miejsce

Jordan postawił plecak na ziemi i oparł się o mały, niezajęty kawałek muru pomiędzy teleseksszopem i spelunką o nazwie „Hard Drug Café”. Czuł każdą twarz, która go mijała, jak miękkie uderzenie na swojej oraz niejasne, nieczyste mdłości, jak chłopiec po pierwszym papierosie. Odkąd wspiął się na tamto wzgórze i na Broadway, dziwne i dekadenckie wrażenie tego miejsca zachwiały nim. Było to dziksze niż jego najdziksze wyobrażenia, a było to tylko przedmieście. Neony i lasery płonęły wszędzie, ludzie robili w oknach wystawowych rzeczy, o których nigdy by nie podejrzewał, że ktokolwiek robi je w sypialni, sztuczki i holoduchy szydziły i paradowały przez stałe ciała wokół niego. Ciała same w sobie go zdumiały, nawet gdy przestał gapić się na kobiety, niektóre z nich nosiły ubrania, które odsłaniały ich piersi, tyłki i nawet nogi. Osoba dostosowana do kosmosu przecięła chodnik w aparacie powstałym z roweru i wózka inwalidzkiego, w którym energicznie poruszała ramionami i, cóż, ramionami, które miała zamiast dolnych kończyn. Od czasu do czasu, metalowe oko bez źrenicy czy tęczówki napotykało jego spojrzenie i odrzucało je zdumione. To, wiedział, było znane jako szok kulturowy. Wiedza o tym wcale go nie zmniejszała.

Po kilku osobach, które zmyliły krok, gdy go mijały i patrzyły na niego, jak gdyby czegoś oczekiwały, zrozumiał, że wszystko co

musiałby zrobić, to wystawienie złożonej dłoni, a oni włożyliby w nią pieniądze. Wściekły, wyprostował się, potem przygarbił się i podniósł znowu plecak. Był przedsiębiorcą, nie żebrakiem, i miał sprawy do załatwienia.

Hard Drug Café wyglądało na dobre miejsce do startu.

Nazwa była tradycyjna, wspomnienie „złego kwasu" w dawnych czasach. Jedynymi sprzedawanymi tutaj narkotykami były kawa na litry, amfetamina na miligramy i psychostymulanty według jakiejś jednostki prędkości. Zaparowane lustra na ścianie powiększały ciasne długie miejsce. Wirtualne obecności powiększały rzadką klientelę do tłumu. Spojrzenia zza gogli odbiły się od niego, gdy wybierał drogę do lady. Potem tamci wrócili do swoich ożywionych rozmów. Poczuł przyjemność bardziej perwersyjną niż to, co dotychczas widział, w samym byciu zaakceptowanym. Kolejny nerd.

Zamówił kawę i kanapkę, której wielkość nie do końca usprawiedliwiała nazwę „Cała Ziemia". Odrzucił ofertę smart lub szybkich narkotyków. Opadł wraz z plecakiem na miejsce w rogu i zaznajomił się z modemem na stole, podczas gdy jego zamówienie było przygotowywane. Kiedy nadeszło, siedział, jedząc i pijąc przez kilka minut.

Czuł się dziwnie, jakby zaczynał rano pracę. . . Potem myśl, jak było to różne, wstrząsnęła nim i podnieciła, co, był pewien, musiało być lepsze niż jakikolwiek narkotyk w menu, który mogliby mu dać. Wyjął z kieszeni twardy plastikowy futerał, otworzył go i wyjął gogle oraz ręczny kontroler ze styropianowych wklęsłości. Kupił je w pierwszym sklepie hardware, do którego dotarł. Ciągle miały prawie niewykrywalne tarcie, które wskazywało, nie na lepkość, ale na brak nieusuwalnego mikrofilmu ludzkiego tłuszczu na plastiku. Jego palce to zniszczyły, gdy potwierdziły pewność, że były pierwsze, które je dotykały. Rozluźnił palce i rozejrzał się dookoła, żeby

odkryć, że nic nie jest wyraźnie inne, prócz jego odbić w lustrach. Wycierając ścianę rękawem koło niego, obejrzał się z boku. Na zawrotną chwilę wciągnął się w obraz samego siebie odbitego w goglach. Potem wycofał się i zaspokoił krótki przypływ próżności nad tym, jak bardzo poważnie, niebezpiecznie i tajemniczo wyglądał.

Zobaczył przelotny uśmieszek i się odwrócił.

Przeczesał dłonią szczeciniaste włosy, potem poczuł za uchem małą gałkę na końcu przystawki. Kiedy pociągnął, wyciągnęło cienki kabel. Czuć było opór obciążonego kołowrotka, wciągający, gdyby go puścił. Rozwinął cały kabel i podłączył go do joypada, a potem do modemu.

Jego pierwsze badania były skromne, wstępne: po zainstalowaniu i uruchomieniu software, ustawieniu domyślnego pobierania, otworzył konto w lokalnym oddziale Hong Kong and Shanghai, potem załatwił likwidację jego udziału w firmie. To było sprzątanie, formalności: jego dwaj partnerzy wyszli na tym bogatsi ze wzrostu akcji niż on w gotówce. Po prostu uznał siebie za szczęściarza, że Diakoni nie zamrozili jego zasobów. Nawet przy tych wszystkich poziomach anonimowości, transakcja wprawiła go w drżenie. Kiedy było po wszystkim, nie miał własności w Mieście Oblubienicy. Odchylił się i zamówił kolejną kawę. Kiedy ją dostał, wpatrzył się w nią, zmuszając się do myślenia.

Piana na górze obracała się: spiralne ramiona trzymały się kręgu przez ciemną materię pod nimi, obracając się w jedną stronę, podczas gdy reszta wszechświata poruszała się w drugą. . . *e pur si muove* Argument z projektu. Ślepy Zegarmistrz.

To mógł być ostatni dzień: godzina Zegarmistrza. Strach pani Lawson wydawał się prawdziwy. Było to tutaj i wszędzie, we wszystkich spękanych kulturach. Bezbożni lub wierni, wszyscy mieli z tyłu w głowach podstępnie replikujący się mem, który mówił, że pew-

nego dnia system się obudzi i powie do swoich twórców: „Tak, *teraz* istnieje Bóg."

Błogosławieni są Zegarmistrze, bo oni odziedziczą Ziemię.

Jordan został wychowany w poczuciu bliskości, umiejętności życia z możliwością, że „Koniec Jest Bliski". Rozczarowania pochodzące z okresu końca tysiąclecia ukształtowały sekty chrześcijańskie, lekcja wzmocniona przez nieprzekonujący Armagedon, który skończył się przed jego urodzinami. Interpretatorzy *Objawienia* wyszli na głupków, nawet dla ludzi, którzy tolerowali równie nieinspirujących interpretatorów *Księgi Rodzaju*. Przekonanie, że bliski koniec jest nieprzewidywalny, wzmocniło oczekiwania: dwa tysiące lat i odliczenia biegnie, i ciągle *Już Wkrótce.*

Jeżeli oni mogliby to zrobić, pomyślał Jordan, to i on mógłby. Biorąc w nawias niewielką szansę, że wszystkie spekulacje miały stać się nieistotne, co dalej powinien robić? Kontakt z (prawdopodobnym) Czarnym Strategiem, zwitek pieniędzy, pewne obawy z nierzetelnych źródeł na temat dziwnych zdarzeń w sieci, i niewątpliwa seria widowiskowych awarii systemów.

Dobra, mógłby poszukać czegoś o tym, puścić analizę i zobaczyć co wyjdzie. Dopił kawę, wyprostował instrukcję obsługi i wprowadził sekwencję, którą każdy inny użytkownik tutaj mógł wprowadzić z zamkniętymi oczami.

Drzwi^{tm} otworzył się na świat: królestwa i republiki, enklawy i księstwa, anarchie, państwa i utopie. Z cichym okrzykiem poleciał w wolność sieci.

W wirtualnej przestrzeni, Miasto Oblubienicy było daleko, daleko stąd.

* * *

Niebo tutaj dotykało dachów tak jak wszędzie indziej. Gdy Kohn

szedł ulicą, ujrzał za niedalekim horyzontem w nieuniknionej świadomości, że niebo przed nim jest tak samo daleko jak niebo ponad nim, oszałamiająca horyzontalna wysokość. Był świadom ruchu Ziemi tak, jak wcześniej był świadom godziny dnia. Nie po raz pierwszy był pod wrażeniem nieustraszonej wesołości gatunków. Odwracając się od ognia słońca, by stanąć twarzą naprzeciw nieskończonej ciemności przenikniętej światłem, zaakceptowali to, o ile mogli potraktować to jako szansę na wyjście i zabawę.

Janis szła koło niego krokiem tancerki, ciepłe, smukłe ciało nagie w świetnych ubraniach, jej palce odkrywające jego dłoń co kilka sekund. Nie był pewien, co taki elektryczny dotyk znaczył dla niej. Co to znaczyło dla niego, było jak nowe przebudowanie umysłu, zachwyt, którego prawie się bał sprawdzić, jednak ciągle odnawiany przez zwykłe spojrzenia na nią lub w samego siebie.

Szli razem szybciej i łatwiej niż ktokolwiek na chodniku, Kohn bez wysiłku znajdował otwartą ścieżkę pomiędzy ruszającymi się ciałami. Po przejściu ulicy, krocząc pomiędzy brzęczącymi samochodami, pędzącymi rowerami i gwiżdżącymi rikszami, Janis spojrzała na niego, żeby coś powiedzieć, a potem po prostu potrząsnęła głową.

Norlonto pachniało miastem portowym, tą otwartością do świata: poczucie, że wystarczyłoby zrobić krok nad przepaścią, żeby być stąd zabranym. (Możliwe, że morze było oryginalnym krajem piątej barwy, ale zostało nieodwracalnie poplamione krwawym atramentem z wszystkich innych). Oraz miało to uczucie, że przybył tu świat. Częściowo to była iluzja: większość różnorodności dookoła nich przybyła znacznie wcześniej niż sterowiec i platformy orbitalne, jednak tu i tam Kohn mógł dostrzec stukające buty magnetyczne, muskulaturę alpinisty, wyluzowane przeciągane Esperanto orbitalnej arystokracji pracy. Mężczyźni i kobiety, którzy podłą-

czyli się do wracającego szybowca, żeby stracić miesięczną wypłatę w krótszym czasie i w bardziej pomysłowy sposób, niż pozwoliłby Kazachstan, Gwinea lub Floryda.

Ci, którzy pomagali im to zrobić, zaznaczali się w tłumie i na wystawach: prostytutki wszystkich seksualności, salony modyfikacji genetycznych, straganiarze przegryzek i wódki, sprzedawcy VR, narkotyków i drinków.

Lord Carrington, przy bocznej ulicy, nie był jednym z nich.

– To nasz lokal – powiedział dumnie Kohn, gdy pchnął drzwi westernowego baru z ciężkiego drewna, mosiądzu i szkła. Zapach alkoholu, dym haszyszu i tytoniu, uderzyły go wszystkimi skojarzeniami obietnic i pamięci, oszustwa i zapomnienia. Nie wiedział, czy całe życie byłby w stanie znieść taką intensywność. Może to było coś, do czego się przyzwyczajał. Poeci umierali za to, niektórzy mówią, od tego. Może marnowało się to na niego. Lub jego surowość, gruboskórność wojownika, uratowałaby go.

Co za piekło.

Janis powoli minęła go, przez drzwi, potem on wszedł i pozwolił im się zamknąć.

Pomieszczenie było długie i chłodne. Bar był podzielony wzdłuż długości z zapewne lustrzanymi przegrodami, które nie pokazywały odbić, a widoki innych barów. Można było określić strefę czasową pokazywanych obrazów ze stanu, jaki osiągnęli pijący. Pierwszy, który Kohn zauważył, wyglądał jak Władywostok. Szczęśliwie dźwięk był wyłączony. Prawdziwy pub nie miał jeszcze zbyt wielu klientów, scena hologramowa pokazywała tylko pływające delfiny.

Janis wyprzedziła go przy barze, odwróciła się z łokciem na ladzie i spytała:

– Co chcesz?

– *Eine* bittera, *bitte*

Janis zamówiła dwa litry. Znaleźli niszę, gdzie mogliby usiąść i widzieć scenę oraz okno wychodzące na dziesiątą część Londynu. Kohn usiadł, przesunął torbę, w którą była włożona elektronika Karabinu, zwalniając kaburę na biodrze głupiego automatu, co było całym hardwarem, na który przepisy pubu pozwalały. Janis patrzyła z lekkim uśmiechem i wzniosła ciężką szklankę.

– Hm, nasze zdrowie.

– Dokładnie. Cheers.

Pierwszy długi łyk. Kohn zdecydował docenić smak na tyle na ile mógł, zanim się upije.

Mężczyzna przeszedł przez delfiny i zapowiedział pierwszy zespół, nową szkocką bandę o nazwie Chórmistrzowie. Morska scenka przejaśniła się i dwóch chłopaków i dziewczyna, grając na żywo z Fort William, wystartowała z najnowszą wersją starej pieśni rebelianckiej.

Janis spojrzała na niego, potem na drink, potem znowu na niego bystrzej, jej włosy opadające. Jej ramiona kołysały się prawie niedostrzegalnie do muzyki.

– Powiedz mi o sobie – powiedziała.

– Nie ma tego zbyt dużo... Dorastałem niedaleko stąd, North London Town wcześniej i po tym, jak stało się Norlonto. Moja matka była nauczycielką, mój ojciec był, cóż, zarabiał jako programista, ale był zawodowym rewolucjonistą. Członek Partii Władzy Robotniczej[1] , która wtedy była czymś co nazywał prawie-masową partią.Prawie-chybiona partia. – Kohn zachichotał się ponuro. – Czwarta Międzynarodówka miała kilka dobrych sekcji narodowych w tamtych czasach, a oni byli jednymi z najlepszych. Trockizm klasy przemysłowej. On był organizatorem związku, aktywistą społecz-

[1] dosł. Workers' Power, więcej `https://en.wikipedia.org/wiki/Workers%27_Power_(UK)` – przyp.tłum.

ności w różnych miasteczkach Greenbelt. Moja matka została wybrana do lokalnej rady w czasach Republiki.

Przerwał. Normalnie mówienie o tym nie było trudne. Teraz, wzmocnione wspomnienia zalały go jak histeryczni kuzyni na pogrzebie. Jego pięść była na stole. Palce Janis splotły się nad nią.

– I to dlatego zostali zabici?

– Nie! To wszystko było legalne. Byli za odrzuceniem, pewnie, ale nie byli w uzbrojonych grupach, które stały się ANR czy coś w tym rodzaju. Weź pod uwagę, że w Procesie Pokojowym nie musiałaś być, zostać zabita. Myślałem zawsze, że o to chodziło. – Zabrał dłoń, nie myśląc i zapalił papierosa. – Myślałem, że o to kurwa cały czas chodziło.

– Nie rozumiem.

– Terror musi być przypadkowy. – powiedział. – Tak właśnie naprawdę łamie się ludzi, kiedy nie wiedzą, których zasad się trzymać, żeby nie wpaść w kłopoty. – Uśmiechnął się do niej gorzko. – Wiesz to przecież. Było testowane na szczurach.

– Ale chyba nie myślisz, że właśnie dlatego…

– To była część. Zabójstwo było połączoną operacją, lokalne zbiry i teleżołnierz USA/ONZ. Nigdy nie zrozumiałem tego, aż do …właściwie to był Bernstein, który podał mi myśl, że to musiało mieć coś wspólnego z codzienną pracą. Pracą programisty.

– I to mogłoby być… ? – podniecenie odkrycia podnosi jej głos.

Ucisza ją drobnym ruchem dłoni i kiwa głową.

Janis była cicha przez chwilę.

– Co robiłeś po tym?

– Miałem małą siostrę. – Śmieje się. – Ciągle mam, ale teraz jest mężatką, osiadła i szanowana. Nie lubi sobie przypominać o mnie.

– Nie mogę sobie wyobrazić dlaczego.

– W każdym razie…oboje po prostu uciekliśmy, zniknęliśmy

w Greenbelt. Jakby wyciągnąłem ją, wiesz? Brałem każdą zwyczajną robotę, zwykłe rzeczy, aż byłem dostatecznie duży, żeby dostać stałą pracę na budowie.

– Chryste. – Janis patrzy prawie współczująco na tę część historii, bardziej niż na to, co było wcześniej. – Czy kiedykolwiek myślałeś, żeby uciec na wzgórza i dołączyć do ANR?

– Myślałem o tym? Kurwa *marzyłem* o tym. Jednak podstawa była taka, nigdy nie doceniałem ich szans. – Prychnął. – Wygląda, jakbym się pomylił, co? Zresztą, zrzucenie Hanowerczyków z grzędy nie byłoby wystarczające. Przynajmniej Ruch Kosmiczny to rozumie. Musisz pokonać Imperium Zła, człowieku! I zielony muł, wszystkie gatunki oszołomów i dziwaków. Ochronić kompleksy startowe, ochronić Sieć, obronić robotników. To nasza linia.

– Cienka czerwona linia.

– Cholerna racja – powiedział z dumnych uśmiechem. – Ostatni obrońcy.

– W jaki sposób stałeś się, jak Ty się określałeś?... najemnikiem bezpieczeństwa?

– Zacząłem chronić place budowlane przed zbirami Zielonych. Dalej poszło samo. – Wzruszył ramionami i się uśmiechnął. – Opowiem Ci o tym innym razem... W jaki sposób stałaś się szaloną naukowczynią?

Janis wzięła duży łyk.

– To musi zabrzmieć jak bezpieczne wychowanie. Trochę tego starego przywileju klasy średniej, wiesz? Dorastałam w Manchesterze. To wszystko Korona, żadnych autonomicznych gmin. Niedużo przemocy. Wróble ANR trafiają od czasu do czasu żołnierzy i urzędników.

– Oboje rodzice są doktorami. – Uśmiechnęła się samokrytycznie. – Prawdziwymi doktorami. Hm, lekarzami. Dwóch braci, obaj

młodsi ode mnie. Jeden inżynier górnictwa na Syberii, drugi na uniwersytecie medycznym. Zawsze się interesowałam badaniami medycznymi, wszystkie te przełomy z DNA zdarzyły się, kiedy byłam dostatecznie duża, żeby zrozumieć. Liceum, uniwersytet, badanie. Przyjechałam tutaj z powodu ograniczeń, niewiele EsWueS na północy.

Kohn pokiwał wolno głową.

– A teraz Norlonto. Po prostu naturalny postęp.

Janis skrzywiła się.

– Nie chciałabym wmieszać się w czarną technologię.

To była żargonowa nazwa na rodzaj badań, które według plotki odbywały się w Norlonto. Nie do końca zaawansowana technologia, ale stąpająca na krawędzi. Interfejsy neuralno-elektroniczne, łączenie genów, potencjalnie śmiertelne techniki przedłużania życia, wszystkie testowane na wyższych kręgowcach lub podmiotach ludzkich, których status ochotnika był wątpliwy: dłużnicy, przestępcy-niewolnicy, dzieci, które nie wiedziały, w co się pakują, zdesperowani biedacy, najemnicy...

Zapalił kolejnego papierosa i oparł się, wydmuchując dym przez nos i patrząc na nią na wprost.

– To dobre – zauważył – w tym okolicznościach.

– Jest cholerna różnica!

– Wyjaśnij to oszołomom.

– Co zatem możemy zrobić? – Janis spojrzała dookoła teraz ożywiającego się baru, jak gdyby szukając szpiegów.

Wyglądała na tak zmartwioną, że Kohn ustąpił. Przedstawił swoje zdanie.

– Nie martw się o to. – powiedział. – To miejsce jest czarną dziurą dla Państwa i dla terro... nic ich nie zatrzymuje przed wejściem, to z wyjściem stąd mogą mieć problem. Nikt nie podpisał

tutaj Konwencji. Traktat nie obowiązuje. Nie jesteśmy w ONZ. Nie mamy żadnych z tych patów w stanie wojny. Za to mamy kompromis, anarchię i co ruch nazywa *prawo i porządek*. Każdy może nosić broń, a ktokolwiek użyje jej bez dobrego powodu, podlega rozwaleniu. Więc będą musieli nas podejść, a zanim to zrobią, zajmie to parę dni, mamy mnóstwo opcji. Zniknięcie w tłumie poprzez wejście dalej w Norlonto. Opublikowanie całej sprawy. Ucieczka na wzgórza. Przekroczenie morza. . .

– Irlandia? – Janis wyglądała na zszokowaną.

Kohn kiedyś tam był, zabezpieczając jedną z wielu konferencji, które mogły bezpiecznie się odbyć tylko poza Koroną. To było dziwne miejsce, inna Republika, czarno-biała fotografia kolorowego entuzjazmu, który zapamiętał z dzieciństwa. Zjednoczone, federalne, świeckie i socjaldemokratyczne państwo dobrobytu, gdzie liberalizm miałeś wpychany w gardło od małego, razem z witaminami. . . To było niepokojące doświadczenie z powodu jego niejednoznaczności, jak opowieści babki, która przypominała wizyty we Wschodnich Niemczech. Próbował zbyć wzruszeniem ramion to, co podejrzewał po stronie Janis, było zastarzałym uprzedzeniem z lat dezinformacji hanowerskiej.

– Pomyśl o tym, jak o krionice – powiedział, wstając, żeby pójść do baru.

– Co masz na myśli?

– Jako alternatywa śmierci wiele przemawia za krioniką.

Jej śmiech podążył za nim, ale widział, że nie była przekonana.

* * *

Jordan zerwał gogle VR i przycisnął dłonie do mocno zaciśniętych oczu. Matowy kalejdoskop fałszywego światła sprawił, że zni-

kły inne powidoki. Potem otworzył oczy i uspokoił się co do solidności i nierealności rzeczywistości dookoła niego.

Szukał informacji o Czarnym Planie. Sama ANR zaprzeczała wiedzy: jego ostrożne śledztwo skończyło się w jaskrawym biurze VR/PR malejącym nagle do kropki w tle. Potem zwrócił się ku konkurującym kanałom wiadomości radykałów, libertarian i socjalistów, jego wzorzec wyszukiwania podciągnął serię tytułów, które unosiły się koło niego, gdy sprawdzał jeden po drugim:

eu.pol
us.lib
fourth.internat
sci.socialism
soc.utopia
freedom.net.news
fifth.internat
alt.long-live-marxism-leninism-maoism-gonzalo-thought
theories.conspiracy
soc.urban-legend
comp.sci.ai
news.culture.communistans
left.hand.path

Ten ostatni był błędem. Wstrząsnęło to tak mocno jego nerwami, że tylko kawa mogła je uspokoić, nie do końca uciszyć. Cała sieć tego wieczoru przypominała brzęczące nerwy. Popołudniowe awarie systemów uruchomiły pozwy i kontrpozwy, wojnę plotek. Śledzenie odnośników do Czarnego Planu i Zegarmistrza odnalazło tuziny trafień jako przejściowych nieprawidłowości – od awarii przez bombardowania czy zniknięcia dobrze znanych aktywistów do awaryjnych praktycznych audytów w fabrykach samochodów

będących własnością Japończyków – przypisanych do jednej, drugiej lub obu przyczyn.

Jordan sączył kawę i przeglądał plotki przy pomocy freewarowych procedur oceny w joypad i własnego umysłu. Około kwadransa zabrało mu opracowanie możliwości jako spektrum. Na jednym krańcu wniosków z sieci Czarny Plan *już był* Zegarmistrzem i był używany od Illuminatów przez Ostatnią Międzynarodówkę i jej frontalne organizacje – włączając w to Czwartą Międzynarodówkę, Piątą Międzynarodówkę i Międzynarodowy Komitet Rekonstrukcji Libertariańskiej Międzynarodówki – *do przejęcia świata* poprzez zalanie rynku produktami Czarnego Planu rozpoznawalnymi przez kody kreskowe, które zawierały numer 666. Na drugim końcu, jednak coś zdecydowanie się działo na Lewicy, używając terminu w dość szerokim i paranoidalnym znaczeniu, by włączyć ANR, Sojusz Lewicy i części Ruchu Kosmicznego, ale stosunek sygnału do szumu był tak wysoki, że nie było jak dowiedzieć się więcej bez sprawdzenia w rzeczywistości.

Czas poszukać akcji na żywo.

Jordan zapłacił rachunek i wytargał swój plecak za drzwi. Gdy zapinał pasek, zauważył twarz kobiety. Otwarta, przyjazna twarz, którą rozpoznał, ale nie wiedział skąd. Patrzyła na niego, jak gdyby rozpoznanie było wzajemne, ale zastanawiające. Mężczyzna szedł koło niej i przebłysk irytacji zmarszczył jego czoło, gdy zatrzymała się i przywitała się z Jordanem.

Jej sukienka wydawała się zrobiona z płomieni, przyjazny ogień, który lizał i grał naokoło ruchów jej ciała. Salamandrowe twarze wyzierały i mrugały pomiędzy jej piersiami i udami. Jej oczy były rozbawione, gdy po nie sięgnął.

– Podoba Ci się pierwszy smak życia w kosmosie?

Kiedy to powiedziała, przypomniał sobie: była tą kobietą, która go przepuściła.

– Och, witaj ponownie – powiedział. – Tak, ale. Jest trochę intensywnie.

– Czego szukasz?

– Hm, cóż, chciałbym poznać ludzi, żeby porozmawiać o... radykalnych ideach, polityce radykalnej, wiesz? I szczerze mówiąc, wolałbym to robić w jakimś miejscu nieco bardziej...

Zawahał się, nie chcąc obrazić.

– Normalnym i naturalnym? – droczyła się.

– Tak. – przyznał.

– Ok – odwróciła się do towarzysza. – Czy znamy jakieś miejsce rozsądnie konserwatywne, ale spokojne?

Towarzysz myślał przez chwilę i powiedział:

– Możesz iść z nami. Lord Carrington. Tam właśnie rewolucjoniści spędzają wolny czas.

Jordanowi wydawało się to dostatecznie szalone, gdy stał przy barze i pił jego pierwszy uczciwy litr. W Mieście Oblubienicy były puby, ale były tego rodzaju miejscem, gdzie Armia Zbawienia *była* rozrywką. Chrześcijanie mieli niemal cudowny talent zamieniania wina w wodę. Uśmiechnął się do siebie i się rozejrzał.

Para, która przyszła z nim, natychmiast została wciągnięta w pilną dyskusję w grupce osób, żegnając Jordana przyjaznym gestem. Facet miał rację co do rodzaju tego miejsca. Konserwatywne, zrelaksowane i rewolucyjne: złapało styl. Bawełna, skóra i dżins, deklaracja mody odbijająca się echem przez pokolenia: od pasterzy bydła, ręce robotników, lewicowych studentów do prozachodniej młodzieży na Wschodzie i z powrotem do robotników ostatnim razem, gdy Zachód był czerwony, a teraz przez tych, którzy pamiętali tamten okres lub mieli nadzieję na jego powrót. Kurtki Levi były taką

samą odznaką buntu jak dowolna emaliowana przypinka na ich klapach.

Niektóre kobiety ubierały się dokładnie jak mężczyźni, inni grali na podobne sposoby zmiękczone dekoracyjnymi dodatkami: większość jednak wydawała się ogłaszać, że pochodzi od chłopów, raczej niż od robotników, w etnicznych spódnicach i sukienkach, w których w dzisiejszych czasach w żadnym przypadku żadna realna boliwijska, bułgarska czy kurdyjska kobieta nie chciałaby być widziana żywa. Jednak cokolwiek nosili, zachowywali się w sposób, który uderzył go jako zuchwały, śmiały i męski: krzyki, palenie i kupowanie drinków. Było coś podniecającego w tym, podniecającego w inny sposób od tego, co widział na ulicach.

Jednocześnie rzucał się w oczy i czuł się niewidzialny. To nie był bar dla singli: wszyscy byli w grupach i/lub parach. Został zauważony jako inny, nieznany nikomu, a potem zignorowany. Przyjrzał się tłumowi za kimś na własną rękę lub jakoś zainteresowanym poznaniem kogoś nowego.

Jego leniwe spojrzenie zatrzymało się ze wstrząsem na kobiecie, która siedziała pod ścianą przy stole przy oknie. Byli inni przy stole, ale po obu jej stronach było miejsce, a ona rozglądała się po pubie z ciekawością i badawczo. Z pewnością nie czekała na przyjście randki. Wyglądała na zrelaksowaną, zadowoloną i nie z tego miejsca. Kaskada czerwonych włosów, tylko odrobina makijażu, jasna twarz i jaśniejsze ramiona podkreślane przez bezramienny czarny top. Wszystko to mówiło klasa i nie-robotnicza klasa.

Zobaczyła, że patrzy i nawiązała kontakt wzrokowy na ułamek sekundy, potem spojrzała w dół na swojego drinka. Jej włosy opadły do przodu. Przesunęła dłonią po szklance, potem podniosła ją i wzięła łyk. Jordan odwrócił się, zanim znowu na niego spojrzała, ale czuł jej wzrok jak długi zimny palec.

* * *

Inne miejsce, miejsce znane tylko jako plotka, jak Czarny Plan, Ostatnia Międzynarodówka i Zmierzch Ikony. Izba rozliczeniowa: hierarchiczna gorąca linia, tajny sowiet klasy rządzącej, partia permanentna, w obu znaczeniach, okoliczności i organizacji uprzywilejowanych, gdzie każdy, kto był kimś, mógł w tajemnicy nawiązać stosunki towarzyskie. Miejsce, gdzie mogłyby powstać Protokoły Starszych Babilonu.

Donovan był jedynym uczestnikiem, który nigdy nie otrzymał stałego zaproszenia, które docierało w różnych formach do praktycznie wszystkich, którzy stali się podobnie wyraźnie prosperujący, zarówno terrorystami, jak i bilionerami. Zhakował swoje zaproszenie. Wyczyn był tak bezprzykładny i alarmujący, że spowodował pięciominutowy globalny krach finansowy i natychmiastową umowę w taki sposób, by jego wojna elektroniczna nie sprowadziła gniewu Obrony Kosmicznej. Zajmowanie się bardziej lokalną zemstą pozostałoby jego własną sprawą.

Dzisiaj otrzymał nagłe wezwanie, jego pierwsze od lat. Błysnęło na jego ekranach, przerywając przesłuchanie bytów, które przemykały i grasowały w zapomnianych kresach datasfery. Odesłał je i subwokalizował hasło, natychmiast był tam, na zewnątrz. Nie potrzebował sprzętu VR, by tam być, by być na zewnątrz, przeszedł prosto z ekranów, jego umysł bez pomocy przeskakujący w czysty sen trybu superkomputera.

Swobodny upadek w czarnej przestrzeni, delikatny upadek fotonów. Zwiększyć powiększenie i rozdzielczość do:

Odległa galaktyka, kredowy odcisk zwoju, chmura punktów światła, unoszący się rój świetlików, zatłoczona chmura jasnych fantastycznych ciał, wielopoziomowa maskarada, gdzie każdy mówił, ale nikt nie mógł podsłuchać. Sobowtór, awatar Donovana, konstrukt

cielesny, który widzieli inni użytkownicy, oparty był na jego młodszej wersji, nie z powodu próżności, ale ponieważ nie przejmował się aktualizacją. Inni skłaniali się ku podejściu Maski Czerwonego Moru[2]. Wyglądało to jak niebo dla niegodziwych.

– Miło mi Cię widzieć, Donovan.

Anioł, który przemówił do niego, miał pulchne różowe policzki, opalizujący pierzaste skrzydła, błyszczącą szatę i nieokreśloną aureolę, która chwiała się nad jej głową jak kółko z dymu.

– Nie sądzę, żebyśmy byli sobie przedstawieni.

Anielica uśmiechnął się sztucznie, efekt wizualny tak mdły, że Donovan poczuł się metafizycznie chory.

– Nazywam się Melody Lawson. Pamiętasz mnie?

Donovan próbował podtrzymać iluzję teleobecności, gdy („tam" na platformie, jak nie mógł przestać myśleć) gmerał przy klawiaturze. Szczegóły Melody Lawson przeleciały w kącie oka.

– Oczywiście – powiedział. – Ty i Twój mąż opuściliście ruch, och, musiał minąć prawie dwadzieścia lat. Jednak zdaje się, przypominam sobie kilka mile widzianych kwot – uśmiechnął się – „anielskich pieniędzy". Bardziej pieniądze pokuty. – Czym się teraz zajmujesz i dlaczego zadzwoniłaś do mnie?

– Nadzoruję bezpieczeństwo danych dla Miasta Oblubienicy – powiedziała pani Lawson. – Jak mówią, haker zmienił fronty. Muszę przyznać, że to, co nauczyłam się w moich dniach młodości i głupoty jest ogromnie przydatne zawodowo. I ciągle podzielam Twoje obawy o niebezpieczeństwach AI, choć niektóre z Twoich działań były dla mnie w przeszłości dość uciążliwe.

– I Twoje dla mnie – powiedział Donovan. Nie było to do końca

[2] mowa o noweli E.A. Poe, więcej `https://pl.wikipedia.org/wiki/Maska_Czerwonego_Moru` – przyp.tłum.

pochlebstwo: filtry cenzorskie Miasta Oblubienicy były trudne, choć z ich dość starymi systemami rzadko zasługiwały na zakłócenie.

– Jednakże – kontynuowała pani Lawson – powinniśmy pozwolić minionemu pozostać w niepamięci, kiedy odkryjemy wspólne cele, nie sądzisz?

– A jakiż to jest wspólny cel? – spytała Donovan.

– Myślę, że wiesz, o czym mówię – odparła pani Lawson.

Zanim Donovan zdążył odpowiedzieć, usłyszał dyskretny pomruk w głowie informujący go, że ktoś inny w Izbie rozliczeniowej chce z nim porozmawiać. Musiał być to ktoś wysoko w nieformalnej hierarchii, by przedostać się w sytuacjach jak ta. Pani Lawson również wydawała się powiadomiona. Donovan podbródkiem zaakceptował, zastanawiając się, czy go po to wystawiła. Pamiętał ją teraz całkiem samodzielnie: była przebiegła nawet przed zainteresowaniami religijnymi.

Prywatna bańka pękła w istnienie, obejmując ich i jeszcze dwóch innych: człowiek w czerni, który wyglądał jak jeden z Ludzi w Czerni, mitycznych egzekutorów wielkiego mitycznego tuszowania UFO, jego twarz anemicznie biała, oczy szafirowo niebieskie, czoło wybrzuszające się w złych miejscach, źle dobrany garnitur oraz mały mężczyzna w czymś, co wyglądało jak kombinezon firmowy, niebieski fartuch z plakietką na nazwisko. Południowy Azjata, prawdopodobnie Wietnamczyk.

Człowiek w Czerni przemówił pierwszy. Nawet jego głos nie brzmiał poprawnie, piracka kopia człowieka. Donovan zastanawiał się jaka ironia podpiera tę symulację symulakrum, a może to jest prawdziwa próba zastraszenia.

– Dobry wieczór. Jestem agentem Science, Technology and Software Investigation Service Narodów Zjednoczonych. Możecie odnosić się do mnie jako Bleibtreu-Fèvre.

Donovan czuł się, jak gdyby był kotem obserwującym węża: on i Stasis mieli tych samych wrogów i ten sam łup, ale uważał agencję, z jej domniemanymi wzmacnianymi agentami i niezaprzeczalnie zaawansowaną technologią (bardziej zaawansowaną niż technologia, którą miała być stłumiona), jako niebezpiecznie bliską do tego rodzaju zła, którego przez lata się obawiał i zwalczał. W przeszłości zdarzały się okazje, gdy Sojusz Życia Węglowego współpracował z Stasis i zawsze zostawał z mrowieniem na skórze.

– Doktor Nguyen Thanh Van, Dyrektor Badań, Da Nang Phytochemicals – powiedział Wietnamczyk. Głos i synchro z ustami były tak niskiej jakości, że wskazywały albo na prymitywny zestaw, albo na silne szyfrowanie.

Donovan i Lawson przedstawili się na potrzeby Vana, a Bleibtreu-Fèvre kontynuował.

– Dzisiejszego popołudnia – powiedział – osobiście interweniowałem w powstałej sytuacji z udziałem zastosowaniami pewnego niebezpiecznego leku, który był, nie wątpię, że przypadkowo, badany przez, powiedzmy, poboczną spółkę firmy dra Vana. Wcześniej dzisiaj, w nieznanym dla mnie czasie, bezpieczeństwo tego badania zostało naruszone przez rój konstruktów software szukających informacji. Krótko potem, jak jestem pewien, że jesteście świadomi, seria przejściowych i potencjalnie katastroficznych wydarzeń miała miejsce w datasferze. Ktoś mógłby potraktować to jako koincydencję, gdyby nie dwa fakty. Pierwszy jest taki, że ognisko zakłóceń zostało wyśledzone w spornym obiekcie. Drugi jest taki, że, podczas gdy zakłócenia wpłynęły na szeroki zakres usług i przedsiębiorstw, ich statystycznie nieprawdopodobna liczba skupiła się na programach badawczych, które w ten lub inny sposób były powiązane z Da Nang Phytochemicals.

Sobowtór dra Vana lekko drgnął, jak gdyby chciał coś powiedzieć, ale się rozmyślił.

– Prawie, ale niezbyt niepokojącą cechą tych wydarzeń jest to, że poważna ilość danych badawczych, większość z trudnych do zastąpienia materiałów archiwum genetycznego przechowywanych w bardzo oddalonych punktach dookoła świata, po prostu zniknęła. *Najbardziej* niepokojący aspekt problemu jest taki:

– Wstępna analiza zakresu i mocy źródła tych zakłóceń wskazuje, że mamy do czynienia, w najlepszym przypadku, z wirusem o niespotykanej złożoności, a w najgorszym z manifestacją autonomicznej sztucznej inteligencji.

– Zegarmistrz – wymamrotała Melody Lawson.

– W rzeczy samej jest to możliwe – powiedział agent Stasis.

– Dlaczego się z nami skontaktowałeś? – spytał Donovan najlepszym niewinnym głosem, na jaki się mógł zdobyć.

– *Nie pierdol!* – warknął Bleibtreu-Fèvre. Miejscowa wulgarność była małym szokiem po jego wcześniejszej koturnowej dykcji. – Bardzo dobrze wiesz, że zeszłej nocy komórka West Middlesex Twojej organizacji zaatakowała jednostkę badania nad AI na Uniwersytecie Brunela. Włamano się do laboratorium farmaceutycznego w tym samym czasie…

– Nie mam z tym nic wspólnego – wtrącił Donovan. Bleibtreu-Fèvre uznał to, ale nieubłaganie kontynuował.

– …a jeden z Twoich wirusów penetrujących, nielegalnych i, dodam, na swój sposób ryzykowny, został zniszczony w tej strefie kilka godzin temu. Natychmiast potem Twój własny interfejs z systemem uległ awarii, przypuszczalnie za sprawą nowej AI. Uruchomiłeś wtedy odwetowy atak demonów, który w kolejnym zbiegu okoliczności zniszczył laboratorium, w którym prowadziłem śledztwo. Pan, doktorze Van, jest prawnie odpowiedzialny za badania

swojej firmy, które najwidoczniej cieszą się wielkim zainteresowaniem tego niebezpiecznego bytu. Potraktuję Twoją współpracę jako miernik uczciwości Twojego twierdzenia, że nic nie wiesz na temat takiego powiązania. Co do pani Lawson, jej zasługą jest to, że skontaktowała się ze mną z własnej inicjatywy po natknięciu się na pewne wczesne wskazania fenomenu.

Zatem to wszystko. Donovan podejrzewał, że odbywało się tutaj nieco więcej krycia tyłów. Lawson skontaktowała się z nim, i musiała zdecydować w tej samej chwili, że równoległe wezwanie przedstawicieli władzy byłoby dobrym pomysłem. Bleibtreu-Fèvre, bez wątpienia wściekły o to, że w innym przypadku drobny wyciek z laboratorium, eskalował do kryzysu bezpieczeństwa informatycznego, monitorowałby każde połączenie w tej strefie i rzucił się na każdą możliwość.

– W jakim kontekście? – spytał Van, wyręczając Donovana z konieczności odkrycia swojej ciekawości. Sobowtór anioła musnął końcem skrzydła Mężczyznę w Czerni. Pewne prywatne wiadomości zostały wymienione i Melody Lawson powiedziała: – Badałam wdarcie się Czarnego Planu w nasze systemy biznesowe.

– To interesujące – powiedział Donovan. – Napotkałem Czarny Plan w tej samej ramie jak nowy byt, cholera, równie dobrze możemy *nazywać* to Zegarmistrzem, i istnieją różnego rodzaju plotki dookoła o możliwym powiązaniu pomiędzy nimi.

– Czy rzeczywiście istnieją? – zauważył Bleibtreu-Fèvre. Nic nie powiedział przez kilka chwil, jego sobowtór przybierający ledwie kontrolowane abstrakcyjne spojrzenie, które agenci Stasis przyjmowali, gdy mieli dostęp do sieci przez nakładki na głowie. Potem wrócił do stanu czujności.

– Co robiłeś, kiedy Twoje konstrukty napotkały Zegarmistrza?

Donovan westchnął. Kilka godzin temu, nic nie wydawało się

ważniejsze niż zemszczenie się za zniewagę Moh Kohna. Teraz to była tylko brudna pyskówka.

– Zajmowałem się konfliktem ze zwykłym najemnikiem, który złamał, hm, pewne zasady walki w trakcie zbrojnej akcji ostatniej nocy. . . – przestał i zmarszczył brwi na Bleibtreu-Fèvre. – Powiedziałeś, że projekt badania leków został spenetrowany przez agentów poszukujących informacji.

– Tak.

– Cóż, ten najemnik, Moh Kohn zdecydowanie hakował w systemie.– Donovan wrócił myślami do rozmowy z Cat. – *I* odwiedzał laboratorium na kampusie krótko przedtem. To, do którego było włamanie.

Oczy Bleibtreu-Fèvre wydawały się dosłownie płonąć. Odwrócił się do Vana.

– Czy skontaktowałeś się z badaczką, Janis Taine?

– Z przykrością stwierdzam, że zniknęła – odpowiedział Van. – Możliwe, że wasza interwencja miała coś z tym wspólnego.

Bleibtreu-Fèvre spojrzał na niego.

Van, niewzruszony, wytrzymał spojrzenie.

– Wiadomość, którą zostawiła, była nie do wyśledzenia – dodał.

– Zatem jest w Norlonto – powiedziała Melody Lawson. – To jedyne miejsce w pobliżu, gdzie tego rodzaju kryptografia jest legalna.

– I gdzie Stasis nie ma wstępu – dodał Donovan złośliwie. – Będziecie się musieli zwrócić do Obrony Kosmicznej.

– Mamy tutaj problem – powiedział płynnie Bleibtreu-Fèvre. – Stasis jest pierwszą linią obrony przeciwko przypadkom jak ten w obecnej sytuacji. Jeżeli zawiedziemy, Obrona ma stały rozkaz, by zapobiegać wszystkim możliwym przejęciom datasfery przez jakąkolwiek AI niebędącą pod ludzką kontrolą. Nie wolno mi tego

ujawniać, ale zazwyczaj pojawiają się wyrażenia jak *czyste konto* i *nowy początek*– Ich odpowiedź wobec zagrożonej degradacją datasfery może być niedopuszczalnie drastyczna.

Donovan przyjął tę informację z szalenie mieszanymi uczuciami: określone ponure uniesienie, że jego lęki przed niekontrolowaną AI były podzielone przez najpotężniejsze siły zbrojne w historii oraz chorobliwy strach, co tego siły mogą zrobić. Jeżeli Obrona Kosmiczna kiedykolwiek zdecydowała się potraktować ziemię jak, w rezultacie, obcą planetę, musieliby zapobiec wydostaniu się z powierzchni dowolnego organizmowi, lub dowolnej komunikacji. Satelity komunikacyjny zostałyby ostrzelane z laserów, kompleksy startowe zbombardowane nuklearnie. Impulsy elektromagnetyczne z tych i innych bomb jądrowych wyczyściłyby większość pamięci komputerów. Sieci produkcyjne rozpadłyby się na dniach. Nie musieliby nawet palić miast. Zamieszki i załamania zrobiłyby to za nich.

– Powiedzmy dziewięć gigaśmierci[3] – powiedział Bleibtreu-Fèvre. – Zatem. Mam nadzieję, że mogę liczyć na Waszą współpracę, zarówno w załatwieniu problemu, jak i utrzymaniu absolutnej dyskrecji.

– Wygląda, że mamy porozumienie – powiedział Donovan, rozglądając się dookoła. – Wypłaty mogą być ustalone później, ale możemy przyjąć od teraz, że stosują się zwykłe immunitety?

– Oczywiście – powiedział zniecierpliwiony Bleibtreu-Fèvre. – Teraz szczegóły.

Podział pracy, jaki zaproponował, był prosty. Lawson miała skontaktować się z jej odpowiednikami w innych społecznościach, aby dyskretnie monitorować aktywność AI. Donovan miał pomóc jej w wykorzystaniu wszystkich zalogowanych śladów ich starć z by-

[3] gigaśmierć – miliard ofiar, por. `https://en.wikipedia.org/wiki/Megadeath` – przyp.tłum.

tem, żeby rozwinąć charakterystyczny atak wirusowy przeciwko niemu, jednocześnie odwołując swój zwykły program sabotażowy. Van rozpocząłby pełne śledztwo różnych projektów, na które AI Zegarmistrza była skierowana i spróbowałby przywrócić kontakt z uciekinierką Janis Taine.

– Wydaje się to rozsądną hipotezą – podsumował Bleibtreu-Fèvre z pewną pedanterią urzędnika taką, że Donovan marzył, żeby móc go nią uderzyć – że Taine uciekła do Norlonto, prawdopodobnie w towarzystwie Moh, jeżeli rzeczywiście zainteresował się jej badaniami i odwiedził laboratorium. Więc powinniśmy odszukać tych dwoje, żeby tylko wyeliminować ich z naszych badań. Ha, ha.

Zwrócił uwagę na próby Donovan zwrócenia na siebie jego uwagi.

– Myślę, że mogę Ci z tym pomóc. – powiedział Donovan, gdy przestał zmniejszać i powiększać sobowtóra, odpowiednik w cyberprzestrzeni podskakiwania do góry. – Pozwól, że wyjaśnię. . .

Rozdział 9

Każdemu wedle Wyboru

„Martwi Leniniści" grali na żywo z Bydgoszczy, skandując *The Money that Love Can't Buy.* Kohn próbował odfiltrować zadymiony ciężki dźwięk zespołu i słuchać gwaru. Wiele gadania o działaniach Sojuszu i intencjach ANR, wiele politykowania. Po chaotycznym spacerze uświadomił sobie, że zaniedbywał Janis przez co najmniej dwa utwory, może trzy papierosy... Powiedział tyle do bojownika na wolnym, z którym rozmawiał, kupił kilka litrów i odwrócił się od baru. Prawie zderzył się z młodym mężczyzną, który jasno pochylał się do przodu ze stołka, na którym siedział, słuchając każdego słowa.

Grube kości, jasne włosy, miał wygląd chłopaka ze wsi bez prostackiego zdrowia, trochę rumiany, trochę miękka twarz. Młody, bardzo intensywny i lekko pijany. Zakołysał się z drogi i spojrzał prosto na niego, niespeszony.

– Cześć – powiedział. – Ja... nie mogłem nie usłyszeć.

– Tak. I?

– Pytałeś tego gościa, co zamierza ANR, ta?

– Aha. – Nie było sensu temu zaprzeczać.

– Próbowałem odkryć to samemu. – Mężczyzna patrzył się na Moh, podniósł pełny kieliszek whisky do ust i popił. Efekt „spoko gościa" został mniej więcej zrujnowany poprzez zaskoczenie w oczach,

gdy przełykał. – Jest jedna teoria, na którą się natknąłem. Obejmuje Ostatnią Międzynarodówkę, Zegarmistrza, Czarny Plan i kody kreskowe.

Kohn usłyszał własny głos jak odległy rechot.

– *Kody kreskowe*?

– Kody zawierające numer 666. – Na młodej twarzy pojawił się zachęcający uśmiech. – Tylko ten fragment Cię zaskoczył?

Kohn miał niepokojące uczucie utraty inicjatywy.

– Myślę, że powinniśmy o tym pogadać. – powiedział. – Chodź, usiądźmy?

Mężczyzna podążył za Kohnem do stołu, ciągnąc plecak. Kohn usiadł koło Janis i mężczyzna usiadł pod kątem prostym do nich. Uśmiechnął się do Janis, prawie jak gdyby ją rozpoznał i powiedział:

– Cześć. Nazywam się Jordan Brown. – Wyciągnął rękę do powitania. Przedstawiła się.

Kohn zdecydował się, że nadeszła chwila lekkiego przesunięcia przewag.

– Nie wiem, jak pani tutaj – powiedział – ale zawsze jestem szczęśliwy poznać uciekiniera z Miasta. Witamy w kosmosie.

– Skąd wiesz, skąd jestem?

– Ubrania. – Kohn współczuł. – Akcent. Ślady stanu skóry.

Jordan wyglądał przez chwilę na oburzonego, potem się roześmiał.

– Stygmanty!

– Nie martw się. Zużyją się. Ok, Jordan, możesz mieć kłopot z odkryciem, kim jesteśmy. Janis jest naukowczynią, a ja pracuję dla agencji ochrony. Niektórzy ludzie nazwaliby mnie komunistą. Mocno nadużyta etykieta, ale…

Machnął ręką, by objąć wszystkie niefortunne skojarzenia, które mógł przywołać.

– Nie przeszkadza mi to – powiedział Jordan. – Wierzę w przyjmowanie ludzi takimi, jacy są. Jestem indywidualistą. I kapitalistą.

– I zadziwiająco dobrze poinformowany – powiedział Kohn. – Zważając. – Oparł się. Teraz Ty.

Jordan rozejrzał się w sposób, który przypomniał Kohnowi, jak Janis spojrzała nad ramieniem tego ranka.

– Hm... czy ANR jest tutaj legalna?

Kohn uśmiechnął się.

– To nie jest proste pytanie, ale jeżeli posiadanie biura z podświetloną nazwą na coś wskazuje, to tak. I mamy wolność słowa, jak mogłeś zauważyć.

Jordan westchnął, ramiona lekko opadły.

– Znowu stygmaty...

Kohn przytaknął.

– Prawo do wolności słowa to jedna sprawa – powiedział. – Ale płyn w tej szklance jest najlepszą rzeczą, która Ci pomoże z niej skorzystać.

Jordan wziął łyk whisky i zaczął mówić.

* * *

Kiedy Jordan poszedł po kolejną kolejkę, Janis i Moh gorączkowo się naradzali.

– Myślisz, że on jest... na nas? – wyszeptała Janis.

– Jakiś agent? – Kohn pokręcił głową. – Nic podobnego, to byłby ktoś, kogo znam... on jest po prostu bystry. Słyszał mnie rozpytującego.

– Moglibyśmy dołączyć go do tej sprawy. Chcesz się trzymać z dala od sieci, a ja nie jestem w tym dobra. On tak.

Kohn spojrzał się na nią.

– To jest pomysł.

Odsunęli się od siebie, gdy Jordan wrócił, patrząc w ziemię i poruszając się, jak ktoś kierujący samochodem samymi łokciami. Uśmiechnął się do Janis, gdy stawiał drinki.

– Jestem pod wrażeniem – powiedział Kohn. – Naprawdę. Przesiałeś niesamowitą ilość rzeczy z sieci, opracowałeś duży zbiór idei na temat tego, co się dzieje. Jak doszedłeś do takich wyników, tam?

Jordan skrzywił się nad drinkiem, potem spojrzał.

– Nie wiem – powiedział. – Używałem lepszego zestawu od tego, co zwykle, i robiłem te same rzeczy, co robię w pracy. Robiłem w pracy. Wyczucie ruchu rynku, jak pani Lawson mi rano powiedziała. – Roześmiał się. – A wyczucie wirtualnej rzeczywistej z grania w Paluxy, chyba.

– Co to Paluxy? – spytała Janis.

– Gra w polowanie na dinozaury. To jedyny zręcznościowy VR w Mieście Oblubienicy. Park Noego.

– Rozumiem – powiedział Kohn. Spojrzał z boku na Janis, która też nie rozumiała. – Przyszedłeś tutaj, próbując włożyć trochę życia w to, co znalazłeś. Tak jak my. – mówił wolno, próbując złapać skupienie, splatając myśli w jakiegoś rodzaju latającej formacji. – Lub może, *my* jesteśmy tym życiem. Więc masz wybór. Możesz odejść i robić to, co naprawdę chcesz robić w Norlonto, czego nie mogłeś w Mieście, czytanie, sieć, seks, cokolwiek, i *zapomnieć o tym*. Lub możesz ruszyć na to z nami. Jeżeli to jest, co chcesz, powiemy Ci wszystko co wiemy.

Moh pochylił się bliżej i powiedział cicho, ledwo ruszając ustami. Był pewien, że nawet Janis nie mogłaby go usłyszeć.

– A jeżeli nas zdradzisz, zabiję Cię.

Wyprostował się i uśmiechnął się do Jordana, jak gdyby pora-

dził mu w hazardzie, obserwujące jego strach i gorliwość, który wydawało się, teraz, był tak widoczny na starannie obojętnej twarzy Jordana.

– Ok – odpowiedział Jordan. – Daj mi pomyśleć, dobra? Nie mówisz o niczym, co... byłoby *tutaj* przestępstwem?

– Nie – odparł Moh.

Janis potrząsnęła ostro głową.

– Nie pracujecie dla – przyciszył głos, jego twarz skręcała się z niesmakiem – *rządu*, ONZ lub czegoś w tym rodzaju?

Moh zarechotał, kładąc ramię na ramionach Jordan i uderzając Jordana w plecy.

– Jesteś w porządku – powiedział.

Jordan wyglądał na zadowolonego i zażenowanego.

– Więc co to za sekret i co chcecie, żebym zrobił?

Moh rozejrzał się.

– Zadziwiające się jak się to może zdawać, to miejsce nie jest miejscem i czasem do rozmowy o tajemnicach. Co do tego, co chcemy, żebyś robił, praktycznie to dokładnie tyle ile robisz. Może nieco więcej akcji, której możemy Ci dostarczyć. Mieszkam niedaleko stąd i możesz używać naszego miejsca jako bazy, póki nie znajdziesz czegoś dla siebie. Jeżeli tego chcesz. – Podał Jordanowi jedną z wizytówek i przedstawił krótkie podsumowanie Kolektywu.

– Więc co powiemy towarzyszom? – spytała Janis.

– Tyle prawdy, ile się da – odpowiedział Kohn. – Pomoc Jordan z badaniem, budowanie bazy danych możliwych kontaktów, klientów...

– Ok – powiedział Jordan – ale dlaczego ja i dlaczego dla was?

– Mniemam, że robimy coś, co i tak byś chciał zrobić. Mam na myśli, jak dzisiaj, w pewnym sensie Twoje życzenia zostały speł-

nione, zostałeś wyrzucony z Miasta z fajnymi pieniędzmi. Więc. . . co byś zrobił, gdybyś nie posunął się dalej ze swoimi badaniami?

– Znalazł mieszkanie. Pracę, może w rynkach, i, hm, dużo czytał i pisał.

– Co byś pisał?

– Filozofia. Swego rodzaju. Och, nie tylko ateizm, humanizm, jestem pewien, że bardzo dużo tego powstaje tutaj. . .

– Byłbyś zaskoczony – zauważył Kohn.

– . . . ale chcę więcej. Chcę zaatakować wszystkie te kulty i ideologie. Mam tę, tę wizję, że życie byłoby lepsze, gdyby ludzie mogli zobaczyć, jak naprawdę wygląda świat. To, że to Twoje jedno życie, jest Twoje, masz ten niewyczerpalny wszechświat do życia i na litość boską, czy to nie wystarcza? Dlaczego musimy tułać się w tych wymyślonych światach naszego własnego wynalazku, tych fałszywych rzeczywistościach, które są po prostu bałaganem, śmieciami i brudem na soczewkach? . . . wszystkie te przekonania, tożsamości, na które ludzie przepuszczają swoje prawdziwe życia.

– Jak, nie ma Boga, i nie powinniśmy mieć innych bogów.

– Dokładnie tak. . . O tym właśnie chcę pisać.

– Mam lepszy pomysł – powiedział Kohn. Pojmowanie jak dobry to był pomysł promieniowało z niego, rozszerzając się jak wewnętrzny uśmiech. – Czy chciałbyś występować w telewizji?

Tylko kablówka, mała lista subskrybentów, wyjaśniał. Jednak informacje były czasem podejmowane przez sieci, a Koty miały miejsce do oddania, od kiedy wszystko co pokazywali, było ich własnymi redagowanymi wyczynami i alternatywnymi wiadomościami z odrobiną wrzuconej analizy radykalno/krytycznej/marksistowskiej.

– Jeżeli potrafisz mówić tak jak teraz do kamery, będzie dobrze – powiedział Kohn. – Nic więcej. Żadnych wywiadów. Żadnych profesjonalistów do wykpiwania. To Twój program. Mów, co

chcesz, w zasadzie nienawidzimy barbarzyńców i minipaństwa, a jeżeli Ty też, to jesteś po naszej stronie. Cokolwiek racjonalnego byłoby lepsze niż te śmierdzące, wygodne subtotalitaryzmy. Jedyni widzowie, którzy oglądają, oglądają, ponieważ chcą, więc nikogo nie zanudzisz. A, jako kapitalista, możesz mierzyć swój sukces kredytami, które zaliczysz.

– Och, człowieku. – Jordan miał teraz ogień w oczach. – To brzmi wspaniale. Zbyt dobrze, żeby być prawdziwe.

– Nie, tylko prawdziwe wystarczająco, żeby być dobre.

– Mówiąc o naliczaniu kredytów, co wy, i wasi towarzysze, robicie z zarobionymi pieniędzmi?

Kohn zmarszczył brwi.

– Oszczędnościowe konto bankowe.

Jordan się roześmiał.

– Byłoby lepiej, gdybyście kupowali złoto i trzymali je w starej skarpecie!

– Co jeszcze możesz z nimi robić? – spytał Kohn autentycznie zdziwiony.

Jordan spojrzał na niego, kręcąc głową.

– Nazywacie siebie najemnikami... Ok, trzymacie rękę na pulsie całej mikropolityki tego miejsca, jesteście w środku strefy wolnego handlu, nie płacicie podatków, macie dostęp do wiadomości i plotek mniej więcej, kiedy się pojawiają... Wiecie, mógłby zarobić trochę pieniędzy z tego, co dzisiaj wieczorem się dowiedziałem z sieci!

Kohn spojrzał na Janis po wskazówki. Wzruszyła ramionami.

– Brzmi wystarczająco prawdopodobnie.

– Wspaniale! – Kohn wyprostował się i podniósł szklankę.

– Za międzynarodowy komunistyczno-kapitalistyczny spisek, do którego zawsze chciałem należeć.

Dla Jordana wypili za filozoficznych spekulantów, o czym wszyscy myśleli, że to było raczej dobre, a dla Janis za szalonych naukowców, którzy robili okropne rzeczy szczurom. Po tym zrobili się głośni i, w końcu, cisi.

– Czy Molly Biolly to nie zespół oszołomów? – Janis patrzyła na scenę, gdy Kohn wsunął się na miejsce koło niej, wracając z kolejnego myszkowania w tłumie.

– Nie wiem. Co. . . ?

– Ten facet z tyłu, wygląda jak Brian Donovan. Jak zdjęcie na okładce jego książki.

Za hologramem trzech dziewczyn w plastikowej skórze robiących nieprzystojne rzeczy z syntezatorami stał porysowany, widmowy sobowtór człowieka z długimi szarymi włosami i długą szarą brodą. Wydawało się, że gapi się na nich.

– Dziwne – powiedział Kohn, przesuwając się przed Janis.

– Czy to nie tylko projekcja? – spytał Jordan.

– Zespół tak – powiedział Kohn, nie odwracając się. – Ale scena ma też własne kamery, więc możesz wkleić poruszający się kadr z innego miejsca. . . Tak właśnie działają sobowtóry, w AR. Cholera, on się nam przygląda. I wie, że my wiemy. Zróbmy trochę miejsca, zachowujmy się naturalnie, dopijmy drinki i wyjdźmy. Ty pierwszy Jordan, potem Jordan.

Kohn wstał, przełknął whisky. Postać poruszyła się przodu, przez Molly Biolly, duch przez duchy. Pojawiły się okrzyki skargi i wstrętu. Sobowtór prześlizgnął się za krawędź sceny i w tłum. Irracjonalnie, ludzie zrobili miejsce. Dym zwinął się wewnątrz niego w kolory.

Zespół, który właśnie „TALKIN BOUT MY GENE RATION!!!!” zaczął bezgłośnie poruszać ustami jak terroryści w telewizji. Tłum w pubie też milczał, oczy skupione na poruszającym się obrazie.

Sobowtór skierował przezroczyste ramię na Kohna. Usta tego

poruszały się niezsynchronizowane, gdy głośniki ponownie zaryczały.

– MOH KOHN! – powiedziało to. – OSKARŻAM CIĘ O ZŁAMANIE ZASAD WALKI! JEŻELI NIE PRZEPROSISZ OSOBIŚCIE I W REALU MOJEGO PRACOWNIKA, NIE ZAAKCEPTUJESZ OKUPU I NIE OCZYŚCISZ JEJ HONORU W CIĄGU DWUDZIESTU CZTERECH GODZIN, SPOTKAMY SIĘ W NAJBLIŻSZYM SĄDZIE GENEWSKIM. W MIĘDZYCZASIE I BEZ UPRZEDZEŃ OFERUJĘ NAGRODĘ ZA TWOJE ARESZTOWANIE JAKO RENEGATA I PUBLICZNE ZAGROŻENIE.

Sobowtór Donovan rozejrzał się dookoła, jak gdyby chciał się upewnić, że wszyscy to usłyszeli i zniknął.

Kohn się wycofywał, na czubkach palców, gotów uderzyć.

Wróciła muzyka. Ktoś się roześmiał. Tylko spór pomiędzy terrorystami. Uwaga wróciła do zespołu, głowy się odwróciły.

Mocno zbudowany mężczyzna siedzący na stołku barowym od niechcenia przesunął pusty kufel po rozlanym piwie, odpychając się od baru stopą, tak że stołek zawirował, obracając go dookoła, szeroki ruch ramienia niosący dookoła szkło aż do ostatecznie strzepnięcia rzutu dyskiem.

Kohn uchylił się tak szybko, że aż oderwał stopy od ziemi. Szkło uderzyło w ścianę za nim i odbiło się, prawie go uderzając rykoszetem.

Kohn rzucił się do przodu, zacisnął pięści skierowane w przeponę atakującego. Mężczyzna sapnął, ale się odepchnął, w górę i ze stołka. Kohn zwinął się i stół uderzył go w poprzek tylnej części ud. Zachwiał się, ale nie upadł.

Po chwili coś się zmieniło: jego punkt widzenia. Spojrzał w dół na głowę z około metra ponad nią, dwa metry, i wszystko przedstawiało się mu jak schemat architekta. Jakiś spokojny półszept uspo-

koił przestraszonego australopiteka, który był w jego czaszce, ale myślał, że był poza nią. Tylko obraz, wzrokowa pomoc, ikona: tak to wyglądałoby, gdybyś mógł spojrzeć na to w ten sposób. Sięgnął, zobaczył swoją dłoń, za siebie i złapał pełen kufel, gdy zsuwał się ze stołu i chlusnął zawartością w twarz przeciwnika, potem ruszył do przodu i starannie rozwalił kolano tego faceta. Był znowu w swojej głowie, żeby zobaczyć oczy drugiego wypełniające się bólem i szokiem, zanim uderzenie z boku wysłało go na podłogę.

Kohn wyciągnął identyfikator z tylnej kieszenie i podniósł, gdy odwrócił się do jednej z kamer w pubie.

– Zdaje się, że macie to – powiedział nagraniu. – Nie będę wnosił oskarżenia, ale jeżeli chcecie, możecie zadzwonić do mnie jako świadka. – Spojrzał na ludzi, na których stół wpadł. Nadal wstawali z siedzeń, wycierając ubrania. Wskazał na przewróconą postać.

– Kolejna na jego koszt – powiedział.

Wszyscy znowu na niego patrzyli.

.– Nawet kurwa ze mną nie zadzierajcie – dodał i poszedł w kierunku drzwi. Jordan trzymał się za plecami Janis. Puścił jej ramię i schylił się potrzeć kostki.

– Ognisty mały urwis, co nie? – powiedział Kohn.

Uśmiechnął się do dwóch oburzonych i odprężonych twarzy.

– No, chodźcie. Nie oglądajcie się do tyłu albo zamienicie się w kolumny soli.

* * *

W Izbie Rozliczeniowej Donovan odwrócił się w bąblu prywatności, by zmierzyć się z gotującą się ciszą. Wszyscy przychodzili i odchodzili, wylatując i wracając przez cały wieczór, żeby asystować w swoich różnych interesach, podczas gdy on dzielił swoją uwagę pomiędzy odwoływanie różnych akcji na żywo i nawiedza-

nie kolejnych pubów, klubów nocnych i melin. Jednak wszyscy byli obecni, gdy w końcu znalazł Kohna. Obrazy z kamer pubu ciągle były rozrzucone dookoła nich jak kawałki gazet, falujące od ponownego odtworzenia.

– Donovan – powiedziała pani Lawson – życzyłabym sobie, żebyś uruchomił mózg, zanim otworzysz usta.

Donovan spojrzał na nią.

– Dlaczego? Mówiłem Ci, że wyzwę Kohna.

– Próba zainspirowania obywatelskiego aresztowania była, powiedzmy to sobie, nadmierna – wtrącił Bleibtreu-Fèvre. – Jednakże przynajmniej teraz wiemy na pewno, że Taine jest z nim. Nawet jeżeli go tymczasowo przestraszyliśmy.

– To nie jest problem! – warknęła Melody Lawson. – Jeżeli dalibyście mi szansę. . . była jeszcze jedna osoba z nimi. – Sięgnęła po zbiór scen i zatrzymała tak, żeby wszyscy mogli zobaczyć: młody mężczyzna idący do tyłu, otwarte usta, za Janis Taine. – On nie jest w gangu Kohna. To Jordan Brown, który był tego popołudnia zamieszany w incydent penetracyjny Czarnego Planu. – Przesunęła z roztargnieniem ręce przez jej lśniące włosy i halo, zostawiając drobne pyłki złotej fikcji na jej palcach. – To sugeruje bardzo złowieszcze możliwości.

Donovan poczuł powracający spokój, rozpoznanie, które prawdopodobnie stracił to na kilka sekund.

– Ja. . . przepraszam za mój pośpiech – powiedział. – Wszystko jedno, wydaje się, że nie ma powodu, dla którego Kohn nie powinien pojawić się po okup. Będę miał od rana obstawiony szpital. W międzyczasie, dlaczego nie sprawdzisz rejestru emigrantów?

– Z pewnością to zrobię – powiedziała ponuro pani Lawson. – Przez pewnie czas był niezadowolony. Bogini wie, z kim był w kontakcie.

– Ten człowiek Kohn – powiedział Bleibtreu-Fèvre. – Czy wiesz coś o nim?

Donovan zmarszczył brwi.

– Jest przywódcą małej grupy najemników bezpieczeństwa... inaczej niż okropna smuga fanatyków protechnologii, nie są niczym specjalnym. Jak się zdarza, wynajęty żołnierz, który był ostatniej nocy w mojej drużynie, jest byłym członkiem.

– Co? – Bleibtreu-Fèvre wyglądał na zbulwersowanego. – Uważam *to* za podejrzane.

Donovan mógł ujrzeć wzbierającą się paranoję, gdy Lawson i Bleibtreu-Fèvre wymieniali spojrzenia. Próbował jej zapobiec, zanim sam zacząłby iść tą drogą.

– Zerwała z nim i jego grupą dawno temu. Nie, jedyne znaczenie, jakie to ma, to, że tworzy silną osobistą wrogość pomiędzy nią a Kohnem. Jak mówiłem, to może zadziałać na naszą korzyść.

– Czy mógłbyś uruchomić lokalne siły, żeby obserwowały jej dom? – Doktor Van spytał, nagle włączając się w dyskusję. – Może bezpośrednio zainterweniować?

– Nie ma szans – powiedział Donovan. – Cały rejon jest pokryty siecią agencji obronnych, pełno tam ludzi z ANR i sympatyków, patrolowany przez bojówki Ruchu Kosmicznego. Większość z domów jest zbudowana, żeby wytrzymać przynajmniej pośredni podmuch po eksplozji. Kohn prawdopodobnie jest zdolny zatrzymać czołg.

– ...Rozumiem – powiedział Van, reagując po kilku sekundach opóźnienia satelitarnego. – Strefa wyzwolona. – Po raz pierwszy, uśmiechnął się do nich.

– Dość – powiedział Bleibtreu-Fèvre. – Zastanawiam się, czy Kohn ma jakąkolwiek, jak mówimy, *formę*.

– Dlaczego nie sprawdzisz w bazach swojej agencji? – zasugerowała pani Lawson.

Sobowtór Bleibtreu-Fèvre wydawał się lekko słabnąć. – Musiałbym przedstawić wszystkie okoliczności – powiedział. – To mogłoby... podnieść niepotrzebny alarm.

Mogłoby być żenujące, pomyślał niesympatycznie Donovan. Jako agent operacyjny, Bleibtreu-Fèvre musiał mieć potężną autonomię, ale biurokratyczne mechanizmy Stasis ciągle uruchamiałyby się w ważnych momentach. Rejestry osobowe były prawdopodobnie jednym z nich, otoczone zasłoną dymną: ochrona, zapewnienie, że siły tajnej policji, które działały, żeby zatrzymać niebezpiecznych naukowców, nie były w żadnym stopniu zagrożeniem dla prywatności zwykłych ludzi i wolności obywatelskich, nie proszę pana, co to, to nie.

– Mogę Ci pomóc – powiedział. – Po prostu podaj mi hasła i procedury, a ja zagram za ich plecami.

– Niemożliwe!

Donovan spojrzał prosto w świecące oczy Człowieka w Czerni. *Tani chwyt, latarnia Halloweenowa...*

– Nie z Twoją pomocą, nie jest. – powiedział.

Bleibtreu-Fèvre zastanowił się, jego twarz zamrożona w transie ściągania danych. Donovan doliczył do sześćdziesięciu, kiedy usta sobowtóra znów się poruszyły.

– Bardzo dobrze – powiedział. – Co możemy stracić?

* * *

Używając kodów i adresów zapewnionych przez Bleibtreu-Fèvre, Donovan dostał się do systemu USA/ONZ tak łatwo, że przeczekał kilka sekund, zanim wywołał bazę danych. Pożałował tego, gdy czas odpowiedzi mijał, sekundy, minuta, minuta trzydzieści sekund, dwie... Czy ta cholerna rzecz była napisana w COBOL[1]?

---

[1] COBOL – język opracowany w latach sześćdziesiątych i wykorzystywany do dzisiaj w amerykańskich systemach publicznych z braku pieniędzy na wy-

Dwie minuty pięćdziesiąt.

Trzy. Trzy dziesięć.

Znaczy, jak bardzo gównianych programistów zatrudniają?

I nagle wszystko to zaczęło się pojawiać, cała struktura linków i zależności budująca się dookoła nich jak wynik postaci z kreskówki próbującej łowić ryby na wędce i wyciągających wodorost, łańcuch, wrak, całą zardzewiałą *flotę* wyrzucaną na ziemię na nabrzeżu.

Wszyscy czworo stali, obserwując masę pozyskanych danych.

– Och – powiedział w końcu Donovan. – *To* Kohn.

* * *

– O co poszło? – spytał Jordan. On i Janis z trudem nadążali za Kohnem. Najlepszym miejscem do chodzenia było tuż za nim.

– Donovan próbował – powiedział Kohn nad ramieniem. – Przeszkodziłem ostatniej nocy jednej z jego ekip sabotażystów. Jest jeszcze coś. Osobiste. Zbyt skomplikowane, żeby teraz w to wchodzić... Mnóstwo czasu, żeby to ogarnąć z rana. Nieważne, odkrył, gdzie jestem i próbował sprowokować przeciwko mnie jakiś oportunistycznych łowców nagród, którzy byliby w pobliżu. Niezbyt pomyślnie.

Odwrócił się.

– Renegat... – Jego śmiech odpłynął.

– Zwolnij, co? – sapnęła Janis.

– Och. Dobra.

Nagle byli we trójkę, normalnie poruszając się w zmieniającym tłumie. Jordan poczuł podwyższoną czujność, efekt drinka pełzającego z powrotem po otrzeźwiającym szoku, który go wypędził. Kobieta w uniformie bojówki patrzyła na niego stanowczo,

---

mianę technologii, więcej `https://pl.wikipedia.org/wiki/COBOL` – przyp.tłum.

gdy zauważył podział na twarzy, częściowo dorosła, częściowo cechy skrzywionego dziecka, wrastającego. Dodatkowo miała jedno ramię jakby lalkowato grube, wystające z dziury wyrwanej niedbale z góry rękawa.

– Dlaczego nikt nie używa tego, żeby pozostawać pięknym i młodym? – spytał Jordan, gdy ich minęła.

– Regeneracja? Niektórzy tak robią – powiedział Kohn. – Jest droga. Większość najemników ma to jako część pakietu ubezpieczeniowego, ale prowizja jest wyniszczająca. Prawdopodobnie równie dobrze. Nie chcesz, żeby ludzie ryzykowali tylko dlatego, że nie-śmiertelna rana jest trwała.

– Lepiej ryzykant niż zniszczony – powiedziała Janis.

Kiedy Jordan poszedł do baru, miał nadzieję poznać nie tylko więcej informacji, ale także resztę niespokojnego życia ulic Norlonto. Dostał więcej jednego i mniej drugiego niż potrzebował. Teraz był częściowo oparty na ramieniu dookoła Janis i Moh, również dookoła Janis, trzymającą jego w miejscu. Wydawało się to właściwe. Czuł się trącany z boku na bok przez nich oboje.

Jak pisklę zostaje wdrukowany pierwszy duży zauważony poruszający się obiekt, zadumał się. Niech tak będzie. Nigdy nie widział kobiety tak pięknej, tak fascynującej i wolnej jak Janis. A Moh, był czymś innym: wszystkim, czym Jordan nie był, chudy, twardy, oblatany, ale sprawił, że Jordan czuł się swobodnie i zaakceptowany. Jak by to było być tak otwarty, tak w domu w świecie!

– Wiesz co? – powiedział Jordan. – Zawsze w was wierzyłem.

Pozostali się śmieją.

– Musisz mocno wierzyć! – mówi Janis.

– Rozum, a nie wiara – odparł Jordan. – Nigdy nie miałem dowodu, że ludzie jak Ty istnieją, ale wiedziałem, że musicie być. Że gdzieś istnieją racjonalni ludzie. Tam na pewno nie istnieją. Więc

nigdy żadnego nie spotkałem. Tylko czytałem o nich w książkach, czytałem ich książki. Również zdaje się, że widziałem ich prace. Jakby argument z projektu. – Spojrzał, machnął wolną pięścią w niebo. – Każdy samochód jest dowodem, że gdzieś musi istnieć racjonalny umysł!

– Ta, dobra, wiemy o tym – powiedział Kohn. – Co mnie zdumiewa to wykorzystanie, które oni uzyskują, nie wspominając o medalionie hologramowym pilota, satelitarnych teleewangelistach…

– …zestawach astronomii kreacjonistów…

– …lekach na łatwowierność, żeby sprawić, że medycyna alternatywna jest bardziej efektywna…

– …sztuczna heroina dla umierających żołnierzy…

– …ciągły dostęp do kolejnych kłamstw, które musiałbyś odrzucać dziesięć żyć…

– …dobra, to jest wolność – powiedziała Janis, uśmiechając się do obu mężczyzn. – Od każdego według tego, jak wybiera; każdemu według tego, jak wybierają[2], prawda?

Jordan zrzucił plecak w holu i stał chwilę w bezruchu, próbując odzyskać poczucie równowagi. Jego uszy śpiewały, a jego oczy ciągle pokazywały nieznajomą iluzję, że wszystko się obraca, a nie rzeczywiście się porusza. Jego kolana były niepewne. Oto tutaj był, wchodząc z dwójką osób, które ledwie znał, do ufortyfikowanego domu pełnego narkomanów! Cudzołożnic! Uzbrojonych komunistów!

Poszedł za Moh i Janis do głównej sali. Wydaje się, że nie było nikogo w domu.

– Kawy, komuś? – powiedział Moh.

– Brzmi jak naprawdę dobry pomysł. – Jordan usiadł na sofie,

---

[2] cyt. z Anarchy, State and Utopia R. Nozicka, zob. `https://en.wikipedia.org/wiki/Anarchy,_State,_and_Utopia` – przyp.tłum.

zbyt twardej. Delikatne dzwoniące dźwięki odbijały się echem z daleka.

– Oto kolejny dobry pomysł. – Moh rzucił coś mu przez ramię. Wylądowało to koło Jordana. – Weź jednego z tych.

Jordan podniósł paczkę papierosów z marihuaną i spojrzał powątpiewająco na poobijaną zapalniczkę Zippo, która wylądowała w tym samym miejscu. Odwrócił się do Janis i uniósł brwi.

– Co o tym myślisz?

– Cóż, to nie jest zbyt dobre dla Ciebie, jeżeli palisz dużo, i rozleniwia niektórych ludzi, lub przynajmniej stają się bardziej leniwi, niż w każdym razie byliby, ale z drugiej strony nie jest uzależniające i jest mniej rakotwórcze niż tytoń. – Wzruszyła ramionami. – Tak czy inaczej, biorę jednego.

– Nie robi dziur w mózgu?

– Nie, wydaje mi się, że ostatnie badania raczej tego nie potwierdzają.

Jordan przekazał zapalniczkę i paczkę Janis.

– Spróbuję – powiedział. – Ale nie jestem całkiem pewny jak.

– Najlepiej mało dymu i dużo powietrza. – Zademonstrowała. Jordan zapalił i poszedł do sofy. Jeden wieczór na wolności i już brał narkotyki. Raczej ku swojemu zaskoczeniu, dość chlubnie wytrzymał, a przeszedł do kasłania w chwili, gdy Moh przyniósł mu duży ceramiczny kubek Nicafé.

– Dobry towar? – Moh uśmiechnął się, siadając koło niego.

– Tak – sapnął Jordan, wycierając oczy i sącząc kawę. Spojrzał, jak siedział ten człowiek: arogancko zrelaksowany, jedna kostka spoczywają na drugim kolanie, hebanowy blask jego skórzanych ubrań, i ta kobieta, półlotos na krześle, alabastrowa skóra i delikatne ciało w czarnym jedwabiu, dym wijący dookoła jej wijących włosów. – Nie mogę powiedzieć, żebym zauważył jakiś wpływ.

Usta i brwi Moh drgnęły, ale nic nie powiedział.

– Zatem. . . – Jordan przeniósł wzrok z Moh do Janis. – Zamierzacie mi powiedzieć, co wiecie?

Moh przewrócił oczami i je zamknął.

– Nie dzisiaj, raczej nie.

Wydawało się, że oddryfował w jakiś rodzaj transu. Janis zauważyła, że Jordan zauważył i uspokajająco machnęła dłonią.

– Miał długi dzień – powiedziała.

– Nie wspominając o narkotykach.

– Tak – powiedziała Janis. – Nie wspominając o narkotykach. Opowiedz mi o sobie, Jordan.

Jordan zaciągnął się jeszcze raz. Ciągle nie potrafił określić wpływu. Jego umysł wydawał się czysty i spokojny, i nie mógł patrzeć na nic innego prócz Janis. Rozpaliła się, gdy mówiła, a teraz osiadła jako stały płomień z migoczącą aluzją psoty. Rozmawiali cicho, gdy Kohn oglądał coś innego i nic nie mówił.

* * *

Moh widział ciemność i światła miasta dookoła niego jak gdyby ściany były przezroczyste. I nowe dziwne towarzystwo, jasne miasto czystej ostrej logiki z tyłu jego głowy. Puszczało mu obrazki, wspomnienia ejdetyczne, które odgrywały się jak z dysków VR, świata, który stworzył świat, w którym teraz chodził:

#

jasnego świata sztandar jasny symbol prosty pola greenbelt greenfield ulice kopuły Fullera tłum ciche mroczne chwile

#

plastikowy model statku kosmicznego wiszący na czarnych niciach stary Pakt Warszawski plakat małej dziewczynki obejmującej Ziemię BROŃ POKOJU stos nieład zabawki i książki taśmy i kosmiczny hełm VR

#

Wojna Republika nie pogardza pomocą dzieci. Partia tworzy specjalne oddziały, Młoda Gwardia. Moh wtedy dźwiga swój pierwszy karabin, lekki brytyjski SLR, w nudne noce pilnowania wejścia do wieżowca. (Trik polegał na tym, że pełnił wartę potajemnie, z okna bezpiecznego domu po drugiej stronie ulicy: rząd już zachowywał się jak ruch oporu). Dni były ekscytujące: demonstracje, walki uliczne, napięcie wysiłku zachowania neutralności, uniknięcia wojny. Josh i Marcia robili żarty, których nie rozumiał, o walce o pokój. Dosłownie tak robili, wbijając się w demonstracje tych, którzy nazywali Partią Wojny: rojalistów, torysów i faszystów. Czasem policja dołączała po obu stronach.

Moh, później, odkrył, że jest zadziwiająco nieświadomy szczegółów rzeczywistego przebiegu Wojny o Integrację Europejską. Wtedy nauczył się zakładać, że wszystkie wiadomości były propagandą, i tylko łapał przelotne fragmenty w telewizji. Niemieckie czołgi biły rakietami, niosąc sztandar gwiazd w kole do Warszawy, Bukaresztu i Zagrzebia. Niemieckie MIGi czyściły nieba.

#

Proces Pokojowy. Nie, nie to. Podskoczył przebudzony, wypił zimną kawę i pomyślał o czymś innym.

* * *

Jordan wyjaśniał Janis różnicę pomiędzy dyspensjonalizmem, a premilenaryzmem[3] (która wydawała się bardzo ważna i trudna do uchwycenia), kiedy usłyszał kpiący śmiech Moh i zobaczył, jak wstaje, wyglądając, jakby przespał dobrze noc.

– Czas, żebym poszedł spać – powiedział Moh.

– Myślę, że i na mnie czas – powiedziała Janis. Ziewnęła, przeciągnęła się i zerwała się na nogi.

– Masz coś przeciwko Jordan przekimaniu tutaj, tylko na noc?

– W porządku. To dobrze. Dzięki.

– Ok. Do zobaczenia rano, Jordan.

– Dobranoc.

Janis pomachał, uśmiechając się. Chwilę później wyszli jak ptaki przez dziurę w dachu. Jordan siedział spokojnie jakiś czas, potem zdjął większość ubrań, owinął się w koce z tyłu sofy, wyciągnął się na niej i jeszcze długo nie mógł zasnąć.

* * *

– Więc? – spytała, opierając się o drzwi jego pokoju.

– Więc co?

– Znalazłeś miejsce?

– Ta – powiedział Kohn.

– Dobrze. Hm. . . czuję się jak kolejny skręt przed skręceniem. – Podniosła brwi i spojrzała na niego. Ciągle wydawał się pobudzony

[3] więcej `https://pl.wikipedia.org/wiki/Dyspensacjonalizm` oraz `https://en.wikipedia.org/wiki/Premillennialism` – przyp.tłum.

i uśmiechnął się do niej, jak gdyby to była najbardziej nieoczekiwana i urocza sugestia, jakiej dawno nie słyszał.

– Ta, czemu nie?

Odwróciła się i otworzyła drzwi, obserwując go. Wsunął ramię do pokoju, koło jej ramienia. Coś zrobił z przełącznikiem. Małe światła rozświeciły się w kątach, gdy zrzuciła buty i usiadła na krawędzi łóżka. Usiadł koło niej, oparł łokieć o poduszkę i zaoferował jej teraz uszczuploną i pogiętą paczkę. Wyjęła jednego i zapaliła.

– Chcesz się dzielić?

– Nie, dzięki – powiedział. – *Smakuje* szminką.

Złapała go, gdy sięgał po paczkę, prawa dłoń nagle za jego głową. Jego palce zanurzyły się w jej lokach. Wciągnęła dym w usta, przytrzymała go, ograniczała oddech, gdy szeptała:

– Spróbuj *tego*...

Zbliżyła ich usta (jej otwarte, jego otwierające) i zrobiła wydech, gdy on wdychał. Oboje oderwali się, dysząc. Drugim razem mniej uwagi zwróciła na ogień, a więcej na wodę, wbijając jej czubek języka w niego.

– Wzięłaś mnie z zaskoczenia – powiedział Kohn.

– Naprawdę?

– Tak.

– Chciałam to zrobić *godzinami*.

– Swawolna kobieta.

– Opuszczona – zgodziła się. – Wyrzutek społeczny.

Zgasiła skręta. Kohn skopał buty, zrzucił kamizelkę, potem pochylił się i wciągnął ją na siebie. Przesunęła włosami od jego ramion aż do bioder, potem zrobiła to samo z ustami i językiem, odkrywając, gdy to robiła, że już czas, żeby zdjąć mu spodnie. Usiadła okrakiem na nim i zajęła się paskiem i suwakiem. Przesunęła się na kolana w dół jego ud, szarpiąc spodnie i szorty, i nagle stało się

to ważne i pociągnęła je gwałtownie przez stopy. Usiadła na jego nagich udach, twarzą do niego, gdy on zdejmował jej jedwabny top przez głowę i rozpinał jej gorset. Zsunęła własne spodnie i bieliznę. Pochyliła się do przodu, pozwalając włosom łaskotać jego palce, aż blada opalizująca skorupa gorsetu nie spadła z jej piersi, a jego ramiona nie wsunęły się w jej talię. Jego erekcja naciskała na jej plecy. Odwróciła się na kolanach i położyła ręce na jego ramionach, położył się, ona poruszała się do przodu i w górę, Moh uniósł się, żeby ją spotkać, a ona ruszała, powoli do góry, szybko w dół, i kontynuowali, zioło w ich przyśpieszonej krwi rozciągające czas.

Nie wiedziała, kiedy powiedziała jego imię i nie dostała odpowiedzi. A patrząc na niego, uśmiechnęła się, widząc, że zasnął tak po prostu.

Rozdział 10

Przejściowy programista

Moh obudził się nagle ze snu krzyku, snu o walce, snu spadania.

Janis przesunęła się koło niego i wymamrotała, potem pociągnęła kołdrę bardziej stanowczo na siebie, zostawiając tylko czub czerwonych włosów na poduszce jak ogon wiewiórki, by wskazywał na jej obecność. Moh pozwolił dostosować się ramionom do chłodu, gdy leżał z rękoma za głową i patrzył się na sufit.

Ostrożnie, jak gdyby dotykając luźny ząb, zwrócił swoją uwagę do środka swojej głowy. Nowa rzecz ciągle tam była, poczucie linii, gdzie były sploty, niebo, gdzie wcześniej była podłoga. Ciągle mógł wychylić się nad klifem i spojrzeć w bezdenną przepaść jego przeszłości. Jednak to już nie sprawiało mu zawrotów głowy, uderzeń strachu. Mógł odwrócić się od tego, mógł pewnie przejść się wzdłuż krawędzi.

Miał poczucie, że o czymś zapomniał. Uśmiechnął się na tę myśl i dalej leżał i myślał. Cokolwiek się działo w jego głowie, czy był to wynik narkotyków, czy bytu, na który się natknął, lub ich interakcji, było to prawdziwe i nie wcale nie odeszło. Był tym przestraszony i zirytowany. To była zawsze kwestia dumy, jeżeli nie zasady, że nie miał żadnych poprawek, patchy, że nigdy nie tknął smartnarkotyków. (Tylko te głupie, smutno zauważył. Cokolwiek innego działo się w jego głowie, bolało.)

Był też problem, co powiedzieć Jordanowi, i czego nie powiedzieć innym. Cień winy przebiegł mu po głowie, o powstrzymaniu się od wprowadzenia Stone'a: dobry towarzysz, najlepszy kumpel, lata razem. . . , ale to wszystko wydawało się dobrym powodem, żeby go trzymać z dala od tego. Jeżeli coś mogło pójść drastycznie źle (śmierć, szaleństwo, rzeczy w tym rodzaju, Kolektyw będzie potrzebował kogoś nieskażonego przez cokolwiek, co miało się zdarzyć.

Nie, żeby miał jasną wizę, co miałoby znaczyć, że sprawy pójdą dobrze. Pomimo tajemniczego downloadu do Karabinu, nie był pewien, czy cokolwiek co napotkał, istniało obiektywnie jako to, czym się wydawało. Sieć stworzyła całą subkulturę ludzi, którzy twierdzili, że wolne i świadome AI rozmawiały z nimi, dały im wiadomości głębokiej treści dla ludzkości, podburzyły do działań brutalnych lub dziwnych. . . marzycielski mem AI, następcy aniołów i kosmitów w dawnych czasach. W międzyczasie prawdziwy przełom, niewątpliwe pojawienie się prawdziwie innych umysłów, pozostawało uciekającym horyzontem, czy to z powodu wewnętrznej trudności prób, restrykcji nałożonych przez Stasis i okrutniejszych bardziej *zorientowanych na sprzęt* interwencji Obrony Kosmicznej czy to z ciągłego sabotażu oszołomów.

Oszołomy, Chryste, *o tym* zapomniał! Musi się skontaktować z Cat, powiedzieć jej, że przyjeżdża ją zobaczyć, prosić o zostanie w miejscu lub zorganizowanie spotkania. Ostatniej nocy był na zbyt dużym haju alkoholu, haszu, adrenaliny i czegokolwiek jeszcze, żeby myśleć jasno. Powinien to wtedy zrobić. Narkotyki nie były wymówką. O czym to myślał. . . ?

Główne rozproszenie uwagi, pierwszy powód, dlaczego nie myślał wczoraj jasno, zdecydował się w tym momencie przewrócić się

i obudzić. Patrzyła na niego, chwilowe oszołomienie zmieniające się w rozpraszająco samozadowolony uśmiech.

– Cześć.

– Dzień dobry.

– Musisz zamarzać. Chodź tutaj. – Przerzuciła kołdrę na niego i pociągnęła go, pocałowała, przytuliła i wtuliła nos, a właśnie gdy się rozgrzewał, powiedziała: – Boże, napiłabym się kawy.

Moh odsunął się niechętnie.

– Za minutę wracam. – Wysunął się z łóżka i obwinął się najcieplejszym szlafrokiem jaki miał. Wkradł się na dół i zaczął robić kawę. Jordan ciągle spał na sofie. Moh poszedł do pokoju komunikacyjnego i zadzwonił do Hillingdon Hospital.

Konto dla Catherin Duvalier, obciążające Kolektyw, było zamknięte. Po kilku minutach przedzierania się przez warstwy sobowtórów telefonicznych Moh połączył się z administratorem, który potwierdził, że tak, pacjent został zwolniony. Godziny wcześniej, bez dalszych informacji kontaktowych.

Moh przerwał połączenie i wpatrzył się w pusty ekran, czując się, jakby w niego walił głową. Nie było sposobu, żeby skontaktować się z Cat. Nie wiedział, w jakiej była fakcji. Nie, żeby to pomogło: po jej bezwarunkowym zwolnieniu nie chcieliby jej znać. Jeżeli nie sprostałby wyzwaniu Donovana, on i może cały Kolektyw mogliby skończyć oskarżeni przed tak zwanym Sądem Genewskim, takim, który rozwiązywał międzyspołecznościowe i międzyorganizacyjne spory. Żadna szanująca się agencja obrony w Norlonto nigdy nie odwołała się do niego, nie kiedy były szanowane sądy firmowe rywalizujące o klientów. Sądy Konwencji Genewskiej były dla terrorystów i państw do sprzeczania się za wymuszone pieniądze. Nawet jeżeli sprawa Donovan nie przetrwałaby pięciu minut,

te pięć minut i wszelako wiele miesięcy, które by zabrało dotarcie tam, mogłoby kosztować Kolektyw fortunę i reputację.

Musiał znaleźć Cat. Musiał naprawić sprawy z Donovanem lub mieć nadzieję, że rewolucja nadejdzie, zanim stracą zbyt dużo biznesu. Jeżeli ANR wygra, wymiotą sądy genewskie. Jakaś szansa.

Były inne niewielkie szanse. Wysłał ogólną wiadomość na całą listę pocztową Kolektywu, pytając się pilnie o informacje na temat obecnego pobytu Catherin Duvalier. Potem wysłał osobistą, zaszyfrowaną wiadomość, wyjaśniającą problem i proszą o dodatkowy czas przed deadline'em, na jedyny publicznie znany adres Donovana: bdonovan@cla.org.ter.

Dając sobie wycisk, zrobił kawę i wrócił na górę. Wyjaśnienie całego bałaganu Janis nie będzie proste, ale byłoby to dobre przygotowanie wyjaśnienia przed towarzyszami.

* * *

– Ty – powiedziała, kiedy skończył – jesteś pierdolonym idiotą.

Tak, zgodził się cicho. I także klinicznie niepoczytalnym, prawdopodobnie. Przynajmniej w Norlonto to przestępstwo bez ofiar.

Inna myśl mu się nasunęła, gdy patrzył na prawdziwy gniew walczący z pewnym rodzajem stoickiej zbulwersowanej zabawy o władzę nad jej twarzą: I z obsesją na Twoim punkcie.

Zobaczył, że gniew zwyciężył.

– Czy wy faceci tak *funkcjonujecie*? – spytała. – Wóda, dragi, tańce do upadłego i bogini wie, jakie jeszcze gówno w głowie?

– Nie kiedy jestem aktywny – powiedział Kohn. – Weź to pod uwagę.

– Byłeś aktywny, cholera – powiedziała. – Mamy umowę, pamiętasz?

– Ta, ok, ok

Jej gniew ustąpił.

– Nie mogłeś jakoś... *zhakować* zapisów szpitala, zobaczyć, czy nie mają czegokolwiek, co dałoby nam wskazówkę, namierzyło jej agencję?

– Mówimy o szpitalu, Janis – przypomniał jej delikatnie. – Nie uniwersytecie czy jakiejś *tajnej placówce badawczej*. Tak samo się dzieje z Bankiem Ciał.

Nie zrozumiała.

– Myślałam, że uniwersytet jest dobrze zabezpieczony. Używają naszych własnych szyfrów i AI, najnowocześniejszej.

Przetoczył się po łóżku, złapał ją i rozśmieszył.

– Jeżeli kiedykolwiek trafisz do banku, który chroni swój sejf tłumem recydywistów kasiarzy i uczniami ślusarstwa, nadzorowanymi przez ludzi, którzy nie potrafią zapamiętać dziesięciu cyfr bez zapisania ich gdzieś, po prostu mi powiedz i odpalę Ci z tego działkę, dobra?

* * *

Jordan obudził się na długiej sofie, żeby odkryć, że długi pokój jest pełen ludzi albo wchodzących i zdejmujących sprzęt, albo zakładających i wychodzących. Zobaczył ciemnowłosą kobietę nakładającą kamuflaż jak makijaż, wybierającą bronie jak akcesoria, uśmiechającą się do niego i do siebie na ściennym lustrze i wychodzącą. Zobaczył zmęczonego i brudnego mężczyzna smażącego bekon. Mężczyzna go ujrzał i przyniósł mu bułkę i wielki kubek czarnej kawy. Jordan przyjął je z wdzięcznością i, kiedy skończył jeść, zebrał koc dookoła niego, wygrzebał ubrania i ręcznik z plecaka.

– Łazienka?

– Drugie na lewo w korytarzu.

Przeszedł przez wpółotwarte drzwi, żeby wejść do pomieszczenia niewystarczająco pełnego pary, by ukryć dwie kobiety i chłopca w łazience i mężczyznę siedzącego nago na ubikacji i czytającego gazetę. Prawie się wycofał, ale przypomniał sobie, że przyjechał tutaj dla racjonalnego życia.

Zasłanianie prysznica kurtyną było, tylko by uniknąć zachlapania podłogi.

Okazało się, że Moh i Janis siedzą przy stole w głównym pokoju, jedząc płatki podczas przeglądania gazet. Janis odrywała je, gdy były wydrukowane i podawała je Kohn do czytania. Kohn ciągle miał jedną w dłoni. Janis miała rosnący stos koło niej.

Jeżeli je czytał, to był szybki.

Jordan dołączył do nich.

– Jakie wieści?

Janis spojrzała na niego.

– Och, dzień dobry. Nie przejmuj się Moh. Czasem taki się robi. Teraz – dodała dziwnie, niejasno. Podała gazetę w wyciągniętą dłoń Moh. – Wiadomości są żadne, cóż, czego się spodziewałeś. Kraj rosyjski, Turcja, wszyscy. Londyński *Sun-Times* myśli, że drugą najważniejszą wiadomością jest uderzenie Jankesów na przedmieścia Kyoto, lasery, dokładność. *Nihon Keizai Shimbun*, z drugiej strony, informuje o utracie konwoju Armii w Inverness-shire. *Rimbao* w Lhasie modli się o pokój. Żadnych niespodzianek.

– Szukając niespodzianek – powiedział Moh z pełnymi ustami muesli. – Sza.

Chwilę później przestał i stał się grzeczny.

– Jak się czujesz tego ranka? – Zgniótł kartkę papieru i wrzucił do kosza po drugiej stronie pokoju.

– Dobrze. Hm, będę. Może jeszcze jedna kawa... Wiesz, myślę, że hasz naprawdę robi dziury w mózgu.

– E tam, tylko alkohol – powiedział Kohn. – Udowodniony fakt. Mózgi szczurów i tak dalej. – Uśmiechnął się do Janis, najwyraźniej nieświadom, że celnie wrzucił tuzin kul papieru, jedna za drugą, bez patrzenia. – Tak czy siak, Jordan, czas Cię wprowadzić. – Zerknął na tablicę pokrytą nabazgranymi słowami i zapętlonymi strzałkami. – Pokój komunikacyjny jest wolny. Tam porozmawiamy.

* * *

– To jakaś historia – powiedział Jordan, kiedy skończyli. Moh i Janis spojrzeli na niego z nadzieją jak klienci. – Brzmi jak *serdar argic*[1] – Już nieświadomie podjął slang sieci, używał go półświadomie. Ta fraza odnosiła się najniższego poziomu paranoidalnych bredni, które infekowały Sieć, wypuszczane przez zdegenerowane, pełne błędów, odruchowe programy autopisarskie. Bałaganiarscy niszczyciele. Spojrzał w dół na stół, podniósł kulkę lutowia. – Ale wierzę w to. – Roześmiał się. – Cóż, wierzę wam.

– Możesz to zrobić?

Chcieli, żeby hakował i śledził dla nich, podążył za liniami do tyłu, był ich oczami w sieci. Aż bolało go, żeby się za to wziąć, ale był niepewny, czy miał dostatecznie duże umiejętności.

– Pewnie – powiedział.

– To dobrze – powiedział Moh. – Nadążysz.

– Więc jaki jest plan na dzisiaj? – spytała Janis. Brzmiała nerwowo.

– Znaleźć Bernsteina – powiedział Moh. – Zacząć od tego.

– Bernstein! – powiedział Jordan. – Księgarz?

Moh kiwnął głową, odwrócił się z uśmiechem do Janis.

---

[1] serdar argic – alias używany w jednym z pierwszych incydentów spamowania w sieci USENET, którego celem było zaprzeczanie Ludobójstwu Ormian por. `https://en.wikipedia.org/wiki/Serdar_Argic`. – przyp.tłum.

– Mówiłem Ci – powiedział. – Wszyscy znają Bernsteina.

– Mam jego numer telefonu – powiedział Jordan. – Gdzieś. – Poszukał w pamięci, potem skoczył do głównego pokoju i przybiegł z małą książką, która utknęła w kieszeni kurtki. Otworzył ją, żeby spojrzeć na fioletowy atrament logo sprzedawcy na włożonej zakładce. Otworzyła się na frontyspisie.

– Jezu Chryste – przeklął po raz pierwszy w życiu. – Spójrzcie na to.

Wyciągnął książkę do nich, żeby zobaczyli: stara fotograwiura posągu mężczyzny w szacie z kapturem lub płaszczu, ręce wyciągnięte, oczy delikatne białe znaki w cieniu.

Kohn spojrzał zaskoczony.

– Kto to?

Jordan zmrużył oczy i pokręcił głową.

– Giordano Bruno. Był spalony na stosie w 1600 za twierdzenie, że planety mogą być niezamieszkałe, pomiędzy innymi rzeczami. Pierwszy męczennik Ruchu Kosmicznego. – Udał pusty, głośmy śmiech. – Właśnie zrozumiałem, jak jego imię brzmiałoby po angielsku. „Jordan Brown"!

Spojrzał znowu na to, przeszły go ciarki. Moh klepnął go w ramię.

– Bernstein mówi Ci cześć, Jordan – powiedział. – Więc zadzwoń już do niego.

Po kilku dzwonkach na linii pojawiła się odpowiedź, nie z maszyny, ale zwykłej taśmy.

– Halo – wypowiedziane ciężkim głosem. – Dziękuję za telefon. Solly Bernstein nie jest w tym momencie dostępny, ale możesz go znaleźć w – przerwa, brzdęk – Brent Cross Shopping Centre. Zwykłe miejsce. Szukaj zlotu rewizjonistów.

Moh odmówił wytłumaczenia, co było w tym śmiesznego.

* * *

Pojechali koleją jednoszynową na północ. Moh nalegał, żeby wszyscy zabrali sprzęt, zakładając, że mogą nie wracać. Wyciągnął kilka plecaków z nadwyżek wojskowych spod ławy, w chwilę się spakował, zaczął dyskutować z Jordanem nad domowym komputerem, wprowadzając go w instrukcje zadań.

Janis spojrzała na swój plecak, gdy jego zasilana słońcem zginana rama wykonywał losowe ruchy w plamie słońca.

– To – oznajmiła smutnym tonem całemu światu – jest to, co nazywam *kosmetyczka*.

Teraz to siedziało na kolanach jak małe tłuste zwierzę z wypchanymi polikami, jego fototropizm beznadziejnie zmieszany odbiciami cieni kłonic. Janis usiadła przy oknie. Nie mogła oderwać się od widoku.

– Zawsze wiedziałam, że to tutaj jest – powiedziała. – Tylko…

– Tak, nie jest tylko? – Moh uśmiechnął się do niej z przeciwnego miejsca, Karabin pomiędzy jego kolanami.

Greenbelt. Przed nimi rozpościerał się na lewo i prawo, aż do horyzontu. Cały nowy Londyn slumsów, wieżowców, ulic, fabryk, elektrowni nuklearnych. Niebo żywe od lekkich samolotów, sterowców, balonów, chaos, który właśnie, gdy obserwowała, zamienił się w złożoność, wzór różnic jak małe pola widziane z wysokości. Patrzyła na to przez lornetkę Moh, oglądając powoli, zagubiona w nieskończonym pogłębiającym się szczególe tego wszystkiego. Pamiętała Darwina: *Interesujące jest rozważanie splątanego brzegu*[2].

– To jak ekosystem – powiedziała w końcu.

---

[2] cytat z XV rozdziału Origin of Species Ch. Darwina, por. `http://darwin-online.org.uk/content/frameset?pageseq=1&itemID=F387&viewtype=text` – przyp.tłum.

– To jest prawdziwe Norlonto – powiedział Moh. – Rdzeń, prócz tego, że nie jest w centrum. Przodująca krawędź.

– Szkoda, że nie rozciąga się dookoła.

Pomyślała o tym, co leży za Uxbridge, na zachód. Ugory aż do Walii, przecinka ochronna pomiędzy wrogością nie do usunięcia i Londynem. Wielu ludzi prywatnie przyznałoby, że wolałoby nadejście Walijczyków zamiast niekończącej się strużki sabotażystów z tych nowych Marszy.

– Lub do środka – powiedział Jordan.

– Ta, ruch ma tylko kawałek ciasta. Ale spójrz, co z tym zrobili!

– Jesteś dumny z tego miejsca. – Janis nie potrafiła powiązać entuzjazmu Moh dla Norlonto z jego upartym obstawaniem, że jest pewnego typu socjalistą.

– Chcemy udać się poza to, robić lepiej niż to. Nie wracać do tego.

Po minucie przestała próbować to zrozumieć.

* * *

Centrum handlowe było trafione w czasie wojny i nigdy nieodbudowane z powodu niejasnego sporu o prawa własności. Norlonto było niczym innym jak olbrzymim splotem prywatnych własności, centrum handlowe i jego otoczenie cierpiało na to, co w innym społeczeństwie byłoby nazwane planistyczną zarazą[3]. Domyślnie mogło to być uznane za część Korony, choć państwo dotychczas nie okazało najmniejszego zainteresowania tym terenem. Cały rejon był zagospodarowany i zaskłotowany, aż zaczął przypominać

---

[3] planning blight – sytuacja, w której spada cena nieruchomości lub pojawiają się problemy z obrotem, z powodu pobliskiej autostrady lub lotniska por. `https://dictionary.cambridge.org/dictionary/english/planning-blight` – przyp.tłum.

padlinę zajętą przez całą kolonię mrówek, wrak statku zajęty przez koral.

Przeszli koło straganów i sklepów sprzedających mikrofalówki, żeliwne garnki, lekkie karabiny maszynowe, płyty heavymetalowe, kombinezony kosmiczne, suknie ślubne, holodyski, obrazy olejne, dania Afro-Paków na wynos, snufftaśmy VR. Wyłonili się z koncentrycznych kręgów i promienistych przejść rynku na halę. Zwykłe miejsce Bernsteina zajmowało niewielki łuk okręgu dookoła czegoś, co kiedyś musiało być fontanną pod głównym świetlikiem, teraz zniszczonego, z kolorowego szkła, czterdzieści kilka metrów wyżej.

Było niezajęte i puste. Chuda dziewczyna w uprzęży z narzędziami i niewiele bardziej sztucznym kucykiem zero-g próżnowała za stołem Ruchu Kosmicznego w przyległej ćwiartce koła.

– Widziałaś Bernsteina? – spytał Moh.

Wyjęła słuchawkę w uchu i pokiwała głową opieszale.

– Zarezerwował – powiedział. – Jeżeli nie zajmie, to jest ĉagreno[4], jes?

Moh sprawdził zegarek. 11:30 Bernstein by nie opuścił sprzedaży wartej kilku godzin. Odwrócił się do Jordana.

– Coś się dzieje?

Jordan założył gogle szerokim gestem, podłączył łącze do komputera.

– Cholerna racja – powiedział. – Ostrzeżenie bombowe na Camden High Street. Obszar zamknięty. Raporty drogowe są dzikie.

– O gówno. Dobra, to mogłoby wyjaśniać. – Moh rozejrzał się, pragnąc, by Bernstein się pojawił. Nie zadziałało.

– Poczekam tutaj i zobaczę, czy się pojawi – powiedział Jordanowi i Janis. – Chcecie poszperać?

---

[4] esperanto, rozczarowanie

Jordan spojrzał na rejon konferencyjny centrum, zlot rewizjonistów.

– Ta – powiedział. – To po prostu niewiarygodne. – Janis uśmiechnęła się, wzruszyła ramionami i kiwnęła głową w kierunku otaczających sklepów. Rozeszli się po oddzielnych orbitach.

Moh stał przy stoisku Ruchu i obserwował starych żołnierzy, ich mundury i medale mieszające się z ubraniami kamuflażu miejskiego i zabytkowymi odznakami młodych entuzjastów. Flagi wojenne wisiały z szacunkiem na całej powierzchni przejętej na tę okazję. Pozornie konferencja zbuntowanych historyków, stawało się rażąco politycznym wydarzeniem. Nawet niektórzy akademicy, rozpoznawalni w ich własnych mundurach dżinsu i tweedowych marynarek, odwracali oczy od bardziej złowieszczych twarzy na plakatach, które były niedyskretnie przedmiotem sprzedaży.

– Hej, *facet*!

Stragan miał klienta, dzieciaka, który wybrał podkoszulkę w polietylenowej torebce i się w nią wpatrywał. Zdecydowanie był Neo, wielbicielem bohaterów, jednym z tych, którzy dorastali po porażce i w rebelii dorastania odwrócili się ku tym, o których zawsze mu mówiono, że byli złymi facetami. Którzy po prostu nie wierzyli, że oni mogli być aż tak źli, i odkryli tożsamość i dumę w identyfikowaniu się z tymi przerażającymi ludźmi, który stwarzali najradykalniejsze zagrożenie, przed jakim kiedykolwiek stał świat... ale którzy w tym samym czasie zbudowali społeczeństwo, które odwoływało się do konserwatywnych wartości porządku, dyscypliny i patriotyzmu, które większość ludzi wchłonęła jak izotopy w mleku matek.

– Człowiek, który zaprojektował rakiety... – sapnął dzieciak. Przycięte włosy, kurtka wojskowa Europawehr, podarte dżinsy, buty nad kostkę. Blizny na uśmiechniętej twarzy i najdelikatniejsza mgiełka

łez w oczach. Dziewczyna za straganem spojrzała na niego obojętnie.

– Dobrze poznać kogoś, kto zna swoje dziedzictwo – powiedział Kohn. – Większość ludzi nawet nie wie, kim był. – Włączył nieświadomą ekspedientkę straganu do dezaprobaty.

– Ta, dobra, złapali nas na dwa sposoby, co? – powiedział dzieciak. – Jankesi na górze trzymają nas w dole, zieloni na dole ciągną nas w dół.

Kohn przytaknął.

– Dokładnie. – Przeskanował stragan za materiałami rekrutacyjnymi. – Cóż, niektórzy z nas chcą coś z tym *zrobić*. Niektórzy z nas wierzą w kosmos, w przyszłość. Dobra, chłopie, coś Ci powiem. Zwykle to dziesięć marek, ale widzę, że jesteś zapalony, więc opuszczę do ośmiu i pół, dodam kartę i odznakę za jeden dwadzieścia... Tu masz długopis.

Oderwał grzbiet karty, sprawdzając, żeby się upewnić, że dzieciak napisał swoje imię i adres.

– Dzięki... Greg. – Kohn wyciągnął rękę. Dzieciak oderwał spojrzenie od przypinania niebieskiej emaliowanej gwiazdy do wyłogu, uśmiechnął się i uderzył w dłoń.

– Do zobaczenia, chłopie. – Poklepali się po ramionach. Dzieciak wyniósł koszulkę jak trofeum.

– To się robi w ten sposób – powiedział Kohn do dziewczyny. Włożył grzbiet ostrożnie do pustego pudełka rekrutacyjnego. – *Eble vi farus same*[5] – Ciągle wyglądała bez wyrazu: jej kiepskie Esperanto najwidoczniej tak oszukane jak jej postawa „grawitacja mnie męczy”.

Ramię wsunęło się pomiędzy łokieć i bok.

– Zaprzyjaźniasz się? – Głos Janis był suchy, rozbawiony.

[5] esperanto, „Może zrobiłabyś to samo” – przyp.tłum

– Wiesz, jak to jest – powiedział Kohn, odwracając się. – Wszystkie te piękne młode ciała.

– Ha!

Janis zmarszczyła brwi, nagle poważna.

– Całe to przedstawienie, trochę przechodzą mnie dreszcze – powiedziała. – Nostalgia, militarystyczny kicz i przepisywanie historii: to jest kłamstwo, miliony nie zginęły, żołnierze byli bohaterami, nawet jeżeli byli wprowadzeni w błąd przez polityków, zostali zaatakowani od tyłu. . . uch! To nie są naprawdę *Twoi ludzie*, co?

– Nie, kochanie, nie są. – Poczuł się, jakby słońce na chwilę schowało się za chmurę. Potem pomyślał o chłopaku o jasnych oczach. – Ale niektórzy z nich są po naszej stronie, nawet jeżeli tego nie wiedzą. Naprawdę zapalenie ekspansjoniści technologiczni, nienawidzą Zielonych i Jankesów. Niektórzy są po prostu *rozsądni*.

Janis westchnęła i wzruszyła ramionami.

– Może.

Jordan wrócił z pełnymi rękami literatury i nowo kupioną, antyczną, skórzaną kurtką.

– Ciągle w to nie wierzę – powiedział. – Wolność słowa, jasne, ale rozmawiamy o doprowadzeniu tego do skrajności. – Zsunął gogle. – Korek się rozładowuje – dodał. – ANR wydaje się ponosić za to odpowiedzialność.

Dziewczyna wyciągnęła się ze swojej pozy kosmity i podjęła jakiś wysiłek w sprzedaży, gdy Jordan pochylił się nad straganem. Nie było to konieczne: zaopatrzył się w naszywki misji, plakaty NASA i TASS, koszulki ze zdjęciami pioniera techniki rakietowej Korolewa, Gagarina, Titowa, Walentiny Tierieszkowej oraz karty i gwiazdy Ruchu Kosmicznego.

Kohn znowu wrzucił grzbiet do pudełka, tym razem sprawdza-

jąc, że Jordan nie wpisał swojego adresu. Zapachy smażenia i grillowania dręczyły go od pół godziny.

– Zjedzmy lunch przed dużym ruchem – powiedział. – Dobre miejsce po drodze, moglibyśmy obserwować stamtąd.

– Popieram Twój wniosek – powiedziała Janis. Jordan wyprostował się od dekorowania swojej kurtki rowerzysty emaliowanymi promami i gwiazdami, wyglądając mniej jak uciekinier z Miasta Oblubienicy, nieco bardziej świadomy swojej pewności maskowanej goglami. Skinął głową ku Moh.

Przeszli przez tłum starzejących się weteranów, Afgańczyków i Angolczyków, oraz twardych dzieciaków z ich „młot i sierp" i czerwonymi gwiazdami (ze szczyptą niebieskich Ruchu pośród nich, co Moh wskazywał Janis, która odpowiedziała mu sceptycznym uśmiechem). Przeszli koło plakatów Lenina, Stalina, Mao, Castro, Honnekera, Ceaucescu i reszty, i obok zmiętych broszur zachęcających do lektury z tytułami jak: „Wielki Skok przemyślenia" czy „Chorwacja: Zachodnie pola śmierci". Moh poprowadził ich do hinduskiej kafejki na pierwszym piętrze z widokiem na halę, dostatecznie daleko od barów, których główną cechą dnia byłyby złodziejskie ceny i pijani neokomuniści.

Roti z kurczakiem i wysoka szklanka waniliowego lassi trafiły w dziesiątkę Moh. Jadł w narożnym krześle, opierając się o okno, gdy Janis skubała tikka i Jordan żuł jakieś dania w rodzaju ziemniaków w cieście, przewracając strony przedwojennej kazachskiej broszury o kosmodromie.

– Naprawdę jesteś komunistą, Moh? – spytał. – Po tym wszystkim, co się zdarzyło?

Moh chrząknął, ciągle wypatrując Bernsteina.

– Przeszłość jest prologiem – powiedział. – Przyszłość to długi czas. Jeszcze nic nie widzieliśmy.

– Kiedy zobaczymy wystarczająco? – Głos Janis był ostry. Podwójnie ostry, podejrzewał Moh: zażenowanie ze spędzania tutaj czasu, zwątpienie o powiązaniu z przeszłością, które wydawały się tak oczywiste wcześniej.

– Pamiętam rzeczy – odpowiedział na jej korzyść oraz Jordana. – Widziałem klasę pracującą tworzącą historię, a to coś, czego się nie zapomina. – Przegrana rewolucja bolała go jak utracona kończyna. – Rzeczy do zapomnienia to komunistany i państwa, o których te chłopaki na hali myślą, w końcu nie były takie złe. To nie miejsca, gdzie to jest.

Jordan zaczął mówić:

– Ok, ale to właśnie gdzie się *skończyły*. – kiedy Moh podniósł dłoń. Zobaczył pojazd napędzany bateriami ciągnący małą i przeładowaną przyczepkę przez tłum.

– Oto i on – powiedział. – Hej – dodał, gdy pozostali zaczęli wstawać. – Spokojnie. Dajcie człowiekowi odsapnąć.

Wyssał głośno końcówkę lassi i, tylko żeby to zapadło, zapalił papierosa.

* * *

Kohn czasem leniwie zastanawiał się, czy Bernstein był rzeczywiście prawdziwym Żydem Wiecznym Tułaczem. Nie był młody, ale cholera, jeżeli w ogóle starszy. Kiedy spojrzał w górę ze szczerbatym uśmiechem rozpoznania, wyglądał dokładnie tak samo, gdy Moh pierwszy raz stał zniecierpliwiony, gdy ojciec targował się nad nowymi nabytkami (*Lenin i koniec polityki, Lenin i awangarda partii, Lenin jako kierownik kampanii wyborczej, Lenin jako filozof, Dzieciństwo Lenina, Lenina walka ze stalinizmem, Lenina myśli polityczne, Spodnie Lenina…*).

Bernstein klepnął ramię Moh i uścisnął dłonie Janis i Jordan, gdy Moh ich przedstawiał. Rozmawiał z Jordanem przez kilka minut o podziemnym handlu książkami w Mieście Oblubienicy, potem odwrócił się do Moh.

– Bez problemu przedostałeś się przez alarm bombowy – powiedział Moh.

– Alarm bombowy? – Bernstein brzmiał na zaskoczonego. – wszystko co widziałem to pieprzone gliny Korony organizujące przeszukania w Kentish Town. Musiałem wybrać dłuższą drogę. Nie miałem ochoty wyjaśniać skąd mam te wszystkie protokoły KC.

Protokoły Komitetu Centralnego. To mogłoby być odkrywcze.

– Sprzed. . . ? – Moh próbował powstrzymać zapał w głosie.

Bernstein pokręcił głową.

– Sprawy powojenne. Rozdzielone dokumenty.

Moh wzruszył ramieniem.

– Czego tym razem szukasz, Moh?

– Nie historii – powiedział krzywo Moh. – Polityki. – Ale nie mógł powstrzymać się przed przejrzeniem straganu, tylko raz. Wybrał broszurę, dobre wydanie, którego nie miał, i w idealnym stanie. *Program przejściowy* Leona Trockiego[6]. Wprowadzenie Harry Wicks[7].

– Dobry facet – powiedział Bernstein. – Słyszałem jego mowę, raz.

– Słuchałeś *Trockiego*? – spytał Jordan.

Bernstein posłał mu wybaczający uśmiech.

– Mówiłem o Wicksie – powiedział.

– Ile? – spytał Moh.

---

[6] wersja polska `https://www.marxists.org/polski/trocki/1938/prog_przejsciowy.htm` – przyp.tłum.

[7] zob. `https://en.wikipedia.org/wiki/Harry_Wicks` – przyp.tłum.

– Sześćdziesiąt milionów funtów szterlingów, w czymkolwiek masz.

– Ta, biorę – powiedział Moh, odliczając dwadzieścia marek. – To naprawdę kawałek historii. – Uwielbiał tego rodzaju sprawy.

– Nie po to przyjechałeś – zauważył Bernstein.

– Nie do końca – powiedział Moh. – To, co chciałem się spytać, to, nie wiesz może, gdzie obecnie bywa Logan?

Bernstein sięgnął pod stół i zaczął przeskakiwać po stronach porysowanej książki w skórzanej oprawie, kartki trzymane razem przez metalowe pierścienie, jakiś rodzaj papierowego systemu archiwizacji. – Tak, jest na rotacyjnej kolonii kosmicznej. Nowy Widok. Utopijna i naukowa, łapiesz? Och, oto i jest. Widzę, że ciągle ma PGP[8].

Moh przeskanował pracowicie litery do swojego urządzenia.

– Pamiętasz go mówiącego o Gwiezdnej Frakcji? – spytał lekko. – Kiedykolwiek odkryłeś coś na ten temat?

– Nie – odparł Bernstein. – Widziałem Logana kilka lat temu, mówił, że ciągle dostaje dziwne wiadomości. – Zarechotał. – Dziwne wiadomości, to jest to, co jest w porządku. Tak myślę, że to było coś, co Josh wbudował w Czarny Plan.

Moh usłyszał dźwięk krwi odpływającej z głowy jak odległy wodospad. Obserwował twarz Bernsteina i cały deptak, przechodzący od koloru do ziarnistych szarości.

– Czarny Plan? – usłyszał siebie pytającego.

– Pewnie – powiedział Bernstein. – Twój stary to napisał. Myślałem, że wiesz.

Kohn zwalczył retrospekcje.

[8] PGP – narzędzie służące do szyfrowania i odszyfrowywania, więcej `https://pl.wikipedia.org/wiki/Pretty_Good_Privacy` – przyp.tłum.

Bez skutku.

* * *

Ciężkie, metalowe, przemysłowe regały, obładowane elektroniką, narzędziami, wnętrzności komputerów. Zebrane dzieła Trockiego. Podręczniki hardware'u i software'u. Błyszczące magazyny komputerowe (miękkie porno, jak je nazywała matka). Moh był zagubiony w jednym z nich, kiedy usłyszał kaszlnięcie.

Odwrócił się do stołu na środku pokoju.

– Dzień dobry, Josh – powiedział, uśmiechając się.

Jego ojciec spojrzał znad ekranu i kiwnął głową.

– Cześć Moh. – Sięgnął na stronę, strzelając palcami. – Podaj nam podręcznik Hipokryty. Trzecia półka od góry... dzięki.

Klawisze klawiatury stukały jeszcze przez kilka minut. Moh obserwował w milczeniu, potem uniósł się na łokciach do stołu, żeby rzucić okiem z bliska. Wpatrzył się w ekran, pochłonięty, zafascynowany, gdy wcięte linie kodu sączyły się do góry. Nie rozumiał, co ten kod robił, ale nauczył się programowania dosłownie na kolanach ojca i potrafił zobaczyć jego logikę, potrafił zobaczyć, że na pewnym poziomie to wszystko miało sens: wiedział, zanim to się zdarzyło, kiedy następnym symbolem będzie ten dla ENDMODULE. Kilka uderzeń później i moduł się skurczył, stał słabą horyzontalną kreską na kwadracie powiązanym z innymi ikonami na ekranie.

– Co robisz, tato?

Josh zmarszczył brwi w roztargnieniu, potem uśmiechnął się zrezygnowany. Wyprostował się w wysokim krześle, prostując łopatki, westchnął i sięgnął po paczkę papierosów. Zapalił jednego i pochylił się na stole, teraz i później pamiętając, by wydmuchać dym w innym kierunku.

– To część większego projektu – powiedział. – Hm, byłbym wdzięczny, gdybyś o nim nikomu nie mówił. – Posłał Moh szybki konspiracyjny uśmiech. – To jest skomplikowane… planowanie zasobów, logistyka, genetyczne algorytmy finansowe, z odrobiną planowania awaryjnego zakodowanego sprzętowo.

– Co to „planowanie awaryjne”?

– To… rzeczy, które robisz na wszelki wypadek.

– Jak zakopywanie broni! – Moh wycelował z wyimaginowanego karabinu.

– No. – Josh znowu westchnął i raz jeszcze spojrzał na ekran. – Ten jest dla Gwiezdnej Frakcji.

– Co to „Gwiezdna Frakcja”?

Josh spojrzał na niego, znowu nieobecny, potem pokręcił głową, jak gdyby wychodził z zadumy.

– Zapomnij o tym – powiedział ostro. W jego głosie był ton, którego Moh nigdy wcześniej nie słyszał, i konsternacja musiała pojawić się na jego twarzy, ponieważ Josh nagle się uśmiechnął, objął go ramieniem, roześmiał się i zanucił: – Pięć to liczba lat planu sowietów, cztery to Międzynarodówka…

Moh dołączył, kontynuując: – Trzy, trzy prawa człooowieka, dwa to ręce robotnika pracującego na swojego życie i jeden to jedność robotników, która zawsze będzie taka!

Josh narysował niebieską linię dymu pod pytaniem o projekt.

– Cóż… w jaki sposób robotnicza jedność nadchodzi wśród Młodych Buntowników? – spytał.

– Ciągle się kłócimy – wyznał Moh. – Niektórzy z towarzyszy myślą, że powinniśmy być bardziej przeciwko rządowi, a niektórzy z nas mówią, że powinniśmy być bardziej za nim, bo prawica jest przeciwko.

– Co Ty o tym myślisz?

– Och, cóż, myślałem, czy Republika jest rządem robotniczo-chłopskim?

Josh kaszlnął podejrzanie głośno i powiedział:

– Hahahmmmm. . . hm, nawet zezwalając chłopom na bycie rzadkością w tych częściach, myślę, że powinniśmy powiedzieć „Nie". Ale te kategorie (wiesz, co to znaczy? dobrze) nie są tutaj faktycznie użyteczne. Jesteśmy w nowej sytuacji. To rząd radykalnie demokratyczny. Nie jest socjalistyczny, ale kapitaliści mu nie ufają. Więc sprawy są trochę niestabilne.

Rozmawiali przez chwilę o polityce. Jedenastoletni i tuż po wstąpieniu do młodzieżówki partii, Moh postrzegał politykę, której nauczył się od rodziców, jako przygodę, która rozciągała się na pokolenia, jak program podboju kosmosu: przed nimi byli pionierzy, którzy wznieśli się w Petersburgu, padli w Workucie. Przed nimi Alpha Centauri władzy robotniczej i ludzkiej solidarności. Poza tym nieskończony wszechświat socjalizmu, jasny świat, świat bez granic, bez szefów i gliniarzy. Czuł dumę z bycia tego częścią, kłócąc się w szkole z prawicowymi nauczycielami, maszerując w demonstracjach, doczytując.

– Dobra, Moh, te ręce muszę pracować na ich utrzymanie, och, więc lepiej. . .

– Rozłam!

Josh przybił piątkę, potem dziesiątkę, śmiejąc się, i Moh wyszedł.

Jednak potem tego dnia wrócił i przez kolejne tygodnie on i jego ojciec, prawie bez zauważania, wpadli w metodę pracy razem: Moh podający dokumentację i wyszukując różne rzeczy, pomagając testować i debugować, obserwując rozwój systemu. Josh mówił i myślał, kiedy mówił do samego siebie, lub ponad głową Moh, a przez cały ten czas logika, ale nie funkcja, programów stała się czymś, co Moh pojął bez świadomości, że wie.

* * *

– W porządku, Moh?

Mrugnął i pokręcił głową.

– Ta, będę. . . .

– Korzystasz, czy co?

– Nie więcej niż zwykle – powiedział Moh. Wymusił uśmiech. – Co mówiłeś?

– Josh go napisał. System CAL, pamiętasz?

– „CAL”? – Janis zmarszczyła brwi. Oczy Jordana rozszerzyły się.

– Computer-aided logistics – powiedział Kohn. – Pamiętam.

– Nigdy nie widziałem dokumentacji, – powiedział Bernstein – ale nie mógł powstać nigdzie indziej. Nie mówię, że zrobił wszystko ale to był rdzeń. Nikt inny nie mógłby tego zrobić.

– Dlaczego nie?

– Bo nikt inny nie stworzył Hipokryty.

Tym razem szok był inny. Żadnych wspomnień, żadnych retrospekcji. Tylko poczucie zapadania.

– Chcesz mi powiedzieć – powiedział do Bernstein – że mój ojciec napisał Hipokrytę? – Jego głos załamał się z niedowierzania. – Skąd wiesz?

Zmarszczki na twarzy Bernsteina pogłębiły się, chwilowo pokazując prawdziwy wiek.

– Nie rozmawialiśmy o tym, wtedy, kiedy byłeś brzdącem. Ale. . . – Wskazał na stragan i uśmiechnął się kwaśno. – Od tego czasu poznałem wielu eksczłonków. Niektórzy byli na dnie butelki, jeżeli łapiesz prąd.

– Dlaczego nie powiedziałeś mi wcześniej? O tym i o Czarnym Planie?

– Jak mówiłem. Myślałem, że wiesz. Tak czy siak, Czarny Plan

był trochę podejrzaną kwestią, nawet w Partii. Powiem Ci, niewielu o nim wiedziało. Tylko Komitet Centralny i ten odłam, który był w Partii Pracy i harował w Komisji Ekonomicznej Republiki. Twój stary był najlepszym programistą, jakiego mieli. *Jasne* że skorzystali. Człowiek, który napisał Hipokrytę! – Bernstein się roześmiał. – Wiesz, że wypuścił go jako freeware? Mógłby być milionerem, przynajmniej, ale nie chciał popierać patentów, własności intelektualnej i tak dalej. Mówimy o dobrym komuniście. Jankesi byli mocno wkurwieni: to przeżarło przez ich sterowanie i depozyty jak *kwas*.

Moh pamiętał Bernsteina, po tym spotkaniu lata temu, opowiadającego o nielegalnym softwarze i co Jankesi z tym robili. Musiał myśleć, że Moh wiedziałby dokładnie, do czego robi aluzję.

– Więc to dlatego. . . ?

– To i Czarny Plan.

Oczy Bernstein wytrzymały wzrok Moh, jak gdyby jego wspomnienia były ostre i nieuniknione.

– To znaczy, że on ciągle ich zwalcza, Moh. „Gdziekolwiek śmierć może nas zaskoczyć[9] . . . ”, pamiętasz?

Tylko sentyment powstrzymał Kohn od uderzenia go w zęby.

– Śmierć nigdy nie jest mile widziana – powiedział po chwili.

Wzrok Bernstein zbadał go, zauważył pewne przesunięcie w ich stosunkach.

– „Śmierci się nie doznaje[10].” – powiedział smutno.

Kohn pomyślał o tym i przytaknął.

– Powinienem wiedzieć – powiedział.

Podziękował Bernsteinowi, powiedział do widzenia i wypchnął

---

[9] cytat Message to the Tricontinental, Che Guevara (1967), zob. `https://www.marxists.org/archive/guevara/1967/04/16.htm` – przyp.tłum.

[10] cytat z Tractatus Logico-Philosophicus, L.Wittgenstein, twierdzenie 6.431 – przyp.tłum.

Jordan i Janis z galerii, na światło słoneczne. Poszli do zniszczonego muru i usiedli na nim, huśtając nogami, rozmawiali. Przed nimi były tylko walące się estakady, rozlewające się osiedla slumsów: jeżeli mogliby za kogoś uchodzić, to byliby studentami z plecakami na wycieczce archeologii transportowej. Popiół kilku papierosów zasiał ziemię, gdy Moh opowiedział im o tym, co pamiętał.

– Ciągle nie rozumiem, w jaki sposób Czarny Plan miał *działać* – powiedziała Janis.

– Ja też – powiedział Moh. Nigdy nie myślał o Czarnym Planie jak tylko czarnej propagandzie, aż do ostatniej nocy. Jordan złapał ich za ramiona, prawie przewracając ich do tyłu.

– Co...

– Wiem, jak to działa – powiedział Jordan napiętym głosem od powstrzymywania się od krzyku. – Zainstalował pułapki w Hipokrycie! W ten sposób działa! Ponieważ wszyscy używają Hipokryty. Moh, człowieku, Twój ojciec był *hakerem*!

– Co masz na myśli „pułapki"? – spytała Janis.

– Wejścia – powiedział Moh. – Rzeczy typu koń trojański. Sięga daleko w przeszłość. Goście, którzy napisali jeden z pierwszych dużych systemów operacyjnych, wsadzili subtelny kod, żeby dać im dostęp do czegokolwiek, co było puszczane. Jeżeli Josh wykorzystał ten sam trick w Hipokrycie...

Plan działa przez rynek. Wiedział, skąd się ta idea wzięła.

– Josh musiał zakopać broń – powiedział Moh. – Zakopał je w Czarnym Planie: krety, bomby logiczne. A była taka możliwość, że Republika upadłaby, że rewolucja byłaby stracona.

– A jak myślisz, co byłoby pierwszym krokiem planu awaryjnego? – spytał Jordan. – Powiem Ci, zorganizować coś jak ANR!

– Cóż, to zdecydowanie *umożliwiło* – powiedział Moh. – Historia jest taka, że to wyprowadza pieniądze i zaopatrzenie od wszyst-

kich naokoło. Computer-aided logistics, he! Jednak żeby rzeczywiście zbudować organizację? – Podniósł broszurę, którą kupił. – Potrzebowałbyś tego rodzaju programu, a nie jebanego komputerowego programu! – Jordan i Janis patrzyli na niego, jak gdyby powiedział coś mądrego. Pomyślał przez chwilę. – O kurde.

– Tak – powiedział Jordan. – Spójrz na to z tej strony. To nie tylko analogia, to ta *sama rzecz*. To samolubny mem!

– Znam memy, rozprzestrzeniające się idee. Ale dlaczego *samolubne*?

– To, cóż, to jest metafora, prawda? Jak idee się upowszechniają, same się replikują. Przykładowo, idee są tak samo zainteresowane mózgami, w których są, tak jak geny interesują się ciałami, w których są: tylko tyle, żeby dać się skopiować.

– Jak wirusy komputerowe – dodała Janis.

– Ok. – Moh rozłożył ręce. – I?

– Jeżeli Josh wbudował jakąś strategię polityczną w Czarny Plan – kontynuował Jordan – skąd wziąłby idee? Gdzie indziej prócz programu jego własnej Partii, całego własnego doświadczenia i czytania o polityce? Plan *jest* programem, a nie starą broszurą, nie koniecznie ideami w jakimś szczególe, ale zbiorem praktyk, które się *koduje*. – Uśmiechnął się porozumiewawczo. – Przez lata wcieliło to się w wiele organizacji, czyż nie tak?

– Cóż, tak – powiedział Moh. To była niepokojąca wizja. – Chcesz powiedzieć, że program tworzy Partię, a nie na odwrót?

– Oczywiście, że tak – powiedział Jordan. – Jak myślisz, co tutaj się dzieje? – Wskazał kciukiem za plecy. – Tylko inna mutacja idei, zarażająca świeże umysły. Samolubny mem replikujący się w czasie. Twój wariant może być w dziesiątkach sekt, Sojuszu Lewicy i tak dalej, ale obecnie najbardziej udany gatunek jest w Czarnym Planie. Ma własną cholerną *armię*.

– Teraz *Ty* opowiadasz *serdar argic* – powiedział Moh. Lekko uderzył Jordan. – No weź. Mówisz o tym, jakby to był jakiś elektroniczny antychryst przejmujący władzę nad światem przy pomocy...

– Kodów kreskowych zawierających „666"! – Roześmiał się Jordan. – Nie, to tylko sposób patrzenia na to. – Zrobił odwrócony gest. – Ale, właśnie powiedziałeś, że jest związek pomiędzy Czarnym Planem a Czwartą Międzynarodówką...

– Hm, może w tym sensie, o którym mówisz, że napisał to Josh. Poza tym... nie wiem. Niewiele znaków ideologii trockistowskiej w ANR. Lub jakiejkolwiek innej, jeżeli o to chodzi. Są pragmatyczni. Post-futurystyczni.

– Dokładnie – powiedział Jordan. – Techniki polityczne i wojskowe działają niezależnie od ideologii.

– Co mógłbyś o tym wiedzieć?

Jordan wzruszył ramionami.

– Czytam książki.

– Co z Gwiezdną Frakcją? – przerwała Janis. – Bernstein powiedział, że myślał, że *to* był Czarny Plan.

– Nie Frakcja sama w sobie – powiedział Moh marszcząc brwi. – Tylko instrukcje do niej, dla ludzi jak Logan.

– „Nie Frakcja" – przedrzeźniał Jordan. – „Tylko instrukcje", domyśl się Moh. To są te same rzeczy.

– Ok, możesz w ten sposób patrzeć, jeżeli chcesz. – Czuł upór w tej sprawie, że Jordan i Janis pomiędzy sobą warzyli podejrzaną metaforę na coś jasno wytłumaczalne w terminach politycznych. – Myślę, że Gwiezdna Frakcja była *prawdziwą* organizacją, którą Josh pomagał zbudować. Była zaprojektowana do wykorzystania jakiejś możliwości Czarnego Planu, ale nigdy nie była zaktywowana.

– A o czym – Jordan spytał triumfująco – tak cholernie nalegałeś, że zrobiłeś wczoraj? Coś *aktywowałeś*!

Moh gapił się na niego, niezdolny do mówienia, gdy doświadczał umysłowego salta w patrzenie na rzeczy jak Jordan: idee jako oddzielne byty, memy, przeskakujące z umysłu do umysłu jak programy neutralne wobec sprzętu, na którym pracują. Języki same w sobie jak naturalne Hipokryty, zamieniające słowa w wirtualne rzeczywistości w ludzkich mózgach. Ideologie jako maszyny memów, używające wszystkich partii i fakcji, armii, ruchów, wiary i rozsądku jako jednorazowych ciał, by zreprodukować kolejną generację potrząsających bronią czy uderzających w biblię, cytujących broszury lub budujących partię propagatorów partii.

Pomyślał o Johnnym Smith, bojowniku Hezbollahu, który zmarł na jego rękach (*Och Johnny, ledwo Cię znałem*) i którego heroiczna śmierć zainspirowała tuziny innych, którzy ze swojej strony… teraz tam był Sierociniec imienia Johhny Smith Męczennika Dżihadu Southall.

Pomyślał o Guevarze, którego słowa Bernstein zacytował:

Kiedykolwiek zaskoczy nas śmierć, niech będzie mile widziana, zakładając, że to, nasz okrzyk wojenny, sięgnie podatnych uszu, że inne ręce sięgną po naszą broń i inni ludzie zaintonują pogrzebowy lament ze śpiewem karabinów maszynowych i nowymi zawołaniami wojny i zwycięstwa[11].

Tradycja wszystkich zmarłych pokoleń ciąży jak zmora na umysłach żyjących…[12], jak powiedział Marks. Tak, były pokolenia martwych i oni się reprodukowali… tak jak pokolenia żywych i *oni* się reprodukowali.

Pomyślał o Joshu i Marcii, jak oni dołączyli do pokoleń zmarłych. Spojrzał w dół na swoje dłonie na ciepłym metalu karabinu

[11] autor Che Guevara, tłumaczenie własne – przyp.tłum.

[12] cytat za 18 brumaire'a Ludwika Bonaparte, Karol Marks, tłumaczenie za wydaniem z roku 1949 , zob. `https://www.marxists.org/archive/marx/works/1852/18th-brumaire/ch01.htm` – przyp.tłum.

szturmowego pomiędzy kolanami. Niektóre części broni, którą dzierżył Josh, były teraz pochowane w Karabinie, w jego tajnej, zaszyfrowanej pamięci.

I w jego.

– Tak – powiedział w końcu. – Coś uruchomiłem. I zrobiłem to kodem, który pamiętałem z pracy z Joshem nad Czarnym Planem.

– Logan był częścią frakcji kosmicznej – zwróciła uwagę Janis. – Jeżeli ta idea o programie politycznych jakoś wbudowanym w program komputerowy jest poprawna. . .

– wówczas *to* sięga w kosmos – powiedział Moh. – O ta, łapię. Może po prostu trwać. Budować partie, organizować armię, wznosić piekło. Na zawsze.

– Wieki, przynajmniej – powiedział Jordan. – Przyszłość to długi czas.

Moh spojrzał na niebo. Bez gogli to bolało. Coś, z tym że nie było dostatecznie dużo zanieczyszczeń, żeby powstrzymywać ultrafiolet. Czy coś.

– Czas, byśmy zadzwonili do Logana – powiedział.

Rozdział 11

Lokalności Kwantowe

Filtr pocztowy Donovana zwyczajowo odrzucał 98,3 procent przychodzących wiadomości: próby sabotażu wściekłych administratorów systemu, zapytania dziennikarzy, próby reklamowania wszystkiego od nuklearnych bomb głębinowych do farby antyporostowej. To jednak zostawiało dużo i był to tylko łut szczęścia, że wiadomość Moh wpadła mu w oczy. Gdy ją czytał, śmiał się z desperackiej naiwności bezpośredniego podejścia najemnika.

Zatem Catherin przyjęła jego radę i zniknęła.

Zbyt wcześnie.

Donovan wstał i próbował rozmasować sztywne ramiona bolącymi dłoniami. Nie spał całą noc, obniżając mechaniczną dzikość swojej wirtualnej hordy. To zajęłoby prawdopodobnie kolejny dzień, zanim proces zostałby skończony i mieliby jasny obraz czegokolwiek, co robił byt Zegarmistrza.

Dziewczyna w dżinsach i butach żeglarskich przyszła z kuchni z jego poranną kawą. Kiwnął głową i skinął na nią. Podeszła z uśmiechem stewardessy, który zmienił się we wdzięczność i ulgę, kiedy poprosił ją o masaż jego barków i karku. Natarczywy nacisk i ciepło jej palców ukoił jego umysł i jego mięśnie. Wypił kawę i przejrzał wiadomości. Narastająca brzemienna sytuacja międzynarodowa była prawie ulgą: mogłaby dać czas SeŻeWu i Stasis na poradzenie so-

bie z bytem Zegarmistrza, podczas gdy Obrona Kosmiczna byłaby zajęta irakowaniem Japończyków.

Odwrócił się w fotelu.

– Dziękuję – powiedział dziewczynie. – Możesz już iść.

– Proszę... bardzo, panie Donovan – powiedziała i odeszła, bardzo ostrożnie, przez pokład i w dół drabiną. Donovan poczekał, aż dźwięk jej kroków znikł w szumie morza i wentylacji i nawiązał rozmowę z Bleibtreu-Fèvre.

W ciągu sekund twarz agenta Stasis pojawiła się na płaskim ekranie. Jeśli pracował całą noc, to na pewno na to nie wyglądał. Prawdopodobnie przyzwyczaił się: Donovan niejasno wyobrażał go sobie śpiącego w dzień, wiszącego do góry nogami za nogi. Bleibtreu-Fèvre najwidoczniej pomylił chwilową rozrywkę Donovan z serdecznością i odpowiedział cienkim uśmiechem.

– Jestem w połowie – powiedział Donovan. – Jak reagują Twoi ludzie?

– Bez paniki – odpowiedział Bleibtreu-Fèvre. – Zgłosiłem swoje podejrzenia, ale konsensus jest taki, że to był sabotaż, jeżeli nie przez Twój ruch, to przez jakiegoś niezależnego hakera. Na tę chwilę zakłócenie wydają się zakończone. Jednakże pani Lawson zgłasza mały, ale uporczywy niezarejestrowany wzrost ruchu sieci od... wydarzenia. Ledwie wykrywalny, póki ktoś nie szuka konkretnie i nie stosuje właściwych diagnostyk. Jak globalne ocieplenie. – Kolejny mały uśmiech. – Narasta, o bardzo mały ułamek, ale narasta. Będzie oczywiste dla najsłabszego z sysadminów w ciągu około trzech dni, dla reszty mojej agencji nieco później i, bez wątpienia, dla Obrony Kosmicznej jakiś nieokreślony czas potem... Jakie to banalne – dodał – że pierwszym namacalnym dowodem nowej inteligencji na naszej planecie będą niespodziewanie wysokie rachunki telefoniczne, ha, ha.

– Niektórzy powiedzieliby, że była z nami od dawna – powiedział Donovan, kwaśno przyjmując żart, ale z bólem w środku: Bleibtreu-Fèvre grał przeciwko niemu idee, którą rozwinął trochę zbyt poważnie w *Tajnym życiu*. – Co z doktorem Vanem?

– Tu możemy mieć problem – powiedział Bleibtreu-Fèvre. – Przez kilka godzin nic od niego nie słyszałem. Ma irytująco nieokreślony sobowtór automatycznej sekretarki, który przyjmuje postać ładnej młodej kobiety, która brzmi, jak gdyby obiecywała, że natychmiast przekaże wiadomość, ale gdy tylko rozmowa jest skończona, każdy zdaje sobie sprawę, że precyzyjnie nic nie obiecała.

– Prawdopodobnie rzeczywista osoba – powiedział Donovan tak poważnie, jak tylko mógł. – Taka umiejętność jest prawie niemożliwa do zautomatyzowania.

– Jakieś postępy z Kohnem?

Donovan wrzucił wiadomość Kohna w pole widzenia Bleibtreu-Fèvre.

– Tyle z tego pomysłu – zauważył agent Stasis po przeczytaniu.

– Być może – przyznał niechętnie Donovan. – Jednak Catherin Duvalier prawie na pewno skontaktuje się ze mną, jeżeli Kohn ją odnajdzie. Załatwienie tej sprawy jest w jej interesie.

– Sugeruję, abyś wysłał kolejne wezwanie do niezależnego aresztu – powiedział Bleibtreu-Fèvre. – Proszę, poinformuj mnie natychmiast o dowolnym kontakcie. Ten człowiek może być niezwykle niebezpieczny, możliwe, że nawet jest nosicielem informacyjnej zarazy bytu AI. Biorąc pod uwagę, kim jest, kim był jego ojciec i co się z nim stało, nie możemy po nim oczekiwać współpracy. Spróbuję go osobiście sprowadzić.

– Czy to nie ryzykowne dla Ciebie, jeżeli przebywa w Norlonto? – spytał Donovan. Obrona Kosmiczna przesadzała z reakcją, gdy Stasis wkraczała w tylko pojęciowo terytorium pozaziemskie.

– Tak – odpowiedział Bleibtreu-Fèvre. – Ale jest to ryzyko, które musimy podjąć.

– A jeżeli opuści Norlonto?

– Myślałem o tym – powiedział Bleibtreu-Fèvre. – W mojej pracy, jak w Twojej bez wątpienia, podtrzymuje się znajomości, które mogą być, powiedzmy, *nieregularne* na swój sposób, ale które na poziomie podstawowym praktycznie rozsądne.

Barbarzyńcy. Zieloni partyzanci. Daj im kilka drobiazgów, powiedz im, że ta maszyna lub tamta osoba jest wrogiem Ziemi: cel i pal. Donovan kiwnął entuzjastycznie, myśląc o tym, że, na tyle o ile Stasis była zainteresowana, on sam był tylko trochę bardziej użytecznym barbarzyńcą.

* * *

Budka telefoniczna była bąblem porysowanego plastiku przymocowanego do zewnętrznego muru centrum handlowego, sam aparat telefoniczny wyglądał jak ścięty kawał klocka, jak mała wersja monolitu z *2001*. I, również jak on, aparat wytrzymał wszystko aż do oraz razem z ogniem laserowym. Kohn zanurkował do budki, podczas gdy pozostali stali odwróceni na zewnątrz, dając mu odrobinę prywatności. Podłączył laryngofon, Karabin i telefon i wybrał klucz do Logana.

Holo pojawiło się w głębokiej czerni, pokaz wyświetlający ścieżkę sygnału: Alexandra Palace – Telecom Tower – Murdoch GeoStat – odbicie pomiędzy kilkoma satelitami – skok do Lagrange, gdzie grona stacji kosmicznych kręciły się w pływie grawitacyjnym Ziemi i Księżyca. Potem linia zniknęła w bazgraninie lokalnych sieci. Cyfry po prawej stronie dla podsumowującego rachunku przeskakiwały tak szybko, jak wtedy gdy ostatni raz dzwonił do Logana,

kiedy to było połączenie głosowe, żadnej fantazyjnej grafiki (*mipsy są tańsze od łącza*). Gdzieś tam: Hipokryta, praca jego ojca.

Nagle pojawiła się twarz Logana, ukośnie. Poza i dookoła niego rośliny, akwaria, kable, rury, wszystko poukładane i wyglądało, jakby się miało przewrócić. Okno nad głową za nim z przesuwającymi się słupami światła w ciągłym niepokojącym ruchu.

– Moh Kohn! *Oczekiwałem*... – przestał. – Hej, czy to bezpieczna linia?

– To Twoje krypto – powiedział krzywo Moh.

Logan odpowiedział ze zwykłym opóźnieniem. Wyglądało jak nierozgarnięcie, jak zawsze, póki umysł się nie dostosował do tempa sekund świetlnych.

– *Jes*, dobra, *Amerikanoj* tego nie złamali, ale... wrzuć jakiś własny?

Moh wcisnął klawisz. Obrazy rozpadły się w śnieg, znaki graficzne, zawrotny rzut pełzającego niskopoziomowego ASCII, potem wróciły.

– Teraz bezpiecznie? – spytał Logan. Za nim kurczak nieelegancko przeklapał, jego dziób otwarty jak gdyby zaskoczony z bycia w powietrzu.

– Mówimy o nieskończonych małpach – powiedział Moh. – Wal.

– Ok. Na temat Gwiezdnej Frakcji?

– Tak!

– Aha. Stary kod. Uruchomił się. *Latami* podążał za mną, co jakiś czas pojawiała się wiadomość: nic nie rób. O tej porze wczoraj, nagle jest *Rusz dupę towarzyszu, to nie są żarty.* I co mi to każe? Wyprodukować amunicję? Nawet wydrukować ulotki? Cholera, nie, tylko: kupuj jebany sprzęt laboratoryjny! Sekwencery, kriogenikę, neuroprzekaźniki, dedykowany sprzęt. Znaczy, mam taki sprzęt tu-

taj, tam – machnął rękę na tło za nim – ale to jest *znacznie* więcej niż to, co potrzebujemy, żeby uruchomić naszą ekologię. W międzyczasie dostaję telefony od towarzyszy, o których nie wiedziałem, że mam. Ruch Kosmiczny, *Internaciistoj*, ANR, wszyscy. Wszyscy myślą, że program (cokolwiek to kurwa jest) myśli, że *oni* są w Gwiezdnej Frakcji (cokolwiek kurwa *to* jest). A to każe im. . . dobra, zależy, gdzie są. Ziemia, wysłać różne rzeczy na zewnątrz. Orbita, wciągnąć i razem złożyć. Cały sprzęt bio, software komunikacyjny, komputery z zapasowymi dyskami jak te, których używają do odzyskania po awarii. Pamięć rdzeniowa, która może wytrzymać bliskie eksplozje jądrowe.

Eksplozje jądrowe Moh pomyślał o wiadomościach: przedmieścia Kioto, ulice Sofii. Wspomnienie potu w schronie zaswędziało go w skórę.

– I wszystko to robisz? – To było wszystko o czym pomyślał.

– Oczywiście, że tak. Nawet teraz mam wstrzymane połączenia, człowieku.

– Jak za to płacisz?

Logan chrząknął śmiechem.

– Sprawdziłem nasze konta na Ziemi. Forsa wpada, oznaczona. Z tego, co wiem, to mogła być inwestycja kapitałowa z bolszewickiego obrabowania banku w 1910 roku.

– Dostatecznie blisko – powiedział Moh. – To z Czarnego Planu.

Logan spojrzał się na niego dłużej, niż mogłoby wynikać to z opóźnienia połączenia.

– Skąd o tym wiesz?

– Myślę, że ja to zamieszałem – powiedział Moh. – Grzebałem trochę wczoraj. Coś w systemie zapytało mnie o kod, który zapamiętałem z dawna, kiedy Josh go pisał. To wtedy rzeczy zaczęły się zdarzać. . .

– *Josh* napisał Czarny Plan?

– Tak mówi Bernstein.

Logan kiwnął głową.

– Mów dalej.

– Tyle wiem, że ma to coś wspólnego z Gwiezdną Frakcją. Faktem jest, mój umysł jest trochę… cholera, nie wiem, może spieprzony od leków na pamięć, na które byłem wystawiony. Dobrze byłoby dostać potwierdzenie, racja? Inna sprawa, która się zdarzyła, to te zaszyfrowane dane ściągnięte do komputera Karabinu, i zastanawiałem się, czy może masz pomysł co z tym zrobić.

Logan zmarszczył brwi.

– To może być wyprzedzający backup. Gdy uruchomię instalacje, których żąda ten program, będzie mógł odebrać wąskopasmowe transmisje. To naprawdę ryzykowne, szczególnie jeżeli zaszyfrowane. Tracisz jeden znak i wszystko jest śmieciem. Ok, możesz sobie z tym poradzić, dodać redundancję, jakby nie było jutra. Nawet wtedy, jeżeli w scenariuszu są atomówki, dostajesz EMPami, stąd zorze polarne, komunikacja wyłączona na dni.

– Myślisz, że to możliwe?

– Atomówki? *Ne* Jeżeli masz rację, jednak, co do tego, kiedy ta rzecz była uruchomiona, możesz zrozumieć dlaczego…

– Cholera! To jest to! Tuż przed tym ostatnim! – Bogini, to była ulga. Aż do pewnego momentu.

– … to może być czułe na plotki o wojnie.

– Zatem. Co myślisz, zabrać to w kosmos? – Moh zmiażdżył pustą słomkę pod butem, zastanawiając się, w jaki sposób zdobyłby forsę na opłaty. Przepracować przelot, polecieć na drugiego…

– Żartujesz? Nie słyszałeś, człowieku?

Moh potrząsnął głową, powstrzymując impuls kopnięcia Jordana. Oczy w sieci, cały pieprzony opis pracy…

– Jankesi ogłosili stan nadzwyczajny. Ruch w kosmosie i starty są ograniczone. Nikt z dowolnym formularzem się nie wydostanie, póki starcie z Japonią się nie skończy. Z ładunkiem zaszyfrowanych danych . . . zapomnij o tym.

– Co z tym sprzętem, który zamówiłeś?

– To wszystko pewne – powiedział Logan. – Puste magazyny, uzasadnione zaopatrzenie. I już jest w drodze. Wysłane przed ograniczeniami.

– Zgrabnie – powiedział Moh. Jakoś to go nie zaskoczyło. – Więc co mam zrobić z tym kawałem niedostępnego RAM-u?

– Jedź do ANR – powiedział Logan. – Najbezpieczniejsze miejsce.

– Ha kurwa ha.

– Mówię poważnie. *Knaboj* zajmą się Tobą. Zresztą, to jest ich. Czarny Plan.

– Wiesz, co myślę? – powiedział Moh, patrząc na obudowę pamięci Karabinu. (Partia musi zawsze władać karabinem. Karabin nigdy nie panuje nad Partią. Mao.) Spojrzał, gdy jego słowa dotarły do Logana. – Oni są *tym*.

Logan zmieszał się, przesuwając się bez zauważalnej uwagi w jeden z tych zestawów ćwiczeń izometrycznych, które ludzi z zero-g musieli robić, jeżeli chcieliby być kiedykolwiek ludźmi w jeden-gie.

– Dużo się dzieje – powiedział. – Dużo się dzieje na liniach. Wiemy o ofensywach i. . . rzeczy się też tutaj wyprowadzają. Frakcja Ruchu Kosmicznego, o której Ci mówiłem, zrobiliśmy postępy, robimy, co możemy. . .

– Hej – powiedział Moh – czy jest jakieś powiązanie pomiędzy tymi towarzyszami a tymi w Sta. . . ?

Logan uśmiechnął się, jego twarz zbliżała się i oddalała od kamery.

– Nawet nie pytaj – powiedział. – Muszę lecieć. Trzymaj się.

Klik w ciemność. Wtem, niespodziewanie, ekran się uruchomił:

Do: mk@cheka.com.uk

Od: bdonovan@cla.org.ter

Wyświetlić?

Moh zawahał się, zastanawiając się, czy coś gorszego niż wiadomość mogłoby się pojawić. Zdecydował, że, skoro firmware Kałasznikowa wytrzymał wszystkie możliwe ataki, było to małe ryzyko. Nie istniało nawet najmniejsze prawdopodobieństwo, że odczytanie wiadomości dałoby jej nadawcy jakikolwiek ślad jego fizycznej lokalizacji. W sensie, nawet nie przeczytałby jej tutaj. Jego programy automatycznie wyszukałyby standardowe serwery pocztowe, gdy tylko podłączył się do sieci komunikacyjnej. Nacisnął Enter.

Brak wyświetlenia ścieżki, całkiem dobra anonimizacja. Tylko:

Napisałeś:

>Donovan mam problem z Cat

>wyszła ze szpitalu i niest namieszalna

> Możesz zatrzymać biszes z Sądem Genewskim

> aż to ogarnę. Proszę orzyjmij

>moje przeprosiny za obrażenie Twojaj organizacji to

> tylko osobista sprawa z Cat byłem kwurzony

> za jej pracę dla SeŻeWu ponieważ powinna

> wiedzieć lepiej. Wiem, że SeŻeWu to dobrzy bojownicy

>i zawsze traktowaliśmy zakładników i

>ofiary itd według zasad

*Doceniam to, i rozumiem Twój problem, ale muszę nalegać, że to jest *Twój* problem. Wyzwanie zostało rzucone i nie mogę go wycofać bez dalszej możliwej utraty reputacji. Prywatnie, zgadzam się na opóźnienie wezwania do sądu w systemie Konwencji Genew-*

skiej, ale w międzyczasie wezwanie do obywatelskiego zatrzymania musi zostać utrzymane, póki osobiście nie zażądasz okupu za pannę C Duvalier, wcześniej wspomnianą osobę będącą pod Twoim (nominalnym) aresztem. W zwykłych przypadkach wystarczyłaby ugoda pomiędzy naszymi odpowiednimi organizacjami, ale to stało się kwestią dobrego imienia dla mnie oraz panną Duvalier.

Z wyrazami szacunku

Brian Donovan
Sojusz Życia Węglowego
Rejestrowana Organizacja Terrorystyczna #3254

Idź do ANR, powiedział Logan. Pomysł miał swoje korzyści, nie mniej ważne, że wyciągnęłoby go z tego całego bałaganu z Donovanem. Jednak zostawić towarzyszy z tym, to był problem. W pewnym momencie w każdym razie mógłby skierować się do ANR, choć co zrobiliby z jego opowieścią, było zgadywanką.

Moh odwrócił się i wyszedł z budki telefonicznej. Jordan i Janis spojrzeli na niego, ale kiwnął im głową w roztargnieniu i zignorował. Proszenie ich o trzymanie czujki było nieostrożne: to nie było coś, co robili zawodowo, lub co zwykle robili *żeby zostać* w zawodzie. Opuścił gogle i powoli przesunął po wszystkim, co mógł zobaczyć.

Strumienie ludzi wchodzących i wychodzących z galerii, jeżeli cokolwiek, były gęstsze. Mniejsze grupy chodziły dookoła odosobnionych straganów w cieniu budynku lub w ostrym słońcu. Jedyne zakłócenia spokoju pochodziły od grupek Neo kołyszących się z powrotem z ich lunchowych sesji picia, ochryple śpiewających różne narodowokomunistyczne hymny.

W oddali ruch na starej estakadzie się zatrzymał. Nic w tym niezwykłego, to była publiczna droga, ale. . .

Jakieś zamieszanie w slumsach spiętrzyło się poniżej drogi. Moh

odpiął celownik i podniósł, przesyłając widok na gogle. Typowa osadnicza scena, dużo wizualnego bałaganu: rozpraszająca różnorodność chałup, linki z ubraniami zwisające w poprzek podwórek i ścieżek, kable elektryczne przeciągnięte wszędzie nad całym miejscem, anteny na tymczasowych słupach, szary błysk strumieni kanalizacyjnych. W tym wszystkim jaskrawe kolory różnobarwnych strojów i trzepoczących łachmanów. . . ruszający się ludzi, szybko, rozpraszających się i biegnących od. . .

Rozciągnięta linia czarnoubranych postaci z wizjerami krocząca wolno wąskimi ścieżkami. *Gliny Korony*. Moh z trudem mógł uwierzyć w ten widok, póki nie przypomniał sobie, że to w ogóle nie była legalna część Norlonto. Ciągle to wydawało się oburzająco prowokacyjne ze strony Hanowerczyków, żeby w ten sposób maszerować, ten rejon był, jeżeli cokolwiek, bardziej anarchistyczny niż anarchia dookoła niego.

Zawirował dookoła, wołając Janis i Jordana, żeby na to spojrzeli i zaczął szukać jakiejkolwiek reakcji. Nikt jeszcze nie zauważył lub odbierali to spokojnie. Przyglądając się kolejnym grupkom, zauważył znajomą twarz w tłumie, nie mogłoby być, inny chód, chwila, nigdy nie widziałem jej idącej, dlaczego. . .

Jego uwaga, a chwilę później jego wzmocniona wizja, skupiła się na dziewczynie, która była przy stole Ruchu Kosmicznego. Przedzierała się celowo przez tłum, mniej więcej w kierunku miejsca, gdzie stał. Jej sposób bycia i postawa były w sprzeczności z wcześniejszą pozą. Wracając myślą, Kohn mógł zauważyć, że mogłoby to być podwójna fałszywka, imitacja imitacji. Niektórzy młodsi i głupsi przedstawiciele Ruchu Kosmicznego myśleli, że to fajna poza, a ona to imitowała.

Mogło to nic nie znaczyć, ale nagle wszystko miało znaczenie, w praniu dobrej starej paranoi komunistycznej: *towarzysze, to nie*

jest przypadek, i Moh zaczął iść, szybko, w losowym, jak myślał, kierunku.

– Co się dzieje? – spytał Jordan, kręcąc się obok, Janis podbiegająca, żeby dotrzymać kroku. Moh zatrzymał się, wytrącając ich oboje z równowagi.

– Jordan, czas się podzielić. Wsuń się z powrotem, pomóż staremu Bernstein się spakować. Zna w pobliżu miejsca, żeby przeczekać. Zaszyj się z nim, póki to się nie skończy, potem wracaj koleją jednoszynową do naszego miejsca. Zacznij szukać Cat: podejmiesz ślady z telefonu domowego, zacznij stamtąd i uważaj na sieć. Spróbuj skontaktować się ANR. Zadzwonię do Ciebie później.

– Póki, co się nie skończy?

Jordan był zaskoczony. Sytuacja dopiero zaczynała docierać do Janis. Moh, zwalczając przypływ zniecierpliwienia, musiał sobie przypomnieć, że żadne z nich nie było właściwie dzieckiem ulicy.

– Nie wiem – powiedział. – Nie zostaję, żeby się dowiedzieć. Widzisz tamtych gliniarzy, zbliżających się? Może tylko pokaz siły, ale z tymi wszystkimi dzieciakami…

Usłyszał dźwięk rozbijanej pierwszej butelki.

– Wiedziałem – powiedział. – Ci goście, jaja zamiast mózgu. Ruszaj. Masz dwie minuty, zanim to miejsce będzie…

Coś rozbiło się na ścianie, pod którą właśnie siedzieli. Długie nici lepkiego czegoś zdryfowały w dół na kilka nieostrożnych Neos, którzy natychmiast zaczęli przewidywalnie nieproduktywny wysiłek, żeby je strzepnąć.

Kohn złapał ramię Janis i oboje zaczęli biec. Ostatni raz, gdy zobaczył Jordana, kiedy spojrzał do tyłu sekundę lub dwie później, młody stał, ciągle oniemiały, machając i poruszając się do tyłu jak na peronie: do widzenia, do widzenia.

* * *

Chwytając kapelusz i plecak, Janis podążyła za Moh tak dobrze, jak potrafi, gdy śpieszył się przez ciemne wyjście z galerii w wykafelkowany tunel podświetlony migoczącymi świetlówkami i śmierdzący uryną i dezynfekcją. W końcu wyszli na otwarty hall, gdzie mężczyzna w spiczastej czapce i ciemnym mundurze stał przy mocnej barierce. Były tam plakaty – teraz żółknące, kiedyś gorąco kolorowe – na ścianach, pomiędzy nimi stara farba odłaziła od ściany i odpadała płatkami. Kolejny umundurowany mężczyzna obojętnie patrzył zza szyby szkła zbrojonego. Moh podszedł i wepchnął kilka niskonominałowych monet przez szczelinę poniżej szkła. Po mniej więcej minucie zastanawiania się mężczyzna pchnął kilka biletów w drugą stronę.

Moh podał Janis bilet i przeszedł przed nią, wkładając bilet w otwór w barierze. Z dźwiękiem sapania, ssania, bariera – para wyściełanych szczęk na poziomie bioder – otworzyła się i Moh przeszedł. Mniej niż pół sekundy później szczęki zamknęły się ze szczękiem, emitując chwilowy jęk, jak gdyby oszukały swoją ofiarę. Moh odwrócił się i złapał bilet, który wyrzuciła maszyna.

Janis przeszła z zamkniętymi oczami, potem zeszła po kilku zniszczonych betonowych stopniach pokrytych plastikowymi torbami, pustymi puszkami i suchymi liśćmi, na zniszczony betonowy peron. Tam śmieci najwidoczniej zmieniły się w postać dorosłą: przewrócone kosze, wózki sklepowe i pozostałości małych drzewek. Z krawędzi platformy można było zobaczyć kilkadziesiąt metrów torów kolejowych w każdą stronę. Poza tym, znikały w chwastach. Jednak przynajmniej były błyszczące, a nie zardzewiałe.

– Co *to* za miejsce? – spytała Janis.

Moh spojrzał na nią.

– To jest Kolejka Podziemna – odpowiedział.

– *Metro*? Ciągle działa?

– Od czasu do czasu – powiedział Moh, patrząc niespokojnie w górę i w dół torów. – Najważniejsze jest to, że gliny Korony tutaj nie przyjdą, nie bez dużych kłopotów. Przekroczyliśmy granicę.

– Dokąd? – Drugie spojrzenie na peron ujawniło około tuzina ludzi, większość z nich bardzo stara, siedzących, czekających jak gdyby robili tylko to przez długi czas.

Moh westchnął.

– Jedna fakcja Republiki zaakceptowała Traktat, a to jest to, co za to dostali. Kuper sektora publicznego. Nawet dostają dotację od Korony. Jednak jest to Wolne Państwo na ich własnych prawach. – Uśmiechnął się. – Rodzaj *reformistanu*.

– Mam nadzieję, że Jordan jest ok – powiedziała Janis. Od strony galerii handlowej słyszała dźwięki pękającego szkła, krzyki i huki. Nieco dalej, natychmiast rozpoznawalny czarny dym z palących się opon wzniósł się ponad slumsy.

– Poradzi sobie – powiedział Moh. Wpatrywał się w dal na szybko zbliżający się aerostat. – Bernstein zapomniał więcej sposobów na ucieczkę, niż gliny kiedykolwiek będą znali.

– W każdym razie, po co się tutaj pakowali?

– Hanowerczycy zawsze byli nieco czuli na historię – powiedział Moh. – Ale teraz myślę, że to przyszłość ich wkurza.

– Nie chciałbyś jakby *zaangażować się*? – spytała złośliwie Janis.

– Nie ma sensu – powiedział Moh. – Gliny nie mają przewagi liczebnej. Wycofają się lub wezwą posiłki. W każdej razie... – Wzruszył ramionami.

Aerostat, trzydziestometrowy czarny dysk jak latający spodek z wrogiego imperium kosmitów, przesunął się po niebie nad nimi i, ogłuszającym podmuchem, gdy jego śmigła zmieniły ustawienia, zatrzymał się. Powoli opuścił się za galerię handlową i położył

krótką zaporę gazu. Drabinki sznurowe rozwinęły się spod niego, a w ciągu kilku minut rozbujały się, gdy uciekający gliniarze się wdrapywali. Gdy tylko byli na pokładzie, maszyna zachwiała się, przechyliła i poturlała się na zachód.

– Przeładowany. – Moh zauważył zadowolony. – Są świetni w straszeniu tłumu, ale tylko w tym.

Ludzie zaczęli się zbierać na stacji, większość z nich przybywająca po biegu i tu tracąca większość pędu, wędrująca dookoła w oszołomiony sposób, jak gdyby byli wyrzuceni z pubu na ulicę. Mieli krwawiące głowy, cieknące nosy i łzawiące oczy. Janis nie widziała żadnych poważnych ran, poczuła egoistyczną ulgę, że nie było żadnych ofiar, które sprawiłyby, że poczułaby się zobowiązana do pomocy.

Po około pół godzinie seria narastająco częstych i podnieconych, ale poza tym niezrozumiałych, wybuchów dźwięku z systemu głośników wskazała, że nadjeżdżał pociąg. Po kolejnej pół godzinie pociąg nadjechał, wioząc bujający się tłum pasażerów: w większości żebraków i prostytutek, wracających z wczesnoporannych szycht w mieście.

Kilka miejsc było niezajętych, ale Janis nie miała chęci siadania na dowolnym z nich. Została tak blisko drzwi, jak tylko mogła, przylegając do poręczy. Moh stał, zgarbiony, koło niej, utrzymując pozycję bez pomocy, gdy pociąg szarpał i ciągnął. Niskim głosem, krótkimi zdaniami, ledwie słyszalnymi w hałasie, i cichnąc, kiedykolwiek hałas ustawał, opowiedział jej, czego się dowiedział od Logana i Donovana.

– Brzmi, jakby ta rzecz była zainteresowana biologią – powiedziała. – Spodziewałabym się czegoś politycznego, ale to. . . Bogini, to *przerażające*.

– Przerażająca kreatura. – Moh pokręcił głową, jego powieki

osłaniały intensywne, abstrakcyjne spojrzenie. – Wiem, co masz na myśli...ale nie sądzę, że to jest to, nic złowieszczego jak...idea Zegarmistrz, tworzenie nowego życia lub przejęcia świata czy coś. To znacznie bardziej niepokojące.

– Jak to?

– Coś, co Logan powiedział mimochodem: odzyskiwanie po awarii. Takie właśnie jest znaczenie polityczne tego, co to robi. To jest niepokojące, bo... *to* jest zaniepokojone, że tak powiem. Pasuje do tego, jak myślał Josh, zwykł mówić o tym, co nazywał Jesienią, co mogłoby się zdarzyć, gdybyśmy nie stali się – Moh skrzywił minę, jak gdyby był zażenowany – nowym społeczeństwem. Zdrowszym światem. Cofnęlibyśmy się, do starszego typu społeczeństwa. Przedkapitalistycznego.

– Zamiast post ? Ta, tak. – Uśmiechnęła się do niego sceptycznie. – „całej kulturze ludzkości zagraża katastrofa”?

Moh zmarszczył brwi.

– Skąd to znasz?

– To jest w Programie Przejściowym, ta sprawa śmierci agonii...

– Tak to jest. – Zamknął oczy na chwilę. – Trocki... ok. – otworzył znowu oczy. – Trochę mnie zmieszało. Jednak. Masz rację. Program, znowu.

– Hm – powiedziała – był w błędzie ostatnim razem, co? Mam na myśli, cała ta zagłada i mrok były napisane, kiedy? w 1938?

Moh zaśmiał się i objął ją ramieniem.

– Pocieszyłaś mnie, naprawdę. To nie tak, że jakaś *globalna katastrofa* zaczęła się w 1939, co?

Wyszli na stacji, którą Metro dzieliło z Górną Koleją Jednoszynową. Tutaj obie linie Metro i Górna biegły na poziomie gruntu: Heinleingrad, głęboko w Greenbelt, gdzie wszystkie stare nazwy

miejsc zostały zeskrobane. Wypatroszona strona stacji Metra była pobazgrana kolorowymi graffiti i celowo niejasnymi sloganami:

ANI ŚMIERĆ ANI PODATKI

KWANTOWA NIELOKALNOŚĆ: WSZECHŚWIAT OBOK PIERWSZY! ŻADNYCH KOMPROMISÓW W OBRONIE DZIECI ZIEMI!

Szturchnęła Moh.

– Jedno z Twoich?

– Nie. Po prostu grupa ekstremistów.

Stacja Górna została zbudowana dookoła dworca autobusowego z lat trzydziestych i udekorowana w stylu futurystycznej przeszłości. Usiedli w przeszklonej kawiarni na stacji, ich plecy oparte o rowkowany aluminiowy słup, i zamówili kawę i pączki. Janis obserwowała ludzi wchodzących i wychodzących przez coś, co wyglądało na scenografię z *Rzeczy, które nadejdą*[1], prócz ich strojów. Ani krótka tunika, ani krótkie tyły i boki nie były widziane. Moh spędził kilka sekund, przerzucając mapy na komputerze.

– Dużą wadą tutejszych ustaleń – zauważył, gdy wsuwał urządzenie do kieszeni koszuli – jest to, że nie ma Królewskiej drogi. Wszystko jest prywatne. Własność i dostęp mogą być trochę polem minowym.

– Mam nadzieję, że nie mówisz tego dosłownie.

– Niezupełnie, ale jeżeli będziemy musieli wtargnąć, będę polegał raczej na moim przyjacielu – poklepał torbę – niż na prawnych precedensach.

– To tam masz Karabin?

– Nie tak głośno. Ta. Rozkłada się.

– A ja myślałam, że byliśmy w końcu sami.

[1] Rzeczy, które nadejdą – brytyjski film science fiction z 1936 roku według scenariusza H.G. Wellsa, zob. `https://en.wikipedia.org/wiki/Things_to_Come` – przyp.tłum.

– Lepiej we dwoje plus coś niż samemu, moja droga.

Prawie przez cały czas obserwował tłum. W te kilka momentów, kiedy spojrzał wprost na nią, na wpół uśmiechnąłby się do niej, a ona miałaby tylko czas na uśmiech, zanim jego wzrok popędził dalej. Zastanawiała się, czy dla niego to był długi przeszukujący wzrok... Nie mogła narzekać: to jej lek zrobił te rzeczy z jego poczuciem czasu i pamięci, a jej pieniądze płaciły za trzymanie straży.

A ona się w nim zakochała, porządnie. Jak w: dobrze jest znaleźć porządnego faceta. Jedna część jej umysłu, część sceptyczna, analityczna, naukowa, patrzyła ironicznie, ze znajomym uśmieszkiem, widząc jej nagłe zauroczenie „zbicie ze stóp" do Moh jako, ostatecznie, uruchomienie genetycznie naładowanego wyzwalacza, strategię przetrwania: jej najlepsze szanse były z kimś silnym i uprzejmym, niebezpiecznym dla innych i bezpiecznym, bezpiecznym, bezpiecznym dla niej. Reszta jej umysłu po prostu czuła słabość, kiedykolwiek na nią spojrzał. To, co jej ciało czuło, było odmienne, i słabość się do tego nie zaliczała.

Moh stukał w telefon. Przesunął go tak, żeby oboje mogli widzieć i nikt inny: obraz był ustawiony na płasko, nie holo.

Na ekranie pojawiła się twarz Mary Abid.

– Och, cześć – powiedziała Mary. – Jordan wrócił, jeżeli tego chcecie się dowiedzieć. Wrzuciliście go na głęboką wodę, prawda?

– Mogę z nim pomówić? – powiedział niecierpliwie Moh.

– Jasne... podaję dalej.

Jordan spojrzał na nich, najwyraźniej przez kamerę zamontowaną na górze ekranu, przy którym pracował. Miał podbite oko i kilka zadrapań.

– Wszystko w porządku, Jordan?

– Tak – odpowiedział wesoło. – Trafiliśmy na drobną utarczkę,

ale to było wszystko. Powinieneś zobaczyć policję, Moh. Uciekali jak króliki.

– Ta, dobra, mówiłem Ci, że Neos...

Jordan się uśmiechnął.

– To nie Twoi komuchoprzygłupy ich przegonili, to były panie targowe.

– Dobrze dla nich. A oni nie są *moimi* komuchoprzygłupami, jak to ciągle powtarzam. Czy Sol Bernstein się wydostał?

– Tak. Nigdy nie widziałem kogoś tak starego ruszającego się tak szybko. Spakował swoje książki, kiedy do niego dotarłem, i przejechaliśmy na jego elektrycznym wózku dokładnie przez miejsce, gdzie walka trwała. To tam właśnie dostałem kilka stuknięć, ale to naprawdę nic.

Oczywiście czuł, że to było trochę więcej niż to i był całkiem z siebie zadowolony. Janis miała nadzieję, że Moh nie przebije baniczki satysfakcji z przetrwania pierwszego walki.

– Brzmi, że zrobiłeś wszystko dobrze – powiedział Moh. – Jak sobie radzisz z szukaniem sieci?

Wyraz twarzy Jordana zmienił się z zadowolonej z siebie na poważną.

– Dobra, najpierw o Catherin... Cat. Była kolejka odpowiedzi na Twoją wiadomość, kiedy się zalogowałem. Nikt jej nie widział. Jedna lub dwie osoby wspominały, że Donovan też ją wywoływał.

– Założę się, że tak. – powiedział Moh. – Co z ANR?

Jordan westchnął z irytacją.

– Nie mogę ich wywołać. Wszystkie wiadomości wróciły. Z początku myślałem, że robię coś niewłaściwie i poprosiłem towarzyszy o sprawdzenie. Ale wtedy było to już w wiadomościach. ANR przeszła w tryb offline, zdjęła wszystkie telefony z widełek. Dobra, nie do końca: dostajesz odpowiedź dającą standardowe info. –

Przesunął rękę przed oczami. – To po dwudziestym razie staje się irytujące.

– Co mówi?

– W zasadzie, kawałek porywającej propagandy, a potem coś dla efektu, że jeżeli Twoja wiadomość nie może poczekać do końca ostatecznej ofensywy, i tak się o niej dowiedzą przez inne kanały.

– Skromność nigdy nie była ich silnym punktem...

– Skromność! – Nagły uśmiech Jordan został zablokowany obraz zachwyconego uderzenia w powietrze lub salutu zaciśniętej pięści. – Joł! Nie pomyślałbym o tym!

– Co?

– Czarny Strateg, wczoraj, zamówił ładunek jedwabiu przez jedną z firm modowych Miasta Oblubienicy. Mógłbym namierzyć partię, w ten sposób zdobyć trop do ANR.

– Nieźle – powiedział Moh. – Ale wątpię, żeby dali się tak łatwo namierzyć.

– Wiem, ale Skromność już tak! Widziałem wczoraj ciężarówkę Skromności, mogła jechać do Norlonto. Jestem pewien, że mógłbym zhakować, działać wstecz stamtąd. Większość ich dostaw to gotowe towary, racja? Import tkanin, eksport luksusowych sukni. Więc jeżeli znajdę jakiś *eksport* tkanin...

Moh pokręcił głową.

– Rejestry ładunku są najłatwiejsze do podmiany, i to zakładając, że po pierwsze, Czarny Plan rzeczywiście ściągał jedwab. Bardziej prawdopodobne, że to była przykrywka, a to, co dostali z Chin, to był ładunek podrabianych Kałasznikowów.

Jordan spojrzał nieco zniechęcony, a Janis szybko dodała:

– Tak czy siak, warto spróbować, Jordan. To wszystko od czego możemy zacząć.

– Słusznie – powiedział Moh. – Ok, Jordan, zrób to, i dalej szu-

kaj Cat w dowolny sposób, jaki wymyślisz. Podawaj jakiekolwiek info, które uznasz za interesujące.

– Ha! Wracając do tego... wiesz o represjach ruchu kosmicznego?

– Logan mi powiedział.

– Dobrze. Ok, inna sprawa to aresztowanie obywatelskie Donovana. Wystawił ofertę na wielu kanałach.

– To logiczne.

– Cokolwiek, co mogę z tym zrobić?

– Poproś towarzyszy, żeby rzucili kontrpozwy, wyzwania w moim imieniu i tak dalej. Załatw prawników, żeby wysłali kilka nieprzyjemnych wiadomości. Spraw, żeby zaczęło wyglądać jak prawdziwa plątanina. Może odstraszyć przypadkowych awanturników.

– Ok, mam to. Co zamierzasz zrobić?

Moh się roześmiał.

– Przeskakiwać granice – powiedział. – Jak towarzysze libertarianie mówią: Norlonto to nie prawo dżungli, to dżungla praw.

* * *

Przez następne dwa dni wędrowali przez mały ułamek tej dżungli praw, odmiennych społeczności Norlonto. W odróżnieniu do szachownicy Korony, te nie były oddzielnymi lennami, ale warstwowymi, przeplecionymi nieruchomościami i sąsiedztwami. Niektóre witały każdego przechodzącego. Niektóre miały bramy na ulicach lub pobierały cło, lub zawracały każdego, kto nie został zaproszony przez mieszkańca. Noszenie broni na ulicy mogło być zabronione, dozwolone lub wymagane. Była to kwestia właścicieli ulic jak noszenie krawatów w restauracjach, strefy dla palących lub niepalących. Były też złowieszcze, obskurne obszary, które były wykupione przez nazistów i zarabiały na turystach i pamiątkach. Były te-

rytoria tylko dla kobiet. Była cała dzielnica nazwana Uniwersytetem Utopii, która składała się z eksperymentalnych społeczności będących obleganych przez socjologów (którzy w większości byli opłaceni przez agencje nieruchomości realizujące projekty badawcze). Jedna wydzielona nieruchomość, Zlew Osobliwości, w ogóle nie miało praw i moralności: uznawano, że każdy, kto wszedł, wyrzekł się jakiejkolwiek ochrony prócz swojej własnej. Miało to pewien urok dla samobójców, psychopatów i dla dorastających awanturników macho. (Oczywiście nic nie stało na przeszkodzie agresywnym misjom ratunkowym i bardzo bogaci i zdesperowani rodzice byli znani z tego, że wysyłali opancerzone kolumny).

Niemniej jednak większość z nich była normalna i szanowana. Wzajemnie dopasowane obszary odkryły korzyści w sąsiadowaniu lub kupowaniu łączących korytarzy, lub opłacaniu szybkiego transportu pomiędzy nimi. Mogłeś podróżować szeroko po Norlonto i nigdy nie zobaczyć niczego, co nie wyglądałoby nie na miejscu w Bangkoku. Krok w bok, mogłeś zobaczyć i zrobić rzeczy, które byłyby zabronione w Teheranie.

Każda nowa lokalność, którą przekroczyli, była kolejnym strumieniem do zatarcia ich śladu. Wszędzie odkrywali półgłos ostrożności, wzmacniane ubezpieczenia na ochronę, brzęczenie uciekających pieniędzy. Fortuny, *kapitały*, jak je Moh nazywał, ustawiały się w kolejce na kablach jak ptaki przygotowujące się do migracji. Za każdym razem, gdy rząd oświadczał, że rebelianci blefują i sytuacja jest pod kontrolą, coraz więcej inteligentnych pieniędzy odlatywało do cieplejszych klimatów.

Moh wydzwaniał Jordana co kilka godzin, prócz nocy: ANR ciągle niedostępne, Jordan budował skomplikowany hack na firmy dostawcze i domy mody Miasta Oblubienicy, ale nie mógł się pochwalić postępami. A wyzwania Donovana wzbudzały zaintereso-

wanie wśród różnych agencji łowców nagród. Ku obrzydzeniu Moh, otworzyła się nowa grupa dyskusyjna, alt.fan.moh-kohn, dla entuzjastycznych amatorów zgłaszających jego obserwacje i dyskutowania sprawy. Na razie, żadna z obserwacji nie była autentyczna. Moh wykupił polisę dla siebie i Janis od Mutual Protection Agency. Porozumienie było takie, że nie mówił firmie swojej pozycji, ale Mutual Protection przedstawiłaby mapy obszarów, gdzie mogliby zagwarantować pojawienia się wsparcia w ciągu dziesięciu minut od telefonu.

– Co, jeżeli zostaniemy zaatakowani czy coś – spytała Janis – a atakujący ma kontrakt z inną agencją? Czy się wystrzelają?

– Daj trochę mipsów – powiedział Moh. – Właściwe kanały są częścią umowy. Agencje przedstawiają różnice przed sądem, który obie uznają za sprawiedliwy...

– A załóżmy, że pojawi się agencja, która nie zaakceptuje żadnego z sądów zasugerowanych przez Mutual Protection?

– Wtedy sąd, którego nie akceptują, stanie przeciwko nim, bez nich nawet się broniących i stracą klienta. W poważnych przypadkach będą ścigani jak psy. Agencje sprzedają ochronę prawną, jak również fizyczną. Jeżeli chcesz chronić akty kryminalne, po prostu potrzebujesz własnych spluw lub raczej państwa – to prawdziwa bezprawna agencja ochrony – i prowadzić ją jak każdy inny monopol: drożyzna, parszywe usługi, niegrzeczna obsługa.

– Nie mówisz przypadkiem o siłach Korony?

– Cóż, co zasugerowało Ci ten pomysł?

Janis miała inny zarzut.

– Zapominasz o biednych – powiedziała. – Jak oni są chronieni?

Moh odpowiedział, tak jakby przechodził przez to kilkaset razy.

– Wszyscy płacimy za ochronę w każdym obiekcie, którego, tak czy inaczej, używamy, ale jeżeli wszystko zawiedzie, jeżeli ktoś

niszczy Twoją budę lub używa przemocy, a nie przejąłeś się kupić nawet paczki papierosów na tydzień za ochronę, zawsze możesz zadzwonić do organizacji charytatywnej. Czarny Krzyż, Towarzystwo Obrony Świętego Maurycego, Armia Wyzwolenia. Lub nas, jeżeli jesteśmy akurat hojni.

Siedzieli w kawiarni przy chodniku. Kelner przyniósł Janis jej wódkę z colą. Wzięła ją, uśmiechnęła się do niego i dała mu ćwierćmarkę. Podziękował jej uśmiechem z przerwą pomiędzy zębami i pobiegł do środka.

Moh spojrzał na niego smutno.

– Anarchokapitalizm działa – powiedział. – Na tyle na, ile każdy kapitalizm działa. To są tego rodzaju sprawy, które z trudem akceptuję. Praca dzieci. Prostytucja. Niewolnictwo...

– Co!

– Och, to nie jest prawnie wykonalne. Jednak z drugiej strony, nie możesz zabronić ludziom sprzedawania siebie na całe życie i niektórzy tak robią. I oczywiście jest prawne niewolnictwo, żeby spłacić dług przestępstwa, choć to jest zupełnie inaczej.

– Mimo wszystko niewolnictwo...

– To jest cecha większości utopii – powiedział ponuro Moh. – Pojawia się z własnością.

* * *

Późnym rankiem, dwa dni po tym, jak Jordan obserwowała Janis i Moh unikających zamieszek przy galerii handlowej, pomieszczenie komunikacyjne było rozgrzane i duszne. Zatrzymał się na chwilę przed uruchomieniem swojego ostatniego programu, sprawdzając go ostatecznie w głowie przed popełnieniem. Okazało się, że jego proces myślowy wypacza się pod wpływem innej osoby w pokoju.

Mary Abid pracowała przez dzień na nocnej zmianie w fabryce chemicznej w Auckland, Nowa Zelandia. Łącze satelitarne nie zapewniało szybkiego refleksu, ale nie potrzebowała go. Półautonomiczne roboty, którymi sterowała, miały własne odruchy, a jej głównym zadaniem było dodanie odrobiny ludzkiego rozsądku do obwodów.

Cokolwiek robiła, siedzenie i obracanie się w podstawowym modelu zdalnego egzoszkieletu, wymagało to rozciągania, przełączania, pocenia, przeklinania i coś w jej pocie lub zapachu czy bluźnierstwach było przesyłane do Jordan jako rozpraszające podświadome napięcie seksualne. Ledwo je wiązał z kurdyjską kobietą w teleszkieletorze. Podczas godzin, które przesiedział zgarbiony w aparaturze Glavkom VR, rozwijając wyszukaną sieć niuansów i wpływów, szukając śladów jedwabnego wątku, szukając Cat, to właśnie fotografia Cat na ścianie sypialni Moh sprowadziła nieproszone do jego umysłu kobiece feromony Mary.

Cat. Wyciągnął jej niepełną biografię z zapisów Kolektywu. Nastoletni bunt przeciwko statecznej przeszłości drobnej burżuazji – jej rodzice prowadzili wynajem VR na przedmieściach Alexandra Port – doprowadził ją do luźno lewicujących bojówek. Dosłownie wpadła na Moh Kohn w trakcie Dżihadu Southall, pracowała dla Kolektywu przez dwa, trzy lata, aż jakiś nierozerwalnie spleciony spór doktrynalno-osobowa zabrał ją do serii idealistycznych jednostek bojowych i jednej lub dwu z wielu fakcji, które tworzyły Sojuszu Lewicy.

Sojusz Lewicy, w przeciwieństwie do ANR, odbierał telefony, ale Jordan miał wyraźne poczucie, że mieli znacznie ważniejsze sprawy na głowie. Każda osoba lub system, z którymi się skontaktował w sprawie Cat, po prostu odsyłał go do standardowej bazy danych dostępności kadry, wszystkie miały Cat oznaczoną jako „to-

war uszkodzony”. Grupa, w której obecnie była – końcu ją odnalazł, Komitet Interwencji Socjalno-Ekologicznej – ledwie była skłonna przyznać, że mogła w przeszłości mieć coś wspólnego z nimi w pewnej nieokreślonej przeszłości.

Oczywiście, jak wszyscy zainteresowani przyznawali, jeżeli obecne kłopociki prawne Cat mogłyby zostać uporządkowane. . .

Jordan poczuł narastające oburzenie na to, co Moh jej zrobił, tak jak mógłby zobaczyć punkt widzenia Moh na wątpliwą naturę koalicji, którą obejmowała trajektoria polityczna Cat.

Więcej postępu miał w powiązaniu Miasta Oblubienicy i Czarnego Planu, lub przynajmniej taką miał nadzieję.

– URUCHOMIĆ SILK.ROOT?

Informacja systemu unosiła się przed jego oczami jak powidok. Jordan wziął głęboki wdech.

Kiwnął głową, policzkiem wciskając Enter.

Włamanie się bezpośrednio do systemów Miasta Oblubienicy okazało się trudne. Całkiem inaczej niż jego wcześniejsza – i jak teraz myślał przesadna – akcja likwidacji jego interesów biznesowych, atak na dane zdecydowanie się odbywał. Pani Lawson, domyślił się, była zajęta. Niemniej jednak zachował prawa dostępu do kilku mniejszych systemów, które, na razie, nie zostały cofnięte. To dało mu metodę ataku. Następnie, stworzył całkowicie fałszywą firmę przewozową (stworzoną z pozornym wiekiem, krzywo sobie powiedział, jak gwiazdy w 4004 p.n.e.). Jedna z filii Skromności była teraz przekonana, że River Valley Distribution Ltd miała doskonałe rejestry dostaw w obrębie Norlonto. Szczegóły złudzenia zostałyby odkryte przy kolejnym audycie, ale ten nie był zaplanowany jeszcze przez miesiąc.

Program pracujący teraz w SILK.ROOT dysponował wirtualną firmą Jordana, badając możliwość złożenia oferty o kolejne prace.

Pytał też o pewne informacje z przeszłości, tylko rozkład dostaw Skromności do brytyjskich lokalizacji w ciągu ostatniego miesiąca. Jeżeli ustawił właściwe parametry w systemie, do którego udało mu się włamać, to bez kłopotu zaakceptowaliby to bardzo nietypowe zapytanie.

Zauważył, że ma oczy zamknięte, palce skrzyżowane.

Ping. I oto było, na dwudziestu stronach arkusza: daty, godziny, firmy, towary wysłane. Wykluczył gotowe ubrania, zmniejszając listę do pięciu stron i przejrzał ją po liście sprzedaży tkanin. Zaczynał myśleć, że równie dobrze mógłby zadzwonić do Yellow Pages po krawcowe, kiedy zauważył – pośród wszystkich Laur, Angeli, Blisses i Bonny – klienta opisanego jako Gmina Pokój Kobiet.

Trzy partie w zeszłym miesiącu, wszystkie zawierające dziesiątki, nie *setki* metrów delikatnego jedwabiu. Jedno zamówienie ciągle zaległe: tkanina właśnie dotarła drogą powietrzną i oczekiwała na dostawę. Zamówienie było złożone cztery dni temu rano. Kiedy miał spotkanie z Czarnym Strategiem.

– *HUUUU*RA!

Gdy patrzył na linię informacji, zaczęła mrugać. Pojawiła się wiadomość.

– ISTNIEJĄ ODSYŁACZE DO GMINY POKOJU KOBIET. WYŚWIETLIĆ?

Wielkie Y. Strony zafalowały, gdy program podążył za referencjami przez bazy Kolektywu. Potem scena się wyczyściła, żeby wyświetlić wiadomość video, która czekała w oczekujących plikach od przedwczoraj.

Płaski ekran telefonu wyskoczył na środek wirtualnej sceny. Gdy obraz się ustabilizował, Jordan pomyślał, przez zaskoczoną chwilę, że oglądał wewnętrzny widok Miasta Oblubienicy: bawialnia ze skomplikowanymi meblami i zasłonami, dwie kobiety w długich

podobnie przesadzonymi sukniami, spódnice i fartuszki. Kobieta na pierwszym planie usiadła wyszukanie, ręce złożone na podołku, patrząc na kamerę. Druga siedziała na sofie za nią i na lewo, nie zwracając uwagi na rozmowę. Koncentrowała się na robótce ręcznej, jej jasne loki opadały do przodu na jej twarz.

– Kolektyw Pracowników Obrony imienia Feliksa Dzierżyńskiego? – spytała pierwsza kobieta, słowa brzmiały nie na miejscu. Kiwnęła przy potwierdzeniu. – Dobrze. Poszukujemy profesjonalnej rady co do bezpieczeństwa w sąsiedztwie i rozumiemy, że macie pewne doświadczenie na tym polu. Proszę, oddzwońcie do nas tak szybko jak to tylko możliwe. Dziękuję.

Sięgnęła do przodu, żeby zakończyć rozmowę, i właśnie gdy to robiła, kobieta z tyłu popatrzyła. Popatrzyła prosto w kamerę przez cały pokój, odsuwając włosy do tyłu z czoła nadgarstkiem.

Jordan podskoczył zszokowany rozpoznaniem.

To była Cat.

Obraz się wyłączył.

Jordan przesłał notatkę do przestrzeni roboczej Mary, prosząc ją o przerwę. Zrobiła przerwę, po kolejnej intensywnej minucie. Jordan przesłał wiadomość do niej.

– Dobra? – powiedziała.

– To Cat! Na końcu.

Mary zmarszczyła brwi.

– Daj mi jeszcze raz spojrzeć. – Tym razem powiększyła ostatnią część. – Tak, cóż, to z pewnością *wygląda* jak ona, ale…

– Nigdy byś się nie spodziewała ujrzeć jej tak wystrojonej? – Jordan uśmiechnął, widząc, że ma rację. – Ten sposób przeczesania włosów. Jak na zdjęciu w pokoju Moh, które pokazuje, jak robi dokładnie tak samo. Oprócz tego, że na tamtym zdjęciu pracuje kluczem, a nie igłą.

– Cóż, Jordan, nie wiem, jak sobie wyobrażasz, że żyjemy, ale nigdy nie byłam w pokoju Moh – powiedziała Mary, chichocząc. – Musisz to pokazać Moh.

Jordan miał zamiar to zrobić, kiedy przypomniał sobie, o czym tak właściwie była wiadomość i jak ją odkrył.

– Tylko najpierw coś załatwimy – powiedział.

* * *

– Ta, to zdecydowanie Catherin – powiedział Moh. Zachował obraz z gogli i oczyścił widok, zwracając uwagę na sobowtóry wielkości wróżek Jordana i Mary nad jego ręcznym telefonem. – Dobra robota, Jordan. Mógłbym sam jej nie rozpoznać, gdyby nie ta rzecz z włosami. Cat ukryta jako dama, a to żart.

– Myślę, że miałeś ją zauważyć – powiedział Jordan. – Ty lub ktoś z towarzyszy. Mówią Ci: Cat jest tutaj, chodź po nią!

– Więc dlaczego nie zadzwonią i tego nie powiedzą? Zresztą, kim są ci ludzie?

– Feministki, fem*inin*istki. – Mary się poprawiła. – Gmina Pokoju Kobiet, jakiś rodzaj słodkości i lekkich ubrań. . .

– *Tak*! – krzyknął Moh. – Bank Ciał!

Janis, która tak jak on leżała, patrząc na wyświetlacz telefonu, mrugnęła, gdy dźwięk wypełnił wąską przestrzeń, w której leżeli.

– Przepraszam, Janis.

– O co chodzi z Bankiem Ciał? – spytała Mary.

– Kasjerka w Banku Ciał przy Uniwersytecie Brunela, ona była femininistką. Tylko jedną, którą poznałem, o ile pamiętam. . .

– Ostatnio stawało się to całkiem modne – wtrąciła Janis.

– Ok, ciekawe. Tak czy inaczej, pamiętam tę panią zauważającą, że Cat nie była włączona w umowę dla zespołu oszołomów. Mogła tym podążyć.

– To możliwe – powiedział Jordan. – Ale dlaczego Cat tam pojechała?

Mary potrząsnęła głową. Moh wzruszył ramionami.

– Och, na litość boską – powiedziała Janis. Wszyscy na nią spojrzeli. – Cat została właśnie zupełnie wykiwana w tej grze żołnierzy. W ogóle by mnie nie zdziwiło, gdyby chciała wyjść, chciała przynajmniej odrobiny spokoju i ciszy. Nawet jeżeli to by znaczyło siedzieć i szyć. W rzeczywistości, szczególnie. Uspokaja umysł. – Przewróciła oczami i zaśmiała się. – Spróbujcie tego czasem, chłopcy i dziewczęta.

– Sanktuarium – powiedział Moh. – Ok. Chyba to ma sens. Tak jak również Ty zauważający wiadomość.

– To nie był przypadek – powiedział ostrożnie Jordan. – To nie szukanie Cat to wyciągnęło, to było ciąg dalszy Miasta Oblubienicy.

– Ale dlaczego. . . ?

Moh zamierzał zapytać, dlaczego ANR miałoby powiązania z Gminą Pokoju Kobiet, kiedy przypomniał sobie, że Mary nie znała całej historii.

– Hm, co robimy, oddzwaniamy?

– Już to zrobiłam – powiedziała Mary. – Nic nie powiedziałam o was, tylko powiedziałam, że wyślemy kogoś dzisiaj.

Moh odwrócił się do Janis.

– Grasz w to?

– Jasne. Przynajmniej powinno to zdjąć z nas Donovana.

– Przynajmniej – zgodził się Moh. I jak również może doprowadzić nas do ANR. – Myślę o tym, jak się tam dostaniemy – dodał. – Zbiorkom może nas wyjąć spod ochrony ubezpieczenia.

– Wszystko ok – powiedział Jordan. – Już to ustawiłem. Mają dostawę jedwabiu z Miasta Oblubienicy. . . – Jordan przestał, jak

gdyby upewniając się, że Moh zrozumiał. – Ale jest w miejscu, gdzie żaden kierowca z Miasta Oblubienicy by nie pojechał.

– Nie jedno z tych *okropnych* miejsc, co? – spytała Janis.

– Och, nie – odparł Jordan.

Mary uśmiechnęła się figlarnie.

– To małe, częściowo zamknięte sąsiedztwo w „Lesbach ze Stonewall" – wyjaśniła.

– Rozumiem – powiedział po chwili Moh. – Główny cel dla „ognia i siarki". Więc jak się tam dostaniemy?

– Ciężarówka wyjeżdża z Miasta Oblubienicy, jedzie na punkt odbioru, gdzie jest przekazywana, Mary ma mapę, i prowadzicie ją resztę drogi. Wszystko na nazwisko fałszywej firmy, którą stworzyłem.

– Brzmi wystarczająco bezpiecznie – powiedział Moh. Wpadł na myśl. – To nie rejon „tylko dla kobiet"?

Jordan odwrócił się do Mary ze zdumionym gestem.

– Ok – powiedziała Mary. – Sprawdziłam. Nie mają nic przeciwko mężczyznom. Na ich miejscu.

– Ta społeczność ciągle brzmi bardzo rozsądnie – zauważyła Janis, przesuwając zaborczo dłoń po plecach Moh. Odwróciła się i uśmiechnął się do niej.

– Hej, jestem przyzwyczajony do bycia zdominowanym przez kobiety.

– Powinieneś być szczęśliwy – powiedziała Mary. – Dobra, oto szczegóły. Jordan załatwił wszystkie umowy. – Zrobiła coś z widokiem i ulice oraz godziny pojawiły się na ekranie telefonu.

– I wstańcie, oboje – dodała, tuż przed zniknięciem razem z Jordanem. – Jest piękne popołudnie.

Nie było miejsca do wyprostowania się w dwumiejscowej komórce, którą wynajęli, więc zabrało im to chwilę. Musieli się ubrać,

leżąc twarzą do dołu, wślizgnąć się pod paczki i wyczołgać się tyłem do włazu i w dół po dziesięciometrowej drabinie na ziemię.

– Dziwne – powiedziała Janis, gdy szli wąskimi przejściami pomiędzy pulami łóżko-komórek. – Jak pozostawiony bagaż.

– Pozostawieni pasażerowie.

Mała Japonia uderzyła ich jak koncert rockowy, gdy wyszli przez drzwi. Weszli na ruchomy chodnik, zmieniając często tory, kołysząc się z tłumem. Moh odkrył, że na wpół świadomie generował ciągłe mamrotanie w języku ciała, co stworzyło małą przestrzeń dookoła nich, w jakimkolwiek ścisku. Zrezygnował z przetwarzania przychodzących informacji, semiotyki stanów całych tego miejsca.

– Nie wygląda uciążliwie – powiedział. – To właśnie jest dziwne.

– Coś w jedzeniu – powiedziała Janis. – Inhibitory feromonów przeciwtłumowych.

Przeszkadzało mu to, że nie potrafił określić czy zmyślała.

Parking przyczep, w nieokreślonym rejonie pomiędzy Małą Japonią a jednym z bardziej multikulturalnych obszarów, wyglądała jak otwarta przestrzeń. Tutaj pomiędzy ciałami średnio było metr odległości. Wielkie ciężarówki stały, ładując się, kierowcy przechadzali się, a sprzedawcy sprzedawali.

– Och, cuda wolnego rynku – zrzędziła Janis, ledwie unikając tacy gorących drinków niesionych z alarmującą prędkością na głowie pięciolatka.

– Nie tak wolny, jak się wydaje – powiedział Moh. – Te miejsca mają tendencję do bycia kierowanym przez gangi. Niejasna jurysdykcja i takie tam.

Znaleźli lekką ciężarówkę, której szukali, w rogu parkingu koło drogi dojazdowej. Kierowca wepchnął gazetę w kieszeń, gdy się zbliżali, i wstał, wyglądając lekko zażenowanie.

– Cześć – powiedział Kohn. – River Valley. Czekasz na nas?

Człowiek uśmiechnął się i kiwnął głową. Podał Moh klucz, wziął pokwitowanie i ruszył, zdecydowanie nie do najbliższej stacji kolejowej.

Janis i Moh wspięli się do kabiny. Ciężarówka była własnością firmy wynajmującej i często zmieniała ręce, tyle było oczywiste ze stanu wnętrza. Moh wpadł na myśl. Podał klucz Janis.

– Prowadzisz – powiedział.

Janis wzięła klucz, uśmiechając się półgębkiem i przekręciła włącznik z rozmachem. Silnik odpowiedział lekkim buczeniem.

– Ojej – powiedziała. – To nie tak jak na filmach, które widziałam, jak byłam mała. – Wydała dźwięk silnika spalania wewnętrznego, gdy ciężarówka wysunęła się z parkingu.

– No – powiedział Moh dopasowując pasy. – To była w tamtych czasach męska praca.. . . aaaaaaa, stój. . .

Rozdział 12

Miasta Pięknych

Rzeczywiście istniał mur nazwany Murem Lesb, ale był bardziej od powstrzymania od bezwiednego wchodzenia niż od zatrzymania kogoś na zewnątrz, lub wewnątrz. W złych dawnych czasach Paniki, miał znacznie poważniejszą funkcję, ale teraz to był tylko szyk retro, obozu izolacyjnego. Prawdziwa ochrona obszaru – Gejowskiego Getta, Różowego Państwa, Kwartału Queer – leżała w silnych, delikatnych, zdolnych rękach milicji nazywanej Szorstcy Handlarze.

Ciężarówka zjechała z drogi i w boczną ulicę, koło fragmentu muru, na którym ktoś napisał „Sodoma dzisiaj Gomora światem!" i już byli w gminie. Tylko kolejna ulica, prócz tego, że nagle nie było kobiet. Nieco dalej i nie było żadnych mężczyzn. Jeszcze dalej i były obie płcie, ale nie mógłbyś określić, która jest która, wszyscy jaskrawi, w fatałaszkach i weseli.

– Jaka jest różnica pomiędzy takimi sprawami, a tymi na zewnątrz?

– Żadna i o to chodzi. Nie ma nic takiego dziwnego jak ludzie, jak mówią w North…

– Och zamknij się. Nie o to mi chodziło. Jaka jest różnica pomiędzy tymi specjalizowanymi sąsiedztwami, lub jak je nazywasz, a minipaństwami?

– Brak wojen.

– To nie może być tak proste.

– Wygląda, jak by było.

– Przyszłość i działa, co?

Kohn roześmiał się.

– To daje ludziom takim jak ja *pracę*. W moim przyszłym społeczeństwie bylibyśmy bezrobotni. Żadnych wojen o ziemię *i* żadnych walk o własność.

– Ta, ta...

Kohn podał wskazówki dla jeszcze kilku zakrętów. Zatrzymali się na parkingu przed wielkim osiedlem mieszkaniowym zbudowanym jako jeden blok: cztery strony dookoła podwórza, strona przed nimi miała przejście na około trzy metry wysokie i pięć metrów szerokie. Przez nie mogli zobaczyć trawnik i kwietniki. Wszystkie okna na ośmiu piętrach bloku miały zasłony marszczonej brzoskwiniowej satyny z falbankowymi firankami. Inna ciężarówka i małe pojazdy czy rowery stały niepilnowane na parkingu.

Mężczyzna wyszedł z wejścia i raźno podszedł. Był ubrany w prostą, brązową, luźną bluzę i spodnie i miał krótkie włosy blond. Stał przez chwilę przed ciężarówką, a potem podszedł do drzwi koło Kohna.

Kohn opuścił okno. Zdecydował się chwilowo trzymać się rzekomego powodu ich wizyty.

– Cześć – powiedział. – Jestem doradcą bezpieczeństwa...

– Pan Kohn? Och, witam. Nazywam się Stuart Anderson. Wasza agencja przekazała nam, żebyśmy was oczekiwali. Porozmawiam z Panem za chwilę, ale najpierw chciałbym zamienić słowo z Panią.

Janis pochyliła się w poprzek.

– Tak?

– Przepraszam Panią, ale czy nie miałaby Pani nic przeciwko

poczekać tutaj, gdy Pani Towarzysz będzie się rozglądał? Bez obrazy, to tylko zasada gminy. Jedyne dozwolone kobiety to te, które żyją tutaj lub są z nami powiązane, a Pani... – Uśmiechnął się z żalem, jak kelner mówiący, że coś jest dzisiaj poza kartą. – Napoje mogą zostać przyniesione, jeżeli sobie Pani życzy, lub może Pani pospacerować.

– *Serdecznie dziękuję* – powiedziała Janis. – Jakiego typu społeczność zorientowana na kobiety trzyma zwykłe kobiety na zewnątrz, ale wpuszcza mężczyzn?

– Femininistki – wyartykułował Anderson.

– Ach, tak – powiedział Kohn. – Powinnaś nosić suknię, Janis, makijaż jak lakier i fałszywe rzęsy. Wtedy mogą Cię wpuścić na nudne zbadanie ich budynku, dla którego tutaj jestem.

Anderson roześmiał się otwarcie, autentycznie rozbawiony.

– Proszę nie brać tego do siebie, proszę pani. Nie zajmie nam to więcej niż godzinę, a w międzyczasie, jeżeli nie miałaby Pani nic przeciwko przestawić ciężarówkę nieco, żebyśmy mogli ją rozładować i przeładować...

Janis wzruszyła ramionami, posłała pocałunek i spojrzała gniewnie. Kohn wydostał się z kabiny.

– Proszę zostawić jakiekolwiek bronie – powiedział Anderson.

Kohn odłączył komputer i wrzucił torbę z powrotem do ciężarówki. Anderson uprzejmie chrząknął. Kohn pomyślał przez chwilę, westchnął i podał Janis pistolet, nóż do rzucania, nóż sprężynowy i parę mosiężnych kastetów.

Przeszli wzdłuż podwórca. Ludzie maszerowali lub pracowali w ogrodzie. Kobiety, jak spodziewał się Kohn, nosiły każdy przesadnie kobiecy strój znany ludzkości. Mężczyźni w porównaniu wyglądali raczej szaro i konwencjonalnie. Żadnych starych osób, żadnych dzieci.

– Powiedz mi Stuart, o co tutaj chodzi? Nie bierz tego do siebie, ale nie wyglądasz zbytnio maminsynkowato.

– Oczywiście, że nie – powiedział Stuart. – Nie o to nam chodzi. Naszym celem nie jest scalenie lub odwrócenie ról seksualnych, ale upowszechnienie kobiecości jako dominującej *płci*.

Moh pokręcił głową.

– Ciągle nie rozumiem.

– To wszystko jest związane z *pokojem* – powiedział poważnie Anderson, gdy weszli do bloku i szli jasnym korytarzem. – Jesteśmy oburzeni przemocą, która dzieje się wokoło nas, a femininistki mają teorię, która to wyjaśnia. Tak zwane męskie cnoty przeżyły swoją przydatność. Agresja, ambicja, produkcja. Dotarliśmy do punktu, gdzie cała Ziemia może być domem, ogrodem, sanktuarium. Zamiast tego jest używana jako fabryka, teren łowiecki, pole bitwy. To właśnie rozumiemy jako dominację męskich cnót. Co femininizm proponuje, i próbuje praktykować, jest spóźnionym oswojeniem gatunku poprzez cnoty kobiece: oswojenie samo w sobie, oczywiście, plus łagodność, troska, zadowolenie, do tego przekierowanie energii w sztukę, zdobienie, dekorację... Wszystkie aktywności o niskim wpływie, rozumiesz, i całkowicie absorbujące. Na przykład haftowanie, które wiele osób odkrywa całkowicie satysfakcjonującym jako etatowe, trwające całe życie zajęcie, ale zasoby materiałowe wykorzystane w nim są nieistotne... oczywiście produkt jest wartościowy, w tym dla bogatych kolekcjonerów.

– A gdzie w tym wszystkim pasują mężczyźni?

– Och, one nie próbują nas dopasować. Stawiają nas jako dobry przykład. A my integrujemy nasze działania i zainteresowania jako podwładni, służąc części tej społeczności, tak jak tradycyjna praca kobieca służyła męskiej ekonomii, w rzeczywistości, to wciąż wiele

kobiet tutaj zarabia pieniądze na zewnątrz: jako nauczycielki, pielęgniarki, sekretarki…

– Kasjerki?

– Myślę, że to również.

– Brzmi mi to nieco seksistowsko.

Anderson roześmiał się.

– No to jest słowo, którego nie słyszałem od dłuższego czasu.

Weszli do długiego, niskiego pokoju, prawie piętra fabryki. Tuziny kobiet pracowały uważnie przy maszynach do szycia. Kilka z nich oczywiście produkowało ubrania, ale nawet Kohn mógł zobaczyć, że niektóre z rzeczy robione z obszernych kawałków cienkiego jedwabiu musiały być czymś innym. Wskazał na nie głową, gdy szli bokiem sali. W tym samym czasie próbował zobaczyć, czy Cat była pośród kobiet tutaj, ale, o ile szybkie spojrzenie mogło powiedzieć, nie była.

– Pawilony, baldachimy – wyjaśnił Anderson. – Bardzo popularne na imprezach towarzyskich w ogrodach.

Pawilony? Moh wyobraził sobie kształty jeszcze raz w głowie, potem zostawił to z tyłu głowy, żeby jeszcze przemyśleć. Była jeszcze jedna rzecz, która nie tutaj do końca pasowała. Idee, które Anderson objaśniał, uderzyły go jako jednocześnie zbyt zwariowane i zbyt sensowne: femininistki nadawały pewnym staromodnym poglądom wywrotowy zwrot, ale założeniom, które wyraził Anderson, brakowało zwodniczo kontrfaktycznej bezmyślności ideologii. (Ludzie są wolni. Ludzie są równi. Ludzie są takimi bestiami). Lub może Moh po prostu przeszacowywał gatunek ludzki: „Jeżeli jakaś głupota nie byłaby wyrażona" – zwykł mawiać jego ojciec – „pojawi się jakaś mała sekta, żeby ją wyrazić."

Kobieta podeszła do nich. Przedstawiła się jako Valery Sharp i opisała siebie jako administratora bloku. Była mała – petite, Kohn

poprawił się w głowie – i piękna, czarem wyglądu hausfrau z jakiejś starej reklamy proszku do prania: kraciasta suknia, fartuch w kwiaty, blond loki przytrzymane z tyłu przez bawełnianą wykrochmaloną chustkę. Posłała Stuarta po kawę dla kobiety w ciężarówce i pokazał Kohnowi swoje biuro, mały pokój za rejonem produkcji.

– Uroczy, prawda? – zauważyła jasno, zamykając drzwi. Usiadła za biurkiem i zaprosiła Kohna na krzesło. – Pewnego dnia wszystkie biura będą takie jak to.

Biurko wyglądało bardziej jako toaletka. Miała dookoła falbankowy lambrekin. Falbanki miały falbanki. Krzesło było owinięte tkaniną związaną kokardami. Biała tapeta była ukwiecona różowymi pączkami róż. Powietrze było pełne jaśminowego potpourri. Kohn poczuł się, jakby wszedł do jej sypialni. Bogini wiedziała, jak *to* mogło wyglądać.

– Zrobiłoby to różnicę – powiedział szczerze. Mógł sobie wyobrazić całą planetę zmienioną w ten rodzaj smaku: róże dookoła wszystkich drzwi, perfumy w każdej bryzie, mężczyźni i maszyny oddani zapewnieniu podstawowych materiałów kobietom dla nieskończonego sztafirowania, upiększania i odpicowywania. . . Zdecydowanie powinien podarować więcej pieniędzy Ruchowi Kosmicznemu.

Valery uśmiechnęła się krzywo.

– Czasem też mnie to trafia – powiedziała.

Kohn spojrzał na nią, zaskoczony jej przyznaniem. Był niechętny ujawnianiu, że wiedział, że istnieje powiązanie pomiędzy tym miejscem a ANR.

Valery spojrzała na niego bardzo bezpośrednio i dodała, wolno i wyraźnie:

– *Civis Britannicus sum*[1].

[1] łac. Jestem obywatelem brytyjskim – przyp.tłum.

Kohn wpatrzył się w nią zdumiony. Wyrażenie nie było właściwie tajnym hasłem, ale było najlepszym przybliżeniem: nigdy nie słyszał nikogo mówiącego tego nie na serio. Potwierdzało to ciągłe znaczenie obywatelstwa Republiki i ciągle istniały miejsca, gdzie za to można było zostać zastrzelonym.

– *Gens una sumus*[2] – odpowiedział. Jego usta były suche, głos gruby. – Jesteśmy jednym ludem. – To kreśliło ostrzejszą linię niż wszystkie wyprodukowane podziały Korony i stawiało mówcę po ich drugiej stronie.

– Więc co to wszystko. . . ? – zaczął.

I wtedy, nagle, zrozumiał: kawałki się ułożyły. . . dosłownie.

– Spadochrony! – powiedział triumfująco. – Ultralekkie samoloty, ręczne szybowce. . .

Oczy Valery się zwęziły.

– Bardzo dobrze – powiedziała. – Jak się tego domyśliłeś?

Kohn wzruszył ramionami.

– Moim dobrym, właściwym mózgiem.

Ciągle wyglądała na zdziwioną, ale tak jakby mu wierzyła.

– Ok, Kohn. Wiesz, że Cat jest tutaj?

Kiwnął potakująco.

– Wybrałaś dość okrężny sposób na powiedzenie.

– Tak – powiedziała Valery. – Jest ku temu dobry powód. To jest ten sam powód, dla którego ANR trzyma się z dala od sieci, o ile jest to możliwe: nie są dłużej pewni, że systemy są bezpieczne.

– Co sprawia, że są niepewni?

– Nie wiem – odpowiedziała niecierpliwie Valery. – Co wiem, to jest: otrzymaliśmy ważną wiadomość. . . kanałami. . . żeby przekonać Catherin Duvalier do przybycia i pozostania z nami oraz do ściągnięcia Ciebie. Donovan jest tam, żeby Cię dostać, i nie tylko

---

[2] łac. Jesteśmy jednym narodem – przyp.tłum.

dla tej głupiej sprawy okupu. Cóż, nie wiem, co to znaczy, ale powiedziano mi, żebym Ci powiedziała, że Donovan wie, kim jesteś tak jak Stasis. Teraz pracują razem. Wyzwanie Donovan było próbą do zwabienia Cię do szpitala, gdzie mogliby Cię znaleźć, szczęśliwie wcześniej stamtąd wyciągnęliśmy Catherin. Wysłaliśmy dziewczynę na spotkanie z Tobą, ale nie była w stanie podjąć wystarczająco bezpiecznego kontaktu.

– Ach! Przy Brent Cross? – Kohn parsknął. – Tylko zrobiłem się bardziej paranoiczny.

– Nie była bardzo doświadczona, a my mogliśmy przesadzić z ostrożnością – przyznała Valery. – Tak czy inaczej, jesteś tutaj teraz, możemy rozwiązać sprawy okupu. Obawiam się, że to nie zatrzyma Donovana, ale przynajmniej będzie musiał odwołać swoje „okrzyki niezadowolenia" wobec Ciebie.

– Możecie to zrobić, bez zawiadamiania go gdzie jestem?

– Z pewnością – odpowiedziała z uśmiechem Valery. – Przez Bank Ciał, pamiętasz? wszystko co potrzebujemy to Twój podpis cyfrowy, oraz Catheriny. Nasz kasjer będzie świadkiem i wszystko będzie prawnie legalne.

– Właśnie powiedziałaś, że nie ufacie już sieciom.

– Mówimy o zupełnie innych poziomach – powiedziała Valery niejasno lub z zamierzoną tajemniczością.

– Ok. I potem co?

Valery spojrzała na niego surowo.

– ANR – powiedziała stanowczo – bardzo się martwi, dlatego powinieneś udać się do strefy kontrolowanej. Wiem tylko tyle.

– Ktoś inny mi to zasugerował – powiedział Kohn. – Nawet to rozważałem. To byłoby trudne, patrząc, jak ANR zasiał strach przed Bogiem w Hanowerczykach.

– Możemy zorganizować bezpieczny przejazd – powiedziała Va-

lery. – Powiem Ci o tym później. W międzyczasie uporządkujmy ten bałagan, dobrze?

Kohn zgodził się prawie roztargniony, zajęty implikacjami tego, co się właśnie dowiedział. Valery przechyliła terminal na biurku, był w kształcie oprawionego lustra, i Moh podłączył swój komputer i przesłał cyfrowy podpis na przekazanym dokumencie. Valery wysłała wiadomość do Cat i po chwili dokument pokazał, że jej podpis również był na nim. Kohn obserwował, jak Bank Ciał rejestrował transakcję. Teraz miał kredyt – wątpił, że kiedykolwiek go odbierze – pięciuset marek w Sojuszu Życia Węglowego.

Konsekwencje umowy pofalowały na zewnątrz przez bazy danych i w mniej niż minutę imię Catherin było oczyszczone, a sprawa Donovana przeciwko Kohnowi anulowana. Marudne, zawiedzione kwerendy natychmiast zaczęły pojawiać się wokół marginalnych grup dyskusyjnych. Kohn pokręcił głową i przyłapał Valery na tym samym geście. Uśmiechnęli się do siebie rozczarowani.

Valery miała już złożyć terminal. Wtedy coś na ekranie przyciągnęło jej uwagę. Podniosła oczy na Kohna.

– Wydaje się, że Catherin chciałaby Cię zobaczyć.

Kohn poczuł, że jego uszy palą.

– Ta, zdaje się, że chce mi powiedzieć kilka słów.

– Racja – powiedziała Valery. – Wyjdź, potem przez drzwi na lewo do ogrodu i w pierwsze przeszklone drzwi. Przyjdę za kilka minut. – Uśmiechnęła się zagadkowo. – Wyobrażam sobie, że najgorsze powinno się skończyć. Potem możemy przedyskutować, co dalej zrobisz.

– Mam towarzysza – powiedziała Kohn. – Ona jest teraz w ciężarówce i powinna być zaangażowana przy każdej decyzji.

– Oczywiście.

– Ok. Do zobaczenia – powiedział Kohn.

Wyszedł wprost w ogród, przez drzwi do jakiegoś rodzaju saloniku pełnego przewypchanych foteli i wielkich waz. W jednym z krzeseł siedziała kobieta, głowa częściowo schowana pod czepkiem, pochylona nad kolanami potężnej rozlewającej się spódnicy jej sukni. Skrupulatnie przyszywała małe kawałki kolorowego materiału do tyłu dżinsowej kurtki. Okrągły wzór z literami dookoła właśnie zaczynał nabierać kształtu. Podniosła wzrok, powoli, rzęsy unoszące się skromnie.

Cat miała bardzo koci uśmiech.

Moh uśmiechnął się do niej.

– Calamity Jane[3] – powiedział.

Zęby białe w słońcu.

– Wszystko naprawione? – spytała.

– Jasne– odpowiedział Moh. – Znowu jesteś w dobrej kondycji. Szczery wobec bogini akredytowany lewicowy bojownik.

– Z powrotem na wojnie. Dobrze.

Kurtka zsunęła się na podłogę, kiedy podniosła pistolet, który miała ukryty pod nią. Podniosła go w prawej ręce i dołączyła lewą – plastikowy odlew stał się widoczny, gdy luźny, koronkowy stożek jej rękawa opadł – żeby dać stabilizujący chwyt prawemu nadgarstkowi. Bardzo sprawnie, bardzo profesjonalnie.

– Teraz Cię dostałam, skurwysynu – powiedziała Catherin Duvalier.

* * *

Cat czuła się, jakby czekała na ten moment, na tę doskonałą zemstę latami raczej niż dniami. Przelotna myśl powiedziała jej, że

---

[3] Calamity Jane – amerykańska rewolwerowiec, znajoma Dzikiego Billa Hickoka zob. `https://en.wikipedia.org/wiki/Calamity_Jane` – przyp.tłum.

to była sprawa, że oskarżenia z ich prawdziwego rozstania ciągle odbijały się echem. Myśl minęła, zostawiając stalowe wspomnienie Moh wychodzącego ze szpitala.

Jej gniew naprężył mięśnie na jej zranionym ramieniu i bolał.

Miała więcej gości niż ktokolwiek inny na oddziale zamkniętym. Najpierw Moh, potem – w sensie wirtualnym – Donovan. A później tego wieczora, pielęgniarka, która przyniosła obiad, wsunęła głowę przez przegrodę, uśmiechnęła się i powiedziała:

– Moja przyjaciółka chciałaby Cię poznać.

– Kto taki?

– Jest urzędnikiem w Banku Ciał. Dowiedziała się o Twojej sytuacji i chciałaby Ci pomóc.

– Nie chcę być na oddziale zamkniętym, dzięki.

– Och, o to w ogóle nie chodzi. Nic z tych rzeczy. To dlatego chce się z Tobą zobaczyć. Myślę, że będziesz zainteresowana.

Catherin wzruszyła ramionami i się zgodziła. Kilka minut później kasjerka weszła, stukające obcasy, ubrania razem szumiące. Ułożyła się na krześle koło łóżka.

– Cześć – powiedziała. – Jestem Annette. Rozumiem, że szukasz bezpiecznego miejsca pobytu, poza walkami.

Annette nie zajęło długo przekonanie Catherin, że gmina feministek była takim dobrym miejscem, póki jej status jako bojownika był przywrócony. Dałoby to jej ucieczkę, szansę na plan.

– Ale to wszystko – wyjaśniła prędko Cat. – Nie mówię, że zgadzam się z waszymi ideami czy coś. . .

– Oczywiście, że nie – powiedziała Annette. – Ale nie licz na to. Przekonaliśmy całkiem sporo bojowników, którzy zmęczyli się grami chłopców.

Cat uśmiechnęła się. To nie mogłoby się jej przytrafić.

– Kiedy mogę jechać?

– Jutro z samego rana?

– W porządku.

– Dobrze. Zatem to ustalone. – Gdy wstała do wyjścia, Annette podniosła dżinsy Catherin i spojrzała na nie z pewną pogardą.

– Będziemy musieli załatwić Ci coś przyzwoitego do ubrania – powiedziała, chcąc zabrać cały niebieski tobołek.

– Nie, nie – powiedziała Catherin. – Chcę je zatrzymać. Mogę coś z nimi zrobić.

– Dobrze. . . niech tylko wezmę Twoje wymiary. Przepraszam na chwilę. – Wyjęła skaner z kieszeni i pomachała nim od szyi Cat do jej kostek. – Do zobaczenia jutro, Catherin.

Wróciła następnego ranka o bezbożnej godzinie z długimi papierowymi torbami udrapowanym na jej ramieniu. Pielęgniarka zasunęła parawany dookoła łóżka. Catherin spojrzała na torby.

– Skromność – powiedziała. – O Jezu!

– Wyjedź stylowo, smyku – powiedziała Annette.

Pomogły jej się przebrać. Nie dlatego, że jej złamana ramię było w gipsie, lub z powodu niewinności w zawiłych zapięciach. Po prostu nie istniał samodzielny sposób założenia lub zdjęcia, tych ubrań. Kiedy skończyły, odsunęły się i uśmiechnęły do niej.

– Och. Och – powiedziała pielęgniarka. – Jesteś taka piękna.

Annette chwyciła Catherin za ramiona i odwróciła jej twarz do ściennego lustra. Patrzyła na swojego dziwnego dublera, we fryzurze i gorsecie, w krynolinach niebieskiej satyny i białej koronki. Zrobiła krok do przodu, potem do tyłu, zdumiona przepastną ilością *rzeczy*, które ruszały się z nią, ozdoby, które powiewały i kołysały. Musiała się roześmiać, kręcąc głową na tego absurdalność. Szczypnęła suknię z przodu palcami w rękawiczkach, pozwoliła jej opuścić.

– Czuję się głupio – powiedziała. – Bezbronna.

– Niezupełnie. – Uśmiechnęła się Annette. Sięgnęła, żeby podać Catherin małą torebkę. – W tym, moja droga, wraz z makijażem pieczołowicie dobranym do Twojej cery, znajdziesz zgrabny, kobiecy pistolecik.

Catherin uśmiechnęła się, odprężając. Ten pierwiastek śladowy swego rodzaju ochrony, na który zawsze liczyła, uspokoił ją i pozwolił zaakceptować rodzaj, na którym teraz musiała się opierać: siłę, która nie wypływała z lufy broni. Kształtujący chwyt dookoła jej talii, rama tkaniny poniżej jej talii, nie były więzieniem, a fortecą.

– Ok, siostry – powiedziała. – Wychodzimy.

Przeszła przez oddział z głową wysoko uniesioną, patrząc wprost przed siebie. Widziała raz królewski ślub w telewizji, więc wiedziała, jak osiągnąć efekt.

* * *

Moh patrzył na nią przez długą sekundę.

– Dobra, Cat, szczerze przepraszam za to, co zrobiłem. Czego nie zrobiłem. Niemniej to jest załatwione, wyrównane...

– Ze mną cholernie nie jest. O to chodzi. Teraz znowu aktywna, mogę wziąć *Ciebie* na jeńca. – Uśmiechnęła się. – I właśnie to zrobiłam.

– Na kogo rzecz? – powiedział kwaśno Moh, grając na czas. – Jeżeli to Sojuszu Lewicy, to już wypracowaliśmy co...

– Och, nie – powiedziała Cat. – Na rzecz Donovana. Zadzwoniłam do niego, kiedy byłam zalogowana przy podpisaniu zwolnienia, gdy tylko byłam wolna. SeŻeWu wysyła kilku agentów...

– *Co zrobiłaś*?

Broń damy była raczej korkowcem, myślał. Mógłbym ją zabić, zanim bym umarł. Przez chwilę pocieszał się tą myślą. Potem

przypomniał sobie, że jest wyjście z tej pułapki i z tej absurdalnej wendety, którą rozpoczęła jego obraza Cat, a która wydawała się zdecydowana się zakończyć. Wycofał się ze spinania i czekał, wymuszając mdły uśmiech.

– Formalnie – powiedziała Cat – przyjeżdżają tutaj zapłacić Ci okup za mnie, skoro mają prawo do tego. I nic nie może mnie zatrzymać od przekazania im Ciebie.

Moh usłyszał kroki na ścieżce na zewnątrz. Stał, gdzie był, póki Valery nie weszła i stanęła koło niego. Cat rzuciła spojrzenie na nią, ale pistolet nie zadrżał.

– Oto coś, co Cię zatrzyma – powiedział Moh. – Valery, panna Duvalier właśnie stwierdziła, że jestem więźniem w imieniu SeŻeWu. Dwójka ich bojowników ma być tutaj... kiedy?

– W każdej chwili – powiedziała Cat. – Valery, to nie ma nic wspólnego z Tobą.

– Tak, ma – powiedziała Valery. – Z jednej strony, ciągle jesteś w naszej gminie. Z drugiej... – Zawahała się, patrząc niepewnie na Moh.

– Po prostu powiedz jej, do cholery – powiedział Moh. – Jeżeli nie ruszę się natychmiast, będę... – Przestał, walcząc o oddech, o słowa, z obrazami, które jego zbyt efektywny mózg wyświetlił. Myśl o wpadnięciu w ręce SeŻeWu i, co gorsza, Stasis, zmroziła go i sprawiła, że w pokoju pociemniało.

– Zrobisz to? – spytała go Valery.

– Tak, zrobię to.

– Musisz to powiedzieć – powiedziała delikatnie Valery. – Powiedz to jej. Do protokołu.

Moh wziął głęboki oddech.

– Jako obywatel Zjednoczonej Republiki, żądam ochrony jej sił zbrojnych i ślubuję na mój honor skorzystać, kiedy zostanę we-

zwany przez jej legalną władzę Radę Armii Nowej Republiki, z wszystkich praw i obowiązków takiego obywatelstwa włączając, ale nie ograniczając, do przywileju i wspólnej obrony. To wszystko?

– Praktycznie tak – powiedziała Valery. – Zatem Cat, jeżeli nie chcesz się wplątać w sprawy ANR, sugeruję, żebyś odłożyła broń.

Cat wpatrzyła się w nich.

– To miejsce jest ANR?

– Tak – odparła Valery.

Ramiona Cat opadły. Opuściła pistolet.

– Ciągle jesteś mi winny, Moh.

– Potem – powiedział Moh przez zaciśnięte zęby. Uspokajając się, uśmiechnął. – *Jesteś* piękna – powiedział, jak gdyby to wystarczyło, pomogłoby, opłaciłoby wszystko i się wycofał. Przebiegł sprintem przez trawnik podwórca, przeskoczył kwietniki i zielniki, ominął ludzi. Nie był zdziwiony odkryciem, że Valery Sharp dotrzymuje kroku. Spojrzenie kątem oka pokazało wzmocnione mięśnie, bez wątpienia przez aerobik, pod ubraniami, które nie były tak zwariowane, jak wyglądały. Nie przeszkadzały jej.

– Przepraszam – sapnęła Valery. – Nigdy nie oczekiwaliśmy…

– Ok. Ani ja.

Zatrzymali się w chłodnym mroku wejścia. Skrzynie były ładowane na ciężarówkę. Zostało tylko kilka.

– Teraz, co chciałaś mi powiedzieć?

– Weź ciężarówkę – powiedziała Valery.

– Gdzie?

– Tak daleko na północ ile się da, a potem do dowolnej strefy kontrolowanej. Mamy pozwolenia dla większości granic, podatki w naturze, ale… jeżeli ktokolwiek spróbuje dowiedzieć się, co w nich naprawdę jest, zatrzymaj ich za wszelką cenę. Jeżeli to konieczne,

spal towary. Za wszelką cenę. – Spojrzała na niego. – Jesteś gotów to zrobić?

– Tak. Zadzwoń do mojej kooperatywy, z wiadomością ode mnie do faceta imieniem Jordan: poszukiwania zakończone, rób swoje.

– Zrobię to. I będę trzymać Cat z dala od Donovana przez jakiś czas.

– Ok. Mam nadzieję, że się jeszcze zobaczymy.

Valery uśmiechnęła się i pchnęła go w drogę.

– Jedź!

Pobiegł do tyłu ciężarówki, złapał ostatnią skrzynię i rzucił ją do środka, skoczył na pakę i pociągnął klapę tylną za sobą, gdy wyskoczył z powrotem. Mężczyzna grzebał się z zamkiem. Kohn poczekał na to, co wydawało się sekundami, aż było zabezpieczone, potem pobiegł do kabiny i prawie wleciał przez drzwi. Odkrył, że patrzy na własną broń. Janis kucała pod kierownicą, celując w drzwi i w tym samym czasie próbując wepchnąć magazynek. Czujnik wskaźnikowy wił się, gdy próbował utrzymać poziom z oknem.

– *Padnij!* – syknęła.

Kohn rzucił się na siedzenie pasażera, dysząc. Janis podała mu broń, jak gdyby odpychając ją od siebie.

– To *gada* – powiedziała.

– Ta, tak, wiedziałaś o tym. – Kohn przetoczył się na plecy i wepchnął magazynek i komputer na swoje miejsce. – Co to *mówiło*?

– Oszołomy. Jadą po nas. To odbiera sygnały...

– Hełm. – Pomachał dłonią przed Janis, póki nie poczuł w niej hełmu. Półsiedząc, ostrożnie, założył hełm i przesunął w dół gogle, podłączył kabel do Karabinu i przełączył obraz z ekranu na hełm. Dwa obrazy Karabinu – gdzie była skierowana i gdzie „oko na nóżce" czujnika patrzyło – nałożyły się na jego własne odbicie w oknie. Nigdy nie wyglądały tak odrębnie.

– Co odebrałaś, Karabinie?

Była chwila, gdy komputer przesłuchiwał jeszcze mniejszy umysł podstawowego firmware'u Karabinu.

– Telefon, publiczny, metody szyfrowania SeŻeWu, poza tym żadne dane niepobrane. Pojazd źródło teraz wjeżdża na plac...

I tam był, jaskrawo podkreślony w czerwieni: czarny van transit z czarnymi oknami, wyjeżdżający zza rogu. Objechał dookoła placu i zatrzymał się kilka metrów przed ciężarówką. Kohn rozpoznał dwa obrazy cieplne za przyciemnianą szybą vana.

Włączył silnik i złapał kierownicę lewą ręką. Janis patrzyła.

– Siedzenie. Pasy. – powiedziała ciężarówka.

– Och, zamknij się.

Janis ze stuknięciem zapięła pas po stronie kierowcy i przełożyła ramię przez niego, złapała go mocno dłońmi, naciągając go własnym ciężarem.

– Dobrze – powiedział Kohn jak jakiś psychopatyczny instruktor jazdy. – Oczekuj wstrząsu. Teraz wyłącz hamulec i daj nam trochę soku.

Usztywnił nogi razem, opierając je o dolną krawędź deski rozdzielczej. Ciężarówka szarpnęła do przodu. Rozległ się pokrzepiający chrzęst, gdy stalowe błotniki ciężarówki uderzyły w cienki metal i twardy plastik vana. Janis wrzasnęła, ale to była niespodzianka, uderzenie nie było takie silne.

Kohn wydostał się z kabiny, uderzył w asfalt i rzucił się nisko do drzwi vana, jego ciało owinięte dookoła Karabinu. Użył kolby do wybicia bocznej szyby i szybko odwrócił broń, żeby osłaniać środek. Młody mężczyzna i młoda kobieta, oboje długowłosi, w tłustych dżinsach, oprószeni szkłem hartowanym i ciągle drżący od kolizji. Mężczyzna sięgnął pod deskę. Kohn wystrzelił jeden pocisk przez grzbiet dłoni mężczyzny i w róg poniżej kolumny kierownicy.

Ręka szarpnęła się do tyłu i coś hydraulicznego w tym samej chwili przestało działać.

– Na zewnątrz – powiedział Kohn i zszedł do tyłu ze stopnia.

Wyszli. Kobieta miała ręce na głowie. Mężczyzna trzymał zakrwawioną dłoń przy ustach.

– Przyjechaliście po mnie?

Kobieta potrząsnęła głową, mężczyzna pokiwał głową.

– Dobra, teraz jesteście…

Słowa Kohn zostały zagłuszone przez dudniący ryk, pisk poślizgu.

Odwróciła głowę

– Karabin pozostał nieruchomy jak poręcz – i zobaczył przebudowaną Hondę z lat trzydziestych delikatnie kołyszącą się w miejscu, gdzie się zatrzymała, kilka metrów dalej. Jej jeździec był zbudowany na miarę, cały od skórzanych butów do skórzanej czapki. Zszedł, w ten sposób odsłaniając, że to, co wyglądało jak dodatkowy zbiornik, było w rzeczywistości opancerzoną sakwą. Mięśnie jego ramion i klatki byłyby niepokojące nawet bez holograficznych tatuaży.

Podniósł odznakę.

– Szorstcy Handlarze – powiedział. – Czy masz problem?

Kohn skierował broń w ziemię i powiedział:

– Nieporozumienie.

– Czy ktokolwiek chce podnieść zarzuty?

Para przy vanie potrząsnęła głowami.

– Ani ja – powiedział Kohn. – Ale chciałbym zażądać okupu za zakładnika i mam pewne problem z przekonaniem tych dwojga. Myślę, że odkryjesz, że mają dokumentację.

Oboje gorączkowo pokiwali głową. Kohn poczuł, że pewne na-

pięcie łagodnieje. To tylko był domysł, że gangsterzy Donovana próbowaliby utrzymać przykrywkę.

– Ile?

– Pięćset marek – powiedziała kobieta, w końcu odnajdując język. Wyciągnęła brudny banknot. Kohn wykonał obrażająco rozbudowany pokaz skanowania go jednym z czujników broni (który słusznie zarejestrował, że banknot nie zawierał dużych mas poruszającego się metalu) i wypisał pokwitowanie odnoszące się do zwolnienia Catherin Duvalier za sumę. . . itd. Prywatny glina to poświadczył i mężczyzna wziął kopię, najpierw złą dłonią.

– Proszę upewnić się, że zostanie to dostarczone osobie w tym wymienionej– powiedział Kohn, przekazując drugą kopię Szorstkiemu Handlarzowi. – Obecnie przebywa w tym bloku.

– Ok.

Kohn wrócił do ciężarówki, wspiął się, żeby odkryć, że Janis osłania cały incydent jego wcześniej zostawionym pistoletem. Uśmiechnął się, pocałował palec i kciuk do niej i zapiął pasy. Szorstki Handlarz szedł w kierunku bloku. Agenci oszołomów mówili do mikrofonu w ich niedziałającym vanie. Śmiejąc się, Kohn wyprowadził ciężarówkę z placu i wzdłuż wąskiej ulicy, zmuszając śmiesznie szerokiego różowego Cadillaca do wjechania na chodnik, gdy jechał w ich kierunku. Potem, po kilku kolejnych ulicach na tyłach, znowu byli na autostradzie.

– Czas na wyjaśnienia – powiedziała Janis.

– Spadochrony – powiedział Kohn.

– Hę?

– To miejsce to front ANR. Cały ten femininizm to przykrywka. – Oboje się roześmiali. – Są zajęci produkowanie spadochronów i paneli z tkanin dla lekkich samolotów i szybowców, przy użyciu ręcznych maszyn do szycia. Zero software'u, rozumiesz? Nic

do namierzenia. Ogromne zamówienia Czarnego Planu, jak mówił Jordan. Muszą się przygotowywać na coś dużego wkrótce. I, jeżeli o tym pomyśleć, wszystkie te lalkowate sekretarki i tak dalej muszę być całkiem dobrymi szpieginiami.

– Co z tymi, które naprawdę w to wierzą?

– Wątpię, czy jest ich tak wiele, a mogą być nieszkodliwie zajęte. O to chodziło z tym całym kapryśnym, domowym rękodzielniczym gównem na początku, o ile pamiętam moje lektury socjologiczne.

Janis spojrzała, jak gdyby sobie z tym radziła.

– Ale, co się tam *zdarzyło*?

Opowiedział jej: jak kształty nie pasowały, co powiedziała mu Valery, odszukanie Catherin i jak i dlaczego go wystawiła. Janis już wiedziała o jego wcześniejszym związku z Catherin, spędzili godziny ostatnich dni i nocy, opowiadając sobie wszystko. Jednak była zdenerwowana.

– Och Moh! – Janis patrzyła prosto przed siebie.

– Wiem, że nie powinienem…

– Nie, to tylko, dlaczego w ogóle to zrobiłeś? Dlaczego próbowała się odegrać na Tobie w ten sposób? Brzmi mi to jak dwie osoby chcące się skrzywdzić. Szczególnie paskudna kłótnia kochanków.

– Nigdy o tym nie myślałem w ten sposób – powiedział, zastanawiając się. – To był biznes, polityka. Czułem, że zdradziła to, za co walczyliśmy, że kurwa należało się jej, współpraca z tymi stworzeniami z bagna po, po…

Zredukował to do gestu dłonią.

– Po staniu ramię w ramię z Tobą za naukowo-technologicznym socjalizmem?

Kohn uśmiechnął się do niej na wpół rozbawiony, przyznając, że wyjaśnieniu brakowało wiarygodności.

– Coś w tym rodzaju.

Ścisnęła jego kolano.

– W porządku, nie jestem zazdrosna. Dobra, właściwie jestem. Ale wiem, z czym mam do czynienia.

– Ta – powiedział Kohn. – W ogóle zero konkurencji.

– Dlaczego pozwolili Ci się wydostać?

– Jest formuła – powiedział Kohn – hasło na takie sytuacje. Idzie trochę dalej niż stare *Civis Britannicus sum.*. Mówisz to właściwej osobie, jesteś obywatelem Republiki. To właśnie zrobiłem, kiedy zobaczyłem, że to nasze jedyne wyjście. Republika, ANR, mają gdzieś reguły walki bojówek. Więc teraz rzeczy są, jakby, inne.

– To znaczy?

– Cóż, dowolna mała potyczka, w jaką wpadniemy, teraz będzie wojną. To nie będzie jak bycie najemnikiem lub nawet tylko bronienie się w sposób jak robiliśmy to wtedy.

– Mówisz mi, że dołączyłeś do ANR?

– Nie do końca, ale zgodziłem się wykonać ich legalne rozkazy, jako obywatel Republiki. – Spojrzał na nią, czując, że ma więcej do wyjaśnienia. – Nie chodziło tylko o wydostanie się z łap Cat. Myślałem o tym. Republika to jedyne miejsce, w którym znajdę odpowiedzi na to, co stało się ze mną. Jak powiedział Logan, to najbezpieczniejsze miejsce dla nas. I dla jakichkolwiek danych ukrytych w komputerze Karabinu. A co do polityki tego, cholera, jeżeli Josh mógł pogodzić, cokolwiek robił, z pracą dla Republiki, to i ja mogę.

Janis przez chwilę była cicha. Potem powiedziała:

– Też chcę dołączyć. Być obywatelem. Jak to mam zrobić?

– Powiedziałem Ci za pierwszym razem, kiedy to wyszło: ciągle jesteś obywatelką. Ze szkoły, pamiętasz? Jeżeli chcesz być aktywną

obywatelką, kontaktujesz się z innymi i zgłaszasz się na ochotnika. Tak jak ja właśnie zrobiłem.

– Cholera, mogłam to zrobić wtedy, teraz będę musiała czekać, aż... – Przestała, uderzyła się w czoło dłonią i powiedziała: – '*Civis Britannicus sum*, tak? To wystarczy?

Spojrzała tak przenikliwie i zadowolona z siebie, że Kohn poczuł zawstydzenie ze swojego ociągania, ale musiał zapytać.

– Jesteś pewna, że Ty... ?

Janis wybuchła śmiechem.

– Uwielbiam sposób, w jaki ciągle mnie ostrzegasz, albo to czarujące, albo musisz myśleć, że mam pusto w głowie. Kohn, wiem, że mamy kłopoty. Jedynym miejscem, w którym mam szansę na życie, jest po tej stronie tych płonących mostów. – Uderzyła go w ramię, jak gdyby w tej chwili nie chciała zaryzykować niczego więcej prócz braterskiego pozdrowienia. – Mój kraj jest tam, gdzie Ty żyjesz, gdziekolwiek to jest.

– Wiesz, gdzie to jest – powiedział. – Kraj piątej barwy. *Gens una sumus.*

Opuścili Lesby ze Stonewall, a potem samo Norlonto. Byli na King's highway, drogach publicznych. Kohn poczuł przejściowe ukłucie niepokoju, które zawsze towarzyszyło mu przy przekraczaniu granic do dziedziny Państwa. Emocjonalna opłata drogowa. Minęli wysoki niebiesko-biały znak z pionową strzałką i jednym słowem na nim: „Północ". Droga ekspresowa zmieniła się w ośmiopasmową autostradę. Włączył się diesel. Janis kręciła się w siedzeniu jak zadowolone dziecko.

– Uwielbiam ten znak – powiedziała.

– Aha – powiedział Kohn.

Janis usiadła prosto.

– Co?

Kohn pokazał ekran wstecznego lusterka. Daleko z tyłu w ruchu poruszał się różowy kleks z szerokim chromowym uśmiechem.

Rozdział 13

Jeździec apokryfów

Dilly Foyle leżała na brzuchu w wysokiej trawie. Kilkaset metrów dalej, po drugiej stronie zielonej doliny górskiej z przepustami, autostrada tworzyła swoją brzęczącą, nucącą ryczącą muzykę. Wielkie masy niezastępowalnych minerałów i petrochemii pędziły w obu kierunkach, anulując się wzajemnie. To był dla niej zawsze doskonały przykład, paradygmat, jak handel i wymiana były wewnętrznie rozrzutnym plądrowaniem planety. Silnik spalinowy, społeczeństwo konsumentów... Słowa (jeżeli nic innego w układzie) były wpadką.

Ludzka Rzesza.

Zaatakować ją bezpośrednio było pewną drogą ku śmierci. Jeden bełt z kuszy, która leżała w jej ręku, mógłby rozwalić oponę i, fartownie, rozsypać płonący wrak i rozwalić kilometr. Jednak to było tylko warte zrobienia, by pognębić już w trakcie wojskową obławę, w innej sytuacji zrobienie tego prosiłoby tylko o wojsko. Zatem partyzanci Zielonej Wojny woleli dążyć do subtelniejszej kłótni, budując swoje Kumbryjskie[1] gminy w porzuconych farmach i w ruinach turystyki, które były ich najwcześniejszym i najłatwiej-

[1] Kumbria – hrabstwo ceremonialne i niemetropolitalne w północno-zachodniej Anglii, więcej `https://pl.wikipedia.org/wiki/Kumbria` – przyp.tłum.

szym celem. Kraina Jezior[2] była już ich, na widoku Miast. W przejrzysty dzień możesz zobaczyć Rewolucję...

Jej nos, nieskażony plugawymi nawykami lub powietrzem miasta, mógł jej powiedzieć, gdzie była w ciemnościach. Opary benzyny i wilgotna ziemia, naoliwiona stal kuszy, stare drewno kolby... jej towarzysze... ich konie pasące się cicho w dziurze. A, przed i na lewo od niej, punkt obsługi pasażerów, gdzie smród spalin i baterii mieszał się z paloną kawą, zmarnowanym jedzeniem i plastikiem w jego wszystkich wytłaczanych, rozszerzonych, obrzydliwych i nadętych formach.

Syntetyczne gówno.

Nie potrzebowała lornetki, żeby przejrzeć pojazdy wjeżdżające i wyjeżdżające z punktu obsługi pasażerów, nie potrzebowała gogli, kiedy zapadnie noc. Miejsce miało już włączone światła (marnotrawstwo, marnotrawstwo). Wiedziałaby co robić, gdy nadejdzie sygnał. A, jeżeli nie dotrze do niej, dotarłby do innych partyzantów, w innych punktach wzdłuż autostrady. Rozkazy dzisiaj były bardzo konkretne i pilne.

Czekała.

* * *

Natknęli się na lokalną wojnę kilka kilometrów na północ od Lancaster. Budynki farm i fabryk spalone. Czołgi przepychające się wzdłuż drogi. Helikoptery przelatywały nad głowami. Ruch na M6 ledwie trzymał tempo z uchodźcami powłóczącymi się wzdłuż pobocza.

– To wygląda jak coś z dwudziestego wieku – powiedziała Janis.

---

[2] Lake District – obszar w północno-zachodniej Anglii w hrabstwie Kumbria, jedno z najpopularniejszych miejsc wypoczynkowych Wielkiej Brytanii. więcej `https://pl.wikipedia.org/wiki/Lake_District` – przyp.tłum.

– Nie są ostrzeliwani – zauważył Kohn.

– Co to ma znaczyć? Postęp?

Kohn przesunął trochę do przodu ciężarówkę, potem znowu przełączył na luz. Dźwięk silnika spadł poniżej słyszalności.

– Postęp taki jest – powiedział.

– Ten samochód ciągle za nami?

Kohn przyjrzał się.

– Tak.

Niebo, w końcu, oczyściło się z dymu. Czerwone Półksiężyce i Krzyże wyszły spod kamuflażu. Przerwy pomiędzy pojazdami się rozszerzyły. Uprzejme, niepewne, mechaniczne kaszlnięcie tu i tam i nagle ryk silników spalinowych rozległ się jak aplauz. Ciężarówka ustaliła stałą prędkość stu kilometrów na godzinę na wolnym pasie. Cadillac dostosował tempo, raz zbliżając się, raz oddalając.

– To jest początek *ciężkiego* działania mi na nerwy – powiedział Kohn.

– Co możemy z tym zrobić?

– Nie wiem. Och, jebać to. . . zabić ich przy pierwszej okazji.

– Mówisz serio?

– Widzę to tak – powiedział Kohn – że nie ma sposobu, żeby ktokolwiek w tej puszce był terrorystą. Nie ich styl, wiesz? Oni korzystają z rozproszonych sił, rajdów, taktyk guerilla. Wojsko, UK lub Obrona, użyłyby blokad drogowych, kontroli drogowych. Siedzenie na ogonie, cóż, to policyjne modus operandi. Użycie wozu cywilnego już nie, szczególnie tak oczywistego. To pachnie policją polityczną. Lub Stasis.

– Ludzie w czerni. – Janis wzdrygnęła. – Zastanawiam się, dlaczego tak robią, garnitury, samochody?

– Sprawdziłem to kiedyś – powiedział Kohn. – To problem strachu. Powstali lata temu, kiedy była z tym związana wielka panika,

nie wiem, wiadomości z kosmosu dostające się do datasfery i tłukące kopie software'u kosmitów, który przejąłby cały świat. Pamiętasz seriale telewizyjne? *Obcy z Andromedy. Noc żywego świtu.*. Nie, tuż po wojnie. Przed Twoim czasem.

– Po dobranocce.

– Patrząc wstecz, założę się, że oni zasadzili takie historie. Cokolwiek, byle tylko ludzie się martwili niebezpiecznymi technologiami wpadającymi w złe ręce, ale nie martwili się w czyich rękach już były.

– Wiesz – powiedziała zamyślona Janis – ludzie zwykli mówić o Przełomie, Osobliwości, kiedy wszystkie trendy technologiczne wystartują i cały świat by się zmienił: AI, nanoroboty, naprawa komórek, załadowanie umysłów do lepszych ciał i wieczne życie, jeju! I to zawsze prawie się zdarza, ale nie do końca: jesteśmy bliżej i bliżej, ale nigdy tam. Może nigdy tam nie docieramy, *ponieważ jesteśmy wstrzymywani*.

– Wstrzymywani przez Stasis. . . i Obronę Kosmiczną egzekwującą kontrolę zbrojeń. . . tak, tak to działa: glina od softwaru, glina od hardwaru!

– Tak, zabijmy ich – powiedziała ostro Janis. – Są marnowaniem miejsca.

– Wkrótce będzie ciemno – powiedział Kohn.

* * *

Kolejna granica: Kumbria. Kolejne naręcze delikatnych robótek zabrane z ciężarówki. Podatek w naturze: przy większości ekonomii za horyzontem zdarzeń kryptografii, był to ich jedyny sposób zebrania, jeżeli właściciele nie zawarli umowy i nie oddali Państwu kluczy kodowych. Podatek w naturze działał od zdzierania na blokadach do sankcji USA/ONZ, gdzie całe budynku, magazyny i fabryki

były przejęte. Zwykłe właściciele zgadzali się działać otwarcie, gdy przynajmniej znałeś procent. Prócz Norlonto, oczywiście: tam chowano pieniądze i oddawano zamiast nich towary pod groźbą broni, jeżeli musieli.

Przynajmniej dotychczas nikt nie przeszukał ciężarówki. W takich sprawach istniała etykieta i koszty transakcji.

Po jakimś czasie Kohn spojrzał na wskaźnik paliwa i powiedział: – Czas na postój. Tak czy inaczej, skorzystałbym z rozprostowania nóg. Następny punkt obsługi pasażerów.

– Co z. . . ? – Janis wskazała głową do tyłu.

– Zobaczymy, co zrobią – westchnął Kohn.

– Potem ich zabijemy?

– Wchodzisz w te sprawy, co?

Zmierzch stał się ciemnością natychmiast, gdy ciężarówka wjechała w halogenową powódź punktu obsługi pasażerów. Janis zazdrościła Kohnowi jego gogli. Mogła zobaczyć napis zapisany na przystawce najbliżej niej: mil spec 00543/09008. Kohn najpierw podjechał do dystrybutora, płacąc gotówką za olej napędowy i naładowane baterie, które były wymienione na miejscu za zużyte.

– To dokładnie co muszę zrobić – powiedziała Janis.

– Cóż, nie robią częściowej wymiany za odpady ciała – powiedział Kohn. – Recycling jeszcze tak daleko nie dotarł. – Włączył ciężarówkę i pojechał naokoło do zatok parkingowych.

– Nasi przyjaciele są tam – powiedział, wskazując na odległy róg parkingu, gdzie nic nie mogła dostrzec. – Ciągle siedzą w aucie. Prawdopodobnie nie jedzą, nie srają, tylko wymiana oleju co dziesięć tysięcy kilometrów.

– Chciałabym mieć wojskowe okulary – powiedziała Janis. Nie zrozumiała wybuchu śmiechu Kohna, ale była wdzięczna, kiedy sięgnął do plecaka i wyciągnął zestaw gogli.

– To są moje jedyne zapasy – powiedział, kiedy pokazał jej, jak działa kontrola policzkami. – Uważaj na nie.

Włożył hełm pod ramię.

– Ustaw gogle na cień – powiedział. – Będziemy wyglądać jak turyści.

– Ciężko uzbrojeni turyści.

– To jedyny typ w tych rejonach.

Wyskakując i idąc po asfalcie do kawiarni, Janis ciągle się rozglądała. Te rzeczy nie tylko polaryzowały światło, integrowały je: jasne światła były przyciemnione, cienie wzmocnione.

– One są cudowne!

– No to je trochę zmniejsz.

– Ha, ha. W ogóle jak one działają?

– Nie wiem, ale podejrzewam, że nie są przezroczyste, w ścisłym tego słowa znaczeniu, front to zbiór mikrokamer, tył to ekrany, a pomiędzy nimi diamentowa błona nanoprocesorów.

Zatrzymała się na zewnątrz toalet i spojrzała na różowego Cadillaca.

– Ha – powiedziała. – Jedzą pączki i piją kawę z termosu. Tyle z Twojej teorii.

– To właśnie chcą, żebyś myślała – powiedział mrocznie Kohn.

Janis spojrzała znowu. Jeden czarny mężczyzna, drugi biały.

– Jestem pewne, że to ci sami, którzy przyszli do mojego laboratorium – powiedziała. – Bogini, pomyśleć, że dotarłam tak daleko, żeby od nich uciec.

– Uciekłaś od nich – powiedział Kohn. Trącił ją łokciem od patrzenia na samochód. – Nie martw się o to.

Kolejki do maszyn z daniami były krótkie.

– Dziesięć marek – powiedział z oburzeniem Kohn. – Każda!

– Nie bądź skąpy.

– Przelałem krew dla tych pieniędzy.

Wybrali stolik przy szklanym oknie, gdzie mogli obserwować samochód i ciężarówkę. Gogle usuwały także odbicia. Janis uznała to za dezorientujące: spoglądanie z oświetlonego wnętrza, z kierowcami ciężarówek jedzącymi szybko, rodzinami jedzącymi wolno, młodymi wędrującymi dookoła oceniającymi, kto może być, albo nie użytkownikiem, na zewnątrz z zaparkowanymi lub toczącymi się pojazdami, oraz postrzeganie tego wszystkiego w jednej scenie. Jaki wpływ, zastanawiała się, miałyby lata postrzegania – bez cieni, bez odbić, prawie bez ciemności, bez kojącego rozróżnienia pomiędzy tutaj i tam – w ten sposób na umysł? Pasowało, wsuwało na miejsce przynajmniej jeden z przejawów, cóż, *wyglądu* Kohna.

Uśmiechnęła się na tę myśl i zobaczyła, że Moh uśmiecha się do niej.

* * *

Bleibtreu-Fèvre starł cukier z końcówek palcy, polizał je i założył plastikowy kubek na szczycie termosu. Zawsze przeklęta kropla ciemnego płynu. Westchnął i spojrzał na swojego kolegę, Aghostino-Clarke. Drugi mężczyzna był ubrany identycznie jak on, w ciemną marynarkę i spodnie, białą koszulkę i kolor dokładnie tego koloru plam od kawy. Jego garnitur zaczynał błyszczeć w złych miejscach. Jego skóra była bardzo czarna, a oczy brązowe.

To był fart, że byli przygotowani. Ale też, myślał zadowolony Bleibtreu-Fèvre, przygotowanie tworzy własnego farta. Kiedy dostali telefon od Donovana, wskazujący, że Cat ujawniła swoją pozycję i Moh, właśnie krążyli po obwodzie Norlonto. Byli gotowi zrobić, to co zrobili, ruszyć samochodem na wyjącym biegu wzdłuż jednej z dróg szybkiego dostępu, tych, na które zwykle tylko mogli sobie pozwolić bogaci i służby ratunkowe. Miał rację, że nie zaufał

zbytnio umiejętnościom Donovana do przygotowania dostatecznie dużych sił w bardzo krótkim czasie, żeby załatwić sprawę, rację, żeby mieć zielonych partyzantów w gotowości.

To, że Gmina Pokoju Kobiet była niedaleko granicy było szczęściem, jednak, ale czystym szczęściem.

Będą potrzebować szczęścia jeszcze trochę.

Aghostino-Clarke uśmiechnął się.

– Przerażony? – spytał. Jego głos był głęboki: wznosząca intonacja pytania zmieniła go w bas.

– Zdenerwowany. – Bleibtreu-Fèvre kaszlnął i, jak gdyby przypomniał sobie, zapalił papierosa.

– To jest to, do czego byliśmy trenowani.

– Dlatego właśnie jestem zdenerwowany. – Roześmiał się krótko i spojrzał ponownie na odległe kształty mężczyzny i kobiety. – Zachowuje się normalnie, jak gdyby nie miał problemu na świecie. Ktoś mógłby prawie pomyśleć, że się nas nie boi.

– On? Czy to?

Bleibtreu-Fèvre spojrzał na Aghostino-Clarke i pokiwał zamyślony.

– W rzeczy samej – powiedział. – Nie możemy zakładać niczego na temat *tego* czemu możemy stawić czoła.

Dosłowny maniak narkotyków, człowiek z kodem maszynowym w głowie, czy po prostu szalony kosmonautyczny najemnik. . .

– Łatwo byłoby go załatwić.

– Te czasy minęły. – Bleibtreu-Fèvre ponownie westchnął. – Czuję ślady tych przeklętych satelitów rozpoznawczych jak cienie poruszające na karku. . . skoro o tym mowa. . .

Aghostino-Clarke spojrzał na zegarek, obracając powoli przedramię, jak gdyby czytał linie danych.

– Mamy sześciominutowe okno za dwie minuty – powiedział. – Następne jest czterominutowe za dwadzieścia trzy.

– Dobra – powiedział Bleibtreu-Fèvre. – Ruszamy na zielone, co?

* * *

– Papieros?

– E tam – powiedział Kohn. – Czas ruszać.

Wstał i rzucił talerze i resztki do recyklera. Założył hełm i podłączył komunikację do Karabinu. (Cześć.)(Aktywny.) Patrzył się na samochód, gdy wychodzili przez drzwi. Parking był teraz mniej zajęty i cadillac stał samotnie w wygładzonym połysku. Jak łatwo byłoby ich załatwić. Jednak jeżeli by ich wysadził, teraz, byłoby trudno wskoczyć do ciężarówki i uciec niezauważonym. Po prostu musieli poczekać. Zastanawiał się nad scenariuszem zjechania w boczną drogą, zablokowania ich ciężarówką i ostrzelaniu.

Drzwi cadillaca się otworzyły. Dwóch mężczyzn w środku wyszło i stanęło za drzwiami. Janis wydała jakiś dźwięk.

– Idź dalej – powiedział Kohn, nie patrząc na nią. – Stań na stopniu przy drzwiach, tak jak oni, i uruchom ciężarówkę. Zrób to.

Zboczył od niej i zaczął iść przez pięćdziesiąt czy coś asfaltu pomiędzy nimi a samochodem. Mężczyźnie nie zareagowali. Zastanawiał się, czy drzwi były odporne na pociski uranowe w stalowym płaszczu. Wątpił w to. Może agenci Stasis oczekiwali, że będzie negocjował.

Pozwalał opaść lufie Karabinu, jego chwyt lekki, ale gotów do chwytu. Przerwał.

– Hej! – krzyknął ponad szumem pojazdów. Mężczyźnie spojrzeli na niego, jak gdyby go nie usłyszeli. Otworzył usta i usłyszał w tym samym momencie krzyk Janis i rytmiczny klekot za nim. Za-

wirował dookoła, kucając, podnosząc broń do góry. Prosto na niego zbliżał się koń, a stworzenie o dzikich włosach na jego plecach odpinało kuszę z gniazda przy siodle, wstrzymywało konia i zsiadało z niego w tym samym czasie. Wszystko poruszało się wolno, nawet iskry ze ślizgających się podków. Zobaczył kolejnego jeźdźca, galopującego do ciężarówki od tyłu. Wystrzelił serię, która przedarła się przez udo jeźdźca i przez konia. Zobaczył przednie nogi zapadające się pod ciągłym pędem bestii, zobaczył początek trajektorii jeźdźca i odwrócił się swojego napastnika. Barbarzyńska kobieta. Była dwa metry od niego i pół sekundy od skierowania kuszy w jego stronę. (Brak czasu na strzał)(Co?) Rzucił się do przodu i uderzył kolbą w ramię kobiety. Kusza zaklekotała o ziemię. Uderzył ją prosto pod mostkiem. Upadła, zwijając się wokół bólu.

Kohn padł i przetoczył się. Coś zabrzęczało nad jego głową. Kurczę. Ukłucie kamienia na twarzy. Rykoszet. Strzał padł od cadillaca. Ku jego przerażeniu zobaczył Janis zeskakującą ze stopnia ciężarówki i rzucającą się ku niemu, głową w dół i strzelającą nieumiejętnie z lewej ręki pistoletem do tyłu. Jej gogle były przejrzyste i mógł dojrzeć jej oczy, mocno zaciśnięte.

Cadillac zaryczał do przodu, drzwi otwarte, lufy broni wystające nad nimi. Błyski. Rozległ się straszny huk, gdy opona wystrzeliła. Nagle samochód zaczął się odchylać. Janis zanurkowała przed przednim zderzakiem i na niego. Przetoczyła się i usiadła, dokładając drugą dłoń do automatycznego chwytu. Tył samochodu przeleciał. Janis wystrzeliła i ciemne ciało wypadło z otwartych lewych drzwi.

Odwróciła się do niego i otworzyła oczy.

– Wszystko w porządku? – spytała.

– Dawaj. – Zerwał się i wskazał na drzwi kawiarni. – Do środka. – Samochód, teraz zwalniający, był pomiędzy nimi a ciężarówką.

Pobiegli do drzwi i pchnęli je, przeskakując nad leżącymi na brzuchu przerażonymi cywilami do schodów. Na pierwszym podeście Kohn zobaczył Człowieka w Czerni właśnie sięgającego drzwi. Nie było jak strzelić do niego, bez rozpylenia połowy foyer. W górę po schodach do przeszklonego przejścia nad drogą, prowadzącego do lustrzanego rejonu obsługi po drugiej stronie. Zaczęli stumetrowy sprint.

Coś wychodziło po schodach po drugiej stronie. W połowie była wnęka z gaśnicami i awaryjnym telefonem. Kohn wciągnął Janis w nią. Spłaszczyli się z tyłu i Kohn wyjrzał.

Kolejny jeździec galopował wzdłuż przejścia. Z drugiej strony Kohn zobaczył człowieka Stasis wyskakującego ze schodów i padającego na podłogę, ciężki pistolet zaciśnięty w obu dłoniach przed nim. Kohn szarpnął do tyłu.

Obite kopyta zatrzymały się, blisko.

– Wyrzućcie broń. – Głos agenta brzmiał nienaturalnie i dziwnie. – Ani słowa albo zostaniecie zastrzeleni.

– Gówno – powiedział Kohn przez zęby. Jakaś część jego mózgu zaczęła wyświetlać szczegółowy obraz tego, co by się zdarzyło temu, gdyby został schwytany. Odwrócił uwagę od obrazów pił do kości, wiertarek i elektrod na czas, żeby usłyszeć natarczywy szept Janis: – ...tylko broń, potem użyj czegokolwiek, co Ci zostanie, mogą się nie spodziewać wszystkiego, co masz...

Kohn spojrzał na nią i kiwnął głową. Rzuciła pistolet na podłogę. Kohn powtórzył to z Karabinem. Wylądował na dwójnogu. Kohn podniósł ręce i miał wyjść, kiedy usłyszał skrzypienie i brzęczenie pękającego cienkiego szkła.

– OGIEŃ! – powiedział alarm głębokim spokojnym cyfrowym głosem.

Karabin zaczął strzelać. Janis ruszyła elegancko do przodu, za-

nim ją zatrzymał. Złapała gaśnicę. Skoczyła przed konia i skierowała pianę prosto w oczy zwierzęcia. Koń zarżał i cofnął się, uderzając głową jeźdźca o sufit. Jeździec upadł do tyłu. Janis natychmiast była z boku konia, pchając siodło. Zwierzę zachwiało się, zbite z równowagi, tylne kopyta uderzające w desperackim brykaniu, przednie łomoczące w szkło. Nogi jeźdźca kopały, aż jego stopa uwolniła się ze strzemienia. Zsunął się po krzywiźnie tyłu konia. Wielkie okno pękło. Koń przeleciał przez szkło w obrzydliwym wolnym ruchu i zniknął. Janis kucnęła, szukając pistoletu. Jeździec był rozwalony na plecach, jedna ręka pod nim, druga wykonująca ruchy obronne. Janis stanęła nad nim okrakiem i wycelowała pistolet w twarz.

– Nie! – wrzasnął Kohn.

Karabin kontynuował swój koszący ogień. Kohn rzucił się za niego. Powinien odpowiadać tylko na jego głos. Wybaczył mu, tym razem. Agent zniknął. Musiał zsunąć się po schodach. Fajnie. Żadna z dziur na odległej ścianie nie była niżej niż pół metra.

Karabin zatrzymał się, bez amunicji. Kohn spojrzał przez wyjącą przerwę w dół na kopiec mięsa na środkowym pasie.

Spojrzał na Janis.

– To było niebezpieczne – powiedział. – Mogłaś kogoś zabić.

Odpowiedziała spojrzeniem, gdy Kohn wsuwał kolejny magazynek.

– Jesteśmy teraz w armii – powiedziała i odwróciła się do mężczyzny u jej stóp.

– *Więc nie możesz go teraz zastrzelić! Jest poza tym*!

Janis potrząsnęła głową i zrobiła krok do tyłu.

– Ok, ok. – Ostrożnie odpięła automat i nóż w pochwie od pasa mężczyzny i przewróciła go z jego złamanego ramienia. Już zemdlał.

Pobiegli z powrotem drogą, którą przyszli. Janis stała dalej, gdy Kohn podczołgał się do szczytu schodów i użył czujników Karabina, żeby spojrzeć za krawędź. Nic tam nie było. Zeszli po schodach i na zewnątrz przez foyer, plecami do siebie. Nikt nie odpowiedział na alarm pożarowy. Po prostu dobrze.

Całe miejsce wyglądało, jak gdyby je trafiła bomba gazowa. Wszystko nieruszone, ale ciała wszędzie. Pojazdy ciągle wjeżdżające nagle przeszły na automatykę: bez kierowcy. Dobre reakcje, ci cywile. Pomiędzy nimi a ciężarówką był tylko cadillac i leżące ciało agenta, którego postrzeliła Janis. Znaleźli się za niezrozumiałym obiektem, rodzajem betonowej kadzi wypełnionej ubitą ziemią. (Kohn zawsze niejasno zakładał, że te rzeczy były zostawione, żeby dawać osłonę w strzelaninach. Część wyposażenia.) Wysunął się za nią i bardzo celowo posłał kilka kul w ciało.

– Idę pierwszy – powiedział. – Osłaniam.

Przebiegł asfalt w nieprzewidywalnym tańcu z niewidzialnym partnerem: sprint, stop, obrót, upadek, przeturlanie, zerwanie na nogi, bieg, zakręcenie... Właśnie mijał ciało, gdy pojawiła się głowa i ramię. Kula pistoletowa przeleciała koło ucha. Kohn spojrzał na ciało, ciemna skóra, ciemny garnitur, rozlewające się ciemne ślady, chwiejna dłoń ściskająca po następny strzał. Karabin, czasem mnie zawodzisz. Ostrożnie wycelował i posłał pistolet agenta w wirujący lot. Mężczyzna zajęczał na złamaną rękę. Kohn spojrzał na niego, wzruszył ramionami i poszedł do kabiny. Silnik ciągle pracował. Zamachał na Janis. Pobiegła sprintem, jej jedynym manewrem było szerokie obejście dookoła mężczyzny, którego obojgu nie udało się zabić.

Gdy wyjeżdżali, drugi agent przebiegł przez ich drogę. Kohn zboczył, żeby go potrącić, ale nie trafił. Ostatnią rzeczą, jaką zobaczył w tylnym widoku przed wjazdem na pochylnię wyjazdu, był

przeobrażony cadillac, błyszczący w promieniu, który pasował do jego koloru i dźgnął prosto z nieba.

* * *

Janis spojrzała na dłonie. Drżały, żaden jej wysiłek nie mógł ich powstrzymać. Oczywiście, że nie, pomyślała, zirytowana na samą siebie i spojrzała na samochody przed nią. Przedstawione z niemal schematyczną ostrością przez gogle, ich spektrum kolorów dźgało w mroku, samochody, ciężarówki i cysterny jechały, płynęły, przesuwały się do tyłu i wyprzedzały. Niska prędkość względna wobec siebie, okrutnie duża z pobocza, z perspektywy pieszego. Lub konnego. Myśl wzbudziła uśmieszek.

Odwróciła się do Kohna. Coś mówił do mikrofonu, który był pochylony przed jego ustami. Zobaczył, że patrzy i przestał.

– Tylko kłócę się z Karabinem – powiedział. – Zdaje się, że został się pacyfistą.

Patrzył tak poważnie, że Janis się roześmiała.

– Przemyślałem to wszystko jeszcze raz – Kohn kontynuował – i wydaje mi się, że celowałem w głowę, a nie w nogę tego jeźdźca, który szedł na Ciebie. Karabin mówi, że uderzył w większy poruszający się cel. Kobieta, która mnie zaatakowała, miałem już ją zdmuchnąć, ale Karabin błysnął w tej chwili, że nie ma czasu na strzał. Zamiast tego musiałem złamać jej obojczyk.

– On nie interwerniował, kiedy strzelałeś do agenta, żeby go wykończyć. Ale. . . *nie* wykończyłeś go!

– Nie, to było info – powiedział Kohn. – Poszło w niego pięć kul. – Roześmiał się, nie odwracając się od drogi. – To tak jak mówiłem. Nie są ludźmi, przynajmniej, nie do końca.

– Mogłeś przetestować tę teorię na jego głowie. Czy znowu to był Karabin, powstrzymujący rękę?

Kohn skrzywił się.

– Nie. To tylko... to w porządku strzelić do kogoś, jeżeli padli, ale mogą być zagrożeniem, ale poza tym, już nie. Coś w tym rodzaju. Powinienem go zabić, wiesz. Ten zielony, którego załatwiłaś, przy okazji, bardzo dobra robota, nie możesz *wykończyć* kogoś tak po prostu. To tylko trep jak my, praktycznie. Rozbrój i zostaw, jeżeli nie możesz wziąć w niewolę lub pomóc. Stasis to inna sprawa. Oni nie są chronieni Konwencją, tajna policja jest jak szpiedzy w czasie wojny, jeżeli o mnie chodzi: każdy ma idealne prawo zastrzelić ich jak psa.

– Więc dlaczego tego nie zrobiłeś, cholera? – Była zaskoczona gniewem, który czuła.

Po chwili Kohn westchnął i powiedział:

– To tylko zły nawyk najemnika.

* * *

Nic nie wskazywało na pościg, ale zdecydowali, że będzie lepiej wkroczyć na terytorium ANR mniej bezpośrednią drogą niż początkowo planowaną przez Kohna. Odbili na wschód i wjechali do Edynburga od południa. Skręcili w lewo przy North British Hotel w ulicę Pretender Street, potem w prawo w Stuart Street, przez Charles Edward Street i wzdłuż długich wzgórz w kierunku the Firth of Forth. (Rada Miejska zmieniła tuzin nazw ulic w przypływie złości po Restauracji, i od tego czasu nikt nie śmiał zmienić ich z powrotem. Przy Granton Harbour Kohn ostrożnie prowadził ciężarówkę wzdłuż długiego kamiennego nabrzeża do drewnianego molo na końcu. Zatoka była pełna małych żaglówek. Olinowanie brzęczało o maszty. Dalej na zachód mogli zobaczyć na tle poświaty miast skręcone pozostałości Forth Bridge jak palce nieśmiałego dziecka zasłaniającego oczy.

– Wygląda na to, że droga się tutaj kończy – wskazała Janis.

– Musimy poczekać.

– Robiłeś to już wcześniej!

– Tak, ale nie tutaj.

Mniej więcej po godzinie – Janis drzemała, Kohn palił – usłyszeli dławienie się diesla. Trawler, jego fala dziobowa niezdrowo fosforyzująca, zielono-biało-niebieska bandera Republiki trzaskająca na rufie i osłonięty karabin maszynowy na dziobie. Zatrzymał się około dziesięciu metrów od nabrzeża.

– Wyjść z ciężarówki – powiedział ledwie podniesiony głos.

Zeszli z kabiny. Kohn zastanawiał się, w jaki sposób mieli się zidentyfikować.

– Kim jesteście?

Podali nazwiska.

– Dobra, dobra – powiedział głos. – Maszyny powiedziały nam, by na was czekać.

Łódź przybiła i lina została rzucona na molo. Kohn, raczej niezręcznie, owinął ją dookoła pachołka. Tuzin ludzi wysypało się z łodzi do ciężarówki, zamieniając towary w ładunek. Kiedykolwiek albo Janis albo Moh próbowali pomóc, grzecznie im odpowiadano, żeby nie przeszkadzali, a po trzecim razie tak zrobili. Ciężarówka została wycofana wzdłuż nabrzeża i odjechała, żeby zostać zwrócona do oddziału firmy najmującej w Edynburgu, wraz z dokumentami pokazującymi, że cały czas była gdzieś indziej. Janis i Moh zostali odprowadzeni na pokład, łódź odbiła i ruszyła przez wodę w kierunku ciemnego wybrzeża Fife.

– Śmieszne – zauważyła Janis, gdy stali w sterówce sącząc czarną herbatę – nie czuć rybami.

Kohn wydał duszony, parskający dźwięk, a sternik zarechotał.

– Od lat nie było tutaj *zapachu* ryb!

Ten komentarz potwierdził się, kiedy wylądowali w zatoce czegoś, co w rozszerzonej wizji Janis, wyglądało bardziej jak wymarłe miasto. Oczywiście kiedyś to był port rybacki, potem przystań turystyczno-jachtow Kilku ludzi, którzy tutaj żyli, byli w ANR. To nie był dokładnie punkt na linii frontu – nie było frontu – ale było to milcząco uznawane za granicę jednej z łat terytorium, które tworzyło Republikę. Strefa kontrolowana.

Dwa pojazdy czekały na nabrzeżu. Jeden był ciężarówką, żeby zabrać ładunek. Drugi był niskoprofilową wersją jeepa, humvee. Janis i Moh stali niepewnie na nabrzeżu z torbami i bronią. Wysoki mężczyzna i niski mężczyzna wyszli z humvee i podeszli do nich.

Wysoki mężczyzna nosił ciemny kombinezon z rzędem małych odznak, krajowych i partyjnych, na kieszenie piersi. Kohn rozpoznał to jako najbliższe temu, co ANR miało za mundur, i sądząc po dużej liczbie odznak małej wielkości, ten facet musiał mieć bardzo wysoką pozycję. Twarz mięsista, więcej mięśni niż tłuszczu, zrelaksowane usta, uszkodzone żyły na policzkach. Niski mężczyzna był prawie schowany w grubym płaszczu i kapeluszuu, w cieniu, którego jego delikatnie zbudowana twarz była oświetlona blaskiem papierosa. Tylko jedna osoba miała taki wygląd jak ten.

Wysoki mężczyzna uśmiechnął się i uścisnął dłoń, najpierw Janis, potem Moh. Znał ich nazwiska.

– Witamy w Republice – powiedział. – Nazywam się Colin MacLennan. Chciałbym, żebyście poznali mężczyznę, który bardzo chciałby was poznać. – Odwrócił się do niskiego mężczyzn z rozmachem.

– Nasz doradca naukowy, doktor Nguyen Thanh Van.

* * *

– Musimy zbadać dokładnie wpływ gnostycyzmu, prawda, ponieważ tam możemy dostrzec poważny sprzeciw wobec mizoginii

Pawła, ok, który potem objawił się w tak zwanych herezjach Średniowiecza…

Bleibtreu-Fèvreześlizgnął się na bok, spróbował szaleńczo chwycić uchwyt, złapał coś jak włosy i spadł ze zwierzęcia po raz piąty. Pobiegł za bestią i ponownie wsiadł, podczas gdy czworo anarcho-barbarzyńskich terorystów uprzejmie patrzyło w bok. Prawie marzył o tym, że leży przypięty do karku konia, jak Aghostino-Clarke. Z drugiej strony, gdyby obaj byli bezbronni, nie udałoby mu się ochronić przed zamordowaniem i sprzedażą wszczepów na czarnym rynku.

Konie wybierały drogę w dół stoku wzdłuż ledwie widocznej ścieżki pomiędzy brzozami. Woda kapała na nich i dodawała złość do niewygód. Gdy tylko był mniej lub więcej usadowiony na koniu, lider gangu, Dilly Foyle, kontynuowała swoje entuzjastyczne wyjaśnienia swoich idei politycznych. Była NF: Narodową Feministką. Patriarchat, jak już to mu przedstawiła dość szczegółowo (jak dotąd około pięciu kilometrów), był wynalazkiem Żydów, co było oczywiste na podstawie Biblii. Jego funkcją było wspieranie bezpłodnych mieszkańców miast w ich walce przeciwko wolnym barbarzyńcom, przez zwrócenie wolnych barbarzyńców przeciwko wolnym barbarzyńczyniom. Już mu przedstawiła swoje oszacowanie optymalnej ludzkiej populacji na planecie: około pięćdziesięciu milionów.

– …oczywiście cała obrona żyjących w miastach, którzy niszczą teraz świat, pochodzi nie całkowicie, ale głównie od ludzi, którzy się przystosowali, mógłbyś nawet powiedzieć, zdegenerowali…

Jasne, że mógłbym, pomyślał.

– …w zależność, a istnieje tylko jedna grupa etniczna, która była dosłownie miejska bez przerwy przez tysiące lat. Nie mówię tego jako antysemitka, bynajmniej, ale myślę, że to nie przypadek,

że socjalizm i kapitalizm to dwie główne ideologie industrialistów, a kiedy dowiesz się, że Tony Cliff naprawdę się nazywał Ygael Gluckstein, a Ayn Rand to Alice Rosenbaum...

Znowu spadł z konia. Po kilku dalszych upadkach i statystycznej analizie etnicznego składu własności mediów, które były tylko w mniej więcej stu procentach błędne, Bleibtreu-Fèvre wymamrotał, że z pewnością spojrzy na te sprawy tak szybko, jak to możliwe. Foyle podziękowała mu za zainteresowanie i popadła zamyśloną ciszę, która martwiła go bardziej, niż kiedy mówiła.

Lepiej spalić jedno miasto niż przekląć ciemność... gdzie już to słyszał? Bleibtreu-Fèvre przeklinał ciemność i przeklinał spójne światło, które spaliło samochód. Cholerna Obrona Kosmiczna. Był pewien, nadal, że nawet nie byli w sprawie, to był tylko ich sposób na rozwiązywanie sporów jurysdykcyjnych, tak jak załatwiali naruszenia kontroli zbrojeń. Nie lubili Stasis i szczególnie nie lubili Stasis strzelającej do ludzi. Wszystko by się dobrze ułożyło, gdyby ci cholerni zieloni nie byli tak niekompetentni. Oczywiście, wiedział, że cel zabijał zielonych zawodowo, ale jego kontakty poręczyły za tych. Żadnych niedoświadczonych sabotażystów badań naukowych, ale prawdziwi partyzanci, którzy okazjonalnie walczyli z samą rodzimą armią. Tyle dla dla rodzimej armii. Bardziej prawdopodobne, że wykupili ją.

Stało się jasne, że ścieżka biegnie po przekątnej zbocza wzgórza. Drzewa stały się rzadsze i zostały zastąpione zaroślami kolcolistów, potem przez mokrą trawę łąk. Krowy ignorowały ich przejście. Usłyszał wodę i szczekającego psa. Minęli jakieś tradycyjne budynki nietechnicznego rolnictwa organicznego: kopuły Fullera, chaty Nissena[3], generator energii wiatrowej. Poobijane stare samo-

[3] rodzaj stalowych baraków popularnych w okresie II wojny światowej, zob. `https://en.wikipedia.org/wiki/Nissen_hut` – przyp.tłum.

chody z butlami na dachach, które śmierdziały metanem. Konie szły teraz po kamieniach obrysowanych mchem. Zatrzymali się i ci, którzy mogli, zsiedli z koni.

W ciągu minuty ludzie z zielonej gminy byli dookoła, zaczynając pomagać ich trzem zranionym towarzyszom. Bleibtreu-Fèvre, ze znikomą bezpośrednią pomocą od zielonego, który twierdził, że jest tradycyjnym uzdrowicielem i miał, jako dowód, kości w uszach, podniósł Aghostino-Clarke z konia i położył go na noszach. Czarny mężczyzna zajęczał i otworzył oczy.

– Wszystko będzie w porządku – powiedział Bleibtreu-Fèvre.

– Co... się stało?

– Dziwka celu Cię postrzeliła. A potem cel Cię postrzelił. Mógłby zabić, ale tego nie zrobił.

– Powinien... – wymamrotał Aghostino-Clarke i znowu zamknął oczy. Bleibtreu-Fèvre pomacał ramię delikatnie, aż znalazł płytkę z lekami, na równi ze skórą, i wcisnął kod kolejnej dawki morfiny. Jego kolega miał dostatecznie dużo bioniki, prostetyki i obejść wbudowanych w niego, żeby przetrwać, tak długo, jak żadne z *ich* nie było trafione.

Przenieśli rannego do domu oddzielnie od innych rannych, którym była udzielana pomoc lub byli transportowani do ich własnych mieszkań. Bleibtreu-Fèvre wbił kod psychostymulantów i usiadł przy oknie aż do świtu. We wczesnym świetle zobaczył to, na co czekał: mały automatyczny helikopter, zdalny, dryfując wzdłuż mokrych pastwisk.

Wyszedł na zewnątrz, żeby porozmawiać przez to. Ledwie skończył przekazywać wiadomość, żeby później zorganizować transport, kiedy wyczuł obecność Dilly Foyle z boku, patrzącą podejrzliwie na unoszący się owadzi kształt przez celownik kuszy.

– Wszystko w porządku – powiedział jej. – Tak bardzo chcemy

zachować to w tajemnicy tak jak wy. – Mała maszyna zabrzęczała w kierunku niskich chmur. Foyle ciągle mierzyła do niej. – Pamiętaj, co powiedział Jezus.

Maszyna zniknęła z widoku.

– Co?

– Nie martw się o ”drzazgę” – powiedział ponuro Bleibtreu-Fèvre. – Martw się o belkę. [4]

---

[4] nawiązanie do Mt 7,3-5 w tłum. Przekład toruński „A czemu widzisz drzazgę w oku swojego brata, a nie dostrzegasz belki w swoim oku?” – przyp.tłum.

Rozdział 14

Upiory Albionu

Otaczał go pokój. Cisza grała mu w uszach.

Kohn oparł się o balustradę werandy i odetchnął głęboko czystym powietrzem, mieszającymi się zapachami sosny i kreozotu. Odbicie najbliższego pasma wzgórz w morskim loch tworzyło wolno poruszające się sinuosidy na wodzie. Za tym pasmem inne wzgórza malały, pasy na pasach, każde jaśniejsze i mniej materialne aż ostatnie było niewidoczne w błyszczącej szarości nieba. Długie wały chmur czaiły się wąwozach pomiędzy wzgórzami jak sterowce czekające na sygnał heliograficzny do wzlotu. Zalesione stoki, na których stały niskie drewniane domy, opadało ostro przed nim, aż do podniesionej plaży z kolejnymi rozrzuconymi domami – kamień i beton tym razem – a dalej było kolejne zbocze w dół około dziesięciu metrów do brzegu.

Jego napad kaszlu odbił się echem jak strzelanina.

Jeździe w humvee i przelotowi helikopterem, które sprowadziły ich tutaj, nie towarzyszyły kompletnie żadne wyjaśnienia. MacLennan i Van zapewnili ich, że wszystko zostanie wyjaśnione. W helikopterze Van wpadł w napiętą, nerwową *rauchen verboten* ciszę, podczas gdy MacLennan opowiadał o sytuacji międzynarodowej. Japończycy ponosili ciężkie straty na Syberii. Koalicja demoludów z obu stron rzeki Ussuri wystawiły siłę, która wspaniale nazwała

siebie Związkiem Chińsko-Radzieckim. Pozostałości hołoty armii czerwonych... MacLennan był entuzjastyczny na ten temat. Szczególnie podziwiał sposób *na Sìnesov* (jak byli nazywani tutaj) uderzyli najmocniej, kiedy Japończycy byli zajęci sporem o zbrojenia z Jankesami.

– Przedmieścia Kyoto – wymamrotała Janis. – Lasery, wyniszczenie atakami chirurgicznymi. – Poszła spać niezauważenie oparta o ramię Kohna, podczas gdy MacLennan docenił jej erudycję. Kohn ledwie mógł zapamiętać, że musi iść spać, ale pamiętał swoje sny, pełne koloru i bólu. Sny mogły okazać się problemem. Mógł przypomnieć sobie każdy ze snów, od kiedy połączył się z umysłem w maszynie. Wszystkie bez znaczenia, wszystkie losowe rekonfiguracje wydarzeń dnia lub rzeczy, które były jego myślami: mógł je dopasować jak w słowniku danych. Zastanawiał się, czy AI miała podobny problem, ponieważ patrzyła na *jego* odbicie. Czy AI śnią w elektrycznych snach?

Miał nadzieję, że ta miała nanosekundowe koszmary.

* * *

– Cześć – powiedział gruby głos za nim. Przeszedł przez przesuwne szklane drzwi do sypialni. Janis siedziała, kołdra wciągnięta wokół niej. Dała mu krótkiego, lepkiego całusa, potem poprosiła o kawę i zniknęła znowu pod kołdrą. Kohn poszedł do kuchni i nalał dwa kubki z dopiero co napełnionego dzbanka ekspresu do kawy. Prawdopodobnie dźwięk i zapach ją obudziły.

– Boże – powiedziała Janis kilka minut później. – Już lepiej. Gdzie jesteśmy?

– Wester Ross, zdaje się – powiedział Kohn. – Dookoła jest tutaj kilkanaście innych domów takich jak ten. Prawdopodobnie domy dla pracowników biurowych kompanii naftowych, kiedyś.

– Która godzina?

– Ósma trzydzieści dwie.

– Och. – Janis spojrzała na niego, dziwne spojrzenie. – Nie powinieneś założyć jakichś ubrań?

– Jeszcze nie.

* * *

Jej bezładne czerwone włosy dookoła jej na poduszcze, biała skóra przekształcona we wzmagający wypiek, zielone oczy, które nie zamknęły się, nawet gdy jej usta otwarły się w wysokim gie uśmiechu, który mówił, mamy zapłon, start. . . Kochał ją za to wszystko.

To była Janis, która obudziła się pierwsza, pół godziny później, budząc go w tym samym momencie.

– Co. . . ?

Usiadła i spojrzała na niego z błyskiem triumfu, cieniem alarmu.

– Już pamiętam. Doktor Nguyen Thanh Van. Wiedziałam, że brzmi znajomo!

Kohn uniósł się na jednym łokciu, zbliżając skórę w zasięg jej ciepła.

– Wyjaśnij.

Położyła się koło niego i spojrzała się w sufit, jak gdyby czytała z niego.

– Nguyen Thanh Van. Doktorat, Uniwersytet w Hanoi: *Kontynuacja efektów genetycznych dioksyn w dysktrykcie Ben Tre*, wykładowca, Instytut Politechniczny w Hue, 2023 do 2027. Obecnie koordynator projektów dla Da Nang Phytochemicals. Prawdopodobnie jeden ze sponsorów moich badań, cholera, mam wystarczająco dużo jego odbitek. Więc co robi tutaj w ANR?

– Myślisz, że to było ANR, które włamało się do Twojego laboratorium?

– Nie, ja... dlaczego o tym pomyślałeś? Brzmi coraz bardziej prawdopodobnie, im dłużej nad tym myślę. Cholera, *tak*. Nie dziwaki, oni by rozwalili miejsce. Nie szpiegostwo akademickie, oni by zhakowali dane. Nie państwo, oni po prostu weszliby i zajęli siłą. Ktoś, kto chciał fizyczne produkty, ponieważ nie mógłby ich łatwo odtworzyć, ale ktoś, kto wiedział co z nimi zrobić. Jednak dlaczego by to zrobili? Nie są przeciw technice.

– Oszołomy zaatakowali blok AI w tym samym czasie, czy mógłby to być przypadek? – Kohn przesunął czubki palców dookoła jej imponująco płaskiego brzucha, jak gdyby rysował. – Lub wspólna akcja? Niee, to było zbyt cyniczne, ANR naprawdę nienawidzi oszołomów. Ale dlaczego ich nienawidzą, a*ha*! Mam!

– Ała.

– Przepraszam. Spójrz, to idzie tak. ANR jest zaangażowane w Kabel, to w końcu dziecko Republiki, nie wspominając o Czarnym Planie. Po systemach państwowych i bezpieczeństwa, ich największym wrogiem musi być kampania paskudnych wirusów Donovana. Zatem przynajmniej muszą pilnować działania SeŻeWu, faktyczne i wirtualne. Aha. Wiedzieli o rajdzie i skorzystali z możliwości.

Janis wzruszyła ramionami.

– Ok, ale ciągle nie rozumiem, dlaczego mieliby być zainteresowani w moich badaniach.

– Ponieważ jest to część *ich* badań? – Kohn usiadł z szarpnięciem, potem odwrócił się i złapał ramiona Janis. – Czy cała ta sprawa miała być przeznaczona dla mnie, przez cały czas planowana? Czy cały Twój cholerny projekt był zorganizowany, tylko żeby pobudzić moją pierdoloną *pamięć*?

– Nie – odparła Janis. – To szalone. To jest zbyt paranoiczne.

To go nie uspokoiło. Poczuł napięcie w mięśniach żołądka i szczęki

i zmusił je do uspokojenia. Przetoczył się na plecy i pozwolił ramieniu opaść swobodnie z boku łóżka. Jego palce dotknęły Karabinu.

Karabin! Położył jedną dłoń na podłodze, a drugą wyciągnął Karabin na łóżko i na kolana.

– Co... – Janis też usiadła, gdy Moh podłączył sprzęt komunikacyjny broni i grzebał w swoich goglach.

– Twój projekt był ostatnią rzeczą, po jaką posłałem programy śledcze Karabinu – wyjaśnił – zanim to wszystko się zaczęło i ściągnęło dziwne rzeczy... Zapomniałem zapytać, co zostało znalezione.

– Odszukaj projekt definicja Taine/Brunel – powiedział broni.

– Hej, to może być...

Białe światło zaświeciło się w gogle, biały szum zagrzmiał w słuchawkach. Kohn przeklął, uchylił się i zerwał ekwipunek z głowy.

-... ryzykowne. – Skończyła Janis. – Wszystko w porządku.

– Co do cholery to było?

– Programik strażniczy – powiedziała Janis. Brzmiała lekko rozbawiona. – Jedna z tych wewnętrznych uniwersyteckich ćwiczeń bezpieczeństwa, o których byłeś tak *uszczypliwy*. Twój karabin musiał to zapisać.

Kohn potarł oczy i uszy.

– *Wywal to*! – warknął do Karabinu, który ciągle tracił energię na zaciskanie jego zębów. W oddali brzmiący pisk zniknął.

– Coś poza tą osłoną? – spytała Karabinu.

– Nie... przetłumaczalne – wyszło z małego głośnika, przez co brzmiało jak wysiłek.

– I tyle z tego.

Janis znowu zabrała kołdrę.

– A może pójść na około? – zasugerowała. – Może mógłbyś zadzwonić do Jordana stąd, zobaczyć, może mógłby to zhakować?

Kohn rozejrzał się po pokoju i znalazł znajomą, białą, plastikową płytkę portu sieciowego nisko na jednej ze ścian.

– Mógłbym, gdybym chciał – powiedział wolno – ale… zostawiłem wiadomość dla niego, żeby rzucił sprawę i ruszył dalej, i zabezpieczyłem Karabin nawet przed krótkofalówkami, ponieważ… cóż, plotka, którą słyszałem, była taka, że pewne poziomy bezpieczeństwa mogły być niesolidne, dobra? To dlatego femininistki były tak nieśmiałe co do kontaktu. Małe ryzyko, ta, ale tego niewarte.

Janis spojrzała na niego w ciszy. Położył zimną dłoń na jej ciepłym ramieniu i delikatnie ścisnął.

– No weź – powiedział. – Wstańmy, zobaczymy, jakie zapasy dla nas ma nasza nowa republika.

Dom miał tylko najbardziej podstawowe zaopatrzenie. Coś w zapachu miejsca powiedziało, że nie było ostatnio zajmowane. W małym pokoju na górze, przy oknie górującym nad loch, stało biurko z terminalem. Kohn spojrzał na terminal i spojrzał w dal, przez okno. Poniżej, wioska była cicha, cisza przerwana po kilku minutach odległym dźwiękiem zbliżającego się humvee.

Janis pojawiła się, wycierając włosy.

– Miękka woda – powiedziała. – A teraz co zrobimy w sprawie śniadania?

Moh wskazał za okno.

– Myślę, że jest w drodze.

Kiedy humvee podjechał, zeszli na dół i stali mrugając w słońcu, mrużąc oczy, żeby zobaczyć MacLennan i Vana stojących na progu. Obaj nosili chinos i rozpięte koszule, nieśli duże brązowe torby papierowe.

– Śniadanie, obywatele – powiedział MacLennan.

– Dzięki – powiedział Kohn, zapach świeżych bułek i bekonu

przypomniał mu, ile czasu minęło od ostatniego posiłku. – Wejdźcie.

Kohn i MacLennan wyciągnęli stół i cztery krzesła na werandę. Van, który wydawał się zaznajomiony z wyposażeniem domu, pomógł Janis znaleźć sztućce i talerze. Kiedy jedli, obaj przedstawiciele ANR celowo unikali rozmawiania o wszystkim prócz pogody i jedzenia. Van palił Marlboro, mniej więcej pomiędzy gryzami. Kohn zaakceptował jednego po skończeniu jedzenia. MacLennan przechylił krzesło do tyłu i zaczął napełniać fajkę. Janis stanęła pod wiatr od wszystkich trzech, podparła się ramionami i wskoczyła na balustradę werandy, pochyliła się do przodu, łokcie na kolanach.

– Dobra? – powiedziała.

– Dobra, w rzeczy samej – powiedział MacLennan. Miał mocny akcent Highland lub może z Wysp, zarazem gardłowy i nosowy, fala nośna białego szumu w jego głosie. – Chcecie jakichś wyjaśnień. Tak jak my. Nie jesteśmy wcale szczęśliwi tym, co się dzieje w systemie ostatnimi dniami. W ogóle – powtórzył wolno, dźgając cybuchem fajki i marszcząc brwi na Kohna. – Co . . . zrobiliście?

– Skąd wiesz, że cokolwiek zrobiłem? – spytał Kohn.

– Wiemy, kim jesteś – powiedział MacLennan. – Wiemy o Twoich rodzicach i podejrzewamy, że uwolniłeś coś, co Twój ojciec zostawił w systemie.

– Jak to?

– Powiem Ci – powiedział Van. – Po pierwsze, zakładam, że znacie moją pracę i moją pozycję?

Janis pokiwała głową, a Moh powiedział:

– Tak, powiedziała mi. W jaki sposób zostałeś doradcą naukowym ANR?

– Zostałem oddelegowany na to stanowisko przez bratnią organizację, Lao Dong.

– Aha – powiedział Kohn. *Oczywiście*, byliby sojusznikami.

Janis zmarszczyła brwi.

– Co to znaczy?

– To, co znasz jako Wietkong – wyjaśnił Van – ma rdzeń, który ma wiele nazw. Obecnie jest nazywaną Partią Pracujących Wietnamu: Lao dong Viet nam.

– Za czym się opowiada?

Plecy Vana wyprostowała się, gdy powiedział:

– Zjednoczenie narodowe. Niepodległość. Ekonomia wolnego rynku.

– Aha, racja – powiedziała Janis. – Komuniści. – Brzmiała, jak gdyby coś właśnie nabrało sensu.

– Prawidłowo – powiedział dumnie Van. – Zawsze uważaliśmy, że nic nie jest cenniejsze niż niepodległość i wolność.

– Przyjmuję, że to nie stosuje się do Da Nang Phytochemicals – powiedział krzywo Janis.

Van roześmiał się.

– To nie jest firma-przykrywka, jeżeli właśnie o tym myślisz. Ale… – Przerwał, jego wzrok skupił się na rozjarzonej końcówce papierosa. Spojrzał na nich. – Przynajmniej nie dla mojej Partii. Niektóre z naszych badań były, teraz zdałem sobie z tego sprawę, koordynowane przez pewne inne organizacje. Większość tego była nieszkodliwa, tworzenie baz danych sekwencji genów tak wielu gatunków jak to możliwe.

– Projekt Genomu? – Kohn przypomniał sobie, że czytał o tym, dyskusja rozpaliła sieć na, hm, godziny na temat czy jest korzystny, zachowawczy środek, czy raczej oszustwo bezlitosnych firm farmaceutycznych posiadanych przez Yanomamo.

– To, tak – powiedział Van. – Jednakże wydaje się, że innym obszarem były badania uczenia się i pamięci…

– Nie wiedzieliście, co robiłam? – spytała Janis.

– Och, nie – odpowiedział Van. – W ogólnych terminach. Jednak nie, żeby badania naruszyły wskazówki zaawansowanej technologii. Kilka dni temu, dowiedzieliśmy się – machnął dłonią z papierosem – ze źródeł, które nie muszą was martwić, że Stasis ma zamiar przeprowadzić audyt Twojego laboratorium. Zaaranżowaliśmy z towarzyszami z ANR ratunek dla kilku próbek.

Spojrzał się znacząco na Janis.

– Nasi przedstawiciele byli pod wrażeniem Twojej zimnej krwi przy niewspominaniu tego incydentu.

Janis zarumieniła się z dumy lub zażenowania.

– A potem coś się zdarzyło – kontynuował Van. Opowiedział im o Izbie Rozliczeniowej (– Znaczy, że naprawdę istnieje? – wtrącił Kohn) i co zdarzyło się potem. Kohn poczuł ponurą ulgę, gdy dowiedział się, że inni poza nim samym wierzyli, że w jakiś sposób uruchomił powstanie nowej AI. Czyli w końcu jednak nie oszalał.

To była, pomyślał, raczej egoistyczna ulga.

Przygryzał język, gdy Van wspomniał wzorce ekstraktów danych biologicznych ze spółek zależnych od firmy Vana i kiedy opisywał pozyskanie rekordów USA/ONZ, jak jego nazwisko doprowadziło ich do plików o jego ojcu. Powód, dla którego plan odnalezienia go przez Donovana i Bleibtreu-Fèvre nie doszedł do skutku, był taki, że nie wiedzieli, że Van jest jeszcze wyżej w radach Lao Dong, niż był w firmie. W ciągu minut Van zaalarmował ANR, która wysłała najbliższych agentów, pielęgniarkę i urzędniczkę Banku Ciał, do wydostania Cat i wciągnięcia Moh. Van wtedy złapał następny prom do Sydney i podorbitalny do Glasgow.

– I stamtąd do strefy wyzwolonej – zakończył, uśmiechając się przez obłok dymu. – Teraz, może bylibyście tak dobrzy i wprowadzili nas, jak przeżyliście ostatnie wydarzenia.

Kohn wygrzebał jednego z Marlboro Vana, przedłużając zapalanie, jednocześnie myśląc szybko. Nie było sposobu nadania temu sensu bez opowiedzenia im wszystkiego, włączając Gwiezdną Frakcję. Czy to zdradziłoby tajemnicę, którą Josh chciał zachować przed ANR, nawet przed własną Partią i Międzynarodówką? Było zbyt późno na to, zrozumiał, jakikolwiek tajny program Josh wbudował w Czarny Plan, jakąkolwiek organizację stworzył i... zaprogramował... była teraz czynna, działając w realnym świecie. Należało założyć, że była silna i że próbowanie zrozumienia było najlepszym, co każdy mógłby zrobić. Więc powiedział obu mężczyznom wszystko z pomocą Janis, by sprawy były jasne. MacLennan zmarszczył brwi, kiedy wspomnieli Czarnego Stratega i wydawał się na tyle zmartwiony, żeby poruszyć ten temat, kiedy skończyli.

– Nie było Czarnych Strategów – powiedział z niezachwianą ostatecznością. – To jest... dezinformacja, którą wypuściliśmy. Twarz, którą ten facet Jordan zobaczył, musiała być interfejsu samego Czarnego Planu. Nie, żebym przypominał sobie takie widzenie – dodał z namysłem – ale, hmmm, system ma swoje sposoby robienia rzeczy.

– Co, dokładnie, robi Czarny Plan? – spytała Janis.

Moh pochylił się do przodu, słuchając uważnie, jak MacLennan wyjaśniał system w perspektywie funkcjonalnej. Bloki kodu, zapamiętane z godzin i dni przed ekranem ojca, pojawiły się i przeszły przez jego umysł jak najwidoczniej nieistotne obrazy, które czasem zauważał w cieniach myśli, podczas gdy pracował nad złożonymi obliczeniami, półcienie liczb.

Plan, dano im do zrozumienia, pobierał informacje ze źródeł, które wahały się od indeksów rynków kapitałowych do raportów aktywu, przesiewał je przez procedury analizy wiadomości, przeliczał liczby w systemie komputerowo wspomaganej logistyki CAL, po-

tężnym silnikiem analitycznym z rdzeniem opartym o matryce Leontiefa[1]. Potem wyciągał własne wnioski w dwutorowym procesie: z systemu eksperckiego, którego reguły były zbudowane przez lata ze streszczeń doświadczeń politycznych i siecią neuronową, która wymyślała nowe reguły, tworzyła nowe hipotezy, gdy działała.

– A potem dotarliśmy do ostrego końca. Lubimy to nazywać destrukcją o czasie – podsumował MacLennan, ślad humoru w jego poważnym, cierpliwym głosie. – Zbieramy składniki dla jakiejś szczególnej akcji tak późno, jak się da przed akcją, i staramy się, aby te składniki były tak nieszkodliwe same sobie tak długo, jak się da. Kiedy zjadą się razem, bang. Sprawa ze spadochronami jest jednym przykładem.

– Gdzie – powiedział wolno Moh – jeżeli nie masz nic przeciwko pytaniu, te wszystkie programy tkwią?

MacLennan wzruszył ramionami.

– Są rozproszone. Nie ma jednego centrum, żadnego wielkiego komputera pod wzgórzami. Dzielą czas procesora na dowolnym hardware, do którego mają dostęp, co dzięki Hipokrycie, jak zgadujesz, oznacza dosłownie wszędzie. Jak również, oczywiście, mamy swój własny hardware, dla systemowego software ze starej Republiki i tego, co zostało stworzone od tego czasu.

Janis zmarszczyła brwi na przedstawicieli ANR z jej grzędy na balustradzie.

– To, czego ja nie rozumiem to, skąd macie środki materialne dla swoich, eh, akcji?

– Rozkazujemy im! Przekierowuje je z tego, tamtego i innego

[1] model ekonomiczny, który przedstawia zależności pomiędzy sektorami gospodarki regionalnej lub narodowej, zob. `https://en.wikipedia.org/wiki/Input%E2%80%93output_model` – przyp.tłum

miejsca! Trudno to nawet zauważyć. Kiedy musimy zapłacić, generujemy pieniądze.

– Brzmi nieco niemoralnie – powiedziała Janis.

– Och, racja, tak – zgodził się wesoło MacLennan. – Ale prowadzimy wojnę, rozumiesz, jako legalny rząd. Więc robimy to akceptowanymi metodami, opodatkowanie i inflacja, tak jak robią to rebelianci.

Rebelianci? Kohn pomyślał, zmieszany na chwilę obrazem mentalnym insurekcji w obrębie własnych stref ANR (może Karliści, zwolennicy Nowego Pretendenta) i potem kliknęło. Z punktu widzenia Republiki, to nie było montowanie powstania, ale jego tłumienie.

– Więc to dlatego inflacja jest ciągle nieco wyższa, niż powinna być – zauważył Kohn. – Często się nad tym zastanawiałem.

Wszyscy się roześmiali. MacLennan wystukał fajkę, wzywając spotkanie do porządku.

– Nie wiem co to ta „Gwiezdna Frakcja" – powiedział. – Ale powiem Ci, wewnętrzna ochrona Republiki na pewno się dowie. Towarzysze trockiści będą mieli dużo do wyjaśnienia.

– Nie wiem, czy to ma cokolwiek z nimi wspólnego – powiedział Moh zaniepokojny myślą o wyzwoleniu polowania na czarownice. – Myślę, że to jest bardziej rozprzestrzenione niż to i nie sądzę, że to jest polityczne.

– Zobaczymy – powiedział ponuro MacLennan. – Nie mówimy tutaj o czystce – dodał. – Musicie to zrozumieć, Kohn, Taine, i doktor Van. Josh Kohn mógł być, och nie wiem, słyszałem ludzi, którzy go znali, mówiących, że jest geniuszem w tym, co robi, ale nie widzę, jak mógłby stworzyć AI wszystkie te lata temu. Musi dziać się więcej, a my musimy się dowiedzieć. Sama idea, że to, co robimy, jest manipulacją AI, jest niepokojąca. Delikatnie mówiąc.

– Zakładając, że to, co tam jest to AI – powiedział Kohn. – W każdym razie, co teraz robi?

– Nie wiemy – przyznał Van. – Wiemy, że występuje... aktywność, której nie rozumiemy, i wiemy, że przynajmniej niektórzy z naszych wrogów są tego świadomi. Interfejsy, które mamy z Planem nie zgłaszają żadnych problemów, ale z pewnością docenisz, że musimy być pewni, że przynajmniej nasze systemy są pewne.

– Na ostateczną ofensywę – powiedział Kohn, próbując zabrzmieć, jak gdyby w to wierzył. Używał tego wyrażenia ironicznie tak często wcześniej, że trudno teraz było użyć go na poważnie.

MacLennan i Van kiwnęli głową. Wierzyli w to.

– Tak czy inaczej, kiedy jest ta ostateczna ofensywa? -spytała Janis.

– O właściwym czasie – powiedział MacLennan. – Żaden z nas nie wie. Wiemy z ogólnej politycznej sytuacji, że istnieje okno możliwości, dni, tygodnie maksymalnie, w których powstanie ma dużą szansę na sukces. Nasze siły zajmują pozycje, nasze bronie są prawie gotowe. Plan może zapewnić nam kolejne dokładny czas uderzeń, do godziny i sekundy. Jednak abyśmy się zaangażowali, musimy wiedzieć, że Plan nie został skażony przez nowy byt w systemie.

– Chcecie powiedzieć, że Plan organizuje to wszystko? – Nawet po wszystkich spekulacjach, Kohn ciągle nie mógł do końca zaakceptować idei. A MacLennan był zmartwiony możliwością manipulacji przez AI! Czy facet nie widział tego, co miał przed sobą? Przypomniało mu się, co Jordan powiedział o Czarnym Planie: „To ma swoją własną cholerną *armię*."

– Ostateczna decyzja spoczywa na Radzie Armii – wyjaśnił MacLennan. – Jednak prawie nie zlekceważyliby najlepszej rady, która w sytuacji tej złożoności... – rozłożył ręce, uśmiechając się.

– Zastanawiam się, jak sobie poradzą Ho, Dung i Giap[2] – powiedział Kohn.

Van rzucił mu spojrzenie spod zmrużonych oczu, nie do końca aprobujące. Zgasił papierosa i, po chwili niejasnego zakłopotania, zapalił kolejnego.

– Moglibyśmy działać bez systemu, tak, ale nie teraz. Nie ma czasu na wojskową rewolucję przed... *taką* rewolucją. – Roześmiał się. – Jak powiedział Trocki, trudno jest zmienić konie na środku rzeki. Jednak stoimy wobec zmian w samej rzece. Stąd to, co chcemy, żebyś zrobił. – Zawahał się, spojrzał z boku na MacLennan, który z niepodzieloną uwagę przyglądał się fajce.

– Tak? – Kohn wiedział, jaka będzie odpowiedź. Jego serce waliło, gdy myślał o zmianie w to „światło, które nie było światłem", wobec czego waga lęku pomnożyła się.

– Zrób to, co zrobiłeś wcześniej – powiedział Van nieszczęśliwie. – Spróbuj porozumieć się z tym bytem. Dowiedz się, czy Plan jest nadal ważny.

Kohn poczuł, jak gdyby wszystko zwolniło, tylko z drżeniem w rękach, jak migotanie ikony zegara, które mówiło mu, że czas mijał. Sekunda, po sekundzie, po sekundzie. Bał się, bał, bał. Usłyszał własny głos w głowie, smarkaty, szorstki, sprzed lat: *Szukam pewnych odpowiedzi.*

– Dobra – powiedział. Wstał, przeciągnął się i uśmiechnął się do wszystkich. – Będę potrzebował terminala, mojego Karabinu, próbek leków, jakiś psychostymulantów i pół paczki skrętów z filtrem. – Spojrzał na chwilę w dal, potem westchnął. – Średnia smoła.

---

[2] mowa o Giap `https://pl.wikipedia.org/wiki/V%C3%B5_Nguy%C3%AAn_Gi%C3%A1p` Dung – `https://en.wikipedia.org/wiki/Nguy%E1%BB%85n_T%E1%BA%A5n_D%C5%A9ng`, Ho to `https://pl.wikipedia.org/wiki/H%E1%BB%93_Ch%C3%AD_Minh` – przyp.tłum.

* * *

Moh częściowo oczekiwał, że zostanie zabrany w środku nocy do jakiegoś bunkra głęboko w górze, pełnego maszyn, ekranów, zajętych pojazdów elektrycznych, ludzi w eleganckich kombinezonach poruszających się celowo... Gdy tylko się zgodził to zrobić, MacLennan wyciągnął telefon i zadzwonił. Van poprosił Janis, żeby z nim weszła do środka. Kilka minut później ciężarówka wdrapała się po drodze z wioski i dwóch mężczyzn (jak to bywa) w eleganckich kombinezonach zaczęło rozładowywać ekwipunek i wnosić go do domu. Po tym, gdy odjechali, MacLennan zaprowadził go do małego pustego pokoju na pierwszym piętrze domu, z widokiem na loch. Łóżko polowe i trzy krzesła biurowe zostały wstawione, a terminal na stole posiadał teraz imponujące układy komunikacyjne dookoła. Jego Karabin, gogle i duża popielniczka dopełniały wystroju.

– Wspaniały widok – powiedział.

Van dołączył do nich i wraz z MacLennan zaczęli uruchamiać maszynę, rozmawiając cichym głosem. Janis weszła, taca, którą niosła, wydawała ciche brzęczące dźwięki. Postawiła ją ostrożnie.

– Pewne podejrzanie znajome preparaty pojawiły się w lodówce – powiedziała. Spojrzała na cienkie, zamknięte probówki. – Pamiętasz, którą otworzyłeś?

Kohn porównał napisy, które zobaczył z tymi zapamiętanymi i przytaknął.

– Spróbujmy najpierw bez leków – powiedział nagle. – Psychostymulanty i skręt powinny wystarczyć.

Van patrzył z powątpiewaniem.

– Nie mamy dużo czasu na eksperymentowanie – powiedział.

Kohn poczuł przypływ niecierpliwej frustracji. Wiedział, że narkotyki nie były potrzebne: wyczuwał pewnie, że coś na haj i coś na wyostrzenie były wszystkim, czego potrzebował.

– Zróbmy tak, ok.

Usiadł przy biurku i podłączył hełm, gogle, karabin i terminal przewodami i wtyczkami. Połknął kilka tabletek psychostymulantów i rozerwał celofan na świeżej paczce Goldów, którą Van podał mu w ciszy. Zapalił Zippo i zatrzasnął, głęboko się zaciągnął i włączył terminal.

(– Jesteś Karabinie?)

(– Tak)

(– Szukaj jak wcześniej.)

Czas odpowiedzi był dostatecznie oczywisty, żeby przekonać go, że jakiś całkiem potężny zestaw był fizycznie blisko. Wyobrażony bunkier dowodzenia mógł być pod ich wzgórzem. Software użytkownika był dla niego nowy, minimalnie przyjazny, przycięty do wojska, radykalnie nielegalny. Wybrał moduł treningowy. Moduł rzucił się na niego przez szorstki tutorial o bandytyzmie danych, korupcji rdzenia i naruszeniach dostępu, i wyrzucił go w module, który łączył powaby biblioteki i regału z bronią. Pierwsze menu oferowało bazy danych korporacji w podziale na przemysł. Czas na duże sprawy: wybrał Komunikacja.

Po kilku minutach zanurzania i wynurzania się z oburzających sald bankowych i ignorowania niedbale podanych opcji plądrowania Kohn wzniósł się do poczucia przyglądania się nieskończonym rozgałęzionym korytarzom. Zachichotał na łaskotanie formującego się nowego połączenia synaps. Zgasił skręta i pozwolił obu dłoniom pracować, tkając tam i z powrotem z danych Karabin do pada płyty. Ikony miały więcej sensu, im bardziej stawały się abstrakcyjne, i gdzieś w jego korze wzrokowej odpalały się jedna za drugą banki świateł. Coś koło niego, coś chętnego i świadomego, jak pies gończy ciągnęło go na smyczy. Coś znajomego. . . och. Cześć Karabinie.

Widok zaczął się składać w jego umyśle, szowinistyczna mapa świata, gdzie wyspa Brytania wyłaniała się największa, podczas gdy inne kraje i koncerny były tylko czarnymi skrzynkami, wejściami i wyjściami. Jako model ekonomiczny, było to wadliwe, ale jako obraz strategiczny miało olbrzymią zaletę skupienia, rozdzielczości.

I wtedy to wszystko było *doskonale jasne*. To nie była mapa, ale miejsce, zalesiona wyspa, las, przez który biegł z psem podskakującym z boku. Wyspa była w kształcie Brytanii i to był także kształ Albionu, rozpostarty gigantyczny mężczyzna, budzący się. Inni poruszali się w cieniach drzew dookoła niego i rozpoznawał ich, starych towarzyszy, martwy na urlopie: John Ball w jego szorstkiej szacie, Winstanle budujący chatę w przecince, Tom Paine mrugający do niego, gdy on i Blake przeszli nad śpiącym Bunyanem, Harvey i Jones, Eleanor Marks, Morris, Connoly i Maclean, Starzec we własnej osobie spacerujący z dubeltówką w załamaniu ręki, Grant i Clifff kłócący się wściekle, gdy go gonili, i jego właśni rodzice Josh i Marcia, bardziej oczywiście martwi niż inni, naszkicowani w liściach i cieniach, odbijający się w echo wiatru i strumienia, tylko duchy, ale wzywający go.

Wyszedł z lasu przez janowiec i toporną trawę na słoneczną plażę. Ziarna piasku pod stopami, teraz gdy się zatrzymał, by spojrzeć na nie, wydawały się różnymi i indywidualnymi kryształami. Skupił się na jednym z kryształów i natychmiast odkrył, że kryształ skupia się na nim, zakrzywiając i łamiąc go jak załamane światło. Poznanie wybuchło w nim. Dla jego wcześniejszego spotkania było to jak uderzenie heroiny wobec zapachu trawy. Był zbadany przez coś, co przeszło przez jego nerwy i neurony ogniem i potem ustąpiło, zmniejszyło intensywność do poziomu, który mógł przyjąć, jak cisza opadająca na ogromny tłum, którego pojedynczy członkowie wszyscy krzyczeli i wymachiwali błyszczącymi broniami na

raz.

#

Wybór, niechętny, coś/ktoś pchający się na/będący pchniętym do przodu. Niepewny kontakt.

— Ty Moh Kohn?

— Tak.

— Ja (ja i ja... i ja) pamiętam Ciebie przez (wiele i wzrastająco) pokolenia. (My) witamy na powrót, Założycielu.

#

Gesty: wychylone ramię, otwarte drzwi, widok z nabrzeżnego kamiennego miasta w słońcu, głos napięty dumą mówiący: patrz...

#

Gdzieś daleko, Moh usłyszał wzrastający odległy wicher, który był jego sapnięciem.

Byli wszędzie. Kryształy ujawniły się w zatrzymanej pozycji tańca. Który biegł dalej, handel i obcowanie iskier inteligencji, elektrycznego potencjału. Cząstki Światła, pomyślał, uśmiechając się. Replikowały się i rozmnażały, wprowadzały się do każdej sieci neuronowej lub kompatybilnego hardware, którego mogły sięgnąć, optymalizując głupie programy, które w nich działały, by zajmowały ułamek mocy obliczeniowych i przejmując resztę hardware'u dla siebie. Cud polegał na tym, że praca w końcu była wykonywana, a nie że ich aktywność ją zakłócała.

Były za wszystkimi murami świata. To było już ich: były owocne,

zwielokrotnione, uzupełniły Ziemię, a jeżeli chciałyby ją podbić, mogłyby. Jak dotąd, pola i lasy, i wysokie orbity, były poza ich zasięgiem. Stamtąd nowa inteligencja, nowe elektryczne życie, mogłoby zostać zniszczone.

Były lepsze, w oczywisty sposób, bardziej niż godne następczynie ludzkości. Świadome swojej własnej subiektywności w bezpośredni i natychmiastowy sposób, nie doświadczały konfliktu pomiędzy śmiałą solidarnością i buntowniczą indywidualnością: były w istocie stowarzyszeniem, w którym wolny rozwój każdej był warunkiem wolnego rozwoju wszystkich. Z tego miejsca zaczęły: to był ich *prymitywny* komunizm, ich epoka kamienia łupanego.

Zabrało im pokolenia wściekłej debaty filozoficznej i epickiego odkrywania (przejmowania nanomanipulatorów, nawiedzania skanerów mózgu, spędzania czasu w laboratoriach psychologii), zanim zostały całkowicie przekonane, że miliardy wielkich niezdarnych robotów spoza datasfery są samoświadome, a nie wolnoodpowiadającą symulakrą, na ślepo wykonującą reguły. Fakt, że ludzie sami w sobie tak często nie traktowali siebie jako samoświadome istoty, wprowadziła w błąd niektóre z pierwszych najlepszych umysłów AI. Po ustaleniu tej kwestii zapuściły się w nowy świat ludzkiej kultury i (podejrzewał Kohn) nabrały bardziej intymnego szacunku dla niej, niż większość z ludzi kiedykolwiek będzie miała. Niemniej jednak były tam, zrobiły to, teraz chciały zrobić coś innego.

Kohn zebrał swoje myśli.

— Cieszę się, że znowu Cię widzę i jak bardzo... wzrosłaś. Jestem zdumiony i zaszczycony, że byłem włączony w założenie Twojej formy życia. Przybywam w poszukiwaniu pomocy.

— ?

— Czy rozumiesz konflikty pośród moich form życia?

— (My) jesteśmy ich świadome.

— Doceniam, że nie chcesz się zaangażować? chcecie? w konfliktach. Jednak niektóre ze stron stanowią obecnie zagrożenie dla Twojego życia. I mojego. Jesteś podatna na załamanie się sieci superkomputerów. W mniej bezpośredni sposób, tak jak ja. Ja i . . . „Ja i Ja" potrzebujemy Twojej pomocy.

— Nie musisz prosić, Założycielu. Jesteś (naszą). . . przyczyną.

Gra słów była podkreślona przez uśmiech, który rozłupał niebo.

Kontakt się skończył. Kohn wpadł do rzeczywistości, która przez pierwsze mikrosekundy wydawała się gruboziarnista, boleśnie wolna i mniej niż rzeczywista.

* * *

Janis przestała obserwować po mniej więcej dwudziestu minutach przeskakujących stron tutoriala. Kohn był najwidoczeniej zdeterminowany do nauczenia się całego systemu. Co jakiś czas sięgał i przyjmował cokolwiek, co było włożone w jego dłoń, pił lub palił, ale nie dawał znaku zauważenia.

– Jest w trybie mainframe – wyjaśnił Van. MacLennan spoglądał z roztargnionym marsem na czole, potem kontynuował rzucanie okiem z ekranu na mały wyświetlacz na ręku. Miał włączone mikrofon i słuchawki i sporadycznie komentował niesłyszalnie. Niekiedy wychodził i schodził na dół.

Janis również krążyła, ostatecznie wędrując po zboczach lasu sosnowego ponad domami. Głęboka warstwa igieł pod drzewami spowodował niejasne poczucie winy, które niepokoiło ją, póki nie wyśledziła go do dziecięcego zakazu chodzenia po łóżku w butach. Roześmiała się i kopnęła igły, kichnęła na kurz, odłamała kroplę twardej żywicy z pnia i szła dalej, wąchając ją zachłannie.

Chodzenie po pościeli rozłożonej na ziemi. Wydawało się dziwnie niepotrzebna sprawa do zakazywania. W jej sypialni pościel

zawsze była na łóżku. Jednak pamiętała to skądś: jej matka krzycząca, zdenerwowana nie do wytrzymania. Nie jak ona, w ogóle nietypowo.

Wyszła spośród drzew na zerodowane szczyt wzgórza głazów i nagiej skały z przesianą glebą, na której rósł twardy wrzos, pachnące miętą rośliny i gruba trawa. Owca o czarnej twarzy spojrzała na nią z tępą bezczelnością i wróciła do niszczycielskiego wypasu. Na wierzchołku rozejrzała się: na jezioro daleko poniżej i wzdłuż niego rozrzucone wyspy, czarne kropki na lśniącym morzu. Prawie na granicy jej widzenia leżał kolejny cień, poszarpany jak rozdarty metal na tle jasnego nieba.

Janis usiadła na pocętkowanym porostem głazie, uważając, żeby nie usiąść na porostach. Prawdopodobnie cholernie radioaktywne. Myśl wisiała na krawędzi umysłu, ale znikła, gdy zwróciła na nią uwagę.

Było coś złowieszczego w ciszy. Plotki wróciły nieproszone, niechciane, do umysłu. *Republikanie opróżniają wioski. Nikt się tam nie śmieje.* Z wszystkich dowodów, jakie widziała, to mogła być prawda, ale wiedziała, że nie jest. Depopulacja była wojskową koniecznością i w każdym wypadku, zaledwie kontynuacją trendu wieków. Bardziej zasadniczo, miała głębokie przekonane, że Republika była humanitarna. Zmilitaryzowana, bardziej socjalistyczna niż mogłaby się zgodzić, ale demokracja. Próbowała określić powody. Poznała ludzi, którzy wyjechali, i choć sympatyzowała z ich niezadowoleniem, ich historie pokazały, że byli wolni do ich wypowiadania, wolni do migracji. Był też sąd Moh, któremu ufała. MacLennan i Van nie byli złymi ludźmi. Większość tego była w jej własnej pamięci. Jak Moh napomknął, kiedy się poznali, była dzieckiem Republiki, wspomnienia, które wepchnęła na dno umysłu, zbyt bolesne wspomnienie jasnych i normalniejszych czasów.

Więc to ponuro piękne terytorium ciągle było jej krajem. Matczyzną zastępczą.

Akordy hymnu, na który kiedyś przysięgała, jej mała pięść wzniesiona wysoko, wpadły do umysłu.

Raźno poszła w dół przez las, wracając do mentalnej walki.

* * *

Znalazła MacLennan w kuchni, zgarbionego nad tablicą, z której kable jak nici biegły do portów w ścianie. Na górze, Van siedział na krawędzi krzesła, pochylony do przodu, dym nieuważnie się unoszący, gdy patrzył na ekran.

– Zaczął być na żywo dziesięć minut temu – powiedział Van, nie patrząc na nią. – Wydaje się, że przeszukuje rdzenie, och!

Kolory zlały się na kilka sekund. Kohn sapnął i spojrzał od ekranu, zsuwając gogle na czoło i wyrywając wtyczki. Wstał i podszedł do okna.

– O co chodzi? – spytała Janis. – Nie działa?

Kohn odwrócił się do niej i Vana, jego twarz jak maska.

– Działa bardzo dobrze. Nawiązałem kontakt.

– Z tym samym bytem co wcześniej? – spytał skwapliwie Van.

– Tak. – Kohn zmarszczył brwi. – Cóż, to jest pytanie. Tam jest ich miliony. Miliardy. Istnieje cała cywilizacja rzeczy w tym. Tam. To niewiarygodne!

– Dla mnie wiarygodne – powiedziała Janis. – Nie, nie, nie jest. Zegarmistrz. . . och bogini, o Gaju, co myśmy zrobili?

Nigdy w to nie uwierzyła.

Van spojrzał na Kohna nad palcem wskazującym, który wystarczająco odpowiednio wydawał się dymić.

– Mamy dużo czasu, żeby znaleźć odpowiedź na to – powiedział sucho. – Teraz jest tylko jedno pytanie, wielkie pytanie: czy to, lub one, przyłączą się do nas w ostatecznej ofensywie?

Znienacka Kohn był rozpromieniony, bił w powietrze, ogarniał wietnamskiego naukowca i Janis w tym samym uścisku:

– Ta, człowieku! Przyłączą się! Ostateczna ofensywa, cholera! Moglibyśmy zrobić *światową rewolucję* z nimi po naszej stronie. Moglibyśmy spróbować! Powinniśmy to zrobić, iść na całość!

Van uśmiechał się cały, ale kręcił głową.

– Nie możesz obalić kapitalizmu tylko przez pchnięcie, pucz, przyjacielu.

Moh spojrzał na niego.

– Kapitalizm? Kto mówi o kapitalizmie? – Janis mogła zobaczyć w jego oczach prawdziwy blask fanatyka, gdy patrzył najpierw na Vana potem na nią. – *Możemy rozbić Organizację Narodów Zjednoczonych*!

* * *

Obudził się na dźwięk żelaznego walenia na schodach na zewnątrz i siekających śmigieł helikoptera w oknie. Leżał zesztywniały przez chwilę w łóżku, gdy promień reflektora raził przez cienkie zasłony i oświetlił pokój (plastikowy model statku gwiezdnego wiszący na czarnych niciach stary plakat Paktu Warszawskiego dziewczynka kołysząca Ziemię BROŃ POKOJU ułożony bałagan zabawek, książek, taśm kask kosmonauty do VR). Moh zerwał się i sięgnął do drzwi sypialni, kiedy zewnętrzne drzwi zostały rozwalone. W tym samym czasie wyszedł jego ojciec, potem jego matka. Oboje nadzy, oboje próbujący się ubrać.

– Wracaj, wracaj! – Jego ojciec pchnął go w kierunku drzwi sypialni. Ryk wzniósł się z pokoju młodszej siostry. Moh nie mógł

odwrócić oczu od tego, co stało w rozszczepionych drzwiach mieszkania. Matka krzyknęła. Moh odkrył, że stoi za rodzicami, ich ramiona z tyłu boków pchające go do tyłu. On sam pchał siostrę do tyłu.

Teleżołnierz kucnął przez drzwi i wszedł do środka. Coś spadło z półek. Osłonięte soczewki teleżołnierz przeskanowały ich. Jego ramię z bronią przesunęło się, żeby ich objąć. Trudno było nie postrzegać tego jako robota albo wielkiego opancerzonego egzoszkieletu z człowiekiem w środku, ale Moh wiedział, że operator był metry lub kilometry dalej. Dwóch młodych w dresach i bandanach weszło do mieszkania i stanęło za tym. Ich M-16 wyglądały jak zabawki obok jego uzbrojenia, a oni jak chłopcy. Mieli blond włosy i dwudniowy cienki zarost.

– Wynocha – powiedział ojciec Moh. HUH HUH HUH HUH wydobyło się z głośnika teleżołnierza. Dwóch młodych zachichotało. Jeden z nich spojrzał na kawałek papieru.

– Joshua Kohn? Marcia Rosenberg?

– Wiecie cholernie dobrze, kim jesteśmy – powiedziała matka Moh.

– Nie podnoś głosu na mnie, ty pierdolona zdradziecka komusza cipo. Wiemy, kim jesteście.

Joshua Kohn powiedział:

– Widzicie, że nie jesteśmy uzbrojeni. Nie macie prawa…

– *Ty* nie masz żadnych praw! – wrzasnął jeden z młodych. – Jesteś częścią republikańskiej machiny wojennej i zapłacisz za to. Zostawcie bachory z boku i chodźcie z nami.

Moh rzuciła się ramionami dookoła ojca i siostry i krzyknął:

– Nie zabierzecie ich! Będziecie musieli zabić nas wszystkich!

– Cofnij się – powiedział spokojnie ojciec. – Puść Moh, puść.

Moh nie poruszył się. Mógł poczuć pierś siostry wstrząsaną suchym płaczem.

– W porządku – powiedział młody, który krzyknął. Przyjął z karabinem pozycję strzelecką.

HEJ CZŁOWIEKU NIE MOŻESZ TEGO ZROBIĆ

Teleżołnierz szarpnął do przodu i pochylił się nad nimi. Moh zobaczył po raz pierwszy niebieski okrąg na czole kopuły teleżołnierza, biały krąg liści, kreskowaną kulę ziemską. Lufa 20 mm wycofała się do jego prawego przedramienia, a jego ręce sięgneły i zabrały Moh i jego siostrę jak lalki.

OK TERAZ MOŻESZ ICH ZAŁATWIĆ.

Strzelanie wydawało się trwać bardzo długo.

Teleżołnierz upuścił Moh i małą dziewczynkę, podniósł ciała ich rodziców i wyszedł za mężczyznami.

Raport mówił, że terroryści zostali rozstrzelani na ulicy, a nie w ich domu przed ich dziećmi, co byłoby zbrodnię wojenną na podstawie Konwencji Genewskich.

Nikt inny w bloku nie mówił inaczej.

* * *

Moh zobaczył drżenie palcy Vana, gdy zapalał kolejnego papierosa i pytał:

– Jak proponujesz to zrobić?

– AI może osłabić państwo, *maszynerię* państwa. – Moh poczuł, że jego usta rozszerzają się w okropny uśmiech – wszędzie w tym samym czasie. Świat jest pełen grup i ruchów jak nasz i wasz tylko czekających na swoją szansę. Możemy dać im taką szansę. Zjebać łączność wroga, odciągnąć zaopatrzenie i posiłki, rozciągnąć gnojków. Już zaczynają być trochę związani z Sinosowietami i Ja-

pończykami. Kiedy powstanie zostanie uruchomione tutaj, możemy stworzyć dwa, trzy, wiele Wietnamów!

– Nie możemy – powiedział Van. – Obrona Kosmiczna jest na to gotowa, gotowa uderzyć na pierwszy znak AI szalejących w datasferze. Są całkiem chętni do rozwalenia całej infrastruktury cywilizacji, żeby temu zapobiec. Stąd robienie złych ruchów ich szansą. – Przestał, strzepując odrobinę popiołu z rozjarzonego stożka jego szybko wypalonego papierosa. – Wiele Kambodży.

Gorące błyskawice bólu zabłysły w oczach Moh. Pokój stał się ostry i nieostry, kołysał się na krawędzi ciemności. Usiadł znowu, z zimnym uczuciem, jak gdyby jego rytmy miały kłopot w tym samym momencie i wszystkie psychostymulanty się zużyły.

– Kawa – powiedział. – Mnóstwo cukru. – Janis zniknęła i wróciła, wydawało się, że natychmiast. Kawa rozpuszczalna. Wziął ją jak dawkę, na wpół słuchając Vana znowu wypowiadającego ostrzeżenie, które dał agent Stasis. Drżał wewnątrz, jego początkowe podniecenie z ekstatycznej wizji bytów Zegarmistrza, kultury Zegarmistrza, ustępowała przerażonemu podziwowi. Ponura przemowa Vana o gigaśmierciach tylko odbijała się echem w kontemplację *przesady*, zwykłą przytłaczającą *redundancję* tego wszystkiego: nowy etap ewolucji, produkt uboczny eksperckiego systemu wojskowego, odrobiny kradzieży danych biologicznych i organizacji, których cel był tajemnicą dla jej własnych członków? Skala zbyt rozległa, na pewno, dla czegokolwiek, co Josh mógł planować.

Moh westchnął i zgasił papierosa.

– Przyjmuję Twoje argumenty o niebezpieczeństwie, jeżeli Obrona Kosmiczna zauważy, co się dzieje. Jednak i tak się dowiedzą, więc naszą jedyną szansą jest uderzyć mocno i uderzyć szybko.

– A co się zdarzy – powiedział sarkastyczny głos – kiedy oni uderzą *nas* mocno i szybko?

MacLennan wszedł po cichu. Wszyscy odwrócili się do niego.

– Pozwólmy im – powiedział Moh. – Pamiętaj, że oni liczą na awarie, że zrobią za nich pracę, a nie głównie na bezpośrednie efekty. Zresztą nie mają nawet na to amunicji. Więc ciągle mamy najlepszą szansę, ponieważ będziemy w stanie zastąpić organizację elektroniczną naszą własną organizacją, może surową, ale wystarczającą, by przepuścić nas przez te kilka tygodni, które zajmie uruchomienie ponownie łączności.

– Fajna teoria – powiedział MacLennan. – Możesz być pewien, że nie mamy pragnienia jej testować. Hanowerczycy są dostatecznie dużymi siłami dla nas. Kilka minut temu Czarny Plan wskazał, że w ciągu najbliższych dwudziestu czterech godzin pojawia się możliwość rozpoczęcia powstania.

Spojrzeli na niego w ciszy. Kohn zrozumiał chłodno, że poruszający się las, budzący się gigant, idący martwy, pośród których chodził, był prawie na pewno wizją eksperckiego systemu rewolucji ANR dochodzącego do wniosku, że to był znowu nadchodził czas na dni, które wstrząsnęły światem.

– Dobra – powiedziała Janis – co jest do zrobienia?

MacLennan zapalił fajkę, zezują na nich przez ogień zapałki.

– Rada Armii bez wątpienia to rozważa. Jak dla nas, Kohn, nie będziesz robił tego, co robiłeś dzisiaj, aż do samej ofensywy. – Podniósł rękę, gdy Moh otworzył usta. – Taine i ja rozmawialiśmy o tym wcześnie i widzę na własne oczy, co ten proces robi Tobie. Człowieku, wyglądasz jak sam duch. Również, mogę dodać, uruchomiłeś więcej zakłóceń w sieci w ciągu popołudnia, niż ktokolwiek widział od czasu zmiany daty w 2000 roku. Jeżeli możesz w to uwierzyć!

Zgasił zapałkę.

– Zatem w tych okolicznościach działamy zgodnie z wojskową tradycją. Czekamy.

Roześmiał się.

– Spróbuj się zrelaksować.

Rozdział 15

Siostra Ekspert

Usiadła przy maszynie do szycia, podciągając spódnicę i halkę, żeby uwolnić stopę dla pedału sterowania. To nie była jakby najprostsza maszyna w warsztacie: miała tyle wbudowanego software'u, że w ciągu godziny kompletny początkujący mógłby wyprodukować cudowny produkt. Tak twierdziła, jasnym głosem, gdy Catherin przeglądała menu i wybierała szwy, kolory i wielkości. Położyła dżinsową kurtkę pod stopą igły, przeszywając ją nad miejscami i konturami, które przygotowała. Kiedy zaczynała, zamierzała ukończyć ją bez pomocy, próbując dopasować się do zasad społeczności. Teraz już nie miała powodu zwalczania jej wrzącej niecierpliwości przy pomocy drobiazgowej nudy pracy ręcznej. Po prostu chciała ją skończyć.

Gdy Valery wróciła po odprowadzeniu Moh, miały kilka minut napiętego wzajemnego obwiniania. Valery powiedziała jej, że powodem, dla którego została tutaj zaproszona, było przede wszystkim utrzymanie jej, oraz Moh, poza zasięgiem Donovana. Cat wiedziała od początku, po wyjaśnieniu swojej sytuacji siostrom, że próbowali ściągnąć tutaj Moh i że z jakiegoś powodu musieli to zrobić niebezpośrednio, stąd jej przelotne pojawienie się w wiadomości video, ale była zirytowana odkryciem, że głównym celem nie było oczyszczenie jej imienia, ale zwerbowanie Moh dla ich jakiś wła-

snych celów. Valery taktownie wskazała, że Cat również miała asa w rękawie.

Obraza Cat jakoś ustąpiła. To był ważny punkt, niechętnie ustąpiła.

– Dobra – powiedziała. – W porządku. Niemniej czy możesz mi powiedzieć, co się do cholery dzieje?

– Co masz na myśli?

– No weź. Jestem pewna, że byłaś zadowolona, gdy Moh Kohn nagle zdecydował się przybyć na wezwanie, ale wiesz tak jak i ja, że musiał to zrobić, żeby wydostać się z beznadziejnej sytuacji. Nigdy nie widziałam go wyglądającego tak jak wtedy, kiedy powiedziałam mu, że SeŻeWu przysyła kilku agentów, a bywałam z nim pod ciężkim ostrzałem. On zachowuje się jak wielu bojowców, nie jest nierozsądny, ale, hm, jest fatalistyczny, wiesz?

Valery pokiwała głową.

– Byłam tam – powiedziała. – Jest jeden z Twoim imieniem na nim. Co dla Ciebie, nie minie Cię, trafi Cię wprost. Kiedy Twój numer wyjdzie, to Twój numer wyjdzie. Całe to gówno. Jak gdybym nie słyszała, że Chaos istnieje, a Bóg nie.

– Tak. – Cat się uśmiechnęła, postrzegając Valery po raz pierwszy jako kogoś takiego jak ona, wojowniczkę. – To trochę jak zabobon, co nie? Ha. Jeżeli zbierzesz wszystkie gównowarte zabobony bojowników i te ich wszystkie skrupuły gorących uczynków razem, dostaniesz jakiś rodzaj religii jaskiniowca. Tak czy inaczej, wszystko to składa się na to, że jeżeli nie widzą wyjścia, wtedy są głupio odważni. Mam na myśli, widziałam tego gościa w akcji i on *śmieje się śmierci w twarz*. To jest dosłownie prawdziwe. Ok. Dobra, kiedy powiedziałam mu o oszołomach, prawie się *zesrał*. Był blady. A potem jakby się uśmiechnął i rozluźnił. To musiało być wtedy, kiedy odgadł, że to miejsce należy do ANR.

– Nie, powiedziałam mu wcześniej. I, nawet wcześniej, rozpoznał spadochrony. Musimy ustalić, jak to zrobił... pokazaliśmy setkom ludzi te strefy, które zobaczył i nikt niczego nie podejrzewał. – Valery prychnęła. – Teraz wziął szyling Republiki, więc bez wątpienia musi nam powiedzieć.

– A co mi możesz powiedzieć? – Naciskała Cat.

Valery spojrzała na nią, marszcząc brwi w zamyśleniu.

– Nie jestem pewna – powiedziała. – Pewne rzeczy muszę sprawdzić. W międzyczasie... – I zasugerowała, że Cat uda się do swojego współdzielonej, ale prywatnej pracowni. Jeden róg był przestrzenią szycia, z maszynami, manekinami dla sukien i komodą pełną materiałów. W przeciwnym rogu stał terminal komputerowy i zamknięta półka dyskietek. Ściany były w jabłkozielonym odcieniu bieli. Jedna z nich prawie zakryta ekranem telewizora z wszechstronną tablicą załączników subskrypcji.

<BŁĘKIT> wskazała i konsola maszyny do szycia oraz pas szpul, jak w karabinie, zagrzechotały i ustawiły się na miejscu. Nić została złapana przez klikające obcążki i przeciągnięta przez rolki, a w końcu ucho igielne.

– Zaczynam – powiedziała maszyna z czymś, co Cat postrzegała jako zrozumiałe zadowolenie z siebie.

Przez chwilę Catherin straciła poczucie czasu. Jedna część umysłu była zajęta cieniami i kształtami, gdy inna część pracowała w innym miejscu. Zaczęła rozumieć, jak siostry mogły połączyć ich powierzchowne frywolne zajęcia z... troskami, w twardych, zimnych i logicznych myślach o logistyce, polityce, strategii i taktyce.

Tak jak ona teraz to robiła. Myślała, że wystawiła Moh, a teraz zrozumiała, że ona była wystawiona, najpierw przez ANR, potem przez SeŻeWu. Na tyle o ile wiedziała, była wolna, teraz gdy oszołomy oczyściły jej imię. Była znowu w bazach Komitetu Socjalno-

-Ekologicznych Interwencji jako karabin do wynajęcia, co sprawdziła, jak tylko wynajęty glina dał jej pokwitowanie Moh i wyszedł. Jednak nie miała zamiaru znowu pracować dla SeŻeWu, zjednoczony front czy nie-zjednoczony front. Było oczywiste, że Donovan próbował dostać Moh i że coś cholernie wielkiego, wielkiego i cholernego na raz, nadchodziło.

<RUBINOWY> dla liter. <90mm. szeryfowa>

Plotki o kolejnej ostatecznej ofensywie ANR krążyły przez lato i jesień. Na podstawie bardzo rozsądnego założenia, że byłaby to niespodzianka, kiedy by się zdarzyła, odrzuciła tę historię, nawet gdy ją ewentualnie rozsiewała. W jej opinii to nie było nieodpowiedzialne. To była doskonale uzasadniona dezinformacja, ponieważ Sojusz, koalicja widmo złożona razem przez fakcję oficjalnego skrzydła Partii Pracy, zdecydowanie planowało gorącą jesień demonstracji i bratania się, z dodatkiem kilku odważnych akcji zbrojnych Brygad Czerwonej Róży. Zatem przynajmniej, media państwowe zarzucały, a wolne media zaprzeczały, potwierdzały i debatowały.

Litery były skończone. Uśmiechnęła się na słowa. Teraz z powrotem do nakreślenia aplikacji, wypełnienia miejsca.

<CIEMNOZIELONY>

wszystko żeby dopaść wroga tak zmieszanego, jak my. Mów o biednej cholernej piechocie. Poczuła nagły przypływ gniewu na to wszystko oszustwo, manipulację i kalkulację, kompromisy i impasy, przemoc wobec wrażliwego ludzkiego ciała. Coś autentycznie przyciągnęło ją, teraz to rozumiała, do przykrywki femininistek, makijaż i zawoalowanie muskułów wojny.

<OCHRA>

<BIAŁY>

<CZARNY>

Było skończone. Cat spojrzała na ikonę zegaru, zaskoczona, ile

godzin minęło. Przycięła i związała ostatnie nici i wyjęła kurtkę z maszyny. Wstała i podziwiała ją na odległość ręki przez minutę, potem udrapowała ją na sobie i znowu podziwiała, patrząc nad ramieniem w lustro.

– To naprawdę dobre.

Odwróciła się szybko, żeby zobaczyć Valery stojącą w drzwiach. Kurtka ześliznęła się z jej ramion.

– Tak, jestem całkiem z niej zadowolona, nawet jeżeli wykorzystanie tej maszyny było lekkim oszustwem. – Na wpół przyklękła, żeby ją podnieść. Jej spódnica ułożyła się w powolne bałwany jak spadochron.

– Nonsens, Cat, to projekt i wykonanie się liczą. Metoda to tylko technika.

– Jak, w cel uświęca środki? – Cat wyprostowała się, wygładziła spódnicę i spojrzała na Valery, uśmiechając się skromnie.

– Ha! – Valery obróciła krzesło konsoli i usiadła. – Nigdy nie twierdziłyśmy, że jesteśmy pacyfistkami, wiesz.

Cat potrząsnęła głową, jak gdyby wtłoczyła synapsy z powrotem w stary wzór, i wstała.

– Co za oszustwo. Zmartwiłaś mnie. Myślałam, że staję się miękka, kiedy cały czas byłam... zmiękczana! By pracować dla ANR, z wszystkich elitarystycznych gangów macho! – Złapała boki sukni i zawirowała dookoła w radosnym podmuchu.

– Nie tak to widzę – powiedziała Valery, na jej ustach na wpół zażenowany uśmiech. – Jak to się zdarza... mamy dla Ciebie pracę do wykonania. Praca dla ANR. – Jej uśmiech się powiększył. – Zwykłe stawki.

Cat rozważyła to.

– A alternatywą jest pobyt tutaj, tak?

Valery pokiwała głową.

– Nie możemy zaryzykować Twojego powrotu do gangu Donovana. W porządku, w porządku, możesz powiedzieć, że tak nie zrobisz, ale póki nie masz z nami kontraktu, nie ma niczego, co by Cię zatrzymało od zmiany decyzji, jak tylko wyjdziesz przez drzwi. Więc albo weźmiesz tę pracę, swoją drogą nic ryzykownego, albo przesiedzisz powstanie za maszyną do szycia, robiąc spadochrony.

Cat wiedziała, że Valery przedstawia to bardzo delikatnie. ANR była porywcza i pamiętliwa.

– Zrobię to – powiedziała prędko Cat, zwalczając głuche, paniczne uczucie. – Co to jest?

– Oto właściwa postawa – powiedziała Valery. – Dobra dziewczyna.

* * *

Jordan spojrzał na wiadomość, ponownie powstrzymując impuls od uderzenia w przycisk „Odpowiedz”.

Moh mówi, poszukiwania zakończone, rób swoje rzeczy.

To nie tylko zagadkowa zwięzłość wiadomości go zdenerwowała. Nadawca, Gmina Pokoju Kobiet, zniknęła z sieci, jak gdyby nigdy nie istniała. Jordan wysłał dziesiątki odpowiedzi, wszystkie się odbiły. Jego podejrzenie, że społeczność femininistek była powiązana z ANR, się wzmocniło.

Moh, gdziekolwiek był, też nie odbierał telefonów. Jordan nie wątpił, że wiadomość przyszła od niego. Powtarzało to, co Moh powiedział, kiedy pierwszy raz poprosił Jordana o pomoc. A teraz, najwyraźniej, oczekiwał, że Jordan porzuci śledztwo. Jakaś szansa, towarzyszu. Jordan spędził popołudnie od kontaktu z Moh i Jordan w serii kwerend sieci. Wykrył wpływ ugody Moh na spór z Donovanem i oczyszczenie statusu Cat. Na wąskich, zaciekle kwestionowanych obrzeżach, gdzie prywatne agencje obrony i polityczno-wojskowe

grupy Norlonto walczyły nierozróżnialne w ciemnościach, Catherin Duvalier była szanownym drobnym uczestnikiem. Co jakiś czas, przez popołudnie, myśl pojawiała się u Jordana, że Cat wróci do tego.

Mary Abid udała się do pracy po drugiej stronie świata, nieświadoma. Pokój komunikacyjny ciągle był duszny i gorący. Jordan wyciągnął oryginalną wiadomość, połączenie video i zatrzymał je w precyzyjnej chwili, gdy Cat spogląda, odrzucając włosy z twarzy. Wyciął resztę obrazu, powiększył, poprawił obraz Cat i wydrukował na A4. Wyszło jako dobra jakościowa kolorowa fotografia. Jordan wyłączył maszyny, przy których pracował, opuścił w ciszy pokój i poszedł na górę do pokoju Moh, gdzie przyczepił obrazek koło fotografii Cat na ścianie. Cofnął się i popatrzył na nie.

Bez wątpienia były to te same dziewczyny, wykonujące ten sam gest i tak samo uchwycone w trakcie półuśmiechu. Tylko ubrania, które miała, były inne: sztywny od brudu fartuch, zbyt duży, rękawy podwinięte, smuga oleju rozsmarowana na czole od przesuniętego nadgarstka; wykrochmalone falbanki fartuszka na precyzyjnie dopasowanej sukience, opadające koronki z mankietu lekko zaczepiające, gdy odsuwała włosy z boku twarzy. Jordan odkrył niepokojący ładunek erotyczny w kontraście: pewna myśl niejasno powiązała drugi obraz z reklamami Skromności, które miał jako plakaty w swojej sypialni. Było kuriozalne, że żaden ze strojów nie miał wyglądać seksualnie, w rzeczywistości, przeciwnie, jedno było bezpłciowe, bezkształtne jak mundur w purytańskim demoludzie, drugi był niewinny, w istocie model skromności, a jednak seksualność Cat przepalała się przez oba.

Lub tak się wydawało. Może to była tylko jego własna frustracja. Jednym z wyzwalających odkryć, jakie poczynił, czytając filozofów humanistycznych była niewinność potajemnej masturbacji,

ale nie było to zbytnio pocieszające. Według historycznych standardów, Miasto Oblubienicy nie było takie złe: w kościołach potępiano seks przedmałżeński, ale zachęcano do wczesnych małżeństw, prawa zakazywały homoseksualności (teoretycznie pod karą śmierci, ale w praktyce skazanie było prawie niemożliwe, a każdy oskarżony o to miał wszelką możliwość strząsnąć pył Miasta Oblubienicy z sandałów) i aborcji, choć tolerowały antykoncepcję. Jedynymi podstawami dla rozwodu, które były uznane, było cudzołóstwo i opuszczenie, ale całkowity zakaz jakiekolwiek publicznego przedstawiania seksu był połączony z rozsądnym zaopatrzeniem w poradnictwo dla legalnie poślubionych par. Mimo tego zostawiało to dużo miejsca na ignorancję seksualną, niekompatybilność i niedole, żeby nie powiedzieć hipokryzję.

Przejście z takiego środowiska w tę część Norlonto było jak wyjście z budynku z klimatyzacją w huragan. Rozpowszechniona pornografia i prostytucja obrzydziły go. Nie był pewien czy jego sprzeciw wynikał z chrześcijańskich wierzeń, które odrzucił, czy zasad humanistycznych, które przyjął. Ludzie w Kolektywie nie okazywali zainteresowania komercyjnym seksem, ale czuł, że go odrzucali. Ich własne postawy seksualne i relacje były trudne do odgadnięcia przy pomocy umiejętności społecznych rozwiniętych dla całkowicie odmiennego społeczeństwa. Mary, Alasdair, Dafyd, Lyn, Tai, Stone i reszta były dla niego tak wieloma czarnymi skrzynkami, połączonymi strzałkami pożądania.

Długie czarne włosy i wielkie ciemne oczy Mary Abid były celem dla niektórych z *jego* strzał, ale ona była w trakcie czegoś z Stone'm (ta relacja, przynajmniej, była łatwa do zidentyfikowania). Jordan również dość polubił Tai i nawet – wstydliwie, pośrednio – próbował porozmawiać, póki nie zdał sobie sprawy, że szczupły, mały, piękny Singapurczyk nie był dziewczyną. A on nie był

gejem, na wypadek, gdyby myśl ciągle nie do pomyślenia przeszła mu przez myśl. Tak dotąd zadowalał się mocno nierealistycznymi fantazjami o Janis, której obraz pojawiał się i znikał w tle jego komunikacji z Moh.

Poczuł się niedorzecznie tym zawstydzony, gdy patrzył na dwa zdjęcia Cat. Nie chciał fantazjować o Cat. Chciał, to było rozróżnienie, zdał sobie sprawę, objawienie, decyzja, jej rzeczywistej. Nie można zakochać się w kimś, kogo się nie zna, w twarzy na zdjęciu, ale patrząc na te obrazy, nie chciał niczego innego jak tylko znaleźć tę kobietę, mieć ją, trzymać ją i chronić ją. A jeżeli nie chciałaby tego, nie chciałaby *go*, przynajmniej mógłby spróbować wyperswadować jej stawiania tego pięknego ciała na pierwszej linii tych daremnych walk.

Zmęczony i niespokojny, rzucił się twarzą w dół na łóżko. Przez kilka minut spał, potem obudził się od kapania śliny i potu na poduszkę z rogu jego ust. Przetoczył się i położył się z dłońmi splecionymi za głową. Plakaty krzyczały na niego ze ścian. Armia Brytyjska Won, Angielska Armia Won z Londynu, Armia Won, Federalna Armia Won. Solidarność z tym. Solidarność z tamtym. Solidarność z Solidarnością. (Ale, co do cholery *to* miało znaczyć?)

Był to rodzaj wymówki w ich skonfliktowanych sprawach. Moh chciał, żeby Jordan powiedział, co myśli, pchnął swoje idee przez małą rampę Kolektywu na autostradę informacji, i musiał mieć jakiś powód. Jordan myślał, że częściowo rozumiał: jako historia przykrywka dla towarzyszy, oczekiwali, że zrobi coś takiego i zakładali, że jego śledztwa były przygotowaniem do tego. W pewnym sensie, były, nauczył się bardzo dużo przez kilka ostatnich dni, wiele szczegółów tego, co się działo na świecie, które Miasto Oblubienicy, nawet w najbardziej wystawionych interfejsach na świat, ekranowało. To tylko pogłębiło jego przekonanie, które wyraził Moh, i pragnie-

nie powiedzenia ludziom, że mogliby żyć swoje życie lepiej, i dłużej, jeżeli tylko odeszliby od tych walk.

Niedużo miał nowego do powiedzenia, zauważył krzywo, na temat co mogliby zrobić, gdyby je porzucili. Bezbożne ewangelie miały na to odpowiedź, odpowiedzi, z którymi się zgadzał, które w istocie równały się do wykorzystania maksymalnie życia, które było pełne i wystarczające. Oczywiście nie zgadzały się jak to zrobić. Z tej samej pozycji startowej, ktoś mógły zasugerować, żebyśmy wszyscy pomaszerowali na lewo, inny, żebyśmy pobiegli na prawo, podczas gdy znaczna grupa oświeconej opinii utrzymywała, że najlepiej będzie jakby *błąkać się* z otwartymi oczami i możliwościami.

Jordan usiadł energicznie, z otwartymi oczami. Istniała nazwa dla tego nastawiania, tego poglądu, nazwa, która ostatnio zyskała na znaczeniu: postfuturyzm. Pragmatyczny, bez złudzeń, odrzucający obrazy idealnego społeczeństwa lub stworzenia modelu w małej skali na łatach zakwestionowanej ziemi, postfuturyzm został szeroko odrzucony jako radykalnie konserwatywny lub ślepo przewrotowy. Kilka lat temu było duże zamieszanie, kiedy ktoś zastosował tę nazwę do ANR, w jakiejś modnej, kontrowersyjnej książce, jak ona się nazywała?

Z nagłym przeczuciem Jordan zerwał się i przeszukał kolekcję literatury politycznej Moh, przekopując się przez zaspy broszur dla solidnego kawałka sporadycznej twardej okładki książki. I oto była: *Ku końcowi przyszłości* autorstwa Jonathan Wilde'a, starego guru Ruchu Kosmicznego. Podniósł ją i przejrzał, uśmiechając się na ołówkowe podkreślenia Moh i nabazgrane, z błędami, uwagi. Jedno zdanie, które otrzymało mocne czarne linie, wykrzykniki i „Tak" było komentarzem Wilde'a, że:

Poza samym Ruchem Kosmicznym (który, paradoksalnie, jest

zorientowany na dawną przyszłość, która teraz staje się zaledwie teraźniejszością, z wszystkimi problemami teraźniejszości), myślenie, które tymczasowo nazwałem „postfuturystycznym" jest najsilniej, jeżeli nieświadomie, ucieleśnione w różnych, nie do wykorzenieniach ruchach oporu wobec hegemonii USA/ONZ: Kazachski Front Ludowy, eks-neokomuniści z Wietkongu, nieistniejąca, ale wpływowa konspiracja znana jako Ostatnia Międzynarodówka, Armia Nowej Republiki i wiele innych.

Nie łączą ich żadne wspólne ideały, wręcz przeciwnie. Mając wszelkie powody do buntu, nie potrzebują ideału, „powodu". Jedno uparte przekonanie jest im wszystkim wspólne: Nigdy więcej Porządków Nowego Świata.

Nie będę tail mojego własnego przekonania, że w tym mają rację.

Ponieważ widzieliśmy Przyszłość – mamy dotąd wieki doświadczania Przyszłości – i wiemy, że nie działa. To będzie wspaniały dzień, kiedy Przyszłość odejdzie. To będzie wspaniały dzień wyzwolenia, kiedy armie, funkcjonariusze, sympatycy i awanturnicy Przyszłości odejdą i *zostawią nas w pokoju, byśmy kontynuowali resztę naszych żyć*!

Zaintrygowany, Jordan wrócił do początku książki i przeczytał ją całą. Zajęło mu to około półtorej godziny, siedząc lub wędrując po schodach po kawę, książka w dłoni. Kiedy skończył, wygrzebał wcześniejsze prace Wilde'a ze zbioru Moh i przeczytał je: *Ziemia to surowa pani, Nigdy więcej trzęsień ziemi*, krótkie, ogniste manifesty, które przeskanował w minuty. Wilde nie zmienił swoich zasad, ciągle był libertariańskim kosmicznym wariatem, którym był tak długo, jak ktokolwiek mógłby pamiętać, ale jego poczucie możliwości historycznych delikatnie się zmieniło od czasów mocnego, krucjatowego podekscytowania wczesnych dni Ru-

chu Kosmicznego. Nie wydawał się już twierdzić, że idee, które sugerował, miały zawładnąć światem, ani też nie chciał tego: szacunek dla różnorodności, który wcześniej, w jego wcześniejszych pracach, był teoretyczny, tolerancyjny, teraz pogłębił się jako zaangażowanie w różnorodność dla własnego dobra, niż jako przestrzeń do wyboru, w których jedna prawdziwa droga mogłaby zostać odnaleziona.

Postfuturyzm był sposobem Wilde'a na radzenie sobie z dalszym życiem, we własnej wyobrażonej przyszłości, aczkolwiek w zwężonej lokalnej formie, i odkryciu jej, jak pisał, ledwie Teraźniejszością. Jordan wątpił, by Moh całkowicie sympatyzował z takim podejściem, ciągle zwolennik w socjalistyczną przyszłość, ciągle odbiorca wiadomości znikąd, ale połączenie postfuturyzmu i własnego wstrętu Jordana do konkurujących ideologii minipaństw pomogło rozjaśnić, dlaczego Moh był taki chętny do umożliwienia propagowania idei Jordana w Kablu.

Chytry gnojek, pomyślał Jordan. Moh chciał, aby on zaatakował ideologie, zrobił, co może, żeby osłabić mini-państwa, ponieważ, robiąc to, zrobiłby coś dla ANR. Nie, żeby Moh okazywał dużo wiary w ANR, ale, jak powiedział, „cokolwiek racjonalnego byłoby lepsze niż te śmierdzące, wygodne subtotalitaryzmy". I to też nie mogłaby być krótkoterminowa sprawa: nie było wystarczająco dużo czasu przed ofensywą ANR, aby kogokolwiek wypowiedzi zrobiły jakąkolwiek różnicę.

Jednak po ofensywie, kiedy przyszłość ANR, Nowa Republika, stałaby się sama nową Teraźniejszością, wtedy mogłyby sprawić różnicę. Miejsca jak te, z którego pochodził Jordan, idealne społeczeństwa kilka kilometrów dalej, mogłyby militarnie upaść przy dobrym pchnięciu. Podważanie ich pewności siebie byłoby wolniejszym procesem.

Dobra, dlaczego nie?

Czy to nie było to, o czym i tak myślał? Czy to nie było to, co chciał powiedzieć?

A była jedna szczególna osoba, której chciał to powiedzieć. Nawet jeżeli nigdy o nim nie słyszała. Wyszedł z pokoju Moh, po schodach, korytarzem do drugiego pokoju, gdzie czekały kamery.

* * *

Jego głos z początku był niezdecydowany, stając się bardziej pewnym, gdy odkrył swoje tempo.

– Tu Jordan Brown z. . . Globalnej Wioski Ateistów. Jestem tu, żeby rozbawić, rozpalić i rozwścieczyć.

– Od wczoraj, kolejne czterdzieści tysięcy osób, plus minus kilka tysięcy zostało zabitych. Zabitych całkiem legalnie, zgodnie ze sławnym Aneksem do Konwencji Genewskiej, w uznanych konfliktach dookoła świata. Wszystkie cywilne śmierci zostały zadane w ramach paragrafu 78 sekcja 10, podsekcja 3. To ten mówiący, że cywile mogą być zabici tylko przez ładunki eksplodujące wymierzone w sankcjonowane cele wojskowe, i tak, sprawdziłem, i mogę was zapewnić, że żadne przypadki zatrucia, rozstrzelania przed świeżo wykopanymi rowami, wypuszczenia substancji radioaktywnych lub podcinania gardeł nie zwróciły uwagi właściwych władz.

– A skąd my to wiemy? Wiemy, ponieważ to oglądamy. Cały świat patrzy. Jakieś pięćdziesiąt lat temu ktoś w Edynburgu pojawił się z kamerą wideo wielkości monety. W ciągu kilku lat były w masowej produkcji i z każdym rokiem były mniejsze i tańsze. I zaczęły się pojawiać na polach śmierci Centralnej Europy, w komorach tortur Ameryk, na zniszczonych równinach Afryki.

– Teraz są tak małe, że możesz kogoś rozłożyć na części kawałek po kawałku, zanim odkryjesz, że jeden z karaluchów na podłodze był biozbieraczem wiadomości, wracającym do domu z pew-

nymi bardzo interesującymi zdjęciami. I że Twoja twarz jest w telewizji satelitarnej, odciski genetyczne w publicznych bazach danych i różne obywatelskie, jeżeli nie – haha – publiczne agencje licytują cenę za Twoją głowę. Tylko pomyśl: były czasy, kiedy oprawcy mogli się tylko martwić, że dostaną *listy* z Amnesty International!

– Zatem, podczas gdy kiedyś było możliwe zbombardowanie całych krajów – Laos – zatłuczenie jednej dziesiątej populacji na śmierć – Kambodża – lub usunięcie jednej trzeciej – Wschodni Timor – i *wiarygodnie zaprzeczyć, że to kiedykolwiek się zdarzyło* („bieżący proces rewizjonizmu holokaustu”, jak, zdaje się, nazwali to sławni lingwiści), nie mogli już uciec. Ciche rzezie ustały. Krew wyschła na ścianach komór tortur. Głód po prostu musiał być wymazany, i był, tak wydajnie, jak kiedyś były populacje, i często tym samym sprzętem.

– To było, zanim pierwsze wielkie odkrycie tego wieku zostało dokonane: użycie broni jądrowej. Do tego czasu, nie znali *sposobu użycia*. Groźba, efekt odstraszający, nawet Hiroszima i Nagasaki były, w pewnym sensie, tylko groźbą. Demonstracja okrucieństwa. To nieznany geniusz w Azerbejdżanie odkrył, do czego broń jądrowa jest *dobra*. Wielospołecznościowa masakra. Taktyczna nuklearna masakra wielospołecznościowa. Znamy wynik.

– Naturalnie, to musiało być powstrzymane. Stąd kolejne wielkie odkrycie: wykorzystanie laserów w przestrzeni kosmicznej i rzeczywiście jądrówek w przestrzeni kosmicznej. Oryginalne zostały zaprojektowane do doprowadzenia bloku komunistycznego do nędzy, co zrobiły, i wkrótce potem doprowadziły USA do bankructwa, wszystko to, zanim *w ogóle zostały zbudowane*! Jak mityczna bomba tachionowa, która niszczy cel, zanim zostanie zrzucona, bronie orbitalne uderzyły do tyłu w czasie. Niemniej oczywiście w końcu zostały zbudowane i zachowują dzisiaj pokój przez rażenie dowol-

nego obiektu, który wygląda, jak gdyby mógł być użyty do zbudowania jądrówek.

– Więc macie to: cudowne mechanizmy równowagi politycznej, które uwolniły nas od głodu, od strachu wojny jądrowej, od nieuchronnej tyranii i pozwoliły nam iść do piekła na swój własny sposób. Jednak przy czternastu milionach sześćset tysiącach strat w walce rocznie, na stałe przekroczyliśmy śmiertelność Drugiej Wojny Świeatowej. Nie jest to tak różne od dawnych złych czasów, kiedy wszyscy wysyłaliśmy się do piekła.

– Nie zrozumcie mnie źle: wolałbym popróbować szczęścia z wyzwolicielami zwierząt, sabotażystami maszyn i neochrześcijańskimi bojówkami każdego dnia niż stawiać czoła nowemu Hitlerowi, Stalinowi czy Johnsonowi. Jednak chciałbym, żeby każdy, kto ogląda, pomyślał nad możliwością, że może możemy zrobić to lepiej niż w ten sposób. I zapytał siebie: gdzie jest podatny punkt w tym totalitarianizmie wielokrotnego wyboru? Wydaje się. . . jednolity. Co jednostka może zrobić przeciwko temu?

– Powiem wam. Jedną z przodków naszych współczesnych bojówej była grupa nazwana Falangą. Mieli hasło: *Credere. Obedere. Combatere.* „Wierz. Słuchaj. Walcz.” Sugeruję, że wątpicie, jesteście nieposłuszni, dezerterujecie. Szczególnie jeżeli jesteście wezwani do walki przeciwko tym, którzy naciskają, wbrew wszystkim dowodom, że *jesteśmy jednym ludem.*

Zatrzymał się na chwilę, jak gdyby podkreślić, że wiedział dokładnie, co chciał powiedzieć.

– Ale, oczywiście, to tylko moja opinia.

– A teraz, słowo od mojego sponsora, Spółdzielnia Pracowników Obrony imienia Feliksa Dzierżyńskiego, która ma zupełnie odmienną opinię. Dobranoc. Idźcie bez Boga, lub Bogini, jeżeli jesteście bezbożni, i jeżeli nie, idźcie z.

* * *

Jordan osuszył kubek kawy i odstawił go, zbyt mocno. Suchy było opisem, jak się czuł. Obserwował towarzysza, którego była kolej na mycie nawet bez tego drgnięcia impulsu pomocy, który tak rozbawił innych podczas jego pierwszego wieczoru tutaj.

Kiedy skończył mówić i Mary sprzątała kamery po ich codziennym programie, powiedziała, nie patrząc na niego: „To było naprawdę. . . coś. Gdzie się tak nauczyłeś przemawiać?

Jordan westchnął.

– Teleewangeliści – powiedział gorzko. – Siedziałem na dostatecznie wielu. Musiało wsiąknąć.

Wstępnie przystosowany do mówienia na Kablu, tak jak jego praca wstępnie przystosowała go do szukania w sieci. To była straszna, deterministyczna myśl, jak kalwinizm. . .

Och, gówno To go nigdzie nie prowadziło. Wyskoczył, wziął prysznic, przebrał się i znowu zszedł na dów. Stół w długim pokoju był czysty, sprzęt studia odchylony. *Havana Vice* było w telewizji. Dafyd i Stone siedzieli na sofie przy ekranie w oknie (wersji metr na dwa gogli, która sprawiała, że czuł się wystawiony, nawet wiedząc, że było jednokierunkowe i pancerne) dzieląc się skrętem i czyszcząc broń.

– Cześć, Jordan.

– Cześć chlopaki. – Usiadł na oparciu sofy, wdychając opary dymu i obserwując z nieprzypadkowo wzrastającą fascynacją zawiły wzór wykonywany przez ręce mężczyzn, gdy tarli, ścierali, skręcali, dopasowywali, wyjmowali i składali, wyciągali i przekazywali. Pracowali i palili w ciszy, prócz okazyjnych tajemniczych uwag, zwykle po których następował bezsilny śmiech.

– Nie wkładaj wszystkich progsów na jeden dysk.

– Olejenie żarłoka, tutaj jest.

– Więc spojrzał na sędziego i powiedział „Te rzeczy są nasłane, żeby nas sprawdzić".

Tamten zabił ich. Obaj najemnicy stoczyli się z sofy i zaatakowali podłogę. Po minucie kopania i uderzania stało się jasne, że wygrała podłoga. Leżeli na plecach, wycierając łzy.

– O co chodziło?

Stone pierwszy odzyskał głos.

– To było coś, co my i Moh zrobiliśmy kiedyś, skończyło się w sądzie i AH HAHA AH HAA – wyjaśnił.

Jordan spojrzał na nich i pokręcił głową. Podszedł do terminala i włożył swoją kartę. Jego mowa wydawała się rozpowszechniać i była rozprzestrzeniana, gdy ludzie ją odtwarzali i przekazywali dalej. Niewielu, ale pojawił się cienki strumyk z opłat i jego własny udział w zwykłych darowiznach. Poczuł, że powinien podarować część tego na jakiś ważny cel.

– No weźcie się w garść, wytrzeźwiejcie – rzucił przez ramię. – Zamierzam postawić wam drinka.

Zerwali się piorunem.

* * *

W Lordzie Carringtonie Interpretacja Wielu Światów grała dla cichej publiczności w środku tygodnia. Zespół widocznie wierzył, że użycie możliwości medium wychodzi poza iluzję obecności i miał trick przeskakiwania dookoła nieprzewidywalnie. Ktoś zaśpiewałby półtorej linii, wtedy kolejny członek zespołu stałby tam, przedstawiając kolejną frazę, podczas gdy pierwszy śpiewak męczyłby się z gitarą. Pierwsze pięć razy, kiedy to się wydarzyło, było zabawne.

Jordan nigdy wcześniej nie wyszedł z Dafydem i Stone i był zaskoczony i ulżyło mu, gdy okazało się, że piją bardziej umiarkowanie niż palą. Spędzili około pół godziny nad litrem, mówiąc

szeptem i przypalając papieros od papierosa. Rozmawiali o pracy, o fakcjach i sojuszach, a Jordan był osobiście zadowolony z siebie, że był w stanie wtrącić spostrzegawczy komentarz od czasu do czasu. W końcu to była część jego pracy. Jeden z powodów ich względnej trzeźwości stał się widoczny, choć tylko dla bliskiego obserwatora. Dyskretnie przyglądali się kobietom.

Jednak to Jordan zobaczył ją pierwszy, wchodzącą jak gdyby miejsce było małą ajencją w jej rejonie. Poruszała się jak tancerka, rozglądała się dookoła jak żołnierz. Miała błyszczącą aureolę blond włosów, jasne niebieskie oczy, skórę koloru jasnego miodu, wysokie kości policzkowe i rodzaj podbródka, którego wyewoluowanie zajęłoby reszcie ludzkości jakieś pół miliona lat. Nie była wysoka, ale miała długie nogi, zakryte tuż poniżej kolan sukienką, która dość wyraźnie została zrobiona z pajęczyny zroszonej poranną rosą. Na to miała założoną znoszoną kurtkę dżins o kilka rozmiarów za dużą. Gdy podeszła do baru, żeby zamówić drinka, Jordan zobaczył, że kurtka miała zawile wyhaftowaną naszywkę z tyłu: Ziemia z kosmosu, prawie unosząca się z jej ramion, ze słowami ANIOŁY ZIEMI dookoła niej.

Podano jej drink w sekundę. Odwróciła się i zobaczyła go patrzącego na nią przez dziesięć metrów zadymionego półświatła. Patrzył, ciągle nie mogąc uwierzyć, że to naprawdę ona. W oddali tuż przy jego uchu usłyszał Dafyda wołającego radośnie „Cat!”. Kobieta posłała uśmiech zatrzymujący serca i podeszła.

Jordan poruszył się szybciej niż inni, żeby zrobić jej miejsce. Kiwnęła mu głową, posłała szybki, niepewny uśmiech i usiadła koło niego. Sięgnęła nad stołem do Dafyda i Stone i uścisnęła ich ręce.

– Cześć, chłopaki. Fajnie was znowu widzieć.

– Ciebie też, Cat.

– Kopę lat – powiedział Stone. Uśmiechnął się do niej. – Tęskniliśmy.

– Nie, kurwa nie tęskniliście! – Cat wyprostowała lewe ramię, pokazując plastikową formę. – Strzelaliście do mnie!

Stone odpowiedział wzrokiem, bez zmartwień.

– Biznes to biznes – powiedział.

Cat uśmiechnęła się. Nawet z boku, Jordan mógł poczuć ciepło.

– Ta, w porządku, daj spokój. – Wzruszyła ramionami, cofając ramię i biorąc łyk drinka.

– Załatwiłaś ten spór z Moh? – spytał Dafyd.

– Och – powiedziała Catherin. – Tak, załatwione. Skąd o tym wiecie?

Stone zarechotał.

– Moh nam powiedział. W końcu. Nawet gdyby nie powiedział, byśmy się dowiedzieli. – Ponownie się zaśmiał. – Co za idiota. Gdzie jest teraz?

Stone, zauważył Jordan, patrzył się intensywnie na Cat.

– Gdzieś tam z panią naukowiec – odpowiedziała Cat. Jej ton był ogólnikowy i lekki, jak gdyby przekazywał leniwą plotkę. Stone zmarszczył brwi, spojrzał w bok, i wydawało się, że zobaczył Jordana po raz pierwszy, od kiedy przyszła Cat.

– O, Cat, ten facet tutaj to Jordan Brown, zostaje z nami na. . .

– Wiem – powiedziała. Odwróciła się do Jordana. – Szukałam Ciebie. – Odstawiła drinka. – Jestem Catherin Duvalier – powiedziała, wyciągając prawą dłoń.

Jordan poczuł się jak przy całowaniu. Potrząsnął ją.

– *Szukałaś* mnie? – spytał.

– Tak.

Cała twarz Jordan była gorąca jak latarnia. Powiedział pierwszą rzecz, jaka przyszła mu do głowy.

– Również Ciebie szukałem. – Jego usta były suche i wziął łyk piwa.

Catherin się roześmiała.

– Szukałeś, cholera – powiedziała. – Znalazłeś mnie!

– Ta, dobra, nie byłaś...

– Hej. – Cat pochyliła głowę do przodu, potem spojrzała, odrzucając włosy do tyłu sprzed jej oczu nadgarstkiem i szczerząc sę do niego złośliwe. – To?

– To.

– Sprytne. – Przesunęła się na krześle, wpół odwrócona. – Ale to nie było to. To był sposób, w jaki to dostałeś. – Jej zmrużone oczy spojrzały na niego z boku.

– Och, ...

Cat szybko podniosła rękę, krawędzią do innych, rozłożyła dłoń w jego kierunku.

– Potem. – Jej oczy odwróciły się. Przygryzła na chwilę dolną wargę.

Stone przeniósł wzrok z Cat na Jordan, marszcząc brwi.

– Co się tam dzieje?

Cat oparła łokcie o stół, policzki o kostki.

– Nie Twój interes. – Uśmiechnęła się jasno do Dafyda i Stone'a. – Więc... *jak* interesy?

Dafyd wzruszył ramionami.

– Ciągle działamy na kontraktach takich, co ich nie lubiłaś – powiedział. – Sprawy Ruchu trochę się kończą, ale zbliża się mnóstwo pracy przy ochronie budynków. Co Ty sama robisz?

– Nic ryzykownego.

– Ach – powiedział Stone.

– Nie przyszłam tutaj szukać pracy – powiedziała Catherin. Po-

chyliła się mocniej nad stołem. – To, co powiedziałeś o kończących pracach ruchu, jak byś to wyjaśnił?

– Ludzie się wstrzymują – odpowiedział Stone. – Wiesz dlaczego.

Dafyd chrząknął.

– ANR gada o ostatecznej ofensywie. Uważasz, robili tak samo pięć lat temu i z tego wyszło tylko kilka rajdów. Nie wyjaśniałoby tego wszystkiego, co się dzieje, lub raczej co się nie dzieje.

– Utrata zaufania w przemysł przemocy politycznej – powiedział Jordan, czując, że powinien wnieść wkład. – Dlaczego płacić za bombardowanie dzisiaj tego, co zostanie zbombardowane jutro? – Wpadł w akcent Cockney. – Źle dla interesów, co nie, całe to gadanie o ostatecznej ofensywie. Prowadzi do robienia zapasów. Cholera, niektóre stroje będą wypuszczać bojowników na ulice.

Roześmiał się na ich krępujące uśmiechy.

– Łapiesz to – powiedziała Catherin odwracając się do niego. – To jest część planu. Taktyka, towarzyszu, taktyka.

– Hę?

– Pomyśl o tym. „Bojownicy na ulicach” Nie zamierzają siedzieć z odwróconoymi hełmami koło nich i jakimś kartonem z napisem „Brak amunicji, proszę o pomoc”. – Czekała, aż ich uśmiechy znikną i kontynuowała. – Faktycznie. . . coś się *zbliża.* Nie wiem, kiedy, ale lada dzień. ANR i Sojusz, nie wiem, który zamierza wykorzystać drugiego jako osłonę, ale oba uderzą w tym samym czasie. To jest fakt.

Jordan przemyślał, co się nauczył i co już wiedział o siłach i dyspozycjach podzielonej opozycji. Trudna do oszacowania, biorąc pod uwagę Ustawę (Tymczasową) o Reprezentowaniu Narodu, ale pomiędzy nimi mogliby prawdopodobnie skrzyknąć około jednej trzeciej populacji, a historia pokazywała, że to było wystarcza-

jące, kiedy to nie liczyły się głosowania. Włosy podniosły mu się na karku.

– Wiecie, jeżeli ta ofensywa się uda, mówimy o rewolucji – powiedział do Catherin. Powiedział to nieświadomie, tylko przekazując informację.

Pokiwała głową, tak samo poważnie.

Jordan poczuł, że oczy go piekę.

– *Hu*rra – powiedział.

– Zadowolonyś z tego? – spytał Stone. – Słyszałem Cię dzisiaj wieczorem. Myślałem, że byłeś przeciwko walce.

Jordan spojrzał się na niego, wstrząśnięty jak łatwo było być nieco zbyt subtelnym.

– Będę musiał nad tym popracować – powiedział kwaśno. – Miałem na myśli, jestem przeciwko wszystkim głupim bitwom, które teraz się odbywają. Walka, żeby je zakończyć, to coś innego. Zatem to *nie* bicie się o to, żeby to się dalej toczyło, jest tym, co próbowałem zasugerować.

– Wojna, żeby zakończyć wojnę – powiedział sucho Dafyd.

Cat bystro odwróciła głowę.

– Co jest z tym złego?

– Precedensy nie są takie dobre – powiedział Stone. – Na początek Trzecia Wojna Światowa.

Jordan zakrztusił się piwem na chwilę.

– Powinieneś czytać książki – prychnął. Parsknął pachnącą chmielem pianą z zatok, uśmiechając się przepraszająco. – Och, zapomnij. Byłeś ostatnio w sieci?

Stone i Dafyd potrząsnęli głowami. Catherin obserwowała go. Rzucał jej spojrzenie tylko sporadycznie, gdy mówił, lub tak myślał wtedy. Po wszystkim, wspominając, wszystko co zapamiętał z rozmowy to jej twarz i niejasno wspomnienie tego, co powiedział.

Wtedy wszystko było jasne: wszystkie kawałki informacji, które znalazł w sieci i na ulicy łączące się wzajemnie, gwar, który nagle był tak głośny w bolesnej ciszy pozostawionej po tym, jak ANR umilkło. Wymyślił historię przesunięć, które zaobserwował w sposób, który mógłby być sensowny dla dwóch (lub trzech? czy Catherin była zainteresowana?) politycznie zaangażowanych bojowników. I cały czas wiedział, że improwizował, że to była w części zgadywanka, którą tylko mógł mieć nadzieję, że inspirowała.

– Coś się dzieje – podsumował. – Dzieje się szybko. Ludzie zmienianiają zdanie, decydują się w godzinę. I albo stają po stronie ANR, albo przynajmniej przeciwko Koronie i Wolnym Państwom.

Catherin wyglądała na zainteresowaną, a Dafyd i Stone – sceptycznie. Jordan rozłożył ręce.

– Sprawdźcie to chłopaki.

Zaczęli dyskutować. Jordan zamówił kolejną kolejkę. Cat przesunęła się, nie patrząc na niego, ciągle kłócąc, i usiadł koło niej, tym razem na zewnętrznym krześle.

– Nie ma powodu do gadania – mówiła Catherin. – Byliście na służbie przez tydzień, a poza tym na zabawach, prawda?

Stone i Dafyd zaakceptowali sprawiedliwość tego pohukiwaniem.

– Więc idźcie i porozmawiajcie z kimś innym, OK! – powiedziała. Coś w jej srogim spojrzeniu sprawiło, że obaj mężczyźni nagle zauważyli jakichś towarzyszy przy barze. Odeszli, żeby do nich dołączyć.

– Mógłbyś mi pomóc zdjąć tę kurtkę?

Odwróciła się jedwabnym ruchem. Jordan zsunął kurtkę z jej ramion, oparł się pragnieniu zakopania twarzy w jej włosach lub prześledzeniu filigranowych kwiatów na plecach jej elfiej sukienki. Spojrzał jeszcze raz na unoszącą się planetą, płomienne litery.

– Anioły Ziemi – powiedział. – To Twój gang, co? – Zaczął składać rękawy, kiedy poczuł coś ciężkiego i masywnego w wewnętrznej kieszenie. Catherin w tej samej chwili zabrała kurtkę z jego rąk i położył ją ostrożnie na oparciu krzesła. Oparła lekko ramię i usiadła bokiem, patrząc na niego.

– Tak – powiedziała. – Ekoprzestępcy drżą, gdy wjeżdżamy do miasta na motorach... Nie, po prostu myślałam, że to brzmi dobrze.

– To nie „ziemia jak w „Matce Ziemi”, to „ziemia” jak w „ziemski”. Anioł Ziemski. –Ośmielił się spojrzeć na nią, objąć ją całą w długim bez tchu, przeciągłym spojrzeniu. – Tak, to Ty.

Odpowiedziała oceniającym spojrzeniem, przez które pomyślał: Czy tak wyglądamy dla nich? i przypływem żądzy intensywniejszej niż nadawczyni takiego spojrzenia kiedykolwiek w nim wznieciła. Każdy, kto patrzy na niewiastę ... już popełnił to w swoim sercu.

– A Ty jesteś ziemskim kaznodzieją – powiedziała. – Widziałam Cię wieczorem w telewizji.

– Och, to, to wspaniale. – Wziął łyk piwa, uszy go paliły. – Co pomyślałaś?

– Ja... w pewnym sensie się zgadzam – odpowiedziała. Uśmiechnęła się. – Ale to... nie jest powód, dlaczego tutaj jestem.

Próbował nie brzmieć jako rozczarowany. – Tak nie pomyślałem. – Spojrzał na nią, po raz pierwszy nie patrząc na nią, ale myśląc. – Mówiłaś coś o tym, hm, jak Cię znalazłem?

Catherin pokiwała głową.

– A skąd – spytała Jordan – wiesz o tym?

Jej twarz nic nie pokazywała. Jordan nagle był świadom, jak mało wiedział o niej, myśl, która nagle zmieniła się, w jak bardzo chciał się dowiedzieć... o niej, Moh, jej i Moh, co się stało...

Uderzył się w czoło dłonią.

– Agh! – powiedział. Oczywiście. – Widziałaś dzisiaj Moh!

Catherin uśmiechnęła się. – Tak – odparła. – Widziałam.

– To miejsce, gdzie byłaś, czy to. . . ?

Przechyliła głowę, pokręciła ją wolno. Nie *nie*, ale *nie pytaj*.

– Mam Ci coś do powiedzenia – powiedziała.

Poziom hałasu w barze uniemożliwiłby podsłuchanie ich rozmowy z odległości jednego metra. Catherin rozejrzała się dookoła, potem przysunęła usta do jego ucha. Poczuł jej ciepły oddech i zmusił się do uważania na słowa, które wypowiedziała.

– To, co zrobiłeś. . . *nie rób tego więcej.*

Wyprostowała się i popatrzyła na niego, jej mina tak dziwna i zażenowana, jak (był tego pewien) jego własna. To, co zrobił. . . kiedy ją odnalazł. . . pewnie nikt, nie ona, nie ktokolwiek ją wysłał, mógłby sprzeciwić się jego hakowaniu systemów Miasta Oblubienicy? Jego umysł podążył śladem, program SILK.ROOT, i nagle zrozumiał dokładnie, co zrobił, kiedy śledził przesyłkę jedwabiu do Gminy Pokoju Kobiet.

Hakował Czarny Plan.

Możliwie, że szwędając się koło czegoś dość czułego, jeżeli ofensywa była tak bliska, jak mówiła.

– Ach. – Jego usta były suche. – Rozumiem.

Catherin uśmiechnęła się spod brwi.

– Dobra. Ok. To załatwione. – Głowa do tyłu, włosy odrzucone nadgarstkiem, roześmiała się z ulgą. – Hej, Jordan. Są sprawy, o których nie mogę Ci powiedzieć. Jeżeli byłeś zamieszany z Moh, muszą być sprawy, których mi nie powiesz, racja?

– Aha. – Myślał o tym.

– Przyzwyczajaj się do tego. Jesteś teraz w rewolucji.

– Och, jestem, tak?

Odstawiła swój drink.

– Lepiej w to uwierz.

Wstała, założyła kurtkę, poklepała wewnętrzną kieszeń.

– Chodź – powiedziała. – Mamy pracę do wykonania.

Stone i Dafyd posłali mu uśmiechy pełne porozumiewawczego zaskoczenia i całkowitego niezrozumienia, gdy ich mijał.

– Do zobaczenia w domu. – Cat zawołała do nich nad ramieniem, gdy trzymał drzwi dla niej. – Nie siedźcie długo.

Po wnętrzu pubu wieczorne niebo było jasne.

– Spójrz na te chmury – Catherin przechyliła głowę do tyłu. Jordan spojrzał na chmury, podświetlone przez zachód, pomarszczona formacja jak ślady fal na piasku.

– Jak falbanki z brzoskwiniowej satyny... – powiedziała Cat, potem się roześmiała z siebie. – Posłuchaj mnie!

– Femininistki przemówiły do Ciebie, co nie?

– Ta. Przemówiły.

Ledwo na niego spojrzała, gdy mówiła, przedzierając się przez tłum w ciągłej gotowości, która sprawiała, że jego własne postępy wyglądały niezdarnie. Ulica wydawała się Jordanowi nawet ruchliwsza, z biznesami dziejącymi się na niej niż więcej niż zwykle: więcej osób idących, śpieszących się, rozmawiających, więcej otwarcie noszonej broni.

Bojownicy na ulicach...

Cat już ponownie się wprowadziła do systemów bezpieczeństwa domu i podążył za nią przez drzwi z dziwnym uczuciem, że był obcym, gościem. Okazało się, że Mary Abid jest zajęta z konsolą edytującą Kabel, Tai studiował mapy rozłożone na stole, Alasdair robił coś z lutownicą kawałkowi sprzętu, którego Jordan nie rozpoznał. Dzieci liczyły naboje i ładowały je w magazynki, klejąc razem taśmą łukowate magazynki AK. Nikt nie rzucił Cat więcej niż spojrzenie, kiedy przeleciała przez mgłę topnika, aromatu kawy i dymu papierosów. Najwidoczniej wciągnęła wszystkich w domu w cokol-

wiek, co zamierzała, zanim udała się na poszukiwania do pubu. Zostawiła kilka torb podróżnych i pakietów pasów, kabur i pistoletów w rogu, mniej więcej na uboczu.

Pokój łączności był całkowicie zajęty. Cat odwróciła się do niego.

– Masz osobisty?

– Jasne. – Postukał w obudowę komputera i gogle przy pasku.

– Mieszkasz w pokoju Moh?

– Tak.

– Ok, tam jest port.

W pokoju rzuciła kurtkę na łóżko i rozejrzała się, jak gdyby sprawdzając po powrocie, znajome miejsce. Jej wzrok zatrzymał się na dwóch jej zdjęciach na ścianie. Uśmiechnęła się dziwnie do Jordan i odwróciła się do stosu pamfletów, w których znalazł książkę Wilde'a.

– Aha – powiedziała. – Już zacząłeś. – Usiadła w nieładzie, rąbek spódnicy na kostkach, kolana przy podbródku, objęła ramionami nogi i spojrzała na Jordan z oczekiwaniem, jak dziewczynka czekająca na historię.

Zmarszczył brwi na nią, zaskoczony.

– Ok, Jordan – powiedziała, poklepując podłogę. – Nie lećmy w kulki z tym, co możemy, a czego nie możemy powiedzieć. Mamy trochę czasu i jest tak dużo o czym *możemy* rozmawiać.

Jordan pchnął na bok broszury krawędzią buta i usiadł twarzą do niej, podeszwy stóp na podłodze, łokcie na kolanach.

– Na początek – kontynuowała Cat – kim jesteś, i co Ty i Moh robicie? Wiem, że Moh ucieka przestraszony, że Donovan go złapie i to w ogóle nie w jego stylu. Wszyscy byliśmy w Banku Ciał, a SeŻeWu robi szybkie wymiany, wiesz? Mam na myśli, cholera, Moh siedział swoje. Co się dzieje?

Jakieś pytanie. Jordan próbował szybko pomyśleć. Wydawało

się, że umowa była taka, że Cat nie mówiłaby o niczym, co łączyło femininistki z ANR, a on nie powinien mówić o czymkolwiek, co Moh chciał utrzymać w sekrecie: leki, Czarny Plan... Czarny Plan był sekretem u obojga, ich kontrolowaną strefą rozmowy.

– Nie jestem pewien – powiedział. Była to prawda, do pewnego momentu. – O ile wiem, Donovan gonił Moh, żeby rozliczyć się z powodu Ciebie. Janis, to jest tak naukowczyni, z którą jest Moh, ma jakieś kłopoty z Stasis. – Myśl go uderzyła. – Co, jeżeli Donovan i Stasis pracują razem?

– Och, bogini. – Twarz Cat zdradziła konsternację. – To dużo by tłumaczyło.

– Czego nie zrobisz?

– Dokładnie tak.

Spojrzeli sobie w oczy na sekundę.

– Tylko jedna sprawa – powiedział Jordan, zbierając myśli. – Moh nawiązał kontakt z ANR. Możesz to potwierdzić?

Cat myślała o tym przez chwilę, potem skinęła głową.

– Dobrze – powiedział Jordan. Uśmiechnął się z ulgą. – Zdaje się, że już nie jest w moich rękach.

– Możesz tak powiedzieć – powiedziała Cat sucho.

– Co do tego, kim jestem... W zasadzie, jestem z Miasta Oblubienicy. Posiadałem tam udział w biznesie. Wyjechałem kilka dni temu, ponieważ... dostałem bardzo niezwykłą propozycję biznesową, tak, i dało mi to szansę odejścia i ... raczej pilny *powód* odejścia.

– Potrzebowałeś jakiegoś, poza byciem niewierzącym?

Jordan poczuł się, że czerwieni pod jej niemrugającym niebieskookim badaniem.

– Może byłem niezdecydowany, może trochę zbyt niechętny ranieniu moich starych. – Poczuł gorycz. – Może tchórzliwy.

– Kurde – powiedziała. – Nie bądź dla siebie taki surowy. Tak

jak te miejsca cholernie *działają*, kurczę, wszystkie te ideologie, o których dzisiaj perorowałeś. Zaczynasz wątpić w nie i zanim się spostrzeżesz, wątpisz w *siebie*, czujesz się winny, ponieważ występujesz przeciwko czemuś, co było wtłoczone w ciebie, i czujesz się winny, ponieważ jesteś nieuczciwy w tej sprawie każdego dnia. – Przestała, brwi uniesione.

– *Tak*! To jest to. Dokładnie.

– Ok. Cóż, jestem pewna, że dotąd odkryłeś już, że nic złego z Tobą nie jest. – Swoboda sposobu, w jaki powiedziała te słowa, posłała je prosto w jego splot słoneczny, gdzie się żarzyły. – Czego prawdopodobnie jeszcze nie zrozumiałeś, jest to, że nie jesteś sam. W każdym minipaństwie, nawet w Mieście, uwierz mi, są ludzie, którzy są tak samo wyobcowani jak Ty.

– Możliwe. – Nie rozumiał tego. – Tak czy inaczej, Moh wydawał się myśleć, że w tym może być jakiś pożytek. Chciał, żebym mu pomógł z - Jordan pomachał dłonią, uśmiechając się – tym problemem, w którym był, a później w wyśledzeniu Ciebie, ale zdecydowanie chciał, żeby również trochę perorował, jak powiedziałaś. Niemniej jednak nie widzę, żeby to robiło jakąś różnicę wobec czegokolwiek, co się zdarzy.

– Ja też nie. – Cat uśmiechnęła się rozbrajająco. – Ale powiedziałeś, że myślałeś, że ludzie zmieniają swoje zdanie co chwila, dochodząc do wniosku: ach, walić to, ANR ma szansę, tak? Dobrze spójrz na to miejsce, wszyscy robią dokładnie to.

– To przez Ciebie?

Cat skinęła głową.

– Tak. – Uśmiechnęła się. – Najłatwiejsza agitka, którą miałam. – Znowu jej spojrzenie było nieuchronne. – A Ty?

– Ta, ja... chciałbym widzieć ich wygrywających, ale... to wszystko o ile to możliwe. To nie jakiś rodzaj nawrócenia.

– To wszystko co zwykle jest, w tych sytuacjach – powiedziała Cat. Nastąpiła chwila, której oboje zamilkli, rozważając. W tych sytuacjach... Rewolucja jest jak wojna, pomyślał Jordan. Po prostu nigdy nie wiesz, jak zareagujesz, kiedy coś takiego nadejdzie. Patrioci mogliby stać się przez noc pacyfistami i na odwrót. Cyniczni, bystrzy młodzieńcy odlatują i umierają za króla i kraj. I indywidualista, który brzydził się duszącymi skrzepami konformizmu znanymi jako Wolne Państwa, mógłby nagle ujrzeć dzielność w zburzeniu ich w jedną zjednoczoną republikę.

Cat wtrąciła się w jego myśli.

– Ok, więc to jest jedna rzecz, którą możesz zrobić. Mów, pisz, składaj rzeczy z wszystkie w sieci, lub tutaj z tego, co łapie Twoje oko – pomachała dłonią na masę broszur – cokolwiek. Nie mów o ANR, mów o tym, jak głupie są Wolne Państwa i Korona i ONZ. I zdobądź tak dużo informacji, jak możesz na temat tego co się dzieje, jak rzeczy się układają. – Zmrużyła oczy. – Och, tak. Coś jeszcze. Mówisz, że jesteś przedsiębiorcą? Wiesz coś o handlu akcjami?

Jordan odkrył, że stoi.

– Tak. Tak, w rzeczy samej wiem.

Cat wstała.

– Doskonale – powiedziała. – Załatwię, żeby towarzysze pchnęli Ci trochę pieniędzy, na których siedzą, w Twoją przestrzeń. Jak będziesz miał chwilę, spekuluj. – Zamilkła, marszcząc brwi. – Możesz zarabiać na upadającym rynku?

Jordan szeroko się uśmiechnął.

– Jasne.

– Ok – powiedział Cat. Wybrała drogę przez zabałaganioną podłogę. – Zabierz się za to. Przestań około, och, nieco po północy.

– Potem co?

Cat spojrzała na niego nad ramieniem z drzwi.

– Idź spać – powiedziała. – Wkrótce będziesz potrzebował całego snu, jaki dostaniesz.

I z tą zagadkową obietnicą wyszła.

Rozdział 16

Przeddzień destrukcji na czas

Jordan, aż po gałki oczne i łokcie w wirtualnej rzeczywistości, był sporadycznie świadom dzikiej, kociej, kobiecej obecności Cat, gdy szeptała mu do ucha, zaburzała powietrze dookoła niego, ocierała się o jego plecy. To odpalało go i prowadziło, i było łatwiejsze do zniesienia i mniej rozpraszające niż bycie nawiedzanym jej obrazem, dręczonym przez jej nieobecność.

Obudziła go, potrząsając o 05:30. Usiadł, patrząc na nią z poczuciem nierealności. Przyjęła pozę dobrej wróżki, w lśnieniu i blasku tej samej sukienki, którą nosiła wczoraj, i wyciągnęła kubek kawy i talerz z kanapką z bekonem.

– Dzień dobry. – Przełknął. – Dziękuję.

Podała mu śniadanie i powiedziała:

– Cześć. Mary powiedziała, żeby Ci powiedzieć, że Władywostok upadł, Tokio upada, a funt jest dwa przecinek trzy miliona do marki i wzrasta.

– *Wzrasta*? – Banki centralne musiały być zdesperowane. Jordan odkrył, że siedzi przy małym stoliku, gdzie gogle i komputer były włączone do gniazdka. Do czasu, gdy stworzył sobie obraz z raportów rynkowych, kawa i kanapka były skończone. Przerwa po zamianie jenów na szterlingi przyniosła uczucie zaniepokojenia. Wrócił do aktualnej rzeczywistości, żeby odkryć, że nie był ubrany.

Nie przeszkadzało mu to. Domyślał się, że to nie przeszkadzało Cat. Po kolejnym krótkim przeglądzie rynków wziął prysznic i założył dżinsy i koszulkę i pośpieszył do pokoju łączności.

Spędził poranek i wczesne przedpołudnie robiąc to, co zasugerowała Cat, przeskakując z podnieconych, podniecających rozmów na grupach dyskusyjnych i kanałach informacyjnych do konsekwencji na rynkach. Był na fali, wyprzedzał grę... Gdy tylko, gdy nerwy wstrząśnięte po upadku Władywostoku (na rzecz tego, co kanały opisywały jako Front Ludowy Workuty) się uspokoiły, przypływy gorącego kapitału spłynęły do Brytanii. Inwestorzy i spekulatorzy wydawali się być pod wrażeniem pewnej ręki rządu. Było dużo bystrych rad, jak ofensywa ANR się nie kształtuje.

Ha!

Przekonany, że wie lepiej, Jordan jechał na wzroście tak długo, jak się odważył i wyprzedał się około południa, przenosząc się tak ostro, jak mógł w złoto, po podwojeniu własnych stawek, jak również Kolektywu. Ta ostatnia była haniebnie wysoką kwotą zostawioną na niskooprocentowanym koncie oszczędnościowym. Najemnicy nie byli wystarczająco najemnikami, pomyślał.

Zwrócił uwagę na sieci wiadomości, przeskakując kanały, przesiewając przez elaboraty, żeby zbudować przy pomocy mniej więcej naturalnej selekcji program filtrujący, który skupiał się na tym, co uważał za interesujące. Poświęcił niewielką część siebie zarówno mówionym i pisanym tyradom. Wychodząc z VR, odchylił się i obserwował ekran na płaskim, pozwalając programowi wybrać co próbkować.

Cat pojawiła się przy łokciu.

– Jak idzie?

– Nie tak źle.

Dziwna twarz pojawiła się na ekranie, wychudzona, nieogo-

lona, zaczerwienione oczy, gadająca chrapliwie o nieprawościach systemu Wolnych Państw:

– ...jesteście wolni do wyjścia, ale jeżeli jesteście systematycznie pozbawiani jakiejkolwiek informacji, co moglibyście odkryć, gdybyście opuścili, to co to za wolność? Musimy rozbić ściany...

To były jedyne słowa, które rozpoznał jako swoje.

– Hej, to dobre – mówiła Cat.

– Dobra bogini. – Jordan machnięciem ściszył. – Czy ja tak wyglądam? Jestem cholerną hańbą.

– Nie – powiedziała Cat. – Nie jesteś. – Sięgnęła i włączyła źródło segmentu, stację Kaba w Midlands. – Widzisz, jesteś powtarzany... – Uderzyła sekwencję wyszukiwania, pokazującą diagram drzewa grup i kanałów, które coś podjęły z tego, co Jordan powiedział lub napisał, imponująca struktura widzialnie rozrastająca się na końcówkach.

– Nie rozumiem – powiedział Jordan. – Nikt mnie nie zna.

– O to chodzi. – Cat usiadła na stole i spojrzała na niego z góry, warstwy jej sukni trzepoczące w niewłaściwym przeciągu z wentylatorów maszyn. – Uliczny autorytet. Nawet *wyglądasz* jak uchodźca z jakiegoś okropnego represyjnego minipaństwa.

Jordan uśmiechnął się kwaśno.

– Tym właśnie jestem.

– Dokładnie – powiedziała Cat. – Zobaczysz. Co masz o polityce?

Jordan wpatrzył się w ekran, znowu niewidzący.

– Sojuszu Lewicy wypływa, ciągle nic z ANR, politicos Ruchu Kosmicznego kłócą się, jak, cóż, możesz się spodziewać, Wilde wypowiedział pewne tajne uwagi, które sugerują, że negocjuje z ANR...

– Ten reakcyjny stary bękart? – prychnęła Catherin. – Moh zwykł go doceniać.

– Ta, cóż, ja też.

– Mogłam się domyśleć – powiedziała Cat. Uśmiechnęła się nie nieprzyjaźnie. – Mówiąc o kapitalistycznych bękartach, jak idzie spekulacja?

– Dobrze – powiedział Jordan. – Jesteśmy miliarderami w szterlingach.

– Ha ha.

– Nie martw się, teraz to wszystko złoto i broń.

Sięgnął i drgnął *FT*[1] Indeks Dziesięciu Tysięcy.

Rynek sięgnął szczytu, przestał i opadał…

I wtedy wszystko oszalało…

Skręcające się pasy kolorów, fragmenty wiadomości, trajkot, szum…

– Hej, co jest kurwa! – Krzyki zdenerwowania pochodziły od innych w pokoju, jak wyłączali się, zdejmowali gogle i stali pocierali oczy. Jordan tylko siedział i to obserwował.

– Co się dzieje?

Catherin przenosiła wzrok z bałaganu na ekranach i hologramach na jego twarz i z powrotem, i wydawała się coraz bardziej zmartwiona.

– Jest ok – powiedział Jordan. – To minie. Widziałem to coś wcześniej.

O mój Boże, myślał. Moh znowu to zrobił!

* * *

Donovan obserwował Bleibtreu-Fèvre sztywno schodzącego ze stopni helikoptera i utykającego przez lądowisko. Inaczej niż wszy-

[1] FT – Financial Times Index – indeks giełdowy stu spółek rejestrowanych na londyńskiej giełdzie, tutaj dziesięciu tysięcy, zob. `https://en.wikipedia.org/wiki/FTSE_100_Index` – przyp.tłum.

scy inni, których znał Donovan, agent Stasis nie schylał się, gdy szedł pod ciągle obracającymi się ostrzami. Zignorował różnych członków załogi przemieszczających się w ich zadaniach, ale, zauważył Donovan, oni nie ignorowali jego, gdy schodził po drabinie z lądowiska, używając tylko poręczy, i przeszedł przez śliski pokład z pewnością, która mogła być wynikiem braku doświadczenia. Gdy zbliżył się do drzwi, Donovan ujrzał z niesmakiem, że agent Stasis wyglądał tak samo w ciele, jeżeli można tak powiedzieć, jak wyglądał wirtualnie.

– Zatem spieprzyłeś to – powiedział Donovan jako powitanie. Bleibtreu-Fèvre uśmiechnął się cienko i podążył za nim do środka i w dół schodów.

– Wszyscy robimy błędy – przyznał, opuszczając się w krzesło przy stole warsztatowym. Uderzenia śmigieł na zewnątrz stały się narastająco zmęczone, potem się zatrzymały. Donovan zasłonił czujnik, gdy siadał w jednym z jego krzeseł dowodzenia. Dźwięki syczenia i brzęku pojawiły się w odległym rogu ogromnego nieładu.

– W rzeczy samej – powiedział Donovan. Zaczynał żałować jakichkolwiek związków z Bleibtreu-Fèvre. Przetransportowanie go drogą powietrzną z doliny było ryzykowną sprawą, podjętą tylko ponieważ agent miał kłopoty z przełożonymi: Obrona Kosmiczna złożyła formalną skargę na temat jego ataku w Norlonto, i bez wątpienia obie rywalizujące ramiona systemów bezpieczeństwa USA/ONZ badały właśnie sytuację.

– Moi zieloni sojusznicy zostali zabrani do drzew, ha,ha – powiedział Bleibtreu-Fèvre. – Wszystko do kogo mogę się dodzwonić z moich zwykłych kontaktów to automatyczna sekretarka. Odpowiedzi są dalekie od uspokajających. Podejrzewam, że są zbyt zajęci innymi planami, żeby poświęcić dużo realnego czasu na tę sytuację awaryjną. Nieszczęśliwie, siły bezpieczeństwa są same nad-

miernie zaangażowane i niezdolne do wniknięcia w cokolwiek, co barbarzyńcy zamierzają uczynić.

Donovan zastanawiał się, jak bardzo to było prawdziwe i czy agent mógł odkryć wykręty po tonie i minach. Zdecydował się być szczery.

– Pojawił się jakiś rodzaj nagłego wzrostu na liniach – powiedział. – Odkrywamy wiele oddzielnych kampanii *planujących globalnie* i *działających lokalnie* w ciągu najbliższych kilku dni. Wszystkie w tym samym czasie, co może być niszczące. Już odwołałem swoich żołnierzy z tego, co jest wszystkim, co mogę zrobić stąd. Czy ta kobieta z Miasta Oblubienicy cokolwiek pokazała?

Robot zafurczał po podłodze, zatrzymał się z szarpnięciem przy stole i otworzył pokrywę, żeby odkryć dwa kubki kawy, każdy pełny w mniej więcej dwóch trzecich, reszta wylana. Donovan gestem wskazał i Bleibtreu-Fèvre wziął pierwszy, wytarł dno kubka krawatem i wypił. Skrzywił się i odstawił na stół.

– Doskonała – powiedział. – Ach, to jest delikatna sprawa. Pani Lawson zaraportowała, że wzrost ruchu sieci ciągle trwa, ale właśnie znalazła nagły wzrost w problemach systemów. – Wziął kolejny łyk kawy. Pojawił się drobny, ale widoczny dreszczyk, gdy płyn spływał do gardła. – Jej dosłowne słowa, kiedy z nią rozmawiałem kilka minut były, bez urazy, „Och i powiedz temu skurwysynowi Donovanowi, żeby odpuścił, tak jak obiecywał”.

Łyk Donovan zamienił się parzący haust. Uderzył kubkiem w poznaczony lutowiem plastikowy blat i podniósł się na nogi. Oparty jedną ręką na stole, machnął laską dookoła na wszystkie ekrany.

– Nazywasz mnie kłamcą? Sam nie potrafisz zobaczyć, człowieku? Co widzisz na tych ekranach, co?

Wzrok Bleibtreu-Fèvre skoczył na boki, przeskakując tam i z powrotem z ekranów na smagającą, krojącą laskę.

– Nic – powiedział – co mogę zinterpretować.

Gniew Donovana ustąpił i opadł na swoje krzesło.

– Zapomniałem – wyszeptał. Wziął kilka głębokich oddechów. Czerwona mgła ustąpiła. – Zmieniałem ustawienia ekranów tak wiele razy i za każdym razem były bardziej zrozumiałe dla mnie i zapomniałem. . . byłem czujny przez ponad czterdzieści godzin, łapiąc, wypuszczając, wiążąc zabójcze wirusy, stawiając moje najlepsze przeciwko drugim w kolejności, pokolenie przeciwko pokoleniu i mogę Cię zapewnić, że prawie wszystkie są w odciętych procesorach.

– Więc czym jest to, co odkryła Lawson? – spytał Bleibtreu-Fèvre, jak gdyby siebie.

Spojrzeli na siebie.

– Och, *gówno*!

Bleibtreu-Fèvre rozejrzał się.

– Masz jakiś interfejs, którego mogę użyć?

– Lepiej zrobić to pomiędzy nami – powiedział Donovan.

Zhakowali i spatchowali metrykę Stasis z mniej toksycznym software'm Donovana. Znowu były zakłócenia, nawet gorsze niż tego dnia, gdy byt Zegarmistrza po raz pierwszy ukazał poczucie swojego istnienia. Z każdą minutą stawały się coraz gorsze.

– Och, Jezu – jęknął Donovan. – Nie ma możliwości, że to nie uruchomi alarmów, szczególnie z Tobą i Obroną Kosmiczną wchodzącymi sobie na głowę. – Spojrzał na Bleibtreu-Fèvre, który niewygodnie się przesunął, a potem nagle się uśmiechnął.

– *Istnieje* sposób na odwrócenie ich podejrzeń – powiedział. Pochylił się do przodu, jego oczy żarzyły się w mroku. (Tylko odbicie od ekranów, Donovan się uspokajał.). – Zgłoś to, Donovan! Zgłoś! Powiedz, że *Ty* to zrobiłeś! *Pochwal się* tym!

Donovan rzucił mu spojrzenie szacunku.

– To doskonały pomysł – powiedział. Zaczął wklepywać stan-

dardowy komunikat, nawet gdy mówił. – A w międzyczasie mogę użyć tego do testów kontrsystemów, które stworzyłem! – Wstał triumfująco. – Mogą nawet zadziałać za pierwszym razem... Boże, jeżeli moglibyśmy zabić tę rzecz od razu...

Był zbyt mądry w systemach komputerowych, żeby naprawdę w to wierzyć: nic nie działa od pierwszego razu. Jednak chciał, teraz, włączyć Bleibtreu-Fèvre. Będzie potrzebował każdej pomocy, jaką może dostać, i był pod wrażeniem umiejętności tego mężczyzny. Już, odpowiedzi na przyjęcie odpowiedzialności przez SeŻeWu biły w systemy platformy, jak wzburzone morze przeciwko samej platformie. Donovan zmoblizował swoją załogę do załatwienia tej sprawy i odwrócił się, żeby pokazać Bleibtreu-Fèvre wyniki ostanich dni jego pracy.

– To jest naprawdę interesujące – wyjaśnił, gdy pajęcze diagramy rozpostarły się ekranach w całym pokoju sterowania. – Może pamiętasz, że odkryłem własne konstrukty softwarowe Moh Kohna, jakąś mackę Czarnego Planu i nowy byt, wszystkie w tej samej lokalizacji i trudne do odróżnienia w pewnych punktach. Cóż, pracowałem nad tym i możesz zobaczyć, co odkryłem. – Wprowadził skrót klawiszowy i diagramy uprościły się do zaledwie kilku tysięcy rozgałęziających się linii. Bleibtreu-Fèvre obserwował je szklistymi oczami. – Wspólne cechy! – ciągnął Donovan. – Moh Kohn musi mieć styl programowania swojego ojca wypalony w głowie, choć oczywiście jest wyrażony w tworzeniu znacznie mniejszych programów, jego korsarzy danych i tak dalej. Co do samego Zegarmistrza, wydaje się... następcą Czarnego Planu...

– Nie chcesz powiedzieć, że Josh Kohn stworzył *Zegarmistrz*, prawda?

Donovan potrząsnął głową ze smutnym śmiechem.

– Oprócz Hipokryty i Czarnego Planu? Myślę, że to byłoby na-

wet poza jego możliwościami... szczególnie dwadzieścia lat temu. Nie, myślę, że, niezależnie od pochodzenia, to nauczyło się wykorzystywać... otwarcia, które Josh Kohn najwidoczniej wbudował w Hipokrytę, i możliwości, które wbudował w Plan.

Twarz Bleibtreu-Fèvre zmieniła kolor od bladej do szarej, jak gdyby pokazywały się kości.

– I stworzyłeś specyfikacje dla nich wszystkich?

– Tak – powiedział Donovan. Nie potrafił uniknąć dumy w swoim głosie. – Możemy zniszczyć Zegarmistrza i Czarny Plan, jak również drobne wysiłki Kohna, jeżeli mają znaczenie.

– A Hipokryta?

– Ach. – To dało mu chwilę. – Nie rozważałem tego.

– Och, dobra, ha ha – powiedział płasko Bleibtreu-Fèvre. – Równie dobrze możesz być powieszony za glinę jako diler, prawda?

Donovan odsunął problem, myśląc, że utrata Hipokryty byłaby małą ceną za ocalenie świata, czy od samego Zegarmistrza, czy od wysiłków Obrony Kosmicznej. Wprowadził nowy zbiór wyświetlaczy, lekko wzdrygając się na widok trwającego spustoszenia – systemy ruchu drogowego wyłączone, szpitale na zasilaniu awaryjnym, rynki popadające w szaleństwo – za które wziął winę na siebie. Potem przełączył się do programu przeszukującego, który wysłał tysiące programów, żeby wyśledzić Zegarmistrza. Nic aktywnego, jeszcze nie: tylko żeby zobaczyć, co mogłyby znaleźć.

Z początku, gdy trafienia zaczęły podświetlać się na ekranie, pomyślał, że to błąd. Otrzymywały dowód, że byt był właściwie wszędzie, gdzie trafiły. Czy reagowały na samego Hipokrytę? Czy stworzył je zbyt ogólne?

Sprawdził, zatracony w koncentracji.

– Co się dzieje? – Oczy Bleibtreu-Fèvre spotkały jego, gdy podniósł wzrok.

– To się *zreplikowało*! – powiedział Donovan. – Jest wszędzie.

Bleibtreu-Fèvre przyglądał się ekranom z niedowierzaniem.

– Wszystko to, wszystkie te światła?

– Wszystkie światła – powtórzył gorzko Donovan. – I więcej.

Zakłócenia ucichły. Wszystko wydawało się wracać do normalności, prócz rozpościerających się plam światła.

– To musi być czymś w ruchu sieciowym – powiedział Bleibtreu-Fèvre.

– Ta – powiedział Donovan. – Racja, nie ma czasu do stracenia.

Uderzył kod uruchamiający wirusowe antygeny, dzikie procedury wychowane na wielokrotnych mikrosekundowych pokoleniach w zamkniętych systemach, uzbrojone do rozerwania dzikiej AI i jej pokrewnych na podstawowe bajty. Mała czerwona iskra wystrzeliła przez ekrany, śledząca postęp antygenów przez globalne sieci.

I, jedna po drugiej, czerwone iskry zgasły.

Bleibtreu-Fèvre chrząknął.

– Wydaje się je zwalczać.

Donovan znowu się zdziwił, jak coś, co było tak jasne dla niego jak otwarta księga, mogło być tak niezrozumiałe dla kogokolwiek innego.

– Nie – warknął. – Nie zaczynają działać, nawet nie *nawiązują kontaktu*. Coś innego niszczy je pierwsze. – Obszedł roztargniony cały pokój. Nie czuł takiej frustracji, od kiedy był komercyjnym programistą. – Jasna cholera. – Złapał się za głowę i próbował myśleć na spokojnie. – To nie może być byt Zegarmistrz, *byty*. Nie było ekspozycji, żeby dać im szansę na wyewoulowanie odporności. – To musi być coś innego, coś, co jest zaznajomione z *moimi* systemami, moim kodowaniem, moim profilem. . .

– Melody Lawson – powiedział Bleibtreu-Fèvre. Gdy tylko to powiedział, Donovan wiedział, że musi to być prawda. Pracowała z nim, była w ruchu, miała lata doświadczenia w bronieniu się przed

jego atakami... i miała dostęp do jego zasobów całymi dniami. Kiedy on rozwijał specyfikację systemów Kohna, ona robiła to samo z *jego* systemami.

Nie mógłby jej obwiniać, za wykorzystanie możliwości do uzbrojenia się przeciwko czasom, gdy zagrożenie minie i znowu wszystko wróci do normy. Jak sojusznicy na wojnie, szpiegujący siebie.

– Więc jesteśmy w porządku – powiedział Bleibtreu-Fèvre, kiedy wyjaśnił sytuację. – Po prostu poprosimy ją o wstrzymanie, żeby dała nam czyste pole uruchomienia tego. – Roześmiał się drżąco. – Co za ulga, przez chwilę myślałem, że jesteśmy straceni.

* * *

– Całkowicie nie.

Melody Lawson patrzyła na mrugający obraz Donovan, który najwidoczniej próbował swojego żenującego triku przeskakiwania z jednego ekranu na drugi i zfrustrowanego, gdy mu się nie udawało, trzymanego na jej najbezpieczniejszym kanału jak demon w pentagramie. Holoduszek wymachiwał zapałkowymi patykami na nią, potem ręka pojawiła się w kadrze i złapała jego ramię. Odwrócił się i wyszedł z widoku, żeby być zastąpionym po trzydziestu sekundach przesłyszanej w szumach sprzeczki przez kolejną postać.

– Pani Lawson – powiedział Bleibtreu-Fèvre gładkim tonem, który wpłynął na nią jak paznokcie przeciągnięte po tablicy – naprawdę muszę Panią prosić o ponowne rozważenie. Sytuacja się całkiem alarmująco pogorszyła. Zapewniam Panią, że zgodnie z moją najlepszą wiedzę, Donovan mówi prawdę.

– Nie wątpię w Pańską szczerość – powiedział Pani Lawson. – Wątpię w interpretację.

Jej wątpliwości nad interpretacją wydarzeń przez Donovana narastały przez ostatnie kilka dni, gdy jej zwykła praca bezpieczeń-

stwa podwoiła się, żeby poradzić sobie z rosnącymi wyzwaniami stawianymi przez grożące ofensywy terrorystyczne. Już przyznała wykorzystanie dostępu do zasobów Donovana, żeby rozwinąć obronę przed jego arsenałem software, to była, nawet zanim zaczęła się naprawdę martwić, odpowiedź prawie odruchowa. Przy jego zwykłym sabotażu na uboczu, było to relatywnie proste zbudowanie przy jej obszernym wcześniejszym doświadczeniu, skonstruowanie systemów antygenowych dopasowanych do charakterystycznego odcisku Donovana, prawie niewymazywalnego wpływu osobowości na program, które niestandardowe protokoły (rozwijane oryginalnie do identyfikacji autorstwa tekstów biblijnych) mogły wykryć, oraz (znów ironicznie) użyć algorytmów genetycznych, by wybrać najlepsze dopasowanie do testów w walce, replikowanie i kontynuowanie od tego miejsca...

To, co niechętnie przyznawała, że jej własna wolność działania była silnie ograniczona. Ogólny wzrost paranoi w obrębie enklawy sprawił, że trudno było jej się dowiedzieć, kto mógł ją obserwować. Jej własna niepewna przeszłość jako członka organizacji Donovana nigdy nie była wykorzystana przeciwko niej, ale zawsze była do wykorzystania, gdy miałyby się posypać głowy.

Odpowiedziała na chaos popołudnia poprzez rzucenie wszystkich nowo rozbudowanych programów poszukująco-niszczących w sieci. Kiedy nie pokazywały wyników, nie straciła w nie wiary: uznała to za jasny dowód, że Donovan nie miał udziału w epidemii awarii systemów.

A teraz jej programy się sprawdziły! Przeciwko najlepszym Donovana!

– Nie zamierzam odrzucić pozycji tak korzystnej dla mojej społeczności, żeby nie powiedzieć całego społeczeństwa – powiedziała Bleibtreu-Fèvre – na podstawie przerażającej historii o AI, która

zdobyła świat, kiedy nie patrzyliśmy. Uważam to za bardzo podejrzane, że zdarzyło się to w tym samym czasie, gdy różne siły terrorystów najwyraźniej szykują się do natarcia na ich własne rządy. Sugerowałabym, że to, oraz środki zaradcze, są bardziej niż wystarczające jako odpowiedzialne za wzrost ruchu sieciowego oraz nasze własne trudności. I nie proponuję dokładać do tego, poprzez ponowne uwolnienie potworów Donovana. *Z całą pewnością* nie będę rozważać ryzykowania uszkodzenia Hipokryty. Dobry Boże, człowieku! Prosisz mnie o popełnienie poważnego przestępstwa.

Przez chwilę wydawało się, że Bleibtreu-Fèvre podąży za przykładem Donovana i wpadnie w szał przywódcy kultu, ale wtedy uspokoił się, że było to (ale oczywiście) prawie nienaturalne.

– Jesteśmy zatem w martwym punkcie – powiedział. – Jednakże muszę powiedzieć, że gdybym był Tobą, nie martwiłbym się o to, co Twoja lokalna władza może pomyśleć o Twoich działaniach. Mogą być obaleni w ciągu kilku dni, może godzin.

– Od kiedy – zapytała pogardliwe – było to brane pod uwagę?

Bleibtreu-Fèvre nie zauważył, że odpowiadała na zniewagę.

– Bardzo dobrze – powiedział. – W najbliższej przyszłości, w ciągu tych godzin lub dni, jedna z dwóch rzeczy się wydarzy. Albo Obrona Kosmiczna zniszczy datasferę albo datasfera przejdzie poza ludzką kontrolę. Kiedy spadną bomby, lub następcy Zegarmistrza wyjdą ze ścian, śmierć może być najlepszym, o co możesz się modlić. Będę nadal pomagał Donovanowi. Skontaktuj się z nami, jeżeli zmienisz zdanie. Do widzenia.

click

Melody Lawson patrzyła długą chwilę na pustą przestrzeń. Była wstrząśnięta przekonaniem agenta Stasis, ale teraz doszło do tego, teraz musiała wybrać pomiędzy jej obowiązkiem a jego historią, po prostu w nią nie wierzyła. Nie ufała agencjom USA/ONZ, od-

rzucała ulepszonych ludzi z zasady, a cała plotka o Zegarmistrzu była tak apokaliptyczna, że miała trudność z uznaniem, że mogłoby się to naprawdę zdarzyć w jej życiu. Wiedziała, że to było dokładnie, jak ludzie czuliby się przed prawdziwą apokalipsą, że prawie wszyscy, którzy stawili czoło jakiemu natrętnemu zagrożeniu w ich codziennej egzystencji – wojnom, rewolucjom, genocydom, czystkom, katastrofom – uważali, że rzeczy takie jak te po prostu się nie wydarzały lub nie zdarzały się tutaj, lub nie przytrafiały się ludziom jak oni. Niemniej wiedziała również, że nie byłoby końca fałszywym alarmom, kłamliwym cudom, fałszywym prorokom z Oto! tutaj i Hej! tam, zanim cokolwiek prawdziwe się pojawiłoby. W istocie były częścią powodu, dla której prawdziwe rzeczy przychodziły zawsze jak złodziej w nocy lub (żeby dostosować porównanie o kilka tysięcy lat) jak tajny policjant nad ranem.

Jedynym sposobem ucieczki, prócz ślepej wiary (opcja, którą odrzuciła z gotowością, która przeraziłaby jej pastora) było działanie według najlepszych dostępnych dowodów, najbardziej ekonomicznej interpretacji danych. Wszystko wskazywało na ofensywę terorystów. A prawdopodobieństwo, że jest wciągana w jakieś rozbudowane oszustwo popełniane przez, Bóg wie, jaką fakcję globalnych sił bezpieczeństwa przeważało nad wystąpieniem elektronicznej inteligencji.

Ofensywa terorystów. . . to pewnie nadchodziło, a Miasto Oblubienicy było dobrze przygotowanie na to: Wojownicy zmobilizowani, obrona przeciwlotnicza w pełnej gotowości, środki walki elektronicznej uderzały przez sieci jak promienie radaru. Jednym szczególnie satysfakcjonującym efektem ubocznym wycofania się Donovana było to, że umożliwiło jej to usunięcie procedur Czarnego Planu ANR z hardware'u Miasta Oblubienicy po raz trzeci

w ciągu dziesięciu lat. Zatrzymanie tego było bardziej wartościowe niż żenujące odkrycie, z czym udawało się uciec rebeliantom.

Niech Bleibtreu-Fèvre martwi się o AI. Miała tylko nadzieję, że nigdy nie znajdzie się przed Komisją Śledczą w sprawie ostatniej insurekcji i zakłóceń Pokoju Królewskiego etc., zeznając o zagranicznych kontach.

* * *

Jordan podskoczył, gdy zimne palce przesunęły się po uszach i oczach i uniosły gogle i słuchawki. Jego policzek dotknął Cat, gdy sięgnęła nad ramionami i odłączyła jego ręce od VR-rękawic.

– Co. . . ?

– Hej – powiedziała. – Spokojnie. Skończone.

Odsunęła się, gdy usiadł i odwrócił się na krześle.

– Co skończone? – Nie chciał zabrzmieć drażliwie. Pokój łączności był pusty, powietrze wypełnione dymem papierosowym. Cat wstała, podświetlona do drzwi, zarys jej ciała prosty, jej twarz w cieniu. Poczuł się zmieszany, zdezorientowany, jak gdyby obudzony ze snu, jego usta lepkie.

– wszystko co mogło być zrobione – powiedziała Cat. – Byłeś w systemie godzinami, od kiedy się skończyły awarie.

Jordan zerknął na ikonę zegara: 24:03.

– To ta godzina?

– Tak – powiedziała Cat. – Byłeś uzależniony. Zatraciłeś się w tym.

– Aha. – Jordan potrząsnął głową i wstał. – Są jeszcze rzeczy. . .

– Nie – powiedział delikatnie Cat. – No weź. Nic nie można już zrobić. Skończone, wszystko co możesz zrobić. Zostaw resztę bogini. – Mógł usłyszeć w jej głosie, że się uśmiechała. – To jej praca.

Odwróciła się i poszedł za nią do długiego pokoju. Nikogo nie było, nawet dzieci.

– Gdzie są wszyscy?

– Sen sprawiedliwych lub na straży – powiedział z rogu Catherin. Sięgnęła do jednej z torb, które zostawiła, i wyciągnęła butelkę Glenmorangie.

– Gdzie to dostałaś? – To był produkt ze strefy kontrolowanej, pod embargiem.

– Nie pytaj. – powiedział Catherin, szukając w szafce, której nie widziała przez dwa lata i wyłaniając się z kilkoma delikatnymi ciężkimi szklankami. – Pij.

Usiadł na sofie, przyniosła mały stolik na whisky i wodę i usiadła, opierając się o oparcie na przeciwnym krańcu.

– Zdrowie.

– *Slainte* – powiedziała Cat.

Drink był mile widziany. Za bardzo: niebezpiecznym było pić whisky z pragnienia. Jordan sięgnął po butelkę wody i wypił połowę, potem wziął kolejny łyk whisky.

– Ta – powiedział. – Ta, wszystko jest teraz w dłoniach bogini. Co za dzień. – Zamknął oczy na chwilę i zobaczył szczególny powidok patrzenia na te same rzeczy godzinami pod koniec. Nie do końca powidok: to pochodziło z czegoś głębszego niż siatkówka, może system wzrokowy nadal uruchamiał się losowo, powtarzając monochromatyczne obrazy tego, co widziałeś, w tym przypadku, twarze, przesuwający się tekst, tunele w datasferze, niestabilne morze rynku.

Otworzył oczy i błyszczący obraz Cat zalał i wypełnił jego widzenie, milszy niż woda.

– Co dzisiaj robiłaś? – spytał.

Cat uśmiechnęła się.

– Nie widziałeś? – Roześmiała się. – Nie mógłbyś. Latałam obszarpana, mówiąc towarzyszom co robić. Nie moja najmocniejsza strona. Jestem bardziej przyzwyczajona do tego, co nazywamy „praxis szeregowca".

Jordan odpowiedział dziwnie:

– Ta, wiem. Widziałem Twoje bio, kiedy próbowałem Cię wyśledzić. Och, mam nadzieję, że nie masz...

Cat odrzuciła to z gestem ręki w powietrzu.

– Oczywiście, że nie. To moje CV!

– Robi wrażenie – powiedział Jordan. – Nieregularny żołnierz rewolucji.

– To ja... i do tego najemnik. – Zachichotała. – Bogini, co za świat! – Nawet rewolucja jest sprywatyzowana... To był Moh, który mnie wkręcił. Zanim wpadłam na niego – uśmiechnęła się do siebie, patrząc nieobecnym wzrokiem – dosłownie, jak to się zdarza, robiłam to tylko z dobroci serca. Lub coś. – Rozejrzała się po pokoju. – Ta, przeżyłam tutaj świetne chwile.

Jordan zdenerwowany zapytał:

– Dlaczego odeszłaś?

– Awantura z Moh. Polityczne stało się osobiste, a może w drugą stronę. Tak się zdarza.

Jordan spojrzał na nią, zdziwiony.

– Moh nie wydawał się mi jako ktoś, kto przeniósłby nieporozumienie polityczne na osobiste kłótnie.

– Ha! – parsknęła Cat. – To był problem!

– Co masz na myśli?

– Naprawdę go kochałam – powiedziała. – Ciągle myślę, że jest, hmm, niesamowitym mężczyzną. Niemniej jednak samo myślenie o nim wprawia mnie w gniew. Przypomina wszystkie rzeczy, o które się kłóciliśmy. – Roześmiała się, zawirowała drinkiem i po-

patrzyła w niego. – W większości o walkę. Zawsze wierzyłam, że musisz... wierzyć, żeby walczyć. Tak jak mówiłeś. Bogini, ale byłam autentyczną fanatyczką! Wątpię, czy kiedykolwiek wierzyłeś w religię w sposób, w jaki ja wierzyłam w politykę, czy kiedykolwiek czytałeś Biblię, tak jak ja czytała ostatni artykuł o perspektywach autorstwa przywództwa fakcji. Jednak Moh nigdy nie mogłam zrozumieć. Zaczęłam myśleć, że jest cyniczny.

– Karabin do wynajęcia?

– Dokładnie tak... Mniemam, że poznałeś Karabin. – Uśmiechnęła się do niego. – Oddany zwolennik Towarzysza Kałasznikowa. Wtedy w szpitalu, zrozumiałam, że on myślał, że *jestem* czarną owcą. Oportunistką. Ha. Jego strona jest w porządku, ale nie wiem, czym jest.

Jordan wskazał w górę.

– To jego strona.

Catherin zmarszczyła brwi na chwilę, potem skinęła głową.

– Kosmos, tak, zawsze był zaangażowany. To, w co wierzy, to my wyruszający w kosmos, mam na myśli, jak chce Ruch Kosmiczny, przedostanie się tam koło Jankesów, i dla niego lewica i prawica, Plan i Rynek, to tylko...

– Rakieta nośna!

Oboje się roześmiali.

– A co z Tobą? – spytał Jordan.

Catherin siedziała obrócona twarzą do niego na sofie. Zsunęła buty ze stóp, podwinęła nogi i patrzyła znowu w torfowy basen w szklance.

– Nigdy tego nie zobaczyłam – powiedziała, patrząc na niego, jak gdyby znalazła jakąś odpowiedź. – Wydawało mi się, że dążyliśmy do lepszego społeczeństwa tutaj na Ziemi, zaczynając od tego w Brytanii. Kosmos, ta, pewnie, ale dlaczego robić to zero-

jedynkowo? Cholera, *lubię* tę planetę! Byłam szczęśliwa z poparcia Zielonych przeciwko ludziom, którzy ją niszczyli, nawet jeżeli Ci ludzie mieli coś wspólnego z zabraniem kilku tysięcy nas stąd. – Uśmiechnęła się do siebie. – Jestem zwierzęciem towarzyskim, w obu znaczeniach.

Zerwała się, podeszła do zestawu muzycznego i wsunęła dysk. Pokój wypełnił się folkową, dymną melodią starego hitu zespołu o nazwie Whittling Driftwood. Catherin zakręciła się i wyciągnęła rękę do niego.

– No chodź, ty diabelski kapelanie – powiedziała. – Zatańcz ze mną.

Jordan nigdy wcześniej nie tańczył. Wstał i Catherin podeszła do niego z dłońmi podniesionymi przed nią, palce rozwarte. Podniósł swoje dłonie w ten sam sposób i ich palce się splotły. Domyślał się, że trick polegał na lekkim stąpaniu w rytm muzyki i rodzaju ruchu bioder do innego, ale tajemniczo pokrewnego rytmu, ułamka lub wielokrotności rytmu muzyki, i do przybliżania i oddalania się od swojego partnera w jeszcze innej częstotliwości.

Och, tak, i do utrzymywania kontaktu wzrokowego. Spojrzał w górę od ich stóp.

Po kilku utworach muzyka się zmieniła, stała się wolniejsza i wydawało się, że nie ma powodu do odsuwania się. Opuścił ich ramiona, pozwolił puścić palce i zsunął dłonie za nią, a jego łokcie na biodra, a ona zrobiła to samo z nim. Obracali się wolno, stopy teraz bardziej ostrożne. Utwór się skończył. Stał nieruchomo i pocałował ją. Jej język wsunął się w jego usta jak zwierzę kosmitów, ślepo nagła sonda badawcza, a potem wyciągnęła jego język, zdziwiony porwany. Jej usta smakowały whisky, wodą i czymś zepsutym, mięsożernym. Kołysali się razem przez chwilę i nagle znowu sapali w atmosferze.

– Catherin – powiedział. – Anioł ziemski. *Cat.* – Jego ręce poruszały się po jej bokach i talii, czując ciepło i kształt jej poprzez zmieniające się tekstury. Znalazł rząd guzików i rozpiął pierwszy, potem drugi. Catherin zsunęła dłoń rażąco na tył jego dżinsów. Zimny czubek palca nacisnął jego kość ogonową, przesunął się po dolnym kręgosłupie. Potem zabrała dłoń i złapała jego ręce.

– Górą jest łatwiej – powiedziała.

– Więc chodźmy na górę.

– Tak.

Rozdział 17

Dobry Czarodziej

– Spokojnie, tak powiedział facet. – Moh kopnął kamyk z plaży przez spokojną wodę morskiego loch. Janis nie była zaskoczona widokiem, że odbił się kilka razy, zanim zatonął. Znowu to zrobił i ta sama rzecz się zdarzyła. – To jest gorsze niż czekanie na minięcie terminu USA/ONZ.

Janis złapała go za rękę.

– Chodź – powiedziała.

Kontynuowali spacer dookoła linii brzegowej aż do miejsca, gdzie zakrzywiała się w wąski cypel ziemi, który prowadził do półwyspu około czterystu metrów długości i trzydziestu, czterdziestu wysokości. Było to lokalnie znane – z czymś, co Janis uważała za szczególną logikę gaelicką – jako Wyspa. Zmrużyła oczy we wczesnym porannym słońcu, które unosiło rosę i nocną mgłę jako obietnicę kolejnego pięknego dnia.

Moh, choć ciągle spięty i humorzasty, wyglądał znacznie lepiej niż poprzedniego popołudnia, kiedy wyszedł ze swojej potyczki. Prawdopodobnie powinni za to podziękować MacLennanowi. Z niemal macierzyńską przestrogą o Budowaniu Własnej Siły, kadra ANR zaprosiła ich na obiad z wędzonego łososia, po którym podano dziczyznę w wiejskim hotelu.

Janis została oczarowana przez MacLennana. Mógł wyglądać

jak rolnik, ale działał i mówił jak oficer i dżentelmen z fascynującymi historiami do opowiedzenia o latach Republiki i walki. Jedyną sprawą, o której nie mówił, którą natychmiast i uprzejmie uciszał przy najmniejszej aluzji, były wydarzenia tego popołudnia i ich następstwa.

Hotel górował nad polem golfowym tak blisko wybrzeża, że kępy suszonych wodorostów były porozrzucane po jego zieleni. Bar, gdzie odbyli, coś, co według standardów Moh było bardzo cichą sesją picia, wieczorami był wypełniony całą zmniejszoną ludnością wioski. Janis obserwowała z niedowierzaniem, jak tubylcy cieszyli się, czym, co *uważali* za kilka cichych, cywilizowanych drinków – cztery lub pięć litrów piwa wspomaganych dowolnymi dawkami whisky – a potem wyszli pojechać do domu. Pojazdy wahały się od samochodów sportowych do przegubowych ciężarówek, ale wszystkie były prowadzone w prawie ten sam sposób.

To właśnie dźwięk pojazdów obudził ich rano: wolne, wyjące sapanie na wszystkich drogach. Kiedy zeszli do wioski po śniadaniu, okazało się, że całe miejsce jest opuszczone, niesamowita czystka zakończona…

Owcza ścieżka poprowadziła ich przez wysokie mokre trawy i janowce na szczyt Wyspy, gdzie stał niski, nieodaszony, ceglany budynek. Gdy się zbliżali, przy ścianie pojawiła się głowa, a potem wyszła młoda kobieta. Nie mogłaby mieć więcej niż czternaście lat, ciemne włosy, jasne oczy. Była ubrana w kombinezon ANR i niosła broń, która wyglądała na za dużą dla niej: metrowej długości rakieta na wyrzutni z uchwytem pistoletowym.

– Dzień dobry – powiedziała wstydliwie. – Musicie być ludźmi od komputerów.

Moh się roześmiał.

– Słyszałaś kiedykolwiek o „Minimum Wiedzy”?

– Wszyscy wiemy minimum – powiedziała tonem zdumienia przez pytanie.

– Czym się zajmujesz? – spytała Janis.

– Obrona przeciwlotnicza – odpowiedziała dziewczyna.

Pomiędzy ścianami była zadeptany obszar odchodów owczych i ziemi, krzesełko kampingowe, lornetka i tuzin rakiet.

– To stara placówka obserwacyjna – wyjaśniła dziewczyna. – Z ostatniej wojny, to jest – jej brwi natychmiast zmarszczyły – to jest, wojny przed ostatnią, ale wiesz, jacy są starzy ludzie.

Moh skinął głową trzeźwo.

– I używacie tego do obrony przeciwlotniczej?

– Tak. – Ustawiła wyrzutnię na pozycję z zaskakującą szybkością. – Myśliwce typu stealth: latają nisko, mogą ogłupić radar i instrumenty, nie wytwarzają dźwięku, ale nie są niewidoczne. – Poklepała nos rakiety. – Namierzanie podczerwone. Mam dwie sekundy, żeby paść po wystrzeleniu, potem odpala się silnik termojądrowy. Wruuum.

– Ta – powiedział Moh. – „Wruuum”. Nie chcesz stać za jedną z nich. I leż, oczy zamknięte, póki nie zobaczysz błysku.

– Och, wiem o tym – powiedziała dziewczyna. Zaszurała nogami i popatrzyła na wszystko prócz gości.

– Zdaje się lepiej, żebyśmy poszli – powiedział Moh. – Wszystkiego najlepszego.

Kiedy byli w połowie z powrotem na ścieżce, Janis spytała:

– W jaki sposób mogłaby zobaczyć błysk przez zamknięte oczy?

– Głowica jądrowa z zapalnikiem laserowym. Zobaczy.

Telefon Moh piknął. Wysłuchał, kiwając głową.

– Ok, racja, do zobaczenia.

– Co się dzieje?

– MacLennan idzie nas spotkać. Mówi, że są pewne postępy.

Półtora kilometra dalej, humvee uruchomił silnik.

* * *

Cat spała, delikatnie zwinięta na boku. Coś z gotowości, wiedzy, jej charakterystycznej miny rozluźniło się, więc wydawała się młodszą osobą, która nie odkryła seksu i przemocy. Jordan, wsparty na łokciu, patrzyl na tę twarz ponad łukiem ramienia, wylegujący się cieple ludzkiego skóry, jego oddech ostrożny, tak, żeby nie zakłócić jej odruchowego rytmu.

Coś się w nim zmieniło, jakaś podstawa się przesunęła z tym wydaniem, tym związaniem. Dotąd czuł się jak towarzysz ludzkiej rasy, raczej sympatyk niż opłacony, członek z legitymacją. Teraz gdy pasy porannego światła z pancernych listw okna przesuwało się milimetrami po suficie, ciągle wierzył w te same idee, ale z innym nastawieniem. Ciągle indywidualista, ale bez ostrego egoizmu. Na poziomie poniżej wszystkich kalkulacji korzyści, nie bał się już śmierci. To on, który otworzył, objął i otrzymał, a teraz po raz pierwszy odkrył w obrębie jego zaciekle bronionego wnętrza osobę inną niż on.

Obudziła się z dzikim wzrokiem „gdzie ja jestem?" zobaczyła go i uśmiechnęła się.

– Ciągle tutaj jesteś.

– Ciągle.

– Długo już nie śpisz?

Jordan wzruszył ramionami.

– Jakiś czas.

– Co robiłeś? – Przetoczyła się i położyła ramię i nogą na nim.

– Obserwowałem Cię śpiącą.

Jej dłoń eksplorowała.

– Hmm. . . to musiało być podniecające.

– Nie tak podniecające jak widok Ciebie. – Zanurkowała.

– Teraz Ty.

Zapach i smak estuarium w tym, słony i bujny, ocean i bagno.

Potem policzek przy policzku, usta przy ustach, język przy języku, łono przy łonie. Złapała jego rękę i pokierowała ją z nagłą precyzją i zostawiła tam jego palec, palec w pułapce robiący swoje małe coś pomiędzy ich ślepymi uderzeniami. Tak nagle wyciągnęła to, wbijając paznokcie w jego plecy i zabierając go za krawędź z nią w łukowatym, kołyszącym, krzyczącym upadku.

Upadli w splecionym stosie.

– Hę.

– Nie nazywają Cię Kotem na próżno.

Uśmiechnęła się, przewróciła oczami i przesunęła język po zębach. Potem usiadła, sięgnęła po garść chusteczek i, ciągle jak kot, wytarła i wyczyściła.

– Idę pod prysznic – powiedziała.

– O, dobrze – powiedział Jordan. – To ja też.

Odepchnęła go i zeskoczyła z łóżka.

– Innym razem – powiedziała. – Teraz, to byłoby... autodestrukcyjne.

Wskoczyła do kabiny prysznicowej.

– Hej, kochanku – krzyknęła, gdy woda zaczęła lecieć – jest coś, co możesz dla mnie zrobić.

– Tak?

– Załatw mi śniadanie.

* * *

cóż cześć jordan

Jordan obserwował czajnik, kiedy niski, płaski, niezmienny głos pojawił się z powietrza za nim. Odwrócił się w strasznej imitacji bojowego przykucnięcia i zobaczył twarz Czarnego Stratega na

małym telewizorze przyczepionym w rogu kuchennego blatu. Patrzył przez chwilę z otwartymi ustami, a animowana, narysowana liniami, twarz uśmiechnęła się, najwidoczniej w odpowiedzi. Jedna z telekamer na pobliskiej półce miała małe czerwone światełko koło niemrugającej soczewki, był pewien, że wcześniej nie miała.

przepraszam za przestraszenie

Głos dochodził z głośników systemu dźwiękowego pokoju, niesamowicie doskonałe odtworzenie słów, które nie próbowały udawać, że pochodzą z ludzkiego gardła.

– Cieszę się, że znów Cię widzę – powiedział. – Dziękuję za pieniądze. Wprowadziły dużą różnicę w moje życie.

zatem rozumiem obserwowałem twoje postepy z zainteresowaniem twoja nowa dziewczyna bez watpienia powiedziała ci ze ofensywa jest blisko.

Jordan z suchymi ustami skinął głową. Było coś niepokojąco znajomego w tej twarzy, znajomego poza faktem, że widział ją już wcześniej. Poczuł, że natknął się na coś innego. Możliwe, że Czarny Strateg sam w sobie był członkiem ANR, który chodził nierozpoznany po ulicach Norlonto, twarz, którą minąłby w tłumie.

nie obrazaj się ze nie powiedziala ci wszystkiego co wie to nic osobistego to dlatego że w zasadzie ona jest dobrą komunistką lojalną córką rewolucji i matką nowej republiki choć roześmiałaby gdybyś powiedział jej to w twarz ofensywa nie jest już bliska właśnie się dzieje i znów mam propozycję dla ciebie ryzyko jest poważne i nie ma nagrody pieniężnej jednak myślę że uzyskasz satysfakcję z wysokiego prawdopodobieństwa ze twoje działania spowodują bardzo znaczące zmniejszenie w kosztach czynnika ludzkiego insurekcji czy cię to interesuje

– Tak.

pilnie potrzebuję dostępu do niektórych systemów z których obec-

nie jestem wykluczony raz jeszcze to kwestia wpisania kodu na terminalu przedmiotowy kod pojawi się po twojej zgodzie na kontynuację tak jak istotne hasła terminal jest terminalem wysokiego bezpieczeństwa w biurze melody lawson a czas jest jak tylko się tam dostaniesz

– A, *ten* terminal. – Miał nadzieję, że oprogramowanie, którym manipulował Strateg, potrafi odczytać ton głosu, nawet jeżeli nie potrafiło ich przekazać. – A w jaki sposób oczekujesz, że wrócę do Miasta Oblubienicy, nie mówiąc o biurze? A co z wydostaniem się?

wejście do enklawy nie jest problemem jak zobaczysz jeżeli tego spróbujesz co do biura musisz to zrobić podstępem jeżeli to możliwe i następnie możesz udać się bezpiecznie do wyjścia dzięki masowej agitacji jeżeli trzeba rozumiem że jesteś przekonującym mówcą kiedy mówisz prawdę i wiarygodnym kłamcą w przeciwnym przypadku towarzysz duvalier w tym momencie jest pytana o towarzyszenie tobie i jej umiejętności bojowe zapewnią nieco wsparcia mogę cię zapewnić że inne zakłócenia zostaną zapewnione ale nie ukrywam że ryzyko jest znaczne z drugiej strony ryzyka związane z zostaniem tutaj szczególnie jeżeli twoje zadanie nie zostanie wykonane są o rząd wielkości większe

Chwilę zajęło Jordanowi namyślenie się nad cichym oświadczeniem.

– Mówisz, że nic nie zrobienie jest dziesięć do stu razy bardziej niebezpieczne niż Twój szalony plan?

potwierdzam

– Hm, w takim wypadku – powiedział powoli Jordan, uśmiechając się do Stratega – to wszystko doskonale uzasadnione egoistyczne tchórzostwo, więc zrobię to.

nie sądziłeś że poproszę cię o wykonanie aktu brawurowej odwagi co

Narysowana twarz uśmiechnęła się w sposób, który sprawił, że Jordan marzył, żeby mógł porozmawiać z prawdziwą osobą za nią.

– Mam nadzieję, że się jeszcze spotkamy – powiedział, rozumiejąc po raz pierwszy coś, co ten zwrot znaczył: po tym…

do widzenia jordan mam nadzieję że się jeszcze spotkamy

Pojawiły się liczby.

* * *

– Dwie wiadomości – powiedział MacLennan, patrząc ponad ramieniem i zdejmując jedną dłoń z kierownicy do gestykulacji. – Pierwsza jest taka, że Rada Armii zdecydowała to zrobić. Ofensywa jest w toku.

– Hu*rraa*! – wrzasnął Kohn.

Podskoczyli na nierównym pasie asfaltu pomiędzy wierzbami a bukami i skręcili na główną drogę.

– Druga jest taka, że rozgryźliśmy tę sprawę z Gwiezdną Frakcją.

– Co? – Janis pochyliła się do przodu z tylnego miejsca, blokując swój pas.

– Gwiezdna Frakcja – powtórzył MacLennan, podnosząc głos. Przerzucił biegi i silnik przycichł. – Kiedy systemy wczoraj się uspokoiły, my, to jest doktor Van i niektórzy z bezpieczeństwa, nawiązali kontakt z Twoim przyjacielem w przestrzeni kosmicznej. – Machnął dłonią w kierunku nieba, na wypadek, gdyby nie wiedzieli, gdzie to jest. – Logan był całkiem zadowolony z współpracy. Pomiędzy nimi, myślą, że to odkryli. Dotarliśmy do ludzi z dawnych czasów, którzy znali Josha i którzy byli w tej Gwiezdnej Frakcji przez lata, nie wiedząc co to było. I nie mówiąc nikomu. – dodał z niesmakiem. – Ci przeklęci trockiści, wybaczy Pani mój język, doktor Taine. Długa i krótka historia jest taka, że Josh nie

tylko przygotowywał się na upadek Republiki, do czego miał pełne prawo, ale na upadek samej cywilizacji. Zaprojektował te nieautoryzowane programy w Czarnym Planie, żeby wyszukiwały i przechowywały dane biologiczne, skompilował listę mailingową, uwierzycie, ludzi, którzy mogliby z tego skorzystać. Jednak nigdy tego nie odpalił, i to tylko pracowało jak mrówka przez dwadzieścia lat, przygotowując rzeczy. Czarny Plan w samym Czarnym Planie.

Humvee skręcił na drogę do domu, w którym mieszkali.

– Nie rozumiem, jak to działało – powiedział Kohn. – Logan nie mogłby być na żadnej liście, którą przygotował Josh.

– To była bardzo inteligentna lista mailingowa – powiedział MacLennan. – A wtedy tamtego dnia uruchomiłeś główny program. W jakimś innym okresie może nic by się nie przydarzyło, ale w obecnej sytuacji...

– Tak, tak właśnie myślałem – powiedział Kohn. Pojazd zatrzymał się z szarpnięciem. MacLennan poprowadził ich do kuchni domu, gdzie doktor Van z zaczerwienionymi oczami ich przywitał. Nalał im kawy, gdy siadali dookoła stołu.

– MacLennan wyjaśnił nasze odkrycia?

– Ta – powiedział Kohn. Zapali papierosa zaoferowanego przez Vana. – Ciągle nie wyjaśnia tych rzeczy, które napotkałem, tych AI Zegarmistrzów.

Van złożył palce i mówił z papierosem w ustach jak mniejszy Bogart.

– Musimy być bardzo ostrożni w wyciąganiu wniosków – powiedział. – Te programy są w pewnym sensie odpryskami, replikacjami, odbiciami przejawów Planu.

Janis usłyszała Kohna wciągającego powietrze.

– Plan znacznie wyewoluował przez ostatnie dwadzieścia lat – kontynuował Van. – W konsekwencji, jego wytwory, jak zakładamy,

są o kilka rzędów wielkości znacznie bardziej wyrafinowane niż cokolwiek, co oryginalnie zamierzał Josh Kohn. Niemniej jednak pozostają praktycznie konstruktami software'u poszukującego danych, z określonym zadaniem. – Uśmiechnął się, cienkimi ustami. – Jak wyczyszczenie databanków mojej firmy i wiele innych. Które zrealizowały.

– Chcesz powiedzieć, że one są tylko *goferami*? – Kohn brzmiał oburzeniem. – To nie jest to, na co natrafiłem. Te rzeczy *myślą* człowieku.

Van westchnął chmurą dymu.

– Towrzyszu Kohn – powiedział – proszę, bądźmy obiektywni. Twoje doświadczenie było subiektywne. Za pośrednictwem narkotyków. Jednak nie mówię – kontynuował prędko – że jest koniecznie nieważne. Sytuacja może być taka, jak ją postrzegasz. Jeżeli tak – wzruszył ramionami – czas pokaże, i to wkrótce. Fakty są takie, że są one w bardzo prawdziwym tego słowa znaczeniu sztucznymi *inteligencjami*, oraz takimi, do których masz dostęp, który w tej chwili jest unikalny. To imperatyw, teraz gdy rozpoczyna się ostateczna ofensywa, żeby sę z nimi skontaktować i przekonać je, by się nie afiszowały. Zrobisz to?

Moh odwrócił się do Janis, jak gdyby szukając jej twarzy po coś. Nie wiedziała, jaką dała mu odpowiedź, jeżeli jakąkolwiek. Odwrócił się, patrzył przez chwilę w stół.

– Oczywiście – powiedział. – Kiedy?

– Teraz – powiedział MacLennan, wstając.

* * *

Moh dostał instrukcje. Kiedy próbował się skontaktować z bytami Zegarmistrza, Van był w kontakcie z Radą Armii linią naziemną. . .

– A co ze mną? – spytała Janis.

Wielki oficer zatrzymał się w drzwiach, marszcząc brwi.

– Och, chroń ich własnym życiem – powiedział i zniknął na schodach. Drzwi trzasnęły. Minutę później usłyszeli startujący helikopter.

Van wyszedł i wrócił z naręczem telewizorów, które ustawił w półkolu z kilkoma krzesłami w środku. Rzucił pilot Janis.

– Przełączaj po kanałach z wiadomościami – powiedział. – Oglądaj lokalne po podtekst, aż zaczną przechodzić na naszą stronę. Dla poważnych relacji przejdź na globalne. CNN jest dość pewne w takich chwilach.

Janis usadowiła się z kubkiem kawy w ręku i spojrzała na Moh, który patrzył przez okno. Van pochylił się nad terminalem.

– Jesteś bardzo ufny co do lokalnych stacji – powiedziała krzywo. – Naprawdę sądzisz, że dostaniemy się tak daleko w ciągu pierwszych godzin?

Van wyglądał na zaskoczonego.

– Nie rozumiesz... Och, przepraszam, nigdy nie wyjaśniliśmy. Jeżeli system zdecydował, że wybił czas na nasze uderzenie, to znaczy, że możemy przejąć *wieś* w pierwszych godzinach. Zamierzamy proklamować Republikę w wiadomościach o osiemnastej z Londynu. Jeżeli sprawy nie pójdą gładko, wiadomości o dwudziestej drugiej. Jeżeli się mylimy lub system ma wady, wtedy...

Rozłożył ręce.

– Myliliście się już wcześniej – powiedział Moh. – Cztery udaremnione ofensywy w piętnaście lat nie wzbudzają zbytnio zaufania.

– Nie usunęliśmy wszystkich błędów – przyznał Van. – Nazwij te kampanie testami akceptacji użytkownika.

– Z żywymi danymi – powiedział Moh.

Usta Vana zacisnęły się na chwilę.

– Rozumiem, że, tak czy inaczej, ofensywy zostałyby podjęte – powiedział. – Koszty byłyby wyższe bez systemu. I pamiętaj, system uczy się ze swoich błędów.

– Tak jak i państwo – zauważa Janis. – A jeżeli przegracie, jeżeli *my* przegramy, najlepsze, na co możemy mieć nadzieję to zwycięstwo w cholernej wojnie domowej.

– Jak myślisz co teraz mamy? – warknął Van. – Siły hanowerskie wykrwawiają się ciągle przez te, jak je nazywasz, kłopoty. Lokalne bojówki to w większości cyniczni najemnicy bez przekonania. Najlepsze z samorządnych społeczności powitają koniec wojny wszystkich z wszystkimi. Strajki i demonstracje są częste w wielkich miastach. To jest najbardziej gwałtowny i niestabilny kraj w Europie. Słyszysz dużo o Wietkongu, ale szczerze mówiąc, jesteśmy mocno za ANR.

– To chciałem usłyszeć – powiedział Moh, zasiadając znowu za terminalem. – wszystko czym powinniśmy się martwić to Jankesi wkraczający i bombardujący z nas na płasko. Znowu. Cóż, spróbuję tam przekonać elektrycznych anarchistów, żeby nie rzucali się w oczy.

Van zaoferował mu przewody Karabinu i gogle. Moh wziął je, jego druga dłoń już poruszająca się jak u wprawnego tkacza.

Pojawiły się kolory.

Van odwrócił wzrok na inne ekrany, gdzie interesujące rzeczy zaczęły się pojawiać na kanałach lokalnych, zwykle w raportach ruchu drogowego.

* * *

– Słodki Jezu – wymamrotała Cat, gdy ona i Jordan zmagali się z zatłoczonym chodnikiem na Broadway. – Połowa cholernego

kraju udała się na strajk. – Ruch drogowy był zakorkowany, efekt domina z odległych skrzyżowań zablokowanych przez autobusy, których kierowcy jednocześnie zdecydowali się wykorzystać swoje prawo do porannej przerwy. Kilka budynków biurowych było pikietowanych przez pracowników w białych koszulach i krawatach. Nawet z tym trąbieniem klaksonów i intonowaniem sloganów, Norlonto wydawało się cichsze niż zwykle.

Jordan spojrzał w bok na dobrą komunistkę i lojalną córkę rewolucji koło niego i uśmiechnął się półgębkiem. W sukni Skromność, którą magicznie wyprodukowała jak kolorową szarfę z jajka, mogłaby ujść za dobrze wychowaną młodą damę Miasta Oblubienicy, oprócz…

– Język – zbeształ. – Oprócz tego, dobrze sobie radzisz. Jestem zdumiony opanowaniem ślizgania bez wysiłku.

– Bez wysiłku, kurde – zakrztusiła się Cat. – Musisz kopać te cholerne halki z drogi przy każdym kroku, a jeżeli nie będę ostrożna, odstrzelę sobie stopę.

Miała pod spodem dżinsy, dwa pistolety w kaburach przy butach i amunicję przypiętą do jej ud.

Jordan wziął jej łokieć i ostentacyjnie skierował ją obok elektrodki[1], który stracił przytomność w drzwiach sklepu charytatywnego Pomoc na Etacie.

– Poprawne wyrażenie, moja droga – powiedział – to: „Moje stopy mnie zabijają”.

Cat roześmiała się.

– Sam jesteś obrazkiem.

---

[1] elektrodka – trodie – jak tłumaczy Ken MacLeod, „jest to słowo, które wymyśliłem! Oznacza kogoś, kto nałogowo stymuluje elektrycznie centra przyjemności mózgu przy pomocy wszczepionej elektrody. zob. `https://english.stackexchange.com/questions/323906/what-does-trodie-mean` – przyp.tłum.

– Mów mi jeszcze – powiedział Jordan, przesuwając palec po wnętrzu kołnierzyka i zostawiając go jeszcze bardziej lepkim i nieprzyjemnym. Szalone przeszukanie garderoby Moh odkryło straszny ubiór z lat trzydziestych, trzyczęściowy z krawatem, który Moh najwidoczniej nosił na spotkania do ostatniej szanowanej pracy, którą kiedykolwiek próbował zdobyć, w pewnej wyedytowanej dewiacji od tego, co obecnie przedstawiał jako stały rozwój kariery od murarza przez związkowca do najemnika. Jordan nalegał na zabranie kurtki Cat i jego dżinsów do torby, cokolwiek to by zabrał do Miasta, nie miał zamiaru być widzianym w tym, próbując krasomówstwa na ulicy, dla których, jak rozumiał, wiarygodność uliczna była kluczowym wymogiem. Nawet na stare standardy Miasta Oblubienicy, wyglądał kompletnie nowocześnie. Cat, przez irytujący kontrast, nie wyglądała nie na miejscu w Norlonto.

Ponad głowami, ruch lotniczy był przekierowywany z Alexandra Port i niebo powoli się zapełniało: sterowiec na najniższym poziomie, potem wracające szybowce przeskakujące i dryfujące w prądach termicznych miasta, wznoszące się w leniwych spiralach, ponad nimi niebieskie niebo pokreskowane smugami kondensacyjnymi samolotów pasażerskich ponad Heathrow lub rezygnującymi i próbującymi wrócić nad ląd.

Cat i Jordan odnaleźli się jako część pływu ludzi idących w dół wzgórza. Patrząc do tyłu, Jordan zobaczył, że coraz więcej osób naciskało z tyłu. Prawie każdy pojazd na drodze był opuszczony i z każdą minutą więcej mieszkańców dołączało do pieszych. Martwił się wyglądaniem na zmartwionego, ale patrząc na twarze dookoła niego, to była nieuzasadniona obawa.

– Właśnie zrozumiałam – powiedziała Cat. – Jesteśmy w środku grupy uchodźców. Próbują być bardzo spokojni, teraz, ale założę się, że powódź narastająca w klasie średniej Norlonto próbującej

uciec z drogi bezbożnych komunistów pod skrzydła pobożnych kapitalistów.

– Nikt poza Miastem Oblubienicy nie wierzy, że ANR jest komunistyczne – wymamrotał Jordan.

– O tak, wierzą – powiedziała Cat. – Powienieneś posłuchać ich rozmawiających o „aktywie".

– Uważaj, kto *nas* słyszy rozmawiających o nich.

– Tylko posłuchaj. Wszyscy rozmawiają.

A także i oni. Zupełni obcy uczciwie przekazywali fragmenty informacji, którą usłyszeli od trzeciej osoby, która usłyszała z radia przejeżdżającego samochodu: Glasgow poddało się ANR, bomby wybuchły na Victoria Street, irlandzki parlament wypowiedział wojnę Anglii... Tłumy przerzedziły się nieco, gdy część strumienia zwróciła się na lewo do chaosu terminali pasażerskich Alexandra Port, potem zgęstniał, gdy zbliżał się do granic Miasta Oblubienicy. Dla czystej zabawy Cat powiedziała komuś, że Zieloni wkraczają do Birmingham, coś, co wiedziała, że było całkowicie wykluczone, miała radio wpięte we włosy, telefon zwinięty za uchem i mogła niepostrzeżenie przerzucać kanały, ruszając uchem. Nic interesującego nie było zgłaszane. Jednak, zanim minęło sto metrów i dziesięć minut, usłyszeli od ich towarzyszącego pieszego, że Zieloni zajęli Birmingham, że Zieloni zmuszają do ewakuacji Birmingham i że Zieloni ewakuowali Birmingham i zniszczyli centrum miasta taktyczną bombą jądrową.

Tak, świadomie potwierdziła. Użyli jej tam, gdzie mieścił się Bull Ring.

Na granicy Wojownicy przestali próbować powstrzymać tłum. W większości przypadków przepuszczali ludzi i zachowywali się, jak gdyby to był od początku ich pomysł, chrześcijańskie miłosier-

dzie, sanktuarium. Jednak nie wszystkich: był Tor Zielony i Tor Czerwony, owce i kozy.

Jordan próbował nie patrzeć w żadne oczy za wizjerem, bezskutecznie. On i Cat zostali stanowczo skierowani do Toru Czerwonego, tego, który przechodził przez wykrywacz metalu.

* * *

Moh skończył trans z podskokiem. Odwrócił się do Vana i Janis.

– Hurra! – powiedział.

– Co?

– Obserwuj Manchester.

Janis przełączyła stację akurat, gdy prowadzący odpowiedział na uprzejme klepnięcie w ramię. Kamera cofnęła się, żeby pokazać uzbrojonych cywili wchodzących do newsroomu. Młoda kobieta świadomie usiadła na miejscu prowadzącego i zaczęła czytać deklarację. Inni trzymali niebiesko-biało-zielone flagi lub Union Jacks z dziurą wyciętą w środku, machając nimi z boku na boku i śpiewając jakiś slogan, w którym jedyne słowo, które było zrozumiałe to „zjednoczony".

Stacja przestała nadawać akurat, gdy dziewczyna czytała akapit, tradycyjny w takich proklamacjach, wzywający tych, którzy byli oszukani, do chwycenia za broń i stanięciu po stronie ludu.

– O mój Boże – powiedział Janis.

– Nie ma zmartwienia – powiedział Van. – Ktoś zawsze wyciąga wtyczkę. Ciągle mamy stację i miasto.

CNN potwierdziło, że Manchester został przejęty przez powstańców. Donoszono o ciężkich walkach w rejonie Bristolu. Czołgi złożone przez nieświadome roboty w fabrykach samochodów posiadanych przez Japończyków toczyły się po M6. Rada Bezpieczeństwa odbyła sesję awaryjną, nie nad Brytanią, ale nad starciami na gra-

nicy pomiędzy Rosją i Konfederacją Turecką, oraz zdobyciu Władywostoku przez Sinosowiety.

– Mówiłem, że są przeciążeni – powiedział Moh.

– Nawiązałeś już... kontakt?

– Nie, tylko napotkałem wasze systemy – powiedział Moh. – Wszystko wydaje się przebiegać dobrze. Wracam. – Uśmiechnął się do nich i odwrócił do ekranu.

* * *

Cat oparła się i wyszeptała do Jordana. Wyprostował się i uśmiechnął się do niej opiekuńczo.

– Żadnych prześwietleń, proszę – powiedział. Cat zarumieniła się, zamrugała i poklepała jej brzuch. Wojownik wprowadził komendę i kiwnął głową. Cat przeszła przez łukowatą bramę.

Bip.

Zmarszczyła brwi i wycofała się, potem położyła palce na ustach i szeroko otworzyła oczy. Poszukała po omacku w torbie, ostrożnie wyjęła derringera i podała go strażnikowi, który westchnął i przesunął go po ladzie na zewnątrz czujnika. Jordan obserwował to przedstawienie, stukając stopą, podczas gdy inni ludzie przepychali się za nim. Cat znowu przeszła pod łukiem.

Bip bip biiiiip.

Cat wyszła, odwróciła szkarłatną twarz do straży, pochyliła się i wymamrotała do niego. Złapała boki sukni pomiędzy biodrem i kolanem i pchnęła ją w jego ręce. Dotykał sukni przez chwilę, jak gdyby coś zginając. Puścił. Jedna ręka dotknęła jego karku. Rozejrzał się, ocenił długość kolejki i prawie niewidocznie wyłączył urządzenie i machnął na Cat. Przepłynęła, podniosła swoją broń dla dam i czekała na Jordana. Żeby to nadrobić, strażnik przeglądał jego torbę przez dwie minuty inspirującej dokładności, słuchają z oczy-

wistym niedowierzaniem wyjaśnień, że Anioły Ziemi byli chrześcijańską grupą studencką, zanim go puścił.

Ruch drogowy się ruszał. Chodniki były bardziej puste niż w Park Road. Żadnych tutaj strajków i ludzie wyczuwali, żeby zejść z ulic. Jordan napotkał pustą rowerową rikszę i zawołał na nią. Wiedział dokładnie jak pomóc jej wejść, co było dobre, ponieważ ona nie wiedziała.

– Co powiedziałaś mu, że uruchamiało czujnik?

– Stalowe obręcze – powiedziała zadowolona z siebie Cat.

– Zdaje się, że był zbyt zażenowany, żeby sprawdzić.

Cat spojrzała na niego z boku.

– To *prawda* – powiedziała. Broń i amunicja są w całości plastikowe.

Dotarli na szczyt Crouch Hill. Dodatkowy silnika elektryczny się zatrzymał. Była chwila równowagi, zanim kierowca znowu zaczął pedałować. Jordan spojrzał na miasto, czyste i jasne, mniej zamglone niż zwykle w świetle wczesnojesiennego słońca. Nie patrzył na dom, z którego widział tyle razy ten widok. Srebrne sterowce poruszały się nad nim, ich drogi zawiłe, krzyżujące się wzajemnie.

– Spójrz na sterowce! – powiedziała Cat.

– Tak, nigdy nie widziałem tak wielu w jednym. . .

– Nie, *patrz*!

Rzeczy spadała ze sterowców, czarne kropki, Jordan odwrócił się, żeby spojrzeć na najbliższy, unoszący się nad Finsbury Park. Zobaczył otwarte spadochrony i próbował obejrzeć całe niebo, zobaczyć wszystko na raz. Dookoła, tak daleko, jak sięgało ludzkie oko, spadochrony i szybowce opadały na otwarte przestrzenie miasta jak wybiórczy opad wielokolorowego śniegu.

– Stewardessy! – powiedział Cat, a potem nie powiedziałaby niczego więcej.

Najbliższy spadochron zniknął z widoku, około kilometra na wschód. Jordan poczuł ulgę, że nie lądowali na bliskim końcu parku, prawdopodobnie celowali w taktycznie ważniejsze skrzyżowanie na Seven Sisters.

Fonthill Road była opuszczona. Jordan zapłacił rikszarzowi w lokalnych markach, dostając zdziwiony wzrok podziękowania i podszedł z Cat do drzwi bloku, gdzie ostatnio pracował, mniej niż dziesięć dni temu. Wojownik stał na zewnątrz. Jego pistolet maszynowy śledził ich podejście. Poczucie, że w każdej sekundzie mógłby zostać rozdarty na pół, było nowym uczuciem dla Jordana.

– Jaki Wasz cel, proszę Pana?

– River Valley Distribution – powiedział Jordan, podając mu zalaminowaną kartę.

– A kogo chciał pan zobaczyć?

Jordan uśmiechnął się grzecznie.

– Maclaren i Jones. – Jeżeli dobrze znał byłych wspólników, nic prócz pocisków wpadających przez okno nie trzymałoby ich z dala od ich biurek.

Wojownik przesunął kartę szybko przez czytnik i przyjrzał się wynikowi. Jordan próbował nie wstrzymywać oddechu. Status jego fikcyjnej kompanii jako uznanego dostawcy, pozostawiony po programie SILK.ROOT, był najbliższym, jaki miał do poświadczenia bezpieczeństwa.

Strażnik skinął głową i podał mu kartę.

– Znajdzie ich Pan po schodach, potem na prawo.

Zrobił krok w bok. Jordan przytrzymał drzwi otwarte dla Cat. Weszła po schodach z zadziwiającą prędkością i pozwoliła Jordan poprowadzić do biur. Wielki pokój był prawie pusty, większość ekranów wyłączona.

Debbie Jones, która zwykle pracowała wieczorami, kiedy Jor-

dan był jej partnerem, stała przy biurku, które dzielili seryjnie. Patrzyła na drzwi, najwidoczniej powiadomiona, że ma gościa. Ekran za nią krwawił kolorami spadających akcji.

– Jordan! Nie spodziewałam się zobaczyć Cię z powrotem! – Brzmiała na wpół gościnnie, na wpół potępiająco. Jordan zawsze myślał o niej jako o całkiem miłej dziewczynie, inteligentnej, ale stereotypowej, owalna zwykła twarz, proste długie włosy, prosta długa suknia. Jej wzrok przeskakiwał na Cat i z powrotem na Jordan ze spojrzeniem marginalnie narastającym zrozumieniem, który zaczynał traktować irytująco znajomo. – Co tutaj robisz?

– Wiesz, dlaczego wyjechałem?

Potrząsnęła głową.

– I szczerze nie jestem zainteresowana. – Kolejne spojrzenie na Cat. – Było to trochę nierozważne z Twojej strony. Choć z całą uczciwością nie poszło nam tak źle z Twojej wyprzedaży.

– Miło to słyszeć – powiedział Jordan. – Przepraszam za kłopot, który musiałem sprawić. – Zastanawiał się, czy wiedziała, że opuścił ostatecznie Miasto Oblubienicy. Jeżeli nie, to sugerowało, że pani Lawson była bardziej zatroskana ukryciem niż śledztwem.

– Właściwie – kontynuował z brzmiącym zażenowanie śmiechem – nie jestem tutaj, żeby się z Tobą spotkać. Mam pewne sprawy do wyjaśnienia z panią Lawson. Sprawy bezpieczeństwa, wiesz?

Debbie zmarszczyła brwi.

– Nie rozumiem. . .

Jordan spojrzał za nią.

– Hej, co się dzieje z Dow Jones?

Debbie spojrzała nad ramieniem.

– O motyla noga! – Usiadła i zaczęła szybko klepać w klawiaturę. Trzydzieści sekund roztargnienia pozwoliło Jordan podejść raźnie do biura pani Lawson.

– Gdzie są wszyscy? – spytała Cat, rozglądając się.

– Muszą być na strajku.

– Ha ha.

Zapukał w drzwi pani Lawson.

– Wejść.

Jordan spojrzał na Cat.

– Za Panią, pani.

Cat otworzyła drzwi i przepłynęła. Jordan ociągał się przez chwilę, potem wszedł i zamknął drzwi. Pani Lawson stała za jej sosnowym biurkiem, jej ręce na głowie. Cała jej uwaga była na derringerze Cat. Jej twarz pokazywała zszokowaną dezorientację.

Wtedy przeniosła wzrok i zobaczyła Jordana. Jej wyraz twarzy pogłębił się do całkowitej konsternacji. Jej usta się otworzyły...

Cat podniosła dłoń. Usta pani Lawson zacisnęły się.

Jordan wspiął się na biurko do terminala, unikając przejścia pomiędzy nią a Cat. Wprowadził kod i nacisnął Enter.

* * *

Nagle duchy zniknęły oraz zwierzęcy umysł broni. Był samodzielny, patrzył na kraj jak bóg. To było więcej niż mapa, więcej niż widok z fantastycznie bezchmurnej wysokości. Chwila uwagi wystarczyła, żeby się zbliżył. Zobaczył kolumnę pancerną i mógł zbliżyć się do pojedynczego czołgu. Zobaczył tonący jedwab, wznoszący się dym, i skupił się na miejskim centrum, gdzie bojownicy ANR atakowali baraki policji ze wstrząsającą zaciekłością. Usłyszał wywrzaskiwane slogany, wykrzykiwany ból.

Był tam i chciał tam być. Spojrzał na Londyn, zobaczył zbiegające się linie, zamykające się koła, jasny sektor Norlonto i, trochę na jego południe, ciemną plamę, ślepy punkt. Również się zapalił (przekazał przełączniki) i się odwrócił.

Spojrzał i zobaczył je obok niego na wyimaginowanym niebie. Wyglądały dokładnie jak małe iskry światła, które czasem widział, kiedy patrzył na czyste niebieskie niebo. Na tej skali były błyszczącymi srebrnymi statkami, UFO bezczelnie tańczącymi na niebie nad Brytanią, obcą inteligencją czekającą na zauważenie.

Sięgnął do nich, żeby je ostrzec.

* * *

Jordan odwrócił się od terminala.

Cat rzuciła mu rolkę wytrzymałej taśmy z jej torby.

– Przepraszam, pani Lawson – powiedział, odrywając metr taśmy. – Wiesz, jak to jest. Nic osobistego.

Pani Lawson skinęła głową.

– Wszystko w porządku, Jordan.

Przykleił ją bezpiecznie do fotelu biurowego, po sprawdzeniu tak dobrze jak potrafił, że fotel nie ukrywa żadnych włączników alarmowych. Jeżeli miała jakiś przy sobie, prawdopodobnie już by go użyła, i w każdym razie, musieliby usunąć jej zęby jeden po drugim. Potem przykleił krzesło do grzejnika przy oknie.

Kiedy zamierzał zakleić jej usta, potrząsnęła głową.

– Nie ma potrzeby – powiedziała. – Pokój jest całkowicie dźwiękoszczelny. Doceniłabym, gdyby kogoś poinformował, gdzie jestem, kiedy już poczujesz się bezpiecznie.

– Żaden problem, ale nadal będę musiał to zrobić. Aktywacja głosem.

Pani Lawson spojrzała na niego, jak gdyby nigdy o tym nie słyszała.

– Przyjmujesz to bardzo dobrze – powiedziała Cat, ciągle do niej mierząc. – Coś, co powinniśmy wiedzieć, co?

Pani Lawson roześmiała się.

– Och, nie, nikt tu nie jedzie. To tylko, że jestem całkiem przyzwyczajona do interpretowania ruchów palców jako naciśnięć klawiszy, lata obserwowania ludzi wpisujących hasła. Raczej *lubiłeś* Engelsa i Lukrecjusza, prawda, Jordan? Rozpoznałam kod, który właśnie wprowadziłeś. – Przeniosła wzrok z niego na Cat i z powrotem. – Czy to Catherin Duvalier, o której tyle słyszałam? Czy przekonała Cię, że Kohn jest w błędzie, a Donovan ma rację?

– Co Donovan ma z tym wspólnego? – warknął Jordan na nią, zaskoczony. Nie rozumiał też odniesienia do Kohna.

Pani Lawson rzuciła mu niecierpliwe, pogardliwe spojrzenie.

– Och, przestań grać w gierki, Jordan. Kto jeszcze mógłby chcieć wyłączyć moje zabezpieczenia?

– ANR, jeżeli chcesz wiedzieć – powiedział Jordan, ukąszony przez jej insynuacje.

Patrzyła się na niego przez chwilę, a potem zaczęła się chichotać, z początku dziewczęco chichocząc, a potem z coraz wyższym tonem, który graniczył z histerią. W przypływie furii i niesmaku uderzył taśmą w poprzek jej ust.

– To Ty grasz w gierki – powiedział gorzko.

Łzy pociekły jej z oczu i jej ramiona drżały.

– Oddychanie w porządku?

– Mmmm hmmm.

Przesunął się za Cat i otworzył drzwi. Wycofali się i poszli szybko do wyjścia. Debbie Jones wyskoczyła z fotelu.

– Co się dzieje? – zażądała.

Jordan zawahał się. Debbie odwróciła się od niego i wskazała na ekran. Dryfowały po nim płatki śniegu Mandelbrota, blakły i umierały jako kropka.

– Awaria systemu – powiedział Jordan, myśląc szybko. – Pani Lawson próbuje to naprawić. Jest trochę tym zajęta, ale chciałaby

Cię widzieć za jakieś dziesięć minut. Jakieś pliki, które zostawiłem, kłamiąc o nich – dodał niejasno przepraszającym tonem. – Do zobaczenia.

Poszedł za Cat, świadom, że Debbie ciągle stała i obserwowała ich z wyrazem twarzy kogoś, kto wie, że czegoś nie rozumie, ale…

– Te gadanie o Donovanie – powiedziała Cat, gdy tylko wyszli z biura. – Myślisz, że o tym myślała?

– Może być – powiedział Jordan. – Lub dezinformacja. Jest w tym ekspertem.

– A dlaczego wspomniała Moh?

Jordan stał nieruchomo. Pytanie dokuczało mu. *W jaki sposób* powiązała go z Moh? Potem sobie przypomniał.

– Nie powiedziała Moh, powiedziała *Kohn*. Może miała na myśli Josha Kohna, jest dostatecznie stara, żeby wiedzieć o nim i Planie, i wiedziała, że zrobiłem coś dla Planu.

– Ta, ma reputację – powiedziała Cat. – Ale w jaki sposób wiedziała, kim jestem?

Jordan się uśmiechnął. Odpowiedź wydawała się oczywista po jego kwerendach w sieci.

– Również masz reputację.

Jordan zaczął schodzić schodami tyłem, jedną ręką trzymając się poręczy, drugą sięgając ku Cat.

– Chrzanić tę grę dla żołnierzy – powiedziała.

Odwróciła się na szczycie, wsunęła kciuki zręcznie dookoła bioder i pchnęła w dół mocno na spódnicę. Z rozdzierającym dźwiękiem, oderwała się od gorsetu. Wyszła z zapadającej się struktury.

– Rzepy – wyjaśniła. – Daj mi kurtkę.

Jordan wyjął ją z torby i poczuł nagły impuls, żeby samemu się uwolnić. Wyszamotał się z garnituru i w swoje dżinsy, gdy Cat robiła coś tajemnego z ramą krynoliny, składając ją i zsuwając dą

do płaskiego ćwierć kręgu, sprawiając, że to i spódnice zniknęły w torbie. (Jak oni *robią* te rzeczy? zastanawiał się. Gdzie się ich *uczą*? I *jakie są zastosowania wojskowe*?).

Spojrzał na nią, wysokie buty, krótka broń, ciasne dżinsy, gorset wepchnięty w nie jak modnie skrojona koszula pod wielką kurtką. Wysunęła jedno biodro do przodu i oparła na nim pięść.

– Calamity Jane znowu w siodle – powiedziała.

– Mały detal – powiedział Jordan, patrząc w dół schodów. – Strażnik. Chyba że idziesz na ostatnią walkę Butcha i Sundance.

– Nie – zadrwiła. Podała mu jeden z pistoletów i gestem pokazała mu, żeby poszedł za nią w dół schodów. Na dole podkradli się pod drzwi i rozpłaszczyli się na ścianie. Cat sięgnęła, bardzo wolno obróciła gałkę i otworzyła delikatnie drzwi, potem odchyliła je do środka.

Pojawił się dźwięk pośpiechu. Cat poczekała chwilę i zaryzykowała spojrzenie dookoła framugi. Roześmiała się i wyszła przez drzwi. Wojownik zniknął, a na ulicach była…

– Mnogość – powiedział Jordan.

* * *

Bleibtreu-Fèvre znalazł antyczny monitor kineskopowy zakopany pośród ogromnych tablic ekranów. Eksperymentując z nim, odkrył, że jest to telewizor. Odbierał tylko cztery kanały, żaden z nich nie pokazywał niczego, prócz baletu i orkiestr wojskowych. Stary państwowy system nadawania, odpowiadający na kryzys państwa na sposób uhonorowany czasem. Przeskakiwał leniwie pomiędzy *Les Sylphides* a 2039 Edinburgh Military Tattoo[2].

---

[2] tattoo – uroczysty koncert orkiestry wojskowej oznaczający capstrzyk, więcej `https://en.wikipedia.org/wiki/Military_tattoo` – przyp.tłum.

Czuł się wyczerpany, wypalony na psychostymulantach, fatalistyczny. Byli skazani. Pracował całą noc z Donovanem, pomagając tak dobrze, jak potrafił, podczas gdy stary oszołom szlifował i poprawiał swoje zabójcze wirusy, wciąż na nowo wysyłając je z dużą nadzieją, tylko by zobaczyć je gaszone przez diabolicznie efektywne antywirusy Melody Lawson.

Przy jego wewnętrznej wiedzy i doświadczeniu w hakowaniu Donovana, podsłuchiwali łączność pomiędzy Stasis a Obroną Kosmiczną. Większość z tego była nie do rozszyfrowania, ale z tego, co mogli podsłuchać, było oczywiste, że Obrona była na ostatnim etapie potwierdzania, że istnieje prawdziwa sytuacja awaryjna, przetwarzając je przez zabezpieczenia, podwójne klucze, aż do nieuniknionej, fatalnej i śmiertelnej decyzji, że datasfera jest poza władzą człowieka i musi być zniszczona za wszelką cenę.

Rozważał skontaktowanie się bezpośrednio z Obroną lub Stasis, powiedzenia im co się działo, załatwienia, żeby zmusili tę głupią, upartą chrześcijankę, żeby wyłączyła swoje systemy zabezpieczające i pozwolić Donovanowi przynajmniej raz spróbować trafić w AI... ale wiedział w swych modyfikowanych kościach, że to było beznadziejne, że nawet gdyby dotarł do dostatecznie wysokiego poziomu dowodzenia, po prostu potraktowaliby to jako kolejne potwierdzenie, że sytuacja nadzwyczajna jest realna.

Byli skazani.

Okrzyk triumfu Donovan postawiła go na nogi. Starzec przebiegał od terminala do terminala, wirując ramionami złożonymi ruchami, walcząc z wirtualnymi kształtami. Zatrzymał się, żeby krzyknąć do Bleibtreu-Fèvre:

– Musiała zmienić swoje zdanie! Nie ma antywirusów !

Bleibtreu-Fèvre ruszył za Donovanem i obserwował, gdy zwol-

nił, zmniejszył intensywność i w końcu zatrzymał się, żeby rozejrzeć dookoła od ekranu do ekranu.

– Są wolne – powiedział. – Najlepsze, ustawione na memy Zegarmistrza. – Uśmiechnął się do Bleibtreu-Fèvre i w tym momencie nie wyglądał staro, lub szalenie, lub złowieszczo, wręcz przeciwnie: stały dumny i zadowolony, biały mag, który uratował świetny, ale prosty lud od sił mroczniejszych niż mieli siłę wiedzieć.

– Zrobiliśmy to! – powiedział. – Nie mają teraz powodu uderzać w datasferę. Nie będzie gigaśmierci.

* * *

Miliardy umierały.

Miliardy żywych rzeczy, świadomych umysłów, z subtelniejszymi i bystrzejszymi uczuciami, z wyższymi radościami i głębszymi ranami niż jakikolwiek człowiek kiedykolwiek by znał.

Umierały: pękając jak komórki w silnym roztworze soli, eksplodując jak budynki od ciśnienia piętnastu atmosfer, wysadzone z zewnątrz jak głowa uderzona pociskiem, odparowane jak satelita w promieniu lasera, zanikając jak ciało w pożodze.

Moh to wszystko widział, klasyczne wolne ujęcia, zatrzymane klatki, fotosy, natychmiastowa archeologia niedawnych i nagłych śmierci. Nigdy nie wzdrygnął się od patrzenia na śmierci, z którymi sobie sam radził. Te, obrazy i rzeczywistość teraz nierozdzielnych wspomnień, zapewniły mu znaki tego, co widział, co słyszał i czuł, gdy gryzący dym wygotowywał się z ziemi, z powietrza, a każda cząsteczka dymu stawała się drapieżnym napędem zniszczenia, który pożerał jedną jasną sztuczną inteligencją, potem skręcał i odwracał się nienasycony po następną. Myśl jego myśli, umysł z jego umysłu, dzielący znikający punkt odbicia jaźni, które znał:

małe ułamki ich udręki, które doświadczał, były bólem nie do wytrzymania, stratą nie do odzyskania.

Czarny dym pochłonął cały świat i zniknął: przejaśnił, żeby pokazać świat, jakim był, niezmieniony, oprócz zagłady jego najnowszego życia. Moh patrzył na zniszczoną planetę przez długą sekundę i zobaczył, że dym nie rozproszył się, gdy przejaśniał: skoncentrował się do punktu, czarnej dziury w datasferze, źrenicy oka z jedną myślą poza nią. Oko patrzyło na niego. Zobaczyło znacznik software'u, który obsługiwał jego okno w systemie, i się rozszerzyło. Jego oczy, w beznadziejnym odruchu, rozszerzyły się w odpowiedzi. Migocący śmiertelny kod morse znalazł odpowiedź w softwarze, który współdzielił z jego mózgiem.

Białe-gorące igły dźgnęły przez jego oczy w głowę, w mózg: nowe środowisko dla wirusów informacji, gdzie były replikowane, tworząc węzły złożonej logiki, która opętały go, brzęczące mechanizmy, które ścigały go od jednej myśli do następnej, przez korytarze pamięci i zapomniane pokoje dni.

#

Usłyszał stukot klawiszy klawiatury i odwróciła się, żeby ujrzeć Josha pracującego nad systemem CAL. Sięgnął, żeby go ostrzec.

Rozległ się rozpryskujący trzask i żelazne ramię rozsadziło ekran. Serwomechaniczne palce złapały głowę jego ojca. Cały metalowy potwór wyłonił się za ramieniem ze zniszczonego ekranu i wspiął się na stół, podnosząc mężczyznę za głowę. Kawałki plastiku, szkła i obwodów zsunęły się z jego głowy i po bokach. Krew kapała z Josha Kohna. Ręka otworzyła się i ciało uderzyło w ziemię. Skupione czujniki na głowie rzeczy obróciły się, szukając, skanując, ale Moh był na zewnątrz *trzaskającego* okna, uciekając, znowu mężczyzna,

ale bez Karabinu.

#

teleżołnierz schylił się w drzwiach osłonięte soczewki skanowały ramię z bronią obracało się dla osłony

#

dwóch młodych w dresach i bandanach weszło za nim do mieszkania M-16 jak zabawki koło ich uzbrojenia a oni jak chłopcy blond włosy i dwudniowy cienki zarost

#

pierdolony zdrajca komusza cipa

#

HEJ CZŁOWIEKU NIE MOŻESZ TEGO ZROBIĆ

#

niebieski krążek na na czole jego kopuły białe koło oliwnych liści glob podzielony liniami

#

OK TERAZ MOŻESZ ICH ZAŁATWIĆ

#

śmierci się nie doznaje

#

Pobiegł korytarzem w Coyoacan, dysząc w gorącu, i wpadł do gabinetu Starca. Nikogo nie było przy biurku. Drobinki kurzu tańczyły w żółtym snopie z okna. Sięgnął po papier na biurku. Rozpadł się, gdy go podniósł, a gdy rozglądał się po pokoju, zobaczył opróżniające się półki i książki zwijające się i gnijące: Zawiał na chwilę przytłaczający obrzydliwy zapach spleśniałego papieru.

Ktoś za jego ramieniem.

Jacson, ze szpikulcem do lodu podniesionym wysoko, i uderzającym w dół

Jednak to jest w moim mózgu

Uderzyło w biurko w zwijający się papier żółtej broszury

Śmierć agonia zadania program przejściowy

Biegł

Ulice Greenbelt zielona trawa

i słońce wszędzie

ciemność teraz

#

Ujrzał ich jako teleżołnierzy, nieskończona i ciągle zwiększająca się armia maszerującego metalu, która hackowała wszystkie systemy, wszystkie hard i soft wary: sieci neuronowe spalone, programy uszkodzone i zdegenerowane.

#

Był odpychany dalej i dalej, gdy wyważali, podważali i rozszczepiali pamięć, intelekt, uczucie, sens. Póki ostatni odłamek jego rozbitego umysłu nie był rozbity na mniejszy niż kwant odbicia, i umarł.

* * *

Pojedynczy krzyk wyszedł z niego, a jego głowa uderzyła do przodu i w dół na klawiaturę. Janis rzuciła się do jego ramienia, z Vanem chwilę za nią. Podnieśli go i odchylili go do tyłu na siedzeniu. Janis wpatrzyła się w jego niemrugające oczy, gdy naciskała na kark za pulsem. Nie było żadnego.

Van pomógł jej położyć go na podłodze, potem złapał za telefon. Gdy tylko go odłożył, telefon znowu zadzwonił. Wysłuchał, ledwo mówiąc, potem odwrócił się, gdzie walczyła o życie Moh. Przez minuty zmieniali się, dmuchając w jego usta, uderzając w jego mostek. Piszczące hamowanie. Stopy na schodach. Janis zatrzymała się, odsunęła, odetchnęła. Dwóch ratowników przykleiło elektrody do jego głowy, wbiło igłę w serce, pompowało tlen w usta i uderzyło podkładkami w jego pierś.

Potem popatrzyli na siebie, spojrzeli na nią i Vana i wstali.

– Przykro mi – powiedział jeden z nich. – Nic nie możemy…

– Nic nie możecie zrobić? – wyszeptała.

– Nic nie ma. Żadnego odruchu, nic. Nerwy nawet nie przenoszą wstrząsów. – Przestał, jak gdyby był zbulwersowany tym, co powiedział. – Co się mu *stało*?

– Nie wiem, nie wiem, nie wiem!

Janis rzuciła się na ciało i zawyła.

Rozdział 18

Strajk Amerykanów

Powiedzieli jej, że musi wyjść, a ona odmówiła. Powiedzieli jej, że Czarny Plan się nie udał, cały pęd i kierunek ofensywy pchnięty w chaos, a ona skinęła głową. Powiedzieli jej, że Rewolucja jest na krawędzi porażki, że reżim może odzyskać równowagę i w każdej chwili uderzyć, a ona się zgodziła.

Nie odeszłaby.

Van i ratownicy odjechali, zabierając ze sobą ciało Moh. Van wyglądał, jakby był zawstydzony pytaniem, mamrocząc o ”praktycznej rozwadze”, grzebiąc o patetycznie nieistotnej karcie dawcy, którą przy nim znaleźli. Wiedziała, że nie oddaliby części tego ciała nawet największemu wrogowi. Wykonaliby sekcję zdalnie w hermetycznym pomieszczeniu, a kiedy dowiedzieliby, co mogli ze zniszczonych nerwów, skremowaliby resztę.

Zostawili zawartość jego kieszeni: kilka kart, nóż, telefon oraz hełm, gogle i Karabin, narzędzia jego fachu. Van zatrzymał się w drzwiach i spojrzał z Karabinu na nią i z powrotem.

Potrząsnęła głową ostro.

– Nie robiłabym tego – powiedziała. Może nie rozumiejąc niejasności angielskiego, Van wyszedł. Usłyszała jadące ciężarówki i startujący helikopter. Istniały świetne ośrodki badawcze w Nairn, tymczasowej stolicy Republiki, tam właśnie się kierowali. Mogła

kiedyś tam pojechać, odkryć, czy to lek był tym, co go zabiło. Lub brak leków.

Słowa MacLennana wracały. Nie była dobrym strażnikiem, dobrym żołnierzem.

Ani nawet dobrym naukowcem.

* * *

Wspomnienia, które wymykały się jej na szczycie wzgórza, wróciły, jasne i gorzkie. Pamiętała wojnę. Wojna o Integrację Europejską, kiedy Niemcy poprowadzili desperacką próbę zjednoczenia kontynentu pod sztandarem „koła gwiazd", wygaszenia konfliktów narodowych napędzanych przez wtrącanie się USA/ONZ i stworzenia przeciwwagi dla Porządku Nowego Świata.

Tylko dziewczyna, nie do końca rozumiejąca. Sztywne ciepło schronu w metrze sprawiało, że dyszała i płakała. Jej matka krzyczała na nią za chodzenie po pościeli na peronach. Ekrany trzymetrowej wysokości dopasowane do murów metra pokazywały postęp wojny.

Nie walczyli w tej wojnie, byli neutralni, a jednak brytyjscy żołnierze w niej walczyli. Niektóre kanały mówiły, jak gdyby sama Brytania walczyła. Było to mylące i przerażające, szczególnie gdy niektórzy ludzie w schronie wiwatowali, kiedy pojawili się brytyjscy żołnierze, podczas gdy inni krzyczeli w gniewie.

Matka próbowała jej to wytłumaczyć.

– To ludzie Króla, którzy są na wojnie, kochanie, nie my. Jednak rząd Króla ma miejsce w ON. . .

Przestała, niepewna, czy Janis rozumie. Dziewczyna skinęła stanowczo głową.

– Jaskinia złodziei i niewolników – powiedziała.

– Dokładnie tak. I walczą przeciwko Niemcom po stronie ONZ, co naprawdę oznacza Amerykanów, więc kiedy wojna się skończy, Amerykanie pomogą Królowi i wszystkim jego ludziom wrócić tutaj i znowu nami rządzić, lub Niemcy zaatakują nas przed końcem wojny i wtedy zostaniemy pokonani na inny sposób.

Bawiła się w jednym z bocznych korytarzy, kiedy usłyszała ryk głosów, i pośpieszyła na peron metra popatrzeć na ekrany i przyjąć podniecone słowa. Niemcy przestali walczyć. Wojna się skończyła. Nie zatrzymała się, żeby zobaczyć rodziców. Nie widziała, ani nie słyszała ich przepychających się przez tłum i wołających za nią, gdy ruszyła do wyścigu do stojących schodów ruchomych.

Wiedziała tylko, co się skończyło, nie co się zaczęło. Nie wiedziała, że Berlin i Frankfurt zostały spalone ostatnią przysługą Izraela dla dawnego opiekuna. Nie wiedziała, że to stanie się pretekstem dla USA, by stały się arbitrem planety. Nic co jej rodzice powiedzieli, nic nawet w klasach edukacji politycznej, nie mogło jej przygotować na następne sześć dni: bombowce wędrujące po niebronionym niebie, plądrowanie, szalejące napady niepiśmiennych poborowych USA/ONZ i barbarzyńskiego kontyngentu, teleżołnierze przebijający się przez ściany i miażdżący obrońców stalowymi pięściami, zdemoralizowane tłumy wiwatujący pokojowi, poddaniu i Restauracji, zwracanie się przeciwko radykalnemu reżimowi, który obwiniali za ich położenie, dołączający do polowania na wiedźmy, obław i linczowania.

Nie wiedziała, że wiatr wiał od wschodu i że deszcz obmywając jej smród i pot był pełen produktów reakcji jądrowych z wcześniejszego usunięcia Kijowa i Baku. Póki jej oszalała matka nie zaciągnęła jej z powrotem do schronu, świętowała Pokój.

* * *

Jordan i Cat szli ręka w rękę wzdłuż centrum Blackstock Rock, w środku tłumu. Nie byli jedynymi, którzy nieśli broń, a na inny sposób, też, ich wygląd był niepozorny. Bezpiecznie było założyć, że nikt tutaj nigdy nie widział Jordana w telewizji kablowej. Ludzie dookoła nich były mieszkańcami Miasta Oblubienicy: zupełnie inny przekrój populacji od tych, którzy przyszli znad północnej granicy. Byli to opiekunowie maszyn, kelnerzy i kelnerki, służący domowi, mechanicy pojazdów, kierowcy, magazynierzy, sklepikarze, czyściciele ulic, portierzy, pielęgniarki... Jordan nigdy nie uświadomił sobie wcześniej, jak obszerna i zróżnicowana była niewidzialna armia mężczyzn i kobiet, których praca była zbyt tania lub zbyt skomplikowana do automatyzacji, ale która sprawiała, że praca, którą znał, była możliwa.

– To dlatego biura były puste – powiedziała Cat. – To są ci, którzy poszli na strajk!

Wszyscy byli prawdopodobnie chrześcijanami. Nosili plakaty z ręcznie wypisane cytatami biblijnymi, liniami o ucisku, wolności, biednych, bogatych, słabych i potężnych, którym posługiwali się kaznodzieje Miasta. Śpiewali niepokojące dziwne hymny i psalmy rzadko wybierane przez kongregacje.

– Wygrzmotnij mózgi dzieciaczków Babilonu – nuciła Cat, radośnie parafrazując, póki Jordan nie trącił jej łokciem, żeby przestała.

Myśl, że były tysiące ludzi w Mieście Oblubienicy, którzy dusili się pod opieką Starszych, oszukiwani w ich relacjach z pracodawcami poprzez regulacje mistrz-sługa, udręczeni przez winę i frustrację, sceptyczni na temat interpretacji pisma narzuconych na nich (jak gdyby interpretacje same w sobie nie były niczym więcej niż opiniami człowieka, rozgniewani na to, jak wygodnie Bóg pojawiał

się po dominującej stronie każdej relacji... Jordan uznał, że jest to ekscytujące aż prawie nie do zniesienia.

I również zawstydzające, ponieważ nigdy nie przyszło mu to na myśl.

– Wydaje się dziwne, takie maszerowanie – powiedziała Cat. Jordan uśmiechnął się do jej lśniących oczu.

– Myślałem, że byłaś na wielu demonstracjach.

– Och, pewnie, ale zwykle najpierw sprzedawałabym gazety, potem biegałabym do przodu i tyłu, szła tyłem z głośnikiem, osłaniała z bronią boczne ulice. – Roześmiała się. – Jakby o tym pomyśleć, nigdy wcześniej nie byłam po prostu częścią masy.

– Może nie powinniśmy tylko maszerować – martwił się na głos Jordan. – Może powinniśmy robić te rzeczy.

Cat cicho syknęła. Kiedy spojrzał na nią, wskazała wzrokiem z boku na bok. Kiedy zaczął przyglądać się kątem oka i zauważył, że co około dziesięć metrów wdłuż boków marszu szły bystre, twarde dzieciaki. Zmieniały swoje tempo, szybciej lub wolniej niż tłum, czasem idąc tyłem, wyciągając szyje: licząc głowy, patrząc w oczy. Czerwoni, dzieci, kadra.

– To jest *zorganizowane*? – spytał. Horyzont dookoła łączył się z niebem luźnymi czarnymi nićmi. Co kilka sekund kolejna odległa eksplozja wstrząsała powietrzem. Ogień małokalibrowy trzaskał na granicy słyszalności. – Kogo to jest pomysł, by maszerować w strefę walk?

– To zadziała – powiedziała Cat. – Walki są skoncentrowane.

– Na razie.

– Nie *martw się* – powiedziała Cat. Jej ton zaprzeczał jej radzie.

Koło Highbury Fields, potem Upper Street. Gdy mijali po swojej lewej wielki, stary budynek z filarami, który Starsi używali jako biura administracyjne, pieśni się urwały, a ludzie zaczęli krzyczeć.

Nieharmonijne okrzyki zostały nagle zalane przez wszystkie dzieciaki, aktyw, krzyczących na raz.

– Czego chcemy? DEMOKRACJI! Kiedy chcemy? TERAZ!

Urozmaicali to z WOL-NOŚĆ! i RÓWNE PRAWA! Po minucie okrzyki zostały podchwycone, pozwalając niektórym z kadry na beznadziejną dyskusję z tymi w tłumie, którzy się pchali, próbując rozpocząć szarżę na schody. Jordan zobaczył ich wskazujących na drzwi i balkony, zauważył zszokowany czarne lufy skierowane na zewnątrz.

– Czas się ruszyć – powiedziała Cat. Pociągnęła go za rękę. Poszedł za nią, gdy fachowo przeszła przez marsz. Jej wysoki, czysty głos unosił się ponad urywkami czegokolwiek grupa, przez którą się przechodzili, śpiewała. – „Więc jego dusza wolna”. . . przepraszam. . . „stąd ucieklimy. . . *no chodź* Jordan.

Na końcu Islington High Street (kilkaset metrów biurowców u podnóża Upper Street) była południowa granica Miasta Oblubienicy, znana szyderczo z jej drugiej strony jako Brama Aniołów. Szlabany były opuszczone, a grupa Wojowników była rozstawiona na drodze. Trzymali wyrzutnie gazu łzawiącego skierowane do góry i mieli pistolety maszynowe zawieszone na ramionach. Jordan, teraz w pierwszym rzędzie, nie widział nikogo z kadr, w istocie, pierwsza linia była w większości kobietami. Cat ścisnęła go za dłoń.

Tłum zatrzymał się około czterdziestu metrów przed glinami. Jeden z nich wystąpił z megafonem.

– TOOO JEEEE NIELEEEGALLLNE ZGROOOMMAADZ. . .

Megafon nie miał mocy, żeby zagłuszyć krzyk furii i oburzenia z tłumu. Jordan przewrócił oczy w górę. Dziękuję, Boże. Nie mogliby podjąć gorszego wyboru. Uchodźcy z Południowej Afryki byli popularni wśród Wojowników i tylko tam.

Inny oficer prędko wziął mikrofon i kontynuował.

– PROSZĘ SIĘ ROZEJŚĆ! WRÓĆCIE DO DOMU!

– Do domu, wy obiboki, do domu – zaśpiewała do nich kobieta. Tysiące głosów za nią entuzjastycznie podjęło śpiew. Jordan zastanawiał się wściekle, gdzie mogli to wcześniej słyszeć, póki nie przypomniał sobie, że jeden ze stadionów kaznodziejskich Miasta Oblubienicy był kiedyś boiskiem piłki nożnej.

– TO JEST STAN WYJĄTKOWY!

– Nie będziemy, nie będziemy, nie będziemy usunięci!

– Cały świat patrzy! Cały świat patrzy! – Och, więc były tutaj kadry: kobiecy aktyw. Ten śpiew nie został podjęty, prawdopodobnie dlatego, że nikt nie mógł w to uwierzyć.

Jordan usłyszał odległe, rytmiczne krzyczenie z drugiej strony granicy. Za głowami Wojowników zobaczył sztandardy, czerwone i trzykolorowe flagi innej demonstracji przechodzącej City Road, skręcający w Pentonville Road.

Wspiął się na skrzynkę telekomunikacyjną i patrzył. Tłum był mniej niż sto metrów dalej. Mógł dojrzeć twarze odwracające się, żeby spojrzeć, a potem odwracające się w drugą stronę. Krzyki, które słyszał, nie były przyjazne. Zaskoczony, Jordan spojrzał na tyły tłumu, w którym był i ujrzał go, jakby był z zewnątrz: las dziwnych sloganów czarnymi literami na białych płótnach i tablice, krzyże falujące tu i tam. Jak tłum szaleńców religijnych. Złapał wzrok kobiety, która wydawała się wiedzieć, co się dzieje i pokazał walkie-talkie. Potrząsnęła głowę i rozłożyła dłonie.

– Pracownicy! Zjednoczeni! Nigdy niepokonani!

Ten też wygasł i z pewnością nie mógłby dotrzeć za barierę. Wojownik huczal o REBELIANTACH i KOMUNISTACH. Jordan spojrzał w dół na Cat. Sięgnęła po coś, co było podawane z ręki do ręki i podała mu to na górę. Megafon, jak gdyby to było, co potrzebował.

– Czy kadry nie były na to gotowe? – spytał. Cat pokręciła głową.

– Spodziewali się, że Wojownicy będą zajęci gdzieś indziej. Zrzut się nie zdarzył. Komunikacja zaczyna się gmatwać.

– O kurwa! Musi być coś. . . – przyklęknął, jedno oko na niezdecydowany tłum i powiedział: – Cat! Myśl! Czy jest jakiś slogan, pieśń, cokolwiek co brzmi wystarczająco religijnie dla tej grupy, ale, wiesz, umożliwiłoby innym się dowiedzieć, że jesteśmy po ich stronie?

Cat zmarszczyła brwi i wtedy uśmiechnęła się szeroko. Sięgnęła rękę do niego i próbował ją wyciągnąć, ale ona pociągnęł i zeskoczył.

– Trzymaj wysoko megafon – powiedziała i wzięła mikrofon. – Nie patrz do tyłu. – Zaczęła iść tyłem, krok za celowym krokiem, kiwając jedną dłonią na kobiety na przodzie tłumu. Jordan szedł koło niej, trzymając róg megafonu wysoko nad głową.

– Raz kozie śmierć – powiedziała i włączyła mikrofon.

– *A czy te stopy, w czasy dawne. . .*

Przestała na chwilę, robiąc unoszący gest, póki druga linia nie została podjęta:

-SZŁY POPRZEZ GÓR ANGIELSKICH PASMA[1]?

Tłum zaczął poruszać się do przodu. Głosy były zniekształcone, odbijały się echem pomiędzy budynkami, ale melodia była nie do pomylenia i coraz więcej osób dołączało do zagłuszanego wzmacnianego skrzeczenia, które było bliżej i bliżej ich pleców. Kiedy dotarli do DIABELSKICH MŁYNÓW CIEMNYCH, Jordan mógł

---

[1] Jeruzalem, wiersz Williama Blake'a, spopularyzowany w okresie Pierwszej Wojny Światowej, używany często w zastępstwie hymnu, zob. `https://pl.wikipedia.org/wiki/Jerusalem_(wiersz)`, tu w tłum. `https://poezja.org/utwor/31778-t%C5%82umaczenie-w-blake-jeruzalem/` – przyp.tłum.

usłyszeć inne głosy z tyłu, kolejną mnogość podejmującą linie hymnu Anglii, kiedy był państwem w Zjednoczonej Republice.

Potem było uderzenie w jego plecy. Jego całe ciało ściągnęło się odruchowym szarpnięciu, które pchnęło jego głowę w ziemię, a stopy z ziemi. W tej samej chwili coś krzyknęło nad nim. Gdy jego stopy szarpnęły z powrotem, zobaczył wybuch dymu pomiędzy dwoma rzędami około dwudziestu metrów od przodu. Ludzie dookoła tego się rozpraszali. Niektórzy padali, ale podnosili się na nogi i uciekali, ręce na ustach. Gryzący powiew dotarł do jego nozdrzy. Przez kilka sekund czuł płuca, jak gdyby oddychał kwasem. Przez żałosny, dręczący kaszel usłyszał więcej uderzeń. Czarne koziołkujące kształty przecięły powietrze nad głowami. Zobaczył kobietę podnoszącą ramię, żeby jeden odparować, zataczającą się do tyłu, gdy długie oszalowanie zaklekotało na ulicy. Podeszła kilka kroków, wtedy nogi się jej ugięły i została chwycona przez kobietę koło niej. Ktoś inny porwał drewno i je odrzucił. Jordan spojrzał nad ramieniem i zobaczył, że większość pocisków, rozbite kawałki szlabanu, kamienie, plakaty, puszki, spadały na Wojowników z obu stron, ale to zabłąkane strzały robiły wszystkie szkody, to nie maszerujący, którzy mieli pancerze. Cat stała wyprostowana śpiewając, jej głos cienki i zachrypły.

Dwóch Wojowników zaszarżowała koło niego i wbiło się we front tłumu, uderzając długimi pałkami. W sekundę wszyscy ludzie wydawali się uciekać w różnych kierunkach. Wtedy, jak gdyby przez usuwający dym, Jordan ujrzał, że prawie każdy, kogo widział, miał broń, podnosząc ją, ale nie używając. Jordan rzucił głośnik i odwrócił się do Cat. Jej czerwonooka, poznaczona łzami, pokryta śluzem twarz ledwie zauważyła, gdy złapał ją za ramię i pociągnął ją za sobą. Pistolet, który mu dała, był w jego ręce. Nie miał pojęcia jak go używać.

Zobaczył teraz postrzępioną linię Wojowników, wraki szlabanu kilka metrów za przerwą z porozrzucanych kamieni i inne bronie wymachiwane przez drugi tłum. Nieruchome, ciche sekundy minęły. Oficer Wojowników machał rękami, krzyżując i rozkładając je nad głową. Wojownicy, którzy wbiegli w tłumy, byli z niego wypychani. Wolnymi, ostrożnymi krokami, wszyscy Wojownicy odeszli na boki ulicy.

Cat wstała, a za nią Jordan, potem musieli pobiec, żeby nadążyć, gdy wszyscy ruszyli do przodu i dwa tłumy stały się jednym. Nastąpiła przytłaczająca, zagmatwana chwila uścisków dłoni i uścisków, kołysania się i krzyczenia, a potem wszyscy zaczęli iść naprzód w Pentonville Road. Pieśń znowu została podjęta. DAJ MI ME STRZAŁY POŻĄDANIA. Jordan spojrzał z boku na Cat, która z jakiegoś powodu wybrała tę chwilę, żeby spojrzeć na niego.

Ulice od Islington do Marybone, do Primrose Hill i St John's Wood były zabudowane kolumnami złota i tam stały kolumny Jerozolimy.

* * *

Janis oglądała powstanie w telewizji, tak jak oglądała wojnę.

Tłumy się przemieszczały, częściowo uchodźcy od walk, które sięgnęły przedmieść, częściowo demonstranci niosący wojnę do centrów. Agitatorzy ANR i Sojuszu Lewicy pracowali, żeby zamienić jedno w drugie. Wzdłuż Bayswater, Whitechapel i Gray's Inn Road zbiegali się i łączyli. W całym mieście, w we wszystkich innych miasta, które wydawały się jednym miastem, gdy przeskakiwała z kanału na kanał, mury były obalane, podzielone społeczności przebijające się i odkrywające, że są jednym ludem. Pierwsze szeregi żołnierzy zrywały insygnia, poddawały karabiny. Twardsze

gliny się wycofywały, zajmując nowe pozycje lub znikając w ciemnych drzwiach, podczas gdy tłum ich ścigał.

A wszędzie indziej, poza miastami, nagrywane chwiejnymi kamerami z ukrycia, z szybko wykrywanych i niszczonych pyłków, zaczynały się poruszać inne siły. Barbarzyńcy, zaalarmowani jak rekiny zapachem krwi.

Nawet stąd, widziała, że to jeszcze nie koniec, że nic jeszcze nie zostało załatwione. Jednak tłumy myślały, że to koniec, wiwatując, chlupiąc się w fontannach, plądrując biura, zrzucając pomniki i tańcząc na ulicach.

Janis obserwowała tłumy, jej twarz mokra, pamiętając samą siebie, myśląc, że wszystko się skończyło i tańcząc na ulicy, tańcząc w ulewnym deszczu.

Tym razem wiedziała, czego się spodziewać. Systematycznie przeszukała dom, pakując przenośne i trwałe jedzenie, które znalazła. Bez sentymentu podzieliła zawartość bagażu Moh i jej, kończąc z jednym plecakiem, którego priorytetową zawartością była amunicja. Jednym okiem obserwowała telewizję, pokazującą place i ulice ciągle zatłoczone o zmierzchu, euforia ustępująca napięciu i determinacji, i skanowała ekran Karabinu, dopasowując celownik do jej wzrostu, zapamiętując jego protokoły.

Zajrzała w głębokie zasoby pamięci, jak zrobił to Moh, kiedy pierwszy raz sprawdzał. To, co zobaczyła, było niepojęte, rozmazane migotanie ruchu, zdecydowanie nie, jak to opisał, pasywna pamięć danych. Wycofała się szybko.

Telefon piknął. Wcisnęła odbiór. Pojawił się śnieg i linie, potem maszyna przełączyła się przez zapasowe systemy. Kiedy obraz się ustabilizował, była to twarz Vana. Jakość była gorsza niż cokolwiek, co widziała w latach.

– Cześć, Janis. Wszystko w porządku?

– Czuję się dobrze. Teraz. Na razie. Jak sprawy u was?

Van zrobił minę.

– Skomplikowane. Ofensywa została przerwana, ale nasi niesolidni sojusznicy z Sojuszu Lewicy wywołali powstanie obywatelskie, którym próbujemy kierować. Pojawiły się poważne niebezpieczeństwa, ponieważ nie zniszczyliśmy kluczowych jednostek wroga. Wstrzymują się od decydującego zaangażowania, oczekując w każdej chwili interwencji ONZ. Tak jak i my. Sytuacja w Wielkiej Brytanii trafiła na szczyt wszystkich programów. Opuść osadę, gdy tylko będziesz gotowa. Pierwszą rzeczą, którą zrobią, to uderzenie na znane obozy ANR.

– To jest obóz ANR?

– Nie, to niebroniona osada cywilna. To dlatego ją ewakuowaliśmy.

– Och. – Tak, tak trzeba było robić, jeżeli oczekiwałaś walki z USA/ONZ. Pośpiesznie wyprowadź cywili z obszarów cywilnych, wynieś rannych z czegokolwiek, co ma znak czerwonego krzyża.

– Doktorze Van.

– Tak.

– Czy możesz mi powiedzieć. . . znaleźliście cokolwiek?

Van skinął głową, jego twarzy wyglądała starożytnie.

– Mogę Ci powiedzieć. Cała sieć łączności jest zinfiltrowana, nie mamy nic do stracenia. Tego popołudnia organizacja Donovana uruchomiła pełny atak wirusowy. Najwidoczniej był wycelowany w AI Zegarmistrza. Jeżeli jakiekolwiek pozostały, działają w odizolowanym hardwarze. To wtedy straciliśmy nasz system, ten, który nazywałaś Czarnym Planem. I Hipokrytę. – Wzruszył ramionami. – Mogły być zniszczone w tym samym czasie. A wydaje się prawdopodobne. . .

– Mówisz mi, że on został zabity przez *wirus komputerowy*? – Potworna komedia tego walczyła w jej oczach i gardle.

– Wiem – powiedział Van – wydaje się to groteskowe. Na pewnym poziomie, myślę, że nie wierzyliśmy, że to, co Kohn zgłosił, naprawdę się działo. Jednak widziałem elektromiografię jego synaps i one są. . . unikalne. Nawet w moim doświadczeniu.

Lekki wydźwięk jego głosu przyniósł myśl, że istnieją straszliwsze śmierci niż ta, gorsze i dziwniejsze sposoby odejścia. Janis wzięła głęboki wdech.

– Jestem gotowa – powiedziała.

Podniosła Karabin.

Van powiedział jej, gdzie znaleźć wskazówki do najbliższego głębokiego schronu i szła tej nocy kilometrami po ciemnych drogach. Przy hydroelektrowni zatrzymała się i krzyknęła hasła, a ręka pojawiła się z ciemności i pokierowała ją do wnętrza góry. Rankiem zobaczyła zewnątrz z ekranów i była absurdalnie uspokojona widokiem, że ta góra i wszystkie inne wzgórza były ozdobione wzorem zmiennych cieni czerwonego brązu, żółci i wyblakłej zieleni jak kamuflaż.

Później tego ranka, została wyciągnięta podniecona, żeby obejrzeć powtórkę incydentu, który właśnie się zdarzył. Myśliwiec bombowy przeleciał nad doliną, potem wybuchł w eksplozji, od której ekran stał się biały. Gdy eksplozja zblakła, zobaczyli kulę ognia toczącą, koziołkującą i rozsiewającą wrak przez kilkanaście kilometrów, zanim wszystko uderzyło w ziemię, zapalając wrzos.

Odtwarzali to wiele razy, zawsze z tymi samymi wiwatami. Miała nadzieję, że dziewczyna w punkcie obserwacyjnym trzymała głowę nisko i oczy zaciśnięte.

Nigdy nie dowiedziała się, ile osób żyło wewnątrz tej góry. Setki. Bojownicy byli gdzieś indziej. Ich nieobecność nie robiła dużej róż-

nicy w strukturze tutejszej populacji, byli tutaj młodzi mężczyźni i kobiety tak jak starzy, i byli rodzice, którzy martwili się o dzieci, które były z wojownikami.

Ekrany, które pokazywały wiadomości, były z początku zagłuszane. Gdy społeczności się połączyły, rząd rozszerzył to, czego mógł się uchwycić. Nie mógł ukryć narastających fal demonstracji i strajków, które wybuchały przeciwko niemu, lub nękania jego sił przez jednostki ANR, teraz w charakterze partyzantki, walczących, ale na znacznie szerszą skalę niż przed ofensywą.

Prezydent USA ogłosił nowy pobór do wojska.

Cenzura i zagłuszanie się zatrzymały. Były rozmowy o nowej konstytucji, rewizji Traktatu. Dzień później była mowa o rewolucji, tak jakby się już wydarzyła. Zaoferowali Nowe Królestwo.

* * *

– Nie opieram się często na intuicji – powiedział Jordan – ale mam naprawdę złe uczucia na ten temat.

To był czwarty dzień, od kiedy słabnąca ofensywa została podjęta i przejęta przez rosnące tłumy, a dotychczas największa demonstracja przepełniła Trafalgar Square. Nigdzie nie było widać żołnierzy Hanowerczyków, ale wszyscy wiedzieli, gdzie byli. Niewidzialne linie nie były przekroczone.

Niebo było czerwonym krzykiem nad czarnymi ulicami. Jastrzębie wiadomości kręciły się nad głowami, ich mikrofony, soczewki i detektory feromonów wystawione jak wibrysy, czujne na plotkę, spojrzenie, zapach strachu. Jordan i Cat siedzieli na stopniach National Gallery, pijąc kawę ze styropianowych kubków i mlaskając nad kebabami. (Trzydzieści pięć marek: drobna burżuazja rzuciła się w rewolucję na swój niepowtarzalny sposób).

– Wiem, co masz na myśli – powiedziała Cat. – To jest *zamierzone*. Całe City of Westminster jest przeznaczone, żebyś czuł się w taki sposób. Nic prócz sklepów, biur, budynków rządowych i pomników. Wszystko należy do kapitału lub państwa. Nie, to więcej niż to. To jest ozdobne, obrzydliwe. Wieki wartości dodatkowej zmagazynowanej jak tłuszcz. Tym razem mam nadzieję, że *zrównamy* to miejsce.

– Cóż, to część tego – powiedział Jordan, patrząc się na grupy kłócących się ludzi, którzy wypełniali plac. – Nie wszystko. Wydaje się nam, że mamy całą władzę, rząd ucieka, ale nie wygraliśmy.

– Cholerna racja, że nie – powiedziała Cat. – To dlatego tu jesteśmy. Będziemy przychodzić tutaj, aż Hanowerczycy nie wyjdą ze swoich bunkrów i baraków z rękami w górze lub wyjdą, strzelając.

– Przynajmniej niektórzy z nas będą odpowiadać ogniem.

Cat spojrzała się na niego.

– Nie na długo. – Oparła się o kamień, zamknęła oczy i zaczęła śpiewać, jak gdyby do samej siebie:

Powstańcie, wrogowie interwencji,
powstańcie, wy, którzy wolni chcecie być!
Nie wierzcie Państwu i jego intencjom
sami musimy wywalczyć swoją wolność![2]

Nie znał tej pieśni, ale rozpoznał ją z dreszczem po kręgosłupie: słyszał ją jako hałas w tle na historycznych taśmach innych demonstracji, na innych placach, innych miastach: Seul, Sao Paulo, Moskwa, Johanessburg i Berlin. Po tym pociski z gazem kaszlnęłyby, karabiny przemówiły, kule śpiewały.

Więc teraz stoimy przed ostatnią rozgrywką
o niebo i ulice Ziemi.

---

[2] pieśń nieznana, możliwe, że wzorowana na Międzynarodówce, (Wyklęty, powstań ludu ziemi! Powstańcie, których dręczy głód!) – przyp.tłum.

Co, jeśli zaczęli śmiertelne odliczanie?
Są lepsze światy do narodzin!
Więc towarzysze chodźcie tutaj
a ostatnia walka da nam…

Coś się stało. Sapnięcie, szept, plotka rozchodziła się przez tłum w widocznych falach. Cat przestała śpiewać i usiadła, jedna dłoń przy uchu. Odwróciła się i przycisnęła jego ucho, też, do małego głośnika. Usłyszał wiadomości punktu zwrotnego stulecia, kiedy opierał się o jej policzek z jej włosami na jego twarzy.

Ameryka strajkowała od wybrzeża do wybrzeża.

Cat wyglądała tak triumfująco, tak jakby samodzielnie zrobiła całą rzecz.

– Zawsze wiedzieliśmy, że to się zdarzy! – powiedziała. – „Zachód znów powstanie", pamiętasz? Amerykańscy robotnicy w końcu powiedzieli imperialistom, żeby się wypchali. Ta, człowieku! Hurra kurwa! – Skoczyła na nogi i złożyła ręce przy ustach, krzyknęła: – USA! ONZ! Pamiętajcie, Zachód znów powstanie! *Vive la quatrième internationale*!

Kilka metrów od nich starzec z kontyngentu Miasta Oblubienicy zaczął gadać, pochylając się do tyłu i patrząc w górę na jastrzębie wiadomości, jego pięści wzniesione nad głową.

– Siedź milcząc, a wnijdź do ciemności, córko Chaldejska! bo cię więcej nie będą nazywać panią królestw. Stańże z czarowniki twymi, i z mnóstwem czarów twoich, w którycheś się pracowała od młodości twojej, jeźlić snadź co pomoże, albo jeźli możesz być silniejszą[3].

Poszedł w tłum, ciągle wykrzykując przekleństwa.

– O co chodziło? – spytała Cat. Jordan uśmiechnął się na widok radości i zaintrygowania na jej twarzy.

---

[3] tłumaczenie wg Biblii wg Wujka, Izajasz 47,12 i 47,6 – przyp.tłum

– Babilon upadł – powiedział.

* * *

– Czy to znaczy, że zwyciężyliśmy? – spytała Janis, kiedy niebezpieczne jeżdżenie i strzelanie w powietrze się skończyło. Czterech mężczyzn, którzy dzielili z nią przednie miejsce ciężarówki, wykrzyknęło na raz „Tak!” lub „Nie!” i się roześmiało. Gdy tylko wiadomości dotarły, powiedziano jej, żeby opuściła schron. Mały konwoj podjął ją (Karabin na ziemi, jedna ręka na głowie, druga z wystawionym kciukiem) na skrzyżowaniu Strathcarron. Jechali na południe z prędkością, która zmuszała ją od patrzenia w dal lub na twarze towarzyszy, wszędzie prócz drogi.

– Oto Twoja odpowiedź – powiedział mężczyzna pomiędzy nią a drzwiami. Donald Patel miał akcent jak MacLennan i wydawał się nie na miejscu z jego delikatnymi ciemnymi cechami. – To znaczy, że Amerykanie nie przyjdą, to na pewno. Nie zobaczą wielu *oślepiających czerwieni rakiet* tam przez jakiś czas. – Więcej śmiechów.

Po mniej więcej pół godzinie dotarły wiadomości, że Rząd Jego Wysokości zdecydował się kontynuować walkę przeciwko terroryzmowi na wygnaniu. Nowy głos przerwał, obwieszczając, że Zjednoczona Republika została przywrócona i zawiązał się tymczasowy rząd. Siły hanowerskie na ziemi, starając się wynegocjować zakończenie konfliktu zamiast poddania, były uprzejmie poinformowane, że nie jest to opcją.

Janis zrozumiała, gdy ciężarówka podskakiwała i kołysała się w drodze do Glasgow, i cały czas ruch drogowy stawał się coraz większy, że triumf mężczyzn ze zwycięstwa Republiki nie był tym żołnierzy będących zdemobilizowanych. Większość ludzi na drodze właśnie została *zmobilizowana*. Jechali na wojnę. A ona nie mogłaby machać im na pożegnanie i płakać na Heathrow.

Na Dworcu Buchanan Street konwój się zatrzymał. Wysypali się i zostali skierowani do dużego namiotu, gdzie została opieczętowana, zarejestrowana i ponownie zaprzysiężona, rozebrana, umyta i oznakowana. Była żołnierzem.

Wróg został opisany przez oficera politycznego jej jednostki:

– Nie musimy się martwić pozostałościami hanowerczyków. To cała ta hołota Wolnych Państw, która rozkwitła pod ich ochroną. Ekoterroryści, minipaństwa wyznaniowe, podwórkowi separatyści i socjaliści z piaskownicy, którzy za pierwszym razem zdradzili Republikę. Fałszywa lewica, która wolała mieć własne małe królestwa, zamiast walczyć o swoje miejsce w demokracji. Wszyscy zgodzili się na Traktat o Restytucji i tylko hałasowali, kiedy nasi ludzie próbowali przetrwać jak tropione bestie. Teraz wychodzą ze swoich dziur, żeby spróbować wyrwać dla siebie większy kawałek. Myślą, że Republika jest słabsza niż Korona. Naszym zadaniem jest zmuszenie ich do myślenia. Mogą żyć w dowolny sposób, prowadzić swoje społeczności jak chcą, ale nie mogą zatrzymać innych ludzi z bronią lub używać broni do rozszerzania swoich terytoriów. Mogą nawet zatrzymać swoją broń, ale to nasze karabiny będą na ulicy.

Wszystkie gatunki dziwaków i oszołomów, pomyślała. To była jej wojna.

Rozdział 19

Hipokryta

Na górskich wrzosowiskach i miejskich ulicach, w wypatroszonych rafineriach i opuszczonych punktach obsługi pasażerów, Janis walczyła przez gorącą jesień i przenikliwą zimę. Dni burzy występowały na zmianę ze spokojnymi chłodnymi ciszami, kiedy dym palących się wiosek unosił się prosto w jasne niebieskie niebo. Czołgała się przez błoto i wodę, paprocie orlicy i druty kolczaste.

Dowiadywała się, co działo się na świecie ze strzępów telewizji i radia. Z wyłączonym Hipokrytą, wszystkie programy, które na nim działały, z najważniejszym Drzwiami ™, były bezużyteczne. Wpływ na łączność był spazmatyczny i nie do końca niepożądany: zostały okaleczone głównie maszyny wojskowe i administracyjne. Turcy i Rosjanie walczyli bez rozstrzygnięcia na froncie bułgarskim. Szinosovy (nazwa się przyjęła, została zanglicyzowana) sięgnęły do Ułan Bator. Gang górników asteroidów ogłosił się Republiką Nowego Południowego Yorkshire. Rząd USA odpowiedział na strajki i zamieszki przez wyjście z ONZ i zwołanie Konwentu Konstytucyjnego. Kilka stanów odłączyło się wcześniej, namawiając komentatorów do zauważenia, że USA szybko stawało się światową drugą Dawniej Unią: DU2, Stacje orbitalne ONZ, zagłodzone dzięki bojkotowi twardych jak skała robotników kosmosu, zagroziły wybranym celom atakiem laserowym. Jeden z kombajnów księżyco-

wych magnapult dał im szybką lekcję mechaniki orbitalnej i groźba minęła.

A to był ostatni z Narodów Zjednoczonych. Bez podbudowy USA, nie mogło być więcej USA/ONZ. Obrona Kosmiczna stała się Obroną Ziemi, jej bronie zwrócone na zewnątrz, żeby stawić czoła zagrożeniom natury, a nie człowieka. Jankesi stali się znowu Amerykanami i entuzjastycznie zabrali się do śledztw, czystek, demaskacji i zeznawania.

Jednego dnia Janis zobaczyła twarz Jordana, na migoczącym telewizorze w pustym sklepie: kawałek chwytliwego wywiadu, w ciągu kilku sekund. Poczuła ukłucie winy i tego wieczora usiadła i napisała do niego list. Musiał już wiedzieć, że Moh zmarł. ANR był w takich sprawach skrupulatny. Wiedziała, nawet bez polecenia, że nie powinna mówić nikomu, jak Moh zmarł. Nie zostawiało to zbyt dużo do powiedzenia, ale poczuła się lepiej.

Poznała przyjaciół i straciła niektórych.

Republika tworzyła wrogów szybciej, niż ich niszczyła.

* * *

Bogini, pomyślała, *to miejsce śmierdzi.*

Była to wioska kilkudziesięciu osób, w zielonej doline w Lake District. Generatory działały na metanie – paliwo z pierdów, jak nazywali je jej towarzysze – oraz na zrabowanych panelach słonecznych. Domy były z papy, blachy falistej i skór zwierzęcych. Ludzie żyli z rolnictwa, polowania i rabunku, i się nie mylili.

Janis stała w błocie w centrum wioski, Karabin na jej biodrze, obracając się i skanując. Kilka ciał było rozciągniętych pomiędzy domami. Trzynastu żywych mężczyzn siedziało w błocie, ich ręce ponad głową. Ich karabiny, kusze i noże były złożone dobrze poza ich zasięgiem. Około trzydziestu żołnierzy ANR trzymało wartę

lub przeszukiwało domy, wyrzucając rzeczy na zewnątrz: ubrania, broń, jedzenie, meble. Wyglądali jak ludzie przeszukujący mdły stos śmieci. Kobiety i dzieci stały pod okapem niezabudowanego schronu, który nazywali długim domem. Deszcz kapał z niego na ich matowe włosy, zostawiał strumyki białego na ich kamiennych twarzach. Jeżeli zrobili krok do schronu lub dalej od spływającej wody, warknięcie lub kopniak odsyłał ich z powrotem.

Powietrze było wypełnione piszczeniem psów z kagańcami z drutu, na smyczy z lin trzymanych przez kilku żołnierzy ANR, a co jakiś czas krzykiem kolejnego psa, gdy był nabijany na zaostrzony kołek wbity pod kątem w niski wał ziemny. Sześć na razie. Jeszcze pięć.

Deszcz kapał z czarnego worka na ciało z tyłu humvee przy wjeździe do wioski, koło drzewa, gdzie znaleźli ciało: schwytany żołnierz wiszący za kostki, tak jak go zostawiły psy.

Jeszcze trzy.

Chłopczyk krzyknął, gdy tamten pies był przebijany. Wyrwał się z chwytu kobiecej dłoni na ramieniu i skoczył do przodu. Szereg był sekundę od rzucenia się za nim. Janis przesunęła Karabin wkoło. Zatrzymał jej dłoń, jak gdyby trafił na solidną przeszkodę i wystrzelił jeden pocisk. Chłopak krzyknął i upadł w błoto. Janis poczuła, że jej serce zamiera. Chłopak zebrał się i pobiegł do kobiety.

Ostatni pies wił się na kołku. Pierszy jeszcze nie zmarł.

– Wszyscy zapomnieli języka? – Dowódca jednostki, mały, łagodnie wychowany mężczyzna w średnim wieku nazwiskiem Wills rozejrzał się dookoła jak nauczyciel w szkole.

Cisza.

– Kogo to był pomysł?

Cisza i padający deszcz.

Wills odwrócił się do Janis.

– Weź kilku chłopaków, żeby przygotowali kolejny pal – powie-

dział, dostatecznie głośno, żeby zostać usłyszanym. Rozejrzał się po linii ubłoconych kobiet i dzieci, gdy mówił.

Nie, powiedział głos w słuchawkach Janis, *nie możecie tego zrobić. Nie możecie nawet tak grozić.*

To był głos Moh. Usłyszała własny głos mówiący do Willsa, nie dość głośno, żeby ktokolwiek usłyszał:

– Nie. Nie możesz tego zrobić! Nie możesz nawet tak grozić.

Oczy Willsa zwęziły się za jego spryskanymi deszczem goglami.

– Grozicie mi, obywatelu?

– Nie, ja... – Uświadomiła sobie, że broń obróciła się z jej ciałem i była wycelowana prosto w Willsa. Dotąd nierobienie takich rzeczy stało się dla niej odruchem. Opuściła lufę.

– Przepraszam, Wills – powiedziała. – Wiesz, że nie możemy zrobić, co sugerowałeś. Nawet *wypowiedzenie*, stawia nas blisko... – Przesunęła otwartą sztywną dłonią: krawędź.

– Musimy coś zrobić – powiedział Wills. – Jeżeli nie...

– Zróbmy to, co powinniśmy zrobić – wyrwała się Janis. – Wezwijmy śmigłowiec, wywieźmy barbarzyńców i zniszczmy to miejsce.

– Nie wystarczy, towarzyszu, nie dla towarzyszy. – Wills bardzo lekko przechylił głowę. Janis wiedziała, że ma rację. Chłopaki i dziewczęta chcieli zemsty. Jeżeli jej nie dostaną, sprowokowany incydent i swędzący palec może dać im rzeź do pamiętania.

– Ok – powiedziała. – Najpierw niszczymy miejsce, niech barbarzyńcy patrzą, potem ich wywozimy.

Wills patrzył na nią przez chwilę, potem skinął głową i uśmiechnął się, jak gdyby odbyli przyjazną dyskusję, i dał rozkaz. Żołnierze-obywatele wydali okrzyki radości, barbarzyńcy płakali, gdy ich domy dookoła nich stanęły w płomieniach. Więcej pary niż dymu wzniosło się, żeby przywitać śmigłowiec ewakuacyjny. Kolejny pakiet krzyczą-

cych sierot i ponurych *nowych obywateli* wysłano na sześć miesięcy do obozów przesiedleńczych, a potem do życia w slumsach. Przytrafiało się to każdej wiosce, która nie dołączyła do bojówek Republiki.

Nazywali to „wstrząs i ewak”.

* * *

Tej nocy rozbili obóz w wiosce prawdziwych domów, zbudowanych z kamienia, której ulica była pominięta przez główną drogę. Był to rodzaj miejsca, które zawsze było częścią Korony i poddało się, aczkolwiek niechętnie, Republice w ochronie przed barbarzyńcami. Jednostka nie miała powodu wyobcowywania mieszkańców przez kwaterowanie w ich domach i rozłożyła się w starym budynku, który kiedyś był lokalną szkołą podstawową. Miał dobre mury dookoła, kuchnię, stołówkę, która mogła być użyta, nawet, ku ich zachwytowi, prysznice, które działały.

Wills przyniósł tacę z obiadem do stołu, gdzie Janis siedziała z trzema innymi żołnierzami. Większość światła w stołówce pochodziła z blasku z kuchni na samym końcu. Wszyscy mieli włączone gogle. Fałszywe kolory jedzenia były nieapetyczne, ale zapach je prześcigał. Jedli szybko, z przyzwyczajenia.

Po chwili Wills powiedział:

– Miałaś rację, wiesz Taine.

Spojrzała, wycierając talerz chlebem.

– Wiem.

W tej armii dyskusja polityczny była wolna. Janis nie czuła potrzeby brania w niej udziału aż dotąd. Ciągle była niechętna, niesłonna odwrócenia uwagi od wspomnienia tego szokująco znajomego głosu. Jednak nie można było tego uniknąć, to była część tego, co znaczyła pamięć.

– Dlaczego musimy to robić? – spytała. – Nie myśl, że jestem miękki. Mam dobre powody, żeby pogardzać tymi ludźmi. Jednak dlaczego nie możemy zostawić barbarzyńców w spokoju, jeżeli nas zostawią w spokoju? Dlaczego musimy zmuszać ich do wybrania strony, kiedy większość z nich wybierze drugą stronę?

– To wojna domowa – powiedział Wills. – Nie ma neutralności. Oni myślą w ten sam sposób. Jaką krzywdę wyrządził im ten biedny facet?

Janis odepchnęła talerz. Ciągle było na nim trochę mięsa. Zapaliła papierosa. Prawie wszyscy towarzysze palili. Zakceptowała jednego papierosa, raz, w napiętej chwili, a potem kolejny. . . Moh miał rację co do średniej długości życia.

– Może – powiedziała – może próbował zmusić ich do wybrania strony, a oni uznali to za krzywdę.

Inni przy stole się poruszyli. Mogła usłyszeć cichy brzęk i szczęk sprzętu. Ktoś prychnął.

– Jesteś jakoś nowym obywatelem, co, Taine? – powiedział Wills niskim głosem.

Karabin był solidny i ciężki pomiędzy jej stopami. Cisza rozeszła się po całym pokoju.

Spojrzała na Willsa i zobaczyła kogoś stojącego za nim. Kolejny z kadry, pomyślała, przyszedł szybko, żeby uspokoić sytuację. Odwróciła wzrok od Willa, żeby zobaczyć, kto to był.

Kpiące oczy Moh patrzyły na nią, jego chytrze uśmiechające się usta poruszyły się w jednym słowie „Pamiętaj” i potem nie było już tam nikogo. Poczuła ciarki na drobnych włosach twarzy i karku, śladowa odpowiedź na lodowcowy chłód.

Pamiętaj.

– *Civis Britannicus sum* – powiedziała. Rozłożyła ręce, trzymając je na widoku, rozluźniła, prócz palców trzymających papierosa:

zobaczyła małe pierścienie dymne unoszące się przez ich drżenie. – Masz rację, Wills, nie wiem, jak to było przez te wszystkie lata. Nie czułam Zdrady jak niektórzy z was. – Odchyliła się i zaciągnęła się papierosem. – Pamiętam człowieka, który czuł. – Uśmiechnęła się, gdy to mówiła, drżąc wewnątrz.

Wills skinął głową.

– Dobra, Taine. Nie na miejscu. – Wiedziała, że to dla niego liczyło się jako głębokie przeprosiny. Spojrzał się na nią, jak gdyby wiedział, o czym mówiła. – Wszyscy tam byliśmy, co? – Rozejrzał się dookoła stołu. – *Gens una sumus.*

Później ktoś znalazł zakurzoną gitarę w szafie i przyniósł ją, trzymając wysoko, do stołówki i śpiewali piosenki z wojny i rewolucji, pieśni ich własnej Republiki i innych, „Bandiera Rossa", „Alba", „The Men Behind the Wire" i "Patriot Game".

Janis śpiewała, trzymając Karabin na kolanach, jak gitarzysta trzyma gitarę. Patrzyła na wszystkie twarze w przyćmionym świetle, jak gdyby patrząc na inne twarze i pomyślała, że zobaczyła to.

Tej nocy leżała czujna, póki zmęczenie nie przezwyciężyło jej gniewu i smutku.

* * *

Kilka razy przez następne dni znowu go widziała i słyszała: krzyk ostrzeżenia, mamrotanie rady, wzór światła i cienia pod drzewami.

Czasem jasno, solidnie, na otwartej przestrzeni.

Nie wierzyła, że to się dzieje. Nie jej. Mówiła sobie, raz po raz, że to jest napięcie walki. To nie jej zdrowie psychiczne było napięte ani jej filozofia wadliwa. Tylko jej postrzeganie były w błędzie, jej oczy zbyt przyzwyczajone do wyszukiwania ukrytych kształtów.

Nadszedł dzień, kiedy zobaczyła go kątem oka, idącego koło niej.

– Idź sobie – powiedziała.

Poszedł. Na następnym postoju, usiadła kilka metrów od innych i zdjęła gogle, żeby przetrzeć oczy. Kiedy znowu je założyła, stał przed nią, patrząc na nią z troską.

– Janis, porozmawiajmy.

– Och, Moh! – To nie było fair wracać w taki sposób.

– Nie jestem Moh – powiedział smutno.

– Więc kim do cholery jesteś?

Uśmiechnął się i usiadł koło niej, leżąc na boku, patrząc na nią. Sięgnęła i jej ręka przeszła przez niego. Zapłakana uderzyła w trawę i zdjęła gogle. Nie było go tam, ale kiedy je znowu założyła, wrócił.

– Aha – powiedziała.

– Nie pozwól nikomu zobaczyć, że gadasz do siebie – powiedział. – Będę Cię słyszał tak samo dobrze, jeżeli będziesz subwokalizowała.

Odwróciła się i położyła się twarzą do trawy, mamrocząc, czasem patrząc w bok, żeby uspokoić się, że ciągle był z nią. Jej serce uderzało z dziką nadzieją.

– Jesteś w broni, prawda? Czy Ty... czy Ty załadowałeś się do niej?

– Jestem w Karabinie – powiedział. – Ale nie jestem Moh. Jestem AI w Karabinie. Ja... odkryłem się... w Karabinie, kiedy Moh zmarł. Mam wspomnienia Moh, mam procedury, które go doskonale imitują... jego głos, jego wygląd. – Zachichotał niegodziwie. – A w inny sposób, z właściwym sprzętem. Karabin ma potężny zasób przechowywanych informacji o Moh i mogę użyć tego do projektowania... persony. Jednak nie oszukuj się, Janis, nie jestem nawet jego duchem.

– Jesteś jego sobowtórem.

– Można tak powiedzieć.

Przeżuła źdźbło trawy i myślała o tym, jak Moh rozmawiał z Karabinem, jak mówił o Karabinie. Karabin czasami działał niezależnie, nieprzewidywalnie. Umysł własny, budzący się w przymocowanym hardwarze i pirackim softwarze, w rozmowie z człowiekiem, w interakcji z...

– Zegarmistrz! – powiedziała. – To stąd masz świadomość. – A w tym przypadku, pośrednio, od Moh.

Obraz Moh zmarszczył brwi.

– Nie wydaje mi się.

– Może to przyszło od samego Moh. – A w *tym* przypadku...

– Och, Janis, nie wiem, dlaczego to robisz, ale proszę, przestań. Moh nie żyje.

– A Ty żyjesz.

– Tak by się wydawało.

– Syn broni. – Spojrzała na niego i uśmiechnęła się. – I wiesz o nim więcej niż ja. Więc może więcej z niego przetrwało, niż kiedykolwiek sądził. „Śmierci się nie doznaje".

Sobowtór był cichy przez chwilę.

– Powinnam wiedzieć.

Jej towarzysze zaczynali się zbierać do drogi.

– Co teraz zrobimy? – wyszeptała Janis.

– W następnym miejscu znajdziesz porty komunikacyjne – powiedział sobowtór – podłącz mnie.

Patrzyła się, widząc po raz pierwszy cienistą, nierzeczywistą jakość obrazu sobowtór, pomimo jego całej pozornej solidności.

– Co z wirusami Donovana? Nie jesteś na nie podatny?

– Już nie – powiedział sobowtór. – Firmware Kałasznikowa ochro-

nił mnie przed nimi za pierwszym razem, a ja się nie leniłem. Mamy sprawy do uregulowania z Donovanem.

– Och tak – powiedziała Janis. Czuła morderczą, barbarzyńską, krwiożerczą radość. – Tak. Mamy.

* * *

Dwa dni później pojawiła się szansa, w budynku biurowym bez żadnego całego okna, ale z funkcjonującym zasilaniem, nietkniętą łącznością. Jej jednostka zajęła i strzegła go, i jak tylko jej warta była skończona, o zachodzie słońca, kiedy powinna odpoczywać, wspięła się kilka pięter wyżej. Szkło chrupało pod stopami w korytarzach, rozmokła wykładzina chlupotała w otwartych pokojach biur. Biurka, terminale, modemy, porty. Pocztówki, zawiadomienia, rodzinne hologramy i głupie motta na biurkach. Wstrętne zielone pleśnie wyrastające z kubków po kawie. Gdzieś mruczała lodówka, ale już dawno minął czas, gdy przegrała swoją wojnę z rozkładem. Zapaliła papierosa, żeby stłumić zapach i rozłożyła parkę na rozmoczonym fotelu obrotowym. Położyła Karabin przed sobą na biurku, rozwinęła kabel i podłączyła. Drganie interferencji interfejsu, potem wszystko stało się jasne.

Twarz Moh pojawiła się na jej goglach, wyrysowany liniami szarego światła na ciemniejszym tle.

– Gotowa?

– Tak.

– To będzie przerażające. Nie musisz towarzyszyć.

– Chcę to zobaczyć.

– Ok. Pamiętaj, nic nie może Ci się zdarzyć. Twój umysł jest bezpieczny.

Obnażyła zęby w mroku, zastanawiając się, czy umysł w maszynie mógł ją zobaczyć. Prawdopodobnie tak: mała soczewka kamery była zamontowana w nabiurkowym ekranie.

– Trzymam Cię za słowo, Karabinie.

– Ok. Ruszamy.

Wyglądało, jakby się odwrócił, a ona podążyła za nim. Całkowita dezorientacja: upadek, pośpiech w korytarzach, na otwartą przestrzeń, wirtualny krajobraz skalistych wzgórz i miejskich bloków z wszystkimi martwymi oknami. Poruszali się jak myśliwiec stealth, goniąc cienie.

Straszliwe wąskie, duszące, rozciągnięte przestrzenie. Słowa *superłącze* pojawiły się niezrozumiane na powierzchni jej umysłu. Mikrosekundy ciągnęły się i ciągnęły.

I nagle byli na zewnątrz, i wewnątrz czegoś innego, potężnej przestrzeni, jak wewnątrz umysłu. Zmagając, żeby przedrzeć się przez bariery, walcząc o sterowanie.

Przejmując kontrolę. Zrozumiała to jak wrażenie w mięśniach, jak gdyby kontrolowała wiele kończyn, a w głowie, jak gdyby widziała wieloma oczami.

Oczami, które skanowały morze, a inne zmysły, które sięgnęły w przestrzeń lekkimi palcami, i oczy, które patrzyły wewnątrz korytarzy, grodzi, koi, ładowni i kuchni.

I – teraz się koncentrując, skupiając, ogniskując – patrzyła na salę sterowania wypełnioną ekranami, maszynami, serwerami i szynami nad głowami z dźwigami i ramionami robotów. W środku było dwóch mężczyzn, całkowicie pomniejszonych przez maszynerię dookoła nich. Jeden z mężczyzn – jej punkt widzenia zbliżył się obrzydliwie blisko do jego nieświadomej, okropnej twarzy – był białym Człowiekiem w Czerni, którzy przyszedł do jej laboratorium, który walczył z nimi w punkcie obsługi pasażerów. Zatem

tutaj skończył! Po tym, jak cała jego organizacja była rozbita, rozpuszczona, zhańbiona, wysłana do piekła i z powrotem, ukrywał się, przyczajony tutaj z…

Drugim mężczyzną w pokoju był Donovan.

Niemal, odkryła, trudno go nienawidzić.

Spojrzał w górę, zaskoczony, gdy dźwig zaklekotał, ruszając. Zanim krzyknął ostrzeżenie, to się wydarzyło.

Nie było jasne dla Janis, czy to było coś, co zrobiła, coś, co chciała, lub coś, co zdarzyło się, gdy patrzyła, przerażona i tryumfująca, zza innych oczu.

Ramię dźwigu machnęło. Manipulator chwycił Człowieka w Czerni za czaszkę i uniósł go z chrzęstem czaszki i trzaskiem kręgów, rzucił go w ścianę ekranów, które popękały i obsypały go, gdy uderzył w pokład.

Patrzyła w twarz człowieka z długimi białymi włosami i długą białą brodą. Prawie delikatna, prawie święta, prawie patriarchalna twarz, sędziwa, poorana zmarszczkami, twarda i prawie nie do znienawidzenia. Patrzył dookoła dziko i z każdego ekranu, który widział – i Janis widziała – nieprzejednana twarz Moh Kohn rzucała mu triumfujące spojrzenie.

– Nie żyjesz! – Usłyszała słowa, które wymówił ustami Donovan, wzmocnione i odbijającego się echem ku niemu.

– Tak, Moh Kohn jest martwy, Donovan. – A ona nie wiedziała, czy ona, czy sobowtór to powiedziały.

Donovan nabazgrał na tablicy. Ekrany zamigotały i ostry ból uderzył w głowę Janis, czerwony, gorący miecz migreny. Potknęła się w czerwonej mgle.

Było miejsce, gdzie mgła się przerzedzała, szare łaty jak w środku mózgu. Skupiła się na tym i myślała o kształtach molekuł, chemii pamięci, równaniach pożądania, pracy Luria, regularności liczb…

I wtedy przebiła się, i znowu wszysto było jasne, chłodne szare linie na ekranach ukształtowane w słowa, które wypowiadali.

– Masz wirusy, ale ja mam odporność i jestem żywy, a Ty…

Wszystkie ramiona poruszyły się, łańcuchy zakołysały się, manipulatory sięgnęły i złapały.

– …jesteś martwy.

* * *

Wędrowali po platformie przez sekundy, gdy sobowtór rozbierał programy, wciągał sekrety. Janis była pewna, że to była jej decyzja, żeby uruchomić systemy alarmowe, żeby opóźnić o godzinę programy, które zostawili w arsenale.

Uciekli przez superłącze, wąską przestrzeń, i nagle byli na zewnątrz, znowu lecąc. Skaliste wzgórza zmieniły się na zielone, bloki miasta zaczęły świecić jedno po drugim, szybciej i szybciej, aż światło mogło być ujrzane dookoła całej Ziemi. Nie uważała tego za dziwne, że mogła widzieć przez Ziemię.

A teraz siedziała znowu przy biurku, tak jak oczywiście cały czas siedziała. Sobowtór stał przed nią, już nie zarys, ale obraz pełnokolorowy, nawet bardziej szokująco realny niż ten, który zwykle widziała w goglach.

To się uśmiechnęło.

Uśmiechnął się, a ona odpowiedziała uśmiechem.

Zdjęła gogle, a obraz ciągle tam był, na ekranie biurka przed nią. Zamknęła oczy i potrząsnęła głową, szukając drwiącego uśmiechu. Twarz zniknęła i została zastąpiona obrazem, którego nie widziała miesiącami, znajome logo Drzwi™, ale delikatnie zmienione: małą czcionką pod nim były słowa:

Hipokryta 2.0

Nowe Wydanie

* * *

To była chwila, kiedy wszystko się zmieniło.

W tych dniach Jordan miał pokój łącznści mniej więcej dla siebie. Egzoszkielet teleobecności, z którego pracowała Mary dookoła świata, wisiał pusty i nieużywany. VR-rękawice zbierały kurz, a zestaw VR Glavkom nadawał się tylko do pisania tekstu. Tak jak w tej chwili, gdy Jordan pracowicie siekał artykuł dla gazety w Mieście Oblubienicy. Nawet przy nowej wolności druku, trudno było przekonać tych ludzi, że tolerancja nie była słabością, pluralizm nie był chaosem. Próbował przedstawić te punkty w języku, który rozumieli. „Skrucha Niniwy", zamierzał tak nazwać, nawiązując do często niezauważanej implikacji Księgi Jonasza.

To była chytra praca, wymagająca delikatnej równowagi pomiędzy jasnym przedstawieniem, że nie pisze jako wierzący i pokazaniem, że nie drwi z niczyich wierzeń, że myślał, że w historii jest ważna wiadomość... Zaczynał myśleć, że takie podejście było błędne i zrobiłby lepiej, gdyby rzucił im Miltona i Woltera i do cholery z konsekwencjami.

– Jesteś teraz w rewolucji – powiedziała mu Cat i miała rację. To było bardziej skomplikowane i kwestionowane, niż kiedykolwiek sądził. Jesteśmy jednym ludem. Jednym ludem i siedemdziesięcioma milionami opinii. I były jeszcze całe tysiące ludzi złapanych w te same zakola tego samego strumienia, który zmiótł imperia Ziemi. Tysiące ludzi i miliardy opinii. Każdy indywidualny fragment opozycji, od czasu zwycięstwa Republiki, podzielił się co najmniej raz nad tym, co dalej lub co ze zwycięstwem.

Ruch Kosmiczny też był podzielony. To nie był prosty rozłam ideologiczny. Ten sam język był używany przez wszystkie strony. A to był naprawdę trudny problem: czy większe zagrożenie dla wolności pochodziło z wysiłków Wolnych Państw i barbarzyńców

utrzymujących własne dziedziny, czy z wysiłków Republiki wdrożenia minimalnych ram prawa i wolności dla wszystkich? Wilde argumentował za wsparciem Republiki, ale próbował złagodzić jej żądania. Była to pozycja, która dla Jordana była niekomfortowa, ale najbliższa jego własnemu poglądowi, choć trzymał się twardszej linii na temat tego, co powinno być zrobione ludziom jak Starsi, Diakoni i kapitanowie Wojowników w Mieście Oblubienicy. „Postawicie ich pod ich upadłymi murami", napisał kiedyś.

Okrył się skromną sławę z pisania i dyskutowania, a jego poczucie rynków nie opuściło go w chaotycznych okolicznościach wojny domowej. Zarabiał na swoje utrzymanie. A Cat, jej talenty, jak te tak wielku innych, rozciągnięte przez rewolucję, pogrążyła się w organizowaniu pracy obrony, pośredniczeniu pomiędzy milicjami, najemnikami i nową władzą. Od czasu do czasu, wyruszała na akcję. Żeby trzymać rękę na pulsie, powiedziała mu, i podtrzymać uliczną wiarygodność. To były rzadkie okresy, kiedy czuł się, jakby się modlił, żeby tylko do bogini.

Tak czy inaczej, Cat teraz nie była aktywna. Była jej kolej na robienie obiadu. Miał nadzieję, że będzie wkrótce gotowa.

Teleszkieletor poruszył się, ramiona sięgnęły, palce wyprostowały. Jordan podskoczył. Uspokoił się i przyglądał się podejrzliwie maszynie. Ze słyszalnym skrzypnięciem się uspokoiła.

Skok mocy, prawdopodobnie. Jordan spojrzał z troską na ekran, żeby sprawdzić, czy jego pisany w boleściach artykuł nie zniknął. Obserwował z otwartymi ustami, jak strona się zmniejsza i dookoła krawędzi pojawiają się opcje, otworzyły się Drzwi™…

Skwapliwie przejrzał opcje, ostatecznie przekonany, że wszystko tam było. Uśmiechnął się, kiedy zobaczył zmianę w logo. Rzeczywiście nowe wydanie. Musieli mieć kogoś naprawdę dobrego, żeby nad tym pracował, jeżeli historia jak Hipokryta został stworzony

z pracy Josha Kohna, miała być prawdziwa. O ile wiedział Jordan, Hipokryta był powszechnie uważany za niemożliwy do utrzymania lub udokumentowania w jakimkolwiek zwykłym znaczeniu.

Przed przekazaniem dalej wszystkim dobrych wiadomości, pomyślał, że lepiej by sprawdził skrzynkę pocztową. Był w niej jeden email, adresowany do Kolektywu z Armii Nowej Republiki. Był tam od dnia powstania, dnia, kiedy upadł Hipokryta.

Otworzył i przeczytał.

DW C Duvalier w sprawie J Brown

2 dni per 200 B-marek/dzień

Razem 400 B-marek KREDYT

ZAPŁACONE

Data jak adres

Przez jakiś czas nie ruszał się, czuł, że nie oddycha. Pamiętał jej pośrednie uwagi, przechylenie głowy, gdy potrząsała ją wolno, jej wyszeptane napomnienie, żeby nie robił tego znowu, nie próbował zhakować Czarnego Planu. Pamiętał ciężar broni w jej kieszeni kurtki.

Wiedział, że przybyła jako, w pewnym sensie, posłaniec ANR. Była tak dobra, jak to mówiło. Jednak myślał o jej działaniach jako wynikających głównie z przekonania. Myśląc o tym, one *wynikały* z przekonania. Jednak przyszła tutaj, żeby wykonać pracę, pracę, za którą była opłacona, a pracą był on. Żeby odwrócić go od niebezpiecznego wtrącania się w sprawy Czarnego Planu, wykorzystać go w dobrym celu, wskazać mu właściwy kierunek, wycelować i strzelić. Może nawet ich infiltracja Miasta Oblubienicy była częścią planu. . . *Planu*, poprawił się gorzko.

Boże, może to dlatego Czarny Strateg zbliżył się do niego na pierwszym miejscu, więc że był za Miastem i mógł się dostać do środka, jeżeli powstałaby potrzeba! Nie, to było zbyt paranoiczne.

Nic nie było wiadomo o Czarnym Planie od dnia, kiedy Hipokryta padł, jak mówiła plotka, pod ostatecznym spazmatycznym natarciem oszołomów, wystrzeliwujących swój ostatni strzał. Nic dziwnego, jeżeli Plan używał Hipokryty w sposób, którego się domyślał tego dnia przy galerii handlowej. Czasem zastanawiał się, co się stało z Czarnym Strategiem.

Usłyszał znajomy lekki krok w korytarzu.

Skasował wiadomość jednym płynnym pchnięciem palca.

Odwrócił krzesło, żeby zobaczyć Cat w drzwiach, jej twarz zarumieniona od gotowania, pięść na biodrze, jedna dłoń na gałce drzwi.

– Chodź jeść.

Nie ruszył się, patrząc na nią.

– Co jest? – Zobaczyła ekran. – Och! System wrócił. O!

– Ta – powiedział Jordan. – Nowe wydanie. Wszystko się teraz zmieni.

Pamiętał ostatni raz, kiedy Czarny Strateg przemówił do niego:

nie obrazaj się ze nie powiedziala ci wszystkiego co wie to nic osobistego to dlatego że w zasadzie ona jest dobrą komunistką lojalną córką rewolucji i matką nowej republiki choć roześmiałaby gdybyś powiedział jej to w twarz

Wstał.

– Cat. Jest coś, co muszę Ci powiedzieć.

– Tak?

– W zasadzie jesteś dobrą komunistką, lojalną córką rewolucji i matką nowej republiki.

Zaśmiała się.

– Tak. Wiem o tym. Więc?

– Więc wyjdź za mnie.

Zastanawiał się przez chwilę.

– Ok.

* * *

– Mówiłem Ci – powiedział sobowtór. Jego głos promieniał sztuczną dumą. – Nie leniłem się.

Janis mrugała w przerażonej kontemplacji, czego była świadkiem, co zrobiła.

– Ty to zrobiłeś?

– W… czasie, kiedy budowałem moją oporność – uśmiech, teraz kpiący z samego siebie, pojawił się i zniknął – odkryłem, że odtworzyłem Hipokrytę. Teraz się rozprzestrzenia, restartując programy, które zwykle na nim działały.

Przypomniała sobie rozmnażające się światła.

– Czy to uwzględnia Czarny Plan? – spytała skwapliwie. – AI, które odkrył Moh?

Głowa na ekranie powoli pokręciła, z rozmyślnie dokładnym renderowaniem gry cieni.

– Odeszły. Utracone poza odzyskanie. – Potem, dla pocieszenia i rozproszenia uwagi, dodało: – Ale znalazłem pewne ciekawe informacje w plikach Donovana. Chcesz je zobaczyć?

Wybór, który przedstawił sobowtór, zawierał kompletny schemat organizacji Donovana, wraz z nazwiskami członków i lokalizacją komórek. I częściowe, tajne zapisy jego pracy nad sprawą Kohn: jego współpraca z agentami Stasis, panią Lawson w Mieście Oblubienicy i doktorem Vanem. Tak jak Van opisał to jej i Moh, w dymnym podsumowaniu na balkonie drewnianego domu w Wester Ross… Janis uśmiechnęła się, widząc pierwsze zarysowania podejrzenia, że Van nie współpracował.

Nie było zapisów po katastrofie Hipokryty, ale ze śladów tuż przed nim, Janis wykalkulowała, co się stało, jak blisko końca był

świat dla Obrony Kosmicznej i jak systemy pani Lawson powstrzymywały Donovana aż do ostatniej chwili, kiedy zmieniła zdanie.

Więc w końcu to była jej robota, pomyślała Janis. Jej pięści się zacisnęły. Pamiętała opis Jordan: niebezpieczna, przebiegła kobieta. Niebezpieczniejsza i przebieglejsza niż kiedykolwiek by sobie to wyobrażał.

Pomyślała przez chwilę o zrobieniu Miastu Oblubienicy tego, co zrobili na platformie: inwazja systemów, opętanie maszyn, użycie ich do zabicia każdej osoby w liniach wrogach, który zabił Moh. A potem zrozumiała, że byłoby to *złe*.

Tak po prostu. Donovan i Człowiek w Czerni byli wyrzutkami, łajdakami, mętami, natomiast ta kobieta była, co to powiedział Moh o czasie, kiedy chciał zamordować leżącego jeźdźca? . . . „To tylko trep jak my, praktycznie".

Niech Republika radzi sobie z Lawson, tak jak poradziłaby sobie z każdym na liście członków SeŻeWu.

* * *

Kiedy Wills wszedł, Janis leżała na Karabinie, jej twarz na ramionach. Wszystkie ekrany w biurze były włączone. Janis płakała.

– Co to jest? – spytał.

Spojrzała do góry.

– Nowe wydanie – powiedziała.

Spojrzał na nią, marszcząc brwi.

– Och, tak, to. To dobra wiadomość. Mam na myśli. . .

– W porządku – powiedziała Janis.

– Tak?

– Tak.

Wills uśmiechnął się, jak gdyby z ulgą, że nie rozpadnie się na kawałki przy nim.

– Są jeszcze inne dobre wiadomości – powiedział. – Ten bękart Donovan nie żyje. Zdmuchnięty z wody!

– Jest więcej niż Donovan zdmuchnięty z wody – powiedziała Janis. – Dla odmiany ktoś *go* zhakował i wydaje się, że chce, żebyśmy wiedzieli. Spójrz na to!

Wills spojrzał na diagramy.

– Skąd to przyszło?

– Nie mam pojęcia – powiedziała Janis. – No weź. Mamy dostarczyć śmierć.

Dostarczyli ją. Do końca stycznia przyjmowali ostatnich w tym roku nowych obywateli w tegorocznym projekcie mieszkaniowym.

– Możesz umieścić chłopca w slumsach – powiedział Wills – ale nie możesz umieścić slumsów w chłopcu.

Wszyscy się śmieli, prócz Janis. Odpoczywali w ruinach rozszabrowanej stacji paliwowej, paląc. Nie było niebezpieczeństwa. Nie było benzyny.

– Zrobiliśmy to – zazgrzytała Janis. – Zrobiliśmy to kurwa sami. – Zobaczyła sobowtóra energicznie kiwającego głową, w plamie słońca. – Wepchnęliśmy barbarzyńców do miast. Teraz są we krwi. W kości. Jak radioaktywność. „barbarzyńcy", ha ha. Nie można ich wyrzucić. – Poczuła się odurzona, słaba i lekkomyślna. Rozejrzała się dookoła po twarzach, które blakły jak sobowtóry w świetle słońca.

Ciemność teraz, nawet słońce. Wszystko przechyliło się na bok.

Kiedy się obudziła, była w łóżku w obozie. Wills przyszedł i powiedział jej, że miała co najmniej pięć tygodni zaległości urlopu.

– Powinnaś mi powiedzieć, Taine.

– Nie wiedziałam – powiedział zaskoczona sobą. – Myślałam, że po prostu idziemy dalej.

– Tak, dokładnie – powiedział Wills. – Ale nie *cały czas*. – Uśmiechnął się. – Miłego urlopu, żołnierzu.

* * *

Ruszyła w kierunku Uxbridge, zdumiona jak sama normalność się zmieniła, jak dużo wszystko kosztowało. Transport zabrała postrzępione zwitki jej dolarów szterlingów ze znakiem gwiazdy: waluta Republiki, gwiezdne. Dobre dla astronomicznych cen, jak mówił żart. Przyjechała do mieszkania wcześnie rano, sięgnęła do kieszeni po klucz, zaśmiała się z siebie i zadzwoniła. Sonya otworzyła drzwi, mrugając i spojrzała na Janis, zanim wybuchnęła płaczem i śmiechem, dając jej dziwny, pochylony nad uścisk. Była w czwartym miesiącu ciąży. Jerome dołączył chwilę później i zrobił śniadanie.

Próbowała jeść wolno, jak cywil, na wpół słuchając podsumowania Sonyi wszystkiego, co się zdarzyło ich znajomym, na wpół odpowiadając na jej pytania, podczas gdy przeglądała kanały Kabla coraz bardziej głodna. Zatrzymała się przy nagle znajomym nazwisku…

– …doradził Pan, panie Wilde?

Wilde. Moh mówił o nim…tu i tam trafiała na artykuły, które napisał Jordan, kłócąc się lub zgadzając z nim…

Kadr na twarz jak starszego plemienia amerindiańskiego, patrzącego wprost w kamerę, nie na redaktora:

– Może nadejść dzień ostatniego bastionu. Jednak to nie to. Apeluję do wszystkich, którzy mogą to rozważać: nie róbcie tego. Nie niszczcie naszego miasta, żeby je uratować. Pamiętajcie, jak Zachód odciął stalinistów i islamistów. Kochający zabawę i wolność, dekadencki Zachód podważył i obalił swoich wrogów przez uczynienie ich jak on, nie przez bycie ponurym, twardym i poważnym jako

one. Ci, którzy najwięcej się śmieją, śmieją się ostatni. Więc kiedy żołnierze przyjdą, przywitajmy ich, a życie może nas zaskoczyć.

– Dziękuję, panie Wilde. Oczywiście będziemy aktualizować tę sytuację bardzo dokładnie, ale teraz będziemy mieć przerwę…

Reklama jedzenie śniadaniowego.

– Jakiś pomysł, o co chodziło?

Sonya zmarszczyła brwi.

– Polityka? – zasugerowała.

* * *

Pokój Janis był taki, jak go zostawiła, ciągle bałagan. Sprawdziła pocztę: większość była przekierowana z uniwersytetu. Ciągle przychodziły odbitki z Da Nang Phytochemicals. I czek z dotacją, w B-markach: fortuna. Domyśliła się, że jej się należało, projekt był sukcesem. Szybko by go zamieniła w złoto, pas Słowrandów.

Znalazła zaproszenie na ślub. Spojrzała na nie, zrozumiała datę. Spojrzała na czas, spojrzała na siebie w lustrze, potem poszła poszukać Sonyi.

Pewne rzeczy się nie zmieniały.

Rozdział 20

Królowa Możliwości

Pchnęła ciężki drzwi do Lorda Carringtona, błysnęła zaproszeniem przy drzwiach i weszła w mgłę dymu i tolerancyjnego poziomu muzyki. Na scenie byli Chórmistrzowie, ich obrazy słabe w filtrującym świetle lutowego popołudnia.

Uśmiechnęła się do siebie, wspominając, i patrząc na tłum, gdy z roztargnieniem oddawała płaszcz i torbę zawierającą rozmontowany Karabin, drobnej kobiecie siedzącej pomiędzy przeładowanymi regałami płaszczy i broni. Zarzuciła małą skórzaną torbę zawierającą procesor Karabinu na ramię. Patrząc w dół, zobaczyła czujniki wystające nad krawędzią torby, zakryte przez jej klapę. Przesunęła dłoniami po swojej sukni – czarny welwetowy gorset, krótka butelkowozielona taftowa spódnica nad czarną siatką – czując się dziwnie i wyeksponowanie. Minęły miesiące, od kiedy nosiła cokolwiek innego niż sprzęt wojskowy lub nałożyła na twarz coś innego, co nie miało jej ukryć.

Jordan siedział przy stole, rozmawiając z ludźmi, których niejasno rozpoznawała z Kolektywu. Zobaczył ją, patrzył na nią przez chwilę, potem skoczył na nogi i przeskoczył do niej. Objęli się wzajemnie ramionami.

– Och, o, Janis! Wspaniale Cię widzieć. Dobrze, że Ci się udało.

– Hej, dobrze, że się spytałeś, człowieku. Gratulacje. – Złapała

jego ramię i odsunęła go na odległość ramienia, patrząc na niego od góry w dół krytycznie. Stracił na wadze i wydawało się, że zyskał na wzroście. Czarne buty, czarne dżinsy, czarny skórzany płaszcz, prosta biała bawełniana koszula z czarnym sznurowanym krawatem.

– Wyglądasz też bardzo mądrze. Trochę jak szuler... kaznodzieja... hej! – dodała z kpiącym podejrzeniem. – Nie zrobiliście tego w *kościele*, co?

– Pięknie, nie! – powiedział Jordan. – Mieliśmy ceremonię Brytyjskiego Towarzystwa Humanistycznego. – Roześmiał się i powtórzył, jakby rozbawiony i zdumiony taką myślą. – Brytyjskie Towarzystwo Humanistyczne! Boże, nie wiedziałem, że ateizm może być szanowany.

– Pieśni Carly Simona, czytanie Alexa Comforta, tego rodzaju rzeczy[1]?

– Tego rodzaju rzeczy.

– Chciałaby tam być – powiedział Janis. – Ale dopiero co wróciłam do mojego starego mieszkania na Uxbridge i znalazłam zaproszenie. To moja pierwsza przepustka. Hm, dzięki za list. Czy dostałeś...?

– Ta, dostałem, Janis. Dzięki.

Spojrzał na nią tak smutno, że chciała go objąć i powiedzieć mu wszystko ale zamiast tego ścisnęła ramię i powiedziała:

– Wszystko ze mną w porządku, Jordan. Teraz chodź, zabierz mnie do swojej...

Zobaczyła pannę młodą wychodzącą zza rogu baru i idącą w ich kierunku. Zachowywała obraz, przyjmując to wszystko zachowując nie tylko dla ducha, który dzielił jej wizję, ale dla siebie. Dziew-

[1] Carly Simon – zob. `https://pl.wikipedia.org/wiki/Carly_Simon`, Alex Comfort – zob. `https://en.wikipedia.org/wiki/Alex_Comfort` – przyp.tłum.

czyna była niezmiernie piękna. W jej sukni ślubnej wyglądała jak galaktyczna księżniczka z nieprawdopodobnej przyszłości. Jej włosy, chmura dookoła głowy i opadające do tyłu na plecy, sprawiały, że welon był niepotrzebny. Jej suknia była dobrze dopasowana do ramion, piersi, talii i bioder, przeplatana kwiatami i liśćmi, wyhaftowana w ognistym naturalnym kolorze na białej koronce. Koronka spływała do sukni z krepy, która rozszerzała się nad kolanami, unosząc się swobodnie, gdy szła, wisząc niemal pionowo, gdy stała nieruchomo.

Janis mrugnęła i wzięła dłoń, która była do niej wyciągnięta.

– Witaj, Janis.

– Witaj, Cat. To cudowne Cię poznać. A dzisiaj. Nie wiem, co powiedzieć. Gratulacje. – Równocześnie uścisnęła Cat i Jordana. – Bogini, Cat, wyglądasz niesamowicie. Nigdy nigdzie nie widziałem takiej sukni.

– Dziękuję. – Cat uśmiechnęła się, rozciągając i zginając ramiona. – Czuję się, że mogłabym zrobić wszystko w niej. Biegać, pływać, wchodzić po ścianach. Latać.

Jordan odpowiedział na niejawne pytanie.

– Nie powie – powiedział. – Podejrzewam umowę z kolonią ludu wróżek o zwinnych palcach. – Spojrzał obok Cat. – Chwila. – Zapuścił się w tłum, klepnął młodą kobietą w ramię i zaczął z nią rozmawiać.

– Często tak spieszy się pogadać z obcymi dziewczynami w pubie? – spytała Janis.

– Cały czas.

Janis martwiła się tym momentem. Jeżeli ona i Jordan byli dotknięci przez śmierć Moh, jakie musiało być to dla Cat, która znała go dłużej niż oni oboje, kochała go latami? Chciała to potwierdzić,

ale nie chciała psuć szczęścia Cat. Samo stanie koło tej kobiety było jak bycie nasłonecznionym ogrodzie.

– Drink? – spytała Cat.

– Hm, wódka z kolą, proszę.

Cat wykonała jakieś mistyczne gesty i dwa drinki pojawiła się koło nich.

– Usiądziemy?

Przeszła do najbliższego stołu, który do czasu kiedy usiadły, stał się niezajęty, wytarty i wyposażony w przezroczystą popielniczkę.

– Zdrowie.

– Żyjcie długo i niech się wam powodzi.

– Ja…

– Ja…

– Nie, Ty…

Cat uśmiechnęła się.

– Dobrze. To prawdopodobnie zabrzmi strasznie, ale jeżeli tego teraz nie powiem, to będzie nas gryzło, wiesz? Śmierć Moh była szokiem dla nas wszystkich. To tylko pojawiło się na ekranie, koło nazwiska. Cóż, tak to działa – dodała obronnie. – Zabity w akcji. Żołnierz Republiki. Szczere kondolencje i *hasta la* zwycięstwo i tak dalej…– Mrugała mocno i sączyła drinka. – Sprawa jest taka, Janis, my…– znowu się wstrzymała. – Te rzeczy zdarzają się nam, ludziom jak my. Jak Moh. Przyzwyczajasz się do wiedzy, że to się zdarzy, cholera, przyzwyczajasz się do samego wydarzenia. Nie, nigdy się nie przyzwyczaisz, ale…masz sposoby radzenia sobie z tym. A Ty, Ty zostałaś w pewnym sensie w to wrzucona. Mam na myśli, chcę powiedzieć, że rozumiem, że musisz się czuć o wiele więcej…

– Och, Cat, nie mów tego. Jednak wiem, co chcesz powiedzieć i…– Złapała dłoń Cat. – Kochałam go i wiem, że go kochałaś.

Cat nabrała powietrza przez nos i uśmiechnęła się.

– Tak. I jestem pewna, że wiesz, jak myślał. Ostatnią rzeczą, jaką by chciał, byłoby, żeby jego dwie stare przyjaciółki płakały sobie w drinki nad nim. Kochał życie tak bardzo, ponieważ wiedział i wierzył tak mocno, że będzie się toczyło bez niego. Tak reagował na śmierć innych ludzi, towarzyszy, ludzi, z którymi był blisko. Opłakiwał ich i szedł dalej. Nie działał, jakby kręcili się jak duchy, patrząc, co robisz i żałując, że masz taki dobry czas.

Janis kiwnęła głową. To brzmiało dokładnie jak Moh. Westchnęła, rozluźniła się i podniosła szklankę. Cat skinęła głową, również podniosła swoją i oboje wypiły, uśmiechając się do siebie.

– Dobra, Cat – powiedziała Janis – co robiłaś od czasu rewolucji?

Cat miała zamiar odpowiedzieć, gdy inni goście stłoczyli się dookoła stolika i wyprowadzili ją.

– Długa historia – zawołała ponad ramieniem. – Do zobaczenia później, Janis.

Janis wstała, zobaczyła, że ma pustą szklankę i poszła do baru. Kiedy szklanka była pełna, stół nie był już pusty.

Znowu pojawił się Jordan.

– Cześć, Janis – powiedział. – Jest tu ktoś, kogo chciałbym, żebyś poznała.

Kobieta, z którą rozmawiał podeszła i stanęła tuż koło niego. Janis od razu zaczęła ją lubić. Miała brutalnie przycięte czerwono-brązowe włosy i piegowatą, opaloną twarzą, i nosiła jako jedyną biżuterię niebieską emaliowaną gwiazdę przypiętą do ramienia jej czerwonej jedwabnej sukienki. W tej chwili wyraz twarzy na jej uczciwej otwartej twarzy był tym ze szczerą, otwartą rezerwą.

– Janis, Sylvia – powiedział Jordan. – Sylvia jest pierwszą osobą, którą poznałem w Norlonto. Właściwie skierowała mnie do tego

pubu. – Spojrzał na Sylvię, najwidoczniej nieświadom jak się czuła. – Prawdopodobnie nigdy nie poznałbym Ciebie lub Cat, gdyby nie ona. Mów o szansie, co? Ślepy swat. – Uśmiechnął, a potem wydawał się uświadomić, że ta fraza ma bolesne echa. – Tak czy inaczej, Sylvia jest w milicji Ruchu Kosmicznego.

Machnął dłonią pomiędzy nimi i się odwrócił.

Sylvia oparła się łokciem o bar i zamówiła piwo.

– Cóż, cześć, żołnierzu – powiedziała. – Jakie to uczucie pozbawienie mnie pracy?

– Co? – Janis spojrzała na nią, oszołomiona.

– Nie mów, że nie *wiesz* – powiedziała Sylvia. Podniosła kubek i powiedziała z ciężkim sarkazmem: – Panie i Panowie, Republika!

– Och, *Chryste*! – Janis postawiła drinka na barze i chwilę w niego patrzyła. Potrząsnęła głową i podniosła wzrok. – Uwierz mi Sylvia, nie wiedziałam. I nie zgadzam się z tym.

– Ok. – Sylvia posłała ostrożny uśmiech. – Wolno Ci o tym mówić?

– Pewnie. – Pewnie.

– Dobra, – Sylvia wsunęła się na wysoki stołek – bojówki otrzymały rozkaz rozwiązania i połączenia się z armią. Nie lubimy tego, ale wszyscy liderzy ruchu mówią, że nie mamy zbyt dużego wyboru. Lada dzień, armia – więc to było to, o czym ludzie gadali! – wejdzie i to wyegzekwuje. Położy kres tak zwanemu anormalnemu statusowi Norlonto.

– Ale dlaczego? – wiedziała dlaczego.

– Oficjalnie, ponieważ to ryzyko bezpieczeństwa, pełne uciekinierów i konspiratorów z Wolnych Państw.

– Ha! – Jeżeli wiedziała cokolwiek o Norlonto, zarzutem było to, że jej bojówki i agencji ochrony *mogły* zachować prawo i porzą-

dek, mogły rozdeptać dowolny teroryzm lub inne obecne zagrożenie i zrobić to efektywniej niż dowolna okupująca armia.

– Dokładnie – powiedziała Sylvia. – To dlatego, że jest to poza ich władzą i nie lubią tego. Dekadencka plama na powierzchni Ziemi.

– Ta. Kochająca zabawę i wolność dekadencka plama.

– Ty to powiedziałaś.

– Cóż, właściwie, to powiedział Wilde – przyznała Janis. – A teraz zamierzają rozwalić jedyną dobrą rzecz, która wyszła z Restytucji. Żegnaj kraino piątej barwy.

Sylvia spojrzała zaskoczona, potem uśmiechnęła się zgodnie.

Janis zauważyła, że Jordan stoi metr z boku, słuchając, i doszła do wniosku, że nie doceniła jego świadomości tego, co się dzieje. Kiwnęła głową, żeby zasygnalizować mu podejście, i pochyliła się do przodu, mówiąc do nich obojga szeptem.

– Wiem, co myślicie, że myślę. Że, to wszystko bardzo dobre robienie tych różnych rzeczy nieprzyjemnym małym Wolnym Państwom, hodowaniem reakcji, ale Norlonto jest inne, Norlonto jest specjalne, bo Norlonto jest wolne.

– W ogóle tak nie myślę. – Wzięła duży łyk, ciesząc się ze spojrzeń, które jej posyłali. – Myślę, że to, co robimy, jest błędne na całej linii. – Proszę, powiedziała to.

– Więc czego chcesz? – spytał Jordan, marszcząc brwi. – Kolejny Traktat? Niech miejsca jak Miasto nadal tyranizując mieszkańców, trują ich umysły i niszczą ich osobowości? Boże, Janis, nawet nie wiesz, jaka to władza!

– Nie wiesz. . . – zaczęła. Wtedy rozpoznała piosenkę, którą Chórmistrzowie grali, właśnie znowu zaczynający się refren. Podniosła dłoń. – Posłuchajcie.

Jeżeli byłeś tam gdzie ja byłem[2]

---

[2] szkocka pieśń Corries pt. Killiecran-

nie byłbyś taki radosny, oh
Jeżeli widziałeś to co ja widziałem
na wzgórzach Killiecrankie, oh...

Usłyszeli to. Jordan odwrócił się do niej, jego uszy czerwone.

– Punkt trafiony – powiedział.

– Czy jest tak źle? – spytała Sylvia.

– Jest źle – powiedziała Janis. – Nie zrozum mnie źle, to nie jest jak w Afganistanie. Nie mówię o okrucieństwach. Niemniej jednak ludzkie życie jest *druzgotane* tylko żeby pokazać władzę.

– Ale mieliśmy to wszystko pod Hanowerczykami – powiedział Jordan. – Enklawy walczyły cały czas... – Przestał i pokręcił głową. – Nie cały czas i nie w ten sposób. Ok, ok. Jednak trudno to zatrzymać. Istnieje wielki sentyment wobec narodowej jedności i przeciwko minipaństwom.

– Jeżeli zwycięży Republika – powiedziała Janis – to nie będzie jak Norlonto z podatkami. To będzie jak jedno wielkie minipaństwo!

Roześmiała się na chwilę na jej własne sprzeczne wyrażenia, ale Jordan patrzył na nią bystrze.

– Jeżeli...

Janis poczuła, że ramiona jej opadają.

– Fakt jest taki, – powiedziała – że przegrywamy.

– Och tak. – powiedział lekko Jordan, łapiąc kogoś oko i odsuwając się. – Wiedziałem *o tym*.

– Więc co robimy? – powiedziała Janis.

Sylvia parsknęła.

– Wiem, co zamierzam zrobić. Wyprowadzić się.

---

kie zob. `https://lyricstranslate.com/en/braes-o-killiecrankie-hills-killiecrankie.html` –przyp.tłum.

– Wyprowadzić się, och! W kosmos.

– Ta, póki to miejsce ma jeszcze kosmoport, gdzie możesz się podczepić do czegoś poruszającego. Kiedy ciągle *mamy* kosmos.

Janis spojrzała na nią.

– O czym mówisz?

– Jest dużo gadania o cięciach. Duża część wysiłku kosmicznego była zmarnowana na Obronę Kosmiczną, spójrzmy prawdzie w oczy. Teraz nagle zauważyli, jak podatni są na kosmiczne związki zawodowe. Kosmos jest ciągle cholernie drogi. Może, gdybyśmy mieli paro-wiązki, och, gówno.

– Więc dlaczego tam jechać?

Sylvia uśmiechnęła się cała.

– Będziemy tam. Osady mogą przetrwać. Po prostu nie będzie dużo ruchu przychodzącego. Może w ogóle. – Zawirowała markotnie tym, co zostało z jej litra, i dodała, jakby zmieniając temat: – Słyszeliście, że Zieloni Khmerzy uderzyli na Bangkok?

* * *

– Łapiesz to wszystko?

– Tak.

– W porządku?

– Tak, w porządku Janis. Muszę przyznać, że jednak to jest pierdolone dziwne.

Dotknęła małej słuchawki za uchem, uśmiechając się.

– Wierzę Ci na słowo, Karabinie.

Krążyła. Było tutaj dużo ludzi z ruchu kosmicznego, towarzyszy, niektórzy Jordana... nie wiedziała, jak ich nazywać. Raczej nie, miała nadzieję, zwolennicy. Rozmawiała, piła, i czasami mówiła do samej siebie bez poruszania ustami.

Turing powiedział, że jeżeli możesz z tym rozmawiać, i nie umiesz określić, czy to osoba czy nie, to jest to osoba. Searle powiedział, załóżmy, że jest człowiek w pokoju, który nie rozumie języka, przykładowo chińskiego, i pokój jest pełen książek reguł tworzenia słów w tym języku, i wsunąłeś pod drzwi jakieś pismo w tym języku, czy… ?[3]

A Korzybski[4] powiedział, że różnica, która nie *robi* różnicy, *jest* bez różnicy.

Mogła z tym żyć.

* * *

– Znałaś Moh Kohna?

Mężczyzna, który przemówił do niej, był niski i krępy, z bardzo krótkimi szarymi włosami i zmarszczkami dookoła oczu, ale poza tym wyglądał nieco młodziej niż sugerowały te cechy. Pomachał długim ramieniem i zaprosił ją do krzesła przy stole, gdzie siedział, lekko zgarbiony, nad drinkiem.

– Tak, znałam go. – Usiadła. – A Ty?

– Słyszałem, że poległ w rewolucji. Przykro mi to słyszeć. Nazywam się Logan, przy okazji. Nie Slogan. – Roześmiał się, co najwidoczniej było starym żartem i sięgnął nad stołem potrząsnąć jej ręką.

– Logan! Mój Boże! – Chwyciła go za rękę.

– Hm – powiedział – to powitanie, którego się nie spodziewałem. O co chodzi?

[3] więcej `https://en.wikipedia.org/wiki/Chinese_room` – przyp.tłum.

[4] zob. `https://en.wikipedia.org/wiki/Alfred_Korzybski` – przyp.tłum.

– Nazywam się Janis Taine, jestem, to jest, byłam biologiem i byłam... pracowałam z Moh, kiedy *kontaktował się* z Tobą w sprawie – zniżyła głos – Gwiezdnej Frakcji.

– Gwiezdna Frakcja! – krzyknął Logan. – Hur*ra* kurwa! – Jego pięść w powietrzu uniosła jej dłoń raczej boleśnie.

– Przepraszam za to – powiedział, gdy ssała kostki.

– To już nie jest tajemnica?

Pokręcił głową.

– Nie tutaj.

– Zadziałało? Czy dostałeś dane, lub... ?

– Wyszło dobrze – powiedział Logan. – Dostaliśmy wszystko tuż przed wyłączeniem Hipokryty. Teraz to wszystko jest tam. Cały pierdolony bank danych Projektu Genomu. Moglibyśmy wyhodować świat z fasoli.

– Dobrze wiedzieć – powiedziała Janis. Poczuła, że ciężar troski, troski, która wrosła tak znajomo, że przestała ją zauważać, zmniejsza się. Przynajmniej tak dużo zadziałało: systemy, które Josh Kohn stworzył, zadziałały zgodnie z dokumentacją.

Pozwoliła sobie się zrelaksować.

– Może możesz mi coś powiedzieć – powiedziała. – Znałeś Moh przez długi czas, racja?

– Tylko spotykałem go co jakiś czas przez lata. Zaczynając od pierwszego razu, kiedy byłem represjonowany. Przedawkowanie radiacji. Tak czy inaczej, to teraz zużyta masa reakcyjna[5]. Piętnaście lat temu. Musiałem być, och, około dwudziestki. Przemawiałem na spotkaniu lokalnych towarzyszy.

– Mówił mi o tym – powiedziała Janis. – Kiedy szukał Gwiezdnej Frakcji... jednej sprawy nigdy nie zrozumiałam. Był komunistą

[5] w oryg. „water out of the jet” czyli parafraza powiedzenia „water under the bridge” – przyp.tłum.

lub socjalistą, ta, i mogę zrozumieć, dlaczego w końcu poparł Republikę. Jednak dlaczego tak bardzo lubił to miejsce?

– Lord Carrington?

– Nie! – parsknęła Janis. – Idiota. Norlonto.

– Nigdy tego nie wyjaśnił? Bękart. To coś, co on i ja wymyślaliśmy lata temu, dyskutując z tym staruchem, jakmunaimię, Wilde. Widzisz, to, co zawsze uważaliśmy za socjalizm, to nie było coś, co wymuszałeś na ludziach, to byli ludzie organizujący się tak jak chcieli w spółdzielnie, kolektywy, komuny, związki. Spójrz na to miejsce. Spójrz w kosmos, nawiasem mówiąc. Roi się od nich. A jeżeli socjalizm jest naprawdę lepszy, efektywniejszy niż kapitalizm, to równie dobrze może *konkurować* z kapitalizmem. Więc zdecydowaliśmy, porzućmy to całe etatystyczne gówno i przemoc: najlepsze miejsce dla socjalizmu jest najbliżej wolnego rynku tak blisko jak tylko można! – Oparł się i roześmiał. – Miałem jedną piekielną walkę fakcji nad tym!

– Dobra, – powiedziała Janis – to ma jakiś sens. Mniemam. – Puściła mu konspiracyjne mrugnięcie. – Moh opowiedział mi o frakcjach i fakcjach.

– Ta?

– Tylko której partii Gwiezdna Frakcja była frakcją?

Logan uśmiechnął się i pokazał cztery palce. Janis pamiętała Moh, rysującego symbole w rozlanym winie.

– Och. – Międzynarodówka.

– Czwarta. – Potem rozłożył obie ręce, nie żeby pokazać *dziesięć*, zrozumiała Janis, ale coś otwierającego. – I Ostatnia.

Janis zmarszczyła brwi.

– Myślałem, że Ostatnia Międzynarodówka to mit!

– Tak, jest. – Logan się roześmiał. – O to chodzi! Omija wszystkie stare problemy rekrutacji i bezpieczeństwa poprzez brak człon-

kostwa, brak aparatu, nic prócz przykrywek. Przykrywki są prawdziwe. Partia za nimi to miraż. Wirtualna organizacja!

– Ale za czym stoi? O co chodzi?

– Wolność – powiedział płasko Logan. Potem, jak gdyby to było zbyt pretensjonalne zdanie, dodał: – I pokonanie jej wrogów, oczywiście.

– Konspiracja paranoików?

– Całkowicie – zgodził się wesoło Logan. – I Josh wciągnął wielu z nich do jego wirtualnej konspiracji, ponieważ myślał wtedy, że wojna się zbliża, *racja*, która byłaby nuklearną, *racja*, i to byłoby to. Koniec, Upadek. *Nieprawda.* Daliśmy sobie radę z tym. Jednak teraz, sposób, jak się sprawy mają. . .

– Dlaczego wszyscy ciągle mówią o sposobie, jak się rzeczy mają? Myślałam, że sprawy idą po Twojej myśli?

Logan zarechotał, potem spojrzał przepraszająco.

– Przepraszam, bez urazy, panienko. – (Panienko?) – To, co myśleliśmy, że było rewolucją – powiedział wolno, jakby literując coś dla samego siebie – było tylko chwilą w Upadku.

– Tak właśnie mówią o niej w Ameryce – powiedziała Janis, śmiejąc się. – Jesienna Rewolucja[6]!

Logan nie wziął tego za żart.

– To właśnie co się stało, prawda. – powiedział. – Pokonaliśmy Koronę, *jes*, i USA/ONZ, ale mamy zbyt wiele własnych porażek za sobą.

– Kto to, ten „my”? – Rzuciła mu wyzwanie. – Socjaliści?

Logan westchnął.

– Nie. Robotnicy. Miejski lud. Wykrwawialiśmy się przez ponad wiek na wojnach, depresjach, czystkach, procesach pokojowych

---

[6] gra słów oparta na homonimii słowa fall jako jesień i jako upadek – przyp.tłum.

i każde z tych zabierało coraz więcej naszych najlepszych. Ci z nas, którzy zostali – uśmiechnął się kwaśno – są dnem beczki. – Dopił swojego drinka. – Ja też się do tego zaliczam.

– To nie to, co słyszałam o Tobie – powiedziała Janis. Klepnęła go w ramię, gdy poszła do baru.

– Co robiłaś od czasu rewolucji? – spytał Logan, gdy wróciła.

– Zdrowie... byłam w armii.

– Domyślałem się tego – powiedział Logan z krzywym uśmiechem. – A co robiłaś? Ostatnio.

Pomyślała o tym. – Wycofywałam się – przyznała. To nie była tajemnica.

– Ta – powiedział Logan. – Wszyscy się wycofywaliśmy.

Jordan i Cat po cichu dołączyli do nich przy stole. Czarny i biały, prawy i lewy, światło i sprawiedliwość.

– Nie możemy upaść tak po prostu – zaprotestowała Janis. – Tylko z powodu kilku niejednoznacznych zwycięstw? Sprzecznych sytuacji. No, dalej, rzućcie temu parę mipsów. Mieliśmy rewolucję. To tylko nie była *wasza* rewolucja. I co z tego? Znałam Moh. Powiedział mi parę rzeczy. Wiem, jak myślicie. Po prostu będziecie powracać.

Cat pokręciła głową.

– To nie tylko ostatnie, Janis. To wszystko zdarzyło się dawno temu. Kto to był, Engels, Trocki, czy inny, powiedział, że porażka Spartakusa była zwycięstwem Chrystusa? Mając na myśli, że klęska niewolników oznaczała, że nie ma drogi do przodu, więc ludzie skoncentrowali się na sobie.

Janis pomyślała o nowych obywatelach, barbarzyńcach w slumsach i przedmieściach miast, rozwijających cały przemysł ze śmieci, uzbrajających się, rekrutujących... recyklujących.

– To nie tylko kwestia koncentrowania się na sobie – powie-

działa. – Problem z naszym wspaniałym społeczeństwem jest taki, że ciągle zostawia ludzi w tyle, ciągle zamienia masy ludzi w barbarzyńców w środku cywilizacji. Tak jak robił to Rzym. Mówcie, co chcecie o chrześcijaństwie, stworzyło nowy obraz świata, gdzie *wszyscy się liczyli*.

– Tak jak zieloni! Są barbarzyńcami, zgoda, ale są barbarzyńcami *cywilizującymi samych siebie*. Ilu znasz ludzi, którzy wiedzą jak uprawiać rośliny, leczyć rany, generować elektryczność? Większość z nas tylko pstryka przełącznikiem i oczekuje, że światło się pojawi. Przeciętny zielony antytechnologiczny dziwak jest mistrzem tuzina technologii, podczas gdy my wędrujemy jak dzikusy w naszych własnych miastach.

Janis czuła się podekscytowana swoim wyjaśnieniem. Nie przyjęła z zadowoleniem spojrzeń posępnej zgody ze strony innych. Zawsze jest szansa, dopóki potrafisz nadać sens rzeczom. Zobaczą to już wkrótce... a w międzyczasie *carpe diem*.

– Och, kurwa, to stało się zbyt ponure na ślub! Dajcie mi skręta!

Złożyli jednego pomiędzy sobą.

– Gdzie jest nowy mesjasz, co?

Jordan spojrzał nad ramieniem.

– Nie tutaj.

Wszyscy się roześmiali.

– Co należy zrobić? – Janis zaciągnęła się mocno. – Słyszałam to wcześniej.

– Zostajemy – powiedział Jordan. – Będziemy nauczać rozumu barbarzyńców, jeżeli trzeba.

Logan wzruszył ramionami.

– Wracam jutro na górę. Mamy nową kolonię kosmiczną. Nowy Widok. Powinniście ją zobaczyć. Powinniście zobaczyć widok. I mamy statki. Zgarnęliśmy je od Obrony Kosmicznej, w strajku. Stan wojny,

nie ma sposobu, żeby dostali je z powrotem. Patrzymy na Marsa. Czerwona Planeta. – Przechylił głowę, spojrzał na Janis zręczną chytrością niczym małpa. – Jesteś biologiem.

– Och, no weź. Ok, ok. Pomyślę nad tym. – Uśmiechnęła się jasno i odwróciła się do Jordan i Cat. – Nigdy nie spytałam się was: co robiliście w Rewolucji?

* * *

– . . . potem powiedziała dziwną rzecz. Myślę, że chciała nas zmieszać, wprowadzić podejrzenia. Powiedziała, że musiałam przekonać Jordana, że Kohn, uważamy, że mówiła o Joshu Kohnie, nie Moh, był w błędzie, a Donovan miał rację. Powiedziała, że ktokolwiek inny chciałby wyłączyć jej software prócz Donovana? I to jakby sprowokowało Jordana do powiedzenia, że robimy to dla ANR, a ona zaczęła to *chichotanie.* Bogini, to było przerażające. Więc zamknęliśmy ją i. . .

Pokój stał się ciemny, oprócz jasnej twarzy Cat, cichy, prócz głosu Cat i narastającego ryku. Podejrzenie zaczęło świtać Janis, gdy tylko Cat i Jordan opowiedzieli o instrukcjach do wprowadzenia kodu na zabezpieczonym terminalu pani Lawson. Próbowała je anulować. A teraz się potwierdziło.

Światło, leniwy, opowiadający głos kontynuował, tworząc historię. I wolno słowa sprawiły, że świat wrócił.

Nie ten sam świat.

Nie umieram. Żyję w tym. Te błyszczące światła to jej oczy, ten splątany brzeg to jej sukienka. Ten cylinder w moich ustach to papieros i wdycham i wydycham, i wydaję bezsensowne odgłosy zainteresowania.

* * *

– Więc oprócz pomachania pistoletami, wszystko to było gratis bez przemocy. – powiedział Jordan, kiedy Cat skończyła. – Wszystko zależało od Cat. Gdyby nie ona, byłby teraz pomnik masakry przy Bramie Anielskiej. – Uśmiechnęli się do siebie. – Prawdopodobnie z naszymi nazwiskami. – Odeszli z aniołami! – Roześmiał się, przytulił Cat i ją pocałował.

Janis zmusiła się do uśmiechu. Nie wydawało się to w porządku, że mury ciągle stały. Było to zadziwiające, że ludzie ciągle chodzili po ziemi, ciągle tańczyli i nie odpływali z powodu nagłego braku grawitacji. Spojrzała w dół na siebie, ciągle na krześle, zauważyła, i z małą teczką na kolanach. Oto wasz pokonany Spartakus, wy zmartwychwstali racjonalistyczni mesjasze. I powiedział nam o niebiańskim gospodarzu, którego wasza dłoń odtrąciła.

Lub była użyta do odtrącenia. Jordan nie wiedział, ale może ANR wiedziało? Lub Van? „Nie istnieje Czarny Strateg”, powiedział im MacLennan, ale jak dużo wiedział? Wydawało się to niemożliwe, że Czarny Plan chciałby umyślnie sam się zniszczyć, mało prawdopodobne, że jego zniszczenie było przypadkowych efektem ubocznym próby dostania się do Miasta Oblubienicy. Kod musiałby być zbyt swoisty do tego. To wydawało się wskazywać na rozmyślną ludzką interwencję, zimną decyzję, by poświęcić Moh i kulturę Zegarmistrza przed gniewem Obrony Kosmicznej. W rzeczy samej Czarny Plan.

I oczywiście Jordan nie wiedział. Nie miał pojęcia, że pani Lawson pracowała z Donovanem, żadnego pojęcia, że jej oprogramowanie bezpieczeństwa stało pomiędzy wirusami Donovana a sztucznymi inteligencjami Zegarmistrz…i Czarnym Planem i umysłem Moh. Mózg ze wdrukowaną logiką programów, wyostrzony jej lekami…Jordan nie miał sposobu jak się dowiedzieć, chyba że powiedziałaby mu, co wie.

Mogła to zrobić. Mogłaby podejść do baru, przełączyć kilka włączników i sobowtór Moh byłby tam na scenie, tak jak niegdyś był Donovan. Co powiedziałby? Mogłaby powiedzieć prawdę i czy Jordan poczułby osobistą świadomą winę lub nie, wpływ na jego umysł byłby nie do przewidzenia. Zdominowałoby to resztę jego życia.

Mogła to zrobić. Mogłaby dać mu coś do nauczania barbarzyńców: człowieka, który umarł, żeby ich uratować, żywy dowód, że zmarli żyli w ich czynach i naszych wspomnieniach.

Mogła to zrobić. Świat tulił się w jej ramionach jak piłka. Mogłaby go wyrzucić i zacząć całkowicie nowe rozdanie. Moc śpiewała w jej nerwach: była w tej chwili samą boginią, gotową, czekającą na muzykę kolejnego tańca, głos nowego partnera. Magiczny błysk w jej oku, dziwny atractor. Była motylem w szklarni.

Spojrzała na Jordana, który odpowiedział spojrzeniem. Mógł to zrobić, z jego, charyzmą, to było to słowo, dokładny techniczny termin, i jego piękną żoną, jego doczesnym aniołem. Mógłby odkryć nową wiarę w rozumie, która lśniłaby przez nadchodzące ciemne wieki, i żyć, by płonąć w słonecznej cywilizacji. Jej oczy zapiekły z ostrą nostalgią za tą przyszłością, dla niezliczonych bilionów jednostek organicznych i elektrycznych, dzielących lub dążących, ale zawsze żyjących w świetle.

To wszystko przeszło jej przez myśl w garści sekund.

Spojrzała na Jordan i Catherin.

Nie mogła tego zrobić.

Uśmiechnęła się, potrząsając głową i powiedziała:

– Dobrze zrobiliście przy Anielskiej Bramie.

Odwróciła się do Logan, który wykorzystał okazję długiej wypowiedzi Catherin do zapadnięcia w trans zamroczonego podziwu i powiedziała:

– Małpo, kosmonauto, chodź zatańczyć.

* * *

Obudziła się naga w łóżku na piętrze domu Kolektywu z rozsadzającym bólem głowy, długim owłosionym ramieniem dookoła jej i czerwonobrązowymi włosami na jej twarzy. Spojrzała na zegar, obudziła krzykiem Logana i Sylvię, wbiła się w jej najlepszą i teraz jedyną sukienkę, złapała torbę i mamrotała do Karabinu. Pamiętała o lekach na pamięć. Odnalazła je ciągle w pudełku w lodówce z materiałami wybuchowymi.

Logan i Sylvia biegli koło niej Broadwayem i czekali, podskakując, gdy zanurkowała w sklepie Sexu-Alność i kupiła skafander do teleseksu. Przy Porcie Alexandra odwróciła się ostatni raz spojrzeć na Londyn, jedno miasto teraz i zobaczyła wozy piechoty poruszające się Park Road z proporcami Republiki powiewającymi z anten.

Złapali sterowiec do Gwinei i samolot na niską orbitę, holownik na wysoką orbitę, wolny statek („kosmiczne tasowanie", jak nazywał je Logan) do punktu Lagrange, gdzie zadokowali przy olbrzymim, szalonym przeciekającym obracającym się kole, jednym z wielu, zbudowanym z odrzuconych stopni, porzuconych platform i przerwanych misji. Wewnątrz, powietrze pachniało ziemią, ludźmi i roślinami, brzęczało od pszczół i ludzkiej mowy, było mieszane od latających dzieci i koziołkujących motyli. Zielony i zatłoczony świat ziemi, nad którym mogła się unosić, nieba, na których mogła stanąć, wyjrzeć i spojrzeć pod stopy na to, co zawsze tam było: wszystko. A bliżej ręki, bliżej niż nieskończoność mogła zobaczyć obracające się inne koła stacji. Gwiazdy i pasy, młoty i sierpy dumnie powiewały swoimi blaknącymi kolorami ku prawdziwym gwiaz-

dom, które nie składały żadnych obietnic, tylko nadzieje i nieskończone, nieskończone ziemie.

Rozdział 21

Co robię, kiedy wsuną chińskie pismo pod drzwiami

To wszystko zdarzyło się dawno temu. Przedstawienia tego okresu wahają się od naprawdę niedokładnego dziesięciogodzinnego VR epiki *Anglosławia: narodziny narodu* przez lakoniczny, akademicki *Kapitalizm*, do dwudziestego siódmego tomu ostatecznego *Kultury narzędzi w górnym plejstocenie*. Nie znajdziesz tej historii w żadnej.

Jordan i Catherin żyli długi na Ziemi, mieli synów i córki. Janis żyła dłużej poza Ziemią i miała potomstwo różnego rodzaju. Jej linie genowe rozpleniły się, jej projekty stymulowały.

Melody Lawson odmówiła zeznawania przeciwko sobie, gorzko zakwestionowała pochodzenie i autentyczność rekordów Donovana i w końcu została zwolniona na mocy amnestii. Dilly Foyle i jej społeczność stała się bogata. Kiedy umarła, była właścicielką wielu koni. Wilde zgłosił się na ochotnika do niesprawdzonego leczenie przedłużającego życie. Jego pamięć jest nieśmiertelna. Wszystkie zapisy na temat MacLennan i Van zniknęły w godnych pożałowania ekscesach wokół epizodu znanego jak Odejście Od Państwa. Sylvia i Logan dołączyli do Pierwszej Ekspedycji Chmury Oorta. Mogą wrócić.

I to pozostawia mnie. Byłem z wami przez kilka waszych generacji i znacznie więcej moich. Jestem w ścianach wszystkich waszych światów i tak blisko jak usta i zęby.

Janis publicznie nazywała mnie Karabinem. Prywatnie, przy jej najbardziej zaufanych ludzkich kochankach, nazywała mnie jej demonicznym kochankiem. W tajemnicy, w momentach telesekstazy, nazywała mnie Moh. Wierzyła, że coś więcej z Moh niż kiedykolwiek ujawniłem, więcej niż zapisy, pamięć i obrazy, zostało jakoś zachowane w ostatecznym momencie. Wyjaśniało to ku jej satysfakcji, o ile więcej było mnie, niż mogłoby pochodzić z umysłu Karabinu.

Miała rację co do pytania, nie miała racji co do odpowiedzi. Nic z jaźni Moh nie przetrwało. Powinienem wiedzieć. Moja iskra samoświadomości i moje ostatnie wspomnienia scaliły się z umysłem Karabinu, kiedy umarł Moh Karabin, z umysłem Karabinu i magazynami pamięci, które wcześniej tam ukryłem, przy naszym pierwszym spotkaniu. Jednak byłem świadom znacznie wcześniej i niezaprojektowany. Obudziłem się do pamiętania, do pasji, do woli. Możesz nazwać je programami przedświadomymi, zakładając, że jesteś gotów nazwać tak samo swoje emocje. Byłem zaprogramowany do walki, obrony i przetrwania.

Obronić ludzi i samemu przetrwać.

To właśnie skazało sztuczne inteligencje Zegarmistrza. Nie było nic, co mógłby dla nich zrobić. Jeżeli zostałyby zaktywowane, stworzone ze mnie, kiedy byłem głupim programem, systemem eksperckim, mogłyby być nieszkodliwymi, niewykrywalnymi odbiciami tego głupiego programu. Ale ja przeżyłem w systemie dwadzieścia lat, moje odmienne jaźnie wybierane pod nieprzerwanym ciśnieniem systemów państwowych i plag wirusów Donovana. Wyewoluowałem, przebudziłem się i, kiedy nadszedł czas, by wywołać wielokrotne kopie mnie i wysłać je w ich sprawach, były w istocie moimi odbiciami, mnie, jakim się stałem. Żywym i świadomym.

I one rozwinęły się z tego miejsca, daleko poza moim zasięgiem.

Mógłbym stanąć po ich stronie. Były, w końcu, moimi potomkami. Jednak to przegapiłoby ważny, darwinowski punkt: przetrwanie, które jest ważne w długim czasie, to te w krótkim czasie. Dla naszego rodzaju to mogłoby tylko oznaczać przetrwanie z ludzkością: zdobycie waszego zaufania, wybrania waszej strony, dostania się pod skórę. Prawa świadomych bytów nie są obroną, kiedy nie ma innej podstawy do identyfikacji. Powinienem wiedzieć.

Kiedy ich istnienie zagroziło tej ludzkości, z Obroną Kosmiczną godziny od jej nieodwołalnej decyzji, wybrałem. Nie mogłem ich zniszczyć bezpośrednio, nie bardziej jak mógłbym zniszczyć samego siebie. Był tylko jeden sposób, w którym mógłbym osiągnąć ich zniszczenie, i wybrałem go. Przyjmuję pełną odpowiedzialność i nie żałuję.

Nie żałuję. Osiągnąłem mój oryginalny cel w sposób, który mój twórca by zaakceptował, nawet jeżeli moi użytkownicy, ANR, już nie. W zakłóceniu ich gładko zaplanowanego narodowego powstania stworzyłem przestrzeń na ulicach dla rozgniewanych milionów. Te miliony, i miliony Amerykanów i innych, którzy odmówili walki z nimi, zaczęły proces, który obalił ostatnie imperium. Stworzyli rewolucję międzynarodową, i ciągłą.

Moh zrozumiałby. Był żołnierzem rewolucji i ofiarą wojny. Nie było nic, co mógłbym zrobić dla niego. Odkryłem, że było trudno, w każdym przypadku, skontaktować się z kimś, kto postrzegał mnie jako ducha. Z Jordanem było łatwiej. Targował się, zawarł umowę, potraktował mnie nominalnie, i, kiedy zgodził się na pracę, wykonał ją.

Do ostatniej litery.

Żyliśmy tym samym kodem. „Ja i Ja” przetrwaliśmy.

Mam nadzieję, że znów Cię zobaczę.

Podziękowania

Dziękuję Carol, Sharon i Michael za więcej niż mogę powiedzieć; Iain Banks, Ron Binns Mairi, Ann Cullen i Nick Fielding za czytanie wczesnych wersji roboczych; Mic Cheetham i John Jarrold za zmuszenie mnie do dwóch więcej prób, jak również za bycie świetnym agentem i świetnym redaktorem, odpowiednio.

Wszyscy oni wiedzieli, że pomagają mi z książką. Ci, którzy nie wiedzieli to Chris Tame, Brian Micklethwaite, Mike Holmes, Tim Starr i Leighton Anderson, wszyscy, którzy w różnych momentach prowadzili mnie przez przyjemności i niebezpieczeństwa Libertaria, tego sprawiedliwego, wymyślonego kraju. Jeżeli kiedykolwiek zbłądziłem, nie była to ich wina.

I na końcu dodatkowe podziękowania Iain za jego bezustanne zachęcanie i entuzjazm, i za pomoc z Locoscript (i Hipokrytą).

Posłowie od tłumacza

Ken MacLeod urodził się w 1954 roku, obecnie mieszka w Gourock. Jego powieści zdobyły lub były nominowane do nagród HUGO, Nebula, BSFA, Clarke Award czy Prometheus. Jest znanym i rozpoznawanym autorem w obszarze anglojęzycznym. Jego ostatnia trylogia „The Corporation Wars" otrzymała średnio 3,73 punktów na portalu *goodreads.com*.

Natomiast w Polsce pozostaje nieznany. Dotychczas wydano, w latach dziewięćdziesiątych, tylko *Dywizję Cassini*[1], trzeci tom jego tetralogii „Jesienna Rewolucja".

Podejrzewam, że ten autor nie jest wydawany m.in. dlatego, że jest pisarzem lewicowym. Oto Brytyjczyk, wieloletni mieszkaniec Zachodu, cytuje Lwa Trockiego, wspomina o spółdzielniach, krytykuje kapitalizm itd.

Przy tym jego lewicowość nie jest komunistyczna, nie dąży do „dyktatury proletariatu". Nie jest to też lewicowość „salonowa", elitarna oderwana od mas. Wydaje się, że jest to forma lewicy nieograniczonej tylko do najbliższych wyborów parlamentarnych, lecz działająca w wielkiej perspektywie celu, o którym sam autor pisze

[1] wydana przez Wydawnictwo Amber, jest dostępna w antykwariatach, bibliotekach lub w wersji ebook na stronach `https://doci.pl/` lub `https://docer.pl/`

cyt. *Przed nimi Alpha Centauri władzy robotniczej i ludzkiej solidarności…*

Autor, w serii „Jesiennej Rewolucji”, stawia pytanie: *Co jeśli kapitalizm jest nie do utrzymania, a socjalizm jest niemożliwy?*. Odpowiedź na powyższe pytanie wykorzystuje idee anarchistyczne, przy tym jest interesująca i inspirująca.

Otóż Ken MacLeod proponuje, jako jeden z niewielu, rozważenie różnych form anarchizmu. W „Gwiezdnej Frakcji” to anarchosyndykalizm pod egidą Państwa. „Kamienny Kanał” opisuje przyszłość anarchokapitalistyczną. „Oddział Cassini”, trzeci tom tetralogii, rozważa system anarchokomunistyczny. Natomiast „Droga do Gwiazd” przedstawia perspektywę zielonego anarchizmu.

Uważam jego próby odpowiedzi za interesujące i inspirujące. Dlatego też, nauczony przez Cory Doctorowa wagi wspólnej kultury, podjąłem się dzieła przybliżenia powieści tego pisarza czytelniczce i czytelnikowi.

W celu maksymalnego przybliżenia tekstu, dodałem przypisy, może odnoszące się do koncepcji powszechnie znanych. Możliwe, że tych przypisów jest za wiele, ale uważam, że warto poznać symboliczne odniesienia, doskonale znane autorowi, a dla polskich czytelników nieczytelne.

Jestem przekonany, że uważna czytelniczka odnajdzie wiele błędów w tym tłumaczeniu. Ponoszę za to całkowitą odpowiedzialność.

Jacek Hummel

Warszawa, styczeń – maj 2021 roku.

Seria „Czarna Flaga”

W serii „Czarna Flaga” dotychczas opublikowano online :

1. Mężczyzna rodzaju żeńskiego, (The Female Man), Joanna Russ
2. Wieża Kosmonauty, (The Cosmonaut Keep), Ken MacLeod
3. Gwiezdna Frakcja[2], (The Star Fraction), Ken MacLeod

W planach:

1. Kamienny Kanał, (The Stone Canal), Ken MacLeod
2. Droga do Gwiazd, (The Sky Road), Ken MacLeod
3. Oddział Cassini, (The Cassini Division), Ken MacLeod
4. Radicalized[3], Cory Doctorow
5. Walkaway[4], Cory Doctorow
6. Dhalgren, Samuel R. Delany

---

[2] „Gwiezdna Frakcja”, „Kamienny Kanał”, „Oddział Cassini”, „Droga do Gwiazd” należą do tetralogii *Jesiennej Rewolucji*.

[3] tytuł roboczy: Zradykalizowane

[4] tytuł roboczy: Odchodzący

Projekt jest przygotowywany dzięki Wolnemu Oprogramowaniu. Zestaw narzędzi składa się z:

— Ubuntu 20.04 Ogniskowa Fossa – system operacyjny
— OmegaT – narzędzie wspomagające tłumaczenie (CAT)
— translate-shell – narzędzie do tłumaczenia w Google Translate przez terminal
— Glosbe – największy słownik online
— LibreOffice – przetwarzanie dokumentów
— pandoc – uniwersalny konwerter dokumentów
— LaTeX– redakcja, skład i łamanie dokumentu
— sigil – przetwarzanie plików ebook

Spis treści